P1347 KWARTALNIK

KWARTALNIK

KŁOSÓW

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE

pod kierunkiem

Redakcyi Kłosów.

ROK PIERWSZY.

TOM I.

WARSZAWA.
NAKŁAD I DRUK S. LEWENTALA.
Nowy-Swiat, Nr. 1258a (39).

1877.

Kwartalnik Kłosów.

KWARTALNIK

KŁOSÓW

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE

pod kierunkiem

Redakcyi Kłosów.

ROK PIERWSZY.

TOM I.

WARSZAWA.
NAKŁAD I DRUK S. LEWENTALA.
Nowy-Świat, Nr. 1258a (39).

1877.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 2 Апрѣля 1877 года

KOLEJE DZIEJOWE

ZRZESZANIA SIĘ POLITYCZNEGO SŁOWIAN PÓŁNOCNYCH

DO POŁOWY XV-go WIEKU.

PRZEZ

Aleksandra Jabłonowskiego.

Wstęp. Historyozoficzne badania najpoważniejszych myślicieli ustaliły tę psychiczną prawdę, iż możliwe upostaciowanie wszystkich bez wyjątku stron życia narodu w ogóle, nie przestając być wyrobem warunków miejscowości, czasu i wpływów postronnych, przedewszystkiem jest wyrazem istoty jego wewnętrznéj, wyrazem jego ducha. Jest to prawda, równie stanowcza w zakresie umysłowości, jak na polu społecznem i politycznem. Na tém zaś ostatniém jest do takiego stopnia pewnikiem, iż baczniéj rozważywszy dzieje jakiegokolwiek narodu — pomimo najsprzeczniejszych form politycznych, w jakich czasami, w długim ciągu dziejowym, nam się on ukazuje — nie możemy nie dopatrzéć jednéj przeważającéj, organicznéj idei, co usiłuje nadać bardziéj wyjątkową postać politycznemu bytowi onego. Pewnik ten uwydatnia się dotykalnie i w dziejach naszego narodu, uwydatnia się zarówno i wśród kolei dziejowych całego szczepu Słowian.

Idea federacyi. Jakkolwiek mało dziejopisarze nasi zwracali na to należytéj uwagi, jakkolwiek też i w przeświadczeniu dzisiejszych pokoleń o przeszłości nie da się dostrzedz nic pod tym względem twierdzącego; to jednak, unaoczniwszy cały przebieg naszych dziejów, trudno w gmatwaninie najróżnorodniej-

szych upostaciowań, jakie przybierał na się polityczny nasz żywot, nie dojrzéć tego — że ową jedyną, organiczną ideą, co stała się spójnią olbrzymiéj naszéj społecznéj budowy, co mocą swą rozsadzała ustrój innych politycznych dążności, była myśl, którą inaczéj jak myślą federacyjną nazwać nie potrafimy. Czém-że jest bowiem nasze polityczne społeczeństwo, po wszystkie przeszłe wieki, jeśli nie rzeszą, związkiem, u nas pobratanych plemion, rzeczą pospolitą — w polskiém znaczeniu tego wyrazu; czém-że jest dobitniéj, jeśli nie federacyą? Nie myślimy tu wcale twierdzić, jakoby idea federacyi była polityczną dźwignią jedynie naszego narodu, lub naszego szczepu wyłącznie: owszem — wiemy dobrze, że wszystkie prawie, najbardziéj nawet skonsolidowane narody, przechodziły tę fazę politycznego bytu, jako naturalny proces szerszéj narodowéj formacyi. Lecz z drugiéj strony, nie zapominamy równie i o tém, że niéma szczepu, w któregoby łonie indywidualizmy plemienne i miejscowe posiadały tyle niezwalczonéj żywotności wewnętrznéj, ile ich posiadał szczep słowiański. Cóż jest właściwie podstawą pierwszą i nieodzownym wymagalnikiem federacyi, jeśli nie żywotność uporna plemiennych jednostek? Wiekuistość zaś trwania historycznego owéj żywotności wznosi ideę federacyi na stałą cechę słowiańskiego ducha. Cokolwiekby o tém wreszcie zkądinąd rozumiano, dla nas przecie jest rzeczą oczywistą, iż myśl federacyi była najpotężniejszym sternikiem politycznego życia naszego narodu w jego szczytniejszych wysileniach. Następnie przekonanie to, nie dość może podzielane przez ogół, staje nam tu zapobudkę do faktycznego skreślenia w głównych zarysach i samych kolei dziejowych rozwoju naszego społeczeństwa, ze stanowiska téj myśli rozważanego. Pewni zaś jesteśmy, iż skreślenie podobne, jeśli okaże się historycznie prawdziwém, musi nieodzownie przyczynić się do rozjaśnienia i téj zacienionéj strony życia przeszłości naszéj. Oczywiście, idea federacyi w swoim rozwoju ożywiała nie tylko plemiona szczero-polskie: jéj dziejowém podścieliskiem, tłem i zakresem jéj życia był cały świat północnych Słowian; dlatego też nieinaczéj, jak tylko w tak szerokim obrębie, myślimy ją śledzić; nieinaczéj, jak tylko biorąc pod rozwagę całe grono plemienne północnych Słowian i ich politycznych pobratymców.

Myśl federacyjna, którą tu cechujemy jako przeważającą, przewodniczącą, organiczną, którą uznajemy za wyraz istoty saméj i ducha naszego szczepu — jako taka, musiała nieodzownie uwydatnić się była już u kolebki pacholęcego żywota Słowian. Ztąd nie było-by nic naturalniejszego nad wymaganie właśnie okazania faktycznego jéj istnienia wśród rzesz słowiańskich, już w pierwszych po Chr. wiekach. Na wymaganie podobne jednak twierdząco odpowiedziéć wręcz nie możemy: nie koniecznie dlatego jedynie, iż nie posiadamy z owego czasu dokładniejszych wiadomości o rzeczywistym stanie naszego szczepu; lecz równie i przez to, że nawet te wyobrażenia, jakie o nim mamy, przedstawiając nam wewnętrzne siły onego *in potentia* jedynie,

zdają się wbrew przeczyć naszemu twierdzeniu. Jednakże przeczenie to jest tylko pozorném; stan szczepu naszego (aż do IX wieku niemal, to jest do pierwszego pojawienia się mniéj więcéj samoistnych plemiennych społeczności) jest takiém niemowlęctwem, gdzie jeszcze myśl, spowita w jego łonie, nie w mocy była się wypowiedzieć. Byli Słowianie wtedy o wiele młodsi i słabsi od żywiołów, które ich otaczały i gniotły; — byli bezsilni wobec światoburzców, swych panów; zanim więc mogli naturę swą w większéj pełni czynnie wyrazić, pierwéj w dziecinném uśpieniu musieli długo czekać na ulgę ciężaru, podnietę wypadków i wpływów obcych, dla własnego rozrostu i poczucia. Jak się zaś to pierwsze poczucie w politycznéj myśli wyraziło — ujrzymy późniéj; tu nie od rzeczy będzie skreślić poprzednio stan ich niemowlęctwa, z którego dokładniéj się przekonamy, iż nawet absolutna ich bierność kryła już w sobie wiele organicznych zarodów tego, co się w następstwie czasu tak wyraziło stanowczo. W charakterystyce Słowian a następnie i Lechów, trzymać się będziemy przedewszystkiém obrazowania Szajnochy.

I.

Pierwobyt Słowian. — Wpływ Turańców. — Normanowie. — Znaczenie Lachów. — Pierwsze ślady zrzeszeń. — Nacisk Franków. — Związek Morawski. — Pierwotna rzesza Piastów. — Stan północnych Słowian w X-m wieku. — Odłam zachodni. — Odłam wschodni. — Idea Chrobrego.

Pierwobyt Słowian.

Pierwotny, przedchrześciański stan Słowian spółcześni nam badacze — Slawofile, — z ułomkowych podań, wieści i wiadomości, odnoszących się do różnych czasów i miejsc, bez zaprzeczenia prześlicznie skreślili. Choć treść tę mało kto, wyjąwszy Kolara, ujął w poetyczną formę, nie mniéj przeto tchnie ona na wskróś arkadyjskim powiewem idylli, tém szczytniejszéj, o ile ważniejszych niż ta dotyka wyrażeń życia. Słuchając jéj dźwięków, niepodobna nie przenieść się wyobraźnią gdzieś w rajskie zacisze, gdzieś w złoty wiek starożytnych; tak rysy tego obrazu, jaki nam roztacza, spokojne są, miłe, ujmujące; tak nasi Słowianie błogo po za niemi wyglądają! Lecz na nieszczęście złudzenie to poetyczne nie wytrzymuje dotknięcia zdrowéj rozwagi; powietrzna budowa ulatnia się, a naga rzeczywistość przywdziewa inną postać. Otóż, co rzeczywiście możemy wiedzieć o pierwotnym stanie Słowian, zawiera się w jednym pewniku naiwnym a surowym — *Sclavus saltans*, koło

którego gruppują się wszystkie inne podania, jako waryacye na ten jeden ton smętny. Pominąwszy bowiem zewnętrzne warunki, w samém wewnętrznem usposobieniu pierwotnych Słowian leżała już pewna bierność — bezsilność ku wyższym porywom politycznego życia, tak odnaczającym w owe czasy np. Germanów. Szła ona w parze z dualistyczną ich naturą, zawierającą w najgłówniejszych swych cechach samę sprzeczność i kontrasty; w skutek czego i w socyalném ich usposobieniu uwydatniły się dwa kierunki: o ile z jednéj strony — najzupełniejszy brak zmysłu społeczeńskości i centralizacyjnego ducha, o tyle z drugiéj — namiętne zamiłowanie towarzyskości. Wszystkie inne cechy szczepu przedstawiają się nam jedynie jako prosty wynik tego usposobienia. Fizyczném następstwem onego było: rozproszenie siedlisk słowiańskich daleko od siebie po niezmiernéj przestrzeni ziemi, wśród puszcz, bagien i wód; unikanie wszelkiego gromadniejszego skupiania się koło pewnych średnic, miast lub grodów; zamiłowanie w przestronności bytu wiejskiego;— lecz oraz wbrew temu: instynktowe trzymanie się kupy, w pewnéj zakreślonéj przestrzeni, nieprzerwanym łańcuchem siedliszcz, prowadzące za sobą najpierw zamiłowanie w naturze, uzdolnienie do wyjątkowego oddania się rolnictwu, a z czasem i namiętne przywiązanie do kraju. Moralném zaś następstwem było: z jednéj strony podobneż rozproszenie myśli, mało zdolnéj ku stanowczemu a wytrwałemu postanowieniu, ku posłusznemu poddaniu się jednéj potężniejszéj myśli i woli, a następnie owa, znana po wszystkie czasy, niesforność i kłótliwość Słowian, ich zamiłowanie w prostaczéj swobodzie; z drugiéj zaś — popęd ku gwarności gromadowładnego życia, moc stosunków rodzinnych i uprzejmość dla obcych, dla gości. Niczego innego, jeno tylko téj dualistycznéj cechy, wypływem była i ta tak powszechna niewojenność Słowian, i ta znana ich odwaga indywidualna i wysoka zdolność przejmowania się duchem rycerskim. Te-to cechy właśnie, ten dualizm, co tak wyróżnia byt prywatny Słowian od publicznego, niesprowadzony jeszcze do równowagi, pomimo tylu stron w nim dodatnich, trzymał Słowian wieki całe w niemowlęctwie i zależności, nie pozwalając im skupiać się w silniejsze grona. Wiele stuleci minęło (aż do IX), nim okoliczności dały nareszcie wystąpić na widownię, spotężnionym przez przeciągłe a boleśne wychowanie, siłom ich bardziéj organicznym. A tymczasem w całym ciągu epoki wielkiéj wędrówki ludów, rozstrzelony na drobniutkie gromady, odosobniony w swych rozrzuconych siedliskach, swarliwy Słowianin nie był w stanie opierać się lada przybyszom. Kraj jego stał otworem dla wszystkich, za całą obronę służyły mu bagna i bory; ale i w tych, przy swéj nagiéj bezbronności, nie mógł skutecznie stawić czoła zbrojnym najeźdźcom: najbezkarniéj przeto najprzeróżniejsze ludy gospodarzyły w jego ziemi, ciężąc nad nim okrutném jarzmem. Tak np. Gotowie, Wandale, Longobardzi z północy, Hunni i Awarowie od wschodu, długo pierwéj gnietli Słowiańszczyznę, nim się rozsrożyli nawałnicą nad

Rzymem. Przestrzenie słowiańskie roiły się od cudzoziemczych tłumów i osad, bądź to sąsiadujących tylko z plemionami Słowian, bądź też — i to najczęściéj, panujących nad niemi. Taka zaś wiekowa niewola polityczna pod jarzmem obcém prowadziła za sobą i niewolę innego rodzaju, daleko okrutniejszą, bo niewolnictwo osobiste, szczególniéj nad Bałtykiem. Było ono nieskończenie surowszém i bardziéj rozpowszechnionóm, niż u innych ówczesnych ludów, gdy sama nazwa Słowianina stała się symbolem niewoli, wyrazy „Słowianin" i „niewolnik" synonymami; gdy, podług słusznych słów jednego z głębszych naszych badaczy (Lechicki początek Polski), cała Słowiańszczyzna pierwiastkowa miała postać ogromnéj kniei, w któréj Germanin łowcą, Słowianin był zwierzyną! — mniejsza, że nazwa Anta u Gotów była jednoznaczącą z wyobrażeniem olbrzyma, bohatera.

Wpływ Germanów.

W takim stanie rzeczy, w jakim znajdowało się Słowiaństwo pierwotne, przy bezbronności wewnątrz a jarzmie zewnętrznem, trudno było wyczekiwać jakiejś myśli politycznie twórczéj — i rzeczywiście jéj nie było. Wprawdzie stan taki nie niszczył szczepowego indywidualizmu Słowian, utrzymując w nich wszystkie pierwiastki wyższego bytu w zawiązku. Zamiłowanie bowiem w naturze i obrębie swych siedliszcz, pociąg do roli i zatrudnień wiejskich, — czyniąc Słowian mniéj drażliwymi na sławę wojenną i podboje, choć oddawały ich nieustannie w moc innorodców, udzielały im jednak i siły etnicznéj nieugiętości. Zwykle też skoro burza najazdu przeszła, Słowianin natychmiast podnosił głowę: a nawet gdy najeźdźcy trwale pozostali w jego kraju, z czasem powoli asymilował ich sobie i znów ocucał się panem swéj ziemi. Przejścia takie jednak nie przedstawiały dostatecznych środków do samodzielnego wydobycia się z bierności. W każdym razie, przy takich warunkach inicyatywę polityczną musieli wziąć z konieczności innoplemieńcy; i istotnie wszędzie pochwycili ster onéj. Nie swoi też, lecz cudzoziemcy, Germanowie, jak to niewątpliwie udowadniają poważniejsze badania historyczne, stali się inicyatorami pierwszych plemiennych, a z kolei i narodowych, politycznych społeczeństw — u wszystkich bezwarunkowo północnych Słowian i opasanéj ich splotem Litwy. Dopiéro dotknięcie się pierwiastku germańskiego, skandynawskiego, wybitniéj występującego w potoku wieków pod najprzeróżniejszemi nazwami (od Gotów do Wikingów), ożywotniło widać wyższą działalnością spowite w uśpieniu siły tych ludów. Krwawą wprawdzie być musiała nauka, ale nieodwołalną, a skutki jéj dobroczynne dawno zatarły boleśną jéj pamięć. Lecz zawsze potężna treść do urobienia spoczywała w łonie północnych Słowian, i pod zbrojną pięścią a przewagą czynnego ducha przychodniów, z łatwością przyjść mogła do swego wyrazu politycznego. Miłość ich rodzinna, rozsławiona gościnność, prostota umysłu i otwartość serca, skromność potrzeb, wytrzymałość i osobista odwaga, a nadewszystko popęd ku gromadowładztwu, nie mogły nie być zadatkiem

i rękojmią bujnego rozrostu sił ich społecznych, za lada obcą silną podnietą. Różnoimienni Normanowie właśnie wnieść mogli w łono północnych Słowian to, na czém im rzeczywiście zbywało. Przedsiębierczy duch wojowniczy, rycerskie braterstwo i uległość wybranym przewódcom, wysoce wyrobiony duch stowarzyszeń, a nadewszystko zmysł organizacyjny: te były wybitne cechy północnych przychodniów. Faktyczne krewne zespolenie dwóch tak sprzecznych natur musiało wyprowadzić i wyprowadziło istotnie północnych Słowian na widownię europejskich dziejów, w tém wystąpieniu zachowując im pewien wyjątkowy kierunek.

Wpływ Turańców.

Nie może to nikogo zastanawiać, że o wpływie uralskich, fińskich i turańskich plemion, na pierwotnych Słowian, nie mówimy tu wcale. Wpływ ten miał tylko donioslość burzy, co zawichrzy, zniszczy i przejdzie, nie pozostawiając po sobie nic organicznego. Wprawdzie był on trwalszego znaczenia dla południowych Słowian (Bółgarzy, Madiarowie), stał się z czasem duszą usłowianionego ludu krańca wschodniego Europy; lecz północnym Słowianom, z wyjątkiem zniszczeń i przemijającego jarzma, nawet po stalszém przez Uralców zajęciu płaszczyzn na ich południowéj granicy, nic nie pozostawił. Burza huńska, co wstrząsnęła posadami Germanów i ułatwiła Słowianom pierwsze swobodniejsze poruszenie się nad Baltykiem, miała tylko skutki pośrednie; dawniejsze zaś wpływy Celtów u Tatrów i zachodnich ich rozgałęzień — mniéj pewne. Wszystko tedy, co otrzymać mogli Słowianie żywotniejszego od obcych, było przeważnie darem przymusowym Germanów. Germanowie, pominąwszy już względną ich wyższość nad Uralcami, gościli po całym przestworze ziemi północnych Słowian, a gościli trwale i od niepamiętnych wieków. Dziejowe fakta dobitnie to unaoczniają. Zachodnią Słowiańszczyznę już najpierwsze historyczne po Chrystusie podania znajdują w splocie pan-germańskim (Tacyt — Maciejowski). Widoczna więc, że już wtedy istniały rozległe stosunki między dwoma szczepami, istniała nieunikniona w zrzeszeniu się wymiana wyobrażeń, zwyczajów i praw; kto zaś w tym stosunku miał przewagę? — odpowiedzieć nie trudno.

Normanowie.

Nie południowy-to, nie teutoński odłam szczepu germańskiego, jak by się zdawało, lecz północno-normański (jeśli weń wliczymy starych Sasów) przeważał widocznie w zrzeszeniu się ze Słowianami zachodu, tak jak od wieków przeważał na litewskich porzeczach Niemna i Dźwiny. Z biegiem czasu przewaga ta staje się coraz wyraźniejszą. W wielkiéj wędrówce ludów, nie teutońskie, lecz normańskie tłumy goszczą i gospodarzą u Słowian zachodnich; potęga Gotów obejmuje i wschodnich ich pobratymców. Prąd najazdów normańskich trwa bez przerwy. W połowie VI wieku zastajemy w żuławach Wisły i Odry Normanów (*Vidivarii* u Jornandesa, *Gothi* u Bogufała), a już na początku VII wieku Horwaci i Serbowie ustępują za Tatry do Pannonii (Const. Porph.);

nasze zaś podania kronikarskie odnoszą i przyjście Lecha do tej epoki. Widoczny tu związek logiczny między faktami. Istotnie do tej przedewszystkiem epoki (t. j. do połowy VI wieku) odnieść należy, zdaniem Szajnochy, wprawdzie nie pierwsze ani ostatnie, lecz bardziej tłumne przybycie drużyn skandynawskich, pod mianem Lachów, na południowe pomorze Baltyku; przybycie — zachowane w podaniach kronik naszych w obrazie przyjścia Lecha, jak posunięcie się ich dalsze za Krkonosze nad Łabę, przechowane w obrazie Czecha u naszych sąsiadów. Do tej epoki odnieść też należy i pierwszy zawiązek zrzeszenia się rozleglejszego zachodnich Słowian pod przewodem i zwierzchnictwem owych Lachów.

Znaczenie Lachów.

Niewątpliwie zrzeszenie się powyższe, to mniej to więcej sprężyste na pewnych punktach, trwało u nas aż do połowy IX wieku w ciągu trzech stuleci. (Okres legendowy Lechów, Kraków, Popielów). Mieć ono musiało nieobliczone dla północnych Słowian skutki. Poddani przemocy ruchliwych drużyn Normanów, a silniejsi od nich liczebnie, Słowianie, nie tracąc swej szczepowej indywidualności, nie mogli nie przyjąć od tych pierwszych, razem z rzeczywistą władzą przewodniczącego stanu, oraz i czynnych, organizacyjnych pierwiastków politycznych, jakie on przedstawiał. Przeciąg czterech wieków, sprowadzając faktyczny zlew Normaństwa ze Słowiaństwem, prowadził i do zespolenia się psychicznego dwóch różnych natur. Ciężko opłacali oczywiście Słowianie ten proces pierwszego politycznego wychowania, lecz ku końcowi onego dali się widzieć spotężnionymi, bogatszymi o całą dodatnią polityczną stronę życia. Ujęte bowiem w karby szerokich zrzeszeń Lachów, rozstrzelone plemiona zachodnich Słowian, zapoznać się musiały bliżej i same z sobą, a przez nabytą w ten sposób świadomość swych sił, mogły łatwiej siły te podnosić, ile razy okoliczności nakazywały wystąpienie we wzmożonej potędze. Długa uległość stosunkowo porządnemu, bez wątpienia, powiązaniu władz społeczności lechickiej, — co tak cechuje wszystkie w ogóle podbojowe drużyny Skandynawców — ozwyczaiła Słowian ze sprężystszym społecznym ładem, wdrożyła ich naturę w poczucie konieczności takiego ładu. Dziać się to mogło tem nieodzowniej, o ile wiecowość skandynawska leżała w usposobieniu gromadowładnem i samych Słowian; o ile poddawanie się przewodniczącemu stanowi, wyjątkowiej wojennemu, nakazywanem było przez burzliwe położenie wśród groźnych okoliczności. A nawet przy nieodzowności, tem łatwiejszem jeszczo to się stawało, gdy drużyny Lachów, rozrzucone najwidoczniej siecią po szerokich przestworach, już to dla mniejszości liczby, już też skutkiem usposobień własnych, szybko słowiańszczeć i wcielać się w massę uległych im plemion musiały, a przejmując się interesami onych, zatrzymywały w swych ręku jedynie zwierzchnictwo, podzielane tem nie mniej z podnoszoną ku sobie żywszą klassą tubylców. Wśród takiego składu rzeczy i pierwiastek wojenny, podniesiony przez Normanów, widomie nabrał

życia wśród zachodnich Słowian, a nadomiar tego rozwinęła się przedsiębiercza ruchliwość i w nich samych. Najwybitniejszy wyraz tego dostrzegamy tam, gdzie właśnie wpływ normański był najmocniejszym t. j. u ludów pomorskich. Co to za gorączkowa u nich przedsiębierczość lądowa i morska, handlowa i wojenna, co za rozpaczliwa energia następnie w upieraniu się przy starym swym religijnym porządku! — Obronność kraju i mieszkańców wzniosła się; dawne leśne rozproszenie ustępowało miejsca skupianiu się opól dokoła grodów warownych, życie musiało nabrać więcej raźności, stosunki się ułatwiały, widnokrąg działania rozszerzał. Nie osiedzieli się też doma i osławianione Lachy, wcześnie zajęli we wschodniéj Chrobacyi źródliska Bugu i Dniestru, a pewnie na dobre wieków kilka przed przyjściem bratnich im Waregów, dotarli do Dniepru i za Dniepr nawet (Radym i Wiatko, u Nestora).

Pierwsze ślady zrzeszeń.

Ruchawość normańskich drużyn, przy duchu ich wojenno-federacyjnym, zbliżając dalekich Słowian ku sobie, nauczyła oczywiście i tych ostatnich chwytania się, przy lada grozie, takichże środków do zabezpieczenia się własnego i ustalenia swobody, jakiemi się utrzymywało pierwéj i samo kilkowiekowe jarzmo: nauczyła ich, jednem słowem, szukać zbawienia w doraźnem zrzeszaniu się lub trwalszych federacyach. Oporem widać jednak szły te zrzeszania się. Wprawdzie wiązały się czasowie między sobą, potrzebą lub przemocą naglone, drobne rody, pokolenia; lecz na stałe federacye plemion i narodów potrzeba było silnych zewnętrznych pobudek, nie mniéj jak czasu i dojrzałości. Tém nieodzowniéj jednak sama idea federacyi spoczywała w poczuciu ludów i konieczności toczących się faktów. Pierwszy jéj wzór dali już na początku VII wieku Czesi i Chorutanie, śmiało stawiając czoło natarczywości Awarów i Franków, pod wodzem swym Samonem (około 623—641), obcym widocznie jednakże gościem. W wieku VIII, w czasach najścia Franków, niezawodnie i na naszym zachodzie musiały już istnieć szersze, powstałe z liczniejszego zespolenia odosobnionych zwykle żup, rzesze, mniéj więcéj z sobą obeznane i porozumiewające się. Są ślady, iż one czasami wyjątkowiéj się między sobą wiązały, jak: Lutycy i Czesi, Bodrycze, Syrbi i Polanie. Lecz w obec tego nie brak było i drobnych plemion, osobliwie między średnim biegiem Elby i Odry, nie zrzeszonych w ściślejsze gruppy.

Nacisk Franków.

Gdy nowopowstający koło IX wieku stan rzeczy na Zachodzie wzniósł ukuty przez Franków kolos Teutonizmu, groźny podwójną, czerpniętą z Rzymu ideą — Chrystusa i Cezara — duchownego i świeckiego wszechwładztwa, Słowianie, postawieni w obec niego twarzą w twarz, nagle się budzą i naraz występują ze znaczącą siłą oporu. Franko-chrześciański Teutonizm zastał na wschodniéj swéj granicy, w zdwojonym ku sobie antagonizmie normano-słowiańskim, zapory za silne do natychmiastowego zwalczenia. Połabskie plemiona pierwsze poczuły grozę

(780, 789); najpierw też, dla zapobieżenia jéj skutkom, doraźnie chwyciły się gruppami wzajem za ręce do stanowczego odporu, i potęga Karola Wielkiego spotkała po za Sasami na Łabie, mimo antagonizmu plemion, łańcuch graniczny, mniéj łatwy do przerwania. Lecz zbrojna przemoc, koniec końcem, z biegiem czasu wzięła gorę: Obotryci, Lutycy (789) i Syrbi (806) poddali się Frankom; następnie uległy temuż losowi Czechy i bliższa Chrobacya. Uległość polityczna prowadziła za sobą i mus uległości duchownéj, mus przyjmowania urzędowéj Zachodu religii (kościół nitrański 836); obosieczny bowiem miecz Niemców giął słowiańskie karki pod dwa jarzma zarazem.

Związek Morawski. Germanizm nacierał stanowczo, lecz zwiększona potęga naporu wywoływała coraz silniejszą moc odporną. Zaraz po śmierci Karola Wielkiego, poczęli Słowianie zrzucać z siebie jarzmo Franków; a niebawem — w drugiéj połowie IX w. — tam, gdzie duch słowiański, wolniejszy już może od postronnych wpływów, silniéj był wyrobionym, objawiła się myśl tęższéj szczepowéj oppozycyi, na drodze politycznego zrzeszania plemion. W krainach Wielkiéj Chrobacyi, po obu stronach stoków tatrzańskich, od Lasu Czeskiego do Bugu, powstał związek wielko-morawski (Mojmir około 830—46, Rościsław 846—870). Sterowany potężną dłonią Świętopełka (870—894), obejmował on swym splotem: oprócz Morawian, ludy Rakus (Aribo gr. Niem.) i Błatna pannońskiego (Kocel 880), Syrby i Czechy (Borzywoj 894), Szlązk i pewnie całą Chrobacyą (Wyszewit u Wiślan). Związek ten przedstawiał w sobie pierwiastki organiczne, wróżące pomyślnie pierwszemu zarodowi prawdziwie słowiańskiéj potęgi. Geograficzną onego podstawą — długi łańcuch Tatrów, tego przytuliska wszystkich Słowian; religijną i cywilizacyjną spójnią — krzewiący się pod tę porę właśnie chrystyanizm, unarodowiony obrządkiem (Metody 862—885). Co więcéj, pod naciskiem natarczywości ze strony cesarstwa Niemieckiego, związek, wsparty o Tatry, jednèm ramieniem mógł sięgać ludów pomorskich Baltyku, mniéj niechętnych chrystyanizmowi niż podającym go Niemcom, drugièm zaś — Chorutanów a nawet przymorskich Horwatów; zagrożony, mógł swobodnie, opierając się o szeroce rozsiadłe po dolnym Dunaju usłowianionych Bółgarów państwo, wiązać się dla przeciwwagi z dworem byzantyńskim. Spoczywała w nim jednak rzeczywista siła, na nieszczęście, tak długo tylko, dopóki była uosobiona w sterniku: idea jeszcze nie wcieliła się była w massy zrzeszonych plemion. Zatrwożeni przecie nią Niemcy, postanowili ją w kolebce zniszczyć: wewnątrz prześladując zacięcie obrządek słowiański (po 885 i 899 r.), zewnątrz — zwabiając (892) do współki Madiarów, co pędzeni ze stepów chazarskich przez Pieczyngów, a powołani przez cesarza Leona (888) przeciw Bółgarom, przeszli byli Karpaty i zajęli Siedmiogród. Chociaż jednak zjednoczone ich usiłowania, przy pomocy znanéj niesforności samych Słowian, rozprzę-

gły związek morawski (Mojmir 894—907); chociaż Madiarowie włomem swym na płaszczyzny (bółgarskie lub morawskie dotąd) Cissawy i Dunaju, na wieki całe przecięli możliwość ściślejszego spolenia się połnocnych Słowian z południowymi, a Niemcy parli pierwszych coraz to natarczywiéj: pomimo to, sama idea szerszéj federacyi przetrwała burzę. Parcie Teutonów ku wschodowi wywołało nowy odpór; cała zachodnia Słowiańszczyzna poruszyła się w zapędzie walki. Pierwsze zapasy jednak były ciężkie i nie wiele rokujące, gdy idea gromadnéj federacyi z trudem wyrabiała się wśród przeciwności. Czesi, co jako przyrodzeni dziedzice Morawy, pierwsi rzucili się w jéj ślady, nawet po upornéj walce Bolesława Okrutnego (935—967) z Ottonem I, nie zdolni byli stanowczo oprzéć się wdzierstwu cesarstwa i łaciny. Lecz wzmocnieni wewnątrz energiczną polityką Bolesława, a ubezpieczeni od Madiarów, porażką onych stanowczą (955 nad Lechem), szukali Czesi pomnożenia sił swych w związkowém zwierzchnictwie, — zajmując za Bolesława II Pobożnego (967—997) Szlązk i całą Chrobacyą po obu stronach Tatrów, z wyjątkiem Czerwieńska, wydartego Lachom (984, 993) przez Russów, zdobywając (od 973) dla ziem tych osobne biskupstwo w Pradze. Tak świetnie rozwijająca się potęga Czechów prysła jednak niebawem wobec nowéj siły.

Rzesza Piastów.

Jednocześnie prawie z wystąpieniem związku morawskiego, na porzeczu Warty, u wybrzeży Gopła — morza polskiego, co wtedy bezpośrednio łączyło wody Warty z Wiślańskiemi, stanowiąc średnicę wielkiego żeglownego gościńca, w portowym grodzie Kruszwicy, wybuchnął przewrót polityczny, co zadawszy tam cios dominującéj rzeszy Lachów, stał się zarodem nowéj, bardziéj rodziméj federacyi plemion. Hasło do obalenia władzy lechickich *księdzów*, w osobie mytycznego Popiela, z zachowaniem jednak głęboko wkorzenionych a ustalonych wiekami społecznych i politycznych porządków samych Lachów, dali w połowie IX wieku (880) Polanie z Kujawami, wynosząc na miejsce tych *księdzów* kmiecy ród Piasta. Sąsiednie plemiona, Łęczanie i Mazowszanie, chętnie zrzeszyły się pod nową chorągwią; i powstający w taki sposób związek plemion, wcale nie tracących w nim swéj odrębności nadal, przybrał u sąsiadów imię polskiego. Lecz i ta nowa rzesza, jak i czeska, silniejsza od niéj, nie zdołała w pierwszéj chwili skutecznie stawić czoła niemieckiéj przemocy: Mieczysław musiał przyznać zwierzchnictwo Ottona (r. 963) za czém wślad poszło i przyjęcie łaciny (965). Ten sam los spotkał i resztę ludów zachodniéj Słowiańszczyzny. Słabsze, mniéj silnie zrzeszone między sobą, plemiona nadbaltyckie: Obotryci, Lutycy, Pomorzanie, a z nimi i Syrbi połabscy, w nieustannych swarach między sobą, równie nie uszli przemocy Niemców. Poddaństwo, danniczość lub hołd stały się ich udziałem, margrafy i biskupy — ich zwierzchnikami; a jeśli uchylały się niektóre z nich zręcznie od urzędowéj wiary cesarstwa, musiały wszystkie przecie przyznawać świecką

zwierzchność onego. Ożywione po wszystkie wieki duchem samoistności, drobne te plemiona Słowian, łatwe do wzajemnych niechęci, przy stałej polityce Niemców: podszczuwania jednych na drugich, łatwiej znoszą obce uroszczenia, niż swojskie rzeczywiste zwierzchnictwo. W taki sposób, pomimo oznak wyższego życia i dzielniejszych wysileń, cała zachodnia Słowiańszczyzna znalazła się pod koniec X wieku w szponach Cesarstwa. Przewaga Niemców tem była pewniejszą, o ile oni stawali się jedynymi pośrednikami między Słowianami a ogniskiem ówczesnej oświaty zachodniej — Rzymem; osobliwie od czasu, gdy po włomie Madiarów do Pannonii, znikła możność bezpośredniejszego stosunku z Carogrodem, a z upadkiem rzeszy morawskiej i sam obrzadek cerkiewny u Tatrów zaginął.

Stan północnych Słowian w X wieku.

U schyłku X stulecia tedy, po czterowiekowem gospodarowaniu Skandynawów, po dwóch wiekach wdzierstw Teutonizmu, znów staje nam przed oczyma *Sclavus saltans* podobnie jak i na schyłku stulecia V-go. Ale jakże rożnym jest przecie jeden od drugiego! Półtysiączno-letnia dola znacznie go odmieniła.

Odłam zachodni.

Otóż, co do zachodniej połowy północnych Słowian, wprawdzie widzimy ich wszystkich pod przemocą żywiołu germańskiego, pod czarodziejskim urokiem uchrześcianionego upiora, starego Rzymu — w poddańczej, danniczej, hołdownej, bezpośredniej lub pośredniej zawisłości od rzymsko-niemieckiego cesarstwa chrześciańskiego; ale nie jest to już więcej owo bezsilne, rezygnacyjne uginanie się pod jarzmo dla bierności ducha. Wszędzie przewaga zdobyta przemocą, po zaciętej walce, i trzyma się tylko tak długo, póki sama przemoc trwa. Wjarzmione chrześciaństwo dziecięciu w kołysce wpaja: jeden Bóg, jeden papież, jeden cesarz, jeden mus uległości; chrześciaństwo— to jeden bratni związek, a zwierzchnikiem jego politycznym cesarz Rzymski. Są pobożni, co temu wierzą, straciwszy z oczu zdeptany wcześnie obrządek unarodowiony, są knezy i lachy, którym wiara ta i uległość przynosi pożytek: lecz w ogóle — albo wzgarda pogańska, albo usilność wyzyskiwania nowego stanu rzeczy na korzyść wyższą, rodzimą. Słowiańszczyzna nie jest już więcej owym rozproszonym po puszczach tłumem drobnych pokoleń, niczem z sobą nie spojonych; przeciwnie, widzimy teraz w niej, w mniejszym lub większym stopniu, monarchicznie lub republikańsko zrzeszone gruppy plemion i narodków, co przez nawyknienie trwalej trzymały się wzajem. Od Bałtyku — Bodrycze, Lutycy i Pomorzanie: od Tatrów — Czesi, Morawce i Szlęzanie, a po obu stronach gór — Wielcy Chrobaci: między temi zaś pasmami liczne rzesze Syrbów połabskich i Polanie w związku z Łęczanami i Mazurami. Nie ma między nimi jeszcze jednej ogólnej myśli federacyjnej, coby objęła swym splotem wszystkich ich zarazem: ale nie brak popędu ku zrzeszaniu się, zespalaniu bliższych pokoleń w gruppy plemienne; widać popęd ku skupianiu się narodowemu nawet. Waśnie drobne sąsiedz-

kie, domowe, przybierają rozmiar współzawodnictwa plemion w przewodniczeniu ogółowi; nie brak też i poczucia swej rodowości w obliczu cudzoziemców. Plemiona konsolidują się na swym odpowiednim gruncie, słowiaństwo wszędzie bierze górę wśród mieszanych żywiołów nawet u Lutyków. Szlachta, rodowość możnowładcza — obca, usłowiańszczona, nie stroni od gminnych rad i wieców. Obronność grodowa krain — spotężniona, ziemie — najeżone grodami. Niewola i niewolnictwo, przy nieustannych łowach wojennych, trwa bez przerwy; lecz zwolna wzmagająca się myśl chrześciańska stopniowo je łagodzi, a wznoszące się potrzeby rolnictwa zaczynają mu nadawać wagę gospodarczą i społeczną nawet. Zabór niemiecki jeszcze nie groźny dla szczepu; chodzi mu o idealne przyznanie zwierzchności cesarstwa i Kościoła, o wypłatę danin i dziesięcin; wynarodowiania zaś nawet i myśl nie postała; Niemcy same są rzeszą przeróżnych teutońskich narodów, a cywilizacya, wszystkim obca — łacińską, na samorząd gminny nawet grafowie nie mają powodu nastawać. Groza germanizmu leży w wynikach, w przyszłości, nie zaś w obecnym, jakkolwiek dokuczliwym, stanie rzeczy. Pęta niemieckie miały w sobie nawet coś dobroczynnego, nagląc zachodnich Słowian do większéj łączności i energiczniejszego przeciwdziałania, dając im zarazem poznać i tajemnicę swych sił. Jednem słowem, było w łonie zachodnich plemion coś organicznego, co potrzebowało tylko być ujętem w dłoń potężną, i opromienionem prostotą genialnéj myśli, by utworzyć z nich prawdziwą słowiańską rzeszę, prawdziwą potęgę.

Odłam wschodni.

Rzućmy teraz okiem na ich wschodnich współbraci. Pierwotne ich dzieje, koleje ich rozsiedlenia się jeszcze mniéj są znane, niż zachodnich. Musiało tam jednak również zajść wiele przewrotów przedhistorycznych; musiały i wschodnie plemiona wychylić pełną czarę powszechnéj Słowian niedoli. Od południa, stepy ku Czarnemu morzu były otwartem korytem uralskim ludom w ich wylewach na Europę: przetrwały ztąd i w pamięci dziejów ich ciemięztwa Awarów, Chazarów. Od północy z nadbaltyckich krain Litwy i Czudów szły nieustanne wyprawy Skandynawów; przed najściem Hunnów gospodarzyli tu szeroce Goci, zapędzili się i Lachy aż ku Oce (Wiatycze); następnie Dniepr stał się gościńcem ruchomym wszelkich wypraw normańskich drużyn — Waregów — do Byzancyum. Jednem słowem, nie lepsza dola tutejszych plemion od zachodnich. Równie silna przemoc i wpływ obcy, skandynawski przedewszystkiem — widoczny; samodzielności słowiańskiéj nieznać — natomiast rozproszenie i bierność, zdobywające się jedynie na byt plemienny. Lecz na początku IX wieku występują już plemiona odrębnie wyrobione (Nestor). Na południu: w sąsiedztwie Wiślan i Chrobatów Białych, Bużanie i Chrobaci Czerwieni, zostający przed wieki pod znacznym wpływem celtyckim; daléj na wschód: Dulebi (Wełynianie); z biegiem Dniestru Tywerce i Uglicze (Tyragety, Anty); a nad Dnieprem, później snadź z nad Dunaju może przybyli,

Polanie. Środkowe graniczne pasmo borów poleskich zajęte było przez Dregowiczów i Drewlan, zbliżonych do południowych plemion; a za Dnieprem przez Siewierzan północnym bliższych jak temu i dziś jeszcze wyraźne nawet cechy lingwistyczne przyświadczają. Północny zaś odłam stanowili właściwie Krywicze, po szerokim przestworze rozsiedli i oddawna widocznie podlegli litewsko-skandynawskim wpływom, a oprócz nich dwa rody lechickie, Radymicze i Wiatycze—między Goladzią; wreszcie przybyli z południa, jak można wnosić z ich języka, Słowianie Nowogrodu między Karełą, zostający w pewnéj zwierzchniczéj federacyi z sąsiednimi Czudami. Plemiona te już posiadają swe grody; w połowie IX w. południowo-wschodnie cztery ludy płacą dań Chazarom, grody północne, Nowogród, Połock — ulegają Waregom, a drużyny ich niebawem opanowują i Kijów. Ród normański Ruryka-Russa, pod koniec IX w. ustaliwszy się w Kijowie, podbija pod swą władzę wszystkie wschodnie plemiona Słowian północnych i napiera na Czudów, a powstrzymany w zapędach swych nad Dunajem, w X w. statkuje się w podbojach, słowianieje i zmierza ku utworzeniu narodowéj rzeszy — państwa. Spójnię rzeszy téj pierwiastkowie stanowi militarna federacyjność drużyn skandynawskich, w skutek któréj plemiona pojedyncze i większe grody, nie tracąc swéj względnéj autonomii, (czy to bezpośrednio — płacąc jedynie dań, czy pośrednio — ulegając władzy jakiego konunga z ruskiéj drużyny), zostają pod zwierzchnictwem ogólném przemożniejszego rodu Ruryka w Kijowie. Dopiéro przyjęcie chrztu w obrządku słowiańskim staje się pewniejszą rękojmią samodzielnéj kultury powszechnéj i politycznéj organizacyi. Ziarna siewu Włodzimierzowego nie mogły przeminąć bezowocnie: już po upływie półtora wieku umieli Russowie oswoić wschodnie plemiona z myślą jedności ruskiéj; a chociaż tylko ziemia Polan Kijowska zwała się właściwie ruską—R u s i ą, wszakże od sąsiadów, cała rzesza ziem podległych Russom, spojonych świeżo jednym a odrębnym religijnym obrządkiem, przybierała ich miano. Tymczasem od zachodu wznosiła się wyższa idea, któréj przemijającą natarczywość należało jeszcze wytrzymać, dla zabezpieczenia dalszego samoistnego rozwoju, bo ideą tą była, stanowcza na wieki, Bolesławowska myśl zespolenia wszystkich północnych Słowian w jednę imponującą rzeszę.

Idea Chrobrego.

Idea samoistnéj słowiańskiéj federacyi, stopień po stopniu potęgując się w czasie, od zrzeszania się krewnych pokoleń w plemiona, do związków bliższych sobie plemion u świtu XI wieku, przyszła do swego najrozleglejszego wyrazu w zamysłach Bolesława Chrobrego. W ciągu pięciu stuleci same fakta i dominujące okoliczności niosły na swych barkach ideę tę coraz konieczniéj: widzieliśmy też u Tatrów szczytniejsze usiłowania odpowiednio wymaganiom czasu; wiek X zgromadził nowe potrzeby, postawił nowe wymagania — i te znalazły swe uznanie

najgłębsze nad Wartą. Przejęty wielowładnem poczuciem zadań bieżącego czasu, wspierany tokiem i składem okoliczności, Bolesław powziął myśl: nie tylko wyswobodzenia zachodnich Słowian z pod przemocy teutońskiej, lecz zarazem wzniesienia, w obliczu kolosu Cesarstwa Niemieckiego, równie silnej budowy politycznej, przez zrzeszenie wszystkich północnych Słowian. Jakie wszelka podobna myśl — olbrzymia lecz przedwczesna — mogła mieć skutki, było łatwem do przewidzenia, więc przewidywał to przed zgonem i sam Bolesław; widziano wreszcie już w gruzach budowę Karola W. Lecz obudwóch usiłowania były faktem, który chociaż nie stał się rękojmią zupełnego urzeczywistnienia powziętej przez swych twórców myśli, nie mniej przeto zostawił po sobie — jako wyraz potężnej idei — trwałe i stanowcze skutki w zwichniętym nawet dalszym jej rozwoju. Nawet co do samej idei federacyi — ta, rozważana wobec osobistego charakteru Bolesława, nie była jego wyłącznie przewodniczącą myślą; przeciwnie—widać w nim zapęd ściślej autokratyczny. Ale w gruncie rzeczy spoczywała ona jako jedyna możliwość ówczesnego usposobienia, stanu i okoliczności; faktycznie, niczém innem być nie mogła jeno ideą szerokiej federacyi plemion, i kto wie czy znani jego doradcy w liczbie dwunastu nie byli starostami zrzeszonych plemion. Upatrywanie wszelkiej innej myśli, nacechowanej piętnem centralizacyi, solidarności, nawet gdziekolwiek bądź w łonie młodocianych ówczesnych społeczeństw, byłoby próżnym anachronizmem. Otóż idea, podniesiona przez Bolesława była ideą federacyi. Jako dannik cesarski, otrzymuje on, (po wypędzeniu młodszych braci), po ojcu (992) jedynie zrzeszone ludy Polan z Kujawami, Łęczan i Mazowszan: lecz niebawem (994) zmusza do uległości Pomorze (999); wyzuwa Czechów z praw zwierzchnictwa nad całą Chrobracyą Białą, Szlązkiem i Morawą, — i jako pan tak możny 1000 r. w Gnieźnie przez Ottona III za niezawisłego króla uznanym zostaje; a otrzymując odeń zarazem i potwierdzenie Arcybiskupstwa Gnieźnieńskiego z trzema biskupstwami (w Kołobrzegu, Wrocławiu i Krakowie), wznosi zarazem podstawę potężnej jedności hierarchicznej zespolonych przez siebie ziem i ludów.

Odtąd zamysły Bolesława przybierają coraz szersze rozmiary: zamierza on poddać swemu zwierzchnictwu i wyjarzmić z rąk Niemców całą zachodnią Słowiańszczyznę. W 1002 r. rzuca się po za Nissę ku Syrbom; wydziera Niemcom utworzone przez nich w Łużycach margrabstwo wschodnie i usiłuje utrzymać za sobą morgrabstwo Miśnii; a nadomiar tego 1003 r. opanowuje Czechy. Tu, w Pradze, podług podania, zamyśla ustalić stolicę swego państwa, mającego w jego widokach objąć sobą obustronne stoki Tatrów, a opierać się mocno o kotlinę wierzchowisk Elby, najeżoną zewsząd górami, jako o środkowe ognisko. Wybór ważny zkądinąd, i dla wyższej ówcześnie chrześciańskiej Czech kultury, jak niemniej i dla niedawnego ich,

w dziedzictwie po Morawie, nad Chrobatami przewodnictwa. Przeznaczenie dziejowe, na nieszczęście może, inny wypadkom obrót dało: zanadto groźnem stawało się to dla Cesarstwa. Chociaż 1004 r. został Bolesław z Pragi jak i z Buduszyna wypartym, jednak (1007) znów zdobywa Łużyce, znów (1009) usiłuje podchwycić Mysznę, a omylony w zamachach (1012), odbiera Niemcom Lubusz i podburza na nich Słowian winulskich. Usiłując w taki sposob, i w nieustannych późniejszych zapasach z Niemcami, wyjarzmić Słowiańszczyznę zachodnią, o ile mu siła, polityka i współczucie na to pozwalały, nie spuszczał z oczu i wschodnich jej krain; myślą widoczną jego było: wznieść polityczną budowę, coby ogarniała wszystkich północnych Słowian. Już w roku objęcia swéj władzy (992), być może o Grody Czerwieńskie, prowadzi spór z Russami. Dla tém skuteczniejszego ich osłabienia i zbliżenia podległych im ludów ku sobie, sieje niezgodę dynastyczną, wydawszy swą córkę za Świętopełka, dziedzica rodowéj zemsty na Włodzimierzu; a (1010) z córką w missyi politycznéj i propagacyjnéj wysławszy Biskupa Kołobrzegu, mści się (1013) za ich uwięzienie; następnie otrzymawszy odmowę Przecławy, podburza Pieczyngów; nakoniec ujmuje się za wygnanym z księztwa zięciem i zdobywa Kijów (1018). Teraz, u szczytu swojéj potęgi, przemożny Bolesław, rzeczywisty na chwilę zwierzchnik Słowiańszczyzny od Łaby do Dniepru, w upojeniu nadziei i dumy obsyła Cesarzy — Zachodu i Wschodu, zaręcza im przyjaźń, szle groźbę i, rzekłbyś, wierzy w trwałość swéj budowy. Lecz wszystko napróżno: jak w Pradze, tak i w Kijowie zanadto już była wyrobiona samodzielność, by się poddać przymuszonemu zwierzchnictwu, i r. 1019 Bolesław musiał Kijów opuścić, pod bezpośrednią władzę zajmując tylko Chrobracyą Czerwoną. Wśród tylu zapasów i genialnych wysileń, zawód swój historyczny, wysoce organiczną myślą natchniony, uwieńczył nareszcie 1024 r. uroczystą koronacyą.

Budowa Bolesławowska natychmiast runęła po jego śmierci, lecz sam fakt jéj doraźnego istnienia nie przeminął bez ważnych następstw: idea w nim uosobiona podaniem i sławą, jak ziarno rzucone w grunt niepłonny, wcieliła się w naród polski. Bolesław był pierwszym, co dał się poznać zachodnim i wschodnim Słowianom wzajem, nie na czerwieńskiem pograniczu tylko: on zetknął z sobą dwie massy — Lechicką i Ruską, od niedawna zaczynające kroczyć w dwóch przeciwnych kierunkach jednego chrześciańskiego uspołecznienia; zmusił dwie słowiańskie cywilizacye do zmierzenia swych sił już w kolebce, zostawiając przyszłości rozstrzygnięcie problematu hegemonii. Wśród zachodnich plemion rzucił podstawy samodzielnego rozwoju *per excellentiam* lechickiéj, polskiéj narodowości, która, chociaż nie objęła splotem swéj rzeszy wszystkich lechickich plemion, stała się przecież przedmurzem i przybytkiem słowiaństwa, on ją bowiem wyjarzmił z pod przemocy germanizmu i dał jéj trwałą rękojmię swobody. Skutki jego działalności miały nieobliczoną wagę na przyszłość; co

było bolesławowskiem, choć w czasowem zrzeszeniu, posiada i dziś mniéj więcéj pewną rękojmię swéj słowiańskości nadal. Potężniejsi z jego następców podejmowali myśl Chrobrego od czasu do czasu; moralna spójnia trwała bez przerwy w dal dziejów: i dziś, jeśli nie lingwistyczna, to etniczna granica, napewno idzie na zachód i południe po linii politycznéj bolesławowskich krańców; za dolną Odrą i grzbietem Rudaw nie szukać nam więcéj słowiańskiego ducha! Okoliczności, polityka musu oraz plemienna niechęć nie dozwoliły mu wyrwać z Niemców przemocy zrzeszonych w drobne gruppy plemion między Odrą i Żóławą, — i ztąd-to może Syrbi, pokolenia winulskie po Hawoli i Sprowie, Lutycy i Obotryci smutną pamięć tylko po sobie zostawili: są to dziś w Słowiańszczyznie staréj krainy umarłych. Jedni Czesi, opancerzeni grzbietami swych gór, pomimo stałéj uległości Niemcom, to swarnie, to zgodnie dzieląc z Polakami dziejowe zadanie Lechitów, żyją dla przyszłości. W ogóle przeto, wątpić wypada, czy znajdzie się kto, coby w przemijającém zjawisku postaci Bolesława na tle dziejów, mógł tylko widzieć równie przemijające skutki wzniesionéj przezeń idei; dotknął Bolesława los wspólny wszystkim geniuszom, lecz nasiona przezeń rzucone nie zamarły. — Zwracamy wszakże uwagę, iż to nie była myśl ukucia jakiegoś solidarnego państwa, pomimo całego kolorytu, w jakim nam zwykle działalność Bolesława przedstawiano, ani myśl zespolenia jedynie tylko polskich etnicznych pierwiastków; lecz idea szerokiego zrzeszenia słowiańskich plemion, dla utworzenia odpowiedniego ich naturze organicznego zastępu, mogącego stawić czoło zastępom innorodców. Że rzesza Bolesławowska nie była solidarném państwem, a tém mniéj jakąś społecznością narodową, o tém zdaje się dziś niéma potrzeby i wspominać. Oprócz wspólnych może podań lechickich, każdy znaczniejszy odłam tej rzeszy wnosił inną swą przeszłość. Nie mówimy o tych plemionach, które nigdy nie stały się polskiemi; ale i z tych ostatnich nawet: Chrobaci mieli inną od Polan tradycyą (Krak); Pomorzanie w wiecznym ku nim antagonizmie; Mazury niebawem w burzy społecznéj okazują, o ile są przejęci solidarnością z Pomorzanami; a co więcéj, Łęczanie i Kujawy nawet, ze swą Kruszwicą wzburzoną 1096, idą i nadal swą drogą; Szlązk dopiero późniéj administracyjnie powstaje; wreszcie wszystkie tę plemiona jawnie dowodzą, że rzesza ich — to nie solidarne państwo, nie naród jeszcze, skoro się tak łatwo rozprzęga, przy osłabieniu zewnętrznéj siły spójni w czasie następnéj rewolucyi (1037—42). — Usiłowania Chrobrego przemknęły w swym czasie błyskawicą po północnéj Słowiańszczyznie; zetknięte przezeń na chwilę, zachodnia i wschodnia onéj połowy, poszły nadal każda swoją, własnéj dziejowéj kultury, drogą, dopóki się znów u schyłku XIV wieku bardziéj stanowczo nie zbliżyły, wplatając w łańcuch swych dziejów i losy plemion litewskich. Wypada nam tu więc postępować daléj za wskazówkami czasu i ognisk gruppowego życia, poczynając od

plemion lechickich, a wśród nich od Polszczy ([1]) — gdzie myśl Chrobrego trwaléj się wcieliła.

II.

Rzesza Piastów od śmierci Chrobrego. — Polszcza w podziałach. — Zgubne ich następstwa. — Przewaga Czech. — Łokietek; Odrodzenie. — Kazimierz Wielki.— Przewodnictwo Małopolan.

Rzesza Piastów.

Przy politycznych usposobieniach ówczesnych Słowian, trwałość budowy zależała od osób i pomyślności wojennéj. Faktycznie dotknął usiłowania Bolesława ten sam pośmiertny los, co dawniéj morawskiego Świętopełka. Już przy synach jego (Mieczysławie i Bezbraimie) ukorzyła się Polszcza Cesarstwu, a ze zrzeszonych przezeń krain — przeszły Łużyce pod zwierzchnictwo Niemców, Morawa — Czechów, Czerwień — Rusinów, a zakarpacka Ruzya, Słowaczyzna, przez Bezbraima dostała się w ręce Węgrów z czasem. Łańcuch Tatrów, niegdyś węzeł ludów (Chrobacya, Wielka Morawa), staje się ostatecznie naturalną granicą od południa: za Tatrami rozwija się samoistne Czech życie, do Tatrów docierają stanowczo Węgrzy. Po śmierci zaś Mieczysława II i reszta rzeszy polskiéj, rzucona na pastwę srogiéj polityczno-społecznéj rewolucyi i zniszczeń sąsiadów (1034 — 37), runęła, rozpadła się na swe składowe części. W domu zawrzeli gmino-pogańską swobodą Mazowszanie, a wśród lechickich plemion w ogóle, w osobie Brzetysława wzięli górę Czesi, — ci też występują odtąd jako stali współzawodnicy Polaków w walce o hegomonią. Brzetysław II (1037 — 1055) właśnie umyślił z gruzów budowy Chrobrego wznieść i wydźwignąć niezależną słowiańską rzeszę, pod przewodem Czech; okoliczności temu zdawały się sprzyjać wybornie, lecz usiłowania wszystkie musiały rozbić się o opór Cesarstwa, jak i odpór samej Polszczy. Widocznie, dosyć już był w niéj wyrobionym pewny zasób ducha narodowego, gdy wśród burz społecznych i współzawodnictwa sąsiadów, udało się wnukowi Chrobrego zespolić znów pod swą władzą (1040 — 1058) Polszczan, Chrobatów i Mazowszan i odebrać od Czechów Szlązk; gdy Bolesław Śmiały (1070) mógł niebawem wstąpić w tor Chrobrego i mierzyć znów ku przewodnictwu w całéj

([1]) Starego wyrazu *Polszcza* używamy tu raz na oznaczenie starożytnéj dziedziny Piastów względnie do Polski (éj) Rzeczypospolitéj, obejmującéj już Litwę i Ruś; a następnie, na oznaczenie szczero-polskiéj dzielnicy Rzeczypospolitéj wobec téjże Litwy i Rusi, gdy wyrazy Wielka i Mała Polska mają rozleglejsze znaczenie.

północnéj Słowiańszczyznie. Z drugiéj strony jednak widoczném jest i to również, iż stanowcza siła spoczywała jeszcze wtedy nie w wewnętrznym organizmie rozwijających się narodowych społeczeństw, w podniesioném ich uczuciu narodowości, lecz przeważnie w przypadkowém jedynowładztwie dzielniejszych charakterów. W tém długo jeszcze kryje się cała tajemnica politycznych przewrotów: to gwałtownego wznoszenia się energiczniejszych plemion aż do hegemonii, to raptownego ich spadania na stopień podrzędny. Czemu nie możemy zaprzeczyć, to istnieniu dostatecznéj już siły zachowawczéj kształtujących się narodów, co nie dozwala wziąć jednemu z nich na trwalszy przeciąg czasu steru przewodnictwa, co niszczy wszelkie usiłowania ku powszechniejszemu zrzeszeniu się. Nie mówimy o wschodniéj połowie, gdzie było swoje, ruskie uspołecznienie; ale nawet wśród lechickich plemion, (gdzie, z wyjątkiem nadmorskich pogan, wśród których, po osłabionych bratobójczą walką Lutykach 1050, wzięli teraz ster, wzmocnieni przez rewolucyą sąsiadów, Pomorzanie) kultura była jedną. Otóż, przedewszystkiém osobistość Bolesława II wyniosła Polszczę znów na szczyt powszechnego przewodnictwa: prowadzi on nieustanny spór z Czechami, trzyma na wodzy Pomorzan i Prusów, rozrządza węgierskim tronem podług swej woli, po śmierci Jarosława osadza kniazia w Kijowie (1068) i gospodaruje na Rusi — Czerwieńsku, a pomiatając uroszczeniami Cesarstwa, nareszcie 1077 sam się koronuje. Lecz skoro tylko ustąpił z kraju, natychmiast Polszcza znów zestępuje na stopień podrzędności, Czesi znów biorą górę: Wratysław II, z upoważnienia Henryka IV, koronuje się na króla Czech i Polszczy 1086 r., a Brzetysław II zmusza Władysława Hermana 1093 r. do dani ze Szlązka. W walkach zaś domowych, wśród waśni społecznych, okazuje się po dawnemu antagonizm plemienny, występujący drażliwiéj we wzajemnych zapasach Władysławowiczów między staremi plemionami dzielnicy Zbigniewa, jak Polanie, Łęczanie i Mazury, a późniéj zrzeszonemi ludami Bolesława, jak Szlązacy, Chrobaci i Wiślanie. Wydźwignął rzeszę polską jeszcze raz na stanowisko przewodniczące ostatni Piast jedynowładzca — Krzywousty (1102 — 1139). Obala on przewagę Czechów; depcze uroszczenia Cesarstwa, uznając zwierzchnictwo onego o tyle, o ile mu to potrzebnem było do wpływu na dalszych zachodnich Słowian; staje groźnie wobec Węgier i Rusi; a nakoniec, wysiloną walką całego życia, przywodzi do karności i chrztu niesfornych, spotężnionych ciągłym antagonizmem z Lechitami polskimi, ostatnich zapaśników gminy i pogaństwa — Pomorzan, (1120) za nimi zaś osłabionych Lutyków i Rugów (1121); zadaje, jedném słowem, stanowczy cios ostatniemu przytulisku starego Słowian obyczaju. Tymczasem za Górami Olbrzymiemi — w Czechach, wpływ niemiecki obala stanowczo posady starosłowiańskich instytucyj; kraj szybkiemi kroki poddaje się germanizacyi. Od 1126 r. Czechy integralniéj wchodzą w obręb Cesarstwa Niemieckiego, gdy pan ich, Sobiesław, jako Cze-

śnik, zostaje dziedzicznie książęciem rzeszy, z prawem wyboru Cesarzy: ztąd i wewnątrz wszystko się na wzór niemiecki przetwarza. Jeszcze pod Władysławem II (1140—73) przyozdobionym 1158 r. tytułem królewskim, jedność i potęga kraju na zewnątrz dość znaczne; lecz wkrótce po jego śmierci waśnie książąt, żywione podstępnie przez Cesarzy (Fryderyka I i Henryka VI), doprowadzają kraj do ostatniéj zguby, z któréj go wydźwignął zaledwie Przemysław Ottokar I (1197 — 1230).

Pod koniec pierwszej połowy XII wieku rzesza piastowska objawia już wybitnie cechy odrębnéj narodowości. Bliżéj pokrewne a sąsiednie sobie plemiona: Polan, Łęczan, Kujawian, Mazowszan, Chrobatów i Wiślan (wyjąwszy jedych Pomorzan poniekąd), choć zachowały dotychczas każde u siebie swą plemienną odrębność, związane przez Chrobrego w jednę rzeszę, sprzężoną silniéj przez odnowiciela, mimo antagonizmu wzajemnego w domu, długie czasy zostając w jednym politycznym splocie, obyły się już z sobą i w stosunku do postronnych przybrały coś ujednostajnionego — pewien wyraz narodowości. Jakkolwiek bowiem sprzeczne z sobą były plemiona w domu, wszystkie one już mają się na zewnątrz za członków lechickiego, polskiego narodu. Potężnemi były te węzły, co je splatały w polityczną jedność. Ród Piastów — swojski, niezależny i przestrzegający swobody słowiańskiéj wobec przywłaszczeń Cesarstwa, uznający się i uznawany za jedynego dziedzica zwierzchniéj nad krajem władzy, zespalający swe interesa z interesami kraju, utrwalony biegiem czasu,—rozrodzeniem się swojém tylko przyczynia się do utrzymania jedności. Hierarchia — z 8 Biskupstw — instytucya mniéj więcéj sprężysta i organiczna, z biegiem czasu pod jedynem zwierzchnictwem Arcybiskupa u Polan, równego sąsiadowi z Magdeburga, a choć łacińska i popierająca powszechną chrześciańską kulturę zachodu, nie mniéj przeto przestrzega narodowości wobec Niemców, zachodniéj cywilizacyi — względem Rusi byzanckiéj; choć uległa Rzymowi, umie jednak upatrywać w interesie narodu swój własny, przez co silniéj go spaja niż dynastya i pierwsza wznosi ideę państwową. Przewodniczący stan Lechów, szlachty, od wieków słowiański, różnokształtnie wyrobiony u różnych plemion, po przebyciu burz społecznych, coraz to bardziéj spoli się w powszechnych widokach stanu, coraz to jednostajniéj uzależnia niższe klassy. Nareszcie wspólna kultura wyższa, ujednostajniające się prawa, obyczaje i uspołecznienie, wspólne najczęściéj koleje pomyślności i niedoli, wspólne prawo do odziedziczonéj sławy ogólnéj, zacierającéj podania starego plemiennego bytu: wszystko to, razem wzięte, nadawało już społeczności Piastów — polskiéj, lechickiéj, niepewnéj jeszcze swego miana w domu, przeważne cechy indywidualizmu narodowego, bez zacierania indywidualizmów pojedynczych plemion. O ile więc dawniéj związek Piastów wyrażał w sobie przeważniéj sprzęganie się i rózprzęganie doraźne, mniejszéj lub większéj ilości lechickich

ludów; o tyle pod koniec pierwszéj połowy XII wieku nosił w sobie już dostatecznie wyrobioną rękojmię trwałego zrzeszania się pewnéj określonéj liczby plemion, w pewnych polityczno-etnograficznych granicach zawartych, w związek narodowy. A cały ten proces wyrabiania się, wśród doraźnych zrzeszeń plemiennych, myśli politycznéj i narodowéj, jest tak prosty i logiczny, iż dziwić się wypada, dlączego dziejopisarze polscy, znając go i uznając, uwodzeni współczesną sobie myślą państwowéj i narodowéj solidarności, boją się jakby wypowiedzieć nagą historyczną prawdę, wzdragając się nazwać bez ogródki ideę, co przewodniczyła dziejowéj formacyi narodu, po prostu, ideą federacyjną, a społeczność samę — rzeszą, związkiem. Na zewnątrz zaś wtedy już poczęła przebłyskiwać niemniéj i idea szerszych państwowych sojuszów: znaną jest odezwa węgierskiego Kolomana do Bolesława III, wzywająca go do wspólnego działania przeciw germanizmowi; jak późniéj odezwa króla Czech Ottokara I do książąt Polskich, o podanie sobie przeciw niemu dłoni. Lecz zwroty podobne polityki między słowiańskimi sąsiadami były tylko doraźne, nie zapowiadające przez się nic organiczniéj trwałego; dopiero konieczność położenia, z biegiem czasu, pocznie zbliżać rzeszę naszę coraz ściśléj z jéj wschodniem sąsiedztwem.

Polszcza w podziałach.

Podział kraju po śmierci Krzywoustego (1139) właściwie nic nowego dla rzeszy w zasadzie nie wprowadził, tém mniéj zaś zawierał w sobie cokolwiek zdrożnego lub szkodliwego. Fakt ten był naturalną, nieuniknioną koniecznością, wypływającą z ówczesnych pojęć o państwie i prawach do władzy a dziedzictwa dynastyi, tak w łonie jéj saméj, jakoteż w rozumieniu jéj podwładnych; bardziéj zaś niż ztąd, wypływał ze wzajemnych stosunków zrzeszonych w polityczną całość plemion. Był on tak wypadkowym, jak wypadkowém było dotychczas zręczne usuwanie możliwości onego. Myśl narodowéj, państwowéj solidarności, jedynowładnego dziedzictwa tronu, była anomalią w owych czasach; centralizacyjna sprężystość mogła być tylko zaręczeniem tém silniejszego popędu ku rozprzężeniu. Dla bardziéj nieskrępowanego rozwoju idei narodowości w łonie rzeszy, było nawet więcéj rękojmi w rozgruppowaniu władzy książęcéj wśród plemion, przy poddaniu jéj jedynemu zwierzchnikowi, (co zapewniało utrzymanie nienaruszonéj idei całości politycznéj), aniżeli w przedwczesném i antypatyczném zmierzaniu doześrodkowania (Sieciecha naprzykład). Wiekuiście żywe indywidualizmy plemienne mogły być utrzymywane w splotach obszerniejszéj rzeszy, albo potężną prawicą, albo zapewnieniem im dostatecznego stopnia samorządu pod jedném naczelném zwierzchnictwem. Tymczasem oczekiwanie długiego szeregu następujących po sobie dzielnych charakterów, byłoby sprzeczném z powszednim biegiem rzeczy; a władza udzielnych książąt właśnie, należących do rodu poczytującego siebie za dziedzica kraju w jego całości, uznających prawo starszeństwa, choćby idealnego w rodzie, dogadzając

potrzebom i wymaganiom miejscowym, była jedyną, co mogła trwale utrzymywać plemiona w ogólnym związku rzeszy, zanimby te, drogą następnego rozwoju dziejowego, dojrzały do uznania wyższéj idei. Jedność rodu podtrzymywała jedność kraju, a waśnie książąt krwi jednéj może zabezpieczały od daleko sroższych walk plemiennych. Nie myślimy tu wcale zaprzeczać ujemnych stron tego systematu rządu, rozważanego teoretycznie; mniéj jeszcze śmiemy pomijać straty rzeczywiste, jakich był przyczyną; idzie nam jedynie o wskazanie, że fakt sam był rzeczą naturalną i nieodzowną, że więcéj przyniósł trwałego, moralnego nawet dobra, niż szkód. Zachował on rzeszę od stanowczego rozprzężenia się w chwilach niebezpieczeństw zewnętrznych, przez dynastyczność utrzymując jedność moralną; z drugiéj strony, podsycając plemienną wyłączność, wyosobnianie się, nie pozwolił jéj zlać się w jednę monotonną, solidarną massę bez barw i urozmaicenia, oraz przygotował możliwość wysoce organicznego rozwoju przyszłości. Co zaś waży więcéj niż to wszystko, ustrzegł on kraj od drogi politycznego rozwoju, sprzecznego z potrzebami słowiańskiéj natury, słowiańskiego ducha; bo jeśli nawet nie wywołał sprężystości jedynowładnego rządu, opartego na mechanicznie usystematyzowanych instytucyach i centralizacyi, to przecież przez żywienie indywidualizmów plemiennych przyczynił się do wyrobienia wysoce znaczącego popędu do politycznych unij i konfederacyj.

Zaszły 1139 roku podział kraju na dzielnice, sprowadził najrozleglejsze faktyczne uznanie idei federacyi. W następnym pochodzie czasu i kombinacyj dynastycznych, utrwaliło się tylko pierwotne i naturalne rozgruppowanie ziem i ludów; gdyż dzielnice książąt odpowiadały mniéj więcéj dawniejszemu obrębowi plemion. Polszcza (wielka), Łęczyce, Kujawy, Mazowsze, Chrobaty (Kraków), Wiślanie (Sandomierz), Szlązk i Pomorze, w swéj odrębności występują w dzielnicach zarówno. Jedność rzeszy zachowana; naczelne zwierzchnictwo obieralne w Piastów rodzie, bez względu na starszeństwo,— stale odtąd przywiązane do dzielnicy krakowskiéj; Kraków przeznaczony na stolicę; hierarchia jedyna pod arcybiskupem Gniezna; możnowładztwo solidarne w swych dążnościach. Jedność Lechii polskiéj zdobywa sobie uznanie już wreszcie i u sąsiadów — Niemiec i Czech. Charakter tego poczucia jedności kraju najwyraźniéj uwydatnił się w pierwszém po podziale, a energiczném starciu się idei jedynowładztwa, wyobrażanéj przez najstarszego z synów Krzywoustego, Władysława, z ideą federacyjnéj jedności dzielnic, w osobach jego młodszych braci bronionéj. Władysław zmuszony był ustąpić z kraju (1148); następca jego w zwierzchnictwie Mazowieckiém, Bolesław (IV) walczy z cesarstwem, ujmującém się za wygnańcem co mu hołd przyobiecał, o niezawisłość i całość kraju; synowcom, jednak przeznacza dzielnicę na Szlązku (1164). Równego doznają losu i samowładne zamachy rzutkiego Mieczysława III na Wielko-Polszczy; utorowały one jedynie drogę do zwierzchnictwa najmłod-

széj linii, Małopolskiéj, dogodniejszéj (zmierzającym ku coraz większéj niezależności), duchowieństwu i szlachcie. Wobec tego poczucie jedności nie przestaje wyrażać się, tak w gromadnie prowadzonych wojnach zewnętrznych z cesarstwem, Prusami, Jaćwieżą, Rusią, jak w sporach książąt o ogólne zwierzchnictwo; niemniéj w interwencyi wielkiego księcia w waśniach udzielnych książąt, w interwencyi arcybiskupa w sporach rodowych o stolicę zwierzchniczą, a nawet w skupianiu się rozleglejszego terrytoryum przy dzielnicy Krakowskiéj. Najwybitniéj ono występuje na zjeździe w Łęczycy za Kazimierza II (1180), na którym książęta, duchowieństwo i panowie wspólnie stanowią o porządkach społecznych; a nawet widać je też w zjeździe Gąsawskim (1227), pomimo, iż ten się zakończył wyłamaniem się z pod posłuszeństwa Świętopełka pomorskiego. Smutna walka z popieranemi przez tego ostatniego plemionami Prusów nosi oznaki solidarności, jak i zaprzeczanie Konradowi prawa darowizn Krzyżackich. Faktyczne zwierzchnictwo Konrada Mazowieckiego (1227) i starszéj linii Szlązkiéj w osobach dwóch Henryków: Brodatego (1238) i Pobożnego (1240), nad Wrocławiem, Krakowem i Poznaniem, chwiejącą się jedność kraju wzmocnić tylko mogło. Lecz nawet i w następującym szeregu długich zawichrzeń, od czasów Wstydliwego (1241), w szeregu walk linij Piastowskich o zwierzchnictwo ogólne, przy ścieraniu się praw starszeństwa, dziedzictwa i wyboru, wśród sporów książąt o dzielnice, powszechnéj swawoli wewnątrz i najazdów zewnętrznych wrogów, idea jedności Lechii w przeświadczeniu nie upadła istotnie. Synod Wrocławski (1245) był wyrazem jéj hierarchicznym, w sprawie uznania św. Stanisława; a koronacya uroczysta w Gnieźnie (1295) na króla Polszczy Wielko-polskiego Przemysława, co przywrócił był Piastom Pomorze, była rzeczywistém jéj politycznem stwierdzeniem. W fakcie tym przebijała się z chaosu myśl wyższa państwowa; tém niemniéj jednak solidarność rodu Piastów była rozprzężoną, a w ślad za tém i poniewierka dynastyczności saméj, nadwerężonéj już przez Świętopełka, na jaw wystąpiła. Powołano na tron ród obcy, w osobie Wacława Czeskiego, i ten sprawował (1305) rządy Krakowa, Kujaw i Polszczy przez swych namiestników; Piast Łokietek wyszedł na tułacza.

O ile związana przez Piastów rzesza Polska, Lechicka *per excellentiam*, utrzymywała się dotychczas w idealnéj jedności, o tyle i pojedyncze rzeszy téj plemiona, co przybrały w epoce téj charakter dzielnic, prowincyj, trwały przy swéj żywotności, rozwijały ją daléj. Chrobaci Bieli ze swym Krakowem, stanowiąc dzielnicę, do któréj przywiązaném było polityczne zwierzchnictwo nad ogółem rzeszy, właściwie nie odpowiedzieli roli polskiego przewodniczenia, która na nich spadła; widocznie mało jeszcze przejęci byli Polszczyzną, choć wraz z Sandomierskimi Wiślanami już od XII wieku przybrali miano Małopolan. Powodowani wciąż swym własnym, miejscowym interesem, pomiatając prawami starszeństwa Piastów i uprawnieniem

przenoszonéj przez się niby młodszéj onych linii, przerzucają książęty dowolnie, zmierzając do bezwarunkowo wolnego wyboru, uwieńczonego w końcu zawezwaniem czeskiego Wacława 1291 r. Idea przewodnictwa zostaje zawsze przy nich; lecz w rzeczywistości stają u steru onego jedynie pod wypadkowym naciskiem dzielniejszego charakteru księcia, co śmie stawać w imieniu ogółu. I w stosunkach zewnętrznych pilnują siebie przedewszystkiém; chodzi bowiem Małopolanom głównie o zachowanie dobrego sąsiedztwa z Węgrami, o stałe utrzymywanie wpływów na Ruś Czerwieńską. Stan szlachecki rozwija się u nich niezależniéj od węzłów rodowych, z większém znaczeniem politycznem, istnie po możnowładzku, z podzielnością na klassy, przy czém lud zarówno ma znaczny udział w swobodach. W ogóle zaś wyrobiony przy tych warunkach charakter plemienny Małopolan,—księztw Krakowskiego i Sandomierskiego, — rzutkość, zmienność i przedsiębierczość, połączone są z wysokiém rozwinięciem wolnego ducha obywatelskiego, siła ich zaś jeszcze *in potentia*. Polanie, Polszczanie, — księztw Gnieźnieńskiego, Poznańskiego i Kaliskiego, — wyniesieniem Krakowa na stolicę w zasadzie pozbawieni przewodnictwa, o które w osobie swego Mieczysława III usilnie z Krakowem walczą tylokrotnie, — w rzeczywistości, co do ducha, nadal je utrzymują: wciąż przy nich pozostaje i duchowna potęga arcybiskupa i duchowa — szczeréj polskości; znać w nich jądro narodu. Nie zawsze przychylni pobożnym książętom swym z linii Starego Mieczysława, nieraz przenoszą Szlązaków; wzniesieni moralnie przez Bolesława Pobożnego, niechętni Małopolanom, wskrzeszają myśl państwowéj jedności, koronując Przemysława. Na zewnątrz, parci przez Brandeburgów, wiążą się z Pomorzem. Szlachta tu, mniéj przeważna od Małopolskiéj, przedstawia w sobie silnie wyrobioną rodowładną rzeszę, opartą na rodowości dóbr i solidarnéj odpowiedzialności, na męzkiéj supremacyi w rodzinie. Łęczyce, księztwa Sieradzkie i Łęczyckie, po pierwszym podziale przy dzielnicy Krakowskiéj, i Kujawy przy Mazowieckiéj, stanowiły z czasem dzielnice starszéj linii Mazowieckiego Konrada, Kujawskiéj. Zawarte między Polanami z jednéj strony, a Mazowszem i Chrobacyą z drugiéj, w środkowém swém stanowisku między trzema najsilniejszemi ogniskami życia, zaledwie zachowały swą charakterystyczną odrębność. Pod koniec téj epoki spojone, przez wyniesiony do zwierzchniéj władzy ród swój książęcy, z koroną, a po wygaśnięciu swarliwych ostatnich Kujawskich książątek związane ściśléj po dawnemu z Polanami, — z miejscowości, tradycyi i rozwoju społecznego najbliższe ich, zaczęły nadal stanowić razem obręb Wielkiéj Polszczy. Mazowsze, — Płock i Czersk, — pierwotnie dział Kędzierzawego a późniéj Kazimierzowicza Konrada i młodszéj od niego linii, ściśle odtąd onéj się trzymające, żywiło nieustannie niechęć ku Polszczy i Krakowianom, dzieląc rozbujałe zapędy swych książąt, w istocie zaś o przewodniczeniu nie myśląc; a okolone półwieńcem przez pogańskie ludy Prusów i Jać-

wieży, wśród których obcy im litewski żywioł przeważał, — pomimo przedwiecznych zwad, przechowanych w podaniu, nie zawsze im dawniéj nieprzychylne, — teraz już, jako chrześciańskie, dało się uwieść propagacyjno-podbojowéj władców swych polityce. Lecz doprowadziwszy sąsiadów do fanatycznego rozdrażnienia, dla zabezpieczenia się od spustoszeń, niebacznie przyjąć musiało na kark swój Krzyżaków — i dalsze ztąd następstwa. Żywioł jednak mazowiecki siekierą i pługiem torował sobie drogę na północ i na wschód. W rzeszy Piastów najczujniejszym będąc stróżem starego obyczaju, w rozwoju też swym społecznym najżywiéj przechował piętno onego w większéj swobodzie ludu i niezliczonych roiskach swéj gromadowładnéj szlachty, różniącéj się od rodowéj i możnéj Wielko-Polan i Mało-Polan. Szlązk, pierwotnie rozproszony w drobnych pokoleniach, jak Dziedesi, Boboranie, Szlęzanie, Opolanie, następnie wydzierany sobie wzajem przez Polszczan i Czechów, bez charakteru i odrębności duchowéj życia, skuty w całość drogą administracyjną, od 1164 r. utworzywszy nawet gruppę dzielnic w najstarszéj linii rodu Krzywoustego, nie zdobył się na wyraz samodzielniejszego życia. Wprawdzie książęta jego nieraz przewodzili całéj rzeszy, ale zdaje się jakoby wyrok, co ród ich dotknął, dostał się w udziale i samemu krajowi: wcześnie zeń zawiało coś obcego, naniesionego wpływem Niemiec i Czech, coraz to bardziéj niemczejących. Książęta usiłowali naśladować fürstów niemieckich, szlachta — niemieckich baronów; żywioł niemiecki, napływający do miast i wsi, rozrastał się z uszczerbkiem słowiańskiego ludu, przeciwdziałania zaś tego ostatniego bezsilnemi być musiały przy złéj woli klas zwierzchnich. Ród książęcy, od śmierci Henryka Pobożnego rozdrobniony, zdemoralizowany, obojętnym się stawał na związki Piastów i ogólny interes ich rzeszy; oswajał się z myślą hołdownictwa czeskiego. Pierwszy przykład dali (1289) książęta Opolscy, za nimi (1322) poszli Wrocławscy, a daléj i reszta. Przy swéj bezbarwności, Szlązk służył jednak za silną spójnię narodowych stosunków Czech i Polszczan. Pomorze, po ostatecznem nawet zespoleniu się z rzeszą Piastów pod znamieniem krzyża, nic nie straciło ze swego odrębnego, długą samoistnością wyrobionego charakteru. Przy podziale kraju stało się, nie dzielnicą jakiego książęcego rodu Piastów, lecz udziałem zwierzchnictwa, przywiązanego do Krakowa. Podzielone za Kazimierza II na dwoje: Odrzańskie i Wiślańskie, mające za granicę rzekę Persantę, z miastami Szczecinem i Gdańskiem, rozwijało się ono odtąd nadal dwoiście. Wschodnie, powierzane miejscowym starostom, dalekim, silnym, mało przeto zależnym, — rozpadło się na dwie części: Słupską (do Leby) i Gdańską. Niepokoją je ciągle Skandynawi: Słupskie Pomorze do 1202 r. pod władzą Danów; 1207 r. ulega im i Gdańskie. Świętopełk, co je od najeźdźców (1218, 25) oswobadza, ogłasza się 1227 r. niezależnym; lecz jednocześnie stając u steru prawdziwie słowiańskiéj, polskiéj polityki, całe życie (†1251) walczy z Niem-

cami w interesie rzeszy powszechnéj. Najpotężniejsza to postać swego czasu! Z jego śmiercią Pomorze słabnie; a naciskane z dwóch stron od Niemców z poza Odry i Wisły, Gdańskie, po wygaśnięciu rodu Świętopełka, jednoczy się znów z Polszczanami 1295 r. Jednak zaród przyszłéj zguby spoczywał w jego bycie społecznym, gdzie, powstałe z dawnych przywódców drobnych ludów pomorskich, możnowładztwo skandynawskiego pierwiastku, przystępném było na ponęty feudalizmu. Druga część Pomorza, przy Odrze, obejmująca i dawne ziemie Weletabów-Lutyków, wcześnie się oderwała od rzeszy. Z upoważnienia Kazimierza II (1178), utworzyła ona odrębne księztwo dziedziczne, podzielone na dwie dzielnice: Szczecin i Wolgast, które od 1180 r. ulegając Cesarstwu jako część rzeszy niemieckiéj, 1311 r. pomnożone dzielnicą Słupską, z czasem poddało się germanizacyi i zginęło na wieki. Biskupstwo Pomorskie 1228 r. poddało się archidyecezyi Magdeburskiéj. Łużyce i Lubusz (1270—90) linia Szlązka wydała Niemcom, chociaż moralny związek trwa długo: 1357 jeszcze biskup Lubuski zasiada na synodzie w Kaliszu. Winulska zaś słowiańszczyzna i stara Rujdna już 1164—68 r. uległa zagładzie Teutów i Danów.

Zgubne następstwa.

Ile było spoistości w rzeszy, a udzielności składowych onéj plemion w Lechii Polskiéj, jak istopień solidarności w rodzie Piastów, a rozprzężenia w rodzinach i osobach książąt, — wyraźném to jest dotykalnie; dość, że pod koniec XIII wieku systemat udzielny, konieczny pierwéj sam z siebie, okazał się szkodliwym dla kraju, — ba, nawet groził mu zagładą: ujemne jego strony z biegiem czasu przeważyły, sama przemożnie zachowawcza idea federacyjna, spoczywająca dotąd na nim, blizką była upadku — i Polska Lechia rzeczywiście stanęła nad otchłanią ostatecznéj zguby. Rozbicie się na dzielnice, zacierając wzniesioną przez Chrobrego myśl państwową, pozbawiło zupełnie rzeszę zewnętrznéj siły dawnéj, która jedynie zapewnić miała stałe przewodniczenie pobratymcom zachodu; w ślad za tém rozprzężeniem idące osłabienie rządzącej, mniéj więcéj tęgiéj dotąd, władzy, zniszczyło sprężystość mocy wewnętrznéj. Niemczyzna, pomimo iż Polska Lechia faktycznie była niezależną od Cesarstwa, wdzierała się gwałtowniéj — przemocą, podstępem, zobojętnieniem, przychylnością. Nie było możności ujmować się za Połabian, gdy sąsiedzi najbliżsi, Pomorze Odrzańskie Lubuszanie, Łużyc reszta, — padały, jedno po drugiém, u stóp germanizmu. Wdzierał się on w serce narodu wszelkiemi drożynami: — do miast i siół na prawie Magdeburskiém, do zamków i dworów, sądu i kościoła, a przez nieoględność Mazowieckiego Konrada zawisł mu w Prusiech na wieki mieczem Damoklesa. Sprowadzeni (1225, 1228) ku zbrojnemu nawracaniu Prusów teutońscy Krzyżacy, ujarzmiwszy pogan, zaciężyli już i nad samém Mazowszem i groźnie odwrócili się ku Kujawom i Pomorzu. Upokorzone Prusy i Jaćwież rozwarły wrota podniesionéj do szczytu szczepowego przewodnictwa przez

Mendoga a natarczywszéj daleko Litwie; sąsiednia Ruś Czerwona, wypuszczona z pod stałego wpływu, stanęła w osobie Daniły na czele całéj rzeszy południowych księztw Ruskich, posuwając się aż ku Wiśle, przez zajęty (1245) Lublin. Na domiar tego, przy straszliwych spustoszeniach nawały Tatarskiéj, i społeczna anarchia doszła do rozmiarów bez granic. Nareszcie Czesi otrzymali zwierzchnictwo w Krakowie i Polszczy, Wacław koronował się w Gnieźnie (1300) i przekazał następcom tytuł „króla Polskiego"; a książęta Piastowie, zdrobnieli i zdemoralizowani, przesiąknięci pojęciami cesarstwa i feudalizmu, gotowi już byli stały hołd złożyć i zaręczyć.

Przewaga Czech. Otóż, rzeczywiście, wtedy przemknęła w dziejach myśl wyższéj i obszerniejszéj federacyi państwowéj zachodnich Słowian pod sterem Czechów. Z początkiem XIII wieku, Czechy, wydźwignięte z niemocy usiłowaniem Przemyśla Ottokara I (1197—1230), mimo kroczącego bez przemocy niemczenia, politycznie dzielniéj poczęły się rozwijać. Niemało do tego przyczyniło się określenie stosunku korony do cesarstwa i dziedzictwa tronu, jak niemniéj stosunków władzy duchownéj do świeckiéj. Lecz o ile państwo wzmagało się politycznie, o tyle narodowie całkowicie się przetwarzało; za panowania Wacława I (1230—53) wielowładna na dworze i między możnowładztwem niemczyzna zapanowała powszechnie nad krajem: feudalność brała górę, — słowiańskiemu groziła zagłada nieuchronna. Najdzielniejszy z Przemysławców Przemyśl Ottokar II (1253—78) o ile upotężnił Czechy, o tyle téż je i do reszty zniemczył. Dbały o podniesienie władzy królewskiéj przeciwko szlachcie, podnosi stan miejski, żywioł niemiecki wspiera i przeobraża pozostałe jeszcze zabytki słowiańskich instytucyj najzupełniéj. Cała uwaga jego zwrócona ku Niemcom: pan Rakus, Styrska, Charutan i Przymorza aż do Terstu, niewiele waży słowiaństwo; zwycięzko walczy z Węgrami i przedsiębierze rycerskie z Krzyżakami wyprawy przeciw pogańskiéj Litwie (1254, 64, 67). Spotężniały, stawszy się groźnym dla Niemców, wywołuje całą ich zawziętość przeciw sobie, w wojnie z cesarzem Rudolfem Habsburskim traci 1270 r. wszystkie posiadłości, wyjąwszy Czechy i Morawę, a następnie 1278 r. w bitwie z Niemcami i Węgrami nawet życie samo. Zachwiana tém znacznie potęga Czech przywróconą została niebawem do dawnego stanu przez Wacława II (1303), którego koronacya w Pradze 1297 r. była najświetniejszą uroczystością wieków średnich. Ten-to Wacław właśnie powołanym został 1291 r. do Krakowa, a 1300 roku wyniesionym na króla Polszczy. Dla Przemysławców tedy zajaśniały widoki utworzenia szerokiéj zachodnich Słowian federacyi ze stolicą w Pradze; pomijając już, iż powołany po wygaśnięciu Arpadów do Węgier 1301 r. Wacławów syn nie mógł się tam długo utrzymać, Piastom groziła zaguba. Pozornie nie byłoby rzeczywistych strat w takim upadku rzeszy Piastów: bezpośrednio w ręce Niemców nie moglibyśmy się dostać; co czekało nas — to zwierzchnictwo bratnich

Czechów; Czesi zaś stanąwszy na czele federacyi ogólnéj zachodnich Słowian, rzuciliby ją wprawdzie w objęcia Cesarstwa, ale z drugiéj strony powstrzymaliby wdzierstwa zakonu i Margrafów; a silni najwyższym wśród pobratymców stopniem oświaty, pewni rzeczywistego na nich wpływu, oświatę tę mogliby posunać ku krańcom zachodniéj Słowiańszczyzny, przez co by ją moralnie na wieki zbliżyli ze wschodnią bracią. Lecz gdyby to wszystko nawet mogło nastąpić, powstaje zapytanie: jaką rękojmię przedstawiały Czechy szczerosłowiańskiego uspołecznienia nowéj rzeszy? one, tak do głębi zniemczone, potrzebujące tyle krwi późniéj dla zmycia z siebie plam obczyzny? — Przewodniczenie polityczne Czechów w szerokiéj rzeszy zachodnich Słowian nie przyszło do życia — i słusznie w zasadzie. Że w ściśle umysłowym względzie, w naukowości, wzięli oni ster przewodnictwa, to im się słusznie należało; że zaś w zakresie politycznym pierwszeństwo doraźne musieli wkrótce porzucić, po stanowczej utarczce z dźwigającą się do życia polszczyzną, widomie było to zrządzeniem w celu wyższych potrzeb naszego szczepowego ducha. Zkądinąd wreszcie i same Czechy ze śmiercią Wacława III r. 1306 zabitego w wyprawie na Łokietka, utraciły swą dynastyą słowiańską, a po niepewnych przejściach powołały na tron 1310 niemiecki dom Luksemburgów, który je bardziéj jeszcze z Cesarstwem i z germanizmem spętał. Lecz tém niemniéj musiała Polszcza w długich zapasach walczyć jeszcze o byt swój i przewagę.

Łokietek. Odrodzenie.

Wyniki zapasów narodowych, pomimo wszelkich pozorów, były pewne, — rękojmia spoczywała w wewnętrznych siłach. W głębi szlacheckiego stanu obu Polszcz, kardynalnych ziem rzeszy Lechickiéj, kryła się, długą polityczno-społeczną walką wyrobiona, siła obywatelska i poczucie narodowości, które potrzeba było tylko opromienić szczytniejszą myślą, skierować potężną dłonią, by wskrzesić moc narodu. Szczęściem myśl ta i wola znalazły się w Łokietku. Myślą tą była idea państwowa Bolesławów; ona też, wskrzeszona przez Przemysława, wzmocniona przez Czechów, została teraz na podstawę politycznego bytu wzniesioną przez Łokietka. Myśl państwowa dojrzała dopiero teraz, a dając rodowo-federacyjnéj rzeszy podstawę obszerniejszą, znosząc dawną rodowość samę, zapewniła pomyślność przyszłego polityczno-narodowego rozwoju; jéj-to mocą zamierzył Łokietek zabezpieczyć związek od rozprzężenia ostatecznego, a spoiwszy go wyższą narodową ideą, ochronić od wrogów zewnętrznych. Pomimo to jednak, całe jego panowanie (1305—33) przeszło jedynie na bardzo wątpliwych na oko wysileniach i rozpaczliwych zapasach: trzeba było wszystko tworzyć. Po powrocie z tułaczki, korzystając z wojny Wacława w interesie syna na Węgrzech 1305 r., zajął jeden po drugim Sandomierz i Kraków, niebawem Łęczyce i Kujawy mu się poddały, a nawet Pomorze uznało jego zwierzchnictwo. Polanie jednak trzymali się

Czechów (Wacław II 1307), a następnie przywołali Głogowskiego Henryka (1309); Szląźk i Mazowsze zostawały podzielone w rodach swych książąt. Przy takiém rozjednieniu, z waśniami domowemi połączoném, nie było siły do stawienia czoła naciskowi germanizmu. Łokietek musiał uledz: Pomorze, najdroższa kraina rzeszy Lechickiéj, zawichrzona przez Święców, padła ofiarą wrogów. Gdańsk 1308 r. zagrabili Krzyżacy, a następnie 1311 roku z Brandeburgami i Szczecińskiemi książęty całe Pomorze rozdarli. Natomiast zjednoczenie się Polan 1309 r. podniosło stanowisko bohaterskiego Piasta: w poczuciu sił własnych i z wiarą w pomyślniejszą przyszłość narodu, koronował się on 1319 r. w Krakowie jako król Polski (Polan, Łęczyc i Kujaw) i Krakowski (Chrobatów i Sandomierskich Wiślan), — jako król obojga Polszcz, mniemając, że tytułem samym zniweczy zgubne roszczenia Czechów, i ukorzy niesfornych a zawistnych braci Piastów. Lecz skutki tego kroku były na razie wręcz przeciwne oczekiwaniom: obrażeni tém wywyższeniem się książęta Szlązcy, nazywając Łokietka tylko „królem Krakowskim“, w skutek ogólnéj narady złożyli 1322—27 w Pradze, jako królowi Polskiemu, hołd synowi cesarza Henryka VII, Janowi z Luksemburga; za nimi poszli i Mazowieccy: ci 1326 r. sprzymierzyli się z Krzyżakami, a 1329 r. Wacław na Płocku był zmuszony do hołdu Czechom. Rozpoczął się teraz bój na śmierć i życie o władzę nad powstającą Łokietka Polszczą: Czesi, nawskroś już przejęci niemczyzną, działali jednomyślnie z Krzyżactwem. Król Czeski Jan (1310—46), pomimo, iż cały oddany z awanturniczą rycerskością polityce zachodniéj, aż do lekceważenia rzeczywistych potrzeb swego słowiańskiego państwa, w stosunkach zewnętrznych pilnował dość przecie interesów onego; a nadto jako istny Niemiec, przy którym niemczyzna doszła do najwyższéj w Czechach mocy, mieniąc się być królem Polszczy i wyzyskując okoliczności, tém chętniéj stawał wszędy po stronie Krzyżaków — nie tylko w walce przeciw Prusom, dokąd aż trzykrotnie (1328, 37 i 44) robił wyprawy, ale przeciw Polakom mianowicie; Łokietek zaś szukał wsparcia spokrewnionych władców Węgier i Litwy. Skutki zapasów były wątpliwe; jednak Władysław, choć stracił Kujawy (1332), koniec końcem, mógł się uważać za zwycięzcę. Podwaliny nowego, wyższego, samoistnie-narodowego rozwoju starej rzeszy Piastów były położone: najżywotniejsze onéj części — wydźwignięte do dzielniejszego życia; dwie Polszcze, Warteńska i Krakowska — wielka i mała — ściśléj z sobą zespolone łącznym ogólnym interesem; poczucie narodowe — wdzierstwem bezczelném cudzoziemców rozbudzone; powołany do organicznéj działalności stan szlachecki (na sejmie Chęcińskim 1331) — gotów popierać dążności i usiłowania narodowe faktycznie spotężnionéj władzy królewskiéj; jedném słowem, żywot narodu samoistny — zabezpieczony. Idea federacyjna oparta na podstawie idei państwowéj, popieranéj przez władzę królewską, zmierzającą ku monarchicznéj jedności

starych bolesławowskich zakresów, przybrała tylko nowy ustrój teraz; państwo łokietkowe nie przestało być przeto zrzeszeniem plemion, przetwarzającem się w braterski związek — konfederacyą — przewodniczącego stanu szlacheckiego składających je ziem, w niczem nieuwłaczający wyrobionym ich indywidualizmom.

Kazimierz Wielki.

Zadaniem Kazimierza Wielkiego (1333—1370) było spoić silniejszemi węzłami wewnętrznemi i zabezpieczyć na zewnątrz to, co mu po ojcu pod władzę się dostało; potrzebny pokój ku temu drogo musiał okupić. Traktatem Wyszogrodzkim na Węgrzech 1335, za zrzeczenie się Jana z Luksemburga tytułu króla Polskiego, złożył na rzecz Czechów prawa swe do Szlązka i Mazowsza; za zwrot Kujaw uprawnił zabór Pomorza na rzecz Krzyżaków, co stwierdził i następny traktat Kaliski (1343). Naród jednak, czując się w swéj moralnéj jedności, stanął wyżéj od swego króla: zatwierdzenia układów stany odmówiły. Przez nowe układy (1345, 53) Czesi zrzekli się zwierzchnictwa nad Mazowszem, które 1355 r. uznało się hołdownem koronie, a w r. 1340, po śmierci lennika swego, Mazowieckiego Bolka Trojdenowicza, Kazimierz zajął Ruś Czerwoną i następną wojną zabezpieczył ją od Litwy. Dopiéro tak zawarowany szedł śmiało po drodze wewnętrznego zjednoczenia, począwszy od ujednostajnienia praw. Na zjeździe powszechnym w Wiślicy 1347 r. biorąc za podstawę instytucye Małopolskie, przez wcielenie w nie statutu piotrkowskiego Wielkopolan, utworzył jeden statut ogólny, mający obowiązywać całe państwo. Statut ten na przyszłość dawał rękojmię jedności; w zasadzie, teoretycznie został podstawą następnego rozwoju ogólnego prawodawstwa, a chociaż natychmiast nie zdołał zaprowadzić jedności instytucyj, współzawodnictwo jednak plemienne dozwoliło mu zostać przecie wstępem do ujednostajnienia. W rzeczywistości bowiem, nie mówiąc już o odrębnych pod swymi książęty Mazurach, Polanie trzymali się swego Piotrkowskiego statutu i nadal, nawet Łęczycanie spisywali sobie swoje prawa, a może i Kujawy swemi się rządziły. Pomimo to niewątpliwie Kazimierz umocował silniéj węzły jedności zrzeszonego państwa, a podejmując na starość 1363 r. w Krakowie, między innymi, sąsiadów swych a znakomitych w dziejach mocarzy: żeniącego się właśnie z jego wnuczką króla Czech i zarazem cesarza Karola IV-ego, oraz siostrzeńca a następcę swego, Ludwika Węgierskiego, — śmiało mógł spozierać z dumą w przyszłość zagospodarowanego przez się kraju. Z Czechami spór został załatwiony, samoistność Polszczy zapewniona, tém pomyślniéj może, o ile Czechy stanąwszy teraz na szczycie swéj dziejowéj potęgi, tak pod względem politycznym jak i cywilizacyjnym, najcałkowiciéj przestały być już słowiańskiemi. Król Czech i cesarz Karol IV-ty (1346—1378) jego Bulla aurea, Majestas Carolina, arcybiskupstwo i uniwersytet w Pradze, szczere przywiązanie do kraju i każdy czyn jego: wszystko to wspaniałé, ale nie słowiańskie — przyszłość dopiero ma z tego korzystać. Sojusz polityczny

z Węgrami więcéj zda się obiecywać. Ludwik od 1342 r. panuje na ojcowiznie tak, że mu dzieje imię Wielkiego nadają; Małopolanie, baczni najbardziéj na własną korzyść, i dla całego kraju wiele sobie po nim obiecują, — Krzyżacy bowiem wciąż groźni stoją u północy!

Przewodnictwo Małopolan.

Wezwani do dzielniejszego życia jeszcze przez Łokietka, Małopolanie stanowczo teraz ku sobie przechylili ster przewodnictwa w bratniém gronie plemion jednego narodu. Oni-to — dawniéj jeszcze, depcząc prawa starszeństwa Piastów, przerzucając książęty, spotężnieni w obywatelskich swobodach, możni w domu, zadali pierwszy cios idei rodowéj władzy książąt, sprowadzeniem obcego rodowi Wacława; oni też i teraz dobili ideę dynastyczną-męzką, zezwalając na Węgra Ludwika, a swemi z nim układami, zjazdami, stawiając podwaliny silnéj a szerokiéj za czasem szlacheckiéj Rzeczypospolitéj. Polszczanie nie łatwo im przecie ustępowali z pola: 1370 r. zacięcie starli się z Krakowianami, gdy szło o miejsce koronacyi Ludwika, który już gotów był nawet połowę koronacyi odbyć w Krakowie a drugą połowę w Gnieźnie; nie chcieli przyjmować na starostę u siebie Ottona z Pilicy, Małopolanina, jako obcego i t. p.; lecz mimo to wszystko wielkopolszczyzna była przemożoną wszędzie. Drugi zjazd Koszycki, o ile był pomyślnym dla Małopolan, o tyle dla Wielkopolan dotkliwym. Krakowska również szlachta przedewszystkiém, nie wiele pytając starszych Polszczan, poważniejszych w swém przywiązaniu do Piastów, a wadzących się teraz w swych rodowo-szlacheckich ubijatykach (1382) — Nałęczów i Grzymałów — sprowadziła Jadwigę, a zagarnąwszy Ruś sięgła i ku Litwie w śmiałych swych zamiarach. W jéj też łonie trzeba szukać pierwszego ziarna bardziéj organicznéj a obfitéj w następstwa idei federacyi, w jéj najszczytniejszéj dziejowéj formie. Nie była ona bowiem już więcéj wypływem przymusu pod grozą innoplemieńców lub skutkiem nieświadoméj siebie etnicznéj atrakcyi; nie była również wyrazem pewnego nałogowego oswojenia się z długo przewodniczącym rodem, dynastyą, oswojenia się z jednością pewnych obrębów, wyobrażaną przez koronę lub jaką myśl państwową; lecz pod ich tchnieniem stała się ideą braterskiego splatania się ludów pokrewnych, pod godłem ujednostajnienia liberalnych praw przewodniczącego stanu, pod hasłem swobody obywatelskiéj i politycznéj przedstawicieli plemion, z zachowaniem tym ostatnim środków naturalnego rozwoju ich indywidulizmów. Przy czém oczywiście zapominać nienależy, że rzucone przez Małopolan ziarno napewne zmarniało-by bezowocnie, gdyby w gruncie bratnich plemion staréj rzeszy Piastów nie było znalazło warunków własnego umocowania się i rozrostu. Jednem słowem — idea braterskiego wiązania się obywatelskich żywiołów była-by upadła, gdyby właśnie w żywiołach tych u bratnich plemion nie zastała, przy powszechném poczuciu się w jedności, odpowiedniego wyrobu jednostek składowych. A to przedewszystkiém sprawił systemat udziałowy.

III.

Rzesza Ruska. — Udziały. — Ruś na Czudach. — Rozszczepienie się Rusi. — Litewszczyzna. — Litwa.

Rzesza Ruska. Zobaczmy teraz, jak się kształtowała rzesza wschodnia Słowian — rzesza ruska. Zespolone z sobą podbojem waregskich drużyn, między któremi z czasem wziął górę ród Russa — Ruryka, wszystkie plemiona wschodniéj Słowiańszczyzny, długo trzymane na wodzy tylko obcą przemocą, w przyjętym przez Włodzimierza chrystyanizmie podług słowiańskiego obrządku, znalazły niespodziewanie krzepką moralną spójnię na przyszłość. Owoce onego dały się już dotykalnie uczuć za Jarosława (1019—1054). Rzesza ruska ówczesna, obejmująca sobą oprócz obudwóch etnicznych pierwiastków wschodnich Słowian, znaczną jeszcze ilość czudzkich plemion, zdobyła odtąd wyraz swéj jedności daleko więcéj w splocie hierarchicznym,ześrodkowanym w jedynéj metropolii Kijowa, co stał się sam niejako przybytkiem religijnéj świętości, niż w przemocy normańskich drużyn, we władzy jedynego rodu, a cóż dopiero jedynéj, zwierzchniczo do czasu panującéj osoby. Od chwili, gdy postęp chrześciaństwa był zapewnionym, słowiaństwo ujrzało się u steru: normanizm wsiąknął w nie niepostrzeżenie, a samoistność zrzeszonych podbitych plemion uralskich stanowczo zagrożoną została. Zetknięcie się z Byzancyum zapowiadało i szybszy prąd szerzenia ogólnéj cywilizacyi, któréj jedność ułatwiał ogólny też piśmienny język; nomokanon poręczał możliwość ujednostajnienia, przez Prawdę Ruską nieuogólnionych, praw zwyczajowych, pod naciskiem jednoznacznych wszędzie wpływów onego. Z drugiéj strony i samo polityczno-geograficzne położenie rurykowskiéj rzeszy wróżyło najpomyślniéj. Za oddaloną ona była, by kiedykolwiek mogło jéj zaciężyć brzemię cesarstwa i patryarchatu z Byzancyum, jak lechickim pobratymcom rzymska Niemców cesarskość. Otoczona ludami, wszędy słabszymi materyalnie i moralnie, z wyjątkiem może jednego związku polskiéj Lechii, któréj utajona siła zaledwie chwilowo dawała się przeczuwać, zanadto była swobodną od groźnéj natarczywości lub rozjedniającéj polityki wrogów krwi słowiańskiéj i nie miała obawy, jak Lechici, stanowczego narodowego rozstrzelenia, a sam już kult słowiański prowadził ją ku unarodowieniu, Jednem słowem, zrzeszone państwo Jarosława, podług wszelkich pozorów, widziało się na stanowisku nieskończenie więcéj obiecującém na przyszłość, niż rozdarta w szmaty lechicka Słowiańszczyzna, od zejścia Chrobrego na nowo zostająca pod przemocą Niemców. Po za błogiemi pozorami przecie widać było i ziarno przeciwnych skutków; plemiona wschodnie sło-

wiańskie, mniéj dojrzałe od zachodnich, nie dawały jeszcze pewności kierunku swego rozwoju; zrzeszone różnie pierwiastki etnologiczne nie zapowiadały wyrobienia się solidarnéj ruskiéj narodowości; a niezwalczona sprężystość biernego ducha Uralców z góry przeczyła możliwości usłowianienia ich w duchu. Te nasiona jedności, jak również i wewnętrzna moc stosunkowéj samoistności grup plemiennych, przy następującém rozbiciu się Jarosławowego państwa na rodowe dzielnice, mogły tylko żywiéj się rozwinąć — i poczęły się istotnie rozwijać w pierwszych czasach w takiéj ujednostajniającéj się harmonii, jakiéj u wcześniéj wyrobionych w swych plemiennych indywidualizmach ludów, Lachów podaniem wykarmionych, nie dostrzegamy. Ruska rzesza bowiem już w kolebce swéj splata w sobie wszystkie plemiona wschodniéj Słowiańszczyzny, zmierza ku uogólnieniu jedynéj kultury, ku ujednostajnieniu narodowości; podczas gdy z Lechitów znaczna część wieki kona w uścisku germanizmu, druga zaś wcześnie wyosobnia się w dwa narody.

Podział Rusi, jak pierwéj, tak i po śmierci Jarosława (1054), był nieuniknioną koniecznością stanu i usposobień wszystkich w ogóle ówczesnych początkujących słowiańskich społeczeństw, i w niéj też saméj nic nowego nie wprowadził. Jedność kraju i nadal miała się wyrażać w dziedzictwie władzy jedynego panującego rodu i jedynéj hierarchii; zwierzchnictwo nad ogółem określono prawem starszeństwa książąt; Kijów wyznaczono na stolicę wielkiego kniazia i metropolity. Wobec téj jedności, dzielnice książąt, mniéj więcéj odpowiadające obrębowi plemion, pojedynczo czy w ściślejszych gronach, były zapewnieniem swobody odwiecznego popędu onych ku utrzymaniu i rozwinięciu szczegółowych odrębności. W pierwszéj połowie jednak udzielnego peryodu (1054—1169) popęd ku ujednostajnieniu narodowemu i utrzymaniu politycznéj jedności przeważał. W całym przeciągu tego czasu rzesza ruska była niezaprzeczoném dziedzictwem rodu Ruryka; a ród ten jeśli podbojami dalszemi nie rozszerzył swych posiadłości, nic też właściwie z posiadanego nie uronił, trwałą swą władzą nad rozproszonemi dzielnicami po szerokim przestworze wschodniéj Słowiańszczyzny przyczyniając się do ściślejszego ich wzajem zbliżenia. Kijów pozostawał wciąż rzeczywistém ogniskiem powszechnego życia ruskiego; ani gminowładny Nowogród, ani Połock podzielający niechęć swych książąt ku Jarosławiczom, w istocie rzeczy nie myśleli mu pierwszeństwa odmawiać. Rozrodzone linie książęce dobijały się o władzę nad Kijowem, jako nad zwierzchnią stolicą, już to przestrzegając początkowo praw starszeństwa w domu Jarosława, już też opierając się na układach rodowych, na przemocy, lub co więcéj, na współczuciu i wyborze kijowskiego obywatelstwa. Energiczne wdanie się Piasta Bolesława II na korzyść Izjasława I (1054—78) w niczém jedności Rusi nie nadwerężyło; nad to zaś, jedność tę, pomimo nieprzerwanych walk domowych o dzielnice, utrzymywały: tak polubowne zjazdy książąt — np. Lubecki r. 1097

i Kijowski 1100 r.; tak i potężniejsze charaktery zwierzchników kijowskich, jakimi byli: Monomach (1113—1125) i syn jego Mścisław (1125—1132). Nie mniéj podtrzymywały ją i wojny zewnętrzne, często wspólnemi siłami prowadzone, osobliwie przeciw sąsiadom z południa, turańskim Połowcom. Nawet rozpasane ubijatyki kniaziów na całéj przestrzeni Rusi od połowy XII wieku, od czasów Izjasława II (1140—1154), pomimo wystąpienia na jaw szczegółowych interesów pojedyńczych udzielnych linij, pomimo przemożnéj wagi w tych sporach wymagań plemiennych indywidualizmów i stanowczego zlewania się interesów książąt i plemion, — jeszcze nie były ostatecznem zaprzeczeniem myśli jedności politycznéj, upostaciowanéj niejako w idealnem już tylko zwierzchnictwie Kijowa. Jeszcze Kijów i rodowość dynastyczna, przy wewnętrznéj cywilizacyjnéj spójni cerkwi, były politycznym węzłem, utrzymującym przynajmniéj na zewnątrz jedność federacyjną staréj Rusi. Lecz gdy myśl autokratyczna książąt suzdalskich wystąpiła stanowczo w zapasy z dotychczasowym udziałowo-federacyjnym porządkiem, podnosząc natomiast ideę państwową; gdy wyobraziciel idealnéj politycznéj jedności, Kijów, w r. 1169 po barbarzyńsku zburzonym został przez Andrzeja Bogolubskiego, a każdy z silniejszych kniaziów w rodzie swym począł tytułować się wielkim, dogadzając przez to uczuciu stosunkowéj odrębności, które się już było wyrobiło w plemiennie zespolonych gruppach księztw drobnych, — wtedy i idealna polityczna jedność staréj Rusi rozwiała się na wieki. Odtąd Ruś, przechowując zaledwie tradycyą politycznéj jedności związkowéj, spojona tylko moralnie przez jedyną cerkiew, rozpadła się stanowczo na pierwotne swe etniczne żywioły, tworząc odrębne, niezawisłe wzajem, gruppy dzielnic, już to zrzeszonych naturalną attrakcyą bliższych plemion, już też utworzonych wskutek poprzedniego politycznego rozwoju. Wszędzie jednak duch plemienny zrywał więzy dynastycznéj powłoki, stawiał tamę nieskończonym działom książąt, spychając drobnych na stopień podrzędności i stanowiąc, wbrew kombinacyom kniaziowskim, w każdéj ziemi związek głównego grodu i przygrodów, od których zależały włoście. Długo krępowane ideą jedności miejscowe pierwiastki przyszły do pełniejszego samoistnego uznania. Najpierwéj wydzieliło się z ruskiego ogółu to, co było zewnętrznie tylko usłowiańszczonem, idąc za prądem swego uralskiego ducha — i pierwiastek ten stał się podstawą, bierną a silną, autokratyzmu rodu suzdalskiego. Gminowładny Nowogród, pan wielkiéj Biarmii, zawsze samopas kierujący się wśród kombinacyj dynastycznych, tylko swobodniejszym jeszcze mógł zostać przy ostatecznem rozwianiu saméj idei politycznéj jedności. Szczera słowiańska Ruś rozpadła się na dwa naturalne etnologiczne odłamy: północny i południowy. W północnym utworzyły się trzy gruppy pod rodami przemożniejszych grodów: Połocka, Smoleńska i Czernihowa: południowyześrodkował się w dwie gruppy naturalne: na

Dnieprze — koło Kijowa, i ku Tatrom—pod przewagą Halicza. Dobitniéj wyjaśnią nam to szczegóły, których musimy tu z kolei pobieżnie dotknąć, poczynając od najbliższego sąsiedztwa Piastowskiéj rzeszy.

Udziały Rusi.

Zachodnia połowa południowéj Rusi, zasiedlona przez dawniejsze w stosunku do wschodniéj połowy plemiona: Chrobatów z Tywercami, Bużan obok Dulebów i Dregowiczan górno-poleskich, podległa Awarom niegdyś (560—590), do przyjścia Russów tworząca już jeden związek (wołyńskim może zwany); następnie znana w znaczniejszej swéj części pod mianem ogólnem Grodów Czerwieńskich, poddanych Lachom, — zostawszy dziedzictwem Rurykowiczów, stanowiła pewną ściślejszą etnologiczną całość. Składała ona trzy gruppy książęcych dzielnic. Księztwo Halickie, obejmujące Chrobatów i Tywerców, skoro tylko zostało dzielnicą najstarszéj linii Jarosława, od wnuka jego Rościsława Włodzimierzowicza, natychmiast zaczęło zmierzać ku staréj samobytności. Pod Władymirkiem († 1153) który wzniósł Halicz, i Jarosławem Osmomysłem († 1187) zdobyło sobie przeważne stanowisko na południu, wcześnie usuwając się z pod przewagi Kijowa, a natomiast poddając się więcej wpływom sąsiedniego zachodu i społecznych porządków onego; z jednéj strony nie zdolne opierać się przewadze Polaków, z drugiéj podtrzymujące obrządek słowiański w Tatrach. Ku Haliczowi ciężyło zawsze też podniestrzańskie Podole, a poniekąd nawet i Wołyń. Księztwo Wołyńskie — ziemia Bużan i Dulebów od Wieprza do Słuczy,—od połowy XII w. w rodzie starszéj linii Monomachowicza Mcisława, od syna jego Izjasława, podobnie halickiemu, podległe bliższym wpływom zachodu, przez stosunki swego panującego rodu w ściślejszym związku z Kijowem, stanowiło typ jakiś pośredni w południowéj Rusi, węzeł jedności onej. Księztwo Turowskie, obejmujące błotne i leśne krainy Dregowiczan po Prypeci, biernego znaczenia w ogólnem życiu Rusi politycznem, posuwało przewagę słowiańskiego żywiołu w obce sąsiedztwo, między Litwę na górnem porzeczu Niemna, i po Bugu, między Jaćwież srogą. Wschodnia połowa południowéj Rusi to jest ziemia ruska — księztwa Kijowskie z Perejasławskiem, czyli Ruś, *per excellentiam*, tworząca w sobie solidarną etniczną i polityczną całość, obejmowała właściwie ziemie Polan i zadnieprskich Suliczów; gdyż wcześnie zdeptani Drewlanie i integralnie wcieleni w obręb pierwszego księztwa, bezbarwną biernością całe wieki utrzymywali swą plemienną odrębność, bliżsi Dregowiczanom niż Rusi. Kijów zostaje wciąż jeszcze ogniskiem Rusi, Rusią samą; Perejasław jest wstępniem na wielkoksiążęcy stolec; rody Jarosławiczów prowadzą o nie boje zacięte. Monomach przechyla stanowczą przewagę ku swemu rodowi, Mścisław ją wzmacnia; jednak w stanowieniu o władzy najwyższéj występują tu wszystkie żywioły w zawody. Hierarchia, bojarstwo, drużyny, naprzemian przeważają wszystkie prawa: starszeństwo, dziedzi-

ctwo, obieralność, przemoc; życie społeczne—pełne gorączkowej gry najprzeróżniejszych pierwiastków. Na południu od granicy najezdczych Połowców, wcześnie nad brzegami Suły i Rosi sadowią się turańskie drużyny Berendejów, Torków, Karatułów, wzmacniane swojskiem zbiegowstwem Bradników, i czynnie wcielają się w życie ruskie, przygotowując podstawę przyszłemu kozactwu, mającemu tyle zaważyć w życiu południowej Rusi.

Północny odłam szczerosłowiańskiej Rusi stykał się za Dnieprem z południowym odłamem na porzeczu Desny, krainą Siewierzan. Powstały tam w rodzie Swiatosława Jarosławicza dwa księztwa: Czernihowskie, zbliżone znacznie do typu południowego, i Siewierskie, obejmujące i krainę Wiatyczan nad Oką. Było to coś pośredniego w etnologicznym i politycznym układzie Rusi: Czernihów ciężył ku Kijowu, Wiatycze stanowili przejście ku Rusi nowej — zaleskiej. Polityka książąt Czernihowskich była wyrazem polityki całej średniej Rusi, usiłującej rozszerzyć swój też wpływ wszędy, co przy znanym burzliwym charakterze potomków Olega i ich współzawodnictwie z Monomachowiczami, stało się przyczyną nieustannych zawichrzeń starej Rusi. Najdzielniejszym zaś polityki tej wyobrazicielem był Świętosław Wszewołodowicz, książe Czernihowski. Charakterem politycznym ludu była dziwna wierność swemu rodowi i wspieranie go we wszystkich burzliwych wysileniach współzawodnictwa z Kijowską Rusią, jak nie mniej w nieustannych walkach z koczowniczymi Połowcami, które spowodowały i pochód siewierskiego Igora, i następnie znakomite w poezyi słowo o jego pułku. Księztwo Smoleńskie, zajmujące porzecze górnego Dniepru i Soży, to jest krainę Radymiczów i wschodnią część Krywiczan, od wieków wyosobnione z massy Krywickiej i bardziej ciążące niż ta ku południowi, zczasem utworzyło stałą dzielnicę rodu Monomacha w linii Rościsława Mścisławicza. Nie uwydatniło ono w sobie wybitnych cech, ani politycznych ani etnologicznych; ściśnięte obrębem innych ruskich dzielnic, nie miało mocy przejawienia się silniejszego na zewnątrz. Za to też książęta jego szukali pola dla swego rycerskiego ducha w oddali: jak dwaj Mścisławowie, z których Chrobry walczył za wolność Nowogrodu przeciw Suzdalcom, a Udały—w Haliczu przeciw Węgrom, nad Kałką później, z Tatarami.—Księztwo Połockie, które składał zachodni przestwór ziem Krywiczan, od wieków posiadający dość silną autonomią pod swymi warazkiemi książęty, następnie dzielnica rodu Izjasława syna Włodzimierza Świętego z Rogwoldowny Rognedy, w całym ciągu obecnego peryodu wyrażało swe polityczne i plemienne wyosobnienie, wspierając wyłączne interesa swych książąt. Na chwilę podbite przez Monomachowiczów za Mścisława Wielkiego, po powrocie swego rodu, wygnanego za związki z Połowcami do Grecyi, z nową siłą rzuciło się w jego objęcia. Krywicze tutejsi przestrzegali jedynie swych własnych interesów, nie pytając o resztę

Rusi: niegdyś ulegli przeważnemu wpływowi Litwy, dziś zwierzchnicy jéj plemion po Dźwinie i Niemnie aż ku morzu niemal, szerzyli między niemi ruską cywilizacyą, posuwali w głąb' ich borów osady ruskie, przygotowując w ten sposób przyszłe zespolenie się cywilizacyjne Litwy ze Słowianami. Ztąd-to w składzie Rurykowskiéj rzeszy, Połoczanie najsilniéj utrzymywali swą własną, miejscową i plemienną, odrębność.

Ruś na Czudach. Nareszcie do północnego odłamu należały usłowianione lub słowianiejące krainy Czudów. Północno-zachodnia ich strona była udziałem Nowogrodu, wschodnia zaś—Rostowa, Suzdalu. Nowogród, co był pierwszym sprawcą sprowadzenia Waregów, w pojęciu dynastycznem był niby działem wielkoksiążęcéj władzy Kijowa, w rzeczy zaś saméj, raz zepchnąwszy Russów na południe, zostawał niezmiennie sam sobą: wolną grodową rzeczpospolitą, związaną jedynie cywilizacyą i potrzebą z resztą Rusi. Nowogród sam w sobie stanowi związek swych przygrodów słowiańskich i danniczych Czudów, na wybrzeżach Ilmenu i Fińskiéj zatoki, a z czasem i na porzeczu północnéj Dźwiny, gdzie władza książęca Ruryków jest tylko podrzędnym warunkiem, któremu chętnie ustępowano, ze zwyczaju lub chwilowéj potrzeby. Interesa jego inne są niż interesa Rusi: Czudzcy jego poddani nie są poddanymi ogółu Rusi; jego *wołosť*, mocno z przyczyny etnicznéj wyróżnia się od reszty włości ziem ruskich. Widocznie jednak ciążenie ku południowi. Społeczność to handlowo-arystokratyczna miejska, słowiańska w duchu i roznosząca swe słowiaństwo leniwie na daleką północ, słaba liczebnie — nie zdolna sprostać wpływom inercyjnym mass czudzkich. Krainy czudzkie: Mera na porzeczu górnéj Wołgi, Weś przy Białem jeziorze (Wes-jerwe) i Muroma z Meszczerą, wzdłuż dolnéj Oki,—od wieków widocznie podległe wpływom Normanów, oraz Słowian Nowogrodu i Wiatyczów, objęte teraz w zakres rzeszy ruskiéj, od czasu przyjęcia wiary chrześciańskiéj a z nią stanowczéj przewagi słowiaństwa, stały się biernym materyałem podbojowego pochodu tego żywiołu na północ i wschód. Lecz i w słowianieniu powierzchownem nie przestały one przechowywać tak ogólnych cech swego czudzkiego ducha, jak i odrębnego upostaciowania onego w pojedyńczych plemionach; utrzymaniu zaś tych odrębności pomagały i losy polityczne kraju. Uderzającą różnicę moralną pomiędzy słowiańskiemi a czudzkiemi północy plemionami widzimy już w trybie przyjmowania przez nie chrystyanizmu: wtedy gdy u Słowian chrzest święty mniéj więcéj swobodnie się szerzył, na Czudach wywoływał zapamiętałe przeciwdziałanie; u Mery pierwsi dwaj biskupi Rostowa musieli uciekać, trzeci, Ś. Leonty, został przez pogan zabitym (1070), a za Monomacha jeszcze (1113 — 25) w Rostowie stała świątynia Welesa. Nie mniéj zacięty opór stawiała i zostająca pod wpływem muzułmańskich Bółgarów i Mordwy, Muroma: Książe Jarosław (Konstantyn) Świątosławicz († 1129), po stracie zabitego przez

niewiernych syna, zmuszony był przemocą Murom zdobywać. Do XIII zaś wieku wpływ czudzkich Wołchwów na całéj północy jeszcze był potężnym. Rozgruppowanie polityczne etnologicznemu odpowiadało: Mera,ześrodkowana pierwotnie koło Rostowa, utworzyła księztwo Suzdalskie, obejmujące i Weś białozierską, w rodzie Monomachowicza Jerzego; Muroma, jako dział linii czernihowskiéj w potomstwie Jarosława Swiatosławicza, weszła w dzielnicę razańską. Pomimo wszakże różnicy panujących rodów, utworzyły one jednę plemienną polityczną gruppę na północo-wschodzie. Ruska jéj samoistność wybitnie przedstawia się już w połowie XII wieku. Bierność żywiołu czudzkiego, wewnętrzna potrzeba centralizacyi,—pozwoliły tu wznieść się idei autokratycznéj, która napróżno była popieraną przez przejęte byzantynizmem duchowieństwo w szczeréj Rusi. Na téj to idei wsparci suzdalscy kniazie zadali cios Kijowu i staroruszczyźnie, cios politycznéj ruskiéj jedności, i powołali do życia żywioł noworuski na Wołdze. Już 1159 r. Andrzej Bogolubski domaga się u Patryarchy osobnego Metropolity dla północy.

Rozszczepienie się Rusi.

Pomimo swego rozczłonkowania, szeroka ta społeczność ruska przedstawiała wszakże w tym okresie czasu wszelkie pozory poważnéj jedności — nie tylko cywilizacyjnéj, lecz politycznéj i narodowéj nawet. Pozory te długo trwać w rzeczywistości nie mogły i już w następnym okresie składowe pierwiastki rurykowskiéj Rusi, poprzez sieć dynastyczną, stanowczo wystąpiły z własnem życiem. Skutkiem tego rozpadła się ona teraz ostatecznie na swe dwa naturalne odłamy szczepowo-etnologiczne: południowo-zachodni czyli staro-słowiański i północno-wschodni w krainach słowieniejących Czudów. Dwa te odłamy, z postępem słowiańszczenia się drugiego z nich, coraz więcéj odstrychały się wzajemnie, dopóki u końca tego okresu nie wzięły stanowczego rozbratu. Przyczyn tego faktu dziejowego aż nadto, by je tu wszystkie wymieniać, dość, iż jedną z najprzeważniejszych była różnica etnologiczna. Wreszcie kto rozumie dla czego rzesza Franków Karola Wielkiego musiała przetworzyć się w dwa społeczeństwa — Niemców i Francuzów, ten łatwo pojmie i nieodzowność rozpadnięcia się wielkiéj rzeszy ruskiéj Ś. Włodzimierza. Odłam północno-wschodni rurykowskiéj rzeszy, chociaż był płodem ekstensywnéj siły północnych Słowian, chociaż wyrósł z ruszczyzny i wciąż nią się karmił, że jednak z natury rzeczy, musiał się oprzeć na massach „cudzych" krwią Słowianom, kierować się duchem odmiennym, przybrać odmienny historyczny charakter, a przez to i stawać też bez przerwy w dziejach, jako uosobienie pewnego antagonizmu— w dalszym swym procesie wyosobniania się właściwie tu do nas należeć nie może. Idea federacyjna, przenikająca ówcześnie cały przestwór prastarych siedzib północnego Słowiańswa, spotkała negacyą na jego gruncie. Ponieważ jednak jego potęga autokratyczna ciężyła bez przerwy nad starą Rusią, a co więcéj, był on zwią-

zanym z rzeszą szeroką północnych Słowian niejednym moralnym węzłem, — w dalszym tedy ciągu rozpoczętych tu śledzeń musi on choć nawiasowo zwracać od czasu do czasu naszę słuszną uwagę.

Dotknijmy teraz tych kolei staréj Rusi, które ją spotkały od czasu upadku Kijowa i stanowczego jéj rozszczepienia się na pierwotne składowe żywioły, aż do zespolenia się onych z Litwą. Wypada nam począć od ciosu, co ostatecznie wywrócił cały stary porządek rzeczy, a ciosem tym—najście i jarzmo tatarskie. Pierwszy napad Tatarów wywołał jeszcze solidarne wystąpienie całéj słowiańskiej Rusi, tak południowéj jak i północnéj, lecz już ostatnie. W bitwie przy Kałce (1224) brali jeszcze udział wszyscy prawie staroruscy książęta; odtąd północ i południe, nie mówiąc wcale już o Rusi nowéj, poszły zupełnie odrębnemi torami, przedewszystkiem, gdy zburzenie Kijowa przez Batego 1240 r. zgasiło ostatni promień idei, która z murów jego przyświecała. Ruś zachodnio-północna, biała, — krainy krywickie, zgruppowane koło Połocka i Smoleńska — osamotniała wśród powszechnéj rzeszy; jéj położenie i interesa, jéj mocno przechowana samoistność plemienna, wyosobniły ją najzupełniéj. Dziedzina rodu Połockiego, przez swe rozdrobienie i nieustanne domowe zwady książąt, straciwszy spójność a z nią i moc dawną, musiała stracić i tę przewagę zwierzchniczą, którą niegdyś w swém skupieniu wywierała na litewskie plemiona. Wzniesiony wśród Łotwy zakon mieczowych rycerzy, wyrugowawszy z tamtąd władzę połockich książąt, posuwał swe zabory w górę po Dźwinie; z drugiéj strony, równie od zachodu, wyjarzmiona pogańska Litwa roznosiła zniszczenie od wierzchowisk Wilii i Niemna. Coraz potężniejące przez organizowanie się postępowe siły wrogów spotykały wśród Krywiczów najzupełniejsze rozprzężenie jedynie. Dawny ich wpływ cywilizacyjny na Litwę stał się teraz narzędziem ich zguby: wtajemniczona w życie ruskie Litwa, wśród sprzyjających dla się okoliczności, przez assymilacyą swych wyższych warstw, z łatwością teraz mogła je pochłonąć, tem pewniéj, o ile wstręt Krywiczan ku jednorodcom nie pozwalał im w razie danym na nich się oprzéć. Ztąd też z dziwną szybkością dzielnice połockie przechodziły jedna po drugiéj w ręce Litwy i raz zdobyte dostawały się w polityczny wir téj ostatniéj, wejściem swem przygotowując stanowcze zmiany i w reszcie Rusi; Krywicze zaś, zespalając się politycznie z Litwą, obok przejmowania jéj jeszcze bardziéj swą ruską kulturą, stale towarzysząc szczęśliwéj gwieździe niemeńskich zdobywców, w następném szerokiém zrzeszeniu litewskiém zdobyli stanowczą przewagę nad współplemiennikami południa. Co do księztwa Smoleńskiego—to, przestawszy ciężyć ku Kijowu, ściśnięte z dwóch stron przez napór suzdalskiej Rusi i Litwy, rozjednione w sobie, długo wywalczając swą odrębność, ze wzniesieniem się potęgi Gedymina musiało pójść za główną massą i na długo poddać się pod zwierzchnictwo Litwy. Polesie górne, dregowickie, uśpione w swéj bierności politycznéj, po wzniesieniu się rodu wo-

łyńskiego w południowéj Rusi, poddane jego przewadze, staje się czasowo pobojowiskiem téj ostatniéj z Litwą, któréj wylewowi na południe nie zdoła stawić oporu; następnie, podobnie jak i Krywicze, ściśléj się z nią jednoczy.

Ruś południowa po dotkliwym ciosie zadanym przez Suzdal Kijowu (1169), utraciwszy ostatecznie wieniec pierwszeństwa i przewodnictwa, który dotychczas zdobił jeszcze jéj stolicę, zamknęła się odtąd wyłączniéj w swym miejscowym bycie. Widmo staréj sławy Kijowa jeszcze obudzało namiętną ambicyą książąt, jeszcze ubiegano się o święty gród,—kniazie czernihowscy, smoleńscy, wołyńscy wzajem wydzierali go sobie; lecz w istocie rzeczy ogniskiem południowego życia został już Halicz. Po najściu Tatarów, skutkiem bezpośredniego sąsiedztwa z hordami, kijowskie Podnieprze zupełnie opustoszało: grody padły, sioła spłonęły, lud się rozbiegł, bojarstwo się wyniosło w bezpieczniejsze strony. Lecz za to, gdy następnie powoli lud począł znów osiadać, gdy kmieć (smerd) tylko Tatarom był danniczym, dawny gminny tryb bytu stopniowo bierze górę na stepach, i takim go tu zastaje Gedymin. Po wygaśnięciu rodu Wołodara (1198), Ruś czerwona, halicka, niepokojona przez Węgrów, pomimo usiłowań zerwania zupełnego pęt dynastycznych, dostała się w dziedzictwo domowi wołyńskiemu; skutkiem czego Wołyń i Polesie zachodnie, ściśléj zespalające się z nią, nadały jéj niezwykłą siłę. Wyniesiony za pomocą Małopolan Roman Mścisławowicz, stawszy się panem tylu krain, rozwinął swą potęgę niesłychanie: zajęty obroną Rusi od nacisku Polszczy i Węgier, jak z drugiéj strony od najazdów litewskich, nieczuły na odezwy papiezkie (Innoc. III 1204), nie spuszczał on z uwagi i wnętrza kraju, prześladując nielitościwie wyrabiające się na wzór zachodni możnowładztwo, przeciwne jego autokratycznym popędom. Lecz zostawszy rzeczywistym zwierzchnikiem „W. Kn. i Samod." całéj południowéj Rusi, gdy umyślił posunąć swą przewagę ku Wiśle, zapęd ten przypłacił życiem, pod Zawichostem 1205 r. Po jego śmierci, trzymane dotąd w spójni sprężystą władzą, różnorodne cząstki południowéj Rusi poczęły się natychmiast rozkładać; społeczne żywioły zawrzały; 1208 r. Książęta Igorowicze z Siewierza, w tajnéj zmowie, mordują 500 znakomitszych bojarów, po czém, niesłychanym przykładem, zostają sami powywieszani, a jeden z bojarów, Władysław, 1213 zasiada na tronie halickim i ustępuje go tylko Polakom i Węgrom. Cudzoziemcy nie omieszkali z zaburzeń korzystać; niebezpieczeństwo było oczywistém: na Haliczu zapanowali Węgrzy z ukoronowanym na króla ruskiego Kolomanem (1214), i poczęli prześladować otwarcie cerkiewny obrządek. Ale dzielny, rycerski Smolan książe, Mścisław Śmiały (1218 — 1221) zdołał ująć wzburzone pierwiastki w dawne karby i stanąć na czele całego południa; tak przewodnicząc całéj staréj Rusi, razem z dwoma innymi Mścisławami, Kijowskim i Czernihowskim, spotkał on Tatarów nad Kałką 1224. Następne zniszczenie przez Batego (1240) zastało już u ste-

ru władzy Romanowego syna, Daniłę. Potężny ten książe, istotny zwierzchnik całego południa, pan Halicza i Kijowa, Czermna i Ukrainy, (1230 — 1239) nie myślał bić czołem hanowi. Przez wychowanie swe obeznany bliżéj z zachodem, nie przeciwny wpływom jego moralnym, przedsięwziął w nim — u sąsiadów Polszczy, Węgier i Czech—i w religijnéj powadze Papieża szukać ostoi przeciw dzikiéj przemocy hord tatarskich. Rozwierając wrota wpływowi zachodu, przyrzekając religijnie z nim się zuniować, r. 1254 koronował się i przyjął tytuł „Króla Ruskiego". Lecz zawiedziony w nadziejach, zerwał z Papieżem, ukorzył się przed hanem i korzystając z powagi, jaką sobie zjednał w „ułusach," całą siłę wytężył na podniesienie kraju z ruiny i stałą konsolidacyą nowego królestwa. Zamierzał on swą władzę posunąć i daléj na północ, poza bory poleskie; ale tu spotkał godnego siebie przeciwnika w Mendogu, który, jako pan Litwy i ruskich Krywiczan, ze swéj strony ciężył nad Rusią południową. Walka równie silnych przeciwników, nie sprowadzając nic stanowczego, ułatwiła przecie przyszłe ich państw zbliżenie, przez zawarte w wyniku onéj związki pokrewieństwa. W skutek, tego jeden z synów Daniła Swarno, został na czas jakiś księciem litewskim, lecz już brat jego Lew, pomimo pomocy Smolan, Siewierzan i Tatarów, napróżno usiłował utwierdzić swą władzę nad Litwą. Rozdrobniona po śmierci Daniła 1264 r. Ruś czerwieńska zjednoczyła się raz jeszcze pod berłem wnuka jego Jerzego Lwowicza 1301, r. († 1316) co ostatni umiał utrzymać jedność kraju i świetność korony ruskiéj. Po nim ostatecznie Ruś południowa poszła w podziały i przy osłabieniu wewnętrznem a wzrastającéj potędze Kazimierza i Gedymina, już to na mocy krewieństwa kniaziów, już zbrojną przemocą zmuszona, w znaczniejszéj swéj części stała się dziedziną Litwy i weszła w łono rzeszy nowéj, uosobionéj w książęcym rodzie Gedymina, na czerwieńskiem zaś pograniczu Polszczy przechyliła się ku téj ostatniéj. Ruś halicką w taki sposób przewidywany los spotkał: same warunki geograficzne i odwieczne tradycye zwracały ją wciąż z biegiem Sanu i Bugu ku Wiśle, teraz wyrobione na wzór Polszczy społeczne żywioły zbliżały ją ku niéj jeszcze ściśléj. Po śmierci ostatniego potomka Daniły, Jerzego II (1336 — 7), Czerwieńce powołali na tron mazowieckiego Bolka Trojdenowicza; lecz ten nieszczęśliwe swe rządy opłacił życiem r. 1340, a ziemia czerwieńska, wyjąwszy zagarniętą przez Litwę (Lubart) znaczną część Wołynia, jako feudum korony zajętą została przez Kazimierza Wielkiego. Pustynią prawie leżąca po okrutnem spustoszeniu Tatarów, Ruś pod jego ręką szybko rozkwitać poczęła; jéj niechęć początkowa na szczere oddanie się wprędce się zamienia,— Detko, starosta przemyski, z wroga nawołującego Tatarów niebawem czynnym wielkorządcą kraju zostaje. Mając na widoku poszukiwanie z czasem praw swych do całości byłego królestwa ruskiego, Kazimierz podnosi episkopat halicki na stopień metropolii kraju.

Wprawdzie uległa Ruś ciężkiemu losowi za Ludwika od prozelityzmu Węgrów, ale tem chętniéj przeto odpowiedziała na wezwanie Jadwigi (1387) i stale już zjednoczyła się z Polszczą. W nowém swém położeniu stała się ona węzłem, łączącym na przyszłość Polszczę z dalszą Rusią, rozsadnikiem zasad jéj uspołecznienia i oświaty, zadatkiem jéj potęgi i zwiastunem szerszéj politycznéj północnych Słowian unii. — Przestrzeń ziemi, zawarta między Dniestrem a Karpatami, wzdłuż Prutu aż do morza, leżąca na gościńcu stepowych hord w ich wylewie ku zachowi, początkowo jednak zajęta w części przez słowiańskie plemiona Ugliczów i Tywerców, wcześnie wciągnięta w wir zwad Rurykowiczów (Berładnik), następnie stale była uważaną za zależną od Halicza. Nawiedzana i zajmowana przez Pieczyngów — do połowy XI wieku, przez Połowców następnie, i nosząca ztąd nazwę „Pacinacii" najpierw a później „Kumanii," w połowie XII wieku leżała ona pustynią. Po klęsce nad Kałką, znowu pokryta namiotami ściganych przez Tatarów Połowców, a po ustąpieniu ich (1241) do Węgier — swobodne koczowisko hord, dopiero zwycięztwami Kazimierza i Ludwika od nich uwolniona, zwolna, począwszy od połowy XIV wieku, okrywa się stadami przychodnich z Maramosza Wołochow — (Dragosz koło 1359). Hospodarowie ich—Multańscy—zależni są zawsze od władców Rusi, nie mniéj jak i basarabscy, z południa przybyli, między ujściami Dunaju i Dniestru. Polska, ogarniając Ruś Czerwoną, zachodziła w jéj prawa zwierzchnicze: Kazimierza W. spotkał opór, lecz Jagiełło chętnie uznany był za pana przez wojewodę Multan nawet, czyli Wołoszczyzny dalszéj, „muntańskiéj," zapłanińskiéj. Wschodnie krainy Daniłowego królestwa, znaczniejsza część Wołynia i Kijów z całą Ukrainą po obydwóch brzegach Dniepru, dostały się w ręce Gedymina. W skład jego rzeszy weszła i znaczniejsza część dziedzin rodu Czernihowskiego. Krainy te, stanowiące coś pośredniego w systemacie staréj Rusi, rozdrobione na mnóstwo książęcych dzielnic, tak z przyczyny geograficznéj, jak i współzawodnictwa swego zwierzchniczego rodu o hegemonią z Monomachowiczami, pomimo bardziéj północnych cech swych mieszkańców, ciężyły nieustannie ku Kijowu, wyjąwszy może jednę tylko ziemię Wiatyczan, która z biegiem Oki wcześnie zwróciła się do Suzdala i razem z Muromą poddała się jego politycznéj przewadze. Lecz dzielnice starych Siewierzan podzielały losy południa: na Kałce razem z innymi krew leli i czernihowscy kniazie, jak Mścisław Światosławicz; podług zwyczaju zaś wadząc się ciągle o Kijów, książęta razem z nim wydają na łup i swój Czernihów i korzą się przed Tatarami, a Michał ginie nawet po męczeńsku w hordzie. Następnie dzielnice te, wolą hana oddane zwierzchnictwu Suzdala, tem bardziéj pochylają się ku zachodowi; popierają zamachy halickiego Lwa na Litwę, a z upadkiem Kijowa, i same, jedna za drugą, poddają się zwierzchnictwu rodu Gedymina.

Litewszczyzna.

Pośrednikami ostatecznéj i stanowczéj spójni zachodniego i wschodniego odłamu północnych Słowian były ludy litewskie. Przyczyny tego tkwiły tak w geograficzném ich położeniu, jak również w pokrewieństwie ich ducha z duchem Słowian, a następnie w rozwoju wypadków historycznych. Odwieczném ich siedliskiem były porzecza dolnéj Dźwiny, Niemna, Pregoli (Lipca), na znacznéj nadmorskiéj przestrzeni, od Salisu niemal do ujść wiślańskich; na któréj to przestrzeni plemiona litewskie, stykając się w swych stałych siedzibach, od północy z czudzkimi Liwami, sięgały na południo-zachód—słowiańskich Pomorzan. Od strony lądu opasywali je półwieńcem sami Słowianie: na wschód Krywiczanie i Dregowicze, od południa Bużanie i Mazury. Rozproszone na tym przestworze pokolenia litewskie stanowiły następujące gruppy plemienne: na północ Łotwa, Korś i Zemgoła; na południe Prusowie i Jaćwież, w środku Żmujdź i właściwa Litwa — Neroma. Najżywszą spójnią tych ludów była ich kultura, oparta na religii, będącéj przeobrażeniem staro-aryjskich pierwiastków pod wpływem nowszego skandynawizmu. Są ślady podaniowe, upoważniające do przypuszczenia, że pierwotnie wszystkie ludy litewskie nad Baltykiem — ich Białem Morzem — stanowiły jednę obszerną rzeszę gminowładno-teokratyczną. Na czele jéj stał najwyższy kapłan (pruski) Krewekrewejto, mający niekiedy widocznie religijne uznanie i u sąsiednich Słowian nawet, jak naprzykład u Mazurów i dalekich Krywiczan. Ściślejszy związek dostrzegamy następnie między ludami nadniemeńskiemi bardziéj, dopóki Litwa nie ustanowiła u siebie własnego najwyższego Krewe. Z biegiem czasu nieograniczona władza teokratyczna, sprowadzona do powagi duchownéj jedynie, pod działaniem nieustannego wpływu Normanów rozprysła się pomiędzy tłum miejscowych reiksów i kunigasów, tworzących między sobą drobne plemienne związki. Nie tylko najbliższe etniczne powinowactwo dwóch szczepów, litewskiego i słowiańskiego, ale i odwieczne sąsiedztwo ich nad Baltykiem—utrzymywało między niemi najżywszą bez przerwy łączność. Wzmagało ją równosilne oddziaływanie wzajemne: wpływ Litwy na Krywiczan i Lutyków jest widoczny; nie mniéj pewném to, iż w rzeszach Prusów, Jaćwieży, wśród Litwy górnéj, było wiele słowiańskiego pierwiastku; a poza obrębem tego, jak jeden tak drugi szczep, mniéj więcéj w równéj prawie sile, ulegał nieprzepartemu naciskowi Skandynawów. Pogańska ich kultura była jednéj prawie natury, tylko dzielniejsza może u Litwy; byt społeczny i polityczny zbliżone do siebie, — gminny byt ludowego tłumu, przy wielmożności warstwy zwycięzczéj, obcéj. Charakter i tryb życia nie mniéj blizkie wzajem: większa tylko religijność i łagodność usposobień między ludem niż u Słowian, przeważnie wojenna surowość w warstwie zwierzchniczéj. Zaciekła wytrwałość, z jaką broniły ludy litewskie swojskości, zwartéj w sprzecznym Słowianom teokratyzmie, długo była rękojmią niedoli ich i potęgi. Od chwili po-

wstania dwóch politycznych rzesz, Lachów i Russów, państw Bolesława i Włodzimierza, bezmierny wpływ Normaństwa na Litewszczyznę zaczął się ograniczać jedynie na krainy nadmorskie; z biegiem rzek w głąb' kraju zaczęli posuwać się energiczniéj Słowianie, tu zmuszając lud do chrztu i dziesięciny, ówdzie wznosząc grody dla zapewnienia daniny. Mazowszanie darli się ku Prusom; Książęta Północy ściągali daninę z Łotwy, Zemgoły i Neromy; Jaćwież zmuszona była zacięcie zastawiać się zarówno od Lachów i Rusinów. Na widownię historyczną najwcześniéj wystąpili najbliżsi zachodowi a stojący moralnie niejako na czele Litewszczyzny Prusowie, ruchem swym powołując do silniejszego życia i resztę pobratymców.

Prusacy, zajmujący brzeg baltycki od Wisły do Niemna, stanowili związek kilkunastu pokoleń, którego spójnią moralną była władza teokratyczna litewskiego Krewe, przewódcami — normańska szlachta reiksów, wikingów, a massa ludu onego bodaj czy nie przez pół słowiańska. Zostawali oni od wieków w stosunku zaciętéj zwady lub ściślejszego sojuszu z sąsiednimi Mazurami. Ze wzmaganiem się potęgi Piastów dotknięci zostali silnym jéj naciskiem: chrzest i dziesięcina zagroziły im stanowczo. Przyszła i na nich koléj: przy osłabieniu Polszczy przez podziały, z uciskanych—niszczyciele, stali się grozą dla Mazurów; książe tych ostatnich Konrad (r. 1222) wydał ich na pastwę niemieckiego krzyżactwa. Powstała walka śmiertelna: Prusacy ulegli jarzmu nakoniec; znaczna część ludności—wytępiona w wiekowém bojowaniu; pierwiastki słowiańskie utrzymały się do dziś u granicy Mazowsza tylko, litewskie zaledwie nad Niemnem przetrwały. Zakon krzyżowy wniósł z obcym żywiołem siłę rozkładową, nie dozwalającą na długo bratnim ludom ująć się za ręce; lecz z drugiéj strony przyczynił się do sfanatyzowania uczuć narodowych, i te obudziły energiczniejszy późniéj odpór. W Jadźwingach, Jaćwieży, również rzeszy możnowładnéj a różnoplemiennéj, na tle żywiołu litewskiego trudno nie dostrzedz pierwiastków słowiańskich i azyatyckich nawet, których wpływ przeważny uwydatnia Jadźwingów w pewien, bardziéj wyosobniający się z łona Litewszczyzny, indywidualizm. Zajmując leśne porzecze Narwi od Niemna po Bug, ściśnięci przez Ruś i Polszczę, wcześnie (od końca X wieku) poczęli oni ulegać to jednéj to drugiéj. Zacięci przestrzegacze starego obyczaju, przy nacisku Chrystyanizmu, zbrojnie wnoszonego przez Krzyżaków i Słowiańskie sąsiedztwo, sfanatyzowani do rozpaczliwego boju, w ogólnéj walce litewskich ludów, z dzikiém bohaterstwem bronili się od zagłady. Tém nie mniéj zagłada ta z niepojętą zaciętością przez Ruś i Polaków (1264) została dopełnioną: Jadźwingowie zostali w znacznéj części wytępieni, a kraina ich—Podlasie—stała się łupem sąsiadów, co ją na przemiany sobie wzajem długo jeszcze następnie wydzierali. Właściwa Litwa, to jest Neroma i sąsiednie jéj pokolenia po górnym Niemnie w krainie Aukstote, najpierw ulega wyjątkowiéj swemu krewie i kunigasom licznym; na-

stępnie, po umocnieniu się Waregów na słowiańskiej północy, pozostaje wspólnie z Letgołą i Zemgołą długo danniczką rodu połockiego. Od czasu rozprzężenia skupionych sił dziedzictwa Rogwolda, swobodniéj w swych puszczach w ciągu XII wieku organizująca się, ośmielona napadem Tatarów, nie tylko zrzuca jarzmo ruskie, lecz odrazu groźnie występuje do odwetu, posuwając swoje zabory po krywickiéj Rusi. Wskutek gwałtownego nacisku Krzyżactwa z poza Niemna i Dźwiny, stawszy się środkowem ogniskiem litewskich ludów, miejscem zbiegowiska i przytułku prześladowanych, naraz ujrzała się ona w nowych warunkach życia i stanęła na czele pobratymców. Władza drobnych kunigasów i powstałych pod ruskim wpływem bajoras, pod grozą konieczności poczęła się coraz bardziéjześrodkowywać; w miejsce doraźnych zrzeszeń, wystąpiła w XIII wieku na wzór ruski władza polityczna Wielkiego Księcia, zmierzająca do samodzielności, a naród przyszedł do samopoznania sił własnych. W skutek takiego rozwoju sił narodu, zwierzchni książęta litewscy, od czasów od Ryngolda (około 1225 r.) poczęli być groźnymi wszystkim zarazem sąsiadom; bardziéj zaś gdy Mindowe (1240) zdawał się stawać na czele całego litewskiego szczepu. Żmujdź — Litwa dolna na północ od Niemna, między Niewiażą a morzem — w łonie któréj pierwiastek szczery litewski, pomimo wpływu skandynawizmu, najczyściéj stosunkowo do innych plemion się przechowywał, wyzwana do walki pochodem gwałtownym niemieckiego chrześciaństwa, wciągnięta przez Litwę do ogólnéj sprawy, nic ze swéj właściwości nie utraciła. Sfederowana z tą ostatnią, pod jéj zwierzchnictwem niejako, nieraz zarywana przez Teutonów, bez przerwy strzegła swéj teokratyczności i kmiecego gminowładztwa. Porzecze Dźwiny, objęte przez plemiona Letgoły z północy a Zemgoły z południa, dannicze Krywiczom z końcem XII wieku, razem z plemieniem czudzkiém ustępujących Łotwie Liwów, stało się łupem Kawalerów Mieczowych. Założony w krainie Liwów (1205) w widokach pobożnych podbojów Zakon, wstrząsnął zapowiedzią niebezpieczeństwa, całe litewskie sąsiedztwo; wzięto się do energicznego odporu. Lecz w ogólnem poruszeniu ludów litewskich, z przyczyny może starego plemiennego antagonizmu i odmiennego rozwoju uspołecznienia, co zobojętniło rodowe ich uczucia religijne, plemiona łotewskie podrzędniejszą odegrały rolę. Łatwo dość dały się one ochrzcić i powodować Niemcom, osobliwie zadźwińska zmieszana z Liwami Łotwa, z przyjęciem chrztu zrywająca na wieki bratni związek z resztą Litewszczyzny. Więcéj dzielności okazali Kurowie, Korś, nad Windawą, przy morzu siedzący, przesiąknięci skandynawizmem, jak Sembi w Prusiech, głośni rozbójnicy morscy. Nie zaraz dali się oni ujarzmić; długo towarzyszyli Litwinom w śmiertelnych zapasach i utrudniali podbój ostateczny Krzyżactwu. Dopiero gdy oba Zakony połączyły się z sobą (1237), zamachy niemieckie poszły raźniéj i stanowczo. Odtąd cała siła odporu zwarła się na Wilii

i Niemnie, a Litwa, zmuszona bronić się już od zagłady, spotężniona w duchu przez nieustanną walkę, odważywszy się raz stanąć w imię całego szczepu, zdobyła sobie niebawem głośne stanowisko w dziejach północnego Słowiaństwa i całej Europy.

Litwa. Począwszy od XIII wieku, potok bieżących wypadków, upotężniając nieustannie Litwę, prowadził ją prostym torem do myśli zgruppowania dokoła siebie wszystkich litewskich ludów w jednę silną polityczną całość, zrzeszoną w imię starego ojców obyczaju. Pierwszym, co podniósł tę myśl i niezmordowanie przeprowadzał ją w swém życiu, pierwszym bohaterem Litewstwa, był niezaprzeczenie Mindowe, Mendog (około 1240—63); ale był on zarazem i ostatnim szczero-Litwinem. W jego osobistości uwydatnia się wybitnie cała potęga i cała niemoc zarazem żywiołu, na którego stał czele: potęga rozpaczliwego odporu pogaństwa i litewszczyzny starej, niemoc wobec konieczności wejścia w grono chrześciańsko-europejskiego społeczeństwa, konieczności ściślejszego zespolenia się z sąsiednimi Słowianami. Widać w nim niepewne, gorączkowe rzucanie się, a w losie jego ludu brak wewnętrznéj organicznéj podstawy i konieczność oparcia się na czémś obcém. Niezmordowanie zmierzając doześrodkowania władzy drogą zwierzchnictwa feudalnego, uzbraja on w domu cały drobno-książęcy żywioł przeciwko sobie. Zagrożony przezeń i ośmielonych tém wrogów zewnętrznych — Zakoń mieczowy i Ruś halicką — nad przepaścią zguby, rzuca się z wyrachowaniem w objęcia Zachodu, katolicyzmu i zakonu — zostaje chrześcianinem i przyjmuje od Papieża (1252) koronę. Zneutralizowawszy tém wrogów, cierpliwie powolny nowym spółwiercom, stale podąża za swoją myślą główną, rozprawia się z Rusią (1258) i gotuje powszechne powstanie ludów litewskich przeciw pochłaniającym je zwolna Zakonom. Wyprzysięga się krzyża, podnosi całą Litewszczyznę (1260—61) i wstrząsa do posad potęgę Niemców. Lecz tak upotężniony, przygotowany do bardziéj organicznego zadania, ginie (1263) z rąk zabójcy, ten pierwszy i ostatni pogańskiéj Litwy mąż polityczny. Cała jednak doniosłość jego usiłowań świadczy tylko o najzupełniejszéj niemożności wydźwignięcia już w ówczesnéj Europie narodowo-politycznego organizmu, opartego na podstawie pogańskiéj kultury. Posłannictwo przecie pogańskiéj Litwy nie jest bez znaczenia: ocalając rodowość swą od Germanizmu i wylewając się na Ruś zarazem, postawiła ona stanowczą tamę nawale Tatarów na zachód. Wiodła ją ku temu konieczność położenia: niebezpieczeństwo od strony Niemców narzuciło potrzebęześrodkowania sił feudalnemi węzły; a niedostateczność sił własnych kazała szukać ich pomnożenia, przez postępowe szerzenie lenniczéj zwierzchności po przestronnéj a rozprzężonéj zupełnie sąsiedniéj Rusi, — co następnie zetknęło bezpośrednio Litwę z Hordą. Konieczność ta położenia była tak stanowczą, że im bardziéj cięży li Krzyżacy, tém usilniéj Litwa pomnażała lenników na Rusi. Litwa też za czasów Mendoga, biorąc odwet na Rusi, nie

tylko powróciła już była ku własnym swym źródliskom Niemna i Wilii, zdobywając (około 1240) Nowogródek i całą Ruś jaćwiezką, lecz posunęła się daleko i poza swe przyrodzone granice: krainy Połoczan i Dregowiczów, panów dawniejszych, stały się jéj udziałem, a wylew jéj na południe powstrzymanym tylko został siłą nowopowstającego pod Daniłem królestwa Rusi. Po śmierci Mendoga przeciągłe rozprzężenie Litwy zdaje się ją narażać na ostateczną zagubę. Zakony ujmują ściśléj Prusy i Łotwę, ściskają bardziéj Żmujdź samę; lecz Litwa wytrzymuje nacisk, pod Lutuwerem (około 1283) i Witenesem (1315) zdobywa znów jedność i moc zwierzchniéj feudalnéj władzy, i w nieustannych drobnych zapasach a walce o ustalenie porządku, wprowadzonego przez Mendoga, wyrabia siły do bardziéj stanowczego wystąpienia. Wystąpienie to zgotował jéj niebawem Gedymin (1315—1339) wynosząc ją na stanowisko prawdziwie państwowéj potęgi. Jest on bowiem istotnym twórcą nowego zrzeszenia ludów wschodniéj Słowiańszczyzny w postaci wielkiego księztwa Litewskiego, co już zmierza do znalezienia w sobie i poza sobą wyższych cywilizacyjnych podstaw bytu. Władca Połocka i Nowogródka, rzuca się ku osłabionéj Rusi południowéj; zajmuje najpierwéj Wołyń, następnie Kijów z Perejasławiem i Siewierze; posuwa swe zabory aż ku stepowym koczowiskom Tatarów i nakazuje im poszanowanie. Zapobiegliwy organizator polityczny, wiąże wszystkie części i warstwy szerokiego państwa porządnie rozwiniętym układem feudalnym. Zwycięźca Rusi, widzący jéj ówczesną niemoc a rozumiejący nieodzowne warunki europejskiego wtedy państwa, porozumieć się gotów (1323) z Papieżem. Zawiedziony w tém przez Zakon, łączy się (1325) ściślejszemi węzły z Łokietkiem i walczy z Niemcami aż do utraty życia; z drugiéj zaś strony nie przestaje pomnażać swego wpływu po szerokich przestworach Rusi. Ale pochłaniając wyższe od siebie pierwiastki, Litwa sama się przeistaczała: deptana politycznie ruszczyzna stawała się coraz więcéj rzeczywistą moralną panią Litwy, tak, że od Gedymina już, wielkie księztwo Litewskie obejmujące całą prawie szczerosłowiańską Ruś starą, stawało się nie czém inném, jeno jarosławowskiém niejako wielkiém księztwem Kijowskiém ze stolicą w Wilnie. Było ono związkiem udzielno-feudalnym przeważnie słowiańskich ludów; szczero-litewska Żmujdź stała bowiem jakby w odosobnieniu wśród téj nowéj z litewska ruskiéj rzeszy. Lecz to wszystko właśnie, przy współdziałaniu nowych warunków, przygotowywało świt idei powszechnego zrzeszenia się północnych Słowian. Przy synach Gedymina, Olgierdzie († 1377 roku) i Kiejstucie († 1382 roku), Litwa, politycznie potężniejąc na wschodzie, przesiąkała tém żywiéj podwładną sobie ruszczyzną; lecz z drugiéj strony, mimo olśniewającéj potęgi, w rozwoju swym pochylać się musiała ku zachodowi — nieuchronnie i coraz to bardziéj stanowczo. Porządek staro-litewski rozprzęga się do ostatka. Kiejstut, rycerski jego przedstawiciel jeszcze, w walce z Zakonem zapamiętałéj, stoi właści-

wie na straży pozostałych granic tylko; bo pobratymce — ujarzmieni na wieki, a ostatni zastęp bronionego przezeń pogańskiego społeczeństwa, szybkiemi krokami zbliża się do stanowczego przeobrażenia się w swych posadach. Olgierd zaś, to już istnie ruski kniaź wielki: rozporządza dowolnie w północnych republikańskich grodach, trzyma w grozie Moskwę, a w posłuchu pomniejszych zadnieprzańskich kniaziów; ściga hordę aż w Krymie, burzy starożytny Korsuń (Chersonez) i zmusza Tatarów do uległości; usiłuje ustalić władzę swego domu na Czerwieńsku przeciw Polakom; daje opiekę metropolicie Rusi i pozwala synom swobodnie przyjmować chrzest cerkiewny; jednem słowem, występuje jako prawdziwy zwierzchnik ruskiéj ludów rzeszy. Lecz widoczna wszędy, że takie zespolenie się dwóch pierwiastków, z których żaden, z osobna wzięty, nie ma w sobie warunków samoistnego bytu, nie przedstawia rękojmi — nie tylko wyższego rozwoju, ale nawet saméj możności utrwalenia tak zrzeszonego politycznie organizmu. Nad Litwą wciąż wisi groza wcielonego w Zakony germaństwa, a Ruś stara, sama zasłonięta od Tatarów przez Litwę tylko, sama pokrzepiona zaledwie jéj politycznemi porządkami, nie jest zdolna jéj od grozy ubezpieczyć. Konieczność szerszego zrzeszenia się nieodzowna, osobliwie gdy Jagiełło układami na Dubissie (1382), z powodu niesnasek domowych, zmuszonym był zaprzedać się prawie zakonowi. Względem Rusi przecie Litwa, nie tylko biernie stawała. Wiążąc się ścisłemi sploty z Rusią, ulegając pod jéj wpływem najzupełniejszemu przeobrażeniu, staro-litewskie społeczeństwo wnosiło z sobą tém nie mniéj i swój ustrój, charakterystycznie wyrobiony. Było ono ostatniém w ówczesnéj Europie społeczeństwem pogańskiém, przedstawiało zatém w sobie wszystkie cechy istoty poganizmu w całkowitéj jego pełni, było, jednémsłowem, przedewszystkiém społeczeństwem niewolném. Wszystkie tam stosunki — rodzinne, towarzyskie, społeczne i polityczne, — opierały się na niewoli, wypływały z niéj. W rodzinie — z wielożeństwem despotyzm płci i wieku; w społeczeństwie — szczeblowanie względnéj zależności warstw i osób, piętrzące się w surowy system feudalizmu, ubezwłasnowalniającego wszystko pod wielkim księciem. Przy powszechném zaś rozsrożeniu się wojenném, pod przewodem normańskiéj krwi Kunigasów, uwojowniczony lud cały, groźny był swym sąsiadom, choć tak małoliczny i łagodny istotnie. Łatwo się on całkowity porusza, bo nie wkorzeniony jeszcze w ziemię przez rolnictwo: to bardziéj pasterz i łowca w bycie namiotowym prawie. Żywo znać w nim jeszcze, że ostatni ze szczepów Europy przybył tu ze wschodu, że najbardziéj przetworzonym został przez wpływ skandynawski; nie tylko religia jego, tak staro-aryjskiemi ślady uderzająca, tak mytami północy przesiąkła, to przypomina; lecz nie mniéj — względnie barbarzyńska młodzieńczość kultury narodu i upółnocnione niejako, a jednak uderzająco jeszcze wschodnie cechy, w zwyczaju, obyczaju, usposobieniu i charakterze. Nic zastanawiającego przeto, iż pierwiastek

litewski, odświeżając butwiejącą Ruś rzeczywiście — z drugiéj strony, podobnie jak tatarstwo z południa, zarazem osurawia ją nieco. Nawet u wstępu zbliżania się z nią religijnego, upogańszcza niejako szerzący się po kraju swobodnie chrześciański Rusi manicheizm. Wyraźniéj osurawia sam byt, obyczaj, stosunek społeczny, i opierające się na tém podstawy polityczne i cywilizacyjne. Lecz to z kolei prowadzi tém pewniéj do konieczności zwrócenia się całego wschodu staro-słowiańskiego ku wyżéj wyrobionemu zachodowi, do konieczności przyjęcia zarazem i wszystkich wyników podobnego zwrotu.

IV.

Postęp rozwoju idei federacyjnéj. — Różnorodność zrzeszających się pierwiastków. — Ruś stara. — Litwa. — Polszcza Piastów.

Postęp rozwoju idei federacyjnéj.

Gdy teraz, po skreśleniu powyższego obrazu, rzucimy okiem poza siebie, by przebiedz koleje, jakiemi kroczyła myśl federacyjna u północnych Słowian, aż do pierwszego szerokiego jéj wystąpienia w zetknięciu się przyjaznem Litwy z Polszczą, dostrzeżemy niezaprzeczony postęp w rozwoju. U kolebki pierwszych politycznych słowiańskich społeczeństw spoczywa ona nieświadomie, jako instynktowy popęd pokrewnych plemion ku samozachowaniu, jako doraźny środek uchylenia klęsk grożącéj burzy zewnętrznéj, najczęściéj znikający z nią razem. Zawsze jednak więcéj to popęd rodowy — krwi, aniżeli myśl narodowa lub polityczna; plemienna odrębność jest jeszcze tak silną, iż niweczy wszelkie szczytniejsze usiłowania trwalszego związku. Przecie pod silnym wpływem obcéj przemocy, skandynawskiéj najbardziéj, i trwalsze też związki powstają powoli — od czasu do czasu i w rozlicznych obrębach. Wyraźne ślady każą nam wnosić o trwalszém istnieniu, jeszcze przed epoką morawską, szerszych zrzeszeń: Syrbów i Chrobatów najpierw, później Lachów; jak równie w innéj stronie pozwalają przypuszczać byt rozległego związku Czerwieńskich Grodów, szerokiego zrzeszenia Krywiczan, przewodnictwa wreszcie Nowogrodu na Czudach. Trudno nawet zaprzeczyć istnienia uczuciowéj nici rodowego swojactwa całego szczepu, któréj ani wysiedlania się gromadne, ani szerokie obcych podboje nie zrywają wcale; myśl jednak jakiegokolwiek narodowego związku nie zdoła powstać o własnéj mocy. Trzeba ją niejako wycisnąć ciężeniem zewnętrznem. Istotnie też, obce ludy, obce interesa, obce idee — samochcąc idą tu w pomoc Słowianom, aż nareszcie, po długich niepewnych gruppowaniach się, powstają stalsze federacyjne grona. Na wschodzie wznosi się jedyna szeroka ruska plemion rzesza; na mniéj zaś szczęśliwym zachodzie,

słabszym od ucesarzonéj niemczyzny, ludność słowiańska, w tém nawet co ze szpon germanizmu wywalcza, rozpada się na dwie gromady: czeską i polską. Odtąd rzesze te nowe, zewnętrzną przemocą sprzężone, rosły, wyrabiały się i mężniały wewnętrznie, przybierając cechy ujednostajnienia narodowego, bez ujmy wszakże odrębnym plemiennościom. Praca ta dziejowa zajęła całe pięć stuleci prawie, nim z kolei, pod koniec XIV wieku, powszechnie nie została poczutą konieczność szerszego zrzeszenia się, objęcia już w splot jeden całéj północnéj Słowiańszczyzny. Idea ta powszechnego zrzeszenia się w jeden polityczny organizm była wyrobem ogólnego dziejowego życia północnych Słowian, żadną miarą zaś nie dziełem jakiéj jednéj tylko genialnéj osobistości, coby moc onéj odgadła i siłą woli wprowadziła w życie, lub chorągwią któregoś z plemion czy narodów, coby pod tém znamieniem dążyły do plemiennego przewodnictwa. Spoczywając niezmącenie w instynkcie naszych ludów, i w tym razie — z powodu ich ściślejszego zbliżenia się i zapoznania z sobą, z powodu skomplikowania się ich wspólnych interesów, przy ówczesném politycznem stanowisku na zewnątrz i stosunkach wewnętrznych, — stała się ona powszechną potrzebą ich wszystkich jednocześnie. Dopiéro samo faktyczne zrzeszenie się miało powołać do steru najżywotniejsze z plemion, dać przewagę silniejszéj, swém uspołecznieniem, narodowości; dopiéro wtedy mogły wystąpić szerokie stronnictwa, prowadzone głębszym umysłem pewnych wyższych politycznych osobistości. Jedném słowem, pod koniec XIV wieku, siłą wypadków historycznego rozwoju, skutkiem ościennego położenia i należycie zrozumianego powszechnego dobra, dojrzało tylko do głębszego przeświadczenia to, co spoczywało w saméj naturze politycznéj słowiańskich społeczeństw. Dojrzała właśnie konieczność szerokiego zespolenia się ludów i politycznego ujednostajnienia form ich bytu, bez nadwerężania miejscowéj i plemiennéj autonomii dziejowo wyrobionych indywidualizmów. A konieczność ta uznawaną była przez wszystkie ludy nasze zarówno.

Różnorodność zrzeszających się pierwiastków.

Dwa powyższe odłamy jednéj i téj saméj Słowiańszczyzny północy, przystępując do unii, federacyi, widziały, że są wielce odmiennémi od siebie; a do tego jeszcze — różniéj odmiennémi, aniżeli jak to było w pierwocinach zawiązania się wśród nich samoistnych politycznych społeczeństw. U kolebki różnicę tę stanowiły mniéj — nie uwydatnione jeszcze w dzieciństwie, etnologiczne i samoistno-cywilizacyjne przyczyny, aniżeli warunki urozmaiconéj miejscowości i względna, zewnętrzna czy moralna, zależność od obcych sobie wzajem innoplemieńców. Oczywiście, gdy wszystkie w ogóle pierwiastki szerszego życia zbyt były jeszcze upowite w stanie pacholęcym plemion, nie musiała przeto i między temi odłamami istnieć wielka różnica. Chrobaci naprzykład zdają się być jednoistną rzeszą. W czém jednak mogła już zachodzić odmienność, to w zakresie religijnych obrzędowości, terrytoryalny obręb których,

kto wie, czy mógł przecie odpowiadać rozgraniczeniu etnologicznemu plemion; pod tym względem Krywicze byli bliżsi Mazurów niż Nowogrodzian, Dnieprowscy Polanie — Warteńskich niż Drewlan, widocznie. W chwili zaś pierwszego uniowego zetknięcia się, dwa te odłamy przedstawiały już więcéj różnic, lecz i więcéj jedności zarazem. W przeciągu czterech wieków odosobnionego politycznego bytu, pierwiastki etnologiczne wyrobiły się wydatniéj na zewnątrz, a różnica kultury posunęła uwydatnienie to do ostateczności. Odłam wschodni, ze chrztem poddał się stanowczemu wpływowi kultury byzantyńskiéj, znacznie jednak miarkowanemu przez oddalenie miejscowości, silną interwencyą władzy świeckiéj w hierarchii i pośrednictwo dunajskich pobratymców, a najbardziéj przez język słowiański w obrządku i piśmiennictwie. Odłam zachodni, takąż drogą objęty został w sferę rzymską; a że to zaszło za pośrednictwem cesarskości Niemiec, przeto o ile cudza łacina formułowała wszystkie warunki życia a Rzym dominował hierarchią, o tyle Germanizm ciężył nad polityką i narodowość zatruwał. Wiedza jedna dobroczynnie zmierzała po tropach powszechnéj zachodniéj cywilizacyi, coraz to zdrowszéj i żywotniejszéj od butwiejącego w starości swéj wschodniego Byzantynizmu. Bliższemi znów sobie niż były u kolebki, stały się odłamy te najpierw przez ujednostajnienie się w chrześciaństwie i ideach przez nie wyrobionych, a wreszcie przez jednostajny prawie rozwój dynastyczno-federacyjny w szerokich a skorszych do wzajemnego zapoznania się politycznych rzeszach. Co do stopnia przechowania szczepowego ducha, utrzymała się równowaga — z tą różnicą jedynie, iż na wschodzie więcéj widać słowiaństwa w cerkwi, niż na zachodzie w społeczeńskim bycie. Pośrednie między wschodem a zachodem żywioły litewskie stanowiły tylko bierne rozgranicze, gdzie się oba słowiańskie żywioły dobijały o przewagę swéj względnéj kultury, o ile przynajmniéj sprężystość miejscowego pogaństwa na to pozwalała. Lecz Litewszczyzna ztąd właśnie zmuszona stać się jedyną pośredniczką dwóch słowiańskich pierwiastków, nawet przy słabości swéj istotnéj, nie mogła nie zająć przemożnego stanowiska w dziele unii. Łatwo to zrozumiemy, przeszedłszy do szczegółowych faktów, które ją przygotowały po całym naszym przestworze, jako nieodzowny wynik swéj stanowczości. — Zacznijmy od wschodu.

Ruś stara.

Stara Ruś, obejmująca sobą nie tylko wszystkie bez wyjątku plemiona wschodniéj połowy północnych Słowian, ale i znaczne krainy przez się usłowianione lub podbite, przedstawiała wszelkie, najzłudniejsze prawdopodobieństwem, pozory pewnéj wystarczającéj sobie zupełnie solidarności. Niewprawne oko, tak w warunkach geograficznych i etnologicznych, jak w jednostajnéj a wyosobniającéj się kulturze, nareszcie w jedności hierarchii i dynastyi (rozrodzeniem swém wcale nienadwerężającéj udzielno-federacyjnego systematu rurykowskiego państwa), mogło widzieć aż

nadto rękojmi trwałej odrębności istnienia Rusi — i siły, pozwalające jéj wystarczać sobie w samoistnym bycie politycznym. Wprawdzie na taką jedność, na jaką tylko przy owoczesnych warunkach zdobyć się było można, rzeczywiście Ruś się zdobyła; czy zaś ona była wystarczającą i czy miała rękojmię trwałości — to zupełnie rzecz inna. A tego właśnie nie było! Nie było siły, coby mogła sprzężone cząstki stale w jednostajnym ustroju utrzymać; przyczyn zaś rozprzężenia, wymagających innych niż dotychczas spójni, było nie mało. Ruś więc daléj w pierwiastkowym swym kierunku rozwijać się nie mogła. Terrytoryum rurykowskiéj rzeszy było anomalnym geograficznym kompleksem; zawieszony niejako między górami Uralu a Tatrami, nie miał on naturalnych granic, a zdobyć ich sobie nie był w stanie. W składzie jego okolica wód Ilmenu stanowiła w sobie całość, która, również jak i wyosobnione porzecze górnéj Wołgi, z natury skazaną była na rozwijanie się w kierunku innym, nie w tym, jaki wskazywał bieg Dniepru. Z massą staréj Rusi, mało też przyrodzona potrzeba porzecza owe wiązała. Naturalniejszym dla nich był wylew z biegiem północnéj Dźwiny na Biarmią, gdzie się też wcześnie Nowogród z Suzdalem w swém spółzawodnictwie spotkały. A gdy w ogóle geograficzne warunki stanowiły przeważnie i o politycznym obrębie, Nowogród przez nie zdołał przejść ze swą władzą na porzecze Dźwiny zachodniéj, a Moskwa za to, w odwrotnym wylewie noworuszczyzny, z natury rzeczy musiała zająć starowiatyckie porzecze Oki, jako Wołgi dopływu. Odrębność geograficzna prowadziła za sobą nieuchronnie i wyosobnienie polityczne. Dniepr zatém, wyjąwszy jego „poniże", stał się istnym geograficznym nerwem szczerosłowiańskiéj Rusi; górne zaś porzecza zachodniéj Dźwiny i Dniestru służyły jéj tylko jakby za dopełnienie własnego porzecza. Lecz i tu — Dźwina z Niemnem wiodły ku Bałtykowi i Litewszczyźnie; wierzchowisko Dniestru bliższém było porzecza Wisły, Bug w sobie pochłaniającego; brzegi zaś Prypeci zieleniły się borami, co jakby wyrosły na słupy graniczne natury między północą a południem starosłowiańskiéj Rusi, ciągnąc się i po drugiéj stronie Dniepru w górę Desny i Sejmu. Ukształtowaniu geograficznemu z dziwną ścisłością odpowiadało i rozgraniczenie etnologiczne, na którém następnie wspierała się budowa dzielnic. Przestwór czudzki na północno-wschód od kresów górnych porzeczy Dźwiny i Dniepru, ujęty politycznie i religijnie w całość ruską, słowieniejący postępowo w mowie, będąc dotkniętym na północo-zachodzie przez despotyzm republikańskiego Nowogrodu, a na wschodzie przez autokratyzm dziedziców Rostowa i Muromu, co do ducha mieszkańców pozostał samym sobą. Republikańska miejskość Nowogrodu, w swem kupieckiém samolubstwie słabo związana z organizmem staréj Rusi, chociaż wprawdzie wywoływała do życia na szerokim przestworze północy podobne sobie miniatury grodów słowiańskich, nie miała jednak interesu

4*

być gorliwą w przenikaniu massy ludu niegrodowego ogólną słowiańskością, w zbliżaniu go z resztą ruskiego ciała: sama ruska, była taką na swój przecie sposób. Porzecze górnéj Wołgi — krainy merskie przedewszystkiém, — bez zaprzeczenia w ciągu cztero-wiekowéj jedności ze szczerą Rusią, powolném działaniem hierarchii, drużyn, i słowiańskich, zarówno z północy jak z południa płynących, wiejskich i grodowych osad, pod śmielszym na cudzym gruncie autokratyzmem kniaziów, usłowianiło się stanowczo. Massa przecież usłowianiona czuła po dawnemu swą starą odrębność i pomimo węzłów a szerokich zamysłów dynastyi, przestawała sama na sobie; powierzchownie „przymiotnikowie" ruska — o Ruś się nie troszczyła. Następnie, pomimo wręcz przeciwnego zwrotu życia Nowogrodu i Suzdala, pas czudzki od ujść Newy do Oki czuł się bliższym w sobie, niż z którymkolwiek ze swych starosłowiańskich sąsiadów: i ztąd więc nie stało temu nic na zawadzie, że w Razaniu gospodarzyła wroga Monomachowiczom linia czernihowska, a jedność rodu smoleńskiego z suzdalskim nie zbliżała wielce tych ziem. To też samym Tatarom udało się trwaléj utrzymać swe jarzmo tylko na Wołgi porzeczu. Krótko mówiąc, mimo dostatecznych pozorów jedności, przenikliwszemu oku nie ujdzie z uwagi stały antagonizm Rusi usłowianionéj ze szczero-słowiańską, z prostych przyczyn już saméj geografii i etnologii. Ale przyczyny te etniczne odgrywały zarówno niepomierną rolę i w łonie słowiańskiém prastaréj doby. Plemiona wschodniego odłamu Słowian właściwie gruppowały się zawsze we dwa ludy — północny i południowy, i żaden z nich nic nie ustąpił ze swego, by się zlać solidarnie z drugim; stały zaś antagonizm tych ludów krył głębsze przyczyny od zwady rodowéj książąt; krywicka bowiem gruppa miała stare swe życie osobne, od wieków łączniejsze z Litwą. Na samém południu nawet utrzymywały się plemienne wyróżnienia: od strony Tatrów ożyły niejako podania stare chrobackie, gdy związek czerwieńskich grodów wznowił się w królestwie halickiém naprzekór osamotnionemu Polan Kijowu; szerokie Polesie, nie posiadające żadnéj odrębnéj wagi w kombinacyach dynastycznych, przechowywało swą borową wyłączność; co więcéj, za Rosią i Trubeżem stepy turańskich koczowników stawały się roiskiem nowego życia. Jedném słowem, na całym obszarze rurykowskiéj rzeszy prawa etnologiczne, za osłabieniem silniejszych węzłów, dopominały się wyraźnie o swobodę ruchu. Najpotężniejszą spójnią moralną solidarności całego przestworu rurykowskiéj Rusi była jednoistna hierarchia; ale i ta, przy okolicznościach towarzyszących najazdowi Mongołów, w niemocy się rozpadła. Po zburzeniu Kijowa, gdy cała siła staréj Rusi spoczęła u Tatrów, ztamtąd też starano się utrzymać i jedność hierarchiczną. Długi przeciąg czasu (1243—80) sprawował urząd metropolity biskup Chełmski Cyryl, usiłujący nieustannemi podróżami zastąpić brak środkowego ogniska. Następca jego Maksym (1304)

począł już szukać oparcia na północy: wyniósł się on po ostatniem spustoszeniu Kijowa (1299) do Brańska Siewierskiego, a następnie do Włodzimierza nad Klaźmą. Dotknięci tem książęta Haliccy, Włodzimierz Lwowicz szczególnie, domagali się od patryarchy oddzielnego arcy-pasterza i polecany przez nich mnich wołyński, Piotr został mianowany metropolitą całej Rusi (1308—1326). Lecz gdy ten również trzymał się północy, a w r. 1325 osiadł w Moskwie; patryarcha, dla dyecezyi Czerwonej czyli Małej Rusi, to jest: Przemyśla, Chełma, Włodzimierza, Łucka i Turowa, musiał wznieść w Haliczu już (1317) odrębną metropolią. Spowodowało to oczywiście późniejszy rozstrój w cerkwi. Chociaż 1347 r. sobór w Konstantynopolu postanowił przywrócić jedność metropolii, nie miało to żadnego skutku: 1352 r. patryarcha Ternowski (w Bółgaryi) wyświęcił na odrębnego metropolitę dla południowej Rusi Teodoreta; przeciw niemu 1354 r. w Konstantynopolu wyznaczono na metropolitę całej Rusi biskupa Włodzimierskiego (na Klaźmie), Aleksego (1377), a jednocześnie z tym Romana dla Litwy (1362). Co za bezład ztąd powstał, wyobrazić łatwo: Ruś kroczyła wszędy ku ostatecznemu rozprzężeniu. Na prośbę jeszcze Kazimierza W. w 1371, patryarcha wyświęcił na metropolitę Halicza — Antoniego, a w r. 1376 — Cypryana Serba, z warunkiem, by ten, po śmierci Aleksego, został metropolitą całéjRusi. Lecz do 1389 roku przeciwdziałanie popieranych przez W. księcia Moskiewskiego współzawodników na północy, nie dozwoliło mu stanąć jednemu na czele ruskiej cerkwi; a i później wszelkie usiłowania przywrócenia mocy jéj wewnętrznéj nie mogły zapobiedz grożącemu rozpadnięciu. Co się dotyczy kultury, była ona w ogóle odblaskiem przygasającego Byzantynizmu; w szczególnym zaś swym wyrazie piśmienniczym stanowiła osobną cerkiewno-ruską sferę. Sfera ta, wyróżniająca Ruś wybitnie od tego wszystkiego, co do niéj nie należało, w niéj samej utrzymywała pewną cywilizacyjną jedność. O stopniu oświaty nie może być tu mowy: na północy, pod władzą Mongołów, oświata tak dalece była upadła, że dla nauczenia się pisma książę Twerski Michał Aleksandrowicz musiał się 1340 roku udawać do arcybiskupa Nowogrodu; a jeśli na starej Rusi było wprawdzie nieco lepiéj, wszakże osamotniona kultura ruska żadną miarą współzawodniczyć nie mogła z żywiéj rosnącą ogólną oświatą łacińskiego zachodu. Targane tam więzy łaciny roztwierały obszerne pole wykwitu pojedynczym narodowym literaturom. Niemniéj od łaciny martwa cerkiewszczyzna na Rusi, chcąc odpowiedzieć nakazującym wymagalnikom organicznego rozwoju oświaty narodowéj, musiałaby zejść w zacisza klasztorne, ustępując miejsca niejednemu przecie, ale aż trzem przynajmniéj ludowym idiomom, jakich wschodnie plemiona używały; inaczéj obezwładniałaby była tylko możność rozwoju. Ztąd wobec téj alternatywy, kultura ruska, przedstawiająca pozornie wspaniałą jedność, była skazana: albo na ciągłą

bezsilność w sobie saméj, nieustannie wymagającą zasiłków obcych we wszystkiém, co żywotne; albo też na rozpadnięcie się staroruskiego piśmiennictwa, a z niém i cywilizacyjnéj jedności Rusi, na trzy gałęzie ludowe. — Konieczność żywiołowego rozkładu rurykowskiéj rzeszy przyśpieszyły *wypadki* polityczne; w łonie bowiem téj rzeszy oddawna już rozwinęły się były pierwiastki, zmierzające ku stanowczemu teraz wyosobnieniu z całości. Najpierw Nowogród nie był nigdy właściwie integralną częścią Rusi; przewodniczący się duchem kupiecko-arystokratycznego republikanizmu, ulegał on zawsze tylko nieuniknionemu przymusowi lub przepisom własnego interesu w stosunkach swych z dynastyą i hierarchią. Dumny ze swéj wyjątkowéj potęgi, nie zrywając z metropolią, zmusza już 1166 r. swego biskupa do przyjęcia arcy-biskupiego tytułu, rozrządza sam często katedrą, a rozkołysany swobodą obywatelską, chwyta się też zasad swobody hierarchicznéj, wypowiadanéj tak żywo, w duchu bez popowszczyzny (1375), w sekcie Strygolników. Nie zapierał się Nowogród wprawdzie nigdy jedności moralnéj i chętnie uznawał niedotkliwe zwierzchnictwo dalekich władców Kijowa; lecz gdy stanowczą przewagę nad tymi wziął na północy Włodzimierz suzdalski, stawił mu silny opór; ukorzony w końcu, razem z nim musiał się stanowczo odstrychnąć od reszty. Gruppa dzielnic na czudzkiém Powołżu, etnologicznie różna od szczerosłowiańskiéj Rusi, przez zbieg wypadków politycznych ujrzała się w osamotnieniu zupełném po poniżeniu Kijowa. Najpierw suzdalska linia Monomacha rościła prawo do wyłącznego tytułu wielkich kniaziów: ani Kijów, ani żadna z grup udziałowych innych rodów i linij, nie uznawały tych uroszczeń, z wyjątkiem chyba czasem rozważnego Nowogrodu i razańskiéj linii między Muromą. Rozwijający się na Wołdze autokratyzm państwowy odstręczył stanowczo Ruś starą, a kilkowiekowe jarzmo tatarskie, co dotknęło wołżańskie porzecze, odosobniło je całkiem już od pierwszéj. Wyosobnienie się takie Rusi czudzkiéj z ogółu było zawarunkowane samą naturą jéj ludu. Już samo wyniesienie na tron Andrzeja (1157), z pominięciem reszty rodzeństwa, wskazuje dążność ludu ku formalnemuześrodkowaniu władzy dla utrzymania jedności krainy; w ślad za tém wcześnie zdradza się duch podbojowy. Natura ludu nadaje różny charakter i saméj cywilizacyi ogólnie ruskiéj: swoboda osobista, idea wieców i obieralność, wcześnie tam upadają; natomiast idea absolutnego monarchizmu znajduje tu silne poparcie — żywi ją duchowieństwo, sprzyjają jéj swém ciężeniem Tatarzy. Więc też moralnie nawet chciano się tam wcześnie wyosobnić: już 1159 r. Bogolubski usiłuje, choć napróżno, wymódz na patryarsze utworzenie na Rusi czudzkiéj metropolii odrębnéj od Kijowa. Właściwa zaś słowiańska Ruś, zostająca pod ciągłą obawą najazdów tatarskich, rozdarta w sobie, (gdyż każda z grup dzielnic rodowych uznawała li swego wielkiego kniazia,) straciła wszelką samodzielną siłę. Wreszcie w samym charakterze szczeréj Rusi nie

było nigdy twórczości politycznéj. Indywidualna dowolność, porywczość w ruchach bez wyraźnego określenia celu, niestałość myśli i wstręt ku formalizmowi: jednem słowem, wszystkie cechy wypływające z przewagi osobistości nad społeczeńskością, były onego udziałem. W życiu wewnętrznem — anarchiczna ruchliwość równoważących się społecznych żywiołów; na zewnątrz — li odpór i bierna niedbałość o wszelkie wpływy i rozszerzenie władzy; na domiar tego, brak zmysłu organizacyjnego, polityki, wytrwałości, a natomiast wszędzie swobodna doraźność czynu. A to wszystko tak ogólne, iż było tłem życia nie tylko przygasającego Kijowa, ale nawet i butnego Nowogrodu. Uczucie jedności moralnéj już nie starczyło; we własnéj sprężystości znaléźć zaradę nie miano już nadziei; że zaś niebezpieczeństwo groziło od wschodu, trzeba było na zachodzie szukać zbawienia. I oto najgłówniejszy punkt zetknięcia się z nim koniecznego. Zachód, oprócz bezpieczeństwa, przedstawiał jeszcze i społeczne rękojmie, a nieproszony nawet, sam nacierał. Tymczasem bezpośrednio po za miedzą graniczną stanęła niespodziewana Litwa groźnie.

Litwa. Litwa, prawie nieznana przedtém, ożywiona ruchem pokrewnych plemion, raz uwolniwszy się z pod ruskiego zwierzchnictwa i z natury rzeczy zostawszy ogniskiem oppozycyjnego zachodniemu chrześciaństwu pogańskiego życia, spotęgowana walką obronną, z kolei rzuciła się poza własne obręby. Od wieków związana z plemionami Krywiczan i Dregowiczów, z największą łatwością zdobyła sobie na odwet zwierzchnictwo nad dzielnicami księztwa połockiego. Odtąd już dalsze przeobrażenie Rusi było zupełnie zdecydowanem — rękojmie się mnożyły. Ruś Biała, zostawszy litewską, nie miała potrzeby z Litwą zrywać; nie uległa ona przez to żadnym odmianom właściwie, zmieniały się tylko podmioty władzy książęcéj, czego wątpliwym skutkom wcześnie zaradzono, fikcyjnie mieniąc dynastyą litewską gałęzią połockiego rodu jedynie. Tém większą sojusz ten nowy posiadał rękojmię trwałości, iż, gdy Litwa w wyższych swych warstwach uległa cywilizacyjnéj przewadze Rusi najzupełniéj, księztwo litewskie stało się tylko nową fazą połockiego. Książęta Litwy za to zdobyli tajemnicę ruskiego życia, a przejmując nowych poddanych ufnością w siły własne, zapewniając im bezpieczeństwo, zwrócili oczy wszystkich ich pobratymców na siebie. Ruska ta rola książąt litewskich pozwoliła im się familijnie niejako zespolić ze wszystkiem, co było najświętszém dla Rusi, przyzwyczaiła lud do poczytywania ich za przedstawicieli bezpieczeństwa jéj i swobody; zresztą siła ich i dzielność mimowolną uległość nakazywały. Oto gdzie leżały przyczyny owéj do podziwu szybkiéj politycznéj metamorfozy Rusi, jéj niespodzianego ujrzenia się Litwą, co tak zdumiewać musi niewtajemniczone oko. Ztąd również przestaje być trudnem do zrozumienia to szybkie przechodzenie pod zwierzchnictwo wielkiego kniazia litewskiego rurykowskich dzielnic: Polesia, Woły-

nia, Kijowa, a nareszcie Czernihowa i Smoleńska. Nic tu bowiem właściwie Ruś nie traciła, a zyskiwała wiele. Litewska władza ożywiła zbutwiały stary porządek rzeczy; polityczna sprężystość rządu przywrócona: jak niegdyś w Kijowie, tak w Wilnie teraz, jedna jedyna wzniosła się zwierzchnicza władza, któréj tu feudalnie podlegali wszyscy książęta dzielnic, bez różnicy, Litwini czy Rurykowce; a religia, język, prawa, stosunki nawet społeczne pozostały prawie nietkniętemi. Ruś w téj nowéj szacie nie przestała być sobą, stała się tylko potężniejszą, nakazującą względność nawet Tatarom; dawne jéj, zamierające życie, poszło nowym żywszym torem. Ale ująwszy się oburącz dynastyi Gedymina, musiała ona uznać za swoje i jéj interesa litewskie, interesa saméj Litwy; a to sprowadziło ją stopniowo na nowe pole polityczne. Młode wielkie księztwo litewskie, w braku wyższéj organicznéj podstawy, po śmierci Gedymina ujrzało się w podobném położeniu, w jakiém było ruskie po Monomachu; wzmocniony związek udziałowych książąt i „wielmoż" warunkami feudalnéj zawisłości, nie był dostateczną rękojmią stałéj wewnętrznéj siły nowego politycznego organizmu, gdy tymczasem zewnątrz wszędzie zawisły nad nim burze. Wprawdzie Tatarzy niebezpiecznymi na seryo być przestali, reszta sąsiadów na pozór miała przyczynę sama obawiać się Litwy; ale w istocie rzeczy stopniowo potężniejąca Wielko-Rossya, jako dziecię Rusi, niezdolna się wyrzec dynastycznych i centralizacyjnych tradycyj, choć ujarzmiona, ale silna ideą autokratyzmu, kazała szukać sprzymierzeńców od zachodu. Zwrót przeto ku zachodowi stał się powtórnie naturalnym, tém bardziéj, gdy znów ze swéj strony szczera Litwa stanowczo ztamtąd była zagrożoną. Skonfederowane dwa zakony niemieckich Krzyżaków były już panami połowy litewskich ludów; bezpośrednio łącząca ich przymorskie zdobycze Żmujdź była stanowczo na ostateczne niebezpieczeństwo narażona; ustąpienie zaś na tym punkcie groziło zupełną zagładą i całéj Litwie szczeréj — a bądź co bądź Gedyminowicze nie przestali być Litwinami. Od chwili do chwili mogła Litwa stawić czoło porządnemu i jedynemu co do swéj sprężystości w ówczesnéj Europie organizmowi Krzyżaków, przedstawiających w swym duchowno-rycerskim zastępie całą gorliwość katolickiego prozelityzmu i mniszéj przebiegłości, a całą gorączkę podbojów i skrzętności oględnéj żywiołu niemieckiego; ale przewaga ostateczna musiała wypaść na korzyść tych ostatnich. Pomiędzy takimi wrogami rzeczywistego rozejmu być nie mogło; chodziło o śmierć lub życie; a gdy Zakony wspierał, jako mniemaną przednią straż swoję, cały katolicki zachód, więc i Litwie też należało chwytać się ostatecznych środków. Trzeba było może jąć się bezwzględniéj Rusi, lecz i najzupełniejsze religijne zespolenie się z nią nie zażegnywało jeszcze wiszącéj burzy: nie tylko zakon ale i katolicka Polszcza nie uważały by się za rozzbrojonych. Polszcza zaś, co niedawno wyszła z otchłani wewnętrznego zamętu, choć wprawdzie

nieustannie najeżdżana przez litewskie zagony, była silnie zorganizowaném ciałem, nie mniéj obudzającém uzasadnioną obawę. Ruś Czerwona, swém geograficzném położeniem, przez Bug i Tatry — przykuta do kompleksu porzecza Wisły, wspólniczka niegdyś chrobato-lechickiego bytu, pod nieprzerwanym prawie wpływem polskich Piastów, posiadająca ten sam stan społecznych stosunków, co sąsiednia Mało-Polska, zerwawszy z Rurykami, za pośrednictwem mazowieckiém stała się udziałem polskiéj korony. Wiążąc się z rzeszą Polszczy, przekazywała jéj swe prawa i do reszty dzielnic halickiego księztwa, zajętych przez Litwę, o które Polacy przy lada sposobności nie zaniedbaliby u téj się upomnieć. Otóż z pomiędzy dwóch wrogów na zachodzie, osamotnionéj Litwie nie pozostawało wyboru: można było zbliżyć się jedynie z Polszczą, równie uwikłaną w sprawy ruskie, równie zagrożoną przez zakon; więc koniec końcem zbliżono się też wzajemnie. Pierwsi podali sobie ręce jeszcze Gedymin z Łokietkiem, a odtąd ściślejszy sojusz stawał się co krok nieodzowniejszym sam przez się. Konieczność tego zbliżenia się dojrzymy równie i z drugiéj strony, jeśli rozważymy stan zachodnich Słowian.

Polszcza Piastów.

Piastowska Lechia, rozprzężona w skutek książęcych niesnasek i allodyalnéj anarchii do ostatecznego kresu, zmniejszona o połowę przez obce wdzierstwa, od czasów Łokietka zaczęła się na nowo żywiéj ocucać. Zjednoczone przezeń dwa pierwiastki, wielko-i małopolski, pod godłem jednéj państwowéj idei, znalazły rękojmię silnego rozwoju w dostatecznie wyrobioném wewnętrzném życiu obywatelskiém. Ale pomimo to nawet, sama trwałość politycznego istnienia Polszczy nie była jeszcze pewną, dopokąd-by nowa idea nie ogarnęła wszystkich cząstek staréj Lechii, dopókiby ta nie przywróciła właściwych swych tradycyjnych i geograficznych granic; inaczéj sam koronny związek Małéj i Wielkiéj Polszczy w dalszym czasie nie był możliwym. Pierwszém więc zadaniem polityki była konsolidacya narodu na jego własnym gruncie, siłą nowéj, państwowéj idei, gdy zwiędła rodowość dynastyczna pchnęła już była kraj w otchłań zaguby; a w tym razie trzeba było zmierzyć się z całą potęgą germanizmu, co nie mniéj groźnie, jak niegdyś w postaci chrześciańskiego Cesarza, ciężył teraz nad Polszczą z dwóch swych obozowisk — Prus i Czech. Co do grozy bezpośredniéj od ściany zachodniéj, właściwie obawy być nie mogło; zachodnie plemiona zostawały ciągle już w jarzmie, lecz Cesarze, zajęci to wyprawami do Syryi i Włoch, to walką z Papieżem, nie popierani już u nas przez duchowieństwo zachodu, właściwéj Polszczy dosięgnąć nie byli w stanie. Tem natarczywiéj za to groziło niebezpieczeństwo z innych stron. Jeszcze z Czechami była sprawa nawpół rodzinna: zatrzymany przez nie Szlązk mógł się stać rękojmią odnowienia zerwanego z niemi niedawno sojuszu, mniéj przeto o niego dbano; Mazowsze zaś zmuszono już do uznania się hołdowniczem koro-

nie. Szło najbardziéj o zwrót Pomorza, bez którego Polszcza skazaną była na wiekuistą niemoc; a tu trzeba było wstąpić w śmiertelne zapasy z Zakonem, co każdéj chwili wdzierał się głębiéj we wnętrze kraju. Naród, osobliwie najbliżéj dotknięci Wielkopolanie, był gotów do stanowczego zmierzenia się; ale zkądinąd najdobroczynniejsza polityka Kazimierza W. co do zadań wewnętrznego życia, na zewnątrz, może w poczuciu chwilowéj niemocy, odwróciła na długo jego uwagę w inną stronę. Zjednoczenie Czerwonéj Rusi z koroną, darząc ją całym zasobem nowych uroszczeń, cofnęło wstecz politykę polską; Pomorze przyzwyczajono się widzieć w niemieckich ręku. Tymczasem interes swobód obywatelskich sprzągł na chwilę Polszczę z Węgrami, a choć miało to i dobrą swą stronę, lecz czynnie polityka zewnętrzna nic na tem zbliżeniu nie zyskała. Nieubłagana konieczność geograficznego położenia zmuszała Polszczę do przywrócenia dawnéj swéj władzy nad pokrewném wybrzeżem Bałtyku, a nowi posiadacze onego, Rycerze Krzyżowi, grozili jéj saméj zagubą. Że zaś we własném wnętrzu nie było dostatecznéj siły, wypadało ją na każdy raz federacyjnie spotęgować. Droga ku temu była otwartą: z blizkich sąsiadów — Czechy i Węgry miały inne niż Polszcza zewnętrzne interesa, Litwa zaś posiadała prawie takie same. Czechy, podniesione do najwyższéj politycznéj potęgi przez Karola IV, dały się były ująć najzupełniéj w splot bytu germańskiego w każdym odcieniu życia; a teraz przy synu jego, Wacławie IV. (1378 — 1419) długi czas poddane głuchéj walce wszelkich — religijnych, narodowych, politycznych i społecznych—swych żywiołów, więcéj zawsze ciężyły ku zachodowi, dopóki (od 1403) spór hussycki a następnie i zbrojna walka ztąd powstała, zupełnie ich zczasem nie pochłonęły w sobie. Związek zaś z Węgrami za Ludwika okazał się bezużytecznym i upodrzędniającym nawet Polszczę. Litwa tylko jedna posiadała na zewnątrz wspólne z nią interesa; zbliżenie się więc ich wzajemne, choćby już dla tego, stało się naturalném i nieodzowném, a cóż dopiero, gdy przyczyn onego było daleko więcéj! Zabezpieczenie się na wieki od dotkliwych napadów Litwy: spokojne utrwalenie posiadania Czerwieńska, roztwierające widoki na dalsze ruskie krainy, widoki ułatwione od Kazimierza W. przez hołdowne poddanie się Wołoszy; przeważna potrzeba zapewnienia swobody handlu na wschodzie; a co najbardziéj, gorliwość zostania apostołem hardego pogaństwa Litwy, wniesienia w nią swego uspółecznienia i oświaty: — wszystko to ważyło potężnie w politycznem poczuciu i rachubie. Wszystko, jedném słowem, nakazywało ten związek, składało się na to, by napozór niespodzianie wielki książę litewski i ruski został królem w Krakowie! Był to tém niezawodniejszém, że owemu stanowczemu zjednoczeniu równie przewodniczyła i nieubłagana konieczność. O ile bowiem pierwsze zbliżenie nakazywaném było przez zewnętrzne pobudki wzajemnego położenia, o tyle uświęcenie onego sta-

łym politycznym związkiem wypływało już z samych potrzeb wewnętrznych jednoczących się społeczeństw. Nieodzowność związku była niezaprzeczoną; niewyraźnem przedstawiało się jedynie tylko to: co w tej szerokiej rzeszy ujmie ster przewodnictwa, co stanowczo weźmie górę? — który odłam słowiańskiego szczepu, które plemię wśród niego, która z polityczno-socyalnych idei stanie się główną chorągwią historycznego północnych Słowian rozwoju? Lecz i to nie trudném było do odgadnięcia, przy pilniejszém wejrzeniu w wewnętrzne zasoby społeczeństw.

V.

Paralella Polszczy i Litwy. — Proces uniowania się ich pierwotnego. — Witold.

Paralella Polszczy i Litwy.

Nie spuszczając z uwagi zewnętrznej konieczności zbliżenia się Litwy z Polszczą, jak również konieczności trwalszego utrzymania zobopólnego ich związku, przebiegnijmy teraz charakterystyczne cechy obu tych, różnie wyrobionych, społeczeństw, by łatwiej dostrzedz i samę naturalną konieczność ujęcia przez jedno z nich steru przewodnictwa we wspólnem zrzeszeniu. Przeprowadzona paralella najdowodniej to nam okaże. Za podstawę i wstęp do porównania niech nam służy kultura religijna. Już zaraz na tym najgłówniejszym punkcie widzimy przewagę Zachodu nad Wschodem, romanizmu nad byzantynizmem, a więc Polszczy nad Rusią i Litwą. Nie potrzebujemy tu się wdawać w ocenienie absolutne stosunkowej wyższości dwóch chrześciańskich obrządków i towarzyszących im kultur,—nie rzuciłoby to zresztą najmniejszego światła na przedmiot; ale poprzestaniemy na dotknięciu jedynie praktycznej onego strony. Otóż w ogóle rzymski katolicyzm, taki, jakim był w owym czasie, z całą swą ujemną stroną, niezaprzeczenie był jedyną dzielniejszą dźwignią ówczesnego pochodu ogólnego europejskiego życia. Kościół zachodni silnym był w sobie organizmem; ożywiał go oprócz tego duch prozelityzmu i moralnego podboju, przeciw czemu wschodni zdolen był stawić tylko swą bierność; rola więc pierwszego była zaczepną, drugiego — odporną. Temuż stosunkowi podlegały i cywilizacye: zachodnia posiadała w sobie więcej żywotności, barbarzyńskiej może, ale tém energiczniejszej. Wschód, bezpośredniejszy dziedzic klasycyzmu, choć nie dał się pochłonąć, stanowczo skazanym był na podleganie wpływom zachodnim. Gdyby więc wielkie księztwo było jednolitém w obrządku, to i wtedy nawet nie byłoby wielkiej wątpliwości co do stanowczej nadal faktycznej przewagi żywiołów; cóż dopiero, gdy przy zrzeszeniu się, pogańska Litwa, i bez tego doprowadzona do ostateczności przez Krzy-

żaków, zupełnie ujednostajniła się z Polszczą w łacińskim obrządku! Przez katolicyzm Litwy, kultura polska miała otwarte dla siebie pole oddziaływania i na żywioły ruskie wielkiego księztwa, a oddziaływanie to nie było zbyt trudném. Oto dynastya, o sprężystéj władzy, sama katolicka, z własnego interesu katolicyzmu wspierać nie zaniedbywała; znaczna część kniaziów i bojarów chętnie podobnież postępowała w widokach władzy; a wreszcie cały lud litewski i każdy przychodzień z zachodu stawali się niezłomną podstawą moralnych podbojów. Cóż Ruś mnogoludna mogła stawić wobec tego? Ujęta w splot dynastyczny feudalizmu litewskiego, posłuszna wszędzie władzy, w przedmiocie swéj cerkwi mogła stawić jedynie opór bierny. Hussytyzm czeski, co w owe czasy tak silne ciosy zadawał rzymskiéj łacinie, sympatyczny dla Polaków, gdyby nawet nareszcie wziął był w walce górę i stał się braterskim pojednawcą wschodu słowiańskiego z zachodem, zawsze jednak temu ostatniemu zapewniłby siłę przewodnią. Ale tępiony u źródła, wcześnie zdeptany w Polszczy, zostawił spotężnionéj w walce katolickiéj łacinie zachodu tém bardziéj otwarte pole dalszych zapasów ze słabszemi żywiołami różnowierstwa; swą grozą rozbudził on tylko większą czujność i podniecił zapał religijnego podboju. To też z dwóch stron ruszył prąd prozelityzmu: z nowonawróconéj Litwy i z Czerwieńska, już od czasu Daniły mocno przysposobionego do gwałtownie przez Węgrów narzucanego katolicyzmu. Władza w interesie większego ujednostajnienia przeciwną temu być nie chciała; wschodni więc obrządek odrazu skazanym został na stanowisko niższe, odporne. Podobne stanowisko zająć musiały u samego wyjścia i dwie towarzyszące tym różnym obrządkom cywilizacye. Cywilizacya polska zrazu, w swéj szacie łacińskiéj, była przednią strażą powszechnéj zachodniéj kultury europejskiéj, i w każdéj chwili mogła się opierać o jéj silny zastęp; a jakkolwiek słabiutka sama w sobie, lecz charakterem swym zachodnim zawsze wyższa od tego, z czém zetknęła się na wschodzie, pewniejszą była przewagi, mając otwarte dla swego odpływu dwoje wrót — z północy i z południa. O język tu mniejsza, zgoda bowiem na to, iż w pierwszéj chwili cerkiewna ruszczyzna groźnie powitała łacinę w Krakowie; ale przecie nie sama jedna w nią biła, czeska zaś jéj towarzyszka promieniała o wiele wyższą mocą. Wreszcie, dajmy, że ruszczyzna wzięłaby górę w Polszczy nad łaciną; — jaka rękojmia jéj trwałości? Już w domu własnym nie była ona mową piśmienną narodową, lecz konwencyonalnym językiem, obcym mowie tak północnéj jak i południowéj Rusi, a przy lada żywszém wystąpieniu dwóch tych różnych idyomów, musiałaby obumrzéć w dyplomacie lub zapisce annalisty; inaczéj nie ożywiała lecz krępowała tylko możność rozwoju piśmiennictw samych ruskich ludów. Tém bardziéj obcą była polszczyznie, mogła stać się jéj bodźcem, zastąpić onéj — nigdy; nawet bogata, najwyżéj wykształcona wtedy, bliższa a modna mowa czeska, nie miała mocy piśmiennie zastąpić polszczyzny. Pod wpływem dwóch działaczy, wcześnie

rozbudzone narzecze małopolskie kryło w sobie zbyt wiele siły, aby mu można było nie wróżyć, iż bez trudności ogarnie całą Polszczę a w ślad za wylewem jej cywilizacyi pójdzie również i na wschód. Bierna po wieki Litwa, jak dotychczas obojętnie karmiła się ruszczyzną, tak odtąd stanowczo odwróciła się ku zachodowi; a zawsze dominująca politycznie nad starą Rusią, samochcąc torowała drogę polskiemu wpływowi w jej łono z północy, jak ją torowało Czerwieńsko z południa. Żywioł małopolski w rozwoju przyszłej rzeczypospolitej musiał zająć, wśród tłumnego zrzeszenia różnorodnych plemion, rolę prawdziwie sterniczego i kreacyjnego pierwiastku. — Jeśli teraz ze sfery cywilizacyjnej przejdziemy na pole polityczne i socyalne, w istocie zupełnie podobny stosunek ujrzymy, że stopień wyrobienia i wzajemny względem siebie układ politycznych pierwiastków w dwóch zrzeszających się społeczeństwach, Polszczy i Litwy, był wielce odmiennym od siebie; systemat jeden musiał w kolei czasu wiele ustąpić ze swego drugiemu, a w zobopólnym splocie temu należało się pierwszeństwo, który miał w zarodzie większy zasób liberalizmu. Dla ocenienia tego, przypatrzymy się szczegółom, poczynając od władzy najwyższej. W obliczu władzy tej — wielkie księztwo Litewskie jest dziedzictwem rodu Gedymina, gdy w dynastyczny splot jego, potomstwo też Ruryka wwiązało się najintegralniej, stanowiąc odtąd ród jedyny. W łonie onego każdy członek ma prawo do dzielnicy; ztąd w układzie stosunków rodowych stary ruski tryb udziałowości nie został przerwanym, tak jednak, że zwierzchnia władza wielkiego księcia jest wypływem przemocy lub wyboru, nie zaś prawa starszeństwa lub następstwa wcale nie określonego. Co więcej — w systemacie politycznym dynastyi Gedymina, spójnią dzielnic ze zwierzchnią władzą nie jest już jednokrewność rodowa, ale ściśle określona feudalna zawisłość, przeprowadzona następnie przez wszystkie społeczne szczeble, splecione z sobą obowiązkami stopniowej feudalnej służebności od wieśniaka do wielkiego kniazia; przyczem władza zwierzchnika nad podwładnymi w każdej warstwie, przez swą nieokreśloność, staje się nieograniczoną. W systemacie tym wieśniak bezwarunkowo ulega bojarowi, ten kniaziom, ci zaś suzerenowi swemu. Otóż jak piękny, jak silny na pozór przedstawia Litwa polityczny organizm; porównany z odpowiednim w Polszczy, zdaje się jak gdyby on nad nim najzupełniej przeważał sprężystą swą żywotnością. Tu bowiem dynastyi, zapewniającej trwałość spokojnego przechodzenia najwyższej władzy z rąk do rąk, legalnie już niema: pozostali w dzielnicach mazowieckich Piastowie, hołdują koronie — są bez siły; braknie zupełnie dawnego dynastycznego organizmu, a żywioły obywatelskie każdej krainy odmiennie się wyrabiają. Sprężystszemu systematowi Litwy przyszłość zdawała się wróżyć przewagę, lecz to tylko pozornie; siłą bowiem, wyrobieniem i wzajemnym stosunkiem politycznych żywiołów, przewodnicząca obecnie lechickim plemionom Małopolska, ze względu na ideę, przewyższała najbezwarunkowiej polityczny ustrój wielkiego

księztwa. Uchylenie dynastyzmu, pozbawiające kraj sprężystości monarchicznéj władzy, pominąwszy już zabezpieczenie się od niedogodności rodzinnych podziałów, było zkądinąd rękojmią możliwości rozwoju swobód obywatelskich, zmierzającego ku republikanizmowi. Przy takim wyraźnym zwrocie polskiego życia, powołanie na tron krakowski nieograniczonego kniazia feudalnéj Litwy, naginając go do miarkowania absolutnie dotychczas używanéj władzy, przyuczało zarazem do ustępstw i dla dawnych poddanych, a przytém podniecało tych ostatnich do usiłowań ku wyjarzmieniu się z feudalizmu. Nie Litwa tu szeroka drobnéj Polszczy służyć za wzór mogła, lecz odwrotnie. Tém pewniéj dziać się to mogło, że władza wielkich książąt Litwy, co do sprężystości, zależała wprost od osobistéj mocy ich charakteru, rękojmi więc swéj trwałości zasadniczéj nie posiadała; a zagrażana nieustannie samowolnością udziałowych książąt, usiłujących ze staroruska być wolnymi od zwierzchnika, musiała się opierać o Kraków. Wreszcie idea allodyalnéj swobody w Polszczy, była pewniejszą własnego wpływu na feudalnie arystokratyczną Litwę, niż nieodzowności ulegania materyalnéj przewadze téj ostatniéj. Stan ziemiański Polszczy był o téj dobie już stanem tworzącym w sobie pewien solidarny organizm, przeniknięty przeświadczeniem sił własnych i potrzeb narodu; a czy to z charakterem możnowładczym, jak u Tatrów, czy rodowładnym, jak w Wielkopolsce,—wszędzie rzutki, przedsiębierczy, zaprawiony do czynu. Oddawna nawykły do uczestniczenia w radzie monarszéj i sądzie, pozostawiony sam sobie, śmiało krocząc po drodze politycznego upełnoletnienia, widział się on dostatecznie wyćwiczonym do samodzielnego politycznego życia. Zbrojna konfederacya braci szlacheckiéj nieraz już stanowiła o losie kraju. A ta to właśnie solidarność, braterskość, ta radność i wypróbowana gotowość zawiązywania na lada zawołanie konfederacyi między ziemianami i ziemiami, była już duszą społeczeństwa polskiego. Cóż mu téż właściwie Litwa przeciwstawiała? Oto wielko-książęcą władzę, sprężystą w ręku sprężystych, lecz ciągle zagrożoną niepewnością prawowitych podstaw najwyższego zwierzchnictwa; poza tém bezkarne kniaziowstwo, żywioły obywatelskie obezwładnione pętami lenniczéj zawisłości — i nic więcéj. Walka moralna trwać tu długo nie mogła, i stan rzeczy w Polszczy, przy jéj zetknięciu się z Litwą, musiał stać się w łonie téj ostatniéj wzorem i przedmiotem najżywszych pragnień. Najdotkliwiéj ciężył feudalizm; wszystkim więc bez wyjątku stało się najbardziéj upragnionem obalenie onego przez zbliżenie się ku normie polskiéj. Kniazie i wielmoże radzi-by byli, w niczém nie ujmując swéj władzy nad podwładnymi, ograniczyć wielkiego księcia na wzór Korony; ze swéj strony drobne bojarstwo za to co prędzéj chciałoby się pozbyć pęt kniaziowskich i stanąć na równi ze szlachtą allodyalną; mieszczanie nawet wzdychali do swobód magdeburskich. Co do stanu wieśniaczego obudwu zbliżających się do siebie społeczeństw, ten wszędzie w owe wieki usunięty od

życia politycznego, skazany na pracę rolniczą jedynie, ulegał prawom zwyczajowym, mniéj więcéj dlań uciążliwym a odmiennym z odmianą krainy, każdéj chwili korzystając z możliwych wielu wtedy środków posunięcia swych członków w rzędy wyższe. Chociaż statut Wiślicki, określający stosunek kmieci do dziedziców, świadczył o znośniejszym stanie wieśniaków w Polszczy niż w Litwie, gdzie oprócz nieokreślonego prawem poddaństwa feudalnego i niewolnictwo gdzie niegdzie istniało; wątpić jednak należy czy mógł na razie, z wyjątkiem halickiego Czermna, służyć gdzie za wzór do urządzenia tych stosunków. — Teraz, po tém wszystkiém, postawiwszy oko w oko zbliżające się ku sobie Litwę z Polszczą, zważywszy ich oświatę i uspołecznienia stopień, gdy się przedewszystkiém nie pominie z uwagi, iż musiały one już iść daléj nierozerwalnie bądź co bądź; widoczna u źródła przewaga, jaką Polszcza miała zdobyć w ogólném zrzeszeniu, pomimo całéj zkądinąd terrytoryalnéj swéj nieznaczności, była aż nadto w sferze moralnéj usprawiedliwioną.

Proces uniowania się.

Kreśląc daléj nasz obraz dziejowego rozwoju zrzeszania się północnych Słowian, musimy teraz z kolei przystąpić do przedstawienia ostatnich, silniéj już pojętych usiłowań ku organicznemu onego urzeczywistnieniu przez polityczną Unią Litwy z Polszczą. Zacznijmy od przebieżenia samego procesu tego uniowania się. Jagiełło, przyjmując 1386 r. tron Piastów, jako pan i dziedzic wielkiego księztwa Litwy, między innemi warunkami, poddał to ostatnie, w swojém i swych następców imieniu, pod zwierzchnictwo korony polskiéj i zaręczył na przyszłość wspólny byt polityczny dwóch tych północnych słowiańskich spółeczeństw. Od téj chwili stanowczo już przyszły los Rusi i Litwy został zdecydowanym. Wprawdzie akt ten politycznego zjednoczenia, dokonany przez Jagiełłę pod przymusem chwilowéj konieczności, nie przeświadczenia należytego w umysłach jednoczących się narodów, mógł pozostać bezowocnym jak wiele innych podobnych; ale szczerze mówiąc, nie szło żadnemu z nich o zerwanie onego — mniejsza o to, coby tam świadczyły sprzeczne na pozór z tém fakta; lecz już iść mogło i chodziło jedynie tylko o zapewnienie sobie hegemonii. Jak szlachta polska, tak również i rusko-litewskie możnowładne bojarstwo, przez akt zjednoczenia widziały rozwarte dla swych widoków szerokie wrota na przyszłość. Kto zdobędzie ster przewodni? — to tylko było zadaniem; zadaniem do takiego stopnia, że cały proces naszego uniowania się aż do Unii Lubelskiéj jest niczém inném, jeno prostém wysilaniem się z obu stron dla zapewnienia sobie tylko supremacyi. Energia w działaniu obu współzawodników była zupełnie jednakową, a skuteczność zabiegów zależała jedynie od wyższości przedstawianéj przez nich idei politycznéj i oświaty w ogóle. Na dnie wysileń widoczną była li walka moralna, wynikiem któréj jeśli mógł być podbój, to równie moralny tylko. Nie myślimy zaprzeczać wcale, aby już od pierwszéj chwili nawet nie miało być przeczenia saméj idei unii; owszem stronnictwo anty-

unijne istniało wciąż, lecz mimo swych zapędów, było ono zawsze bezsilném, nie mając podstawy pod sobą. Przypatrzywszy się bowiem rzeczom bliżéj, widzimy niemożliwość zupełną oppozycyi wśród Neromy i Żmujdzi: pierwsza, zbyt potulna, zawsze ulegała niemo woli swych Kunigasów; druga, rzutniejsza, raz zakosztowawszy krzyżackiego jarzma a ochrzczona z czasem (od 1417) po katolicku, trwale przekładała odtąd przyjaźń sąsiednich Mazurów nad niepewne widoki Gudasów-Krewów. Oppozycya tedy mogła powstawać jedynie wśród Rusi staréj. Lecz południowa Ruś, zniszczona do szczętu, w nowéj szerszéj federacyi tylko upotężnienie własnych sił widzieć mogła, — sił tak niezbędnych do nieustannego odpierania ciągłych tatarskich najazdów. Stepowe drużyny jéj „brodników" nie wystarczały, a unia z Polszczą zapewniała pomoc zachodniego rycerstwa. Jedyni przeto Krywiczanie mogli się czuć dotkniętymi nowym porządkiem rzeczy; szli oni już dawniéj swoim torem wśród staréj Rusi; następnie, właściwi przewodnicy litewskiego wielkiego księztwa, z przykrością dostrzegali prawdopodobieństwo przyszłéj w niém supremacyi żywiołu zachodniego. Otóż istotnie najpierwszy, bo (1386) przed koronacyą jeszcze Jagiełły, objaw oppozycyi chwilowéj u nich też widzimy, wśród Połoczan i Smolan, pod przewodem Olgierdowicza Andrzeja i Rurykowca Światosława. Dalsze przykłady oppozycyi, jakkolwiek nieraz energiczne, były, z małym wyjątkiem, objawem jedynie przeciwdziałania widokom stronnictwa polskiego, nie zaś chęcią stanowczego rozbratu. Równie i o tém nie godzi się zapominać, iż po większéj części przeciwdziałaniu temu właściwie przewodniczyli, jako Litwini i główni popieracze idei monarchicznéj, sami Jagiellonowie. Instynktową myślą Litwy, przy jednoczeniu się z Polszczą, oprócz zabezpieczenia się od wrogich Teutonów, najbardziéj było zmierzanie do ujednostajnienia jéj z sobą w politycznych posadach dynastyczności, monarchizmu i możnowładczego bytu; byle tylko zdobyć przewagę w zakresie polityczno-społecznym, ustępowała ona chętnie w przedmiocie narodowości i wyznania; jedynie szczero-ruskie stronnictwo przywiązywało doń pewną wagę. Nie mniéj stanowczo a z większém przeświadczeniem wypowiadała się myśl polityczna Polaków. Co do dynastyczności — nie myśleli oni jéj nic ze swéj zasady wolnego obioru ustąpić; a pilnując się rodu Jagiełłów, robili to albo dla trzymania na wodzy Litwy, albo z konieczności uznania oznaczonego już jéj dziedzica i swoim również panem. Znosić nieograniczoną władzę monarchów dawno już odwykli, a dla zabezpieczenia siebie w domu usiłowali ją podkopać i na Litwie. Ustrój możnowładczy nieco pierwéj Polacy najniezawodniéj chętnie-by z Litwą podzielili; ale obecnie, nie czując się już na siłach podołania temu w domu, a wreszcie rozumiejąc to dobrze, że bez wyższéj społecznéj idei nie byłoby czém w przyszłości zniewalać dla siebie uboższego bojarstwa, — i z musu, i dla zachęty Litwy, odważnie wstąpili na drogę szlachecko-demokratycznego rozwoju. Oparci w ten sposób na elekcyjności, konsty-

tucyonalizmie i obywatelskości szlacheckiéj, Polacy — w stosunku do wielkiego księztwa Litwy, jako odrębnego dotychczas politycznego społeczeństwa — odrazu z niepospolitą śmiałością rozległy zakreślili plan, i odtąd aż do urzeczywistnienia go, z godną podziwu wytrwałością i z niespodziewaną mocą go przeprowadzali. Planem tym, tak rozległego zakroju, było, ni mniéj ni więcéj, jak pociągnięcie Litwy, przez unią osobistą pod jedynym panującym monarchą, do ściślejszéj federacyi narodów, a następnie i do wytworzenia z niéj na przyszłość silnego federacyjnego państwa, z zapewnieniem w niém stanowczéj przewagi zasadniczym żywiołom narodowości polskiéj. Mniemanie zaś, jakoby już przy pierwszém za Jagiełły bezpośredniejszém zetknięciu się z Litwą, powstała wśród Polaków myśl utworzenia solidarnego narodowego państwa, przez zupełne upodrzędnienie żywiołów wielkiego księztwa — byłoby wielce błędném; jeśli myśl bowiem państwowéj jednolitości wypływa na jaw w pewnych razach, daje to się widzieć jednak bardzo późno zaledwie, dobrze już po czasach Unii Lubelskiéj. Przy pierwszém spotkaniu się z Rusią i Litwą, wcale nie mogło chodzić Polakom o narodowe assymilowanie onych z sobą; nawet przypuszczenie czegoś podobnego byłoby grubym anachronizmem; mniejsza, iż brakowało na to siły, lecz myśl już sama była niemożliwą, przez wzgląd na czasy. Nawrócenie pogańskiéj Litwy na katolicyzm, co tak przeważnie zobowiązywało duchowieństwo polskie do energicznego popierania Unii z tą ostatnią, było następstwem religijnego zapału przedewszystkiem; unarodowienia za pomocą wiary nie pojmowano wcale. Usiłowanie następne wkroczenia i w obręb wschodniéj cerkwi równie było wypływem li katolickiéj gorliwości; dopiéro fakta późniejsze mogły nadać temu inny zwrot i pozór. Chcieli Polacy assymilować z sobą wielkie księztwo już od samego początku, ale za pomocą ujednostajnienia politycznych i społecznych instytucyj przedewszystkiém; i na tém polu istotnie widzimy ciągle pełną głębokiego przeświadczenia ich działalność; ta zaś, drażniona przez wręcz przeciwne usiłowania Litwy, dochodzi niekiedy nawet do zaciętości.

Witold. Aby zrozumiéć należycie właściwy charakter współzawodnictwa Polszczy z Litwą w całym ciągu procesu ich polityczno-narodowego uniowania się, potrzeba nieodzownie bliżéj się obeznać z pierwszą fazą jego, uwydatniającą się w energicznych zapasach szlachty polskiéj z Witoldem. Witold sam jeden jest najzupełniejszym wyobrazicielem owoczesnéj Litwy, jéj potrzeb rzeczywistych, jéj uczuć i pragnień; między nim a szlachtą Jagiełło występuje w roli pośrednika tylko. Zwróćmy więc baczne oko na to pierwsze łamanie się obustronne. Władza wielkich książąt Litwy była w zasadzie nieograniczoną i dziedziczną w rodzie Gedymina; najpierwszém więc zadaniem Polaków było utrzymanie osobowéj jedności zwierzchniéj władzy nad nią przy królu Polskim. Wbrew temu, Litwa obstawała przy utrzymaniu i nadal osobnego wielkiego

księcia. Pośrednim tedy wypadkiem sprzecznych żądań musiało być zgodzenie się na wielkiego księcia, jako namiestnika tylko królewskiego — i takim po Skirgielle został Witold. Ponieważ najwyższa władza nad Litwą zawsze odtąd z prawa pozostawać miała przy królu, nie wypuszczano więc Jagiełły z Krakowa po stracie żon, mających niejakie niby dynastyczne prawo do tronu; zabezpieczano się w tém coraz to nowemi z Litwą układy, a dla rozbrojenia potężnego Witolda, nęcono go wciąż urokiem polskiéj korony. Witold tymczasem, chociaż wiązany przysięgą wierności nie mniéj jak widokiem korony, poczynał sobie przecie nie inaczéj, lecz jako prawdziwy pan Litwy. Rozumie on głęboko zadanie państwowe; ztąd zmierza niezmordowanie w całym ciągu swych rządów do wydźwignięcia solidarności panstwowéj ze splotu szerokiéj feudalno-książęcéj rzeszy litewskiéj. Utrzymując tedy dość ściśle budowę feudalną w zakresie społecznym, za to jednak udziałowy systemat, przez znoszenie książęcych dzielnic, w politycznéj jego osnowie niweczy. Państwo krzepczeje, udziały jeden za drugim przechodzą pod bezpośrednie zawiadywanie wielkoksiążęcéj władzy: najpierw bliższe stolicy — litewskie Krewo i ruski Połock, następnie z biegiem czasu — Witebsk (1393) Nowogródek (1393), Nowogród Siewierski (1394), Kamieniec Podolski (1395), a nakoniec Pińsk (1396) i Smoleńsk (1395, 1404). Władza sięześrodkowuje, a jeśli pozostają jeszcze czas pewien i mniéj drobne udziały, jak np. Mścisław, do połowy XVI wieku istniejący, nie mają już one odtąd żadnego samoistnie-politycznego znaczenia. Zmierzając stale do umocowania jedności państwa wewnątrz, dąży Witold nie mniéj śmiało i wytrwale do uzupełnienia go odpowiednio i z zewnątrz. Jako wielki książę Litewski i Ruski zarazem, chce on być panem wszech Rusi istotnie. Na ten koniec, u wstępu zaraz zarządu swego, postanawia już zgnieść ostatecznie najgroźniejszego wroga Rusi — Tatarów, — by jako wybawiciel, otoczony powszechném współczuciem i uwielbieniem, jakiego nie zdołał sobie był zdobyć Dymitr Doński, — tém śmieléj następnie mógł wystąpić w zapasy z Moskwą, dla zmuszenia jéj do uznania siebie za zwierzchnika całéj bezwzględnie Rusi. Kilkakrotny zwycięzca hord, mierzy ku temu otwarcie w układzie z Tochtamyszem; zwyciężony późniéj stanowczo nad Worskłą r. 1399, trzyma jednak w grozie Tatarów i przemyśliwa ciągle nad zhołdowaniem Litwie Rusi też moskiewskiéj. W niéj zasiadła najenergiczniejsza linia Monomachowiczów, co z tytułem wielko-książęcym rościła prawo do zwierzchnictwa nad całą rurykowską Rusią; tu było się na jakiś czas przeniosło i ognisko religijnego Rusi życia. Chciał ją Witold umorzyć w kolebce: osłabiał nieustannie, bronią i zręczną polityką szerzył swój wpływ w rzeczachpospolitych północy, i śmiało się wynosił na jedynego rzeczywistego pana wszech Rusi. W téj myśli przedewszystkiém długo podtrzymywał i jedność metropolitalną cerkwi ruskiéj; lecz raz przekonany o niemożności ogarnięcia w ten sposób Rusi także i moskiewskiéj, stanowczo przechylił się

ku polityce przeprowadzenia zupełnéj odrębności metropolii Kijowa i Moskwy. Nie znajdując zaś poparcia patryarchatu, mocą własną zwołuje sobór 1415 r. do Nowogródka i każe władykom wybrać metropolitę dla Kijowskiéj cerkwi. Ze swéj zaś strony Polacy nie mniéj pilnie strzegą swych widoków. Układem w Wilnie 1401 r. zmuszeni do uznania Witolda dożywotnim księciem Litwy, zapewniają jednak dziedzictwo po nim potomstwu Jagiełły, chętnie zobowiązując się względem Litwinów, w braku tego potomstwa, porozumieć się z Witoldem przy wyborze nowego wspólnego pana. Nie zaniedbywali Polacy swych widoków na Litwę i w układach z postronnymi; oto np. na zjeździe raciązkim, robiąc ustępstwa Krzyżakom, zdobywają na nich zaręczenie, że ci, jak długo Litwa i Ruś pod panowaniem potomków Jagiełły, wyznania katolickiego, zostaną, z krajami temi wojny prowadzić nie będą. Nie zaniedbywał w podobny sposób i Witold popierać widoków swéj szczero-litewskiéj polityki w stosunkach zewnętrznych; jako Litwin walczył wespół z Jagiełłą przeciw Krzyżakom, póki chodziło o osłabienie zakonu i odebranie im Żmujdzi; przyłożył się do zwycięztwa pod Grunwaldem 1410 r.; lecz ujrzawszy Zakon nad przepaścią ostatecznéj zaguby, obawiając się upotężnienia Polszczy, równie jako Litwin, cofnął się i dał możność skrzepienia się nowego Krzyżakom. Następnie, przy innéj sposobności, wymógł na Jagielle poddanie swéj władzy Podola, zarządzanego od wygnania Świdrygiełły przez polskich starostów. Takie stawienie się Witolda pobudzało Polaków do kroków coraz to energiczniejszych. Przedsięwzięli oni zatém związać Litwę niezawisłemi od Witolda węzły, i tego zamierzyli dopiąć w pamiętnéj Unii horodelskiéj 1413 r. wyraźniéj już posuwając się od federacyi państw do idei państwa federacyjnego, czemu przyświadczają i wyrazy aktu samego: „*incorporamus, invisceramus, appropriamus et unimus terras Lituaniae et Russiae regno Poloniae*". Dzielnym bodźcem do tego były wyżéj wyrobione w Polszczy polityczno-społeczne instytucye, urokiem których postanowiono do siebie przyciągnąć teraz trapione uciążliwościami feudalizmu litewskie bojarstwo. Jednocześnie z tém umyślono rzucić ziarna polskiego rzeczy porządku i w innych zakresach życia. W widokach cywilizacyjnych nie przeciwił się Witold temu wcale; owszem — wielbiciel szczery zachodnio-europejskiéj kultury, chętnie widział, jak rycerskie jéj formy przenikały w głąb' barbarzyńskiéj Litwy; uporna w swém uobyczajeniu Ruś stała w tém zupełnie na stronie. W Horodle tedy zapadły uchwały, dotyczące jedynie katolików. Najważniejsza zawierała stwierdzenie udarowania litewskiego bojarstwa polskiém dziedzicznem prawem, uwalniającém je od feudalnéj zawisłości w stosunkach familijnych i majątkowych. Jako wstęp do dalszéj assymilacyi z Polszczą, na właściwéj Litwie, w Wilnie i Trokach, utworzono na wzór polski województwa i kasztelanie, z możnością zastosowania tego systematu późniéj i do innych dzielnic wielkiego księztwa. W myśli federa-

cyjno-państwowéj wyznaczono na wspólne zjazdy i sejmy przedstawicieli Polszczy i Litwy miasta: Lublin i Parczów. Dla zjednania swym widokom unitarnym i saméj dynastyi, zapewniono obudwóm jéj wyobrazicielom — Jagielle i Witoldowi — prawo dziedzictwa, przy wzajemném zobowiązaniu się, na przypadek śmierci któregokolwiek z nich, niewybierania sobie nowego pana bez poprzedniéj narady z drugą stroną. Nareszcie szlachta polska podzieliła się z bojarstwem litewskiém rodowemi herbami. Zjednoczeniu się podobnemu z Rusią stał na przeszkodzie do czasu obrządek. Wobec tego wcześnie tedy i zapobiegliwie starano się o utworzenie na Litwie stronnictwa polskiego. Zmierzano ku temu najrozmaitszemi drogami; lecz z wyjątkiem jedynie propagandy katolickiéj, popieranéj przez samego Witolda, jako religijny wyraz cywilizacyi zachodniéj, — wyraz rozzbrajający jednocześnie i moralną podstawę groźnéj zawsze jeszcze siły krzyżactwa — wszystko inne w ogóle pod silną Witoldową dłonią musiało schodzić do znaczenia saméj formy. Rządził on Litwą po staremu, przestrzegając ściśle feudalnego społecznego porządku, a jeśli spokojnie przyzwalał na wkraczanie polskich zamysłów, było w tém nieco rachuby na przypadek męzko-bezdzietnéj śmierci Jagiełły, a więcéj może lekceważenia. Nie myślimy jednak, aby i przywódzcy polscy przywiązywali do tego rodzaju czynności znaczenie natychmiastowéj wagi: rozumieli oni dobrze, że to był tylko zasiew, lecz nie mniéj przeto wierzono mocno w jego plon przyszły. Tymczasem Witold u schyłku życia jedynie nadzieją otrzymania korony polskiéj pozwalał łagodzić swój humor litewski; w ogóle zaś zawsze — i pierwéj, i późniéj, — miał bacznie na oku wzrastającego swego współzawodnika. Nareszcie doczekawszy się i synów u Jagiełły, pewny, iż sam osobiście nie zasiądzie na tronie polskim, chciał Polakom przeciwstawić królewskość Litwy. Oczywiście, chodziło tu przedewszystkiém o zapewnienie téj ostatniéj donioślejszéj w zrzeszeniu supremacyi nad pierwszą. Toż Krzyżacy z jego najbardziéj winy nie byli jeszcze ostatecznie pokonanymi, ani jedni ani drudzy, a Żmujdź łatwo powtórnie mogła wpaść w ich ręce. Z drugiéj strony Ruś moskiewska, jakkolwiek słabą się ówcześnie przedstawiała, przecie już raz odważyła się była na zerwanie pęt tatarskich i stanowczo rozwiała szerokie zamysły nie tylko Olgierda, lecz i jego też własne; a chociaż hołdownica dotąd hordy, pielęgnowała ona w sobie tém nie mniéj myśl groźną dla wyosobnionéj Litwy: myśl jedności wszechruskiéj. Nie mogąc przełamać zaciętego oporu Polaków, w przyznaniu sobie korony otrzymanéj od cesarza, zgrzybiały starzec 1430 r. umarł ze zgryzoty.

Baruch (Benedykt) Spinoza,

JAKO FILOZOF I STATYSTA.

PRZEZ

Kazimierza Kaszewskiego.

Przebieg życia Spinozy i jego charakter osobisty. — Rozbiór „Etyki“: jéj ontologia, psychologia i moralność. — Rozbiór traktatów politycznych. — Ogólny rzut oka na główne zasady całego systematu i ich wartość filozoficzną.

W dniu 21 lutego Hollandya obchodziła uroczyście dwóchsetną rocznicę śmierci wielkiego filozofa, któremu była przybraną ojczyzną, a uczeni całego świata ucywilizowanego przyjmowali już-to osobisty już téż duchowy w tym obchodzie udział przez odezwy lub zapisy na pomnik. Czy widzielibyśmy takie współczucie, gdyby tym filozofem był jaki inny, niemniéj głośny i wzięty w nauce, a nie Spinoza? Kto wié. Filozofowie w ogólności nie są popularni, a z drugiéj strony są oni do pewnego stopnia związani ze swą narodowością. Francuza uczciliby przeważnie Francuzi, Niemca — Niemcy, ze szczupłym stosunkowo udziałem innych narodowości. Spinoza, właściwie mówiąc, nie należy do żadnéj, a przecie wszystkie poczuły się w nim. Tajemnica tego leży w usposobieniach stanowiących, z wiedzą czy bez wiedzy, zwrot do jego doktryny: duch ożywiający jego budowę, chwilowo stłumiony, odradza się w nowych formach; zbudzony przed ośmdziesięciu laty przez myślicieli niemieckich, rozchodzi się po całéj Europie za pośrednictwem już to tendencyjnych teoryj, już na skrzydłach belletrystyki, przenika do warstw najmniéj nawet stykających się z filozofią prawidłową.

Życie wreszcie tego człowieka niemniéj osobliwém jest od jego systemu. Urodzony w Amsterdamie, d. 24 listopada 1632 roku, Baruch Spinoza, pochodził z osiadłéj tam rodziny żydów portugalskich, trudniącéj się handlem. Rodzice, ze względu snadź na wcześnie objawiające się wyższe zdolności syna, przeznaczyli go do rabbinatu i w tym celu oddali do szkół.

Edukacya w téj szkole, jak ją opisuje Auerbach w życiorysie Spinozy, była, pożal się Boże, czysto wyznaniowa, nie ucząca, oprócz języków, prawie niczego, co ma związek ze światem. Spinoza zadziwiał mistrzów bystrością postępów, kolegów — ironią w rozwiązywaniu trudności, ale już w piętnastu leciech przykrzył sobie i Biblią i Talmud, Kabbałę i Majmonidesa. Dopiero, dorwawszy się do Kartezyusza, poczuł się na swojéj drodze.

Odtąd też uczynił rozbrat z synagogą. Niezmiękczony ani prośbą, ani groźbą, zuchwały w oczach współwyznawców, którzy wielkie na jego zdolnościach pokładali nadzieje, omało przez jednego z fanatyków nie został zasztyletowanym. Ale nie uląkł się i tego, a zamiast talmudowi, oddał się teraz fizyce. Oderwany od współwyznawców, wszedł w przyjacielskie stosunki z chrześcianami. Wyuczył się łaciny i greckiego pod kierunkiem lekarza van den Ende, bakałarza, uchodzącego za ateusza, który późniéj powieszony został we Francyi, w skutek spisku kawalera de Rohan. Z córką tego bakałarza, Klarą-Maryą, zawiązać miał nawet jakiś stosunek miłosny, który jednak skończył się na niczém, bo panna wyszła zamąż za kogo innego.

Pożycie Spinozy z chrześcianami bardziéj jeszcze rozsrożyło przeciw niemu spółwyznawców, którzy po daremnych wezwaniach do porządku, skończyli na wywołaniu go z synagogi straszliwém przekleństwem. Zerwawszy z gminą, musiał Spinoza szukać sobie sposobu do życia i wziął się do polerowania szkieł, a przy swym wysokim umyśle, wkrótce stał się nie tylko biegłym robotnikiem, ale co więcéj — wynalazcą. Prześladowcy, widząc, że w tym nowym zawodzie, zamiast nędzy, doznaje dobrobytu i poszanowania, dokazali tego intrygami, iż magistrat zabronił mu, przynajmniéj czasowo, pobytu w Amsterdamie.

Przygotowany na ten wypadek, a liczący już w gronie swém przyjaciół i klientów, Spinoza udał się na prowincyą i osiadł na jakiś czas w Rhinburgu, niedaleko Leydy. Tam-to wypracował on krytykę filozofii Kartezyusza, p. t. „Renati des Cartes principiorum philosophiae pars 1 et 2, more geometrico demonstratae, per Benedictum de Spinoza Amstelodamensem“. Dzieło to wydawszy w r. 1663 jeden z jego przyjaciół, lekarz Ludwik Meyer, dał do zrozumienia, że autor jest Kartezyaninem, co podówczas było w Hollandyi wybornem zaleceniem.

Nabywając też coraz więcéj wziętości i ulegając życzeniu swych klientów, osiadł Spinoza stanowczo w Hadze i mieszkał tam aż do

śmierci. Lubo nic samodzielnego do owego czasu drukiem nie ogłosił, w codziennych jednak stosunkach zostając ze swymi przyjaciołmi chrześciańskimi, i tworząc niejako około siebie nową szkołę myślicieli, ustnie głosił zasady, które porywały, tak swą oryginalnością, jak i siłą rozumowania. W liczbie klientów najznakomitszym był bremeńczyk, Henryk Oldenburg, późniejszy rezydent Niższéj-Saksonii w Londynie, którego listy naukowo-przyjacielskie najliczniejszemi są w korrespondencyi Spinozy. Ten-to głównie skłonił mistrza do wydania w r. 1670 dzieła: „Tractatus teologico-politicus“, które ozwało się hukiem piorunu, w grzmotach oburzenia i zapału. Śmiałość zasad, logika wywodu, siła i malowniczość formy, zjednywają umysły; powszechny głos niesie, że ten, kto rzucił ów pocisk, musi być niepospolitym siłaczem. Zgłaszają się doń mężowie stanu, filozofowie, kobiety. Dom gospodarza jego, malarza van der Spycka, staje się celem pielgrzymki. Przyjaciele tryumfują; wielcy zaczynają go poszukiwać. Człowiek prześladowany, wzgardzony, wyklęty przez swoich, promienieje chwałą u chrześcian.

Wielki Kondeusz porozumiewa się z nim, aby go przeprowadzić na dwór Ludwika XIV, zapewniając mu pensyą i łaskę monarszą; Spinoza oświadcza, że nic nie może w zamian ofiarować jego królewskiéj mości, gdyż jest i pozostanie dobrym republikaninem. Swoją drogą, za powrotem z Utrechtu, dokąd jeździł dla zobaczenia się z marszałkiem Luksemburgiem w miejsce Kondeusza, Spinoza uchodzi za szpiega francuzkiego i doznaje obelg od hageńskiego pospólstwa. Książę palatyn Karol-Ludwik ofiaruje mu katedrę w Heidelbergu, ze wszelką swobodą wykładu; ale Spinoza nie uważa, iżby taka swoboda myśli, jakiéj teraz używa, cierpianą a nawet właściwą była na katedrze, i uprzejmie za zaszczyt dziękuje. A wreszcie myślał on już wtedy, jakgdyby przeczuwając kres niedaleki, o organicznem skodyfikowaniu wszystkich swych pojęć i myśli, rozrzuconych po pismach dotychczasowych, a które były niczém innem, jeno rozwinięciem jednéj i téj saméj zasady, mającéj przedstawić się w „Etyce“.

„Etyka“ jest-to całkowity obraz jego kierunku umysłowego, obraz poczęty już w r. 1663, nad którym jednak zastanawiał się autor jeszcze po latach dwunastu. I było nad czém. Ażeby dać tłómaczenie świata, Spinoza zwrócił się niemal do początku filozofii, do chwil, kiedy głęboki Tales głosił *jedność* za początek zjawisk, i wszystkie do jedności sprowadzał; kiedy po nim Demokryt, uogólniwszy myśl Leucyppa, za jedność tę ogłosił *atom;* kiedy filozofiia utrzymywała, że nic nie pochodzi z niczego i nie rozwiązuje się w niczém, że nic nie dzieje się przypadkiem, ale wszystko staje się w skutek przyczyny i konieczności. W tém dążeniu do zaprowadzenia jedności i konieczności w świecie, Spinoza miał do wyboru: albo materyą albo ideę. Natura umysłu widocznie ciągnęła go w stronę materyi; tradycya, wychowanie, obcowanie kierowały w stronę idei: walka

ta uwidocznia się na wszystkich kartach „Etyki“; aż realista z poczucia uległ przed wpływem idealizmu, i doprowadził go, lecz tylko formalnie, do ostatnich granic. Pod tą wszakże powłoką ultraidealną, prawie mistyczną, tyle przezierało punktów rażących prawdziwego spirytualistę, że i sam Spinoza miał wątpliwości, i przyjaciel Oldenburg, wtajemniczony w ducha „Etyki“, bynajmniéj w nim ich nie osłabiał: ztąd też zapewne powstało tyle notatek na marginesach rękopismu dzieła, które Spinoza gorączkowo wykończał. Nie zmienił wprawdzie nic w gruncie rzeczy, ale chciał bardziéj jeszcze wzmacniać swoje dowody, by się uzbroić przeciw oczekiwanym okrzykom. Jak się zaś obawiał tego sądu ostatecznego, widać ztąd, iż mając dzieło gotowe w roku 1675, nie kwapił się z drukiem aż do śmierci, która we dwa lata dopiéro potém nastąpiła. Wydali je w samymże roku jego zgonu (1677) uczniowie: Ludwik Meyer i Jarrig Jellis. Jakie wrażenie sprawiło jego dzieło wówczas, jakie miejsce zajmuje w szeregu badań filozoficznych, oraz jaki jego jest stosunek do chwili obecnéj: postaramy się objaśnić w ciągu niniejszéj pracy.

Spinoza, po usunięciu się od swych współwyznawców, a więc i zerwawszy z religią przodków, wszedł w szerokie koło cywilizacyi zachodniéj, chrześciańskiéj; ale uczestnikiem nie stał się religii żadnéj, pierwszeństwa żadnéj nie przyznając. Pod tym względem jest on krytykiem i zarazem eklektykiem. Waży na szali rozumu przepisy religijne, ceni ich doniosłość moralną, odzywa się z szacunkiem o prorokach i świętych, jako o koryfeuszach moralności i cywilizacyi, — ale cudowność wszelką z religii wyklucza, starając się ją objaśniać warunkami naturalnemi. Przejęty nawskroś ideą Boga, którego pojmuje po swojemu, tworzy sobie religią na użytek własny, a ta religia nie wyłącza ani czci Istoty najwyższéj, ani modlitwy. Na rozumie opierając całe udoskonalenie człowieka, ufa tylko w rozum, a jego ideałem ludzkości jest człowiek wolny. Wolność ta ma swoje znaczenie specyficzne, które z kolei wykażemy.

Jest Spinoza jednym z tych rzadkich na świecie ludzi, którzy stanowić mogą wzór zgodności życia z zasadami. Zdaje się,iż teoryą swą pisał nasamprzód dla samego siebie, i jaką suknię wykroił, w takiéj chodził nasamprzód sam: nie tak jak Seneka albo Bakon. Z natury wątły i chorowity, od dzieciństwa zagrożony suchotami, nie pieścił się wszelako z ciałem, dając przykład spartańskiéj wstrzemięźliwości. Pożywienie jego codzienne stanowiło mleko z kaszą i z masłem, troszka piwa i rzadko co więcéj. Odzież jego także była bardzo lichą. Zewnętrzna ta abnegacya jeszcze nie daje miary charakteru, ale Spinoza ma w swéj osobie inne rysy, które go wysoko zalecają, a przedewszystkiem znamionują bezinteresowność nasuwającą nam na myśl Lelewela, albo też legendowe typy starożytne. Zostając w najprzyjaźniejszych stosunkach z ludźm wpływowymi i zamożnymi, miał sto razy sposobność wynieść się w sfery znaczenia i do-

statku, — odmówił wszystkiego. Jeden np. z jego tamecznych przyjaciół, niejaki Szymon de Vries, bezżenny, chciał mu testamentem zapisać cały majątek. Spinoza przedstawieniami swemi zdołał go skłonić na korzyść brata, którego jednak testator zobowiązał do wypłacania Spinozie dożywocia 500 florenów: filozof nasz uważał, że to jest zawiele, i po śmierci de Vriesa ograniczył tę kwotę do 300. Jest to jeden z przykładów mnóstwa.

Ta liczna, dostojna klientela, i ta przyjaźń szczera, wskazują jak sympatycznym musiał być charakter Spinozy. Najlepiéj przekonywają o tém podane przez jednego z biografów, spółczesnego mu Colerusa, stosunki jego z gospodynią. Był on dla niéj bratem, doradcą, pomocą w wychowaniu dzieci, pociechą w każdém strapieniu domowém. Dzieci zachęcał, ażeby często chodziły do kościoła, umacniał je w posłuszeństwie dla rodziców, w uczciwych zasadach życia. Ludzi wracających z kościoła wypytywał: jakie korzyści wynieśli z kazania? A gdy go raz gospodyni zapytała: czy może być zbawioną w religii, którą wyznaje? odpowiedział jéj: „Religia twoja jest dobrą; nie szukaj innéj ani wątp, że w niéj będziesz zbawioną, byleś, oddając się pobożności, prowadziła zarazem życie ciche i spokojne.“

Takiém było i jego życie. Praca umysłowa stanowiła jego rozkosz najwyższą; pogadanka ustna czy piśmienna z przyjaciołmi, przysługi rozmaite wypełniały chwile wypoczynku wolnego myśliciela. Sympatya, łączność myśli, stanowiły początek zawiązywanéj przezeń przyjaźni; cementem jéj była bezinteresowność, towarzyszką — wierność. Żadne skarby świata ani jego zaszczyty nie zdolne dlań były zastąpić niepodległości zdania i osoby; żadna obawa albo nadzieja nie stanowiła pobudki czynu, lecz tylko samo rozumowe przekonanie o jego potrzebie. — Oto był człowiek wolny, Spinoza.

A teraz, po skreśleniu głównych rysów człowieka, przystąpimy do rozpatrzenia się w jego dziele. W pracy téj zamkniemy oczy na wszelkie o niém spółczesne lub późniejsze sądy, ale kreślić je będziemy barwą samychże tekstów, starając się o to, ażeby Spinoza, o ile możności, przedstawiał się sam przez się, tak w stosunku do ogółu filozofii, jako i do dzisiejszego jéj ruchu, oraz unikając w wykładzie, ile się da, terminów szkolnych, zaćmiewających przed umysłami nieobytemi światowe znaczenie filozofii. Ponieważ zaś nie ze wszystkich pism jego czerpać będziemy materyał, ale tylko z główniejszych, przeto szereg ich całkowity wypisujemy tu dla wiadomości czytelnika:

1) Renati des Cartes principiorum philosophiae pars 1 et 2, more geometrico demonstratae, i t. d.

2) Tractatus teologico-politicus.

3) Tractatus politicus.

4) Tractatus de intellectus emendatione.

5) Ethica; — oraz Listy.

Pomimo tego szeregu oddzielnych pism i traktatów, kto chce poznać zasadniczą, a nawet całkowitą myśl systematu Spinozy, niekoniecznie potrzebuje szukać jéj wszędzie. Dosyć mu rozłożyć jego *Etykę*, i wniknąć, jeśli będzie miał cierpliwość, w ten las twierdzeń, dowodzeń, wniosków, scholij, lemmów, i tym podobnych środków geometrycznych, prowadzących do wytłómaczenia bytu i jego objawów.

„Etyka“, któréj metoda wykładu jest ściśle geometryczną i słowo w słowo do wzoru téj nauki zastosowaną, wychodzi z definicyi i pewników, a dzieli się na pięć części, traktujących: 1) o Bogu, 2) o naturze i pochodzeniu duszy, 3) o pochodzeniu i naturze uczuć, 4) o podległości człowieka, czyli o sile namiętności, 5) o sile rozumu, czyli o wolności człowieka.

Podstawy systematu mieszczą się w tych kilku naczelnych definicyach:

„Przez *Substancyą* rozumiem to, co istnieje samo w sobie i pojmuje się samo przez się, czyli to, czego pojęcie nie potrzebuje innéj rzeczy pojęcia, aby utworzyć się mogło.

„Przez *Przymiot* (attributum) rozumiem to, co umysł pojmuje w substancyi, jako stanowiące jéj treść.

„Przez *Stan*, (modus) rozumiem odmiany substancyi, czyli to, co jest w czémś inném i przez co téż się pojmuje.

„Przez *Boga* rozumiem istotę bezwarunkowo nieskończoną, czyli substancyą, składającą się z nieskończonéj liczby przymiotów nieskończonych, z których każdy wyraża treść wiekuistą i nieskończoną.

„*Objaśnienie*. Mówię: — istotę bezwarunkowo nieskończoną, nie zaś nieskończoną w swoim rodzaju; każda rzecz bowiem, która jest w swoim tylko rodzaju nieskończoną, może nie posiadać nieskończonéj liczby przymiotów; tymczasem, co się tyczy Istoty bezwarunkowo nieskończonéj, wszystko co wyraża pewną treść i nie zawiera żadnego przeczenia, do treści téj Istoty należy“.

Do tych definicyj naczelnych, ściśle wiążących się z sobą, jeżeli dołączymy twierdzenie 16 z rozdziału o „Bogu“, brzmiące tak:

„Natura substancyi zależy na rozwijaniu się konieczném przez nieskończoną liczbę przymiotów nieskończonych i nieskończenie się modyfikujących“; będziemy mieli w głównych zarysach całkowity system monistyczny Spinozy, zwany panteizmem.

Powiedzieliśmy, że metoda jego wykładu jest geometryczną; ale nie łudźmy się co do jéj znaczenia: analogia ta stosuje się tylko do formy, do powierzchowności, nie zaś do treści. Definicye i pewniki, z których wychodzi geometrya, są całkiem innéj natury niż te, z których wychodzi „Etyka“ Spinozy. Jakoż, jeżeli geometrya powiada: najkrótszą odległość pomiędzy dwoma punktami nazywam linią prostą,—z rozbioru téj definicyi pokaże się tylko *abstrakcya* i *zamiana wy-*

razów, a grunt rzeczy pozostanie ten sam. Umysł ma pewne, gotowe już i powszechne pojęcie przestrzeni, dzielącéj się myślą człowieka na pewne części czyli odległości od punktów danych: odległości te mogą być krótsze lub dłuższe, najkrótszą więc nazywa umysł linią prostą. Rzecz więc pozostaje identycznie taż sama, bez potrzeby żadnego dowodzenia samą oczywistością swoją olśniewająca. Inaczéj się ma z definicyą substancyi: substancyą jest to, co istnieje samo w sobie i pojmuje się samo przez się..... Tu nazwa: *substancya* okrywa rzecz całkiem sobie obcą, coś, na istnienie czego umysł, przed dobraniem wyrazu, musiał się zgodzić, nie jak na powszechną formę myślenia, ale jako na rzecz pojedynczo tylko przez siebie pojmowaną, a żadnym dowodem nieusprawiedliwioną, czyli postawioną z góry, *a priori*. Powtóre: w geometryi przedstawiała się abstrakcya, przedmiot oderwany od rzeczywistości, a tylko wyrażający cechę jéj formalną; tu *substancya*, to wyraz oznaczający rzeczywistość zupełną, bo istniejącą przez się i pojmowaną przez się; czy więc rzeczywistość taka istnieje, jest jeszcze kwestyą, postulatem. System tedy, jaki na zasadzie tego rodzaju definicyi powstać może, jest systemem apriorystycznym i hypotezą, nakształt Newtonowskiego ciążenia lub Darwinowskiéj ewolucyi, i wtedy tylko może być wziętym za bussolę dla umysłu, jeżeli w rozwinięciu swém wskaże sprawdzające go fakta, jak to uczyniła Newtonowska bezwładność. Swoją drogą może on być fikcyą, czekającą na bliższą prawdę i lepszą hypotezę; może nawet natura rzeczy przezeń zdeterminowana być całkiem inną; ale nie można mu odmówić względnéj prawdziwości i zaufania, jeżeli, wzięty za zasadę do obliczania faktów, nie zawodzi choćby w pewnéj ich części.

Czy takim jest system Spinozy, zobaczymy. Tymczasem zwróćmy uwagę, iż z saméj różnicy treści, pomimo podobieństwa w formie geometrycznéj wykładu, natura jego wyników musi być całkiem inną, niż wyniki matematyczne. Jeżeli geometrya zachowa doskonałą ścisłość w rozbiorze swych definicyj i pewników, to, jak pierwotne jéj zasady, z których wyszła, były oczywistemi, tak i wszystko, co z nich dedukcyjnie wyprowadzi, oczywistém i niezbitém być musi; gdyż ani na jeden włos nie wyjdzie poza koło, w którém umieściły je same zasady. Spinoza, może sobie jaknajściśléj wyprowadzać wnioski ze swych pierwotnych zasad (w czém wszelako nie jest bez zarzutu), ale to nie dosyć: system jego, odprowadzający zasady na dalekie pola, w jakie obfituje rzeczywistość, dążyć musi do tego, ażeby to, co rozbierał skupiając napowrót w jednę gromadę, syntetyczną, z tych faktów i szczegółów systematycznie zestawionych, zyskał dopiero dowód (choćby prawdopodobny) swych pierwotnych zasad, czyli tego, co zamieścił w definicyach. Jest to więc niejako twierdzenie do udowodnienia.

Bo cóż to mieści się naprawdę w tych wyrazach wyżéj na pierwszém miejscu postawionéj przez nas definicyi: — przez *substancyą*

rozumiem to, co istnieje samo w sobie i t. d.? Znaczy to tyle, coby powiedział: Ja uznaję istnienie czegoś, co istnieje samo w sobie i pojmuje się samo przez się, i t. d. Ależ zapytać go można: dlaczego uznajesz; jakie masz do tego dane i motywa? Czyli, możnaby mu powiedzieć poprostu: dowiedź mi tego, co mówisz, inaczéj ja ci nie uwierzę. Otóż, jeżeli ten dowód nie wyniknie z rozwinięcia systematu na faktach, jeśli systemat w jedném lub kilku miejscach zboczy na drodze dedukcyjnéj od prostéj linii logicznéj, jeżeli skrzyżuje się sam z sobą, to hypoteza ztąd nie powstanie żywotna.

Po takiém wyjaśnieniu metody, przyjrzyjmy się systematowi. Bez wielkich korowodów i uciążliwych naprowadzań, powiedzmy odrazu, że substratem całego tego systematu jest Bóg, a substancya Spinozy niczém inném nie jest tylko Bogiem, co w nieprzerwanéj sieci dowodzeń, wypada dopiéro w 14 twierdzeniu pierwszéj części „Etyki“, zawartém w słowach: „Żadna substancya istnieć, żadna inna pojętą być nie może, tylko Bóg“. Z czego wniosek taki: że Bóg jest jedynym, czyli, że w naturze rzeczy istnieje jedna tylko substancya, i że jest bezwarunkowo nieskończoną; następnie, iż rozciągłość i myśl są przymiotami albo stanami — przymiotów Boga.

Jakoż, w téj nieskończoności przymiotów, które Spinoza przyznaje substancyi czyli Bogu, odkrywa on tylko dwa, to jest: rozciągłość nieskończoną i myśl nieskończoną. Za tém jednak, że Bóg posiada rozciągłość nieskończoną, nie idzie, ażeby był cielesnym, a tém samém podzielnym; podzielną bowiem jest tylko rozciągłość skończona, gdy rozciągłość boska przez samę swą nieskończoność pod żaden podział nie podchodzi. A jak dla swéj rozciągłości nieskończonéj (przestrzeń i czas) Bóg nie jest podzielnym, tak też i myśl boża wyłącza intelligencyą, która byłaby także jakiémś dzieleniem myśli. Bóg nie zna innéj myśli, prócz treści własnéj. A jeżeli w sposób metaforyczny mówimy o rozumie bożym, nie więcéj łączyć go można z rozumem ludzkim „jak Psa z konstellacyi niebieskiéj, z psem, zwierzęciem szczekającém“. Trudno jest nam wprawdzie nie odnosić do Boga własnych naszych przymiotów, ale nic dziwnego. Gdyby trójkąt mógł mówić, twierdziłby, że Bóg jest jaknajwydatniéj trójkątnym, a koło, że natura boska jest przeważnie okrągłą.

Bóg, jako rozciągłość nieskończona i niepodzielna, oraz jako myśl nieskończona i nierozumująca, jest oprócz tego wolnym, byle tu nie uledz nieporozumieniu co do znaczenia wolności. Kto mu przyznaje wolność obojętną, wolność wyboru, kto myśli, że on arbitralnie stosuje pewne środki do pewnych celów, ten myli się grubo. Wolnością Boga jest ta moc, która sprawia, że wszystko pochodzi od niego tak jak on pochodzi od niéj. Rozwój Boga tak tkwi w nim samym, jak własności geometryczne w trójkącie, który nie może nie mieć trzech swych kątów równych dwóm kątom prostym, i t. p. Wszystko tém samém jest dobrze tak, jak jest, a raczéj wszystko jest jaknajlepiéj, gdyż wszystko pochodzi od Boga, przez Boga, i wszystko jest

w Bogu. On stanowi przyczynę skuteczną i wewnętrzną wszystkiego, co istnieje.

Streszczając główne wyniki tych wywodów, pomijamy wszelkie dowodzenia pojedyńczych twierdzeń, z których się one składają, razem z całym ich aparatem geometrycznym; inaczéj bowiem musielibyśmy raczéj powtarzać całą Etykę, z jéj uciążliwością. Ale wreszcie przytoczymy słowami samego Spinozy ostateczny wynik dotychczasowych rozumowań, mieszczący się w dodatku do twierdzenia 36. „Wytłumaczyłem — powiada on — w tém, cośmy poprzednio czytali, naturę Boga i jego własności. Wykazałem, że Bóg istnieje z konieczności; że jest jedynym; że istnieje i działa jedynie koniecznością swéj natury; że jest przyczyną wolną wszechrzeczy; że wszystkie rzeczy są w nim i zależą od niego, tak, iż bez niego ani istnieć ani pojętemi być nie mogą; że nareszcie wszystko z góry zakreśloném zostało przez Boga, nie w moc woli wolnéj lub bezwarunkowego upodobania, ale w moc jego natury bezwarunkowéj lub potęgi nieskończonéj".

A teraz dopiéro następuje utarczka z tak zwanym przez Spinozę przesądem ludzkim, który gotówby powstać przeciw tak mozolnie skojarzonemu łańcuchowi jego rozumowań: przesądem tym, według niego, jest doktryna *przyczyn celowych*. Tu już widzimy przyklaskujących materyalistów i pozytywistów, w oczach których te przyczyny celowe po wszystkie czasy były i są dziedzicznemi wrogami postępu umiejętności, najzawziętszemi sprawczyniami bałamuctw metafizycznych. Wszystko bowiem, według nich, odbywa się na zasadzie praw czysto mechanicznych, wyrasta na zasadzie ewolucyi nieprzerwanéj, nie zaś zmierza do wypełnienia jakiegoś zamiaru, jakiéjś idei, z góry przez kogoś powziętéj. Spinoza, z innéj wprawdzie wychodząc zasady, bo z absolutności boskiéj, przychodzi do tego samego przekonania, że trzeba stanowczo usunąć wszystkie tłómaczenia natury antropomorficzne i religijne, wygnać bez litości z zarządu świata intencye moralne i widoki racyonalne człowieka, — słowem: zażegnać raz na zawsze widmo przyczyn celowych. Wierzyć w celowość świata, w realizujący się ideał, w kształcące się sumienie, w prawo wewnętrznego rozwoju rzeczy, znaczy to jeszcze wierzyć w cuda, — utrzymują dzisiejsi filozofowie natury. Wierzyć w to wszystko, sądzić się wolnym i działającym w jakimś celu, oceniać Boga według siebie, znaczy to znosić (tollere) doskonałość Boga, — dowodzi Spinoza, — czyli utrzymywać, iż on działa w jakimś celu, nie zaś w następstwie koniecznem natury swéj. Gdyby tak było, to jest, gdyby Bóg działał dla jakiego celu, to poszukiwałby oczywiście czegoś sobie brakującego — byłby niedoskonałym. Czy zatém przyczyny celowe rugują się w imię prawdziwości nauki, czy w imię prawdziwości natury bożéj, wynik w obu wypadkach pozostaje ten sam: zgodność panteizmu z naturalizmem jest w tym punkcie ujawnioną.

Wyrodzenie się podobnego przesądu w umyśle ludzkim, Spinoza przypisuje stosowaniu wszystkiego przez ludzi do trybu postępowa-

nia własnego. „Dosyć mi, — powiada ([1]) — na ten raz postawić zasadę tę, na którą każdy zgodzić się musi, a mianowicie, że wszyscy ludzie rodzą się w nieświadomości przyczyn, a skłonność powszechna, której świadomość mają, pobudza ich do wyszukiwania tego, co im pożyteczne. Pierwszém następstwem téj zasady jest to, iż ludzie mienią się wolnymi, z tego powodu, że mają świadomość swych chceń i pragnień, a bynajmniéj nie myślą o przyczynach, usposabiających ich do chcenia i pragnienia".

Najwyraźniejszy-to determinizm dzisiejszy, według którego wolna wola nie istnieje dla nas, jeśli poznamy i zważymy przyczyny, wywołujące pobudki czynów a następnie czyny same.

Spinoza mówi w dalszym ciągu: — „Wypada ztąd, powtóre, że ludzie działają zawsze ze względu na jakiś cel, czyli na pożytek własny, przedmiot naturalny ich pragnień; ztąd tedy pochodzi, że względnie do wszystkich czynów możliwych, usiłują poznawać tylko ich przyczyny celowe, a poznawszy, uspakajają się, nie mając już w umyśle żadnego niepewności powodu.... Napotykając więc, już to zewnątrz siebie, już w sobie, wielką liczbę środków wielce pomocnych do zyskiwania rzeczy pożytecznych, jako to: oczy do widzenia, zęby do żucia, rośliny i zwierzęta do żywienia się, słońce do oświecania i t. d. wszystkie jestestwa natury uważają za środki do swego użytku; a wiedząc zkądinąd, że środki te napotkali tylko, nie zaś je przygotowali sami, mają sobie to za dowód, że istnieje *ktoś* inny, który je dla nich przysposobił".

Cóżby innego powiedział dzisiejszy naturalista? Powtórzyłby za Spinozą, iż nie dziwi się, że ludzie, nawykłszy patrzéć przez pryzmat własnego doświadczenia, uważają każdą rzecz za środek, do jakiegoś celu z góry przygotowany, zkąd powstają takie metaforyczne wyrażenia, jak: natura albo Opatrzność nadała téj a téj istocie taki a taki środek do utrzymania życia, do przechowania siły, do obrony, i t. p. Gdy, przeciwnie, hypoteza naukowa, opierając się na faktach, wskazuje, iż środki te, np. zęby, rogi, skrzydła, a nawet serce i mózg, i myśl, są tylko wolnym, przez wybór naturalny i dziedziczność, wyrobem materyi mocą praw czysto mechanicznych. Tłómaczenie takie zupełnie odpowiada rozwojowi substancyi Spinozy przez przymioty i stany przymiotów, jeżeli pod jego substancyą czyli Boga, podstawimy wyraz *materya*, równie tajemniczy jak poprzedzające.

Filozof nasz długi jeszcze wykład poświęca udowodnieniu, zawsze na zasadzie doskonałości boskiéj, że natura nie zakłada sobie żadnych celów w swych czynnościach, i że wszelkie przyczyny celowe są tylko fikcyą, wymyśloną przez ludzi. Zdaje się jak gdyby Spinoza dawał hasło dzisiejszemu naturalizmowi, mówiąc: — Kiedy przeciwnicy nasi wpatrują się w gospodarkę ciała ludzkiego, wpadają w zdziwienie głupie,

([1]) *Etyka*; I, 36. Appendix.

a ponieważ nie znają przyczyn tak dziwnego kunsztu, wnoszą, że to nie prawa mechaniczne, ale przemysł boski i nadprzyrodzony stworzył to dzieło i części jego urządził tak, by sobie wzajem nie szkodziły. Dlatego też ktokolwiek poszukuje prawdziwych przyczyn cudów, i usiłuje zrozumieć filozoficznie rzeczy, zaraz uważany jest za odszczepieńca i bezbożnika, oraz głoszony takim przez ludzi, których pospólstwo czci jako tłómaczów natury i Boga.

Zaznaczyliśmy ten ważny nadzwyczajnie punkt, zbliżający panteizm w jednym z najdawniejszych filozofii nowoczesnéj systematów do dzisiejszego naturalizmu i determinizmu: w dalszym ciągu napotkamy inne jeszcze zbliżenia, mniéj ważne, bo już będące tylko pierwotnéj zasady usunięcia przyczyn celowych wynikiem, ale niemniéj uderzające.

Z takiego-to pożytkowego i celowego uważania porządku rzeczy utworzyli sobie ludzie takie pojęcia, jak: dobro i zło, ciepło i zimno, ład i nieład, piękność i brzydota, pochwała i nagana, wina i zasługa, które w gruncie niczém inném nie są, tylko nazwami imaginacyi. Ale rzecz ta w odpowiedniém miejscu właściwiéj będzie rozebrana. Teraz idziemy daléj w rozbiorze substancyi, dla dowiedzenia się, czém jest w systemacie niniejszym dusza i ciało.

W terminologii Spinozy, zapożyczonéj od Giordana Bruno, Bóg (jak widzimy bardzo zbliżony do natury) nazywa się *natura naturans*, na co w polskim języku wyrażenia nie mamy, a co odpowiadałoby wyrażeniu: natura zasilająca naturę. Owóż, jeżeli natura ta, ta substancya nieskończona, objawia się nam dwoma tylko przymiotami, rozciągłością i myślą nieskończoną, — nawzajem przymioty te objawiają się przez mnóstwo stanów. Jednym z takich stanów, z takich odmian substancyi, jest świat, *natura naturata*. Nie idzie zatém, ażeby Spinoza przypuszczał stworzenie. Przymioty substancyi niewzruszonéj w swéj pełni, są jéj współczesne, a tylko ustępują jéj pod hierarchicznym względem. Nie zachodzi tu także emanacya; bo skoro wszystko jest wszystkiém i jedném, przeto między stanami przymiotów i samemi przymiotami różnica jest w stopniu, nie zaś w porządku bytu.

Stanami przymiotu, zowiącego się rozciągłością nieskończoną, są ciała; stanami przymiotu, oznaczonego myślą nieskończoną, są idee, duchy, dusze.

Pomiędzy ciałem, czyli stanem rozciągłości nieskończonéj, a duszą, stanem myśli nieskończonéj, zachodzi nieustanna równoległość. Substancya bowiem myśląca i substancya rozciągła stanowią substancyą jedyną, pojmowaną raz pod przymiotem myśli, drugi raz pod przymiotem rozciągłości. Ciała więc i dusze są tylko stanami dwóch przymiotów, należących do substancyi jedynéj. Ponieważ zaś rozciągłość i myśl jednoczą się w Bogu spójnią konieczną, przeto wszystkie rzeczy tętnią życiem, a dwoistość duszy i ciała znajduje się wszędzie, choć w różnych stopniach. Im które ciało podatniejszém jest do stanu czynnego i biernego, jednocześnie i na większą liczbę spo-

sobów, tém dusza jego zdolniejszą jest do pojmowania jednocześnie większéj liczby rzeczy. Dlatego też Spinoza, przyznając duszę nietylko zwierzętom ale i kruszcom, gubiąc się w nieskończonéj rozmaitości, jaką przedstawia kombinacya myśli i przestrzeni, — przypisuje człowiekowi wyższość względnie niezaprzeczoną, w słowach: „Im więcéj czynności jakiego ciała zależą od niego samego, innemi słowy, im ono mniéj potrzebuje pomocy innych ciał do działania, tém bardziéj dusza, połączona z niém, zdolną jest do jaśniejszego pojmowania" ([1]).

Ale czemże właściwie jest człowiek? Nie jest on substancyą, ta bowiem istnieje sama przez się, absolutnie, nieskończenie, niewzruszenie, i t. d., czego o człowieku powiedzieć bez absurdu nie można. Ale z drugiéj strony, ponieważ wszystko jest w Bogu i wszystko jest Bogiem, przeto stosunek człowieka do substancyi jest koniecznym i niezawodnym. Z czego wynika, że: „dusza ludzka jest cząstką nieskończonéj myśli bożéj; a tém samem, mówiąc, że dusza ludzka pojmuje to lub owo, mówimy tylko to, że Bóg, nie jako nieskończony, ale jako wyrażający się naturą duszy ludzkiéj, albo też stanowiący jéj treść, — ma tę lub owę ideę" ([2]). Czyli ogólniéj jeszcze mówiąc: „Treść człowieka stanowią pewne modyfikacye przymiotów bożych.... Treść człowieka jest czémś, co istnieje w Bogu, nie może istnieć bez Boga i bez Boga pojętém (concipi) być nie może; innemi słowy, jest to odmiana (affectio) lub stan, wyrażający naturę bożą w pewien ograniczony sposób" ([3]).

Dusza więc ludzka jest tylko jedną z idei, jedném z następstw idei bożych. A ponieważ każda idea ma jakiś ideał, czyli przedmiot, ciało więc stanowi właśnie przedmiot téj idei czyli duszy. Dusza jest tylko ciałem myślącém o sobie; ciało — rozciągającą się duszą. Ciało ludzkie stanowi modyfikacyą substancyi w przymiocie jéj rozciągłości; duch ludzki modyfikacyą myśli nieskończonéj; a ani ciało nie może skłonić duszy do myślenia, ani myśl — ciała do ruchu; tylko Bóg, substancya duszy i ciała, sprawia między niemi harmonią; nic bowiem nie zajdzie w Bogu, jako rozciągłości naszego ciała, coby nie odbiło się w Bogu, jako myśli naszéj duszy.

Na postawione zatém przez nas pytanie: czém jest człowiek według Spinozy? musielibyśmy odpowiedzieć, że jest to jedność duszy i ciała o dwu obliczach, myśli i rozciągłości, uważanych jako pewne stany przymiotów bożych. I tu już jest właściwe przejście od ontologii do psychologii, która stanowi nieprzebyty szkopuł systematu. Trzebaż temu człowiekowi dać pewne władze, i Spinoza mu ich nie odmawia, lecz w żaden sposób nie może wyjść na czysto z ich

([1]) *Etyka;* II. 13. Schol.
([2]) *Etyka;* II. 11, Wniosek.
([3]) *Etyka;* II. 10, Wniosek.

natury i uzasadnienia. Daremnie turbowanym był o to przez swych przyjaciół, wtajemniczonych za życia, daremnie i my dziś pokilkakroć przewracamy tę część „Etyki": w poszarpanéj sieci teorematów widzimy same tylko sprzeczności i niezrozumiałość.

Człowiek posiada przedewszystkiém władzę świadomości: zupełną (adaequatam) albo niezupełną. Dobrze. Ależ, jeżeli dusza jest ideą ciała, toćby powinna miéć świadomość zupełną swego przedmiotu czyli ideału. Tymczasem Spinoza całym szeregiem teorematów usiłuje dowieść, że dusza przedmiot ten swój właściwy i bezpośredni pojmuje tylko w pośredni sposób i cząstkowy, a więc niezupełny. Niech i tak będzie. Lecz zacóż z drugiéj strony, stawia znowu twierdzenie następujące: „*Wszystko*, co zachodzi w przedmiocie idei, stanowiącéj duszę ludzką, *musi* być przez nią pojmowane; innemi słowy, dusza ludzka będzie tego koniecznie świadomą: przez co rozumiem, że jeśli przedmiotem idei, stanowiącéj duszę ludzką, jest ciało, to nic nie będzie mogło zajść w ciele tém, czegoby dusza nie wiedziała" ([1]). I czy sądzicie, że nie dowiódł tego twierdzenia ów matematyk filozoficzny? Najdoskonaléj. Ale nie mniéj doskonale potrafił dowieść wielu takich twierdzeń, jak: „Dusza ludzka nie obejmuje zupełnéj świadomości części składowych ciała ludzkiego" ([2]), które zupełnie ruinują poprzednie. Dowód to tylko, że ta geometryczna ścisłość wykładu jest czystém złudzeniem optyczném, które słabości gruntu nie zasłania, a tylko utrudnia pochwycenie nici wykładu.

Jeżeli zostaniemy przy pierwszém twierdzeniu, to niewiadomo co robić z tą sprzecznością, którą wywołują następne; lecz jeżeli zatrzymamy następne, bez względu na sprzeczność z poprzedniém, to większa jeszcze uderza nas niespodzianka.

Jakoż, dusza ludzka, „ilekroć postrzega rzeczy w zwykłym porządku natury, nie ma o sobie, ani o swém ciele, ani o ciałach zewnętrznych, świadomości zupełnéj ([3]), ale tylko świadomość ciemną i ułomną" ([4]). Po takiém sformułowaniu ostateczném wszystkiego, co było mówioném o sposobie i zdolności pojmowania przez duszę rzeczy bliższych i podrzędnych, słyszymy niebawem, że „wszystkie pojęcia, o ile odnoszą się do Boga, są prawdziwemi"; oraz, że „dusza ludzka ma świadomość *zupełną* treści Boga nieskończonéj i wiekuistéj" ([5]). My tedy, ludzie maluczcy, najgorzéj i najułomniéj znamy ciało nasze, samych siebie; ale za to bezwarunkowo doskonale znamy

([1]) *Etyka;* II, 12.
([2]) Tamże; II, 24, 25, 27, 28, 29. 30.
([3]) „Przez ideę zupełną (idea adaequata), — powiada Spinoza w definicyach części drugiéj, — rozumiem ideę taką, która uważana w sobie bez względu na przedmiot, ma wszystkie własności i wszystkie znamiona wewnętrzne idei prawdziwéj."
([4]) *Etyka;* 29, Wniosek.
([5]) Tamże; II, 32, 47.

nieskończoność i niepojętość: tajemnicę. Taki tych dowodów ostateczny rezultat. „Nie jestże to zbytek zarazem pychy i pokory, zarówno daleki od prawdy”? trafnie zapytuje jeden z najgruntowniejszych komentatorów Spinozy ([1]).

Oczywiście, że jeżeli są jakieś świadomości niezupełne, czyli ciemne i ułamkowe, to są one *błędne*. Spinoza też naznacza trzy stopnie świadomości: pierwszym jest prosta opinia, przyjęta z nasłychu, bez żadnego sprawdzenia, i nie mająca przeto żadnéj wartości naukowéj; drugim jest świadomość, nabywana przez doświadczenie i rozumowanie: trzecią stanowi rozum, wyprzedzający wnioski doświadczalne, a odnoszący się głównie do Istoty bytującéj w sobie i przez siebie, czyli jak dosłownie powiada w jednym z wniosków Spinoza: „naturą rozumu jest pojmowanie rzeczy pod formą wieczności”, — a w innem miejscu: „i konieczności”. Ale ponad tém wszystkiém stoi intuicya bezpośrednia prawdy oczywistéj i narzucającéj się jasności swéj światłem. Bądź co bądź wszakże, niedoskonałość świadomości, zkądkolwiek pochodzi, musi zawierać błąd. Ależ, jeżeli dusza ludzka, nie już jako idea ciała, lecz jako stan myśli bożéj uważaną będzie, — to gdzież w niéj miejsce na błąd? Przy wychodzeniu z téj trudności następuje takie zamięszanie, że wbrew dzielności przyrządu geometrycznego nic zeń na korzyść téj metafizyki logopsychicznéj wodobyć nie można, prócz tego chyba, iż gdy wszystkie idee są w Bogu i przez Boga dochodzą dopiéro do człowieka, przeto zaciemniają się gdzieś na drodze, skutkiem swego nawału. Powiada bowiem w jedném miejscu Spinoza: — „...a mówiąc, że Bóg ma tę lub ową ideę, nie już jako stanowiący naturę duszy ludzkiéj, ale jako mający zarazem ideę innéj rzeczy jakiéj, mówimy wtedy, że dusza ludzka (naturalnie myśląca tylko przez Boga) pojmuje rzecz w sposób cząstkowy lub niedoskonały”. Nic to jednak nie poradzi: gdybyśmy niewiedzieć jak obracali temi zdaniami, zawsze wyniknie z nich to, że albo błędu niéma, albo mu podlega i Bóg. A przeciwko takiéj alternatywie Spinoza nic innego postawić nie może nad to zdanie, że: „to, co sprawia fałszywość idei, nie jest niczém pozytywném”, czyli zatém, że błąd jest prostą negacyą, co nas jednak o wewnętrznéj naturze jego nie objaśnia.

Nic pewniejszego, iż trudność ta pochodzi z przyjętego systematu, który wykluczył z góry wszelki punkt doświadczalny. Gdyby Spinoza, wzorem Kartezyusza, wyszedł był z jedynéj pewności, jaką mamy u wrót bezwzględnego myślenia, to jest z tego, że *jestem*, i jeżeli nic nie znam, to znam przynajmniéj swoje *ja*, mógłby przy ścisłości wniosków uniknąć sprzeczności. Lecz założywszy sobie z góry absolut jedyny i bezwarunkowy, zdaje się on zakrywać oczy na wszyst-

([1]) *Saisset.* — Wstęp, str. 135.

ko, choćby najwidoczniéj sprzeciwiające się doświadczeniu, byle ani na krok nie zboczyć od powziętéj myśli.

Przy takiéj, jakąkolwiek ona jest, świadomości, która nie jest świadomością, opartą na samodzielności i odrębności jaźni, ale tylko łańcuchem pojęć bez żadnéj nici różańca prócz téj, jaka wiąże istotę ludzką z Substancyą, — przy takiém unicestwieniu indywidualności, maż człowiek jaką wolę? Co do tego, Spinoza jest w zupełnéj zgodzie z dzisiejszym naturalizmem rozmaitych nazw, a to do tego stopnia, że czynność ludzką uważa wprost za tożsamość z ideą człowieka, tak jak własności trójkąta, np. równość trzech jego kątów dwóm kątom prostym, za tożsamość z ideą trójkąta. Zdanie to wyraża on temi słowy: „Nie ma w duszy żadnego chcenia, to jest, żadnego twierdzenia lub przeczenia, tylko to, które obejmuje idea, jako idea"; zkąd wynika wniosek bezpośredni, że: „wola i rozum są jedną i tą samą rzeczą". Dodając do tego twierdzenie, że: „w duszy niema bynajmniéj woli bezwzględnéj albo wolnéj, ale duszę skłania do chcenia tego lub owego jakaś przyczyna, wywoływana przez inną, a ta jeszcze przez inną, i tak w nieskończoność" (1), będziemy mieli całą jego teoryą woli. Wola więc jest tylko sądem w oczach Spinozy, a pomiędzy stanem duszy biernym i czynnym, zachodzi tylko ta różnica, jaka oddziela ideę ciemną od jasnéj. I ludzie pysząc się ze swej wolności, nic a nic nie wiedząc o przyczynach determinujących czyn, doznają złudzeń pijaka lub waryata. — „Tak niemowlę — pisze w jednym z listów, — mniema, że pokarm u piersi chwyta z dobréj woli, tak chłopiec rozgniewany ocenia swą pomstę, albo lękliwy ucieczkę. Tak pijany mniema, że gada według swobodnego myśli wyroku to, o czém późniéj jako trzeźwy wolałby zamilczéć. Tak waryat, gaduła, dzieciak, i wielu z podobnéj rodziny, mniemają, iż mówią z wolnego myśli wyroku, a oni po prostu nie mogą tylko powstrzymać popędu do mówienia, jaki mają." Wszak to dosyć kategorycznie: więcéj określeń dla objaśnienia teoryi woli nie potrzeba.

Samo to zidentyfikowanie woli z myślą, zniesienie bezwarunkowe indywidualności człowieka przez odjęcie mu wyboru czynów, wskazuje, że gruntem doktryny Spinozy jest ewolucya, tylko na inne przeniesiona pole. Świat i człowiek w doktrynie téj jest po prostu rozwojem koniecznym substancyi czyli bóstwa; tak jak w naturalizmie rozwojem materyi według zasad przyczynowości, z tą tylko różnicą, iż Spinoza „pijany Bogiem", jak go nazywa Novalis, nie spostrzegł, że wpada w najgrubszy fatalizm. Wprawdzie na poparcie swéj doktryny mógłby przytoczyć i Ś. Augustyna, i co większa Ś. Pawła zdanie: „O! człowiecze, ktoś ty jest, żebyś miał odpowiadać Bogu? Izaż może rzec garniec garnciarzowi: czemuś mnie tak uczynił? Izaż garnciarz nie ma gliny w mocy, aby z jednéj bryły uczynił

(1) *Etyka*: II, 48, 49.

jedno naczynie ku uczciwości a drugie ku zelżywości" ([1])? Ale Spinoza przeciwko swojemu fatalizmowi zamknął sobie drogę łaski, do któréj udają się tamci. Ten człowiek, w którym wszystko działa Bóg; ten człowiek, bohater lub zbrodniarz, który jest tylko automatem duchowym: głupim byłby, gdyby się, jak *garniec na garncarza*, uskarżał przed Bogiem, że mu odmówił męztwa i władzy nad samym sobą, tak jak okręgowi koła odmówił własności czworogranu, lub paralitykowi możności tańca. Spinoza sam się nawet może nie domyśla, jak zgodnie z dzisiejszym naturalizmem, ponad wszystkiemi fenomenami stawia niezłomną moc *prawa*, które daremnie osłania przymiotami i stanami substancyi. Natura każdéj rzeczy nie znosi nic więcéj nad to, co jest wynikłością konieczną jéj przyczyny. I ani doświadczenie, ani rozum, zdaniem jego, nie pozwalają przeczyć, że nie w mocy naszéj jest mieć tak dobrze ciało zdrowe, jak rozum zdrowy.

A niechaj nikt nie czyni mu zarzutu, że człowiek tém samém nie jest odpowiedzialnym, skoro, gdy grzeszy, to nieinaczéj, tylko zmuszony koniecznością swéj natury. Jeżeli przez nieodpowiedzialność rozumiemy to, że nie wznieca gniewu bożego, — zgoda; bo Bóg się nie gniewa. Ale jeżeli przez nieodpowiedzialność rozumiemy, iż godnym jest szczęśliwości, — to fałsz. Wszak i ten, kogo pies wściekły ukąsi, nie jest winnym, duszą go jednak, i słusznie. Tak samo i ten, kto nie umie powściągać swych namiętności, nie jest odpowiedzialnym za słabość swéj natury; winien być jednak pozbawionym szczęśliwego oglądania Boga, i zginąć koniecznie ([2]).

Téj logiki, przyznam się, w żaden sposób pojąć nie mogę; i wyżéj nierównie cenię logikę tłómaczeń świata ateistycznych i materyalistycznych, które zeń wyrugowały z góry wszelkie wpływy nadprzyrodzone i cele. Mogą one grzeszyć założeniem, ale są przynajmniéj konsekwentne z założeniem, gdy tłómaczenie niniejsze grzeszy niekonsekwentnością krzyczącą przeciw założeniu. Spinoza wprawdzie, na równi z materyalizmem, nie przypuszcza stworzenia *ex nihilo*, wyśmiewa je nawet, ale czyni to w imię godności Substancyi. W jego rozumowaniu, substancya istniejąc bezwzględnie, a więc wiecznie i nieskończenie, istnieje razem i jednocześnie ze swémi przymiotami i modyfikacyami, czyli ze światem, w jakiéjbądź jego formie, lichym zmysłom naszym dostępnéj. Człowiek zatém nie jest stworzeniem, właściwie mówiąc, ale cząstką Stwórcy, mniejsza o nazwę szkolną téj cząstki. Jest to *natura naturata*, natura zasilona; jeżeli więc źle go zasilono, co on temu winien, i za co ma być upośledzonym? Wprawdzie podobne zdanie co tu, o ukąszonym przez psa wściekłego, słyszeliśmy nie dawno z powodu dramatu *Niewinni*, wypowiedziane

(1) *List do Rzymian*; IX. 20 i 21.
(2) List Spinozy do Wilhelma Bleyenbergh.

względnie do występnych wobec prawa społecznego: i jest to czysty rachunek społeczny, nic więcéj. Wilk przeszkadza oborze, wytępić go; bo człowiek nie starał się o wilka i wilk cząstki jego nie stanowi. Ale z duszą ludzką jest inny rachunek, jeśli ją ktoś stawia tak, jak ją postawił Spinoza, i rachunek ten, oczywiście, bez przyznania duszy wolności, w żaden sposób odpowiedzialną czynić jéj nie może. Albo trzeba uznać ślepy fatalizm, tak jak to czynią ateusze i materyaliści, którym w takim razie wolno zamilczéć o wszelkiéj odpowiedzialności; albo, uznawszy rozum w świecie, nie redukować go do ślepego fatalizmu, tak jak to czyni Spinoza, ustawicznie każdą istotę ludzką i jéj przymioty porównywając do fatalnéj niezłomności praw kwadratu lub trójkąta.

Nie znamy listu Bleyenberga, w którym snadź podobne czynił nieznany wielbiciel doktrynie jego zarzuty; ale długa odpowiedź Spinozy w niczém ich nie osłabiła. Zasadza się ona głównie na rozbiorze zdania, już poprzednio przez nas przytoczonego, że „wola i rozum są jedną i tą samą rzeczą"; ale i cofa poniekąd zarazem zdanie o bezwłasnowolności człowieka, czyli objaśnia, w jaki sposób człowiek, pomimo swéj zależności, może być wolnym. „Zechcesz zauważyć — pisze — iż wolność nasza nie polega ani na pewnéj przypadkowości czynów, ani na obojętności, ale na twierdzeniu lub przeczeniu; za czém idzie, że w miarę jak mniéj jesteśmy obojętni w twierdzeniu rzeczy, jesteśmy wolniejsi. Jeżeli, np., natura Boga jest nam znaną, to i twierdzenie o istnieniu Boga wynika z naszéj natury, z taką samą koniecznością, jak z natury trójkąta wynika summa trzech jego kątów, równa dwóm prostym; a jednak (pomimo téj konieczności) nigdy nie jesteśmy wolniejsi niż wtedy, kiedy twierdzimy jakąś prawdę tego rodzaju. Owóż, ponieważ konieczność ta jest tylko wyrokiem bożym, jak to jasno wykazałem gdzieindziéj, łatwo zrozumiéć ztąd, jakim sposobem my czyn pewien wykonywamy z wolą i jesteśmy jego przyczyną, lubo wykonywamy go z konieczności i według wyroku bożego. Rozumiemy to, powtarzam, za każdym razem, ilekroć twierdzimy coś, o czém mamy pojęcie jasne i wyraźne; ale jak tylko twierdzimy coś, czego nie pojmujemy jasno i wyraźnie, to jest ilekroć cierpimy, ażeby wola wybiegała poza granice rozumu, nie spostrzegamy wtedy konieczności twierdzenia ani wyroków Boga: widzimy tylko wolność swoję, która zawsze jest zamknięta w woli, i która sama tylko czyny nasze uznaje za dobre lub złe."

Jest to wprawdzie śliczna moralność deistyczna, ale bynajmniéj nie rozwiązująca kwestyi, metafizycznie przez Spinozę postawionéj. Uważa on wyrok boży jak konstytucyą w państwie, do któréj przystępuje wolny obywatel, o tyle wolny, o ile zrozumiał jéj naturę i stosuje się do niéj. Ponieważ przystąpił na zasadzie wolności, więc spełniając prawo przepisane, spełnia zarazem postanowienia swéj woli, i przeciwiłby się jéj nie spełniając: byłby niewolnikiem. Ale gdzież jest odpowiedź na to, jeżeli nie spełnia? Znowu się kwestya

stawia w charakterze społecznym odpowiedzialności; a przyczyny jedna za drugą odniosą się aż do Boga, którego trzeba obwinić jak garncarza za to, że naczynie uczynił *nie ku poczciwości ale ku zelżywości*, jeśli naczyniu odejmiemy samodzielność. „Jeżeli Bóg, powiadasz, — pisze do Bleyenberga — nie karze ludzi za winy (przez co rozumiesz Boga jako sędziego, wymierzającego winnemu karę, któréjby wina jego za sobą nie pociągnęła; bo taka tylko kwestya stoi między nami), to cóż mi przeszkodzi rozpasać się na wszystkie zbrodnie?" Dzisiejszy naturalizm odpowiedziałby na to *honorem* człowieka, godnością istoty, postępującéj w uzacnieniu, bez żadnego innego sprawdzianu powagi, prócz widma utylitaryzmu. Spinoza na to odpowiada w gruncie tak samo, w formie zasady zgoła inaczéj. „Odpowiadam na to — pisze — że każdy człowiek, wstrzymujący się od złego jedynie przez obawę kary, nie działa z pewnością z miłości dobra i bynajmniéj nie zasługuje na imię cnotliwego. Co do mnie, odwracam oczy od takiéj moralności, i potrzebuję niemyśléć o niéj; ona wstrętną jest mojemu charakterowi, onaby mnie oddaliła od poznania i miłości Boga."

Odpowiedź niewątpliwie szlachetna, ale mająca na względzie tylko praktykę życia, nie zaś jego teoryą. Być wolnym przez spełnianie wyroku bożego, znaczy to postępować według tego, jak sobie kto ów wyrok boży wytłómaczy. Pod ten ogólnik można podciągnąć tak samo tłómaczenie stoickie jak epikurejskie, chrześciańskie jak pogańskie, mistyczne jako i niepodległe, działające z Bogiem czy bez Boga. Z drugiéj strony, stawia wprawdzie Spinoza za warunek poznanie Boga, jako sprawdzian postępowania, i przypuszczamy, że takie poznanie, jakie on podaje, najlepszém jest; zgadzamy się nadto w zupełności na te święte słowa, iż wolność równoważna jest z wiedzą, czyli, że ten tylko może postąpić z całą swobodą czynu, kto jasno i wyraźnie zdaje sobie sprawę z jego wartości; lecz pomiędzy wiedzą i wolą a samym czynem istnieje przepaść, zapełniająca się wyborem, a więc zasługą lub winą, w duchu saméj doktryny, czyli odpowiedzialnością. Pozostaje tedy zawsze do uzasadnienia, że taż sama odpowiedzialność *słusznie* dotyka i tych, którzy z natury swéj do należytego poznania Boga, a zatem i do zrównoważenia woli z wiedzą, w żaden sposób dojść nie mogli, tak samo jak, mówiąc słowami Spinozy, trójkąt dojść do tego nie mógł, ażeby miał własności koła. W téj trudnéj sprawie filozofia chrześciańska, wyrażając się brzmieniem naszego przysłowia: niewiadomość nie czyni grzechu, wynalazła dla występnych przebaczenie i łaskę, dla upośledzonych — wynagrodzenie; filozofia panteistyczna rozwiązuje to arbitralnie i nielogicznie, potępiając zarówno występnych z wiedzą, jako i występnych bez wiedzy. To zaś, co mówi Spinoza pod koniec naszego przytoczenia do Bleyenberga, jest tylko głosem każdego wolnego myśliciela, przejętego uczuciem zacności, nie zaś wywodem systematycznym filozofa, i toż samo powtarzają dziś za nim wszyscy filozofowie, tak zwani

niepodlegli, twierdząc, że nikczemnością jest w sprawowaniu obowiązku oglądać się na nagrody i kary, ale pełnić cnotę należy bezinteresownie, i w skutek takiego zapatrywania się, niektórzy z nich przypisują nawet wyższość stoicyzmowi nad chrześciaństwem, co jest wierutnym fałszem: chrześciaństwo bowiem, utrzymując nagrody i kary, niemniéj zaleca miéć w obrzydzeniu grzech a w zachowaniu cnotę, przez miłość Boga i wstręt do obrażenia świętéj jego Istoty.

Umysł zatém człowieka w psychologii téj jest myśleniem Boga; wola utożsamia się z umysłem czyli rozumieniem (intellectus); wolność jest rozumieniem jasném, czyli, co na jedno wychodzi, spełnianiem ścisłém wyroków Boga na skutek jego poznania; czémże więc będzie uczucie? „Czytając filozofów, traktujących o uczuciach i o postępowaniu ludzi — powiada Spinoza na początku trzeciéj części „Etyki" —, rzekłbyś, iż dla nich nie są to rzeczy przyrodzone, urządzone prawami powszechnemi świata, ale rzeczy leżące poza obrębem natury. Zdaje się, jakoby oni uważali człowieka w naturze nakształt państwa w państwie. Według nich, człowiek zakłóca raczéj porządek świata, niżeli cząstkę jego stanowi; on nad czynami swemi ma władzę nieograniczoną, a jego postanowienia odeń tylko zależą. Kiedy chodzi o wytłómaczenie niemocy i niestałości człowieka, nie upatrują oni tego przyczyny w potędze natury powszechnéj, ale w jakiejś ułomności natury ludzkiéj: ztąd te skargi na naszę dolę, te szyderstwa, wzgardy, a częściéj jeszcze nienawiść przeciwko ludziom...." W całym tym ustępie znać naturalistę, i jakoby poprzednika téj psychologii, która dziś rozwija się na gruncie pozytywnym; w ostatnim nawet ustępie czujemy jakoby przedsmak téj socyologii, która altruizm swój wyprowadza między innemi i ztąd, że człowiek, jako igraszka natury, zasługuje raczéj na litość, niż na potępienie, jeżeli nie dotrzymuje żądanéj miary moralnéj. Niejednokrotnie już mogliśmy zauważyć z różnych zdań Spinozy, oraz z całkowitego stawiania rzeczy, iż mało brakowało, by filozof ten nie był poszedł drogą zupełnego naturalizmu i nie stał się niejako hasłodawcą nowego zwrotu filozofii pod sztandarem Bakona. Przeszkodziła mu w tém idea Boga, którą chce koniecznie przeprowadzić jako oś systematu: jest ona mu rzeczywistą przeszkodą, gdyż odciąga go od kierunku naturalistycznego, wyjawiającego się co chwila, który bez téj przeszkody byłby się mógł z wielkiém powodzeniem pod przewodnictwem tak potężnego umysłu zaznaczyć.

Jakoż, uczucia, według niego, są to pewne stany (affectiones) *ciała*, które zwiększają lub zmniejszają, przyśpieszają lub tamują moc jego działania. A jeżeli człowiek jest sam przyczyną rozumną i zupełną którego z tych stanów, uczucie wtedy wyraża czyn; w każdym innym razie jest to uczucie właściwe (bierne). Iżby to lepiéj zrozumieć, potrzeba wiedzieć, że Spinoza czynnością nazywa to, gdy coś dzieje się w nas lub poza nami, czego my jesteśmy przyczyną zupełną, czyli kiedy to odbywa się jako wynik bezpośredni natury naszéj — jest

przez nią jasno i wyraźnie pojmowane. Kiedy, przeciwnie, dzieje się w nas lub wynika z natury naszéj coś, czego my albo żadną przyczyną nie jesteśmy, albo tylko cząstkową, nazywa on to biernością, biernem czegoś odczuwaniem. Oto są uczucia, modyfikacye czysto cielesne. Istnieją jednak dla Spinozy i uczucia duszy, właściwie namiętności; namiętność zaś, według niego, jest ideą *ciemną*, przez którą dusza przyznaje swemu ciału lub części swego ciała większą lub mniejszą władzę istnienia niż ta, jaką miało przedtém, a która będąc daną, skłania duszę samę do myślenia o tém raczéj, niż o czém innem.

Zkąd ten rozdział na namiętności ciała i namiętności duszy? Nic dziwnego. Dzisiejszy psycholog pozytywny odniósłby wszystkie uczucia do organizmu i na organizmie objaśniałby całą psychikę, za pomocą odruchów mięśniowych i nerwowych. Powiedziałby, jak to np. utrzymuje Lange (¹), iż niema wątpliwości, że nauka sprowadzi kiedyś wszystkie czynności człowieka, a tém samém wszystkie myśli jego, do wywiązywania się energii nerwowéj, któréj siedliskiem mózg, w miarę podbudzań nerwowych, a to jedynie na zasadzie praw zachowania siły: ale zarówno z Langem dodałby zarazem, że *na wieki* wzbronione nam jest wynalezienie wyrazu pośredniego, dzielącego uczucie i świadomość od procesu nerwowego. Spinoza tak daleko nie zachodzi w rozspecyalizowaniu swego naturalizmu, ale jakoby ma poczucie tego zawarowania, i nie odważa się, wbrew wyraźnéj skłonności, wszystkiego tłómaczyć ciałem. System jego jest czysto monistycznym, ale pamiętajmy, że pomimo jedności substancyi, ta ma dwa przymioty: myśl i rozciągłość, to dusza i ciało. Każde z nich używa oddzielnych prerogatyw, a harmonia ich w Bogu. Ztąd też powstaje twierdzenie, że: „ani ciało nie może skłonić duszy do myśli, ani dusza ciała do ruchu i spoczynku, lub czegokolwiekbądź" (²). Jakto! więc jeżeli ja powezmę postanowienie czysto duchowe, naprzykład, napisać studyum o Spinozie, to dusza moja nie wprawiaż w ruch mojego ciała, by zgromadzić sobie materyał potrzebny, wziąć pióro do ręki, i t. p.? Przeciw tak oczywistemu fałszowi doświadczalnemu, choć doświadczenie zdaje się tu wyrokować w ostatniéj instancyi, Spinoza ma coś ważniejszego do postawienia: oto cały apparat dedukcyjny poprzedni, geometrycznie przeprowadzony, na zasadzie dwóch przymiotów substancyi, i co prawda, apparat ten dopisuje mu zupełnie. Posłuchajmy więc choć raz, dla saméj ciekawości, jego sposobu dowodzenia, którego celem jest powyżéj przytoczone twierdzenie, z nadmienieniem, iż to, na czém się w tém dowodzeniu opiera, już było rzeczywiście dowiedzione przedtém. „Wszystkie stany my-

---

(¹) *Geschichte des Materialismus und Kritik seiner Bedeutung in der Gegenwart*; rozdział II o Demokrycie i atomizmie, *passim*. — ed. z r. 1875.

(²) *Etyka*; III, 2.

śli mają za przyczynę Boga, jako rzecz myślącą, a nie jako rozwijającego się w innym przymiocie; co zatem skłania duszę do myślenia, to stan myśli a nie rozciągłości; innemi słowy, nie ciało. Oto punkt pierwszy. Daléj, ruch i spoczynek ciała muszą pochodzić od innego ciała, które nawzajem skłonioném jest przez inne ciało do ruchu lub spoczynku; a jedném słowem, wszystko co odbywa się w jakiémś ciele, musiało pochodzić od Boga, jako ujawniającego pewien stan rozciągłości, a nie stan myśli: innemi słowy, wszystko to nie może pochodzić od duszy, która jest stanem myśli. Oto punkt drugi. Co było do okazania" ([1]).

Ale też i cała ścisłość wywodu kończy się razem z geometryą; i Spinoza w zwykłém, dyalektyczném wyjaśnieniu twierdzenia tego rozdziału, nie tylko bardzo słabo broni swéj tezy, powołując się na doświadczenie i rozum, które mu bynajmniéj nie przychodzą z pomocą, ale nawet niedyskretnie wyrywa się z przeczeniem samemu sobie, oświadczając, że: ... „postanowienia *duszy* nie są niczém innem, tylko jéj popędami (appetitus), które różnią się, stosownie do różnych układów *ciała*". Na sprzeczność tego wyrażenia z poprzedzającém twierdzeniem nie potrzebujemy naciskać; ale rzecz się więcéj dopiero wyświeca zdaniem: iż postanowienie duszy i popęd albo determinacya ciała, są to rzeczy z natury *jednoczesne*, a raczéj są rzeczą *jedną i tą samą*, którą nazywamy postanowieniem, jeżeli zapatrujemy się na nią z punktu myśli i tym ją tłómaczymy przymiotem substancyi; a determinacyą, jeżeli spoglądamy na nią z punktu rozciągłości i tłómaczymy ją prawem ruchu i spoczynku.

Po tak jawném zdeklarowaniu się, łatwiéj nam się porozumiéć; odetchnęliśmy spokojniéj, widzimy bowiem, że Spinoza rozdział ten pomiędzy uczuciami determinującemi duszę i ciało w stanie czynnym i biernym, uczynił jedynie dla złożenia i w tym punkcie hołdu swéj teoryi, dzielącéj substancyą na myśl i rozciągłość; w gruncie zaś miał na myśli jedność człowieka, która istotnie może mieć dwa oblicza, podmiotowe i przedmiotowe, ale w treści swéj i istocie jest jedną. Rozdział też ten, w traktowaniu przezeń podstawy i genezy uczuć i namiętności, rzeczywiście nie istnieje wcale; więcéj nawet Spinoza przy klassyfikowaniu uczuć używa terminu duszy niż ciała, mięszając razem obie te postacie substancyi. Zkąd bowiem, według niego, powstają uczucia? Oto z chęci podtrzymania i zachowania bytu, a to do tego stopnia, że usiłowanie, którém jestestwo wszelkie dąży do wytrwania w swym bycie, nie jest niczém innem, tylko treścią istotną tegoż jestestwa. Ponieważ zaś dążenie takie objawia dusza ludzka, bądź to przy ideach jasnych, bądź ciemnych, i ma świadomość tego dążenia, przeto treścią jéj jest to usiłowanie zachowania bytu, ten instynkt zachowawczy, który podziela i z ciałem, tylko w pewném

(1) *Etyka;* III, 2.

rozróżnieniu. Usiłowanie to, jeżeli się odnosi wyłącznie do duszy, nazywa się wolą; ale zwrócone razem do duszy i ciała, nazywa się popędem. Popęd więc jest człowieka treścią, z której koniecznie wynikają wszystkie modyfikacye, służące do jego zachowania, tak, iż człowiek zmuszony jest je tworzyć. Co większa, pomiędzy popędem a pragnieniem, czy pożądaniem lub żądzą, (desiderium) nie zachodzi żadna różnica, krom chyba téj, że pragnienie odnosi się większą częścią do człowieka, o ile świadomego swego popędu; i dlatego też można mu dać definicyą taką: pragnienie jest popędem świadomym siebie. Z czego znowu wynika, że wszystko to, co stanowi usiłowanie, chęć, popęd, pragnienie, nie jest sądem, uznającym rzecz za dobrą; ale przeciwnie, sąd nasz uznaje tę rzecz za dobrą przez to, że dąży do niéj usiłowaniem, chęcią, popędem, pragnieniem ([1]).

Czy zatém powiemy, w duchu systematu Spinozy, że dusza jest ideą, jak to było w ontologii, czy, że jest ona popędem świadomym siebie, jak wynika z jego psychologii — obie te definicye są równoznaczne; gdyż w duszy ludzkiéj, zarówno jak w Bogu, myśl i czyn przenikają się wzajem, a dzielą się tylko abstrakcyą. Ponieważ zaś cała istota i cała czynność duszy ludzkiéj polegają na składających ją pojęciach, im ona przeto więcéj ma pojęć, tém więcéj posiada treści i działalności. Gdyby dusza ludzka była samą jedną i niezależną w naturze, byłaby samą tylko działalnością, doskonałością, światłem, i trwałaby wiekuiście w swéj treści. Ale nie tak jest w rzeczy saméj: dusza ludzka stanowi tylko cząstkę natury; byt zatém i działalność jéj zależą w pewnym stopniu od bytu i działalności wszystkich innych istot, natura bowiem jest systematem strojnym, w którym wszystko się trzyma, w którym prawo wiekuiste urządza stosunki wszystkich części i życie każdej z nich podporządkowuje życiu powszechnemu. Raz zatém działalność duszy ludzkiéj doznaje pomocy od przyczyn zewnętrznych, drugi raz przeszkody; zbliżając zaś to do języka psychologicznego, powiemy, że raz doznaje radości, drugi raz boleści (w rozmaitym stopniu); raz kocha, drugi raz nienawidzi (w rozmaitéj formie) — i oto geneza uczuć, namiętności, żądz.

Gdyby dusza posiadała byt pełny i niezależny, to w tém dążeniu do trwania, byłaby tylko czynną w zupełności, jak to z natury jéj wynika, byłaby Bogiem samym. Gdyby, na odwrót, była zupełnie podległą wpływom rzeczy obcych, byłaby zupełnie bierną i niejako pochłoniętą przez naturę. Ale że ona zarywa po części z jednego i drugiego stanu, przeto uczucia, jakich doznaje w usiłowaniu zachowania bytu, są tylko *zmniejszeniem* jéj czynności, mogącéj się w przeciwnym razie wykonywać z całym olimpijskim spokojem. Życie zatém człowieka jest przez to czynnością z konieczności niezupełną, myślą zaciemnioną, pragnieniem, ustawicznych doznawającém

([1]) *Etyka*; III, 5 do 9; oraz Appendix w końcu 3 części.

przeszkód, jako życie nie powszechne, ale cząstkę tylko życia powszechnego stanowiące, tak samo jak nie Bogiem jest człowiek, ale tylko jego cząstką. Człowiek nieustannie podlega przyjaznym lub nieprzyjaznym wpływom natury, a to na mocy pewnika, że w naturze niéma żadnéj rzeczy szczegółowéj, któraby nie miała nad sobą innéj rzeczy potężniejszéj i silniejszéj; tak, iż gdy daną jest jakaś rzecz szczegółowa, daną jest zarazem inna potężniejsza, która pierwszą zniweczyć może. Zależność tę, objawiającą się przez uczucia, Spinoza uzasadnia z niepospolitą siłą logiczną swego systematu w kilku twierdzeniach czwartéj części „Etyki", które wypada nam streścić. Jakoż, doznajemy uczuć i namiętności (patimur) o tyle tylko, o ile jesteśmy cząstką natury, która-to cząstka nie może być pojętą niezależnie od innych; siła zaś, którą człowiek trwa w swoim bycie, ograniczoną jest, a moc przyczyn zewnętrznych przewyższa siłę jego nieskończenie. Z drugiéj strony, niepodobieństwem jest, ażeby człowiek, jako cząstka natury, nie mógł doznawać innych zmian nad te, które z jego tylko natury bezpośrednio wynikają i których on jest przyczyną równomierną. Tym sposobem siła i wzrost pewnego uczucia oraz stopień, z jakim ono trwa w swoim bycie, nie mierzą się bynajmniéj mocą, z jaką my usiłujemy wytrwać w naszym, ale stosunkiem siły téj lub owéj przyczyny zewnętrznéj do naszéj siły własnéj (rozwinięcie poprzednio wyłuszczonego pewnika). Ztąd zatém, siła uczucia lub namiętności może wziąć górę nad innemi czynnościami lub mocami człowieka, tak, iż to uczucie przyczepi się doń uporczywie; a namiętność tamowaną lub zniesioną być może tylko przez namiętność przeciwną i silniejszą (¹). Spinoza w rozbiorze i klassyfikacyi namiętności nie trzyma się koniecznie dwóch biegunów, radości i bólu, ale przypuszcza ich tyle, niby osobne bytniki, ile jest różnych przedmiotów, do których odnosić się mogą, a więc mnóstwo nieskończone. „Z czego pokazuje się — mówi — że my na wieloraki sposób miotani jesteśmy przyczynami zewnętrznemi, i jako fale morza, poruszane wiatrem przeciwnym, pędzimy nieświadomi wypadków i doli" (²). Oto człowiek, wolny jako myśl, którą ma wspólną z Bogiem; niewolnik jako uczucie, któremu podlega przez to, że jest częścią natury. Pozostawione samym sobie, uczucia, zakuwają nas w niewolę najcięższą.

O cóż zatém chodzi, ażeby dla szczęścia człowieka, zapewnić mu wolność? Oto, ażeby było jak najwięcéj myśli, świadomości, wiedzy, rozjaśniającéj ideę, która stanowi treść duszy boską, a jak najmniéj zachceń i pożądań ziemskich, które tę treść zaćmiewają; i oto widzimy już przejście do moralności systematu.

Jakoż, nie przez mniemaną wolną wolę, ale przez wiedzę możemy

---

(¹) *Etyka*; IV, 2 do 7.
(²) Tamże, III, 59, Schol.

ujarzmiać namiętności nasze; i panować będziemy nad niemi tém silniéj, im jaśniejsze zyskamy o ich przedmiocie pojęcie. A kto dojdzie nareszcie do pojęć jasnych o przedmiotach namiętności, ten zrozumié łatwo, że potrzebą jego najgłówniejszą jest szukanie przedewszystkiém *pożytku*. Dobro jest tylko pożytkiem i niczém więcéj.

Nie byłoby od rzeczy, ażeby dzisiejsi utylitaryści, których Spinoza znacznie wyprzedził w teoryi, dobrze się rozpatrzyli w tych jego zasadach i wynikach, przed stanowczą co do wartości swych doktryn konkluzyą. Unikamy tu umyślnie hałaśliwego brzęku imion własnych, ale nie widzimy niepodobieństwa w wyprowadzeniu, z traktatów najwziętszych o utylitaryzmie, tych samych negatywnych następstw, jakie śmiało i otwarcie wyprowadził Spinoza.

Wypowiedział on tu wiele rzeczy, stanowiących sameż podstawy tłómaczenia świata teoryą naturalną, ale nic bardziéj uderzającego w swéj zgodności z tąż teoryą nad to, że *treścią istoty każdéj jest wytrwanie w swym bycie*. Zdanie takie stanowi właśnie najgłówniejszą, pierwszą podstawę biologiczną, na któréj opiera się cała socyologia i moralność pozytywna, cały rozwój postępu. Wytrwanie w bycie znaczy dbałość i bodaj walkę o ten byt. Jest to pierwszém i zasadniczém prawem każdéj istoty. A daremnie tu Spinoza ogranicza się do samego człowieka; przyjdzie po nim ktoś inny, choćby Goethe lub Darwin, i prawo to odkryje tak samo w roślinie, jak w zwierzokrzewie i na całéj skali zoologicznéj. I niech tu zamilknie stary Pascal, przypisujący jestestwom *dążność ku ogólności*, niby jakąś solidarność gatunkową. To fałsz: tu jednostka egoistycznie walczy o zachowanie swego własnego bytu, wydziera środki zachowania drugiéj, uderza na nią z góry, podkopuje się z dołu, korzeniami zahacza o korzenie, aby je wytępić: bo to wszystko jest dla niéj pożyteczne, a więc dobre. Inaczéj nie wytrwałaby w swym bycie, gdyby na przykład wszystkie ziarna, dostarczone przez jeden dąb, miały się rozrosnąć na téj przestrzeni, gdzie padną, albo gdyby dziesięciu ludziom żyć przyszło na jednym pręcie kwadratowym, coby niezawodnie nastąpiło, gdyby nie środki, powstrzymujące skutki rozmnażania się. Powstaje więc walka, utrzymująca byt silniejszego. Wszystko to mieści się w powyższém zdaniu Spinozy.

Dobro i zło nie odpowiadają, według tego systematu, niczemu pozytywnemu w rzeczach uważanych w sobie, lecz są tylko sposobami myślenia lub wyobrażeniami, jakie tworzymy sobie w skutek pewnych porównań. Jedna i taż sama rzecz może być jednocześnie dobrą i złą, albo obojętną. Przez dobro rozumieć należy to, o czém z pewnością wiemy, że nam jest pożyteczne; przez zło, to o czém wiemy z pewnością, że nam przeszkadza do pozyskania jakiegoś dobra; albo li téż to, co jest pożytecznem lub przeciwném zachowaniu naszego bytu, co zwiększa lub zmniejsza, tamuje lub wzmaga naszę moc działania. Świadomość więc dobra i zła jest niczém inném, tylko uczu-

ciem samém, o ile świadomém siebie ([1]); sądem podległym uczuciu; czyli, mówiąc słowami samego Spinozy: świadomość dobra lub zła nie jest niczém inném, tylko uczuciem radości lub smutku, o ile o niém wiemy. Czyli jeszcze: pojęcie dobra, odarte z charakteru absolutu i celowości, jakim okrywają je przesądy nasze, rozwiązuje się w pojęciu pożytku, a ten w pojęciu przyjemności; wszystko to zaś razem wzięte, poddaje się całkowicie pod pojęcie egoizmu, nie w znaczeniu sobkowstwa, ale w znaczeniu samolubstwa, nie wyłączającego altruizmu, o ile ten da się pogodzić z pożytkiem i przyjemnością: bo jeżeli byłby im przeciwny, w takim razie, jako przeciwny wytrwaniu jednostki w swym bycie, musiałby być, według téj teoryi, odrzuconym.

Jakoż, wyżej już zaznaczyliśmy, że treścią duszy jest tak dobrze myśl jak pragnienie, czyli pożądanie świadome siebie, a dążące do zachowania bytu. Wszystko zatém, co się napotka w granicach tego pożądania i tego dążenia, będzie prawowitém. Tu staje nam na myśli cała moralność Epikura, Hobbesa, Broussais'go, stwierdzająca się tém, co sam Spinoza wykłada obszernie w „Traktacie teologiczno-politycznym" o moralności, wynikającéj z przyrodzonego stanu człowieka, w którym każdy ma prawo i obowiązek wszelkiemi sposobami dostawać rzeczy, służących ku jego pożytkowi: wolno mu w tym celu używać siły i podstępu, prośby i groźby, i miéć za wroga każdego, kto się przeciwi jego nasyceniu; a miarą prawa człowieka jest jego siła ([2]).

Oburzające te zasady, szczęściem, stosują się tylko do stanu natury. Spinoza czyni nagły i niespodziewany zwrot w inną stronę, i ponad prawo naturalne stawia prawo rozumu oraz wyrok boży. Uważa on, że dla człowieka nic pożyteczniejszego niéma, jak człowiek, oraz, że ludzie dla zachowania swego bytu nic lepszego pożądać nie mogą nad zgodę we wszystkiém, tak, ażeby dusze i ciała wszystkich tworzyły jednę tylko duszę i ciało, tudzież, ażeby wszyscy razem usiłowali zachować byt swój i wszyscy razem wspólnego poszukiwali pożytku.

Każdy człowiek istnieje z mocy najwyższego prawa natury, każdy człowiek tém samém, skutkiem tegoż samego prawa, spełnia czyny, wynikające z konieczności jego natury; za czém idzie, że każdy człowiek, wciąż na mocy tegoż samego prawa, sądzi o tém, co jest dobre i złe i czuwa nad swym interesem osobistym; stosownie do swego ustroju mści się za złe doznane, usiłuje, słowem, zachować to, co kocha a zniweczyć to, czego nienawidzi. Gdyby ludzie urządzali życie według rozumu, każdy użytkowałby z tego prawa bez krzywdy drugiego; ale ponieważ ludzie oddani są namiętnościom o wiele przewyższającym *siłę* lub *cnotę* człowieka, idą przeto w kierunkach roz-

---

([1]) *Etyka*; IV, definicye; oraz twierdzenie 8.
([2]) Tractatus teol-pol. 16 passim.

maitych a nawet przeciwnych, kiedy właśnie potrzebowaliby udzielać sobie wzajemnej pomocy. Ażeby więc ludzie mogli żyć w pokoju i wzajem sobie pomagać, potrzeba, iżby ustąpili coś ze swego prawa naturalnego, i zobowiązali się wzajem, dla wspólnego bezpieczeństwa nie czynić nic ku krzywdzie innych. A jakimże sposobem ludzie, z konieczności podlegli namiętnościom, a tém samém niestali i zmienni, mogą natchnąć się wzajemném zaufaniem i bezpieczeństwem? Oto takim, że, jak już nam wiadomo, uczucie wszelkie może być tamowaném albo i zniweczoném tylko przez uczucie przeciwne i silniejsze: niechże więc każdy powstrzymuje się od wyrządzania złego drugiemu, *przez strach*, ażeby nie odwzajemniono mu złem jeszcze większém.

Czyż w takiém rozumowaniu nie widzimy zarodów, ba, nawet podstaw dzisiejszego utylitaryzmu? Nie jestże to moralność czystego rachunku, spółka spekulacyjna, niezaprzeczenie najpozytywniejsza, ale z pewnością nie najszlachetniejsza.

Na takich przecież tylko podstawach zawiązać się może społeczeństwo, pod warunkiem, że ono-to władać będzie pierwotném każdego prawem mszczenia się za krzywdy i sądzenia o tém, co jest źle a co dobrze, a nadto, że ono-to będzie miało moc przepisywać sposób wspólnego pożycia i stanowić prawa, dając im za sankcyą, nie rozum, który nie jest zdolnym do powstrzymywania zapędów namiętności, ale groźbę kary. Tém społeczeństwem, ugruntowaném na prawach i mocy zachowania się, jaką posiada, jest państwo; a tymi, których ono tarczą swą osłania, są obywatele.

Widzimy jasno z tych zasad, że w stanie natury niéma niczego, coby było dobrém lub złém w skutek zgody powszechnéj, wtedy bowiem każdy myśli tylko o korzyści własnéj, i stosownie do tego, jaki ma ustrój i jakie pojęcie interesu własnego, stanowi o tém, co jest dobre lub złe, a przed nikim nie zdaje sprawy krom samego siebie; tak, iż w stanie natury niepodobna pojąć winy. Ale inaczéj się ma w stanie społecznym, gdzie zgoda powszechna określiła co jest dobrze a co źle, i gdzie każdy winien zdać liczbę przed rządem. Wina zatém polega poprostu na nieposłuszeństwie, które karane jest w moc samegoż prawa państwowego; gdy przeciwnie posłuszeństwo jest zasługą dla obywatela, w tém, iż prawo go sądzi godnym użytkowania z korzyści społecznych. Dobro zatém i zło, sprawiedliwość i niesprawiedliwość, wina i zasługa, są to tylko mianowniki sztuczne, pojęcia zewnętrzne, z zastosowań pożytkowych wyrobione, nie zaś *przymioty wyrażające naturę duszy* (¹).

Każdą myśl tego, każdy wyraz, podpisuje dzisiejszy utylitaryzm, ale ten całkiem inne ma do tego prawo, bo z całkiem innéj wychodzi zasady. Rzeczywiście, w oczach jego dobro i zło, sprawiedliwe i nie-

---

(¹) Porównaj: *Etyka*; IV, 37, Schol 2; *Tract. teol.-pol.* roz. 16; oraz *Tract. polit.* roz. II, ustęp 11.

sprawiedliwe, nie istnieje w postaci jakiegoś realizującego się ideału; są to tylko proste nazwy, które pożytek wspólny i długoletnią próbą uznany ponadawał stosunkom przedmiotów do człowieka społecznego. Zemsta i kara, np. jako formy ekspiacyi, są formami w naturze rzeczy obojętnemi, bezpieczeństwo tylko publiczne uznało, że dogodniéj jest dla społeczeństwa, ażeby winny krzywdy podlegał ujednostajnionemu wyrokowi ekspiacyi, sankcyonowanemu przez ogół, nie zaś samowolnemu wyrokowi pokrzywdzonego, i ztąd karę nazwano dobrem, a zemstę złem. Skoro w ten sposób wszystko rozwijało się w świecie na zasadach ewolucyi, czy-to naturalnéj, czy społecznéj, przez wybór, doświadczenie i dziedziczność, a bez żadnych wpływów pozanaturalnych i społecznych, przeto utylitaryzm jest w zgodzie z sobą, odnosząc wszystko do pożytku, i wszystko zawdzięczając próbom prawa społecznego. Wzbraniamy mu wprawdzie mówić o sprawdzianie cnoty i występku, o sankcyi moralnéj, ponieważ zasady jego nie potrącają o pobudki a pilnują tylko faktów ujawnionych. Zasady jego nie są zdolne obudzić wyrzutu w winnym za czyn przeciwspołeczny a nie ujawniony; złodziej, w jego systemacie, nie ma nad sobą żadnego trybunału tak, jak nie ma go i w systemacie Spinozy, jeśli zdołał zamaskować się przed trybunałem społecznym, bo sumienie i wzgląd na powagę wyższą w systemacie utylitarnym nie istnieją, powaga zaś społeczna, prócz grozy prawnéj, zanadto jest z nim spowinowaconą, zanadto za pan brat, by miała tajnikom jego duszy imponować. On wreszcie powiedzieć sobie może, iż ten czyn, w oczach drugich występny, wykonał dla podtrzymania swego bytu, wytłómaczyć go nawet widokiem dobra ogólniejszego, przywieść prerogatywę siły, torującéj drogę do ewolucyi postępowéj, wszystko, słowem, co dziś uchodzi za tarczę i racyą faktów spełnionych, a logika, wychodząca z zasady bezwzględnie utylitarnéj, musi się, zwyciężając, uznać za zwyciężoną. Ale mniejsza o to: nie system utylitarny chcemy w téj chwili krytykować; dość nam wskazać jego powinowactwo z systemem Spinozy, w tym razie zgoła niekonsekwentnym z sobą.

Jakto? Natura ludzka nie ma w sobie nic, przez coby z własnego pędu doszła do wyobrażeń dobra? Jest ona tak nizką i brudną, jak natura zwierzęcia, jak ta, którą opisuje Lubock w znaném swojém dziele o pierwiastkach cywilizacyi? Wszystko, co się zwie ideałem, a broń Boże, ideą wrodzoną, jest srodze potępione i niemiłosiernie wyśmiewane przez Spinozę przy każdéj sposobności; więc jakiémże prawem naturę tę wyciągać z natury Boga? Dlaczego istoty ludzkie mają podlegać obrzydliwemu stanowi natury, która ich bożą substancyą tak sromotnie ujarzmiła? Dlaczego zmuszone są stopniowo i mozolnie się kształcić? Rozumiemy tę konieczność, jeśli nam ktoś wskaże kły w naszych szczękach, nasady rogów u naszego czoła, jako jedno ze świadectw naszego pochodzenia i związku z naturą zwierzęcą, z któréj przez długi czas jeszcze będziemy się musieli otrząsać; ale inaczéj się układają wyobrażenia, jeśli ktoś bezpo-

średnio uogniwia nas z Bogiem. Któż to jest wprawdzie ten Bóg? To tylko myśl i rozciągłość; ale jest to zarazem doskonałość. Cóż zaś rozumiemy pod tą myślą i doskonałością? Myśl ta myśli tylko siebie, doskonałość ta polega na niewzruszoności i na konieczności; bo Spinoza, zwolennik geometryi, i Boga samego porównywa do określonej figury geometrycznej, która, mając raz pewne własności, nie może więcej ich nie mieć, i na takiej to konieczności wolność jego zależy: w cóżby się ta wolność obróciła, gdyby Bóg pozwolił sobie odbierać własności np. kuli, by stać się graniastosłupem? Byłby czémś niestałém, przypadkowém, rozpierzchłém. Nie: on musi być niewzruszonym. Wszystko więc jest jak najlepiéj na tym najlepszym ze światów, bo wszystko jest częścią, obrazem i wyrazem idei bożéj. Inne filozofie ludzkie, którym urąga Spinoza, są antropomorficznemi. One pod doskonałością bożą rozumieją doskonałości ludzkie, a więc mądrość, wszechmoc, wszechmiłość, wszechpiękność, i t. d. tylko z warunkiem nieskończoności; i z tychto przymiotów bożych ludzie czerpią swoje ideały, przez intuicyą wrodzoną i zwolna się wyrabiającą. Stworzywszy Boga na obraz i podobieństwo swoje, chcą się nawzajem jemu upodobnić. Dla Spinozy wszystko to są brednie: jedyną prawdą boską jest konieczność i niewzruszoność. Oczywiście, jaka *natura naturans* taka i *natura naturata*. Dotąd dobrze. Jedna tylko rzecz nas nie przestaje dziwić: dlaczego Spinoza nie ograniczył się na prostym naturalizmie, a byłby w zupełnym porządku, bo jego Bóg, jego substancya, ze swą myślą i rozciągłością nieskończoną, niewzruszoną i konieczną, jest niczém więcéj, tylko siłą i materyą, którą ten wielki myśliciel odgadywał wcześniéj od Moleschotta i Büchnera, w tym samym kierunku myśląc co i oni. Dlaczego miesza z substancyą jakieś przymioty moralne, z których, prawda, filozofia jego nigdzie należycie sprawy nie zdaje? Dlaczego, mianowicie, każe nam kochać tego Boga-substancyą, nie dawszy mu ani jednego przymiotu godnego kochania? Dlaczego każe nam poszukiwać poznania Boga, by się uszczęśliwić? Oto jego niekonsekwencya!

Za największe nieszczęście uważa Spinoza waśń i niezgodę między ludźmi, którzy z natury swéj mają prawo i obowiązek zachowywać swój byt, wszelkie ku temu środki, choćby najgwałtowniejsze i pozornie zbrodnicze, uznając słusznie za prawowite. Ale dwa są sposoby zachowywania bytu: instynkt zwierzęcy i dążenie oparte na rozumie. Rozum lepszy jest od instynktu, bo jest myśleniem pod formą wieczności. Rozum tedy radzi ludziom poszukiwać najwyższego dobra, wspólnego wszystkim, i w posiadaniu którego wszyscy używać mogą szczęśliwości równéj. Tém dobrem najwyższém rozumu jest wiedza, a wszelka wiedza zamyka w sobie poznanie Boga. Im więcéj zatém człowiek poznawać i miłować będzie Boga, tém więcéj dołoży usiłowań do tego, aby go inni też ludzie znali i miłowali, a widząc innych jak go znają i miłują, tém bardziéj i tém staléj

miłować go będzie. Zwróćmy zatém umysł ku rozważaniu Boga; nie tylko zamieńmy nasze pojęcia ciemne na jasne, ale porzućmy nadto pojęcie tego, co znikome, by się trzymać tego, co wieczne; upędzajmy się za dobrém wszystkim wspólném, z którego każdy tém więcéj korzysta, im je większa liczba ludzi posiada: oto prawidło najwyborniejsze postępowania ludzkiego i tajemnica wyzwolenia, wynikająca z usilności w poszukiwaniu tego najwyższego dobra rozumu, wiedzy, poznania i pokochania Boga. „Najwyższe dobro, rzeczywiście, jest samąż treścią człowieka, jako istoty rozumnéj, — powiada dosłownie Spinoza — i człowiek ani istniéć, ani pojętym byćby nie mógł, gdyby nie miał władzy korzystania z tego najwyższego dobra, skoro z treści duszy ludzkiéj wynika, że człowiek posiadać może wiedzę zupełną treści wiekuistéj i nieskończonéj Boga” ([1]).

Nasamprzód, możność posiadania wiedzy takiéj nie jest bezwarunkowo przywilejem każdego, skoro sam Spinoza, jak wyżéj wskazaliśmy, poddał istoty ludzkie pod bezwarunkowe prawo fatalizmu, co do zdolności w poznawaniu warunków istoty nieskończonéj. Na coby się wreszcie przydał cały ten korowód z poznawaniem Boga, jeśli toż samo prawo fatalizmu towarzyszy niewzruszenie z góry nakreślonemu przeznaczeniu człowieka? Przypomnijmy sobie bowiem, jak nam wykładał, że rozwój każdéj rzeczy może być tylko takim, jaki znosi jéj natura. Istoty więc, skłonne ku poszukiwaniu tego najwyższego dobra, trafią do niego po drodze natury swéj; natury, przeciwne téj skłonności, daremnieby się za tém ubiegały. Z drugiéj zaś strony, w ogólności zapytać można: na co się przyda poznanie Boga, który, jako sam ulegający konieczności swéj woli, nic w człowieku zmienić nie może? — wszelka bowiem zmiana w naturze pochodnéj, byłaby cudem, niéma zaś rzeczy, przeciw którejby energiczniéj powstawał, a którejby usilniéj zaprzeczał, ów mistyk-naturalista, jak cuda. Bóg więc nie może człowieka ani wywyższyć, ani poniżyć ani ułaskawić ani potępić — Bóg, w potędze swéj bezwładny, w mądrości bezrozumny, w nieskończoności tak bezmierny, że wszelka skończoność w nim się rozpływa i ginie. Czego nas nauczy takie poznanie? gdzie tu materyał do pokochania? Nie bardziéj-że wzruszającym jest widok starożytnego stoika, który, nie oglądając się na żadne bóstwa, sam sobie tworzy pojęcie cnoty, doskonałości, siły charakteru, i wprost dla siebie i przez siebie chce być doskonałym, by zadość uczynić wyobrażeniu zacności, jakie nosi w umyśle, bez względu na wszystkie przeciwności i przeszkody zewnętrzne, nieustraszony? ([2]). Ale Bóg

---

([1]) *Etyka;* IV, 36, Schol.

([2]) Mąż sprawiedliwy, w zasadach stały,
Choćby Zeusowe gromy trzaskały,
Nie dba na gromy;
Nie dba czy tyran, przechodząc zblizka,

Spinozy, z całą swą nieskończonością, nie jestże to raczéj widmo, które ustąpić musi przed realnemi korzyściami układu społecznego, gdzie człowiek, własnym pozostawiony siłom, przyczynia się do ogólnéj równowagi, według wskazanych mu ogólną zgodą reguł dynamiki społecznéj? Z téj sprzeczności nigdy Spinoza wyjść nie mógł zwycięzko, tak, iż Bóg w jego moralności zdaje się być wcale niepotrzebnym dodatkiem, na co z pewnością zgodzą się wszyscy materyaliści i utylitaryści.

Nie łudzi się wreszcie i sam, co do wartości swego systematu, zakładającego sobie: wydobyć wolność ludzką z konieczności i niezłomności praw natury, wywalczyć najwyższe dobro przez rozum wobec całéj armii namiętności; a lubo usiłuje, ile może, zakrywać swe niekonsekwentności, spostrzega się przecież, i cały dział o podległości człowieka zamyka smutnym ustępem o rezygnacyi, jako jedynie zgodnéj z mądrém zapatrywaniem się na rzeczy świata. „Władza ludzka, — powiada — jest nader ograniczoną, a potęga przyczyn zewnętrznych przewyższa ją nieskończenie; ztąd też nie mamy władzy bezwarunkowéj dla przyswojenia przedmiotów naszemu pożytkowi. Równym wszelako umysłem zawsze przyjmować będziemy wypadki, przeciwne interesom naszym, wobec świadomości, żeśmy spełnili obowiązek, i że władza, jaką rozrządzamy, nie była tak rozległą, by mogła oddalić złe; jesteśmy bowiem tylko cząstką natury i *musimy iść za porządkiem powszechnym* (fatalizm natury). Skoro zrozumiemy to w sposób jasny i wyraźny, wtedy część naszéj istoty, która zwie się intelligencyą, czyli część nasza najlepsza, znajdzie w pojęciu tém pogodę zupełną i będzie usiłowała utrzymać się w niéj. O ile bowiem posiadamy intelligencyą, nie możemy żądać niczego innego nad to, co zgodne jest z koniecznym porządkiem rzeczy, a spokój znaleźć możemy tylko w prawdzie. Poznawszy tedy należycie prawdziwe swe położenie, najlepsza część nasza znajdzie się w zgodzie z powszechnym porządkiem natury (1).

Jest to piosneczka, którą nam na wszystkie tony wyśpiewali Epikurejczycy, Stoicy, Racyonaliści w rodzaju Hobbesa, Naturaliści dzisiejsi, słowem — wszyscy ateusze rozmaitych odcieni, którym ani na cal nie ustępuje Spinoza na gruncie niezłomności praw, rządzących światem. Ale od człowieka, upojonego aż do niepamięci Bogiem, śmiało oczekiwać mogliśmy ostatniego słowa systematu, słowa, które przedstawia stosunek namiętności ludzkich do woli człowieka. Słowo to brzmi tak: — Ubłogosławienie (beatitudo, niby szczęśliwość w Bogu)

Groźby mu ciska,
Czy świat się cały zapada w złomy,
On nieruchomy
Patrzy w zwaliska.

Horacy: *Justum ac tenacem propositi virum....*

(1) *Etyka*; IV, Appendix. 32.

nie jest nagrodą cnoty, ono jest samąż cnotą; i nie dlatego posiadamy je, żeśmy zdołali powściągnąć złe namiętności, ale dlatego zdolni jesteśmy namiętności powściągnąć, że to ubłogosławienie posiadamy [1]. Innemi słowy, człowiek z natury święty, może być świętym w życiu; inaczéj sam Bóg nawet nic mu w tém nie poradzi. Cóż do tego dodać jeszcze może najgrubszy fatalista, na rzecz bezwładności Boga i niewoli człowieka?

Taka tylko rezygnacya niewolnikowi temu zapewnić może wolność, a wolnością tą jest spokój wewnętrzny, polegający na stłumieniu wszelkich uczuć drażniących. To ubłogosławienie spokoju przedstawia w traktacie Spinozy pewną mieszaninę dawnego stoicyzmu z chrześciaństwem, nie bez pewnego tła oryginalnego, wynikającego ze ścisłości dedukcyj matematycznych. Nawiasem mówiąc, forma ta dowodzeń na sposób geometryczny, dopóki rzecz prowadziła się w sferze przedmiotów więcéj zbliżonych do abstrakcyi, nie była jeszcze tak dalece rażącą; w miarę zbliżania się do praktyki życiowéj, staje się nieznośną i śmieszną, a tak utrudzającą, że niemałego trzeba wysilenia, ażeby w zdaniu sprawy zachować nić i porządek całości. Owóż dla człowieka, ubiegającego się o wolność, przewodnikiem powinien być rozum i tylko rozum; sercu nakazuje się wielka oględność i umiarkowanie. Wszelkie uczucia radosne są dla człowieka pożytecznemi; uczucia smutne zwracają go ku niewoli, są więc dlań złemi i szkodliwemi: nie dlatego, uchowaj Boże, iżby Spinoza zalecał egoizm albo nieludzkość; przeciwnie, miłość bliźnich stoi u niego na pierwszym planie, z tém wszelako zastrzeżeniem, że czyny nasze miłosierne winny płynąć z rozumu, kierowanego spokojem, nie zaś z czułości serca.

Do uczuć złych należy, na przykład, nadzieja i obawa, obie bowiem nieoddzielne są od pewnego smutku: obawa sama przez się, nadzieja przez to, że także połączona jest z obawą, nie będąc sama przez się pewnością. Złym jest szacunek, równie jak pogarda: pierwszy może w nas wzbudzić zbyteczne o sobie rozumienie, a więc sfałszować wiedzę o sobie, która jest integralnym warunkiem duszy; pogarda sprawia nam ból. Litość jest sama z siebie złą i niepotrzebną w duszy, żyjącéj według rozumu. Stanowi ona rodzaj smutku; co zaś do dobra, jakie z niéj wynika względnie do cierpiących bliźnich, toż sam rozum powinien nas skłaniać ku temu, i przez rozum tylko spełniając dobro, pewni być możemy, żeśmy rzeczywiście dokonali miłosierdzia; gdy tymczasem uczucie częstokroć nie dozwala nam rozróżnić łez fałszywych od prawdziwych. Jeżeli zaś człowiek ani przez rozum, ani przez uczucie nie skłania się ku miłosierdziu, to jest nieludzkim, bo nie ma już nic, coby go czyniło podobnym do człowieka. Pokora nie jest cnotą, — innemi słowy, nie wypływa z rozumu, — albowiem

---

(1) *Etyka*; V, 42.

przedstawia smutek, jakiego doznaje człowiek na widok swego niedołęztwa. Nie jest także cnotą żal za grzechy; ale przeciwnie, ten kto gryzie się za swe postępki, jest podwójnie nędznym i niedołężnym: gdyż dusza żałująca, niedość że się smuci, a więc zabija radość, jedyne uczucie godne człowieka wolnego, ale nadto jeszcze wyznaje, iż nie może naprawić zła, które wyrządziła. W tej osobliwej moralności, Spinoza, ze względu na praktykę życia, czyni jednak pewne zastrzeżenie, które godnem jest przytoczenia własnemi jego słowami: „Ponieważ ludzie nader rzadko urządzają życie według rozumu, zdarza się więc, iż dwie te namiętności, jako to: pokora i żal, równie jak płynące z nich, nadzieja i obawa, są raczej pożyteczne niż szkodliwe: a skoroć ludziska muszą grzeszyć, to lepiej niech już grzeszą w ten sposób, niż w inny. Gdyby bowiem ludzie o duszy słabej wszyscy się naraz wbili w dumę, nie powstrzymałby ich już żaden wstyd, żadna bojaźń, i nie byłoby żadnego sposobu utrzymania ich na wodzy i powściągnięcia. Pospólstwo staje się strasznem, gdy nie widzi nad sobą grozy. Nie należy się przeto dziwić, że Prorocy, mając na względzie pożytek powszechny a nie cząstkowy, tak mocno zalecali pokorę, żal za grzechy i karność. Trzeba bowiem przyznać, że ludzie, ulegający tym uczuciom, łatwiej dają się prowadzić niż inni, i skłonniejsi są wieść żywot rozsądny, to jest stać się wolnymi i cieszyć się życiem szczęśliwych (1).

Jest to wyraźna kapitulacya tej twierdzy geometryczno-moralnej, opasującej Etykę. Dwóch bowiem prawd być nie może. Albo nadzieja i obawa, pokora i skrucha są złe, albo są dobre; trzebaż je albo potępić albo zalecić; zasady nie mogą się kierować okolicznościami, ale wartością. Sofizmat ten nie ratuje się rozdziałem ludzi na tłum i wybranych: nie dla wybranych piszą się filozofie, ale dla ogółu. Skoro zaś w tych czterech uczuciach tyle mieści się siły żywotnej, że przez nie ludzie w massach „łatwiej dają się prowadzić, niż inni i skłonniejsi są wieść żywot rozsądny, to jest stać się wolnymi i cieszyć się życiem szczęśliwych", więc te uczucia nie muszą być złe, jak to z systematu konsekwentnie, a niekonsekwentnie z rzeczywistością, wypadło Spinozie. Skoro mogą być szczęśliwymi, to prowadźmy owszem ludzi na wodzy tych zasad, a niech licho bierze systemat, dający receptę na doskonałość *sui generis*, która zabiciem uczuć opłacać ma spokój raczej automatu niż żyjącego człowieka. Gdybyśmy istotę zasad mierzyli tylko dogodnością, tak jak Spinoza mierzy pobożność, to równem prawem przyznaćby można też samę wartość obrzydliwej zasadzie islamicznej nagród, obiecywanych w raju Mahometa, które są dźwignią dziwnie potężną w kierowaniu ludnością muzułmańską, według zasad jej religii. Alkoran nie może, wobec sądu niezależnego filozofii, mierzonym być inną stopą, niż Biblia. Ale dla

(1) *Etyka;* IV, 54, Schol.

Spinozy nie wystarczają warunki życia pospólstwa, które jest tłumem niewolniczym, bo nie spełnia tych wszystkich warunków, jakie, według niego, czynią człowieka wolnym; ideałem jego jest życie mędrca. Mędrzec zaś żyje nie według uczuć, tylko według rozumu, a rozum znowu jest-to też samo co cnota, tylko pod inną postacią, niby światło i ciepło. Z rozumem zgodne są tylko uczucia radośne, jako stanowiące przejście duszy do większéj doskonałości; człowiek zatém — niewolnik, kiedy ulega uczuciom smutnym, stanowiącym przejście do doskonałości mniejszéj, do poniżenia, — wolnym jest, gdy doznaje uczuć radosnych. Co prawda, niewielką ich liczbę wynajduje Spinoza; redukują się one wprost do miłości ludzi i Boga. Miłość ludzi, jako dążąca do związania ich w społeczność na zasadzie zgody, a więc pożyteczna, zgodną jest z rozumem; to też i skłonność dla osoby pojedyńczéj ma tenże sam przymiot. Co zaś tyczy się miłości Boga i jéj natury, ta tłómaczy się tym sposobem, że rozum, jak wiemy, jest w nas myśleniem o rzeczach wiecznych, a więc o Bogu; pożądanie zatém, wynikające z rozumu, jest pożądaniem skierowaném ku Bogu, ku przyczynie wewnętrznéj człowieka. Pożądania, wynikające z wpływu rzeczy, duszy naszéj obcych, osłabiają duszę i czynią ją obcym rzeczom podległą, bierną; są to prawdziwe namiętności ([1]), przy których dusza cierpi. Pożądania, wypływające z pobudek duszy wewnętrznych, czyli naturalnych, pod kierunkiem rozumu, mając źródło w saméjże czynności duszy, naodwrót, wyzwalają duszę z więzów, w jakie wciąż usiłuje zakuć ją natura zewnętrzna. Ztąd pożądanie, skierowane ku Bogu, nie będące wreszcie niczém inném tylko dążeniem do zrozumienia go, stanowi najwyższą radość człowieka, w któréj nie może być zbytku i przesady. Ta więc intellektualna miłość duszy dla Boga jest miłością, jaką Bóg ma dla samego siebie, nie jako nieskończony, ale jako taki, którego natura może wyrazić się treścią duszy ludzkiéj, uważanéj pod postacią wieczności; innemi słowy, miłość intellektualna duszy dla Boga jest częścią miłości nieskończonéj, jaką Bóg ma dla samego siebie: a w naturze niéma nic takiego, coby przeciwném było téj miłości intellektualnéj lub zniweczyć ją mogło. Taka miłość duszy, któréjby się nie wyparł i najzagorzalszy mistyk, winna być odniesioną do jéj stanu czynnego; jest zatém czynnością, przez którą dusza wziera w siebie samę i któréj towarzyszy idea Boga z tytułu przyczyny; alboli téż czynnością, przez którą Bóg, o ile może się wyra-

([1]) Dusza, jako myśl, jest zawsze czynną, jest myśleniem, pojmowaniem, rozumieniem; a skierowana ku sobie saméj przez wpływy przyjazne, potężnieje, i nabiera o sobie pojęć zupełniejszych (równomiernych). Odrywana wpływami rzeczy obcych, staje się bierną; namiętności zatém, wprawiając ją w stan bierny, odejmują jéj moc, przyczyniają jéj cierpienia. Spinoza, ponieważ pisze po łacinie swe dzieło, łatwiéj to wyraża, używając w tym razie słowa *pati*, znaczącego „cierpiéć"; ztąd *passio*, namiętność, czyli cierpienie.

żać w naturze ludzkiéj, wziera w samego siebie z ideą samego siebie ([1]).

Oto co na rzecz téj miłości daje się wyprowadzić z nieprzebitego różańca syllogizmów „Etyki”, — i co stanowi najwyższą jéj moralności treść. Pożytecznem jest w życiu do najwyższego stopnia — powiada Spinoza — kształcić ile tylko można intelligencyą, rozum, i na tém tylko polega najwyższe dobro, ubłogosławienie. Jakoż, ubłogosławienie jest niczém inném, jedno tym spokojem duszy, pochodzącym z intuicyjnego poznania Boga, a doskonałość intelligencyi polega znowu na zrozumieniu Boga, jego przymiotów oraz czynów, wynikających z konieczności natury boskiéj. Celem więc ostatecznym człowieka, kierowanego przez rozum, jego pożądaniem najwyższém, przez które on usiłuje urządzać wszystkie inne, jest to pożądanie, skłaniające go do poznania w sposób zupełny i siebie i wszystkich rzeczy, pod umysł jego podpadających ([2]).

Człowiek, który osiągnął taki stopień doskonałości, jest człowiekiem szczęśliwym, wolnym, mędrcem!

Człowiek wolny o niczém mniéj nie myśli, jak o śmierci, i mądrością jego nie jest rozmyślanie nad śmiercią, ale nad życiem ([3]). Zdanie to, wprost przeciwne chrześciańskiéj maksymie *memento mori*, stawia też na wprost przeciwnym punkcie teoryą nieśmiertelności duszy Spinozy, czyli panteistyczną, względnie do takiéjże teoryi chrześciańskiéj, lubo filozof ten, broniąc swéj teoryi wolności, usiłuje wykazać zgodność jéj z teoryą wolności chrześciańską. Jakoż, religia chrześciańska uczy, że człowiek, stworzony pierwotnie wolnym, razem z niewinnością utracił swą wolność, czyli wypędzonym został z raju. „Późniéj, wolność ta odzyskaną została przez patryarchów, kierowanych duchem Chrystusa, to jest ideą Boga, która jedyna sprawić może, aby człowiek był wolnym i pragnął dla innych dobra, pożądanego dla samego siebie” ([4]).

Ale w oznaczeniu nieśmiertelności, jakaż okropna zachodzi różnica? Religia chrześciańska głosi ciała zmartwychwstanie, żywot po śmierci indywidualny w warunkach nagrody lub kary. Przeciwko temu Spinoza stawia teoryą, która zrazu popierać się zdaje pojęcia chrześciańskie. Jakoż, dusza, o ile pojmująca istnienie obecne ciała, pojmuje trwanie doczesne, a tém samém posiada tylko moc pojmowania rzeczy odnośnie do czasu. Wieczność przecież nie ogranicza się trwaniem. Z tego zatém punktu uważana, dusza nie ma władzy pojmowania rzeczy w charakterze wieczności; ale, ponieważ naturą rozumu jest pojmowanie rzeczy pod postacią wieczności, a do natury

([1]) *Etyka*; IV, 44, 61, 62. V, 36, 37.
([2]) *Etyka*; IV, Appen. 4.
([3]) *Etyka*; IV, 67.
([4]) *Etyka*; IV, 68, Schol.

duszy należy także pojmowanie treści ciała w charakterze wieczności (niezatracalność materyi), i gdy nakoniec, oprócz dwóch tych rzeczy nic już więcéj do treści duszy nie należy: wynika ztąd, że ta władza pojmowania rzeczy w charakterze wieczności stanowi przywiléj duszy o tyle jedynie, o ile ona pojmuje treść ciała wiekuistą. W Bogu, nadto, istnieje z konieczności idea, wyrażająca treść każdego ludzkiego ciała pod postacią wieczności, a to na téj zasadzie, że Bóg jest przyczyną istnienia nie tylko tego lub owego ciała ludzkiego, ale także przyczyną jego treści, która tém samém musi być koniecznie pojmowaną przez treść Boga, mocą konieczności wiekuistéj. A skoro tak się rzecz ma, przetoż to pojęcie, wyrażające treść ciała wiekuistą, jest czémś odnoszącém się także do treści duszy; gdyż, jak to już dawniéj wykazywaliśmy, przedmiotem idei, stanowiącéj duszę ludzką, jest, według Spinozy, ciało, pewien stan rozciągłości. Jeżeli zatém treść ciała, jako pojmowana przez treść boską, jest niezatracalną, czyli wiekuistą, tém-ci bardziéj niezatracalném i wiekuistém musi być z konieczności to, czego to ciało jest tylko przedmiotem albo ideałem, — więc dusza. Innemi słowy: dusza nie może całkowicie zaginąć z ciałem; pozostaje po niéj coś wiekuistego (1).

Głębokie to, racyonalne i w metodzie Spinozy nader logiczne uzasadnienie duszy... metafizycznéj. Ale nieśmiertelność moralna zamazuje się najzupełniéj, do szczętu, dowodzeniem następującém: Dusza wyraża istnienie obecne ciała i pojmuje stany jego obecne tylko pod warunkiem, że ciało to nie przestaje istnieć; żadnego tém samém ciała, jako bytującego, nie pojmuje inaczéj, tylko pod tym samym warunkiem: zkąd wynika, że dusza nic sobie wyobrazić, niczego przeszłego sobie przypomnieć nie może, tylko pod warunkiem istnienia ciała (2). Innemi słowy, dusza po śmierci ciała istnieje jako idea, ale nic już sobie nie wyobraża ani niczego nie pamięta z przeszłości.

Jest to więc, jak powiedziałem, przy uwiecznieniu człowieka metafizyczném, unicestwienie jego istoty moralnéj. I inaczéj nie mógł zakończyć swego systematu filozof, który w poglądzie na Boga, człowieka i świat, wprowadził wszędzie konieczność fatalistyczną, odebrał człowiekowi wolną wolę, pojęcia o dobrém i złém uznał za konwencyonalne, przyczyny celowe za fikcye złowrogie, a nagrody i kary za złudzenie, potrzebne tylko w celach praktycznych dla kierowania głupimi.

Bez pamięci przeszłości, a zatém bez indywidualności i poczucia tożsamości osoby, nieśmiertelność w znaczeniu moralném jest żadną. Duszę ludzką po śmierci ciała, przyjmuje Substancya, jako myśl; toż.

(1) *Etyka;* V, 22, 23, 29.
(2) *Etyka;* V, 21.

samo dzieje się z ciałem, jako z rozciągłością: i oto nieśmiertelność we wszechbycie, w Bogu.

Pomimo takiéj nieśmiertelności, która jest niczém inném, tylko wieczném przeobrażaniem się stanów substancyi i żadnego związku z przeszłością moralną człowieka nie ma, Spinoza obstaje za utrzymaniem pobożności i religii, jako pierwszych potrzeb życia ludzkiego; zdanie zaś to swoje opiera na zasadzie pożytku. Pobożność i religijność, jako uczucia zdążające do poznania Boga i do pokochania go, przyczyniają się zarazem do ukształcenia duszy, nadają jéj dzielność i szlachetność, a tém samém dopomagają do uczynienia człowieka wolnym i mądrym; choćbyśmy zatém nie wiedzieli, że dusza jest nieśmiertelną, to już na zasadzie wszystkich poprzednich dowodzeń o potrzebie kształcenia duszy, powinniśmy pielęgnować w sobie powyższe uczucia, nie zaś tylko na zasadzie mniemanych nagród i kar. Pod tym względem Spinoza doktrynę swą stawia nierównie wyżéj nad wierzenia pospolite. — „Większość ludzi — powiada on — mniema, iż wolnymi są o tyle, o ile wolno im ulegać namiętnościom, oraz, iż ustępują ze swego prawa wszystko to, co czynią na rzecz przykazań prawa Bożego. Pobożność, religijność i wszystkie cnoty, odnoszące się do siły duszy, są więc w ich oczach ciężarami, które spodziewają się zrzucić przez śmierć, otrzymując nagrodę za swe niewolnictwo, czyli za uległość względem religii i pobożności. I nie tylko ta prowadzi ich nadzieja: bojaźń strasznych męczarni, jakie grożą im na tamtym świecie, stanowi również potężną pobudkę do życia według zakonu bożego, o ile starczy na to ich słabość i nieudolność duszy. Gdyby odjąć ludziom tę nadzieję i tę bojaźń, gdyby się przekonali, że dusze giną razem z ciałem, i że niéma drugiego życia dla nieszczęśliwych, którzy dźwigali uciążliwe brzemię pobożności, jest rzeczą niezawodną, że powróciliby do swego stanu pierwotnego, urządzając życie według namiętności, woląc ulegać losowi, niż sobie samym. Wierzenie niedorzeczne, zdaniem mojém, równie jak człowieka, któryby napychał ciało truciznami i posiłkiem zabójczym dla téj pięknéj racyi, że nie spodziewa się używać przez całą wieczność dobrego pożywienia; albo też takiego, który widząc, że dusza nie jest wieczną lub nieśmiertelną, wyrzekłby się rozumu i pragnął zostać waryatem — co jest rzeczą tak dziwaczną, że nie warto się dłużéj nad nią zastanawiać" (1).

Z samego tytułu nadanego systematowi — *Ethica*, — widać, że filozof nasz w dziele swém głównie miał na myśli człowieka, to jest jego postępowanie i jego szczęśliwość; cała zaś ontologia i psychologia użytemi jedynie zostały za podstawę do moralności, która tu jest czysto utylitarną. Nie chodzi o to myślicielowi temu: czy jest samo w sobie dobre lub złe, niéma ich nawet podług niego, w charakterze

(1) *Etyka*; V. 41.

idei bezwzględnych: istnieją one tylko jako warunki, determinujące stan pożytku ludzkiego, w widokach szczęśliwości. Dla Spinozy człowiekiem szczęśliwym jest człowiek wolny; człowiekiem wolnym jest ten, który żyje według rozumu, nie według namiętności; człowiekiem zaś żyjącym według rozumu jest ten, który posiada jaknajwiększą liczbę pojęć zupełnych *(ideae adaequatae)*. One to są pojęciami, przez które dusza rozumie się najlepiej, łącząc się ze swą przyczyną prawdziwą, którą jest Bóg. Oddając się pojęciom niedokładnym, cząstkowym, *(inadaequatae)*, to jest naturze i zmysłom, dusza odrywa się od własnej swej treści; coraz mniej rozumie się sama w sobie; gubi się w tém, co nie jest nią. Bo czémże ona jest właściwie? Ideą Boga. Im zatém więcej zbliży się do niego, tém lepiej rozumieć będzie siebie samę; a że ona zbliża się doń przez pojęcia zupełne, przez nie więc posiada też samę siebie; a w tém-to znaczeniu naśladowanie Boga stanowi część naszego własnego czynu i może stać się prawidłem postępowania. Całe to jednak rusztowanie jest tylko rusztowaniem, nie zaś częścią integralną budowy, która wciąż pozostaje bez fundamentów, dopóki człowiek wie, iż tylko *może* tak postępować, nie zaś, iż *powinien* tak postępować; a fundamentu nie będzie nigdy, dopóki człowiek z Bogiem (skoro się go w tak wysokim stopniu przypuszcza), nie połączy się tak ściśle jak poddany prawu z prawodawcą, to jest węzłem korzyści i odpowiedzialności, czyli nie owijając w bawełnę, zasadą nagrody i kary. Ale w systemacie tym niéma i mowy o odpowiedzialności człowieka: są tylko przedstawione korzyści i niekorzyści, i dane człowiekowi do wyboru. Chcesz być szczęśliwym w ten sposób i zgadzasz się, że to jest szczęściem, — powiedziano mu, — to postępuj tak, a dojdziesz do takiego szczęścia. Jeżeli zaś kto nie tak rozumie szczęście i takiego szczęścia nie pragnie, ten może sobie postępować inaczéj, a przed nikim sprawy ze swojego postępowania nie zda; bo, oczywiście, gdzie nie było mowy o odpowiedzialności, tam jéj nie mogło być ani o obowiązku, ani o prawie. Nie zgadza się to z pojęciem zależności człowieka od Boga, ale zgadza się z teoryą utylitarną. I dziwna rzecz! Spinoza, głęboki fatalista w całym systemacie, w konkluzyi moralnéj zostawił człowiekowi możność wyboru, o ile ta znowu da się pogodzić z metafizyczną koniecznością jego natury, którą tu, zdaje się, wykazaliśmy dokładnie.

Usunąwszy odpowiedzialność, Spinoza chciał mieć moralność bezinteresowną, równie jak chce ją mieć dzisiejszy naturalizm; ale niemniej bez względu na sprzeczność, obraz jéj, jaki przedstawia, pięknym jest w intencyi, i w tém może największa zaleta systematu. Stopił w nim ów filozof wszystko, co się najwznioślejszego wycisnąć dało z Epikteta i z Ewangelii, tylko odsunął odeń wszelką podstawę religijną. Umysł, zdolny ocenić cokolwiek szlachetne i piękne, otoczył całym szacunkiem treść istnie moralną każdéj religii, ale ryczałtem nie przychylił się do żadnéj. Objawienie, dogmat i cuda są

dlań wyrazem bez znaczenia; a co do czci samej, czyli uczucia religijnego, temu poświęcił jedno tylko zdanie, i to, jak widzieliśmy, także jedynie w kierunku utylitarnym: pobożność i religijność umacniają duszę. Nie odepchnął wszelako religii, (jak to czyni prosty naturalizm), a nie odepchnął w skutek tego, że wyszedł z idei Boga; ale religią tę pozostawił samej indywidualności: niech każdy według swego sposobu stawia Bogu ołtarz w sercu własnem, zdaje się powiadać, tak jak i on go rzeczywiście wystawił w swojem. W każdym jednak razie, moralność jego nic a nic nie zyskuje na téj podstawie deistycznéj, a raczéj panteistycznéj, którą pod nią podsunął; nie utraciłaby ona nic ze swéj powagi, gdyby ją był uczynił zgoła niezależną od swéj metafizyki: kto wie nawet, czyby nie zyskała, pozbywszy się gruntu fatalistycznego, na którym się cała jego ontologia opiera. Nie potrzeba wreszcie koniecznie wychodzić z idei Boga, ażeby dojść do tak pięknych w gruncie przymiotów moralności, do jakich doszedł Spinoza. Najbezwzględniejszy ateizm, jakim był Demokryta, nie inną głosi moralność i nie na innych opiera ją danych psychicznych, niż te, któreśmy tu wyprowadzili z „Etyki"· Już i przed dwudziestu dwu wiekami, Demokryt, w rozróżnieniu istotnéj treści rzeczy od czczych pozorów, nie zewnątrz świata tutejszego, ale w nim i w nas samych umieścił szczęśliwość życia. Człowiek, podług niego, tylko w spokoju i niezmąconéj pogodzie duszy, w umiarkowaniu żądz i czystości serca, nadewszystko zaś w rozległem i podniosłem kształceniu umysłu, znajduje szczęście najwyższe. To, co duszę utrzymuje w radości, jest pożytecznem; co ją smuci — szkodliwem. Wszystkie też dobra zewnętrzne: bogactwo, uroda, rozkosz zmysłowa, choćby i nie budziły w nas pożądliwości żadnéj, mogą być tylko dodatkiem, nie zaś celem téj pięknéj harmonii, w któréj dusza się skupia i zachwyca sobą. I znalibyśmy w kraju tę odwieczną teoryą nie tylko moralności ateistycznéj i atomistycznéj, ale zarazem całą i doskonale rozwiniętą dążność do tłómaczenia świata na zasadach czysto mechanicznych materyi i ewolucyi, słowem cały apparat w gotowości postawiony dla Moleschotta i Darwina, przez Demokryta i Empedoklesa, gdybyśmy choć mieli w tłómaczeniu polskiem potężny poemat Lukrecyusza „De rerum natura". Powstajemy na tak nazwane nowości, rujnujące nasze pojęcia; otóż mamy jak na dłoni nowość datującą z przed wieku Peryklesa. I pod tym więc nawet względem, Spinoza, co do swéj moralności mianowicie, zgoła nie jest oryginalnym. Ale jest on przedewszystkiem myślicielem socyalnym. Widok nędz i upokorzeń ludzkich, których plemię wreszcie jego było ofiarą najdotykalniejszą, natchnął go duchem reformatorskim, uczynił go rewolucyonistą. Chciał on widocznie: nadać inne podstawy społeczeństwu ludzkiemu, złagodzić stosunek rządzących do rządzonych, osłabić prerogatywę przypadku, wystąpić na widowni świata, jak Grachowie w Rzymie, o słuszniejszy podział dóbr; ale rewolucyą swą przeprowadzić cicho, bez wstrząśnień, na drodze przekonań

rozumowych, jak przystało na mędrca i uczciwego człowieka. Jego „Etyka" jest tylko summą myśli, rozrzuconych w poprzednich pismach, a nadto stanowi ona ich uzupełnienie filozoficzne, podstawę teoretyczną, ogarniającą nie tylko stosunki ludzkie, ale świat cały. Począwszy od Boga, z niego chciał Spinoza wyprowadzić sankcyą dla wszystkich swoich myśli społecznych, wygłoszonych pierwotnie, a stanowiących jego, tak nazwaną po dzisiejszemu, socyologią.

Pod tym względem zacytować trzeba „Traktat polityczny" oraz „Traktat teologiczno-polityczny", które ściśle wiążą się z „Etyką". Jaka jest dążność tych traktatów, dosyć wyraźnie wypowiadają ich tytuły.

W oznaczeniu warunków bytu społeczeństwa, Spinoza rozpoczyna od stanu naturalnego, którego ohydny przedsmak widzieliśmy już w „Etyce". Jako władza Boga jest miarą jego woli, tak samo człowiek, którego władza, podzielana ze wszystkiemi jestestwami natury, stanowi władzę samego Boga, ma z przyrodzenia tyle prawa, ile posiada mocy do istnienia i działania. Stan natury nie znosi grzechu, ani posłuszeństwa, ani sprawiedliwości, ani niesprawiedliwości. Słowo dane drugiemu o tyle jest ważnem, o ile dający nie zmieni woli: bo jeżeli ma moc odjęcia przyrzeczenia, to w rzeczywistości nic ze swego prawa nie ustąpił, dał tylko wyrazy. Jeżeli zatem człowiek, który jest sam sobie sędzią według prawa natury, osądził, słusznie czy niesłusznie, że z przyjętego zobowiązania więcej dlań przypada szkody niż korzyści, to uzna, że można to zobowiązanie zgwałcić, i zgwałci je w moc prawa naturalnego ([1]). Oczywiście, gdyby ludzie kierowali się rozumem i ubiegali się za tem tylko, co im pożyteczne, nie nastawaliby jedni na drugich. Ale daleko od tego: ludzie dają się powodować więcej namiętnościom niż rozumowi, i przez to stają się sobie wrogami. Dla zapobieżenia podobnemu stanowi rzeczy, potrzeba ustanowić rząd, w taki sposób, ażeby wszyscy, rządzący i rządzeni, po woli czy po niewoli, czynili to, co sprzyja dobru ogólnemu, czyli: ażeby wszyscy, czy to dobrowolnie, czy z konieczności, zmuszeni byli żyć według przepisów rozumu, i ażeby nic, co dotyczy dobra powszechnego, nie było wyłącznie powierzone dobrej wierze niczyjej.

W miarę otrzymywanej opieki i w zamian za nią, każdy człowiek ustąpi coś ze swych praw, a w takim razie rząd będzie miał wszystkich ludzi w ręku. On wymierza sprawiedliwość, a to jedynie obowiązany jest uważać za dobre lub złe, co jemu się samemu dobrem lub złem wydaje; jedynym zaś błędem jego jest to, jeżeli się osłabia. Obywatele winni mu w każdym razie bierne i zupełne po-

---

([1]) *Traktat polityczny*; II. 12.

słuszeństwo, nawet choćby rozkazy jego były nieprawe, niedorzeczne. Zatém, prawo rządu, albo władz naczelnych, nie jest niczém innėm, tylko samémże prawem natury, o tyle, o ile nie oznacza władzy każdéj jednostki, ale władzę ogółu, działającą jakoby jedna dusza; innemi słowy: prawo naczelne w społeczeństwie, równie jak prawo jednostki w stanie natury, mierzy się miarą posiadanéj władzy. Z czego wynika, że każdy obywatel lub poddany ma tém mniéj prawa, im więcéj rząd ma władzy od niego, a tém samém każdy obywatel ma tylko do tego prawo, co mu zabezpieczoném jest przez rząd. Ażeby jednak złagodzić tę tak wstrętną teoryą socyologiczną, dodaje Spinoza, że lubo rząd może uczynić wszystko, co zechce, obowiązany jest jednak w interesie własnym czynić to tylko, co powinien, czyli co mu nakazuje rozum; inaczéj bowiem, to jest kierując się namiętnościami, widokami prywatnemi, osłabiałby się i niszczył, byłby nie rządem ale widmem. Pod tym względem śliczny jest ustęp „Traktatu politycznego (IV, 4)", który tu przytaczamy: — „Wszystko to będzie zrozumialszém, jeżeli zważymy, że gdy powiadają, iż każdy z rzeczy doń należącéj może uczynić wszystko, co zechce, możność ta może być ograniczoną nie tylko przez władzę działającego, ale i przez zdolność podległego. Jeżeli naprzykład utrzymuję, że mam prawo zrobić z tym stołem wszystko, co zechcę, nie rozumiem zapewne, iż mam prawo uczynić to, ażeby ten stół jął chrupać trawę. Tak samo, lubo powiadamy, że ludzie w stanie społecznym nie należą do siebie, ale do rządu, nie rozumiemy przez to, iżby ludzie tracili naturę ludzką a przybierali inną, ani też tém samém, że rząd ma prawo uczynić, ażeby ludzie posiadali skrzydła, lub, co na jedno wychodzi, ażeby patrzyli z uszanowaniem na to, co budzi w nich śmiech albo wstręt. Ale rozumiemy przez to, że istnieje pewna całość okoliczności, które, jeżeli są dane, wtedy wynikają z nich dla ludzi uczucia szacunku i bojaźni względem rządu — jeżeli odjęte, to bojaźń i szacunek znika, a rząd przestaje istniéć. Rząd tém samém, ażeby mógł należéć do samego siebie, powinien utrzymywać przyczyny szacunku i bojaźni; inaczéj przestaje być rządem".

Gdyby był chciał tę swoję tezę rozwinąć Spinoza tak, jak ją pomyślał w wyrażeniu: śmiech i wstręt, powiedziałby, iż rząd niszczy samego siebie, jeżeli postępowaniem swém tłumi w obywatelach pojęcia rozumu, jeżeli tamuje rozwój istoty ludzkiéj w tém, co ona ma w sobie istotnie boskiego, jako jeden ze stanów substancyi nieśmiertelnéj; jeżeli drażni ludzkość, postępując nieludzko, czyli, jeżeli działaniem swém wywołuje w ludności uczucia smutne, obniżające, według „Etyki" wartość człowieka, zamiast budzić uczucia radosne, uszlachetniające duszę. Taki rząd, oczywiście, tworząc naokoło siebie zwierzęcość tylko i pustkę, niszcząc racyą swojego bytu, musi w końcu zniszczyć samego siebie, jak to uczyniły rządy Neronów i Heliogabali.

Założeniem właśnie i przedmiotem prawdziwego rządu w społe-

czeństwie jest, według Spinozy (1): powściągać bezprawia popędów, ludzi zaś ile możności utrzymywać w granicach rozumu, ażeby żyli razem w pokoju i zgodzie. Wzruszyć tylko tę podstawę, to cały budynek nieochybnie runie. W takiém założeniu zadania rządu, mającegó utrzymywać ludność w granicach rozumu i rozwijać same uczucia radosne, a dla pokoju i zgody krzewiącego miłość wspólną, kryje się nieochybnie gwałtowna krytyka ohydnéj maksymy machiawelskiéj: „divide et impera". W takim rządzie dbałość o interesa społeczne należy wyłącznie do panującego, czy to nim będzie osoba pojedyncza czy zbiorowa, w postaci arystokracyi lub demokracyi, z wyboru lub z siły. Z wyboru lub z siły, powtarzamy, gdyż skoro ludność nie miała w sobie dość mocy lub uzdolnienia, by rządzić się sama i czuwać nad swém bezpieczeństwem, to ten, kto ją pod tym względem zastąpił, w jakibądź to sposób uczynił, musi już mieć w ręku swoich wszystkie prerogatywy panującego, by tak samo, jak w stanie naturalnym, módz działać to, co chce, pod warunkiem, iżby działał tak, jak powinien. Spełniającemu ten warunek rządowi należy się od poddanych posłuszeństwo, i nikt nie może przyznawać sobie innego prawa nad to, które ocechowane jest przez panującego.

W tym stosunku atoli poddanych do rządu, Spinoza zaznacza delikatną a niesłychanie ważną różnicę, odgraniczającą posłuszeństwo od niewoli, tak samo, jak już w stosunku rządu do podwładnych odgraniczył absolutyzm bezwarunkowy od woli kierowanéj rozumem i zasadami uczciwości. — Nie należy sądzić — powiada, że przez posłuszeństwo chcemy uczynić poddanych niewolnikami, i nie wyobrażajmy sobie, że być posłusznym, znaczy to być niewolnikiem, i że wolność polega na tém, ażeby żyć według swojéj fantazyi. Bynajmniéj: ten tylko jest rzeczywiście niewolnikiem, kto poddaje się namiętnościom a nie zdoła widzieć i czynić tego, co mu pożyteczne; wolnym zowie się ten, czyja dusza jest zdrową i kto nie zna innego przewodnika nad rozum. Zapewne, czyn wynikający z rozkazu, czyli posłuszeństwo, odejmuje do pewnego stopnia wolność; ale nie wytwarza przeto niewoli, która cała polega na sposobie działania. Jeżeli celem czynności nie jest interes poddanego, ale tylko samego pana, wtedy, istotnie, poddany staje się niewolnikiem i niepotrzebnym samemu sobie: przeciwnie, w społeczności urządzonéj, gdzie dobro całego ludu nie zaś osoby kierującéj jest prawem najwyższém, ten, kto słucha we wszystkiém władzy panującéj, nie powinien być uważany jako niewolnik niepotrzebny samemu sobie, lecz jako poddany: najwolniejszém więc jest to państwo, którego prawa ugruntowane są na rozumie zdrowym; każdy w niém bowiem, jeżeli chce, może być wolnym, czyli: może trzymać się w swém postępowaniu praw rozumu i słuszności.

---

(1) *Trac. teol.-pol.* 16.

Spinoza żył w czasach, kiedy jeszcze pomsta za opór powagom uznanym była w największém rozwinięciu, i kiedy w niektórych zaledwie zakątkach Europy, jak w Anglii, Niderlandach i Polsce, tolerancya religijna i swoboda polityczna chroniły od wywierania ucisku na sumienia moralne i obywatelskie. Nie ostygły były jeszcze popioły po stosie, na którym spłonął wolny myśliciel Giordano Bruno, a gwar inkwizycyjny takim jeszcze przejmował dreszczem, że umysły najniepodleglejsze i najwięcéj mające wziętości nawet pośród wielkich tego świata, nie śmiały ogłośno wyjawić tego, co nosiły w głębi. Sam oto Kartezyusz kryje się ze swym traktatem „O człowieku", i tłómaczy w „Rozprawie o metodzie" obawy, dla których publikacyą zostawia na po śmierci. Urazić choćby jedném zdaniem wierzenia ustalone, było to wystawić się na szykany, zatruwające życie; a cóż dopiero zmieniać całkowite kierunki myślenia! Taki właśnie stan rzeczy, nieznośny dla wolnych myślicieli, zaostrza pióro Spinozy, który, widząc wszędzie sprzymierzoną religią z polityką przeciw wolności myślenia, radby rozbić to przymierze, i przeto w traktatach swych społecznych łączy wszędzie oba te pojęcia, by ich właściwe oznaczyć kierunki, jakotéż przekonać, że ani religie, ani rządy nic na swobodzie ludzkiéj nie utracą, ale tylko z przesądów i nadużyć oczyścić się mogą. Lubo zasłonięty tarczą wolnéj rzeczypospolitéj, która niedawno jeszcze sama dawała przykład wytrwałości w walce o swobody religijne i polityczne, nigdzie filozof ten nie występuje przecież z namiętnością zaczepną, lubo czuć po stylu, że gwałt zadawać musi swemu oburzeniu, na widok zdeptanych najpiękniejszych praw ludzkości, ale wszędzie natomiast wkłada siłę rozumowania, ochrania, ile może, drażliwości sumień i reprezentacyą władz, przedstawiających powagę, tak, jakby jeszcze groźny cień Alby przesuwał się po ulicach Hagi. Nie temu jednak, ale głównie idei filozoficznéj, którą się kierował w całym systemacie, przypisać należy, iż Spinoza, bądź co bądź, zbyt wiele nacisku kładzie w swéj polityce na posłuszeństwo, uważając je wyłącznie prawie za jedyną cnotę obywatelską. Jak w filozofii właściwéj jednostkę ludzką unicestwił na rzecz substancyi ogólnéj, tworzącéj wszystkich dusz i ciał harmonią, tak w społecznościach ludzkich zmierza do pochłonięcia wszystkich indywidualności przez państwo, które jest reprezentacyą siły. I nic dziwnego; w systemacie jego filozoficznym człowiek, nie będąc jednostką wolną, siłę tylko uznawać może za coś prawowitego. Z drugiéj jednak strony, Spinoza na czele wszystkich władz stawia rozum, jako arbitra, zaprowadzającego równowagę między siłami; z téj równowagi wynika niepodległość wszystkich tak filozoficzna jako i polityczna, a ztąd piękne to jego zdanie: „Civitas, cujus pax a subditorum inertia pendet, qui scilicet velut pecora ducuntur, ut tantum servire discant, rectius solitudo quam civitas dici potest". Zdanie godne Tacyta, tłómaczące najlepiéj tę

różnicę pomiędzy poddanym a niewolnikiem, którą wytknęliśmy wyżéj.

W imię też téj równowagi i niepodległości, nie może Spinoza w swych traktatach nie zawadzić o to niepostępowe *motto* średniowieczne: *philosophia theologiae ancilla*. Ani filozofia względem teologii, ani teologia względem filozofii, sługami być nie powinny; wzajemne ich stosunki wymagają pośrednika, a tym pośrednikiem ma być rząd, czyli państwo, które ani bez religii, ani bez filozofii obejść się nie może. Filozofia polega na rozumowaniu, teologia — na wierze: rozum zaś otrzymał w udziale dziedzinę prawdy i mądrości; wiara—pobożności i posłuszeństwa. Władza też rozumu nie zachodzi tak daleko, ażeby zdolną była określić: czy ludzie mogą być szczęśliwymi w moc samego posłuszeństwa, a bez rozumienia rzeczy ([1]). Teologia zaś innéj nam nie udziela nauki; zaleca tylko posłuszeństwo: przeciwko rozumowi nic nie chce, nic nie może. Pomimo wszelkich jednak wysileń, jakie w swych traktatach, mających na celu praktykę życia, czynī wolny myśliciel, ażeby pogodzić wiarę z rozumem, religią z filozofią, i utrzymać powagę Pisma tak starego jak i nowego Zakonu, nie możemy dostrzedz z jego strony nic innego, tylko ustępstwo na rzecz opinii ogółu, przez które przedziera się wciąż ciążenie ku religii, tak zwanéj naturalnéj, a raczéj indywidualnéj, takiéj, jaka wypłynęła z jego „Etyki". W ogóle bowiem, w rozbiorze Pisma i Proroków, tak Mojżesza jako i Ś. Pawła, dla uzasadnienia powagi ich, opiera się on na tém tylko, co zmierza do poprawy, ucnotliwienia i uszczęśliwienia ludzi, w znaczeniu takiém, jakie znosi jego „Etyka", drogoskaz i norma wszystkich jego rozumowań, a więc w znaczeniu tylko rozumowém, dopuszczającém krytykę i swobodę wyboru. A lubo i w tém znaczeniu nie wszystko tam może być matematycznie dowiedzioném, podobnie jak i przesłanki jego „Etyki", „może być wszelako przyjętém przez umysł zdrowy." — „Co bowiem, — dodaje, — stwierdzone zostało świadectwem tylu proroków, co jest źródłem pociech dla prostaczków, co przyczynia wielkie korzyści państwu, czemu wierzyć możemy bezwarunkowo, nie narażając się na żadne niebezpieczeństwo,—byłoby szaleństwem odrzucać to wszystko pod tym jedynym pozorem, że nie może być dowiedzioném matematycznie. Tak jak gdybyśmy dla mądrego urządzenia życia, uważali takie tylko twierdzenia za prawdziwe, których żadna wątpliwość dosięgnąć nie może, lub jak gdyby uczynki nasze nie były po większéj części bardzo niepewnemi i pełnemi przypadkowości ([2])."—Mówi to tak Spinóza, jak gdyby miał właśnie na myśli owe pierwsze zasady, z których wyszedł w „Etyce," i jak gdyby oświadczał na rzecz teologii słowy łacińskiego poety: „veniam petimusque damusque vicissim."

([1]) *Tr. teol-pol.* 15.
([2]) *Tamże.*

Co jednak jedną ręką daje, to drugą ręką teologii odbiera, przyznając słuszność tym, którzy mniemają, że filozofia i teologia przeciwią się sobie wzajem, i że z tego powodu zrzec się trzeba jednej albo drugiej, albo też dać teologii podstawy niewzruszone i matematycznie ją udowodnić: inaczej trzebaby chyba oszaleć lub zrozpaczyć, by dać zuchwałą odprawę rozumowi, wzgardzić nauką i sztuką, zaprzeć się pewności rozumowej. Cóż to zatem innego jest, jeśli nie wolny wybór, który choćby miał przejść po zgliszczach Objawienia, pójdzie tam, gdzie go własne światło poprowadzi? Co większa, powstaję Spinoza przeciw zwolennikom teologii, usiłującym matematycznie powagi swych twierdzeń dowodzić, a jednocześnie odsądzającym powagę rozumu i światła naturalnego i ostatecznie dochodzącym przez to *ad absurdum*. Bo albo przeczą powadze, której sami w interesie swym używają, to jest rozumowaniu, albo też teologią poddają pod krytykę rozumu, tak, że cała powaga jej jest tylko pożyczaną i o tyle jedynie oświeconą, o ile odbija na sobie promienie naturalnego światła rozumu. Jeżeli zaś prawią, chwaląc się, iż mają w sobie Ducha Świętego, i ulegają jego wewnętrznemu świadectwu, a rozumu posiadają tyle, ile go potrzeba dla przekonania niewiernych, to nie należy im wierzyć, — powiada, — gdyż Duch Święty daje tylko świadectwo dobrym uczynkom, które przez to Ś. Paweł nazywa owocami Ducha Świętego, a ten niczém innem nie jest, jeno tym spokojem doskonałym, który powstaje w duszy na skutek dobrych uczynków. Pod tym względem Spinoza polega na ustępie z listu Ś. Pawła do Galatów (V, 2. 21), — na tym samym ustępie, którego nasz Cieszkowski w swoich *Drogach Ducha*, ku końcowi, użył w znaczeniu wprost Spinozie przeciwnem.

Widzimy, słowem, z tego streszczenia, że Spinoza akceptuje z teologii naprawdę, nie jej zasady, polegające na Objawieniu, bez którego zasady religijnej niema, ale tylko etyczne wyniki religii dodatnie, resztę pozostawiając wierze, która sprawdzianowi rozumowemu nie ulega wcale, a więc i nie może się rozumowi przeciwić. Jest to czysty i najzupełniejszy indyfferentyzm; pozwala on Spinozie ustanowić dla teologii i filozofii dwie całkiem niezależne od siebie dzielnice, połączone środkiem utylitarnym, uczepionym w idei Państwa. Dla rozumu ma on inne słowa.—„Co się tyczy prawdy i pewności rzeczy czysto spekulacyjnych, żaden inny duch (w alluzyi do Ducha Ś-go) nie daje o nich świadectwa, jedno rozum, który sam tylko zachował dla siebie dziedzinę prawdy. Jeżeli więc teologowie utrzymują, że mają innego ducha, oświecającego ich o prawdzie, jest to z ich strony zuchwała zarozumiałość: tak mówiąc, radzą się tylko uprzedzeń swych i namiętności; albo też z obawy, iżby nie byli zwyciężeni przez filozofów i wystawieni na szyderstwo publiczne, chronią się pod rzeczy święte. Ucieczka próżna! Gdzież bowiem znaleźć ołtarz opiekuńczy po zniewadze dokonanej na majestacie rozumu.“ Nigdzie Spinoza nie okazał się tak wymownym i wzniosłym w pro-

stocie swego wykładu, jak w tym krótkim ustępie, gdzie broni stanowiska rozumu i filozofii; i nigdzie silniéj niż tu nie zaznaczył, iż na religią patrzy tylko ze stanowiska utylitarnego i z uwagi na słabe rozwinięcie rozumu, jakie jest właściwością wielkich mass ludowych. — „Zaznaczam tu wyraźnie, — powiada, — Pisma Ś-tego czyli Objawienia pożytek i konieczność, i te uważam za bardzo wielkie. Skoro bowiem za pomocą samego światła naturalnego nie możemy zrozumiéć, by proste posłuszeństwo było drogą do zbawienia, skoro samo tylko objawienie uczy nas, że to dzieje się szczególną łaską bożą, któréj rozum nie może osięgnąć; przeto Pismo wielką przyniosło pociechę śmiertelnym. Wszyscy, rzeczywiście, ludzie mogą być posłusznymi, ale mało jest takich, w porównaniu z całym rodem ludzkim, którzy zdobywają cnotę, idąc tylko za kierunkiem rozumu, do tego stopnia, że bez świadectwa Pisma zwątpilibyśmy niemal o zbawieniu całego rodu ludzkiego.“ Jest to taż sama myśl, którą wydobyliśmy we właściwem miejscu przy rozbiorze „Etyki“, owiniętą w pieluszki matematycznéj dedukcyi; tu zaś wygląda ona tylko na uprzejmość względem opinii, jako *malum necessarium*.

Wolność sumienia jest, oczywiście, najprostszym wynikiem tego zapatrywania się i tego rozumowania. Ale niedosyć na tém. Za wolnością sumienia w materyach religijnych i w związku z nią, idzie wolność myśli społecznéj oraz głośnego jéj wyrazu. Jakiekolwiek bowiem byłoby prawo rządu nad wszystkiém, jakiekolwiek byłyby jego tytuły do tłómaczenia prawa cywilnego i religii, nigdy on nie potrafi uczynić tego, ażeby ludzie nie sądzili rzeczy umysłem własnym i nie byli przez nie w ten lub inny sposób dotykani. Jeżeli zatém nikt nie może zrzec się wolnego prawa sądzenia i odczuwania sam przez się, jeżeli każdy, prawem nieprzedawnialném natury, panem jest swoich myśli, wynika ztąd, iż bez skutków najopłakańszych nikt w społeczeństwie nie może zobowiązywać ludzi, których myśli i uczucia są tak rozmaite a nawet sprzeczne, do tego, ażeby mówili, myśleli i czuli jedynie przepisami rządu. Rząd wprawdzie ma moc nie dopuścić tego, ale czy powinien, ze względu na sam pożytek? Skoro rządowi, w należytém wyrazu znaczeniu, wolno jest rządzić tylko na zasadach rozumu, przeto w zakres działalności jego nie może wchodzić to, ażeby ludzie pod jego zawiadywaniem zostali automatami lub zwierzętami, co niezawodnieby nastąpiło, gdyby mówili to tylko, co im każą, nie zaś to, co sami myślą. Celem państwa jest wolność. Im więcéj zatem ktoś usiłuje odjąć ludziom swobodę słowa, tém oni uparciéj za nią obstają: nie chciwcy wprawdzie, ani pochlebcy, ani inne niedołęgi umysłowe, których całém szczęściem jest: wpatrywać się w pieniądze w skrzyni i napychać brzuch, ale ci, których dobre wychowanie, czystość obyczajów i cnota uczyniły czcicielami wolności (¹). Ta wolność myśli i mowy nie może być wprawdzie

(¹) *Tr. teol.-pol.* 21, 22.

nieograniczoną aż do swawoli, i tu Spinoza ogranicza ją, głównie w tém ograniczeniu nie dopuszczając czynów, mających na celu obalenie lub zachwianie władzy rządzącéj, co byłoby karogodnym buntem, ale zamykając granice głosu publicznego na dyskussyach i przedstawieniach co do wartości praw istniejących, ich modyfikacyi lub całkowitéj reformy. Jest to myśl, rozwinięta dzisiaj przez ustanowienie parlamentów, rady stanu, zgromadzeń prawodawczych, mityngów i prawa prasowego: chwała więc takim apostołom swobód, jak Spinoza i Monteskiusz, którzy kładli nacisk na tak zbawienne dla rodu ludzkiego zasady, i pracami swemi przyśpieszali ich rozkwit.

Nietylko wreszcie działanie władzy, przeciwne swobodzie myśli, byłoby niepożytecznem i szkodliwém, ale wychodzi ono poza kompetencyą rządu. Jeżeli bowiem członkowie jednego społeczeństwa nie należą do siebie, ale do Państwa, to o tyle tylko, o ile obawiają się jego władzy i jego gróźb, czyli o ile umiłują życie społeczne. Z czego wynika, że wszelkie czynności, do których nikt skłonionym być nie może prośbą ni groźbą, nie podpadają pod kompetencyą państwa; a nikt przecież nie może pozbawić się swobody sądzenia. — „Jakąż nagrodą, — zapytuje Spinoza [1], — jakąż obietnicą skłonicie kogoś do tego, ażeby myślał, że całość nie jest większą od swéj części, albo, że Bóg nie istnieje, albo, że ciało, które widzi skończoném, jest istnością nieskończoną, i w ogóle, ażeby wierzył przeciwnie, niż czuje i myśli? Jakąż nagrodą, jaką groźbą skłonicie go, ażeby ukochał to, czego nienawidzi, nienawidził tego, co kocha?— Gdybyśmy mimo to utrzymywali, że rząd ma prawo lub władzę nakazania takich czynów, to chyba w tém tylko znaczeniu, w jakiém powiadamy, że człowiek ma prawo popaść w szał i bredzić. Czemżeż innem bowiem byłoby prawo, do którego nikt nie może być zmuszonym, jeżeli nie szałem?"

Kiedy ktoś usiłuje: 1) uzasadnić konieczność rządu w społeczeństwie i zasady jego określić; 2) prawo i obowiązki rządzących i rządzonych wyświecić; 3) różnicę pomiędzy poddanym a niewolnikiem ustanowić; 4) wykazać konieczność wolności sumienia, jako przywileju osobistego; 5) wykazać podobnąż konieczność wolności i jawności myśli, jako przywileju społecznego, a nadto, 6) udowodnić, że posłuszeństwo, należne rządowi we wszystkiém, nie dotyczy tajników myśli i sposobu ich formułowania, — podaje tém samém wszystkie zasady ogólne regularnéj społeczności, szczegóły pozostawiając już saméj administracyi. A gdyby nawet bieg spraw społecznych nie szedł jak należy, punkt nasz piąty zapewnia możność porozumienia się członków i zaradzenia złemu, przy obustronnéj dobréj woli.

I szczegółów nawet nie pomija Spinoza, ale tu nie możemy wdawać się w drobnostki, i poprzestać musimy tylko na głównych zarysach, do których należy przedewszystkiém forma rządu. Zgadza

---

(1) *Trac. Polit.* III. 8.

się on wprawdzie i na monarchią bezwarunkową, ale ta nie jest dlań ideałem. — „Reges enim non dii, — powiada, — sed homines sunt, qui syrenum capiuntur saepe cantu.“ A z syrenami sprawa trudna; arfy ich są różnodźwięczne, nadewszystko zaś, kosztowne, jak to pokazały tryliardy długów, które testamentem zapisał Francyi Ludwik XIV, a które spłacić miał prawnuk jego w Temple. Nad absolutyzm przenosi rząd arystokratyczny, mający za sobą większość głosów, stanowiących o interesach kraju. Lepszą jeszcze dlań jest forma demokratyczna, jako dopuszczająca ludność całą do udziału w rządzie: w przypuszczeniu zaś jedynowładztwa, żąda monarchii reprezentacyjnej, z gwarancyami,—które tak umiejętnie i subtelnie obmyślił, że niektóre jego kombinacye widzimy jak na dłoni odbijające się w późniejszych konstytucyach rozmaitych państw, mianowicie Francyi z czasów pierwszej rewolucyi.

Jeżeli jego system rządzenia wewnętrznego ma swoje strony wzniosłe i wskazówki pod względem praktycznym cenne, o wiele mniej zadowalniają nas jego podstawy, ze względu na sprzeczność z zasadami, które głosił w „Etyce.“ Tam wykreślił on wszelką celowość; tu, społeczeństwu czyli państwu wyznacza *cel*, którym jest *budowanie wolności*. Tam z całą zaciętością przeciwił się pojęciu nagród i kar, jako pobudkom niegodnym człowieka; tu z tego jedynie i wyłącznie pojęcia wyprowadza podstawę i możliwość rządu. Jeżeli w „Etyce“ nie wahał się twierdzić, że można i trzeba być cnotliwym dla samej cnoty; w polityce swej, przeciwnie, nie waży się wysuwać z podobnem zdaniem, i nagrodę a przedewszystkiem karę wystawia na czoło. Możnaby go do rozpaczy doprowadzić naciskiem na podobną sprzeczność, tak, że mu jedyna, ale i to nader ułudna, ucieczka pozostałaby tylko w tym rozdziale ludzi na jednostki wyborowe i tłum, do którego-to rozdziału, przypomnijmy sobie, uciekł się także w „Etyce“, czyniąc ustępstwo na rzecz kar i nagród pośmiertnych. Słowem, teorya rozminęła się i tam i tu z praktyką. Co tam było tylko ustępstwem, tu stało się zasadą: bo tam Spinoza widział tylko człowieka swojej wyobraźni i swojego systematu; w polityce zajrzał mu w oczy, żyjącemu, i przekonał się, tak jak nie chcą się przekonać moraliści niepodlegli, że on wygląda odwrotnie od tamtego, i że, jeśli pochód, czy-to moralny, czy społeczny, ma być poruszany choćby niczem innem tylko *dobrze zrozumianym interesem*, toć tym interesem najbliższym jest nagroda lub kara: pojęcie wzniosłe w znaczeniu sprawiedliwości, nikczemne i podłe w znaczeniu faworu lub pomsty.

Wolał tedy filozof nasz być sumiennym, niż konsekwentnym, i — abdykował w polityce z zasad, które wygłosił w „Etyce.“ — Po takiej abdykacyi, rzecz się wyprostowała natychmiast. Ażeby żyć, nie już szczęśliwie, bo to wyraz, jak na politykę, zbyt obszerny, ale tylko po ludzku, rządzić się trzeba rozumem: że zaś w tłumie przymiot ten jest rzadkim, państwo więc zakłada się dlatego, ażeby żywioł ten w całość społeczną wprowadzić, ile możności upowszechnić.

8*

i powściągając namiętności, czyniące ludzi niewolnikami, *zmusić* ich za pomocą nagród i kar do tego, ażeby byli wolnymi.—Tak to rozumiem, — i oto jest właściwa treść polityki Spinozy, skreślona w kilku wyrazach. O środkach i sposobach, prowadzących do celu, w treści téj zamkniętego, staraliśmy się dać w poprzedzającym wykładzie choć przybliżone wyobrażenie.

Cel ten wewnętrznego układu państwowego uważamy za wzniosły, a że jest praktycznym, dowodzą tego zwolna, ale stanowczo iszczące się tu i owdzie zasady, jakie, widzieliśmy, kiełkowały w umyśle Spinozy. Mniéj zadawalnia nas jego polityka zewnętrzna, czyli międzynarodowa. Jeżeli w układzie wewnętrznym, filozof nasz assymilując władzę do warunków stanu natury, przypisywał jéj moc zdziałania wszystkiego, co zechce, i za jedyny grzech poczytywał jéj osłabienie się, — krępował ją wszelako zdaniem, iż czynić obowiązaną jest to tylko, co powinna, a powinności te dosyć logicznie uzasadnił. Wprawdzie doświadczenie zanadto dobrze pokazało i pokazuje trafność ostrzeżenia, zawartego w wierszu Kornela: „qui peut tout ce qu'il veut, ne veut plus tout ce qu'il doit"; ale w rzeczach ludzkich niełatwo ugodzić w środek równoważący wszystkie interesa, i przeto każdemu prawidłu pozostawia się czas próby i doświadczenia w celu ulepszeń. To też układ jego wewnętrzny, mający za podstawę siłę, przez środki wskazywane za warunki utrzymania siły, dążył do wolności obywatelskiéj, na wzajemnych koncessyach opartéj. W układzie stosunków międzynarodowych rzecz ma się całkiem inaczéj. Jest to ów czarny a bezwstydnie naiwny machiawelizm, z całą brzydotą swych intryg i faktów spełnionych. Jeżeli tam praktyka z teoryą rozdzieliły się tylko u podstaw, formalnie, — tu praktyka pochłonęła do szczętu teoryą, i stanęła sama jako teorya nowa, wyprzedzająca teoryą walki o byt, znamionująca utylitaryzm najbrutalniejszy, godzięn, by przezeń świat zaginął w tradycyonalnym potopie lub ogniu.

Wysiliwszy się tyle, ażeby stosunki między człowiekiem a człowiekiem wyprowadzić z ohydy stanu naturalnego, z rządów namiętności, a zamknąć je w rządach rozumu na zasadzie siły miarkowanéj miłością i zgodą, Spinoza stosunki międzypaństwowe zwraca do warunków tego stanu naturalnego, dając im za podstawę najabsolutniejszy egoizm. Niechaj mówi sam za siebie i wstydzi się sam za siebie: nie chcemy go pod tym względem osłaniać. — „Łatwiéj to będzie zrozumianém, — powiada ([1]), — jeżeli zważymy, że dwa państwa są sobie, z natury rzeczy, wrogiemi. Gdyż, ponieważ w stanie naturalnym ludzie są wzajem sobie wrogami, ci przeto, co nie wchodzą w skład jednego państwa, zachowują względem siebie stosunki prawa naturalnego, pozostają wrogami. Jeżeli więc jedno państwo chce

([1]) *Trac. Polit.*; III, 12, 13.

wydać wojnę drugiemu i użyć środków ostatecznych, by je sobie podbić, może to przedsięwziąć prawnie, gdyż dla prowadzenia wojny dosyć mu tego chcieć. Nie tak się rzecz ma z pokojem: państwo jedno zawrzeć go tylko może za zgodą drugiego... Ten traktat pokoju trwa tak długo, jak przyczyna, która go wywołała, to jest obawa szkody lub nadzieja wzrostu. Skoro tylko raz ta obawa lub nadzieja dla którego z dwóch państw ustanie, staje się ono panem swego postępowania, a węzeł, łączący dwa państwa sprzymierzone, natychmiast się rozwiązuje. Każde państwo tém samem ma zupełne prawo zerwać przymierze, ilekroć tego zechce. I nie można go oskarżać o podstęp lub wiarołomność za to, iż rozwiązało się ze słowa wraz, jak tylko przestało obawiać się lub spodziewać; gdyż dla obu stron układających się położenie było jednakie; czyli, że pierwsze, pozbawione obawy, miałoby natychmiast ręce rozwiązane—i nikt wreszcie nie zobowiązuje się na przyszłość inaczéj, jak tylko względnie do okoliczności zewnętrznych. Ze zmianą tych okoliczności, zmienia się zarówno całe położenie, a tém samém państwo zawsze zachowuje sobie prawo czuwania nad swémi interesami, oraz usiłuje, ile może, stać poza obrębem obawy, to jest zależeć tylko od siebie i niedopuszczać, ażeby inne państwo stało się od niego silniejszem. Jeżeli więc państwo jakie skarży się, że zostało oszukanem, to niechaj nie obwinia dobréj wiary państwa sprzymierzonego, ale swą własną głupotę, iż powierzyło całość swą państwu obcemu, które zależy tylko od siebie samego i własną swą całość uważa sobie za prawo najwyższe.“

Jakżeż ta recepta polityczna daleką jest od wyprawy na odsiecz Wiedniowi, która odbywała się pod owe czasy, i jak jéj praktyczna wartość sprawdziła się rzeczywiście na państwie, które postępowało wprost odwrotnie jéj zaleceniom, i za to poniosło karę! Nie przeczymy, że wartości swéj nie postradała ona aż do dzisiaj, że stosunki międzypaństwowe ściśle się według niéj układają, reprezentując, przy uspołecznieniu wewnętrznem, mniéj więcéj według postulatu Spinozy urządzonem, stan naturalny nazewnątrz. Przyznajemy mu trafność obserwacyi i pewną proroczość w przewidzeniu tego, co będzie jeszcze po nim za lat dwieście; to jest, że siła okrzykniętą zostanie z wysokiéj trybuny za jedyne prawo międzypaństwowe, oraz że nawet własna jego ojczyzna stanie na pochyłości, ciągnącej ją do poddania się mocy tego prawa. Wartoby tę uwagę dodać na jego pomniku w Hadze.

Filozof ten, wynalazłszy ideał jednostkowy, ideał społeczny, nie mógł wynaleźć ideału dla ogółu ludzkości, tak jak nie wynalazł dla niéj Boga. Bóg jego nie jest zasadą i nie może być zasadą, ani metafizyczną, ani fizyczną,—i zaraz tego dowiedziemy, streszczając te uwagi, któreśmy przy szczegółach jego „Etyki“ rozrzucili. Pomijamy to, że w naukowych badaniach wymaganym jest wynik *a posteriori*; możemy poprzestać na hypotezie, jeśli gruppa poddanych pod nią

faktów okaże się od niéj zależną i tylko przez nią wytłómaczalną. Dążeniem „Etyki”, jak to, powtarzamy, widać już i z jéj tytułu, jest moralność. Do téj moralności Bóg wciągnięty jest przypadkiem: cała ona spoczywa jedynie na pewném pojęciu korzyści i niekorzyści, bez żadnego odnoszenia się do względów poza-doczesnych i poza-społecznych, a więc jest to moralność czysto utylitarna i niepodległa, nie wyzywająca z żadnéj strony idei Boga, jego interwencyi i istnienia nie objaśniająca. Innemi słowy, moralność jego, sztucznie wprowadzona w związek z ontologią, w żadnym związku nie pozostaje z jego Bogiem, i bynajmniéj przezeń się nie tłómaczy.

Wykazanie, iż cel nie wiąże się z założeniem, albo, że to założenie jest mu całkiem niepotrzebném, nie dowodzi wszystkiego. Może w tém zachodzić jakaś niezręczność, na któréj cierpi związek, ale swoją drogą może założenie miéć wartość samo w sobie w granicach ontologii saméj. I tak nie. Przy rozwinięciu pojęcia substancyi, stoimy wobec alternatywy takiéj: albo Bóg jest wszystkiém, istnością jedyną, a wszystko inne tylko jego manifestacyą, nie mającą samodzielności żadnéj; albo też, po przyznaniu samodzielności istnościom doczesnym, Bóg staje się abstrakcyą czczą, wyrazem, niczém. Mogą tu zwolennicy spinozyzmu dzisiejszego przybierać miny tajemnicze, zbywać nas półuśmiechami drwiącemi i potrząsaniem głowy: nic to nie pomoże — trzeciego terminu nie wynajdą. Trzeci termin byłby tylko taki: spinozyzm, jako i wszelki panteizm, nie tłómaczy natury Boga i świata, lecz Bóg i świat potrzebują tłómaczenia innego. Jakoż, Substancya bez przymiotów, uważana jako jakiś byt bezwzględny i nieokreślony, jest tylko igraszką słów bez żadnego znaczenia dla głowy trzeźwéj i nieuprzedzonéj. A czy można czém ją określić? Bynajmniéj. Zabrania nam tego wyraźnie Spinoza pod pretekstem: że wszelkie określenie przeczeniem jest. Ale sam daje substancyi ilość nieskończoną przymiotów nieskończonych, wymieniając tylko dwa, te, które, jak powiada, znamy. Czémże znowu są przymioty, jeśli nie określeniem? Jest to już byt wyraźniejszy, ale nie w konsekwencyi z naturą substancyi, która, według definicyi, istnieje sama w sobie, pojmuje się sama przez się, a mianowicie, nie potrzebuje pojęcia innéj rzeczy (więc ani myśli, ani rozciągłości), ażeby utworzyć się mogła. Jeżeli znowu zbijemy wszystko razem w pojęciu substancyi, to jest: przymioty jéj i stany przymiotów, czyli wszystko, co istnieje i dla umysłu naszego i dla zmysłów, to dopiéro otrzymamy prawdziwego Boga, żyjącego i konkretnego, ale poza tym Bogiem pozostanie już okrągłe zero. Wtedy i ja, który to piszę, i ty, czytelniku, który to czytasz, i ten pies, który w téj chwili wyje na moim dziedzińcu, jesteśmy albo zerem, albo manifestacyą Boga.

Jeżeli kto rozumie to inaczéj jeszcze, to chyba ma jakiś nieznany nam zmysł rozumowania. A jednak w takiéj-to logomachii trzeba brnąć, ażeby się przedrzéć przez wszystkie meandry spinozycznéj

dedukcyi. Razem więc ze starym Baylem ([1]) moglibyśmy odpowiedzieć Spinozystom, posądzającym nas o niezrozumienie mistrza: „Zeznaję jako Spinoza uczył: 1) że jest tylko jedna substancya w świecie; — 2) że substancya ta jest Bogiem; — 3) że wszystkie jestestwa szczegółowe, rozciągłość cielesna, słońce, księżyc, rośliny, zwierzęta, ludzie, ich ruchy, wyobraźnie, pragnienia, — są stanami Boga. Pytam się teraz Spinozystów: czy wasz mistrz nauczał tego wszystkiego, albo nie nauczał?" Szczera odpowiedź wywoła alternatywę, jakąśmy już wykazali, i albo wymaże naturę, zostając przy jakimś niezrozumiałym mistycyzmie, albo wymaże Boga. A że całe nasze przeświadczenie i doświadczenie nie pozwoli na tę niedorzeczność, aby ze świata wymazać naturę, przeto: albo Bóg będzie musiał innemu uledz tłómaczeniu, albo też będzie poświęconym, i pozostanie czysty naturalizm w powinowactwie z materyalizmem i tak zwaną filozoficznie niepodległością, czyli bezcelowością.

Zdaje się, że więcéj czynić nacisku nie potrzebujemy na tę konsekwencyą, a jakeśmy to już tylokrotnie zauważyli, zgadza się ona wreszcie ze wszystkiemi wynikami psychologii i moralności, z których ostatnia wyraźnie, a cały system domyślnie, uczy obchodzić się bez Boga. Kiedy to piszemy, w porę, jakby dla poparcia słów naszych przychodzi nam świeża, poważna książka o monizmie, w któréj wyraźnie stoi: „Spinoza jest ojcem monizmu; świat, wszystko jest Bogiem, o dwóch własnościach: więcéj niż prawdopodobna, że wielki myśliciel utrzymał pojęcie bóstwa jedynie dlatego, ażeby nie zadrażniać spółczesnych" ([2]).

Mamy więc przed sobą całkiem inny system niż ten, do któregośmy w dobréj wierze przystąpili: zamiast deistycznego, pokazał się ateistyczny. I nie sam tylko Spinoza nie spostrzegł się, z pomiędzy spirytualistów siedmnastego wieku, że pod pretekstem deistycznym przygotowuje przyszły materyalizm i ateizm, na równi z Gassendim, Kartezyuszem, Hobbesem. Nie jest to zapewne złą rekomendacyą wobec pewnéj części dzisiejszych usposobień filozoficznych, lubo jesteśmy przekonani, że ateizm, tak mocno zalecany przez Holbacha, Lamettrie, i ich tegoczesnych zwolenników, jako zakład szczęścia ludzkości, jest utopią tak czczą, jak socyalizm i kommunizm. Przypuściwszy nawet, że zdołanoby utworzyć gdzieś jaką błogą Ikaryą ateistyczną, którąby się rozrodziła w szerokie społeczeństwo, człowiek z czasem powróci znowu do wiary w coś, w cobądź, tak jak, gdyby go nazwyczajono chodzić na czworakach, wróciłby z czasem do pozycyi pionowéj. Zawiele tradycyi deistycznéj ma człowiek, ażeby mógł się z nią rozstać. Skoro raz, u pierwiastków swego życia, będąc najniezawodniéj ateuszem, wyszedł z tego stanu i stał się deistą, to znaczy, iż

([1]) *Bayle:* Słownik; art. Spinoza.
([2]) *Ludwig Noiré:* Der monistische Gedanke. Lipsk, 1875; str. 306.

konieczność taka leżała w jego naturze, i że ateizm jest jéj przeciwnym. Krytyka wreszcie tego już tu do nas nie należy; to jednak zauważymy, że wszelki system, usuwający Boga ze świata, daje coś na jego miejsce dla wytłómaczenia zjawisk, inaczéj, byłby to jakiś niepojęty nihilizm, niemniéj osobliwy od mistycyzmu; daje więc choćby materyą samę dla wytłómaczenia natury. Substancya Spinozy i w tym charakterze, czysto fizycznym, nie na wiele się przydaje. Jeden z jéj przymiotów, myśl, pozostaje bez żadnego wpływu na ciało, a więc nie tłómaczy zasady ruchu; drugi jéj przymiot, rozciągłość, niczém i nigdzie nie tłómaczy rozmaitości zjawisk. Naciskany listownie o ten brak ze wszystkich stron przez przyjaciół, Spinoza nigdy się nie potrafił dostatecznie wytłómaczyć, poprzestając na odpowiedziach wymijających. Śmierć wreszcie zaszła i wątpliwość pozostała nierozstrzygniętą.

Oto jest w przybliżeniu całość systematu, który, jak powiadają, powstał w umyśle Spinozy pod dwoma wpływami, to jest filozofii żydowskiéj, zwanéj *Kabalą* (strona jego mistyczna) i filozofii Kartezyańskiéj (strona naturalistyczna). Pierwszy Leibnitz już uczynił to spostrzeżenie, że Spinoza zaczyna tam, gdzie kończy Kartezyusz *in naturalismo* ([1]). Przyznajemy się do nieznajomości Kabały z pierwszéj ręki, zamilczamy więc o tém powinowactwie; co do Kartezyusza, widzimy je jak na dłoni. Spinoza napisał głęboki i znakomity rozbiór głównych dzieł tego filozofa, i przejął się jego zasadami tak dalece, iż gdyby zaginęły, oświadcza, gotówby dzieła jego odtworzyć. Przyswoił więc sobie jego myśli i stosował je w wybraném przez się znaczeniu i kierunku. Nic łatwiejszego, dla znającego oba systemata, nad wskazanie tego przepływu ([2]). I tak: lubo bez wielkiego nacisku, Kartezyusz mówi jednak o nieskończoności świata, a choćby rozumiał tylko przez to rozciągłość nieskończoną, wyrażenie to zaćmiewa pojęcie stworzenia. Własnemi jego wyrażone słowy, brzmi to tak: „Ustanawiam różnicę między *nieograniczoném* i *nieskończoném*. I niczego nie nazywam właściwie nieskończoném, tylko to, w czém ze wszystkich stron nie napotykam granic, a w takiém znaczeniu Bóg jeden tylko będzie nieskończonym. Ale co się tyczy rzeczy, gdzie pod pewnemi tylko względami nie widzę końca, jako to w rozciągłości przestrzeni imaginacyjnych, w ilości liczb, w podzielności cząstek i innych podobnych, nazywam je *nieograniczonemi* nie zaś *nieskończonemi*, ponieważ ze wszystkich stron nie są bez końca i bez granic."

Daléj, Kartezyusz przez swą definicyą treści duszy i treści ciała, osłabił pojęcie substancyj stworzonych. Uważając trwałość nieprzerwaną stworzeń za skutek wciąż ponawianego wysiłku Stwórcy,

---

([1]) *Foucher de Careil:* Réfutation inédite de Spinoza par Leibniz, str. 49.
([2]) Zob. Ueber den Einfluss des Cartesius auf die Ausbildung des Spinosismus. — H. Ritter.

czyli za stwarzanie ciągłe, jeszcze więcej zachwiewa substancyalność stworzeń razem z ich przyczynowością. Mieszając zaś wolę, sąd i pożądanie, zdaje się wolę sprowadzać do zjawiska czysto biernego, i bardzo jest blizkim zniweczenia wolności. Nie odrzucając, nareszcie, bezwarunkowo przyczyn celowych, Kartezyusz przypuszczał w Bogu nieokreślenie woli, wolność boską upodobniając do siły ślepéj, tak, iż wola Boga musi kolejno pozwalać na urzeczywistnianie się wszystkich zjawisk możliwych.

W tém wszystkiém niepodobna nie dostrzedz zarodów substancyi, bezwładności boskiéj i fatalizmu Spinozy. Słusznie też, oceniając ten wpływ i to powinowactwo, powiada Leibniz (1): „Jeżeli to wszystko, co twierdzi Kartezyusz, jest prawdą, jeżeli wszystko możliwe ma się stać, jeżeli niéma żadnéj fikcyi jakkolwiek niegodnéj i niedorzecznéj, którąby nie stała się w jakimbądź czasie lub miejscu świata, to niéma ani wyboru ani Opatrzności; to, co się nie staje, jest niepodobném, a to, co się staje — koniecznem: właśnie jak to Hobbes i Spinoza jaśniéj jeszcze wyrażają."

Leibniz znał osobiście Spinozę i cenił go wysoko, jako optyka, ile widać z jego listów; on to jednak pierwszy w szeregu myślicieli wydał hasło potępienia przeciw jego filozofii: i zaraz też po wyjściu „Etyki" zagrzmiało na całéj linii: — „Attakujmy go w jego twierdzy i jego własną bronią" — pisał Mairan do Malebranche'a (r. 1713). I attakowano go gwałtownie, tak, że w krzyżowym ogniu obelżywych pocisków nie wytrzymał Spinoza i uległ — ale tylko czasowo. Koniec wieku ośmnastego jest właściwie początkiem jego sławy; a jednakowy, zdaje się, powód jak dawniejszéj poniewierki, tak i późniejszego entuzyazmu. Powodém tym jest, nasamprzód: wynaleziona przez Spinozę (wprawdzie ułudnie), za natchnieniem dawnych panteistów, jedność universum, niezmiernie dla filozoficznych umysłów ponętna i zawsze poszukiwana, a następnie: duch *niepodległości*, wiejący z całego systematu. Co większości religijnéj w wieku siedmnastym wydało się zatrważającém i potworném, to, po wstrząśnieniu umysłów, sprawioném przez doktryny Woltera i Russa, musiało się podobać. W Niemczech zwłaszcza, od chwili gdy reformator literacki Lessing wyrzekł, że niéma filozofii nad filozofią Spinozy, ów sponiewierany przez Malebranche'a *nędzny żyd portugalski* stał się modnym i popularnym; w Niemczech też jego panteizm założył sobie główną kwaterę, któréj ostatnim reprezentantem był do dziś dnia niezapomniany Hegel. Goethe, poeta i naturalista, ze Spinozy czerpie uroczy swój panteizm, a w całéj myśli „Powinowactwa z wyboru" oraz w drugiéj części „Fausta", jawny składa hołd jego systematowi. Novalis, a późniéj Schleiermacher i Schelling, wysoko podnoszą jego znaczenie filozoficzne. Byron w ostatniéj strofie pielgrzymstwa Ha-

(1) List do księdza Nicaise, u *Erdmana*, str. 139.

rolda, opisuje Boga swego bohatera zupełnie według pojęć Spinozy: „tajemnicze *Pan*, zagadka nierozwiązana, istota bez przymiotów, siła bez opatrzności, działająca ślepo”. We Francyi, — Wiktor Hugo, Sand, Daniel Stern, gazową szatą poezyi, koronkami strof natchnionych, okrywają szorstko wyrażone poglądy Spinozy w „Etyce”. Współczesność nasza, duchem pozytywnym owionięta, miota obelgi na luminarzy wiekowych, na Sokratesa i Platona, na Ś-go Augustyna i na Hegla; całą wreszcie przeszłość filozoficzną, oprócz greckiéj szkoły atomistów, ma sobie za ba i bardzo; a jeżeli raczy skłaniać się ku jakiéj tradycyi, to jeszcze ze Spinozą godzi się jakkolwiek. Z wiedzą czy bez wiedzy, wyraźnie czy domyślnie, młodzi i gorący literaci, powtarzają maksymy Spinozy, które stają się duszą teoryj najwziętszych i najhałaśliwszych.

I trudno temu się dziwić. Bez względu na to: czy Spinoza podłożył silne fundamenta pod swój systemat, czy nie, niemniéj imponuje on potęgą umysłu, plądrującego swobodnie po zadaniach najzawilszych, a w szczegółach okazuje się niejednokrotnie tak prostym, naiwnym i prawdziwym tłomaczem potrzeb ludzkości, tak zacnym ich orędownikiem, że, jak światłem elektrycznem, oświeca rozum i zniewala serce. Wtedy nie pamiętamy mu jego ekscentryczności i niekonsekwencyi, nie zwracamy uwagi ani na kształt całości, ani na jéj podstawę, patrzymy w jeden ustęp, jakby z serca ludzkości wyjęty, podziwiamy go, niby cenne wykopalisko, i uwielbiamy w nim nieprzedawnialność świętych a tylokrotnie ukrzywdzonych praw człowieka.

O ile wreszcie obudza szacunek i sympatyą zgodność życia z zasadami, o tyle więcéj zyskują mocy zasady. Spinoza był w życiu takim, jakim chciał mieć człowieka: mądry, czysty i wolny; doszedł do tego własnemi siłami i chęcią, odłączywszy się od wszelkich powag, prócz własnego forum. Pod tym względem, to drugi Stuart Mill. Chciał więc i innych ukształcić na wzór i podobieństwo swoje, według konterfektu człowieka wolnego, który podaje w „Etyce”. Znając tę naturę prawą, która, bez interesu osobistego i bez ogródek, nie dla olśnienia innych, nie dla zyskania wziętości, ale dla korzyści bliźnich, ślęczy i wygłasza przekonania swoje, można z sercem wzruszoném i z wiarą słuchać tych przekonań. A słuchać, co mówi człowiek genialny, nigdy nie jest bez korzyści: z otarcia się o geniusz zawsze coś dobrego na człowieku myślącym pozostanie.

To wszystko jednak, co znajdujemy sympatycznego w życiu i dziełach Spinozy, zaślepiać nas nie powinno na jego usterki; kto chce być panem siebie, musi przestrzegać różnicy między uwielbieniem a bałwochwalstwem. Słyszeliśmy i czytali tyle o tegorocznym jubilacie opinij trącących tém ostatniém, żeśmy uznali za rzecz pożyteczną, przez rozbiór treściwy, a nadewszystko przez pośrednictwo samychże tekstów, postawić rzecz na właściwém miejscu. Nie krępując opinij niczyich, ani narzucając swojéj, jednę rzecz wszelako sobie zastrzegamy. Żadna teorya apodyktyczna dla nas nie istnieje:

najpiękniejsza nawet będzie tylko słowem, jeśli nie ma podstawy niewzruszonéj, na któréj-by się opierała. Teorya moralności Spinozy ma w sobie rzeczy, jak widzieliśmy, piękne, i pod tym względem bierzemy w rachunek zapały poetów lub filozofów, jakie obudziła. Ale teorya ta ma za podstawę takiego Boga, który znów, według nas, jest hallucynacyą albo marą: Bog rozciągły a niecielesny, myślący a nierozumny, wolny a bez woli, nie rzecz i nie osoba, nieskończony a skończony, najpożądańszy i najnieznajomszy. Bóg bez rozumu, człowiek bez sumienia, nie może służyć za podstawę do niczego, ze strony metafizycznéj, więc i za podstawę do moralności. Z drugiéj téż strony, Spinoza, odsunąwszy doświadczenie wszelkie i fakta, nie z nich, ale z myśli czystéj usiłuje wysnuwać swe wnioski, i na tych ustawia piętra swego systematu, któremu więc z każdéj strony zbrakło pierwszéj podstawy. Moralność zatém Spinozy, jako bezpodstawowa, pod względem teoretycznym nie ma dla nas wartości żadnéj; stanowi tylko zbiór przepisów dowolnych, które praktyka w każdém miejscu i w każdym czasie dowolnie zmienić może, jako coś wcale niezobowiązującego, i zależnego tylko od tych względów, które kierować będą umysłem w uznaniu korzyści lub niekorzyści, i przejdą czasowo w obyczaj, zmieniający się razem z towarzyszącemi mu okolicznościami. Filozofia bez podstawy jest to „Philosophia paupertina". W oczach naszych ta tylko filozofia jest lub może być prawdziwą, która, jako ścisły łańcuch syllogistyczny, w potężny gmach rozrosły, powstanie na niezbitéj prawdzie, niby na gruncie niewzruszonym, i z niego tylko czerpać będzie trwałość. Taką prawdę niezbitą znamy tylko jednę, a tą jest świadomość bezpośrednia swojego *ja*. Mogą pewniki dzisiejsze naukowe uledz modyfikacyom lub i całkowitym przeobrażéniom, mogą przyjść nowe hypotezy, zmieniające pojęcie o świecie, może matematyka zachwiać się w swych obliczeniach, prędzéj, niż zmieni się lub zginie świadomość bytu własnego i pojęcie swéj istoty: inaczéj, chybaby nic trwałego i absolutnego nie było na świecie, i człowiek byłby tylko igraszką jakichś złośliwych złudzeń, a w takim razie wszelka praca myśli na nic się nie przyda. Jakoż, gdyby nie to mocne i niewzruszone przekonanie, że ja, poznający coś zewnątrz umysłu własnego, znam przynajmniéj i przedewszystkiém samego siebie, oraz, że mam świadomość czynności własnéj, jakimże sposobem miałbym ufność do téj czynności wyników, przedmiot z przedmiotem łączących? Byłby-to absurd. Jeżeli zaś można przykładać pewną ufność do téj czynności, należy tylko dać jéj warunki regularne i dostatecznie wypróbowane; będzie to tedy metoda psychologiczna: jedyna podstawa wszelkiéj filozofii możliwéj.

HISTORYA
rzemiosł, rzemieślników i rzemieślniczych wyrobów
w Polsce,
od czasów najdawniejszych aż do końca XVIII wieku.

PRZEZ

W. Al. Maciejowskiego.

To, co Grecy nazywali sztucznem opracowaniem jakowego dzieła, (Τέχνη) ([1]) zajmowało u ludów, wojaczką się głównie trudniących, podrzędne stanowisko, a u rolniczych i kupieckich miało znaczenie pierwszorzędne. Wejść na to stanowisko wolno u nich było wszystkim zgoła kraju obywatelom, lecz rzadko który imał się go. Opracowywaniem więc rzemiosł zajmowali się u nich wyłącznie, tak z postępem czasu zwani, *rzemieślnicy.*

Toż samo było u Rzymian; ale u nich sami tylko niewolnicy, a dopiero za czasów cesarstwa, trudnili się rzemieślnictwem i swobodnego stanu ludzie ([2]).

W Niemczech rzemieślnikami byli poddani, tudzież, w poddaństwo dobrowolnie oddający się, swobodnego stanu ludzie, którzy, porzuciwszy własną rolę, chronili się do burgu lub miasta. Tu, zajmując się rzemiosłami, uzacniali je przez to, a sami znajdowali poszanowanie u rządu miejskiego, ilekroć, oprócz własnych zatrudnień, ćwiczyć się nie zaniedbywali w wojskowości, zaciągając się do milicyi miej-

---

([1]) Herodot; II. 167.

([2]) Czytamy w Dygestach rzymskich (Fr. 5, L. 12, De jure immunit. 50, 6): „Quibusdam collegiis vel corporibus, (quibus jus coeundi lege permissum est) immunitas tribuitur: ut fabrorum corpus est“ i t. d.

skiéj. Szanowanym powierzał magistrat czuwanie nad sprawiedliwością miar i wag ([1]), i dozwalał organizować się w osobną gminę *(universitas)*. Tak powstał i rozwinął się w Niemczech stan rzemieślniczy. W Polsce rozwinął się inaczéj.

Stowarzyszać się dla wspólnéj pracy około zatrudnień rolnych, było we zwyczaju u Słowian już za pogańskich czasów ([2]), i zwyczaj ten przeciągnął się u nich we wieki chrześciaństwa. Jeszcze w r. 1468 pewna liczba (26) rolników, w jedném z miasteczek do dóbr arcybiskupstwa Magdeburskiego należących, zawiązała towarzystwo takowe, którego statut dotąd się przechował ([3]). Ze zwyczaju w statucie tym wyrażonego: skazywania członków, przeciwko statutowi wykraczających, na pewną wagę wosku, — widać dowodnie, że po upowszechnieniu się chrześciaństwa u nadłabiańskich Polan, stowarzyszeni rolnicy wzięli na siebie obowiązek tworzyć bractwo kościelne *(fraternitas)*. Niebawem bractwa takie, na polityczne, rękodzielnicze i fabryczne stowarzyszenia podzieliwszy się, nową postać przemysłowi, nad Wartą i Wisłą rozwijającemu się, nadały.

Cechy niemieckie zastawszy bractwa w Polsce, nie tylko ich z pośród siebie nie wykluczyły, te mianowicie, które się po stolicach Piastowskiéj Polski, we Wrocławiu, Poznaniu, Krakowie, Lwowie rozgościły, lecz i owszem ściśle się połączyły z niemi. Ponieważ cech nosił na sobie, że się tak wyrażę, charakter publiczny, a bractwo było stowarzyszeniem się prywatném, rzemieślnicy przeto, zawiązawszy jakowe stowarzyszenie *(communitas)*, rządzili się w niém, jak im było dogodnie, — nikomu nie odpowiedzialni za to, co czynią, jeżeli przeciwko prawu nie wykraczali, lub jeżeli sprawiali się niby-to spokojnie, choć w niezgodzie, a nawet, jak to poznańscy krajczowie *(pannicidae)*, różni od pospolitych krawców *(sartores)*, sami o sobie zeznali, w otwartéj z sobą zostawali wojnie ([4]). Dopiero gdy siebie i sprawy swe zdali na tego, co w mieście posiadał władzę prawnie, wtedy bractwo każde z prywatnego stowarzyszenia publiczném się, że tak powiem, stawało.

Z cechów z bractwami stowarzyszonych zajmowały pierwsze miejsce przysposabiający odzież, jakiéj ostrość klimatu wymagała koniecznie. Stanowili je rzemieślnicy ci, którzy się już u Słowian nadłabiańskich szyciem kosmatego towaru, tudzież skóry, na rzemień wyprawnéj, trudniąc, od rzemienia ([5]) *rzemieślnikami* nazywali

---

([1]) Eichhorn: „Deutsche Staats- und Rechtsgesch." § 243, 310, w przyp. b.

([2]) Dopełnienia do „Historyi Prawod. Słow." artykuł pierwszy, str. 9.

([3]) Patrz o nim artykuł podany do pisma zbiorowego „Neue Mittheilungen aus dem Gebiet historisch-antiquarischer Forschung; im Namen des Thüringisch-Sächsischen Vereins". Halle 1874, XIII, 4, str. 647—62.

([4]) *Dissensus et guera*, czytamy w „Kodeksie Wielk." przez Edw. Raczyńskiego wydanym. Patrz dyplomat pod Nr. 91, z roku 1344.

([5]) Miklosicza „Lexicon", pod wyrazem: *remen—remestv'nik*.

w ogóle, a nosili w szczególe nazwiska różne. Najwyżej ceniono kuśnierzy. Obok nich stawiano szewców (1). W środkowym szeregu obu rzemiosł stali garbarze *(cedrones)*, skóry różnego gatunku na kolor czarny, biały, różnokolorowy, wyprawiający. Wszyscy ci rzemieślnicy stanowili czoło rzemieślnictwa polskiego.

Z bractw w cech jeszcze nie stowarzyszonych wystąpili najdawniej sukiennicy *(textores)*, obok których stanęli krajczowie *(pannicidae)* czyli krawcy (2) hurtownicy. Wcześniej od obu, bo już przed rokiem 1105, jak się z dyplomatu tynieckiego pokazuje, zasłynęli kowale *(fabri)*, którzy z postępem czasu na różne gałęzie kruszcowym wyrobem zajmujących się rzemieślników rozgałęzili się. Do ich pocztu liczyli się ślusarze, kłódki i klucze opracowujący (3), dalej szpadnicy *(gladiatores, gladiferi)*, nożownicy *(cultrifices)*, łucznicy *(sagillatores)* (4), nakoniec bednarze *(fabri doleatores)*, kołodzieje *(currifices)* wozy i koła (ztąd też zwani *rotifices)* przygotowujący. Wystąpili nakoniec siodlarze *(sellatores)*, paszniki *(cingularistae* alias *pasznyki)*, kołaśnicy *(carpentarii)*. Wszyscy wchodzili w kowali liczbę, dlatego, że mieli z kruszcem do czynienia, beczki obijając obręczami żelaznemi, wozy i koła takimże kruszcem opasując, żelaza do siodeł i pasów rzemiennych używając.

Chociaż dopiero pod rokiem 1422 pojawia się pierwsza o sztuce piwowarskiej wzmianka (5), była ona atoli jedną z najdawniejszych, jak i sam trunek. Za czasów Piastowskich urząd skarbowy, wywarzając piwo w browarach monarszych, rozsyłał ten trunek wraz z wypiekanym w skarbowych piecach chlebem po kraju dla sprzedaży (6). Towarzyszami piwowarów w tej rozprzedaży byli ci rzemieślnicy, którzy, przysposabiając mięsne potrawy, występują już w dyplomacie tynieckim Chrobrego pod nazwą „kucharze" *(coci)* obok piekarzy *(pistores)* i łagiewników *(lagenarii)*, naczynia, jak dziś mówimy, do butelkowania trunków przysposabiających. Z czasem znikli kucharze i łagiewnicy, zostawszy pierwsi policzonymi do rzeźników, a drudzy do bednarzy, w cechy ogólne urządzanych (7).

Z wszystkiemi cechami temi styczność miewali blizką korzennicy

(1) R. 1189 w „*Meklenburgisches Urkundenbuch.*" Schwerin 1863; w kilku tomach. Patrz w I t. nr. 148, gdzie czytamy: *pellifices, sutores.*

(2) R. 1344. Kod. Wielk. nr. 91.

(3) Zwani dla tego *serifices, clavistae* (Du-Cange nie zna wyrazu tego), od *clavis.*

(4) R. 1462, nr. 20, w Kodeksie Mazowieckim w Warsz. 1863 wydanym, tudzież r. 1471, nr. 99, w Akt. Bern. w tom. VI, (pod tem skróceniem przywodzę *Akta grodzkie i ziemskie* i t. d. we Lwowie w kilku tomach; wyszło ich dotąd sześć.)

(5) *Ars braxatoria* w Kniżk. Oddział III, nr. 13, (przez skrócenie to rozumiem: *Pamiatnaja knižka*, w Kaliszu od r. 1871, po rosyjsku wydawana).

(6) Histor. Prawod. II, § 223.

(7) R. 1382, nr. 35, w Akt. Bern. III, *banci laniorum*, R. 1462, nr. 211, Kod. Maz. *fraternitas fabrilis.*

(institores), solarze *(salsatores)*, pasznicy *(cingularistae* od *cingulus)*, powroźnicy *(funifices)*, postrzygacze *(rasores panni)*, złotnicy *(aurifici, aurifabri)*, i o nich pełno jest w dyplomatach: ale rzadkie są wzmianki o zegarmistrzach *(horologistae)*, iluministach *(illuminatores)*, malarzach *(pictores)*, dzwonolejach *(campanatores)*. Dyplomataryusz uniwersytetu Krakowskiego mówi o nich w tomie drugim (nr. 1, 198, 202—3), inne źródła rzadko wspominają ich, w czém nic dziwnego, gdyż wiadomo, że stosunki ekonomiczne mieszczan dotykały głównie rzemiosł powszechnych, a mało tych, których użycie w ciasném się codziennych potrzeb obracało kole. Na samym końcu stanął lutnista *(citarizator)* (¹).

Mimochodem wspomnę i o tém, że się dotąd zabytki wyrobów cechowych, a mianowicie cechu malarskiego dochowały. Sam Kraków ma posiadać pochodzących z XV-go wieku obrazów przeszło siedmdziesiąt. Najstarszy ze znanych pochodzi z roku 1409, a przechowuje się w kościele parafialnym w Przeworsku w Galicyi. Ten, od którego wiadomość o tém powzięliśmy, twierdzi, że w drugiéj połowie XVI wieku zlała się szkoła cechowa krakowskich mistrzów z pojęciami ogólno-europejskiemi, będąc do owego czasu miejscową, i że w XVIII w. zeszła powoli do znaczenia podrzędnego malarzy pokojowych (²).

Istnieją statuta cechów, równie niemieckich, po niemiecku i po łacinie, jak i polskich, po łacinie tylko w Polsce pisane. Pierwsze wyliczę naprzód, z tém nadmienieniem, że choć statuta te, a mianowicie: rzeźników, r. 1403, szewców r. 1459, 1486, piekarzy, r. 1459, kuśnierzy, roku 1470, pojawiły się późno, nie idzie jednakże za tém, ażeby same te rzemiosła nie miały się w cechy urządzić dawniéj. Z umieszczonych pod owemi latami w tomie trzecim i szóstym Aktów Bernardyńskich (grodzkich i ziemskich) widać, że układającym je nie szło o rzemiosło i wpływ jego na pomyślność kraju, lecz o korzyści materyalne, które się ztąd ciągnąć dały.

Przywiodę w treści statuta cechów owych. Zacznę od tego cechu, który, w Polsce naśladownictwa nie znalazłszy, na zniemczonym tylko Szlązku miał swoje powodzenie.

Składał się z braci i sióstr. Cięższe prace rzemiosła sami bracia, lżejsze, jak tkactwo wełniane i płócienne, — wspólnie z siostrami, a jeszcze lżejsze, jak przędzenie lnu i jedwabiu, same siostry wykonywały wyłącznie. Do swych cechów one przyjmując młodzież płci żeńskiéj, z nich, po wyuczeniu się rzemiosła, wyzwalały ją (³).

Przystępując do cechów wyłącznie męzkich, zauważę przede-

(¹) Rzymski wyraz *cithara*. Du-Cange wyrazu tego nie zna.
(²) Patrz artykuł Wł. Łuszczkiewicza w I tomie Rozpraw i Sprawozdań z posiedzeń wydziału filologicznego akademii umiejętności w Krakowie.
(³) Stahl: „Das deutsche Handwerk.“ Giessen 1874, (tom pierwszy; wyjście następnych przerwała śmierć autora) str. 74—93.

wszystkiem, że cokolwiek za wspólną zgodą uchwaliła starszyzna cechowa, to dawała do wykonania magistratowi, a magistrat, gdy sam podołać nie mógł poruczonej sobie sprawie, żądał pomocy od miejscowego Starosty.

Co dziś jeszcze ma miejsce u Niemców, to widać było u nich we zwyczaju od wieków. Zwykli schadzać się tuż przed południem w domach szynkownych na tak zwane pogadanki poranne, *Morgensprache*. W Polsce pod karą schodzili się dla naradzenia się w sprawach cechowych, a kto na taką pogadankę nie przybył, lub wyplótł, o czém na niéj radzono, podpadał karze. Kara ta zasadzała się na tém, że winowajca musiał uraczyć starszyznę cechową pewną miarą, zwykle achtlem, piwa, i dać na światło do kościoła pewną wagę wosku. Działo się toż samo, ilekroć się nie tylko na pogadance porannéj, lecz i na tak zwanéj pijatyce braterskiéj (*bruderbyr*, za *Bruderbier)*, znalazł nieprzyzwoicie, przychodząc uzbrojony nożem, strojąc burdy, lub po za cechem szerząc złe obyczaje. Szerzył je mianowicie ten, co zostawszy majstrem i nabywszy jatkę cechową, żył przez rok cały w bezżennym stanie. Takiego wypchnąć winni byli z grona swego cechowi, a jeżeli go między sobą cierpieli, miał co rok uraczać ich achtlem piwa, dopóki się nie ożenił.

Ubliżał cechowi i nie dbał o jego dobro, kto partolił w swojém rzemiośle. Partaczem był rzeźnik, którego nie stać było na kupno barana, cielęcia i t. p. Mógł się on złożyć z drugim rzeźnikiem na kupno wołu i t. p.; ale na trzodę i t. p. posiadać winien był pieniądze własne.

Najobojętniejszym na dobro cechu był zaś ten, kto się z rzemieślnikami nie-cechowymi czyli wiejskimi zadawał, lub nie przeszkadzał im w sprzedawaniu towaru swego w mieście; jako to: rzeźnicy — mięsa świeżego (solone sprzedawać każdemu było wolno), szewcy — obuwia, piekarze — chleba. Cóż dopiéro mówić o tych rzemieślnikach, którzy wiejskim ułatwiali sprzedaż towaru, biorąc od szewców osiadłych na wsi ich towar i sprzedając go w mieście razem ze swoim; dopuszczając piekarzy do nabywania jatki w mieście i sprzedawania w niéj chleba!

Zgoła, cechu niemieckiego rzemieślnicy powinni byli nie mieć żadnych stosunków z wiejskimi, a osobliwie też nie dopuszczać do siebie nie-cechowych i nie uważać ich za braci.

Przypatrzmy się cechom polskim.

Z ich statutów najdawniejszy, z r. 1462 pochodzący, należy się cechowi kowalskiemu, w Pułtusku założonemu. Takiż cech, założony w Przemyślu, uzyskał statut r. 1471. W témże mieście roku następnego, napisano statut dla rymarzy (uzdziarzy) i siodlarzy, a w lat ośm (r. 1480) nastał tamże statut szewcki (1). I oto cała statutowość polskich rzemieślników z okresu do XV wieku.

(1) R. 1462, nr. 211, Kod. Maz. R. 1471, nr. 99, 101. R. 1480, nr. 130, w Akt. Bern. VI.

W biskupiém mieście Pułtusku, zebrawszy się, pod przewodnictwem złotnika i kowala, różni, wyżéj w klasyfikacyi rzemiosł wymienieni, rzemieślnicy, z drzewem, żelazem, złotem obchodzić się nawykli, oświadczyli właścicielowi miasta, w którém zamieszkali: że mając zamiar wszyscy razem jedno stanowić bractwo, składają pewną summę pieniędzy, i corocznie składać będą takową na ten cel, ażeby co kwartał w roku odśpiewywano wigilie za umarłych braci cechowych, i toż samo czyniono, gdy z nich którego pochować przyjdzie; tudzież, ażeby z tych pieniędzy zaopatrywano kościół w światło i potrzeby ołtarzowi przynależne (1). Uchwaliwszy dalej: że wspólną kassę mieć zamyślają, i że w okolicy zamieszkałych, a tych, co oni sami, bractw będących, rzemieślników chcą przyjmować do swego grona, — z tém jedynie zastrzeżeniem, że im na targach nie będzie wolno sprzedawać swych wyrobów, lecz na jarmarkach tylko, prosili biskupa jako właściciela miasta, ażeby im statut bracki zatwierdzić raczył. Uczynił to biskup pod warunkiem: że podkowy, jako wyrób dla kraju nader potrzebny, będą według dawnego zwyczaju po cztery trojaki *(ternarii)* sprzedawać, zaskarżonych spółbraci o złą robotę karać, pieniędzy zaś na spólne potrzeby zebranych nie będą dawać na lichwę, ani też obracać ich na pijatykę nie zechcą.

Mniéj cennym okazuje się statut kowali przemyskich, przez rzemieślników, z żelazem tylko obchodzących się, ułożony. Tchnie i on również duchem religijnym, ale niemczyzna, którą się przejął, charakteryzuje go; z cechami niemieckiemi bowiem zaczynali się już bratać rzemieślnicy polscy. Przemyscy kowale postanowili za znak cechowy używać krzyża św. i nim obsyłali się; potrzeby kościelne opatrywać i pogrzeby sprawować mieli bracia — a młodszy winien starszemu grób na cmentarzu kopać. Ze stosunków świeckich jest do zauważenia: że, jak u Niemców, tak i w Polsce, młodzi winni byli na ucztach i zebraniach usługiwać starszym, a przy zakupie materyału (węgla i żelaza) mieli postępować uczciwie. Przybysze, czyli ci, którzy w obcym cechu wyterminowawszy, nie wkupili się do miejscowego, nie mieli prawa przyjmować obstalunku; pracować im wolno było dla siebie tylko (na jarmark), wyjąwszy „stofowanie" czyli naprawę broni albo noży, to bowiem dozwolone im było.

Do cechu rymarskiego i siodlarskiego należeli torbiarze *(perifices)* dziś tasznikami z niemiecka zwani *(die Tasche)*. Znakomity to był cech, i zawołanych w swéj sztuce rzemieślników mieścił, którzy z miast celniejszych polskich na Ruś Czerwoną, z Poznania, Sandomirza, z Płocka, przybywszy do Przemyśla, założyli w nim cech na wzór krakowskiego, lwowskiego i innych miast słynnych z rzemiosł,

(1) Toż samo już poprzednio uchwalono w Koninie w Wielko-Polsce r. 1441: „Vitrici Ecclesiae parochialis *vinum pro sacrificio* comparant." Kniżk. Oddział III. nr. 13.

który-to cech tém od innych odznaczał się szczególniéj, że więcéj o sztukę niż o ucztowanie stojąc, winowajców nie na achtle piwa, ale na wosk skazywał; wglądał w istotę rzemiosła, przestrzegając, by robota cechowa nie była fuszerką, ażeby nawet na jarmarkach takiéj nie sprzedawano, bo ubliżałoby to wyrobom przemyskiego cechu! Podniósł nakoniec sprawę cechowego terminatora, czeladnika i majstra, stosunek wszystkich trzech osób do cechu, tudzież do urzędu miejskiego i do siebie wzajemnie określiwszy lepiéj, niż było dotąd.

O terminatorze sam tylko statut szewców niemieckich, z r. 1459 pochodzący, wspomniał, oznaczając miarę piwa i wagę wosku, tudzież pewną liczbę groszy, którą winien był rzucić do cechowéj puszki: gdy na parobka rzemieślniczego *(Lehrknecht* wyraża się statut) cechowi przedstawiony był, gdy na karę zasłużył, nakoniec, gdy za czeladnika *(Knecht)* ogłoszony został, termin skończywszy.

Według niemieckiego, ale z r. 1486 pochodzącego statutu, winien czeladnik po wyjściu z terminu odbyć wędrówkę, z któréj wróciwszy, jeżeli nie tam, gdzie terminował, osiedlić się zapragnął, musiał świadectwem udowodnić, że wędrował, a dziełem wskazaném sobie do wypracowania *(Meisterstück)* dowieść, że zna rzemiosło.

Ze względu na terminatora, którego chłopcem *(puer)* nazywa, stanowi statut przemyski: że majster nie powinien na raz więcéj nad dwóch terminatorów brać na naukę, i że dopiéro, gdy tych wyuczy, wolno mu brać innych. Przyjąwszy chłopca, winien był przedstawić go cechowi, który mógł co do przedstawionego postanowić „przeczywnye". Miało to, jak ja rzecz pojmuję, znaczyć, że jeżeli rodzice lub opiekunowie chłopca mogli łbżyć na to, wolno było cechowi nie tam osadzać terminatora, gdzie go osadzono, lecz przeciwnie, u innego majstra ([1]).

Statut ze względu na czeladnika, którego towarzyszem sztuki zowie, stanowi: że, zgodziwszy się do roboty u majstra, nie może odejść przed czasem, a jeżeli to uczyni, żaden inny majster przyjąć go nie powinien. Stanowi daléj: że „fortel" ([2]) daje majster czeladnikowi w stosunku do pracy; gdy zaś czeladnik odejdzie samowolnie, wtedy majster nic mu płacić nie ma.

W majstra usiłował tenże statut tchnąć energią w stosunkach, mogących zajść z powodu niesnasek między nim a czeladnikiem, lub tak zwanym kundmanem (zamawiającym robotę), o niedokładność wyrobu. Niesnaski takie cech załatwiał, a nie kto inny. Odwołać się wszelako od cechu do urzędu miejskiego wolno było, ale ten nie miał prawa wydać wyroku, aż po zebraniu walnéj rady wszystkich majstrów, z którymi wraz wyrokować był winien. Toż samo rozu-

---

([1]) Du-Cange; p. w. *corregium.*
([2]) *Der Vortheil,* korzyść, zapłata.

mieć się miało, jeżeli majster zażalenie na cech zaniósł. Zebrana rada walna, jeżeli uznała, że nie ma za sobą słuszności skarżący, miała prawo nakazać uwięzić go ([1]). Dla zachowania przyzwoitości, z koleżeństwa wynikającéj, nie każe statut majstrowi przyjmować naprawy wyrobu, przez innego majstra zdziałanego, lecz poleca odesłać naprawę do tego, który go robił.

Spodziewać się należało, że cechowość, tak polska jak i niemiecka, wszedłszy raz na dobrą drogę, trzymać się jéj i daléj nią postępować będzie; lecz zaszły nowe trudności, które, zepchnąwszy rzemieślnictwa w Polsce pracujące na bezdroże, naraziły je na nowe szwanki. Dawno zanosiło się na to, co, niestety, zaszło; szczęściem, że nie doszło do celu, i cechowość znowu na właściwą została naprowadzona przez bractwa drogę. Powiedzmy, jak się to stało.

Na silnéj podstawie, na mieszczaństwie i własnéj narodowości *(Bürgerthum und Deutschthum)* stanęły cechy niemieckie, wykluczywszy zupełnie z grona swego szlachtę. Skoro atoli ze swoją miastowością dostały się do Polski, dostrzegłszy wnet, że w kraju, w którym rzemieślnik, jako kupiec zrównany z rycerzem, ma równie na wsi jak w mieście otwarte pole do przemysłu rękodzielniczego, poszły inszą niż u siebie (w Niemczech) drogą. Pragnąc, ażeby się równie jak w Niemczech cechy spotęgowały ([2]), przywłaszczyły sobie prawo czuwania nad sprawiedliwością miar i wag, naznaczały nizką cenę na przywożone na targ produkta, a dla kupujących wyroby ich kładły cenę wysoką. Dla dopięcia tego celu, odstąpiły od ponowionéj jeszcze roku 1337 w Niemczech zasady: „że tylko w mieście cech rzemieślniczy rozwijać się może korzystnie" ([3]), „że Słowian od przyjmowania do rzemiosł wykluczać potrzeba", co już w roku 1309 ułożyli sobie Krzyżacy, stanowiąc: „że nie należy dopuszczać Słowian ani do kupiectwa, ani do rzemiosł, ani do utrzymywania domów zajezdnych, lecz ograniczyć ich potrzeba na samém tylko rolnictwie i chowie bydła" ([4]). Od tego wszystkiego odstąpiwszy zupełnie, cechy niemieckie w Polsce osiadłe, przyjęły inne, dla siebie dogodne, dla ziemian zgubne. Pokumały się z bractwami, ażeby, zasięgając od nich wiedzy o cenie krajowych produktów i fabrykatów, mogły łatwo wyzyskiwać ziemian. Podejrzewając je i posądzając o takie zamiary, najwyższy rząd krajowy, i domyśliwając się, że w dopięciu zamiarów tych mają rzemieślnicy za przewodników bractwa, — przedsięwziął, jak się statut warteński wyraził, przeciąć rzemiosłom (cechom) drogę do bractw. Postanowił przeto karę pieniężną najwyższą na rzemieślników, między którymi znajdo-

([1]) „Imponere in stubellam quae dicitur *srzimka*", mówi statut. Wyraz tu podkreślony nie jest mi znanym.
([2]) Mittermaier: „Grundsätze d. gem. deutsch. Privatrechts". 1837. Ob. § 502.
([3]) Tamże, § 136.
([4]) Stahl; str. 102.

wanoby rzeczone bractwa (1). Markotne o to cechy chciały zejść z drogi, na którą weszły szczęśliwie, i wznawiając co niedawno potępiły same, siały niezgody między sobą, odstrychając się od tych cechów, które się bractw zrzekały, i t. p. Postanowił cech kuśnierski lwowski, że Rusin nie ma być nigdy na cechmistrza wybieranym (2). Wyszło postanowienie od cechu kowalskiego w Przemyślu, że terminatorem na rzemiosło nie ma być młodzian ruskiego pochodzenia (3). Szewców ruskich, którzy dawno równość praw z polskimi szewcami mieli sobie zapewnioną, namawiano, ażeby się od nich odstrychnąwszy, osobne miewali targowiska i t. d. (4).

Rzecz ciekawa, że wszystkie te niedorzeczności, przedstawiane sobie od cechów, potwierdzały magistraty miejskie, a najwyższy rząd krajowy, ubezwładniając postanowienia te, i niby nie wiedząc, co się dzieje, ogłaszał, że wójtowie, burmistrzowie i rajcy, mają wszystkim kraju mieszkańcom wymierzać sprawiedliwość zarówno (5). Tenże targowiska osobne (6) podkopując, ustanowił: że kto nie ma prawa, lub nie chce w kramach sprzedawać swojego towaru, może wystawiać go na sprzedaż na wolnicy; że postanowienie sejmu warteńskiego, co do przecięcia drogi bractwom do cechów, wykonane być powinno w całej rozciągłości, i że bractwa raz na zawsze wykluczone z cechów być mają (7), czego jeżeliby wojewoda nie dopilnował, ma za karę dostawić królowi wierzchowca okulbaczonego (8), ilekroć się nieposłusznym okaże. Tak więc bractwa od cechów raz na zawsze odłączone zostały, a cechy same istniały po dawnemu (9).

Panujący, wielkie mając dochody z drobnego handlu i z cechów, pozwalał, przed rokiem 1496 i po téj jeszcze dacie, magistratom stanowić tyle budek, straganów i t. p. ile ich uznają za potrzebne, i zostawić cechom wolność urządzania się według dawnego zwyczaju (10). Z jatek szewckich w Krakowie mając rocznego dochodu grzywien szesnaście,

---

(1) Dosłownie z § 31 statutu warteńskiego w łacińskiéj mowie zredagowanego, a na polską przez bezimiennego tłómacza przełożonego. Czytamy tamże: „a paknięli (jeżeliby) w którychkole mieściech naszych *między rzemieślniki naleziono i wyszukano bractwo....*“

(2) R. 1470, Akt. Bern. VI, nr. 97.

(3) R. 1471, nr. 99, tamże.

(4) R. 1386, 1460, 1480, nr. 1, 41, 130, tamże.

(5) R. 1476, nr. 234, Kod. Maz.

(6) R. 1484, Cod. II, nr. 624, (przez skrócenie to rozumiem Kodeks dyplomatyczny Polski, w Warszawie w trzech tomach przez Rzyszczewskiego, Muczkowskiego i Bartoszewicza wydany).

(7) R. 1496. Bandtke: Jus polonicum; „*fraternitates destruantur*“.

(8) *Equum ambulatorem* (Du-Cange p. w. *ambulator*) tamże.

(9) Mylnie wyrażono to w J. W. Bandtkiego Prawie Prywatném Polskiém str. 127, „Były i u nas cechy, a późniéj dopiéro zostały zakazane“.

(10) Takie pozwolenie dał miastu Lwowu Władysław Warneńczyk: „errigere parvas seu pauperes institas, vulgo *arme kremchen*“, R. 1441, 1444, w Akt. Bern. V, nr. 84, 111.

sprzedał go za pięćset złotych węgierskich czystego złota. Cech *(custodia)* rybacki dawał do skarbu dwieście czerwonych złotych rocznie ([1]).

W przypadku nieszczęścia ustępował ów dochód równie monarcha jak i prywatni obywatele. Pogorzałemu Tarnowu ustąpił jego właściciel należne czynsze na lat dziesięć, z wyjątkiem sukienniczego cechu, któremu tylko na lat siedm odpuścił opłatę pobieraną za prawo wywieszania na domach rzemieślników tak dziś nazwanych szyldów ([2]).

Przymuszone cechy wyrzec się bractw, zastosowały się do okoliczności, i już cichaczem tylko i z wielką ostrożnością znosząc się z bractwami, jęły się gorliwie rzemiosł, czekając pory, w której wolno im będzie przemówić znowu za sobą i za bractwami.

O rzemiosłach XVI wieku, rozprawia tak zwana „Księga malownicza" *(codex pictoratus)* przez Baltazara Bema, pisarza radzieckiego krakowskiego r. 1505 ułożona. Mówić o téj księdze, na pergaminie w kształcie arkusza pisanéj, nie ma potrzeby, gdy ją szczegółowo opisano już ([3]). Powiem to tylko, że każde rzemiosło, które wraz ze służącemi mu prawami księga ta opisuje, wyraża też miniatura cudnie piękna: ztąd księgi onéj nazwa.

Rzemiosła tak ona rozklasyfikowała. Szereg ich rozpoczynają kuśmierze; po nich idą: piekarze, krawcy, rzemieniarze *(corrigiatores)* czyli rzemieślnicy, którzy robili pasy i skórzane obuwie (skornie) zachodzące na golenie. Po tych następują: złotnicy, procarze *(balistarii)*, kapelusznicy *(pileatores)*, kołodzieje, pojezdnicy *(currifices)*, mularze, szklarze, garncarze *(figuli)*, garbarze, dzwoniarze, stolarze, trzewiczkarze czyli szewcy, torbiarze, siodlarze, miecznicy, iglarze, łucznicy, kowale, konowały, malarze, guszlagery czyli medalionerzy, rękawicznicy, bednarze, chirurgowie.

Cennik wyrobów, ułożony na ratuszu staréj Warszawy r. 1565, szacując towar rzemieślniczy, uznał za najpotrzebniejszy i niezbędny do życia ten wyrób, którym trudnili się: szewcy, rymarze, czapnicy, krawcy, siodlarze, miecznicy, kowale, postrzygacze, ślusarze, stelmasi, kołodzieje, kuśmierze, złotnicy, zamesznicy. Wszelako i z tych wyrobów niektóre, a osobliwie zatrudniające rzemieślników, jedwabne i cenne futra opracowujących, uznał cennik za zbytkowe.

Z uniwersałów poborowych ([4]) mamy też tak o nich jak i o innych tego rodzaju wyrobach, lubo nader skąpe, wiadomości. Zale-

([1]) R. 1489, 1491. Cod. III, nr. 230, 234.

([2]) Szragowe, z niemieckiego *schragen*. R. 1494, w Akt. Bern. IV, nr. 120.

([3]) Opisu dokonał professor uniwersytetu krakowskiego i członek tamecznéj Akademii Umiejętności, Udalryk Heyzman; umieścił go zaś w tomie XXXIII Roczników akademii nauk wiedeńskiéj.

([4]) R. 1628. Vol. III. 592. Przez to skrócenie wyrażam *Volumina legum*.

dwie bowiem rzeczone uniwersały wzmiankują o tych rzemieślnikach, na których, czyli na ich towar, nakładano to większe to mniejsze opłaty, a mianowicie: na grzebieniarzy, kurdybanników, białoskórników, i tych garbarzy, co zamsze czyli irchy, ze skór owczych lub jagnięcych, wyprawiali.

Inaczéj klassyfikują rzemiosła prawa sejmowe i zabytki piśmienne XVII wieku. Największą przywiązują one wagę do zostających w ścisłym związku z wojskowością. Przodowali w szeregu rzeczonych rzemieślników tak nazywani płatnerze (1), z którymi, z przyczyny, że mieli również do czynienia z kruszcem, zespolili się w jeden cech iglarze. Nie tylko robili oni igły, sprzedawane na tysiące, po cenie ośmiu ówczesnych złotych za tysiąc (dziś złot. 64!) lecz trudnili się téż wyrobem łańcuszków i haftek (2).

Słynni z wyrobów oręża byli rzemieślnicy krakowscy; łączono ich z takiemiż miast: Stradomia, Kazimirza, Kleparza i odlegle od Krakowa leżącego miasta Biecza, którym na równi z krakowskimi ulgę czyniono (3) przy nakładaniu poborów. Choć wyrobem oręża zajmowali się też sychtarze (4), układając łoża czyli osady do palnéj broni, nie z płatnerzami jednakże, lecz ze ślusarzami cechowali (5).

Po Krakowie Łomża, Warszawa, Kowno, Wilno były siedliskami rzemiosł wojskowych. Miasta te obowiązane były stawiać ślusarnie i opatrywać mieszkania dla wojskowych rzemieślników (6). Dawniejsze postanowienia, jak między innemi statutem Zygmunta I (§ 125—7) objęte, nakazywały magistratom baczyć na to, ażeby po rozesłaniu wici po kraju (po wezwaniu rycerstwa na wojnę), rzemieślnicy rzeczeni nie przeceniali swych wyrobów, a przez to nie dopuszczali się zdzierstw na mężach wojskowych.

Mało po mału zaczęli się z pośród wymienionych dotąd rzemieślników wyróżniać ci, których wyroby zbliżały do (jak wówczas je zwano) wyzwolonych.

Z listów Szymonowicza, (7) do Jana Zamojskiego, hetmana koronnego pisanych r. 1593—4, dowiaduję się, że drukarzy i tych, co leli druki (giserów) liczono do sztukmistrzów, i opłacano ich drożéj niż rzemieślników innych. Jedyna to wiadomość moja o cenie, jaką, tak dziś nazywany, towarzysz sztuki drukarskiéj, tudzież czeladnik

---

(1) Tak zwani od wyrazu *plata*, w średniowiecznéj łacinie blaszką *(lamina, metallum,)* oznaczającego. (Du-Cange).

(2) Ambr. Grabowskiego: Dawne Zabytki str. 184—5.

(3) R. 1658. Vol. IV. 549.

(4) Zwani téż *syftarze* (pixidarii) „od niemieck. *schaft*,“ mówi Ambroży Grabowski w Dawn. Zabyt. str. 126.

(5) A. Grabowski tamże.

(6) R. 1607. 1613 Vol. II. 1628. III. 199.

(7) Patrz je w Dodatkach do mego Piśmiennictwa str. 191 i w rozprawie A. Bielowskiego w drugim Pamiętniku Akademii Krak. str. 119.

złotniczy tygodniowo pobierał. Dawano mu strawę i do tego dzisiejszych złotych polskich 16—20. Nie powiedziano, jak płacono tego, który tak zwane „matryce" dla drukarni przygotowywał.

W owych latach słynął w Krakowie niejaki Konrad Forster. Zamawiali u niego czcionki wrocławscy i frankfurccy (nad Menem? czy nad Odrą?) drukarze. Januszowski, sławny ówczesny drukarz krakowski, jego pismem drukarnię swą opatrywał.

Liczono do tego rodzaju sztuk malarstwo, drzeworytnictwo, kartownictwo, szpalernictwo. Ostatni sztukmistrze wyrzynali różne postacie na korze drzewa gruszkowego, jaworowego, orzechowego, i korą tą zdobili ściany, pokrywali meble i t. p. ([1]). Zwano ich kołtrzyniarzami (od wyrazu *kołtryna*, czyli *kontyna*, opona). Tacy dotąd istnieć mają we wsi Bobrku pod Krakowem. Tego rodzaju, że go tak nazwę, artysta, sam wyrzynał, wytłaczał, kolorował i po jarmarkach rozwoził różne obrazy, wymarzone przez siebie wizerunki świętych i t. p. przedstawiające. Prócz tych byli sztycharze, wyrzynający pieczęcie i formy, jakie po XVI wieku dopiero w XVIII oglądamy ([2]). W poczet ich liczono też aptekarzy, cyrulików (według uniwersałów poborowych), księgarzy i tych, co materyały sprzedawali apteczne ([3]). Liczono nakoniec smuklerzy i szklarzy, z przyczyny, że robili sztuczne guziki, że malowali na szkle i t. p. Statuta ostatnich, w XVI spisane wieku, doszły do naszych czasów ([4]).

Wszyscy ci, tak rzemieślnicy jak i owi mniemani artyści, mało się podobno różnili od tak w owe czasy nazywanych rzemieślników szlacheckich ([5]), których dziś „wiejskimi" zowiemy. Byli to kołodzieje, bednarze, stelmasi, garncarze, a osobliwie, w Statucie Zygmunta I (Vol. I str. 672) wymienieni tokarze, którzy miski duże *(canthari)* i miseczki *(scultellae)* jako swój wyrób wywozili na targ i od nich targowe, ale małe, opłacali.

Prócz nich byli i tokarze-sztukmistrze. O jednym z takich, w Wilnie osiadłym, wspomina list Stanisława Krupki, do niewiadomego z nazwiska pana polskiego pisany ([6]). Pracę tego sztukmistrza, „tokarskiem wileńskiem naczyniem" zwaną, w poczet klejnotów koronnych list ów zalicza.

Prócz tokarzy mieścili się w poczcie rzemieślników wiejskich stolarze, których i dziś po wsiach pełno. Najznakomitszych posiada cyrkuł wadowicki w Galicyi austryackiej.

([1]) A. Grabowski: Dawne Zabytki, stronice rejestr wykaże.
([2]) Tegoż: Spominki Ojczyste; I. str. 265—9.
([3]) *Aromatarii.* Stat. Zygm. I, rozdz. 582. 724.
([4]) Wejnerta Starożytn. Warszawy. IV. 309. 354.
([5]) R. 1523 Vol, I. 400. Res mechanicae quas subditi nobilium ducunt ad civitates et oppida.
([6]) Pochodzi z roku 1589, znajduje się w Dodatku do Piśmiennictwa str. 208—10.

Nie lichego oni dostarczają wyrobu, gdy sprzętami przez takich rzemieślników wyrabianemi właściciel domu gościnnego u wód Krynickich, p. Sejfert, dom swój dziś zaopatrzył. Mniemam, że tego rodzaju wyrobami posługiwała się cała dawna Polska, i tylko bogacze obok zwyczajnych posiadali misternéj roboty sprzęty.

Oprócz rzemieślników, podobnemi wyrobami co miejscy zajmujących się, jakimi byli: kuśmierz, płóciennik, piekarz, sitarz, byli tacy po wsiach, jakich rzadko dopatrywano się w mieście, z przyczyny trudnienia się wyrobami mało potrzebnemi mieszczanom. Takim był strycharz, dziechciarz, kopaniarz. Ostatni był to rzemieślnik, rozlicznemi się wyrobami na wsi zajmujący: na ugorze sobie wyznaczonym kopał on niwy i uprawiał je. W poczcie rzemieślników kładziono go i za czynszownika uważano (1).

O wszystkich rzemieślnikach tych jest do zauważenia, że się godzili na czynsz, który odrabiali lub opłacali. W umowie zawartéj miał rzemieślnik taki zawarowaném: że gdy się go zapotrzebuje, odłoży na bok wszelką robotę inną, a weźmie się do dworskiéj; że w czasie zbioru siana i we żniwa wyjdzie do pracy w polu, za zapłatą, rozumie się (2), osobną.

Gdy miejscy rzemieślnicy, jak w ogóle, każdym wyrobem wiejskim gardzili, i, według wyrażania się swego, *chłopstwu* nie pozwalali rozkładać się z towarami swemi w miejskich jatkach, ale na wolnicy; tak też z władzą policyjną zgodnie postępując mieszczanie, niewolili każdego wieśniaka, co pragnął osiąść w mieście, ażeby albo wszedł do służby, albo udał się do rzemiosła, i będąc, co najwięcéj, czeladnikiem, nie piął się do majsterstwa. Wszakże i czeladnikiem zostać nie było rzeczą łatwą. Statut Zygmunta I (§ 566—7) który w myśl ustawy Olbrachtowskiéj z roku 1496 głosi: że nikt zgoła z młodzieży wiejskiéj do rzemiosła udać sie nie może, jeżeli pan włości nie da na to pozwolenia — statut ten przepisał też (w § 558), że majster, który bez takiego pozwolenia przyjmie na naukę wieśniaka, ulegnie karze, a młodzieniec cichaczem *(sine strepitu)* z miasta na wieś wydalony zostanie.

Pojmuję przyczynę tamowania drogi dla wiejskiéj młodzieży do rzemiosł; po ogłoszeniu bowiem Olbrachtowéj ustawy, nie tylko dla młodzieży téj, ale zgoła dla wszystkich czynszowników, nader uciążliwéj, zaczynało brakować rąk do roli, na co w roku 1556 narzekano na sejmie (3). Pojmuję téż dążność prawa z r. 1496; ale tego nie mogę pojąć: jak mógł największy w Polsce swego wieku staty-

---

(1) *Muzeum Swidzińsk.* z pismem *Biblioteka Krasińskich* zjednoczone R. 1566 1627. II. str. 356. 215.

(2) Tamże; str. 111, 113, 115. Roboty, któremi się zajmowali sami, nosiły nazwiska, jakich w słownikach nie dopatrzysz. Tak wyraz *kopaniarz*, tak *samborza* (schowanie).

(3) Dyaryusz, str. 218.

sta ([1]), głosować na prawo zgubne dla kraju, a dogodne dla obcych, i jak mógł nie wiedzieć o tém, że jedynie za pośrednictwem wolności kwitnie przemysł i handel.

Pierwsi Gdańszczanie prawo Olbrachtowe, jako dogodne sobie, pochwalili, uznawszy za szkodliwe dla siebie przyjmowanie do rzemiosł wiejskiéj, a osobliwie polskiéj młodzieży. Co zganiwszy magistratowi, Zygmunt I kazał uchylić uchwałę cechów w tym wydaną duchu ([2]), postanowiwszy przytém: że nie ma być majstrom wolno obcą do warsztatów swych przyjmować czeladź, dopóki jéj magistratowi nie przedstawią, a magistrat nie odbierze od nich przysięgi, że się do praw miejskich zastosują święcie ([3]). To uczyniwszy, Zygmunt I zaczął się zastanawiać nad niesprawiedliwością ustawy Olbrachtowéj.

Mimo, że wyznaczeni przez niego redaktorowie, w ułożonym od siebie projekcie do prawa, postanowić radzili (rozdz. 129): „że bractwa należało i należy znieść koniecznie, jako spiknione z cechami na szkodę kraju", Zygmunt I jednakże, w tym samym roku, w którym sejm odrzucił ów statut, wyrzekł na sejmie w Krakowie odbytym: iż, gdy mimo zakazu dawnych statutów istnieją przecież bractwa i cechy, na dawnych przywilejach oparte, a całe obywatelstwo *(subditi)* zadawalnia się niemi wszędzie, gdzie wydane o nich przepisy są święcie wykonywane, przeto, potwierdzając rzeczone bractwa i cechy, byt im zapewnia nadal ([4]).

W lat kilka atoli król tenże z przyczyny, że posłowie domagają się zniesienia cechów, bractwami nazywających się już, jako szkodliwych, kazał je znieść ([5]). I znowu w lat kilkadziesiąt wydał polecenie, ażeby wojewodowie nie pozwalali bractwom obrażać szlachty i działać na szkodę ziemiańskiéj wolności ([6]). Nie zniósł ich przecież, trzymając się zapewne zasady, którą dawniéj (roku 1532) wyrzekł: że gdzie idzie o zniesienie przywilejów, tam nie można znosić ich, jeżeli obustronnie nie zajdzie na to zgoda. Lecz syn jego, z powodu, że ciągle na cechy i bractwa, to usuwane to przywracane, zachodziły skargi, postanowił o nich: że mogą sobie istnieć, ale jako rządy i obchody kościelne tylko ([7]), co znaczyć miało, że tylko o tyle nie potrzeba tykać cechów, o ile są z kościelnością połączone.

([1]) Jan Ostroróg: Pamietnik § 54, 61.

([2]) R, 1526. „Districtius etiam inhibemus, ne Poloni a modo ab opificiis civitatum quarumlibet arceantur, sed pari conditione cum Germanis et aliis nationibus admittantur, non obstantibus hujusmodi opificum constitutionibus" Act. Tomic. VIII. nr. 59.

([3]) R. 1526. Vol. I. 458.

([4]) R. 1532. Vol. I. 504.

([5]) R. 1538. Tamże 535.

([6]) R. 1543. Tamże 568.

([7]) R. 1550. Vol. II. 598 § 47.

Że tak należy pojmować ducha prawa, wykazuje ta okoliczność, iż po roku 1550 istniały wciąż cechy.

Istniały w Prusiech, i pomimo nakazu Zygmunta I z roku 1526 wyżéj wspomnionego, nie dopuszczały polskiéj młodzieży do nauki rzemiosł (1).

Na Mazowszu także istniały. Głównym cechem był w Warszawie cech złotniczy, do którego Zygmunt III roku 1589 przyłączył szmuklerzy, malarzy i aptekarzy (?), i statuta ich potwierdził. Po nim cech szklarski celował, połączony z cechem stolarskim. Obszernéj treści statut, sam ten cech ułożył sobie w r. 1551—6, i nim się rządził (2).

Pisarz Malowniczéj Księgi, wspomniany wyżéj Baltazar Bem, dociągnął dzieło swe do roku 1502. Bezimienny, wyręczając go daléj, porobił dodatki o tych rzemiosłach, o których wydał osobne rozporządzenia magistrat. Takiemi są: ustawy o malarzach, tak majstrach jak i czeladnikach, z r. 1367 i z r. 1512; takiemi dwa postanowienia, wyjęte z rękopisów uniwersytetu krakowskiego, w latach niewiadomych zapadłe, których odpis w pozostałych po ś. p. Antonim Zygmuncie Helclu papierach znalazłem (3). Takim jest wyrok sądowy magistratu z roku 1476, sprawę między krawcami pospolitymi (*sartores*) a hurtownikami (*pannicidae*) rozstrzygający. Pierwsi robili suknie z przyniesionego sobie materyału, lub naprawiali odzienia: drudzy kupowali sukno i z niego uszyte szaty wynosili na targowisko (4). Dodawali i następni pisarze ustawy, o cechach zapadające, i w pomienioną księgę malowniczą wciągali je. Taką ustawą jest przywilej Zygmunta Augusta, dla malarzy i guszlagierów wydany, a przez Władysława IV potwierdzony; taką — przywilej Jana Kazimirza dla bednarzy. Toż samo było w Wielkopolsce. Uprzywilejowywano tu wciąż cechy, po ich w roku 1550 niby to zniesieniu. Przodował im cech torbiarzy, czyli, jak go tu zwano, miechowniczy, po którym szedł sukienniczy, krawiecki i t. d. (5). Nadto tutejsze cechy bractw nosiły nazwę, którą za urzędową nawet przybrała ustanowiona w roku 1780 Komissya Dobrego Porządku. Zgoła wróciło wszystko do dawnego stanu, zrobiwszy, że się tak wyrażę, *fiasco* z całéj wrzawy sejmowéj o bractwa i cechy. Któż wywołał tę wrzawę?

Średniowiekowi, że ich tak nazwę, kulturtregierzy, przybyli do Polski z czémś gorszém od tego, co ona miała u siebie. Sprowadzili

---

(1) Tamże 146.

(2) Wejnerta Starożytn. IV. 354. 369.

(3) Jeden nosi napis: *Modus struendi ex lapidibus aut latere cocto parietes in urbe Cracoviensi ex plebiscito servatus*; drugi; *Jura municipalia de aedificando.*

(4) Akta podkancl. II. nr. 150. Du-Cange rozróżnia oba rzemiosła *(pannicidae, sartor)*; nasi słownikarze, Linde i inni, nic czynią żadnéj różnicy.

(5) Łukaszewicza Obraz I. str. 320.

nam cechy, lichsze od bractw, które przed ich przybyciem posiadała Polska. Zawiedzeni w nadziei, chcieli wyzyskać kraj za pośrednictwem tego, co z sobą przynieśli. Sejm, mając w podejrzeniu bractwa rzemieślnicze, że spiknąwszy się z cechami trzymają ich stronę, kazał urzędom ziemskim mieć oba na baczności. Czego gdy te nie czyniły, a przynajmniej nie wszędzie, uskarżała się na to szlachta: że cechy albo bractwa—bo brano jedno za drugie (1)—wyzyskują ziemstwo; że są cierpiane na szkodę wolności ziemiańskiej, która musi je znosić cierpliwie; że wyroby cechów drogo są oceniane, a płody ziemskie tanio (2). Dopiero, gdy temu (r. 1565) zaradzono, gdy nakazano magistratom układać cennik obu, czyli wyrobu rzemieślniczego i opłaty zań, i tém zajmować się przy udziale urzędników ziemskich, wtedy ustały skargi i wszystko przyszło do porządku, jaki panował w tym względzie przed ustawą sejmu warteńskiego, w r. 1420 odbytego.

Reszta opowieści o stowarzyszeniach rzemieślniczych, czyli, tak nazywanych, już cechach już bractwach, nie ma w sobie nic nowego, nic ciekawego. Układały one sobie statuta, które im potwierdzał magistrat, lub on układał je dla nich. Osnowa tych statutów wiadoma, tak wielkopolskich, w obrazie Poznania, przez Łukaszewicza przedstawionym, szczegółowo opisanych, jak i małopolskich, po dyplomataryuszach (3) poumieszczanych, tudzież mazowieckich. Statut dla cechu szklarskiego miasta Warszawy wchodzi w drobne szczegóły co do wypracowania majster-sztyku, terminowania na rzemiosło, wędrówki czeladnika i t. d., a kończy się przepisem, jak opłacać karę woskiem, jak wyzwalać się z rzemiosła i t. d. (4).

O rzemiosłach i kształceniu się w nich na Litwie, wiemy, że się rzecz miała podobnie jak w Polsce, i wnosimy, że się tu podobnie jak w Koronie kształcono w rzemiosłach, nadzorowano je i obchodzono się z niemi, niekiedy dziwacznie. Zaniósł w r. 1517 cieśla, przy garnizonie wojska na zamku połockim osadzony, zażalenie do króla, że dowódzca miejscowego garnizonu wykluczył go ze społeczeństwa garnizującego rycerstwa, jako tego, który się zbeszczeszcza wykonywaném przez siebie rzemiosłem, albowiem, cieślą będąc, stawiał i szubienice, na których wieszają złoczyńców (5). Więcéj podobnych temu wybryków nie znam; wiem zaś, że po miastach litewskich, jak w Mohylewie, osiedleni kupcy, targowali jedwabnym towarem, suknami, wyrobami złotniczemi; że mieszkali tam krawcy, kuśnierze, kotlarze, kowale, ślusarze, garncarze, piekarze, dolidy (bednarze? od *dolium* beczka), słodownicy; i że wszyscy ci rzemieślnicy opłacali się

(1) R. 1532. Vol. I. 504 *Fraternitates seu cechy.*
(2) R. 1543. „Fraternitates servantur in detrimentum libertatis terrestris."
(3) Dyplomataryusz Wieliczki podaje statuta z r. 1574—1640.
(4) R. 1551 — 6 w Staroż. Wejnerta; IV. 369.
(5) Act. Tomic. IV. nr. 219.

skarbowi ([1]), jeszcze za czasów przedmagdeburskiego prawa, bo miasto to dopiero w r. 1577 magdeburskie uzyskało. Wiemy i to, że, jak w Koronie tak i na Litwie, cechmistrze sądzili lżejsze przeciw prawu wykroczenia rzemieślników, a właściwe, równie rzeczowe jak i gardłowe, wielkiéj wagi sprawy, sądził magistrat ([2]). Wiemy nakoniec, że wolno było po miastach litewskich osiadać przybywającym do nich kupcom i rzemieślnikom, byle, osiadłszy, przyjęli prawo obywatelstwa, posiedli dom własny, a po latach trzech osiedlenia się, płacili $^1/_{100}$ od handlu i prowadzonego rzemiosła ([3]).

Zanim pójdę daléj, muszę odpowiedzieć na pytanie: czy zyskali na tém wiejscy rzemieślnicy, lub czy zyskał przemysł wiejski, że bractwa zespoliły się ściśle z cechami? i że już nie bywało mowy o cechu, jako spółce rzemieślników niemieckiéj, lecz jako o znaku czyli bractwa godle?

Odpowiadam na to, że ani rzemieślnicy, ani kraj, czyli lud i ziemianie, wcale na tém nic nie zyskali zgoła, co widać dowodnie z §§ 24, 25, 28 aktu urzędowego, o którym wnet będzie.

Powiedziano w tym akcie, że wieśniak lub ziemianin, który się do bractwa nie wpisze, nie ma prawa ryb do miasta przywiezionych sprzedawać na stołach rybackich, bo mogą to być ryby kradzione; nie ma tego prawa i ziemianin, który, z własnego niby stawu ułowione ryby przywiózłszy, chce sprzedawać je częściowo, gdyż tylko w dzień czwartkowy wolno mu to czynić, a w piątek hurtem jedynie sprzedawać jest mocen, i wtedy nie inaczéj jak cały wóz naraz godzi się zakupywać u niego.

Według tych rozporządzeń nie mogło wcale zakwitnąć gospodarstwo rybne, i to wówczas, kiedy najwięcéj pisywano u nas o niém, i uczono go, z książek nawet ([4]). Właśnie takim w XVI wieku jest statut bractwa rybaków, które do najdawniejszych liczono. W XV zapewne wieku pisany, wydobyto na jaw, i nie tylko w roku 1532 odpisano go, lecz przez cały przeciąg szesnastego, siedmnastego i ośmnastego wieku przepisywano i królom do potwierdzenia dawano. Stanisław August potwierdził go dn. 5 Stycznia 1781 r.

Wiadomość tę powziąłem z dopisku, uczynionego do rękopisu, który obecnie drukować daję. Wyjęty z dawnego archivum miasta Warszawy posiada p. Franc. Maks. Sobieszczański, który łaskawie raczył udzielić mi go do użytku. Wydając ten dokument na jaw, a pragnąc oszczędzić druku, przedstawiam go we właściwéj mu treści, nie tłómacząc dawnéj polszczyzny na nowszą, bo pewny jestem, że zwyczajny czytelnik przebiegnie go, choćby był i w teraźniejszéj polszczy-

---

(1) R. 1561. Danił. Sk. II. nr. 2363.
(2) Tak w Wilnie. R. 1648. Kod. Krup. nr. 40.
(3) R. 1766. Vol. VII. 547.
(4) Patrz moje Piśmien. II. 638—9.

źnie, a czytelnik, zastanawiać się nad rzeczą lubiący, zrozumie go i w polszczyznie dawnéj.

STATUT RYBACKI.

My, Jan Philipowicz alias Dlugosch, Burmistrz, Martezin Ilysch Jan Tygast Stanislau Chylyacz Andrzey Erler Andrzei (*tak*) Pulthorak raycze, Prosbam wszeho braczthwa rybaczkiego Nam pokornye uczynyonem (*tak*) zebichom uchwala przess wsythky w pospolithosczi gy wosobliwosczi a myedzi szoba aprobowano oną (*tak*) mocza urządu nassego pylnye wyrossumyawssi, poczwyerdzili y mayestatem umocznyli. My słusnemu (*tak*) ządanyu ych nycz nyeprzecząc przikłonylismy syę ych prosbom slusną u syebie uwazayacz thą tho uchwalą Nyzei articulmy (*tak*) popysaną chcząc one braczthwo ku czczy przathtyem (*tak*) y ku chwalie Boskiei, a pothym w dobrym rządzie a sposobie pastanowicz, oną poczwyerdzamy y umacznyamy smyescz urządu nassego gy (*tak*) maieszatem przynyey (*tak*) zawyesonem mocz wiekuystey trwalosczi oney przidayacz etc. ktorey że tho uchwali thy szą articuli.

1) Gdyby kthori brath bądacz w domu przess snamyą albo czech braczky byl by przizwan do braczthwa z upory a skrabrnosczi nye przisedlby thaki dlya nyeposlusenstwa ylie krocz thego by syą dopusczil thylie krocz ma braczthwu othlosycz wyna po yednem grossu.

2) Ponyewasch gdi by ktorą trudnosczią pylno byl obwyazany abo (*tak*) zatrudnyony thakowy ma sam do stharschego przicz (*tak*) a przyczyną swey trudnosczi yemu opowyedziecz a obyawycz etc.

3) Jtem zadny brath przisetszy (*tak*) do braczthwa nyema myedzi Braczya syedziecz s bronyą, Bo yesth myescze pokoyu Ani zwyą wnycz do braczthwa poth wyną wrabu woską tho iesth trzech gro.

4) Jtem wsithczy u pospolitoscz gy w osobliwosczi braczyą w braczthwye syadzacz uczcziwye nyewolayącz rzecz mayą braczha sprawowacz młodschy starsych sluchacz, a yeden po drugyem po myesczu mawyacz nye zakwapyayacz schyą. Thakze by stharsym oth mlothsych uczywoscz byla zachowana. Any thesch yeden na drugyego slowy sbithnemy a nyeuczcziwemy schią nyewthargywayacz, poth wyna wrabu wosku.

5) Przypadkiem them żeby yeden brath drugyego w braczthwie syedząc ranylby thakowy bądzie wynyen oth kasdego bratha starschego wyna othłosycz po kamyenyu wosku, a oth bratha kasdego mlothsego po wrabu etc.

6) Item kthori (*tak*) bracztwo snyemy chczyal by przyącz thakowy wynyen bądzie do skrynki braczkiey połkopy y dwa gro-

scha, szesnasczie groszi przi przyaczya braczthwa ma dacz a drugye szesnasczie... po przyaczyu braczthwa gy wsithki wynowaczthwa tak iako ony pelnycz.

7) Jtem geli syn ktorego mystrza s rybakow chczial bycz s nymy w bracztwie takowemu nye iesth potrzeba bracztwo przymowacz yeno oth wpysanya w reyestr braczki pyszarzowy ma dacz grosch.

8) Jtem kyedi by ktori z opczich wdawa albo czorka kthorego rybithwa poyal takowy oth przyaczya bracztwa thylko polowicze bądzie wynyen dacz tho iesth sesnaszczie groschi.

9) Jtem ktory brath osnaymyony czechem braczkiem za brathem albo syostrą umarlemy do pogrzebu albo na załumsse *(tak)* nyessethlbi a gdi by był doswyathczan ze by byl doma, a iesli by nyebyl doma thedi zona yego ma gcz *(tak)* poth wyną kasdego snych zosobna nyeposłusenysthwa po yednemu polgrosku.

10) Jtem kthori by brath starsych chczial by otnycz *(tak)* sbrasthwa thaky wynyen szaszadzicz myescza sswe ynssem brathem by rzecz braczka nyebila samyęskana poth wyną yednego polgroska.

11) Jtem kthori by brath zanyosł klucze *(tak)* oth skrynki braczkiey a ynssemu brathu by ich nyeostawil taki upada wyne yednego wrabu wosku.

12) Jtem ktorzi robya wyelkiemy syecziamy na bistrziczi nyemaya robicz yeno trzei wyednei lodzi a w drugiey lodzi thakiess trzei na yednem pusczie iesli by pyasek wsithczi wybyali a then ktori by pyasku nyepomagał wybyacz then ma czekacz onego który wybyal przess thydzien a yesli by go czekacz nyechczial thedi then wynyen yemu dacz sescz grosy a ssnym zarowne ma robycz na pyasku wybyanem.

13) Jtem ktory by kolwie *(tak)* brath pyasek nathknąl poth wodą thakowy wynyen dacz wrąb wosku do skrynki braczkiey. Then ktory nathknye pyassek nyepothwodą ma syą opowyedziecz starosczie wodnemu czechowemu (*sub pena* (*tak*) *15 gr.* później dopisano).

14) Jtem na starey rzecze wyedney lodziey nyemayą robicz yedno trzei syecziamy wyelkiemy a nye mayą syeczyamy zastawiacz poth kamyenyem wosku, kthoriss wssasthawie nyemayą stacz wyączey yedno dwye godzynye.

15) Jtem ktori sząsyath slye po rybi na przekop do Narwye albo kądy ynądy then nyema slacz szamey czelyadzi jedno sam snymy ma yechacz abo szsząsyadem swoym poslacz, poth wyną polkamyenya wosku.

16) Jtem ktoriby thowarzisch nyemaiacz braczthwa wczechu nasym a robil by przi braczie ktoriby myal bracztwo snamy thakowi brath wynyen dacz wedlug starego swiczayu nassego polkamyanya (*tak*) wosku; wyny do skrzynki (*tak*) ze go ku sobie przymuye gdi braczthwa nyema.

17) Jtem, ze by żadny brath nyessmyal yeden poth drugiem ryb wykupowacz ktore by przothkiem targowal iako gesiothrow i innich ryb iakichkolwiek poth dwyema wrobama wosku wyny.

18) Jtem, ktori by' kolwie parobek wyednał by sya u yednego szaszyada pyerwey, a pothem u drugiego by słusił, thakowi parobek wynyen dacz wyny do czechu poł kamyenya wosku, a gdi by thei wyny nyechczial dacz then nye ma bicz przi rzibithwi rok y sescz nyedziel.

19) Jtem, ze by zadny bracztwa nassego nyemaiączi nyesmyal syeczi robicz krom ubosthwa w spithalyu gdzie by kogo przeswyatcziely panom mayą opowiedziecz.

20) Jtem, kthory by kolwie brath albo towaryss wssiął yeden drugyemu czo kolwiek (*tak*) w czolnu potrzebne rzemyosłą yego chocz thess y słami then ma dacz wyny wrąp (*tak*) wosku do skrzynki czechowey.

21) Jtem, czi kthorzi malhowąsz (*tak*) stawyayą then nyema szobie wyenczei wethknącz yeno dwie nathcze yesli że by wyaczei wethknął ma dacz wyny wrąp wosku do skrzynki czechowey.

22) Jtem, kthori by kolwiek brath yeden drugiemu wssyął molhowązk albo y yako kolwie snathki zerwał then wynyen dacz wyny wrąp wosku a ssą (*tak*) mothowasz czyi był ma dacz seszcz groschi.

23 a) Jtem, ktori by brath koleyeią zgodno nye pusczał rządzamy na ryby czyąkowe (*tak*) iako na Bolienie takowi ma dacz wyny dwa wrąbi wosku do skrzynki.

23 b) Jtem, ktori by brath albo thowarisz ieden drugiemu wsiął wyerschą małą abo wyelką abo yą zasthawiska podzwignął na thakowem wyna braczka. thakowa iako wsithczi braczia naydą.

24) Jtem, czi ktorzi nyemayą braczthwa przi czechu nassim iako szą wyessnyanye ktorzi ribi kryome noszą do myasta nyemayą ych przedawacz u rybnych stołow.

25) Jtem, zadny jesiotrow na robicznych stoliech syekacz nyema ktori braczthwa nyema snamy iako szą nyehthorzi oth zyemyan y thess paropczi ktorzi szą przi rybitwi ktorzi nyeszą czehowi. A ktori bi dał paropku syekacz jesiotra (*tak*), thego paropka gospodarsch ma dacz wyny kamyen wosku do skrzynki.

26) Jtem, że by syathka wychodziła s domu yedna y u kleynycza takiesch yedna a nyewiaczei, ktori bi był przeswyaczen nath ustawa uczynicz thako ylie krocz bi syą thego dopusczil thilie krocz ma dacz po wrąbu wosku.

27) Jtem, ktori wyersch dziersi iako starosta wodny then nyema sganyacz iedno dwa krocz według starego swiczayu nassego a trzeczi sobie wybracz.

28) Jtem, czi ktorzi wozą ribi wozowe czi ych synkowacz nyemayą yedni czalkiem przedacz okrom dnya czwarthkoego.

29) Jtem, kiedi bi pan bog na ktorego bratha przipuszczil nye-

mocz thedi wolno yemu oth siebie poslacz paropka swego na robota (*tak*).

30) Jtem, ktorzi byegaia na dul (*tak*) aby ym wolno ysz by parobek robil w myasto yego.

31) Jtem, kyedi dwa pyaski wlyego (*tak*) we spolek yeden za drugiem a ktory bądzie pyerwei robil na pyerwsem pyasku thedi on ktori na posliednym robi pyasku, oth palya (*tak*) ma łodzią (*tak*) wyganyacz na woda gdzie szacz (*tak*) wyessa.

32) Jtem, wdowi po smyerczi swich masow (*tak*) ostale mayą robicz rzemiosło do roku y do szesczi nyedziel, a bracztw (*tak*) thilo placzicz po szesczi pyąnyadzi na kampothori abo na suche dny.

33) Jtem, brath mlothsi slużącz bracziey upylby syą a podaiącz pyczie brathu onego by obllal za to wyny dacz iesth wynyen po groshcą do skrinki (*tak*) braczkiei.

34) Jtem, braczią mlothsy bratha abo syestry czyala umarle do pogrzebu nyescz mayą pod wyna yednego grossa.

35) Jtem, kyedy Jesyotra na pyasku ktori s bracziey zabije abo werssą ulowy thedi thargowego staro dawnyego obyczaju nicz wyeczey wynyka dacz yedno dwa grossa.

The szą Articuly thei tho uchwaly ktore odewsithkich w pospolithosczi y wedlia ych braczthwo wsithko ma bicz sprawowano a rządzono. By wisthapny wedlya wyn spisanych maya bycz (*tak* ukarany łaskawye.

Actum et datum in Pretorio Civitatis antique Varschoviensis in Crastino Agnethe dive virginis Anno a Christo nato Millesimo Quingentesimo Tricesimo secundo.

Francisco Łysczewicz protunc existente Notario eiusdem Civitatis.

Przekonawszy się kulturtregierzy, iż Polska, ilekroć rzecz pozna z gruntu, wyzyskiwać się nie da, i że w niej spółki rzemieślnicze nie mogą istnieć z korzyścią i rozwijać się postępowo jako cechy, lecz jako bractwa, z tych więc powodów częścią wynieśli się z polskich krajów, częścią pozostawszy w rzemiosłach, dalej pod nazwą bractw, partolili, iż tak rzeknę, po dawnemu. Za nic też więcej, jak za partaczów nie miał ich ten, który do kodyfikowania praw przez sejm r. 1776 wezwanym będąc, zwrócił szczególną uwagę w kodyfikacyi swojej na kunszta, jak się o nich wyraził, i na rzemiosla. Wnoszę to z jego narzekań na to: „że Polska ubogą jest i z tej przyczyny, że tego stanu ludzi krajowych nie mamy, który przez różne kunszta i rękodzieła kraj zbogaca, pieniądze w nim zatrzymuje, i tych cyrkulacyą czyni.“ Chcąc więc temu zapobiedz, radzi wejść w myśl niby Kazimirza Wielkiego i Jana Albrechta, w ich statutach z r. 1365, i 1496 wyrażoną, a sprzyjającą przemysłowi przez lud za pośre-

dnictwem rzemiosł rozwijanemu, z wielką dla samego rolnictwa korzyścią (¹).

Ponieważ w czasie, w którym to wyrzekł projektodawca, lud i rzemiosła w Polsce w opłakanym znajdowały się stanie — gdyż pierwszy cierpiał ucisk, a drugie, jako wyłącznie dla klasy uboższego obywatelstwa opracowywane, mało ceniono, ktokolwiek bowiem posiadał większą zamożność, sprowadzał sobie rzemieślniczy wyrób z zagranicy; Zamojski przeto okrył swój zamiar powagą królów, z których Kazimirz sprzyjał rzeczywiście tak ludowi jak i przemysłowi krajowemu, a Jan Olbracht przeciwnie. Usiłowania prawodawcy wiślickiego stwierdzają dzieje, bynajmniéj zaś statut z r. 1368, w którym nic o kunsztach i rzemiosłach nie stoi; i naodwrót, rządy Jana Olbrachta dają o tém świadectwo, że monarcha ten wrogiem był tak ludu, jak i przemysłu krajowego. Albowiem, na co w „Historyi włościan“ przedstawiłem dowody, za jego-to panowania, z powodu zapomóg, od dworów czynszownikom udzielanych, wzięło początek poddaństwo przez to, że gdy z zapomogi uzyskanéj nie uiścił się ojciec, dług spłacania jéj spadał na syna. Syn więc, jedynak ojca-dłużnika, nie mogąc opuścić roli, dopóki długu ojcowskiego nie spłacił, nie mógł się dlatego wydalić ze wsi, a więc i do rzemiosł i do szkół udać się nie mógł.

Okoliczność ta usprawiedliwiała surowość prawa. Dług był długiem, a więc spłaconym być musiał, i syn, według owczesnych wyobrażeń, usuwać się z roli nie mógł, do któréj był przez dług ojcowski przykutym. Ale gdy prawo zastrzegło, że nawet wtedy, gdy ojciec kilku mieć będzie synów, nie może roli opuścić więcéj niż jeden z nich, a reszta ma pozostać na roli i żyć przy rodzicach, prawo takie było oczywiście niesprawiedliwém.

Królów niby powagą osłaniając Zamojski projektowaną przez siebie zasadę, zrobił do przyszłego prawa wnioski następujące:

> Te wszystkie osoby kondycyi chłopskiéj do gruntu wszelkich dóbr wiejskich przywiązane, (to jest *glebae adscripti*) być mają rozumiane, w których się ojciec ich urodził, pańską rolą bez kontraktu osiadał, załogę miał dworską i pańszczyznę odbywał.
>
> Podobnież i ci zostawać mają *glebae adscripti*, którzy z ojca niepewnego, ale z matki wiejskiéj pochodzą, a do téj wsi należéć będą, w któréj matka wdową, lub dziewką zostawała.

(¹) Zbiór praw sądowych na mocy konstytucyi roku 1776 przez J. W. Andrzeja Zamojskiego Ex-Kanclerza koronnego, kawalera orderu Orła Białego ułożony, i na sejm roku 1778 podany w Warszawie roku 1778. Część I. rozdział XXXI § 6.

(²) R. 1496 u Bandtk. w Jus pol. 343 gdzie stoi: statuimus quod tantum modo *unus filius de villa a patre recedere possit* ad servitia, et praesertim ad studia aut literarum, aut artificiorum, *reliqui maneant in hereditate cum patribus*.

Gdyby chłop taki dwóch tylko synów spłodził, wtedy ci dwaj do objęcia i utrzymania gospodarstwa przy gruncie dóbr na zawsze zostaną. Gdyby zaś ich więcéj nad dwóch było, tedy najstarszy i trzeci jego brat na gruncie się zostaną, pierwszy zaś po najstarszym, i wszyscy młodsi po trzecim następujący, do nauk, kunsztów i rzemiosł przez ojca oddani być mogą, w roku ich wieku dziesiątym, którym, jako się tém prawem ta wolność nadaje, tak żadnych osobnych od panów pozwoleń potrzebować nie mają, ale tylko metrykę chrztu swoją wyjmą, i od Xiędza Plebana w niéj przepisane otrzymają świadectwa, jako podług tego prawa, z liczby rodzeństwa swego rzetelną zyskują wolność.

Takowi synowie chociażby i zostali w kondycyi chłopskiéj, nigdy przecię nie będą kondycyi ich ojca w § 1 opisanéj, ale im wolność zostanię przyjęcia miejskiego, lub téż w stanie rolniczym zostawszy będą wolni ([1]).

Tym sposobem, zdobywszy projektodawca pole, na którem lud mógł rzemiosła uprawiać i kunszta, podzielił je na: złotnicze, krawieckie, szewckie, kuśnierskie, ślusarskie, kowalskie, stelmaskie, kołodziejskie, miecznicze, rymarskie, blacharskie, szlifierskie, stolarskie, kotlarskie, szmuklerskie, guzikarskie, passamonickie, zegarmistrzowskie, introligatorskie, gwoździarskie, szklarskie, grabarskie, mydlarskie, zduńskie, kominiarskie, młynarskie, rzeźnicze, piekarskie, cyrulickie ([2]).

Wszystkie te rzemiosła radził urządzić cechowo, z tém zastrzeżeniem, że furmani i rybacy stanowić cechu nie powinni; że piekarze i rzeźnicy mają nie bronić dowozu mięsiwa i chleba na wolnicę dwa razy na tydzień ([3]).

Wyróżnił od cechów nauki i professye te: lekarskie, malarskie, muzykanckie, snycerskie, budownicze z architekturą, mularskie, i postanowić zalecił, że ktokolwiek ze stanu szlacheckiego ćwiczyć się i wykonywać professye te będzie, szlachectwa nie utraci — ale wykonywając je po miastach, winien opłacać podatki publiczne.

Toż samo rozumieć się miało o fabrykujących i sprzedających machiny fizyczne, geometryczne, astronomiczne; toż o przysposabiających, jak się Zamojski wyraził, litery do druku, i sztuką drukarską zajmujących się ([4]).

Rzemiosła wszystkie, prosto i sztucznie opracowujące wyroby, które kunsztami nazwał Zamojski, poddał pod cechy; a przez cechy rozumiał towarzystwa przez króla uprzywilejowane, i za dozwo-

---

([1]) Zbiór praw sądowych; I. XXXI § 1, 2, 6, 8.
([2]) Tamże; I. XXV § 4.
([3]) Tamże; tenże § 4.
([4]) Tamże; § 5.

leniem magistratów sadowiące się po miastach. Członkowie cechowi, ilekroć tego uznają potrzebę, mieli schodzić się dla naradzenia się względem zachowania praw swych i zwyczajów, do dopełnienia i wydoskonalenia kunsztu służących.

Cech składali: uczniowie, czeladź, majstrowie. Z ostatnich wybierać się miała starszyzna cechowa co rok przez prezydenta miasta. Ta, złożywszy na swój urząd przysięgę, nie mogła prócz zwykłych, jak się wyżéj rzekło, zgromadzeń, zbierać się na żadne akty inaczéj, jak za upoważnieniem od prezydenta lub burmistrza. Taż starszyzna nie miała téż żadnych składek robić między sobą bez wiadomości magistratu, a rachować się była powinna corocznie przed prezydentem z dochodów, jakie cech pobierał od wpisów przyjmowanego ucznia do terminu, który miał trwać nie dłużéj nad trzy lata, daléj od wyzwalanego na czeladnika, nakoniec po ogłoszeniu go majstrem, kiedy wykonawszy majster-sztyk, został, za zezwoleniem magistratu, przypuszczony do złożenia przysięgi na obywatelstwo miejskie

Ostatni wpływ, który zasilał kassę cechową, pochodził z kar, na które starsi cechowi skazywać mogli czeladników zbytkujących, roboty nie pilnujących, i opłat za nią nad ustawę wymagających. Skazany atoli mógł się od wyroku starszyzny odwołać do magistratu.

I czeladnik musiał trzy lata po wyzwoleniu czekać, zanim został majstrem. Przez rok jeden pracował u tego majstra, u którego odbył terminatkę: następnie przez dwa lata wędrował po miastach polskich lub zagranicznych, i tam pracując w swojém rzemiośle, wydoskonalał się w nauce, któréj się poświęcił ([1]).

Tak więc cechy, i znowu cechy, miały kierować rzemiosłami, a urządzenie tych cechów ani się umywało do owych, jakie w XV wieku kwitły w Przemyślu i tych miastach polskich, z których one dostały się na Ruś Czerwoną. Nie znał ich Zamojski i nie mógł znać, gdyż wiedza o nich ukrywała się w rękopisach, i dziś dopiéro wydobyły ją z nich, wspomnione wyżéj Akta Bernardyńskie.

Że były kanclerz wielki koronny, taką wiedzę stosunków społecznych wieku swego posiadający, ze znajomości potrzeb kraju słynny, że mąż taki nie wszedł w myśl, która już za jego czasów w Europie zachodniéj kiełkowała, dążąc do wyzwolenia rzemiosł i kunsztów z pod wpływu średniowiecznych urządzeń, dziwić się temu nie należy, skoro i największy za księztwa Warszawskiego statysta polski, Wawrzyniec Surowiecki (urodził się r. 1769, umarł 1827 r.) mocno był przekonany, że utrzymanie i rozważne urządzenie cechów, jest jednym z głównych środków, tak do podwojenia źródeł ekonomii pol-

([1]) Dosłownie wypisano z artykułu *o cechach*, w pomienionym Zbiorze praw sądowych umieszczonego.

skiego kraju, jako też do podniesienia miast i rozbudzenia w nich obumarłego przemysłu ([1]).

Istna to prawda, ale nie ze wszystkiem: bo, że cechy były niegdyś i dziś jeszcze być mogą dźwignią rozkrzewienia wygasłego w naszych miastach przemysłu, temu nie przeczę, ale przy tém obstaję, że gdy nie instytucye, lecz mężowie instytucye reprezentujący, są dźwignią jak i umiejętności w ogóle, tak w szczególe gałęzi, na które one rozpadają się, pielęgnują takowe i wydoskonalają; to cechy nie przyniosą pożądanéj korzyści krajowi, jeżeli mężów w sztuce biegłych nie posiędą, a nie posiędą ich, gdy ich sobie nie ukształcą same.

Jeżeli więc przez rozważne urządzenie cechów rozumiał Surowiecki stosunek ich czyli przyczepienie do szkoły rzemieślniczéj po to, ażeby jéj były pomocą w kierownictwie umiejętnościami praktycznemi, to zgoda z nim zupełna. Ale jeżeli mniemał, że dosyć poprzestać na terminatce u majstra, choćby i najrozważniéj urządzonéj, chociażby ona objęła wszystko, cokolwiek takie majstrowstwo zapotrzebuje, któreby zdolne było podwoić źródła ekonomii krajowéj, podnieść miasta i rozkrzewić w nich wygasły przemysł; jeżeli, powtarzam, tak sądził nasz wielki statysta, to mylił się wielce.

Tak bowiem wyuczeni, w tak urządzonym cechu wyćwiczeni majstrowie, ledwo że potrzebom publiczności średnio majętnéj odpowiedzą, zastosowując się do cény, jaką z góry przepisze rząd miejski wyrobom ich, na sprzedaż wystawionym: publiczność bogatsza, innych wyrobów i innéj roboty potrzebująca, do tych się uda majstrów, którzy wyroby swe oceniają sami: a jeżeli ich nie znajdzie u siebie, poszuka ich gdzieindziéj, ze szkodą miasta a może i kraju, w którym wyższy wygasł przemysł.

Tak było w dawnéj Polsce, na co stawia dowód cennik wyrobów, na ratuszu staréj Warszawy r. 1565 ułożony. Drogocenny-to pomnik naszéj przeszłości dziejowéj! Słów tu kilka powiedzieć o nim należy.

Pomnik ten w archiwum starém Warszawskiém w poczcie rękopisów *dudkami* ([2]) zwanych, pod liczbą 66 znajdujący się, przepisał z tegoż archiwum p. Franciszek Maks. Sobieszczański i do użytku przekazał mi łaskawie. Pomnik ten mówi, iloraki był wyrób, z jakiego materyału opracowywany, ile zan płacono i t. p.

W tym-to pomniku znajduje się spis, w 1565 roku, z rozkazu wojewody Mazowieckiego, ułożony za pośrednictwem magistratu i urzędu Starościńskiego. Z niego dowiadujemy się: jakie rzemiosła w pomienionym roku popłacały w Warszawie, i jak je oceniała publiczność

([1]) Dzieła Wawrzyńca Surowieckiego, wydane przez Józefa Turowskiego, w Krakowie 1861. Patrz str. 186.

([2]) We wielu aktach dawnéj Polski (nie w samych tylko mazowieckich, jak mówi Czacki w Dzieł. II, 151, 2), były polowiczne księgi czyli łamanych stronic, które „Dudkami" zwano.

ówczesna. Cenę wyrobów obliczano na grosze, złote, talary. Według tablicy ewaluacyjnej, którą ułożył Tadeusz Czacki, wynosił grosz ówczesny $9^{21}/_{51}$ złoty, florenem zwany 9, talar, złotych 9 gr. $23^{29}/_{51}$ (*sic* Czacki: I, 200 w tabelli) na dzisiejszą monetę, czyli na kurs będący w obiegu r. 1800—1 w Warszawie, w którym dzieło Czackiego *O Litewskich i Polskich prawach* wyszło tamże na widok publiczny. W niem bowiem znajduje się rzeczona tablica.

Wydaję ten pomnik na tenże sposób co i wyżéj przywiedziony statut rybacki.

CENNIK

SZEWCZY, BOTHY, OBOW.

Szewczy aby dobrze rzemien wyprawowali, aby thesz bothy dobrze robili, pod winą 14 grziwien. Za takowem szacunku przedawania.

Skornie do kroku prawie dobre	gr.	18.
Skornie za koliana	gr.	12.
Bothy woznicze	gr.	14.
Bothy niewiesczie jalowicze	gr.	4.
Bothy panienskie skopowe	gr.	3½.
Bothy podrosztka	gr.	6.
Bothy chlopczowi	gr.	5.
Bothy kowane	gr.	12.
Przisyczie bothow wozniczych	gr.	4.
Przisyczie bothow mnieyszych	gr.	3.
Przisyczie panienskich bothow	gr.	2.
Przisyczie dziewek rzednych	gr.	2½.
Trzewiki męskie dobrego rzemienia	gr.	4.
Trzewiki pańskie (*tak*)	gr.	2½.
Trzewiki pańskie na paszach	gr.	4.
Trzewiki chlopczom po	gr.	2½.

Inszą robothe gdy szobie kto roskaze y chcze miecz na urząd robicz jako starguie Zaplaczicz ma.

RYMARZE.

Uzda na malego konia kmiecza	gr.	3.
Uzda woznicza szytha	gr.	4.
Uzda szucha woznicza iakiey kolwiek farby	gr.	4.
Uzda na konia wielkiego	gr.	7.
Uzda jezdzieczka krzygowa	gr.	10.
Uzda jezdzieczka Ziedną wodą	gr.	8.
Naglowek juchtowi poiedinkowy zwodami	gr.	10.
Podpierszien do Wloskiego sziodla	gr.	4.

Uzda juchtowa . . . . gr. 10.
Uzda Goncza zbialem wendzidlem . . . . gr. 4.
Mnieysza uzda . . . . gr. 3.
Popręg dwoisty sprzecziwniami . . . . gr. 4.
Popręg kmieczy . . . . gr. 2.
Slya szytha wielkiem koniem. . . . . gr. 8.
Slya mnieyszem koniem rzemianna . . . . gr. 6.
Szlia koniem kmieczem rzemianna . . . . gr. 4.
Pochwy wietsze juchtowe . . . . gr. 3½.
Uzdzienicza szewita ze dwiema wadzama . . . . . . gr. 5.
Uzdzienicza szewita ziedną wodzą . . . . gr. 4.
Uzdzienicza prosta . . . . gr. 3.
Puszliska szythe dobre. . . . . gr. 4½.
Poszwiska *(tak)* proste . . . . gr. 3.
Obladry wielkie . . . . gr. 4.
Obladry mnieysze . . . . gr. 3½.
Nabierzniki dochomątha . . . . gr. 8.

Inszą robothe urzendową wedlug rozmaithych Prządow *(tak)* y Stroiow iako ktho roskaze a starguie zaplaczy.

CZAPNICZY.

Czapka prostey welny . . . . gr. 1.
Czapkę okrąglo mitkową . . . . gr. 3.
Czapka okrągla welny dobrey . . . . gr. 6.
Czapka okrągla foldrowa . . . . gr. 3½.
Magierka grubey welny . . . . gr. 2.
Magierka mythkowa . . . . gr. 3.
Magierka foldrowa . . . . gr. 3.
Magierka dobrey welny . . . . gr. 5.
Kolpak wyszoki . . . . gr. 5.
Czapka czerwona foldrowa . . . . gr. 6.
Czapka czerwona dobrey welny . . . . gr. 6½.
Polkoniek niewiesczy . . . . gr. 6.
Nawlaczana Czapka . . . . gr. 5.

Inszą robothe urzędową iako ktho roskaze robicz zaplaczicz ma.

KRAWCZY.

Od Szukniey prostego szukna . . . . gr. 2. *(tak)*
Od Szukni niewiescziey prostego szukna . . . . . gr. 3.
Od Flazuki liepszego szukna . . . . gr. 5.
Od szathy szukna Lunskiego prosto uczynioney. . . gr. 3.
Od Letnika niewiescziego Czamlietowego . . . . . gr. 7.
Od Szerdecznika barchanowego . . . . gr. 2.
Od iedwabnego . . . . gr. 5.
Od plascza szukna drogiego . . . . gr. 4.
Od prostego plascza. . . . . gr. 2½.

Od szathy pralaczkiey alias od Reverendy . . . . . gr. 10.
Od Szaiana iedwabnego . . . . gr. 12.
Od Szaiana szukiennego . . . . gr. 5.
Od nogawicz zupelnych . . . . gr. 3.
Inszą robothę urzendową a dziwnemi kroiami jako ktho roskaze a starguie tak zaplaczi.

SZIODLARZE.

Sziodlo Tureczkie iuchtowe dobre . . . . gr. 45.
Sziodlo wloskie skrzidelkami rzemiennemi s szowitą skorą gr. 50.
Sziodlo Tureczkie sprostą skorą . . . . gr. 40.
Sziodlo glathskie *(tak)* spoduszkami pod nastalice . . . gr. 50.
Sziodło wloskie karwaczkie proste . . . . gr. 40.
Podklad pod Siodlo *(tak)* szierchi szarniny albo ielieniey gr. 4.
Sziodlo woznicze dobre . . . . gr. 16.
Podklad sprostey szierchli . . . . gr. 3.
Chomątho wielkie skliesczami . . . . gr. 12.
Chomątho na malego konia skliesczami . . . . gr. 8.
Podusk para na pierszy koniowi . . . . gr. 2.
Dymitek prostey skory nie iuchtowey . . . . gr. 13.
Inszą robothę urzendową iako ktho starguie zaplaczy.

MIECZNICZY.

Kord nowych kordow . . . . gr. 15.
Od oprawy korda gdy proste iedlcza bendą . . . . . gr. 6.
Za poszwy kordowe . . . . gr. 4.
Od malego miecza gdy kowacz iedlcza i glawicze y thaszki czynicz . . . . gr. 10.
Miecz prosty nowy . . . . gr. 15.
Kord prosty . . . . gr. 12.
Od miecza wielkiego oprawy . . . . gr. 6.
Inszą robothe urzendową iak kto starguie zaplaczy.

KOWALIE.

Za pare podkow do wielkiego konia . . . . gr. 3.
Za parę *(tak)* podkow do sredniego konia . . . . . . gr. 2.
Za sziekierę okrąglą . . . . gr. 6.
Od staliena siekiery *(tak)* . . . . gr. 3.
Siekiera szeroka poltoporze . . . . gr. 10.
Bindasz . . . . gr. 8.
Rydl z zieliaza dobrego . . . . gr. 3.
Mothyka . . . . gr. 1.
Bartha szeroka . . . . gr. 4.
Od wyrobienia szyny zieliaza na wszeliaką inszą robote . gr. 1.

POTRZIGACZE.

Od szukna drogiego od Lokczia . . . . gr. 1.
Od szukna tańszego *(tak)* . . . . gr. $\frac{1}{2}$.
Od szukna srzedniego czoby placzylo po dwanasczie *(tak)* gr., od kazdego Lokczia po szeliągu.
Od kothnoru . . . . gr. 1.
A od ynych szukien drogych wloskich utrfinu y inych szukien drogych iako kto *(tak)* starguie zaplaczy.

SZLIOSZARZE.

Strzemiona wloskie . . . . gr. 8.
Strzemiona wloskie z dny szerokiemi iako talierz mnieysze gr. 8.
Strzemiona z wielkiemi bartami . . . . gr. 10.
Strzemiona Huszarskie. . . . . gr. 5.
Strzemiona woznicze . . . . gr. 3.
Ostrogy wloskie . . . . gr. 6.
Ostrogy woienne przesz spodlarzow . . . . gr. 3.
Groth . . . . gr. 2.
Spisz . . . . gr. 3.
Grzeblo . . . . gr. 1.
Strzemiona stolczowe do ierczaka . . . . gr. 5.
Wędzydlo z wielkiemi kolczami do gonczey uzdy . . . gr. 3.
Kielczaki do kothczego . . . . gr. 3.
Za prosthe wędzidlo (*tak*) s prostemi czankami. . . . gr. 10.
Wędzidlo woznicze czarne. . . . . gr. 1.
Wkowka na kord Litowana . . . . gr. $1\frac{1}{2}$.
Na miecz wkowka pobielana . . . . gr. 3.
Wkowka na kord po iedney stronie. . . . . gr. 1.
Wkowka na miecz Smalczowana . . . . gr. 2.
Munstuk wloski s czankami dobry . . . . gr. 12.
Urzendową inszą robothe iako kto starguie zaplaczy.
Klodki węgliaste na trzi węgly . . . . gr. 3.
Klodka prosta . . . . gr. 1.
Zamek do skrzinie . . . . gr. 5.
Zamek do komnathy . . . . gr. 7.

STALMACHOWIE.

Koliebka wielka ze wszystkiemi narzodami (*tak*) . . . . flor. 16.
Koliebka mnieysza . . . . flor. 12.
Rydwan wietszy . . . . flor. 6.
Wosz woienny ze wszystkiemi narzedami (*tak*) . . . . flor. 5.
Osz dyszliowa z narzadem. . . . . gr. 6.
Wosz katrzczy ze wszystkiemi narzedami . . . . . . flor. 4.
Osz z narzadem y skretem zadnia . . . . gr. 4.
Takiesz osz zadnia na iedne^{o} konia. . . . . gr. 4.

KOLODZIEIE.

Kola do robotnego woza czterzy	gr.	20.
Kola furmanskie pro uno equo cztery (*tak*)	gr.	24.
Od prziokuwania kola iednego do okowu	gr.	3.

KUSZNIERZE.

Od wyprawy kuny	gr.	1.
Od popielicze	gr.	½.
Od Lissa	gr.	1.
Od poszyczia szathy szerokiey	gr.	10.
Od deliey	gr.	5.
Od podszyczia czapki szobolowey urobienia	gr.	4.
Od wyprawy skory baraniey	gr.	1.
Od iagnięczey	szeliąg	1.
Od wiewiorczey	kwartnik.	
Od wilka	gr.	3.
Kozuch wielki barani	gr.	40.
Kozuch do kolian barani	gr.	26.
Kozuch barani besz rekawow (*tak*) krotki	gr.	10.

ZLOTNICZY.

Od robothy Grziwny Szrebra	Taler	1.
Od robothy rytey skoycza	gr.	1.

ZAMESZNICZY.

Skora Loszia przednia dobrze wyprawiona	flor.	7.
Skora Loszia mnieysza zamszu	flor.	5½.
Skora ieszcze mnieysza zamszu Loszya	flor.	4.
Skora ielenia przednia zamszu prawie dobrego	flor.	4.
Skora ielena (*tak*) iescze mnieysza zamszu	flor.	2.
Skora ielenia pomnieysza zamszu	flor.	3.
Skora kozlowa przednya zamszu	gr.	15.
Skora kozlowa mnieysza zamszu	gr.	12.
Skora kozlowa jescze mnieysza zamszu	gr.	10.
Skora barania zamszu	gr.	12.
Skora barania mnieysza	gr.	8.
Skora barania iescze mnieysza	gr.	6.
A od wyprawienia skory Laszicy do zamszu	gr.	50.
Od wyprawienia skory jelieniey	gr.	26.
Od wyprawy (*tak*) skory kozlowey	gr.	4.
Od wyprawienia skory baraniey	gr.	3.

Pytanie zachodzi czy w przepisie o rzemiosłach, który jako projekt do prawa podał Zamojski, jest postęp istotny? Odpowiedź na to, że jest, ale mały — bo tylko w tém, co o kunsztach udzielił, znaj-

dujemy rzeczy naprzód posunięcie. Utrzymania i rozważnego urządzenia cechów nie dotknął, o szkole rzemieślniczéj nie pomyślał nawet.

Dbający o dobro powszechne obywatele uznali, że należy założyć szkołę, w któréjby się młodzież nie przez terminowanie u majstra, ale drogą naukową uczyła rzemiosła. Takiéj szkoły ślady już się w roku 1630 ukazują ([1]). Również takiéj zażądał Wawrzyniec Surowiecki ([2]) po upadku owéj, która w Opolu po r. 1750 ręką Stanisława Konarskiego, pijara, wzniesiona za przyczynieniem się Jana Tarły, wojewody Sandomierskiego, krótko tamże, bo ledwo do roku 1787 istniała. Sprowadzono do niéj najdoskonalszych, jakich znaleźć było można, stolarzy, garbarzy, sukienników i tkaczy, i zobowiązano ich do sposobienia w pomienionych rzemiosłach zebranéj do szkoły młodzieży. Sejm r. 1764 (vol. VII, 373) wziął szkołę tę pod szczególną swą opiekę, nakazawszy, ażeby wyuczona w niéj młodzież miała prawo osiadać po miastach i miasteczkach i na równi stawiana była z młodzieżą cechowo wykształconą. Zwiedzający Opole król Stanisław August r. 1787, już tam nie zastał téj szkoły, lecz w miejsce jéj gmach, przeznaczony na mającą się tamże założyć fabrykę sukna ([3]).

Zakończę artykuł mój poglądem na przepis o kunsztach, który w projekcie do prawa podał Zamojski. Dowody na to, co powiem, przywiodłem częścią w tym tu artykule, częścią w „Historyi prawodawstw słowiańskich” i w Dopełnieniach do niéj. Tam niech się uda po świadectwa, kto uzna potrzebę sprawdzić, co tu powiedzianém będzie.

Obywatelem w dawnéj Polsce bywał przez prawo uznawany ten tylko, kto własność ziemską lub miejską posiadał. Wszyscy byli sobie równi w obliczu prawa, lecz wyżéj od pospolitego męża ceniono tego, co kraj zbogacał lub zasłaniał go swemi piersiami przed napaścią nieprzyjaciela. Ztąd wielkie w kraju znaczenie kupca i rycerza. Drugi miał ważniejsze zadanie do spełnienia od pierwszego.

Kto się podjął być rycerzem, i w tym celu został przez panującego dobrami ziemskiemi uposażony, schodził na zero, jeżeli został z nich, jako niegodny je posiadać, wyzutym prawnie. W takim przypadku pozostawało mu jedynie wrócić do zarobkowania miejskiego lub wiejskiego, i znowu się dorabiać, by módz zostać kupcem, przedsiębiercą jakiego zakładu, rzemieślnikiem; albo wróciwszy do zarobkowania wiejskiego, stać się czynszownikiem. Wtedy jeżeli mu posłużyło szczęście, mógł zebrawszy kapitalik na kupno roli, za jéj

([1]) Wejnerta Staroż. Warsz. V, 13.

([2]) Historya Włościan, str. 271.

([3]) Historya szkół w Koronie i Wielkiém Księztwie Litewskiém aż do r. 1791 przez Józ. Łukaszewicza w czterech tomach, w Poznaniu, 1849—51 r. wydana. Patrz t. IV, 210—9. — Starożytna Polska; II, 1142—4.

pośrednictwem, lub mogło jego potomstwo płci męzkiej, zyskawszy uposażenie od króla dobrami, stanąć znowu w poczcie rycerstwa.

Mężów od pospolitych wyżej cenionych w narodzie nazywają kronikarze *nobiles*, gdyż łacińska mowa, w której pisywali, nie dostarczała im na to innego wyrazu. Dodawali do tego wyrazu drugi, zatrudnienie, którém się kto zajmował, oznaczający. Niekiedy kładziono i trzeci, zacność w obywatelstwie, jeszcze wyżej cenioną, znamionujący.

Trwało to do XV wieku; wtedy nastał inny skład obywatelstwa. Nikt już wówczas prócz rycerza i jego potomstwa dobrami ziemskiemi, k'woli wojaczki lub służby rządowéj, opatrywany nie bywał.

Czytamy w kronikach i pomnikach prawa: *Miles Palatinus famosus* alias *szlachcic*. Czytamy téż: *civis Consul sartor famosus dominus* (1). Lub téż: *nobilis balneator et barbitonsor* (2).

Okoliczność ta zaczęła razić tych, którzy spanoszywszy się na rycerstwie, a pełniąc urząd wojewody, kasztelana i t. d. poczytywać się zaczęli za coś wyższego od pospolitego rycerstwa. Osobliwie ten, co pełnił urząd miejski, lub zajmował się rzemiosłem (przypuśćmy krawiectwem) lub jakiém przedsiębierstwem, (utrzymując golarnię) i t. p. bywał w oczach owego znakomitszego rycerstwa w poniewierce. Mężowie ci, wszyscy dostojnicy, i t. p. mając w tém swoję rachubę, zaczęli mało po mału przyjmować do herbu swego owych po miastach zarobkujących rycerzy, odciągać ich od miejskich zatrudnień, a otwierać im widoki na uposażenie dobrami powszechnemi.

Udało się im to lubo nie ze wszystkiem. Znowu bowiem w XVII wieku zaczęto się odzywać ze zdaniem: że nie każde zarobkowanie miejskie upośledza, że od zwyczajnych rzemiosł odróżnić należy zajmowanie się tak zwanemi sztukami wyzwolonemi.

Uchwycił za to Zamojski, i w projekt do prawa wsunąwszy kunszta, zbratał je przez to z rzemiosłami. Dzięki mu i za to!

---

(1) Pomniki Helcla, r. 1441, nr. 2945.
(2) Tamże, r. 1471, nr. 4048.

NARCYZA ŻMICHOWSKA.

SDUDYUM LITERACKIE.

PRZEZ

Piotra Chmielowskiego.

Wielka, a długo nierozumiana poetka, oprócz dzieł znakomitych, które się jeszcze nie doczekały wyczerpującego rozbioru, zostawiła nam nadto w swoim testamencie literackim, któremu napis „Czy to powieść" nadała, bardzo cenną przestrogę. „Umarłym — napisała w nim — należy się pamięć, zachowanie stosunku przez utrwalenie we własném życiu ich zasad, gdy były poczciwe, przez dosnucie ich zamiarów, gdy były szlachetne; zachowanie tak wierne, jak wiernie dziejowość je zachowuje.... Nie płaczmy, ale pamiętajmy, iż nasze życie — życie umarłych przedłuża."

Poznać zasady, któremi się Gabryella w życiu i pismach swoich kierowała; wykazać zamiary, do urzeczywistnienia których dążyła, oznaczyć wartość jéj literackiéj przynajmniéj działalności: oto przedmiot obecnego studyum, w myśl zmarłéj podjętego. Wiem dobrze, że tego nie dosyć: Żmichowska zasługuje jeszcze na hołd ze względu na działalność społeczną, w ściślejszém znaczeniu wyrazu; nie wątpię, że z czasem pomnik takiego hołdu wystawionym jéj zostanie. Zanim jednakże krewni i przyjaciele poetki zgromadzą potrzebny materyał; zanim można będzie ogłosić zbiór jéj listów, tych najautentyczniejszych dowodów myśli i uczuć każdego pisarza; zanim okoliczności jéj życia z ogólnemi dziejami kraju związane, należycie wyjaśnione zostaną: wypada poznać to, co nam sama poetka do rozpamiętywa-

nia drukiem przekazała. Zdania o tak niewyjaśnionych utworach i wnioski z nich wyciągnięte nie mogą być wprawdzie wszechstronnemi, gdyż takiemi jedynie przy dokładnéj znajomości życia Gabryelli staćby się zdołały; w każdym jednak razie będą próbą oceny wielkich jéj pomysłów, gorących uczuć i szlachetnych dążności: studyum, które czytelnikom podaję, nie rości sobie prawa do innego znaczenia.

I.

Dzieciństwo Żmichowskiéj. — Wpływ epoki napoleońskiéj, stosunków krajowych i rodzinnych. — Wpływ przyrody. — Nauka szkolna. — Ówczesny stan zakładów naukowych dla płci żeńskiéj. Ustanowienie „Dozoru Pensyj". — Szczegółowa instrukcya względem sposobu dawania nauk, z r. 1826. — Kierunek pietystyczny i poziomo utylitarny w wychowaniu. — Charakter Zuzanny Wilczyńskiéj; jéj wpływ na moralne wychowanie Narcyzy. — Instytut guwernantek po roku 1830. — Znaczenie „gruntowności" w nauczaniu. — Koniec urzędowéj edukacyi Żmichowskiéj.

Dzieciństwo Żmichowskiéj upłynęło wśród ciszy wioski podlaskiéj i serdecznego ciepła ogniska rodzinnego. Przyjście jéj na świat (4 marca 1819 r. w Warszawie) matka życiem przypłaciła, zostawiając sierotkę opiece ojca, Jana, i licznie rozrodzonych krewnych. Podług jednych, pierwsze lat ośm przepędziła u wujowstwa; podług innych, okres ten na dwie nierówne rozpadł się chwile, tak, że pierwsze lat sześć u stryjenki Tekli a dwa lata u wujenki Kiedrzyńskiéj przebyła. Jakkolwiekbądź, pierwsze zapamiętane i nieraz późniéj z głębi duszy wydobywane wrażenia odebrała Narcyza w dworku wiejskim, otoczona staraniem kochającéj rodziny. Jakie to były wrażenia, o tém po szczególe trudnoby było coś stanowczego powiedzieć; ale przywoławszy na pomoc wspomnienia dziejowe, stan ówczesny umysłów i własne Żmichowskiéj wyznania, można będzie sobie ogół ich przynajmniéj w przybliżonym obrazie wystawić.

Były to więc przedewszystkiem czasy rozpamiętywań o wielkim bohaterze wieku, którego unicestwienia, zniknięcia ze sceny świata, śmierci poprostu takiéj, jakiéj się każdy śmiertelnik, chętnie czy niechętnie, doczekać musi, bardzo a bardzo wielu przypuścić nawet nie chciało, pomimo drukowanych w téj i owéj gazecie wiadomości. Tradycya wydarzeń krajowych, z imieniem tego bohatera złączonych, była naówczas tak żywa, jak żywym być musi fakt każdy, którego świadkowie naoczni i silnie zainteresowani spółsprawcy mówią, chodzą, krzątają się, żyją wśród nas. Wieści o wydarzeniach owych, opromienione wszystkiemi blaskami zachwytu, uwielbienia i chwały, — bo czas na zimną refleksyą ani natenczas, ani długo późniéj nie nadcho-

dził jeszcze — nie przybywały jak dzisiaj za pośrednictwem małych czarnych znaczków na papierze i to w dość dalekiéj od dzieciństwa epoce, ale niemal z pacierzem razem napływały do serc i umysłów dzieci bezpośrednio z otaczającéj je atmosfery. Nie były to więc wieści takie martwe, bezduszne jak o faraonach egipskich, lecz prawie takie żywe, takie uderzające, takie poufałe, jak codzienny bieg życia dziecięcego. Skutkiem ich nie były wrażenia jedynie, że się tu ulubioném Gabryelli posłużę wyrażeniem, lecz istotne, umysłowe zdarzenia, które się bezzwłocznie wplatały w wątek dziejowy słuchaczy.

Wieści owe przedstawiały się jako tradycya wielkości, potęgi, sławy, walki bohaterskiéj. W ustach wojowników, co mieli zaszczyt służyć w wielkiéj armii, inaczéj one wyglądać nawet nie mogły; wszakże o wiele późniéj o wiele potężniejsze, niż całego zastępu rycerzy, umysły nie mogły się wyłamać z pod nacisku bałwochwalczéj czci dla Napoleona. Kilka sceptycznych co do zamiarów wielkiego Korsykanina przekonań, jakie się już wtedy u nas pojawiały, nie mogły działać na massy. Nie tu miejsce rozbierać krytycznie, kto miał racyą: sceptycy czy entuzyaści; nie piszę bowiem historyi owych czasów, lecz kreślę tylko obraz współczesnych przekonań ogółu. Że one działały i w rodzinie Żmichowskiéj, o tém pośrednio wprawdzie, ale niemniéj stanowczo, świadczą początkowe ustępy ostatniego jéj utworu p. n. „Czy to powieść", w których działanie owych przekonań bardzo umiejętnie przedstawić zdołała.

Obok tych wspomnień z przeszłości, wieści także o rojeniach na przyszłość, nie zbyt wprawdzie śmiałe i nie bardzo pocieszające, nawiedzać musiały domek wiejski w poufnych gawędkach o losie kraju. Jakkolwiek ciężkie, nie było jednak rozpaczliwém ówczesne położenie; sejm przynajmniéj, reprezentacya kraju, mogła jeszcze, jeżeli nie polepszyć go, to naradzać się nad nim i wskazywać jednostkom drogi, po których idąc mogłyby cel zamierzony — dobro powszechne — osiągnąć.

Rozumie się, że te wpływy nie mogły działać tak silnie na wyobraźnie dziecinne jak pierwsze, które zewnętrznemi oznakami: mundurem, krzyżem w nich się upamiętniały. Nie myślę wcale przeceniać znaczenia jednych i drugich; wiem, że umysły dzieci niezdolne są do pojęcia interesów ogólniejszéj natury i nie ulegają w zupełności tym prądom duchowym, jakie na nie działają; to jednakże pewna, że jedno silne wrażenie skupia w około siebie całą grupę innych pokrewnych tak, że wszystkie potém na życia całego własność przechodzą. Otóż do takich silnych wrażeń była naówczas sposobność. Różnemi drożynami, które nieraz świecidełka dziecinne ubarwiały, przechodziły z otoczenia starszych do młodszych i najmłodszych, i napajały ich żądzą czynu, odznaczenia się, albo też tylko dobréj doli nadzieją. To były wpływy powszechnéj atmosfery duchowéj. Dzieci przejmowały się niemi za pośrednictwem roz-

mowy, anegdoty, wypadków, tradycyj rodzinnych, śpiewów Niemcewicza. Przypuszczając je, łatwo zrozumiemy wspomnienie, z tego okresu życia młodziutkiej Narcyzy przechowane, że dziewczynka odwiedzając wraz z krewnymi Puławy „zachwyciła się pięknością nagromadzonych tam wówczas pamiątek" (1).

Z innych wpływów najważniejsze bezwątpienia były religijne i rodzinne. O pierwszych nic jednak w szczególności powiedzieć nie podobna, a przykładać miarkę ówczesnego pietystycznego kierunku ogarniającego klassy wyższe w Warszawie i na prowincyi, do mieszkańców szlacheckiego dworku byłoby rzeczą niestosowną; powtarzać komunały o prostéj, szczeréj i serdecznéj wierze — zbyteczną, kombinować zaś późniejsze przekonania Gabryelli z ogólnym poziomem religijności w kraju i dość niewinnie wolteryańskiemi wybrykami wojskowych i niewojskowych, którzy wówczas istnieli i mogli nawiedzać dom krewnych Żmichowskiéj — hazardowną. Nie narażając się więc ani na pierwszą ani na drugą ani na trzecią niestosowność, lepiéj podobno o tych wpływach ostrożne nateraz zachować milczenie, dopóki fakta przerwać go nie zniewolą.

O stosunkach rodzinnych wiemy tylko tyle, że Narcyza miała kilku braci i kilka siostr starszych od siebie i że pomiędzy niemi najserdeczniejsza panowała miłość, mianowicie brat Erazm upamiętnił się nie tylko w sercu siostry, lecz i w pismach „Gabryelli" (2). Z krewnych czciła Gabryella „pamięć świętéj kobiety-anioła", któréj prawdziwie macierzyńskie zawdzięczała starania. Była-to stryjenka Tekla. Z jéj wspomnieniem łączy się inne, które nam rozszerzy zakres wpływów, jakim młody umysł Narcyzy w dzieciństwie ulegał. Mówię tu o blizkiem przyjrzeniu się światkowi ludowemu, o spoufaleniu się z jego dolą i niedolą, z jego wyobrażeniami odbijającemi prawdę czy przesąd, z jego uczuciami i nawyknieniami. Narcyza będąc dzieckiem, uczestniczyła w tych roboczych zebraniach wieśniaczek, które się w jednych okolicach wieczornicami, u Gabryelli zaś „wieczorami prządek" nazywają. — „Alboż-to ja raz pamiętam — powiada — jak ona (t. j. owa „święta kobieta") len biały rozdzieliwszy, sama siadła przy kominie z dziewkami, a ja przy niéj na ławie bezczynna, bo jeszcze za drobne miałam do przędzenia palce, jednak w późną noc czuwając: tak mi się spać nie chciało, tak zawsze wypraszałam się od łóżka! Ha! trzeba też przyznać, że na dziesięć mil dokoła nigdzie równie pięknych jak u nas nie opowiadano bajek, a nasze prządki chwaliły się też, że i len nigdzie tak biały nie był i że lnu tak cienka nitka nie skręcona; tkacz to samo o naszych talkach powiadał, okoliczne wioski wcale temu nie przeczyły; sława naszych dziewczyn rozchodziła się daleko...." (3).

---

(1) W. Żcleńska w Kłosach 1877, I, 26.
(2) W „Wyjątkach z podróży kobiety".
(3) Pisma Gabryelli, 1861. T. I. str. 8.

Widok patryarchalnego pożycia, bajki o królewnach i królewiczach, uczucia przychylności i przyjaźni, uczynności i wdzięczności miłe zostawiły w sercu Żmichowskiéj wspomnienie, tak, że w ostatnich życia swego chwilach z istotną, nieafektowaną przyjemnością do nich wracała. — „Dziwna rzecz — mówi — daleko niesprawiedliwsze były wówczas warunki położenia, a przecież daleko łatwiejszém zbliżenie się dworu z chałupą na czysto ludzkiéj drodze. Przypuszczam, że i wówczas chłop miał niechęć do pana, pan miał lekceważenie i w wielu razach pogardę dla chłopa; ale poza temi hierarchicznemi stanowiskami zdarzało się, że Kuba w sukmanie a Jakób w surducie zasiadali do wspólnéj gawędki, radzili o wspólnych interesach, wyświadczali sobie przysługi wzajemne i Kuba szczerze był do Jakóba przywiązanym, a Jakób wielce Kubę szanował. Między kobietami jeszcze łatwiéj było o życzliwy stosunek... Dzisiaj słyszę nierzadko o właścicielach ziemskich, którzy wiele czynią dla podniesienia oświaty i dobrobytu sąsiadujących z nimi włościan; słyszę rzadziéj już, ale słyszę, że i gromada w pewnych okolicznościach jawny dowód szacunku i zaufania swemu sąsiadowi właścicielowi ziemskiemu daje; ale o osobistych, trwałych i życiem zaświadczonych przyjaźniach, dawno, ach! bardzo dawno nie słyszałam pono"(¹).

Wrażenia, od tworów i zjawisk natury odebrane, nie odznaczały się rozmaitością; nie mogły stać się karmią dla wyobraźni: płaszczyzny, piaskiem zasypane, z roślinnością niezbyt bujną, bez widoków malowniczych, może do tęsknéj usposabiały zadumy, może też nie zwracały wcale uwagi, oswajającéj się z niemi łatwo. Zdrowie tylko fizyczne i pewną trzeźwość umysłu okolice Podlasia podtrzymywać mogły. Bory jedynie i pięknie urządzone ogrody, na które naówczas nastała moda z przykładu kilku magnatów, jednostajność wrażeń przerywały. Żmichowska przechowała w pamięci wspomnienie „jednéj płaskiéj, dość piaszczystéj Podlasia okolicy, gdzie w promieniu mniéj więcéj pięciu mil dokoła było ze *siedm pięknych ogrodów;* a oprócz tego każda jednowioskowa obywatelka, każda lepiéj się mająca dzierżawczyni, ze swego *sadu* sama obficie wszelkiego używała owocu, domownikom go nie skąpiła, obdzielała nim sąsiadów, a jeszcze się jéj na sprzedaż, no, i na nieuniknioną stratę dość zostało" (²).

Z ósmym rokiem rozpoczął się nowy, również ośmioroczny, okres w życiu Narcyzy, naznaczony szczegółami nauki szkolnéj. W tym właśnie czasie oddano ją na najsławniejszą naówczas pensyą warszawską Zuzanny Wilczyńskiéj. Myślano wtedy naseryo nad reformą wychowania kobiecego. Już w roku 1820 namiestnik króle-

(¹) Czy to powieść? Wiek, Nr. 24 r. 1877.
(²) Dzieła Hofmanowéj, wyd. Żmichowskiéj. T. VIII. str. 240.

stwa, książę Zajączek, wyznaczył był Kajetana Koźmiana, członka rady stanu, znakomitego nauką, talentem i zacnością, na wizytatora nadzwyczajnego wszystkich pensyj i szkół żeńskich, polecając mu, ażeby je zwiedził, troskliwie wewnętrzne ich urządzenie na miejscu rozpoznał, to, co pozostaje do ich ulepszenia, należycie zebrał i raport o tém wszystkiém złożył. Wizyta wypadła dla zakładów wychowawczych bardzo niepomyślnie. Koźmian zauważył: że najważniejsze części wychowania w instytucie dla płci żeńskiéj w stolicy zupełnie były zaniedbane; że ówczesny ich stan nie zapowiadał nawet dla obyczajów dość silnéj rękojmi; że osoby utrzymujące je nie tyle przejęte były zamiłowaniem powinności lub duchem powołania swojego, jako raczéj żądzą dogodzenia widokom osobistym i spekulacyą zarobkową i t. d. Szczegóły tego smutnego obrazu wykazywały nieudolność nauczających, zbyteczne pobłażanie przełożonych i większe upodobanie w zebraniach towarzyskich, przechadzkach publicznych i widowiskach, aniżeli w nauce (1).

Komissya rządowa wyznań i oświecenia, uorganizowana nanowo w roku 1821, poznawszy stan opłakany pensyj żeńskich, postanowiła w tymże roku utworzyć dla zaradzenia złemu komitet wykonawczy pod nazwą „Dozoru pensyi i szkół niższych i wyższych płci żeńskiéj”, na czele którego stanął sam Stanisław hr. Grabowski, ówczesny minister wyznań religijnych i oświecenia publicznego. Jego zastępcą, a głównym kierownikiem czynności dozoru, został Marcin Zaleski, referendarz stanu. Wydano natychmiast regulamin publicznego wychowania dziewcząt, p. n. „Urządzenie pensyj i szkół dla młodzieży płci żeńskiéj” (Warszawa, 1821), w którym postawiono bezwarunkowe wymaganie kwalifikacyj naukowych od chcących otworzyć nowy zakład naukowy; podzielono pensye na niższe i wyższe; w wyższych wymagano, ażeby mężczyźni byli nauczycielami; przepisano zakres nauk, wewnętrzne gospodarskie urządzenie zakładu, zabroniono „bali, redut, kasyna, teatru” z wyjątkiem balików dziecinnych w czasie karnawału lub świąt „które ochmistrzyni pensyi może dawać z zaproszeniem drugiéj pensyi i na nie być zaproszoną, do pensyi *téjże saméj tylko płci*” (str. 37). Ten ostatni dodatek wymierzony był przeciw dawnemu zwyczajowi, który dozwalał zabaw w uczestnictwie pensyj męzkich, co dawało pochop — jak raportował Koźmian — „do zawierania zgubnych dla niedojrzałéj namiętności zaznajomień, błędnych związków i obudzania wrażeń najszkodliwszych w wieku nieugruntowanego jeszcze serca i nieukształconego umysłu”.

Po tym ogólnym regulaminie wychodziły, prawie rok za rokiem,

(1) Streszczenie raportu Koźmiana znajduje się w książce Karola Milewskiego p. n. „Zarys wychowania publicznego płci żeńskiéj w Polsce“. W drukarni Jasnéj Góry Częstochowskiéj. 1851 str. 41—43.

szczegółowe przepisy co do kwalifikacyi ochmistrzyń, guwernantek, nauczycieli i nauczycielek, co do wewnętrznego urządzenia pensyj i szkół wyższych, co do sposobu dawania nauk. Troszczono się o najmniejszą drobnostkę; starano się tak wszystko urządzić, żeby dla ochmistrzyń pozostała jedynie praca ścisłego przepisów wykonywania. Najwięcéj nas w tém miejscu obchodzi zakres i sposób udzielania nauk. Szczegółowa pod tym względem instrukcya wyszła w r. 1826 (1); a zatém w czasie, kiedy ośmioletnia Narcyza przestępowała próg szkolny, powinna już była być na pensyach zastosowaną, a przedewszystkiem na pensyi Wilczyńskiéj, któradawną i zasłużoną miała reputacyą.

Cel wychowania i wykształcenia w tém upatrywano, ażeby z zakładów naukowych wychodziły „troskliwe żony, rządne i sumienne gospodynie”. „Nie do działania w obszernym zakresie — powiedziano w instrukcyi — *nie do szukania sławy* w zawodzie prac i usług publicznych, nie do kierowania sprawami ważnemi, od których losy rodzin zależą, płeć ta jest przeznaczoną, lecz do cichego i rządnego pożycia, do zatrudnień najbliższych, do szczegółów domowych, od których dobrego urządzenia zależy *spokojność domowa, obfitość i dobrobyt* osób familią składających, a częstokroć *porządek i bezpieczeństwo całego majątku*” (2). To poziomo-utylitarne zapatrywanie się na spokojność domową, obfitość i dobrobyt rodzin, miało przewodniczyć wychowawczyniom w ich wielkim i trudnym zawodzie. Rozwinięcie umysłu, rozszerzenie granic wiedzy, dążenie do samoistności duchowéj zniknęło w ciasném kole „zatrudnień najbliższych”.

Tym duchem przejęte są przepisy, sposobu udzielania wszystkich nauk dotyczące, poczynając od nauki religii, którą instrukcya nazywa „najpierwszą co do przedmiotu, najważniejszą *co do użytku*”, przechodząc historyą świętą, naukę moralną, nauki przyrodzone, które „nie tak w teoryi uczonéj, jako raczéj w użytecznych zastosowaniach obejmować mają *korzystne* w życiu domowém i gospodarskiém wiadomości” (3), technologią, arytmetykę, historyą powszechną i polską, którą nie tyle pod względem politycznym, ile raczéj pod względem moralnym przedstawiać zalecono (4); a kończąc na nauce geografii, języków i talentów, które „mają albo bezpośrednią swoję użyteczność, ile się tyczą zatrudnień płci téj właściwych, albo dalszą, ile *uprzyjemnić* mogą chwile spoczynkowi lub towarzystwu poświęcone” (5). Dążność do utylitarnego wychowania w dość

(1) Szczegółowa instrukcya względem sposobu dawania nauk po pensyach i szkołach wyższych płci żeńskiéj. W Warszawie. W drukarni szkolnéj. 1826. stron. 41.

(2) Szczegółowa instrukcya, str. 7.

(3) Tamże, str. 8.

(4) Tamże, str. 24.

(5) Tamże str. 35.

ciasném słowa tego znaczeniu, daje się szczególniéj widzieć w nacisku, jaki położono na naukę technologii i w objaśnieniach do wykładu dziejów. O pierwszéj powiedziano: „Ochmistrzynie instytutów i nauczyciele takowych przedmiotów niech pomną: że na porządném ich uczeniu wiele rządowi zależy; że szczególna uwaga na to zwrócona będzie w czasie zwiedzań i egzaminów i że wywiązujący się dokładnie i gorliwie z takowych obowiązków szczególnego prawa do względów i opieki rządowéj nabędą" ([1]). W przepisach co do dziejów czytamy: „Niechaj im (t. j. uczennicom) okazaném będzie, że największe zaburzenia i nieszczęścia rodu ludzkiego miały częstokroć przyczyny *nader małe* i *niewiele znaczące*; że klęski i upadek narodów w blizkiej lub odległéj przeszłości mają źródło swoje w zepsuciu obyczajów, w odstąpieniu od cnót narodowych, w miękkości, zbytkach i skażeniu charakterów. Niechaj się przekonywają, jak *słabém i niedołężném* jest to wszystko, o co ludzie powszechnie ubiegają się i do czego zmierzają w swoich usiłowaniach. Roztropnie kierując uwagą i rozsądkiem młodzieży, wskazując w jaką ohydę podpadli *(sic)* ci, którzy zboczyli z drogi poczciwości nieskazitelnego sumienia, należy wystawić cnotę wyższą nad wszystko, występek zaś prędzéj czy później ukarany i sromotą okryty. Niechaj historya nie będzie samym tylko odgłosem nieszczęść, gwałtów i morderstw; ale raczéj zbiorem dzieł wielkich i czynów cnotliwych. Najezdników cudzéj ziemi, łupieżców i burzycieli miast, ciemiężycielów ludzkości, zniewieściałych sybarytów, bezwstydnych Messalin, srogich Domicyanów i okrutnych Neronów o tyle tylko wystawiać należy, o ile przykładem swoim stwierdzić mogą nieszczęśliwe dla siebie i ludzkości z występków skutki" ([2]).

W tym duchu zaczęto wydawać specyalne dla płci żeńskiéj podręczniki szkolne: Karol Milewski, sekretarz „Dozoru Pensyj" ogłosił podług powyższego planu „Wiadomości z historyi powszechnéj dla pensyj i szkół wyższych płci żeńskiéj"; a Łukasz Gołębiowski „Wiadomości z historyi polskiéj"; inni z innych nauk.

Kierunek pietystyczny, zgodny z ówczesném usposobieniem wyższych sfer rządowych wogóle, a ministra Grabowskiego, dyrektora Szaniawskiego i kuratora Oebschelwitza w szczególności, najściślej był na pensyach zachowywany; spełniania praktyk religijnych, częstych spowiedzi i t. p. najskrupulatniéj przestrzegano.

Takie urządzenie pensyj zmierzało ku temu, ażeby — jak się wyraża instrukcya — umysły kobiece, bujaniom imaginacyi oddane, przybrawszy kierunek opaczny, zamiast starać się o osłodzenie bytu rzeczywistego, nie błąkały się w „świecie idealnym", coby mogło poprowadzić „do zgubnego próżnowania, do *tęsknoty*, do odrazy

---

([1]) Szczegółowa instrukcya, str. 12.
([2]) Tamże, str. 22 do 24.

a nawet wzgardy zwyczajnych obowiązków i pospolitych życia stosunków" ([1]). Lękano się, jak widać, wpływu poezyi romantycznéj, która naówczas w r. 1826 licznych już miała wielbicieli i zwolenników; usiłowano mu więc zapobiedz za pośrednictwem jak najtrzeźwiejszego, jak najpraktyczniejszego, jak najmniéj idealnego wychowania. Może téż obawa przed emancypacyjnemi teoryami Saint-Simonistów, którzy wtedy pod przewodnictwem Olinde Rodrigues'a Bazarda i Enfantin'a w czasopiśmie p. n. „Producteur" (1825) zaczęli się żywo krzątać, budząc w sferach wyższych pewien niepokój, zwiększony następnie (od 1828) publicznemi odczytami, zmuszała komissyą wyznań i oświecenia do wyciągnięcia kordonu zdrowia przed pensyami żeńskiemi. Częste i wielce ożywione stosunki Polaków z Francuzami, co nam nawet teoryj rządu konstytucyjnego i doktrynerów konstytucyjnych wówczas dostarczały, mogą domysłowi temu nadać niejaką cechę prawdopodobieństwa, tembardziéj, że syn generała osobiście w Polsce znanego, Hipolit Carnot, który z Polakami żył bardzo po przyjacielsku, w tym czasie do zapalonych Saint-Simonistów należał ([2]).

Choćby wykonanie programu, nakreślonego przez „Dozór pensyj", uległo w praktyce licznym modyfikacyom, to przecież duch jego cechą trzeźwéj prozaiczności i utylitaryzmu odznaczony, tak licznych w sferze wychowawczéj miał zwolenników, Klementyny Tańskiéj nie wyjmując, iż można być pewnym jego panowania na pensyi Wilczyńskiéj, która z początkiem r. 1829 uznaną została przez rząd za *wzorową*, tych samych dostała nauczycieli, co i instytut guwernantek, założony w r. 1825, i miała ten przywilej, że każda uczennica klassy trzeciéj mogła bez egzaminu być przyjętą do 1-go oddziału tego instytutu. W roku 1830 Zuzanna Wilczyńska została główną obu zakładów ochmistrzynią, a w trzy lata potém i pensya wzorowa i instytut zostały połączone, zarówno pod względem urządzenia, jak i lokalu.

Były to jedyne zakłady naukowe, co przez ten cały przeciąg czasu funkcyonowały bez przerwy i nie zostały dotknięte po r. 1831 rozkazem zamknięcia. Żmichowska przez lat sześć była na pensyi Wilczyńskiéj. Czy pochłaniała tylko biernie karm' naukową, czy też z rozwijającym się umysłem stawała wobec niéj na stanowisku dziecięco-krytyczném — nie wiem. Biografowie dotychczasowi przytaczają jeden fakt, świadczący o pewném oppozycyjném usposobieniu uczennicy, która odważyła się wielbić czasy rewolucyi francuzkiéj, co wśród ówczesnych „restauracyjnych" dążności jakieś niezadowolenie ze strony zwierzchności pedagogicznéj wywołać miało.

---

(1) Szczegółowa instrukcya, str. 8.

(2) Biographie générale, pod red. Hoefera. tom 4 i 43. — Wspomnienia moje o Francyi, przez Ł. z G. R (autenstrauch). Kraków. 1839. str. 374. 375.

Bądźcobądź, umysł bogacił się zbieraniną faktów, a serce pod macierzyńską opieką ochmistrzyni swobodnie bić mogło. Dla Wilczyńskiéj miała zawsze Żmichowska słowo nie tylko serdecznéj pochwały, ale niepodrobionego uwielbienia. Miała ona według swiadectwa Narcyzy niepohamowaną słabość do uczennic zdolnych: „gdzie tylko wybitniejsza zdolność jéj uwagę zwróciła, czy w milionowéj dziedziczce, czy w córeczce stróża, czy w podrzutku nawet, tam wnet jéj serce lgnęło". I gdy tylko ujrzała najdrobniejszą zdolność i chęć do nauki, pomagała biednym bezpłatném na pensyi umieszczeniem. „Parę takich wychowanek, wprost od opiekunki swojéj z błogosławieństwem i wyprawką, jak od rodzonéj matki, za mąż poszło". Choć uczennicom wydawała się wszechwładną i groźną ochmistrzynią, z natury jednak Wilczyńska była „miękką, łagodną, trwożliwą kobietą", która wszystkim robiła ustępstwa, łatwo wyzyskiwać się dawała i nieraz znaczne straty ponosiła. Posiadała jedynie hart poświęcenia i czynnéj bliźnich miłości. Jak w ciągu nauki troskliwą otaczała opieką wychowanki, tak późniéj wywiadywała się o ich powodzeniu: dobry los ją cieszył, zły martwił; a zawsze była gotowa ku pomocy „za byle słowa wezwaniem dobrą radą strzegła od błędu, pobłażaniem i cierpliwością prostowała ścieżki już zbłąkanych". Do liczby przygarniętych przez Wilczyńską „biedaczek", którym ona „dała chleb ciała i chleb duszy, odzież zewnętrzną i umysłowe stroje" należała i Żmichowska według jéj własnego zeznania [1]. Słowem, u Wilczyńskiéj doznawała takich samych serdecznych wrażeń, jak niedawno na wsi wśród krewnych.

Dwa lata przepędzone w „instytucie rządowym wychowania panien", który w mowie potocznéj zwykle się instytutem guwernantek nazywał, a zostawał już wówczas pod zarządem Wilczyńskiéj, pod względem uczuciowym te same przedstawiały wpływy; pod umysłowym zaś rozszerzały zakres nabytych na pensyi wiadomości. Zmiany zaszłe po r. 1831 dotyczyły tylko zewnętrznych niektórych okoliczności. W r. 1832 Matylda Abramowiczowa, która dawniéj utrzymywała pensyonat żeński w Tyflisie, została mianowana „wizytatorką generalną instytutów wyższych wychowania panien"; a szczególniejszéj jéj opiece oddano instytut guwernantek, który wtedy właśnie przeniesiono do domu Kernerowéj (późniejszy pałac arcybiskupów) i połączono z pensyą wzorową Wilczyńskiéj. Abramowiczowa urządziła instytut pod względem zewnętrznym na wzór instytutu szlacheckiego św. Katarzyny w Petersburgu, pomnażając liczbę osób dozorujących wychowanki, uporządkowała służbę zdrowia, pomoc lekarską i t. p. Plan nauk pozostał nienaruszony; dodano tylko język, literaturę i historyą rossyjską, a plan ten tém się tylko różnił od rozkładu przedmiotów na pensyach wyższych, że

---

[1] Dzieła Hofmanowéj, wyd. Żmichowskiéj; Tom VIII, str. 272, 273, 274.

w nim wykładano pedagogikę (Tomasz Dziekoński) [1]; większa tylko szczegółowość i gruntowność miała przygotowywać dla kraju zdolne nauczycielki. Instytut dzielił się na trzy oddziały: trzeci atoli oddział był tylko rodzajem próbnych lekcyj. Zdatniejsze i pilniejsze jego uczennice miały obowiązek powtarzania zadanych lekcyj z uczennicami oddziału pierwszego, co miało kształcić korrepetytorki. Prócz tego one w pensyi wzorowéj zazwyczaj zastępowały professorów w ten sposób, że nauczyciel rozpoczynał lekcyą, w obecności wychowanki trzeciokursowéj i następnie dalsze jéj prowadzenie powierzał téjże, sam będąc przytém obecny i robiąc następnie uwagi co do jéj wykładu, dając wskazówki, wytykając błędy i t. p.

Jeżeli teraz zastanowimy się nad tém: jaki mógł być rezultat ośmioletniéj edukacyi? nietrudno nam będzie wywnioskować, że nawet przy najlepszych chęciach i zdolnościach świetnym być nie mógł. Naukę bowiem poczytywano częścią za „ozdobę umysłu" niewieściego, częścią za narzędzie do osiągania najbliższych praktycznych celów....

Ani historyi, ani geografii, ani nauk przyrodzonych nie mogły uczennice poznać umiejętnie; przedstawiały się one w ich umyśle w postaci oderwanych wiadomostek, sklejonych albo sensem moralnym, albo możnością bezpośredniego zastosowania. Wprawdzie i pedagodzy ówcześni, i Szaniawski, i Oebschelwitz i „Dozór pensyj" wołali o „gruntowność", ale pod tą gruntownością rozumiano zazwyczaj wstręt do „rezonowania" jedynie, bo wiadomo, że wszystkich filozofów XVIII wieku najenergiczniéj wówczas o „płytkość" oskarżano. Otóż to, co się sprzeciwiało duchowi encyklopedyzmu czy racyonalizmu, co walczyło przeciw „idealnemu bujaniu": to wszystko nazwano gruntownością; ale istotnéj gruntowności tak bardzo nie pragniono, co najoczywiściéj widać z braku wszelkiéj systematyczności w planie nauk przyrodzonych, które, jak to mówią, „po łebkach" przechodzono, oraz z pojęcia o zadaniu nauki dziejów. Zresztą nie poświęcano nawet naówczas, po r. 1831, wiele czasu na naukę; w instytucie np. guwernantek tylko przedpołudniowe godziny przeznaczono na naukę, popołudniowe zaś do ćwiczenia się w „talentach" służyły.

Naukowe te braki wynagradzała zacna ochmistrzyni swoją miłością dla wychowanek, dobrą radą, wskazaniem pożytecznych książek, zachętą do własnéj pracy. Żmichowska sercu jéj była bardzo blizka; doznawać więc musiała działania wszystkich jego ożywczych promieni.

---

[1] Zarys wychowania publicznego płci żeńskiéj w Polsce, Karola Milewskiego. 1851. str. 90—93.

II.

Dwuletni pobyt w Mężeninie. — Zmiana w ogólnem położeniu kraju. — Smutny stan literatury, tém położeniem zawarunkowany. — Co składało ówczesną czytelnię publiczną? — Zbieracze pieśni i klechd ludowych. — Dopełnienie wykształcenia literackiego. Noworocznik dwudziestu dwu muz. Pierwszy utwór Narcyzy w nim pomieszczony. W nim odbiła się jedna z najgłówniejszych cech umysłu Gabryelli. — Wyjazd za granicę. — Wpływ społeczeństwa paryzkiego i koła polskiego w Paryżu. — Brat Erazm. — Powrót do kraju. — Piśmiennictwo peryodyczne w ruchu. — Entuzyastki; ich charakter i dążenia. „Szczęście poety“ jest pewnym rodzajem ich programu. Przyjęcie, jakiego wiersz ten doznał w literaturze. — Uwielbienie dla potęgi pieśni i niezależności pieśniarza. — Ukochanie ludu. — Utwory liryczne i powieściowe tym duchem przejęte. — „Maina i Kościej“ „Lilia“. — Wiersz „Czemu mi smutno“ kończy pierwszą fazę literackiéj działalności Gabryelli. — Przyczyny smutku.

Takie było wychowanie, że tak powiem, urzędowe; od r. 1835 zaczęła się szkoła życia. Narcyza wróciła na wieś do Mężenina, odznaczającego się piękném położeniem, do krewnych, i tu dwa lata przebyła. Miała czas do rozmyślań, które bezwątpienia i wtedy już lubić musiała; a przedmiotu do nich nie brakło. Wiele rzeczy się zmieniło. Zamiast dziecięcych, butnych rojeń o szczęściu, w kraju panowała cisza. Biéda zapędziła wyniszczonych do pracy mrówczéj, do egoistycznego zasklepienia się w ścianach swego dworku. Młodzież żądna życia, nie mając żadnych świetnych na przyszłość widoków, a nie umiejąc ich stworzyć w małym i nieświetnym zakresie, marnowała życie na bezmyślne hulanki; bogaci zbytkowali, nie troszcząc się o biednych; intelligencya wyniosła się daleko za granicę, a wieści o jéj utworach nader późno do kraju przychodziły. Literatura miejsowa była nędzna; lekturę popularną stanowiły liche gazety, dwa pisma obrazkowe warszawskie, (Magazyn i Muzeum) tłómaczone zwykle z francuzkiego, noworoczniki, romanse tłómaczone z różnych języków i młodzieńcze utwory Kraszewskiego, które się wszędzie rozchodziły. Jedna tylko strona przedstawiała jakiś pierwiastek ożywczy: zwrócenie się do szczegółowego badania literatury ludowéj. To, co w zaraniu poezyi romantycznéj było przeczuciem lub lekkim śladem, indywidualnie przez kilku ludzi odkrywanym, stawało się teraz dostępném dla całéj massy czytających; zaczęły wychodzić zbiory pieśni ludowych i rozprawy o zwyczajach i zabobonach ludu. Nazwiska Gołębiowskiego, Wacława z Oleska, Paulego, Wójcickiego, Łozińskiego, Czeczota — dostatecznie sprawę tę tłómaczą. Żmichowska mogła już wówczas ocenić wartość klechd i piosnek słyszanych na Podlasiu; mogła nawet sama powziąć zamiar zebrania i przedstawienia ich na piśmie. Niektórzy do tego właśnie czasu odnoszą powstanie „Prządek“; ale ponieważ nie przytaczają powodów, a utwór ten znacznie późniéj w druku się ukazał,

możemy więc mówić jedynie o „zamiarze” napisania czegoś podobnego.

Z celniejszemi utworami poezyi t. z. romantycznéj musiała się już na pensyi i w instytucie zaznajomić, zwłaszcza, że w owym właśnie czasie, bo w roku 1833, wyszło w Warszawie u Merzbacha nowe trzytomowe wydanie poematów Mickiewicza, a „Żmiję“ Słowackiego przedrukowywała *Gazeta Warszawska;* lecz niepodobna tego powiedzieć o wszystkich; książki bowiem na pensyi i w instytucie przechodziły surową cenzurę, zanim się do rąk wychowanek dostały. Teraz więc mogła być pora dokładnego zaznajomienia się z niedostępnemi w szkole utworami poetów krajowych i obcych, takiego np. Göthego, Schillera, Byrona, Wiktora Hugo. Wówczas może przyszła pora na rozszerzenie widnokręgu wychowawczego; na podniesienie skali uprawy umysłowéj, wlanie pierwiastku idealnego, uogólniającego prozaiczną zbieraninę praktycznych wiadomostek. Wówczas bujanie fantazyi musiało przyśpieszyć powolne tętno rozsądkowego myślenia, musiały jéj blaski tęczowe opromienić szare kontury powszedniości. Wówczas mogła choćby poczuć tylko, że obok religijności, na spełnianiu przepisanych praktyk zasadzającéj się, jest inna, która poetyczniejszym przemawia językiem; że obok wierzących ślepo są sceptycy, co wszystko wątpliwości poddają. Że podobne myśli mogły znajdować przystęp do głowy Narcyzy, każdy to łatwo przypuści; że istotnie go znajdowały, świadczy o tém najpierwszy drukowany jéj wiersz, który w *Pierwiosnku* z r. 1839 czytamy. Jeżeli tylko daty podawane przez biografów są prawdziwe, możemy twierdzić napewno, że wiersz ten powstał najpóźniéj w roku 1837; w tym bowiem roku Żmichowska wyjechała jako nauczycielka Maryi Zamojskiéj wraz z rodziną hr. ordynatów do Paryża i wróciła do kraju dopiéro przy końcu 1839 r. Ponieważ wiersz do noworocznika na rok 1839 musiał być oddany do druku w r. 1838, a wiadomo, że Żmichowska nie przysłała go naumyślnie z zagranicy, gdyż, jak powiada pan Skimborowicz, wydrukowany był bez jéj wiedzy: rzeczą jest naturalną, iż musiał być pisany przed wyjazdem za granicę, może w albumie jakim, a ręka przyjazna chcąc nim powiększyć zbiorek artykułów, przez same „damy” wypracowanych, posłała go do „Pierwiosnka”, tego przybytku nie dziewięciu, ale aż *dwudziestu dwu* muz nadwiślańskich, tyle bowiem było podpisów niewieścich w pierwszym noworoczniku na rok 1838. Wiersz ten, nie mający żadnego nadpisu, który zastąpiono czterema gwiazdkami, pod względem wykonania bardzo słaby, zdradzający pióro nieufne w swoje siły, a zatém posługujące się obrazami i wyrażeniami spowszedniałemi, grzeszący nawet tu i owdzie przeciw gramatyce, wielce jednak jest charakterystycznym pod względem treści. Opisawszy zachód słońca i wschód księżyca — (częsta naówczas scenerya romantyczna), poetka wprowadza na widownię sędziwego starca i nadobną córkę. Córka uwielbia Boga, którego widzi w two-

rach natury; starzec uwielbienie jéj dopełnia uwagą, że Bóg wlał w nas ducha swego i nauczył wiary, pragnąc, żebyśmy byli jéj wierni i szczęśliwymi się stali; lecz, dodaje...

.....Zerwał człowiek ten związek tak święty,
Na Boga swego targnąć się odważył,
I jakby duchem piekielnym natchnięty,
Stwórcy się zaparł, religię znieważył.

Córka, poruszona temi słowy, rzuca przekleństwo na tego, co śmie „bluźnić imię swego pana"; starzec jednak powstrzymuje jéj uniesienie pełną tolerancyi, a przypominającą pewne dziejowe zdarzenie sentencyą, mówiąc: „Obrazę niebios niechaj pomszczą nieba, dość dla człowieka, by sam był cnotliwy".

Lepiéj się wyda naszéj wiary świętość,
Lepiéj się o niéj umysł nasz przekona;
Kiedy złość ludzką, niewdzięczność, zawziętość
Zwalczy jéj słodycz niczém nie zmieniona.

Córka przyznaje ojcu słuszność, i spodziewa się, że Bóg jéj przekleństwo przebaczy, gdyż i ona bluźniercom przebacza, poczém „słodką radość widać było w jéj spojrzeniu" a rozmowa skończyła się następującą prośbą do Boga:

Błagam Cię, błagam, Wielki Twórco świata;
Głos mój do Ciebie podnoszę w pokorze:
Mnie cnotę, ojcu długie szczęścia lata,
Bezbożnym światła spuść promień, o Boże! (¹)

Prośba ta łagodzi to wszystko, co tylko było niespodziewanego w owéj pobłażliwości nie tylko dla wątpiących, ale dla bluźnierców nawet, pobłażliwości, która rażąco odbijała od zawziętych pocisków, jakie z nowém natężeniem zaczęto wówczas miotać na każdą myśl z pod prawideł ortodoksyi wyłamującą się. Pomimo zakończenia każdy czuje, że główną myśl wypowiedziała poetka w środku, zakładając nieśmiały w prawdzie, lecz niemniéj przeto stanowczy protest przeciwko kamienowaniu tych, co na jakiéjkolwiek drodze szukają prawdy. Żmichowska wyrzekła się niejako tego wiersza; ona, co tak była wrażliwa na artyzm wyrażenia, nie mogła sobie zapewne darować miejsc słabych i obrazów spłowiałych; ale dla nas pierwszy ten objaw jéj usposobienia jest bardzo ważnym, nie jako

(¹) *Pierwiosnek*, Noworocznik na rok 1839 zawierający pisma samych dam; wiersz Narcyzy Ż. od str. 102 do 106.

poezya rozumié się, lecz jako wyraz przekonania, któremu przez całe życie w rozświetlonéj i rozszerzonéj formie pozostała wierną.

Wyjazd za granicę wpłynął, bezwątpienia, silnie na rozwój umysłu Żmichowskiéj. Możność naocznego porównania własnego kraju z obcemi; mnóstwo nowych przedmiotow, wzbudzających nieznane wrażenia; zapoznanie się z arcydziełami malarstwa, rzeźby i architektury; przywołane na pamięć i ożywione widzialnemi pomnikami wspomnienia dziojowe: — to bardzo energiczne czynniki w sprawie ukształcenia umysłu. Ponad niemi atoli góruje zetknięcie się blizkie z prądami duchowemi, o których w zaciszy wiejskiéj, a nawet w Warszawie, głucho było prawie zupełnie. A były to prądy dziwnie elektryzujące. A najpierw sami Francuzi, głównie zaś Paryżanie. Niezadowolenię z istniejącego porządku rzeczy czytać można było na każdéj intelligentnéj a nawet nieintelligentnéj twarzy; dzienniki, pamflety, romanse krzyczały o niém na cały głos; spodziewano się jakiéjś radykalnéj reformy w religii, w polityce, w stosunkach społecznych i rodzinnych. Chaos pojęć był prawie babiloński. Kobietę interesować bezwątpienia musiała sława takiéj pani Sand i jéj oskarżenia, na społeczeństwo i jego konwenanse miotane. Głośno wołano o prawdę, o szczęście, choć rozumié się ani na pojęcie prawdy ani na określenie warunków szczęścia nie było zgody; stronnictwa walczyły o nie zawzięcie, z uporem, z namiętnością, ale podobno z dobrą wiarą jeszcze, co im nadawało urok, od jakiego dzisiejsze stronnictwa po większéj części są zupełnie wolne.

A potém.... Żmichowska spotkała się w Paryżu z bratem Erazmem: ten ją zapoznał z ideami i ludźmi, o których może bardzo niejasne dotychczas miała pojęcie. Równocześnie z rozbudzonym około poezyi ludowéj ruchem powstał, dopełniający go pod względem społeczno-politycznym, kierunek demokratyczny. Zapoznanie się z życiem, obyczajami i pojęciami ludu, dość powierzchowne zresztą, pobudziło wraz ze wspomnieniami błędów dziejowych do uznania jego znaczenia w ustroju społeczno-państwowym, do ukochania go jak brata. Kierunek ten miał już naówczas swoich teoretyków, swoich propagatorów, swoich męczenników nawet. Wielu spełniało trzy wymienione zadania czy téż ofiary. Oświata ludu, dążność do przyśpieszenia przemiany włościan na obywateli i gwałtowniejsze doraźniejsze środki do osiągnięcia szczęścia były ich celem. Z kołem podobnie myślących zapoznał siostrę brat Erazm. Do gwałtowniejszych środków może miała naówczas wstręt, pomna na patryarchalne pożycie krewnych z ludem, a może i nie miała: ten punkt muszę pozostawić nierozstrzygniętym; inne łagodniejsze przyjęła z zapałem. Rozstała się z domem hr. Zamojskich, w którym się nieswoją czuła, przeniosła się do brata, który mieszkał w Rheims, gdzie pozostawała do roku 1839; poczém wróciła do kraju, zwiedzając po drodze, gniazdowe po matce, Poznańskie. Z powrotem, jako 21

letnia panna, miała już Narcyza pewne określone pojęcia, wyznaczyła sobie pewne dążności i zaczęła brać dość czynny udział w ówczesném piśmiennictwie czasowém, które się od roku 1840 coraz bujniéj rozrastać zaczęło.

W Warszawie znalazła grono ludzi, z którymi serdeczne zawiązała stosunki, z których pojęciami zgodzić się mogła i których dążności podzielała. Wśród kobiet istniały również umysły niepodległe, nie naśladujące bynajmniéj śmiesznéj emancypantek francuzkich maniery, ale łaknące prawdy, prawdy przedewszystkiém ([1]). Nie tworzyły one żadnego stronnictwa ani żadnéj koteryi, nie miały, rozumie się, żadnego programu, ani nawet jednakowych pojęć; nie nadawały téż sobie żadnéj specyalnéj nazwy. Gabryella „entuzyastkami" je nazywa, a główną, zasadniczą ich cechę w tém upatruje, że chciały „własne postępki do głoszonych własnemi ustami przekonań zastosowywać". Nie mając innego świadectwa o tych entuzyastkach prócz słów Gabryelli, zapisanych w przedostatnim roku życia, musimy rysów charakterystyki od niéj zapożyczyć. „Najcięższym grzechem tych kobiet była potrzeba wyróżnienia się od drugich, przechodząca czasem w zaczepną dziwaczność. Młode ich serca tak się oburzały martwotą, bezmyślnością, ospalstwem, zepsuciem wreszcie, które dokoła nich zalegało, niczyjéj nie zwracając już uwagi; tak się oburzały wszystkiém, co, niestety, już *zwyczajném* się stało, że koniecznie zapotrzebowały myślą, słowem i uczynkiem z tą powszedniością się rozgraniczyć. Przedewszystkiém obrzydł im dykcyonarz towarzyski; szukać zaczęły rzadziéj słyszanych, dobitniejszych wyrażeń... Same wszechświatowe zajmowały je kwestye, same szerokie poglądy, same niebotyczne szczytności: doskonałość, postęp, wiedza, szczęście, ludzkość, zbawienie, Bóg. Z najciaśniejszego kącika, od najdrobniejszéj plewki wzlatywały na te obszary i przenosiły w nie wszystkie swe kosztowności, o których-to powiedziano: gdzie skarb twój, tam i serce twoje. Rzeczywiście tam był ich skarb i tam było ich serce; a z pełności serca mówiły usta, co je nieraz w towarzystwie na śmieszność lub przed sądem roztropności na ostrą przyganę wystawiało... Zuchwałe wypowiedzenie swego przekonania pociągało za sobą mniéj ważne wprawdzie następstwa, niż pokusa niewłaściwych zastosowań, często jednak niekorzystniejsze może a trwalsze na otaczających czyniło wrażenie. Towarzyszyły mu zazwyczaj namiętne dysputy i liczne przeciw dobremu tonowi wykroczenia. W tém właśnie największa bieda, że te zapalone młode głowy czuły nieprzezwyciężoną do dobrego tonu odrazę; brzydziły się jego drobiazgowemi fałszami i niedołęztwo kobiece podsycającą układnością; a przecież

([1]) Jedna tylko Julia Molińska (późniejsza Wojkowska) próbowała nie tylko umysłową, ale obyczajową i kostiumową zaprowadzić u nas emancypacyą, według zapewnienia Żmichowskiéj (Ateneum, 1876; I, 554).

lepiéj mieć przeciw sobie wyrok trybunału w sprawie kryminalnéj, niż wyrok dobrego tonu w sprawie życia i prawdy... Współczucie dla pokrzywdzonych rozciągało się u nich przedewszystkiém na stan wieśniaczy, obowiązkami pańszczyzny bardzo jeszcze wtedy uciśniony. Obywatele nie mogli tego rodzaju litości wytłómaczyć sobie. Zacniejsi mieli spokojne sumienie, że chłopów nie uciemiężali, owszém byli im w wielu razach pomocni i użyteczni; mniéj zacni każdą wzmiankę o tak drażliwym przedmiocie za osobistą poczytywali obelgę, a wszyscy razem byli tego zdania, że już przynajmniéj od czasów księztwa Warszawskiego wszystko się jak najlepiéj i najsprawiedliwiéj ułożyło. Przeciwne dowodzenie w ich mniemaniu dowodziło nie tylko błędu, lecz istnego obłędu nawet. Cóż dopiéro przeciwne postępowanie!... Są jeszcze może osoby, które pamiętają, jak pewna obywatelka w nalepszéj wierze rozpowiadała, że bratowa pani Eleonory Ziemięckiéj dostała pomięszania zmysłów, bo u siebie na wsi założyła szkółkę i po całych dniach z dzieciakami sylabizuje, albo po chałupach się włóczy i chorym babom lekarstwa roznosi. Dość liczne było grono słuchających, a nikt się wyliczeniem tak osobliwych symptomatów psychiatrycznych nie zadziwił. Niektóre zresztą bardzo poczciwe kobiety obecne, szczerze, ale to zupełnie szczerze, bez złéj myśli w ich chorobliwość uwierzyły; z obecnych zaś panów ani jeden nie zwątpił, wielu poprzestraszało się na prawdę... Grube jeszcze chmury tu i owdzie nasz widnokrąg zalegały. Nie było wtedy pono żadnéj wyższéj cnotą, rozumem a nawet wyższéj duchem prawdziwéj pobożności kobiety, coby w dalszych znajomych swoich pewnéj nieufności nie wzbudzała" ([1]).

Entuzyastki owe wymienia Żmichowska w następującym porządku: Kazimiera Ziemięcka, Wincenta Zabłocka, Emilia Gosselin, Walerya Lewicka, Kryspina Stelmowska, Anna Skimborowiczowa. Że na ich czele pod względem talentu stała Narcyza Żmichowska, która pseudonim „Gabryelli", jako poetka przybrała, to my ze swojéj strony przyznać jéj musimy.

Zaraz w fantazyi p. n. „Szczęście poety" drukowanéj w *Pierwiosnku na rok 1841* (str. 279—288) opowiedziała dzieje umysłu i serca zarówno swoje jak i spółtowarzyszek swoich, oznaczyła ich stanowisko względem otaczającego niedołęztwa, ciemnoty, zgnilizny i wskazała środki do przechowania iskry świętego zapału w głębi własnéj piersi. Urocze dni dzieciństwa, wśród łagodnéj a lubéj natury przepędzone, stanowiły teraz dla poetki chwile roślinnego jéj życia: wtedy była szczęśliwa jak kwiatek. Potém spojrzawszy okiem dojrzalszéj młodości na „brudną, małą i nikczemną ziemię"

([1]) Dzieła Hofmanowéj, wyd. Żmich. tom VIII, str. 283—288. *Artystyczną* charakterystykę ówczesnych entuzyastów i entuzyastek podała Gabryella we „Wstępnym obrazku".

pożegnała ją, rozstała się z ciemném, prozaiczném otoczeniem swojém, i wzniosła w wyższe krainy ducha, w sfery reform marzonych przez umysły potężne, przez serca szlachetne i gorące. Wróciwszy atoli wśród „burzy północy"; żyjąc wśród warunków, nie dających się rozwinąć swobodnie nie tylko czynom ale i słowu nawet, musiała zebrać „wątek całéj przeszłości", wszystkie złudzenia, co były „uciechą światła i orła wielkością" i skryć „pod zimny pomnik, stać się kamieniem". Wtedy już nie było obawy, ażeby „mroźne zawieje" mogły jéj wyszarpać z duszy „światła tajemnice".

„Oh nie! ja wicher przetrzymam w biegu,
Twardsze od twardych gromów mam czoło;
A chociaż *śniegi spadną w około*,
Pierś mam zimniejszą od śniegu".

W téj atoli piersi „zimniejszéj od śniegu" tleje iskra „dawnych omamień", dla tłumu skryta. Jakim sposobem stać się to może? Twórczością artyzmu. Trzeba sobie stworzyć świat różny od „brudnéj, małéj i nikczemnéj ziemi", zaludnić go najwznioślejszemi myślami i uczuciami, rozświetlić blaskami fantazyi, „w jednéj godzinie przywłaszczyć sobie długiego życia innych wrażenia", — słowem:

„nie być kobietą, nie być mężczyzną
Prawem, co ludzie mylnie nakreślą;
Lecz być pojęciem, uczuciem, myślą"; —

a zatém pozbyć się konwencyonalnych formułek i przesądów, a szukać jedynie prawdy ducha, żyć w świecie własnemi siłami stworzonym, w świecie artystycznym. Nie marzeniem jednak bezczynném, nie żalami na świat po byrońsku rzucanemi, wypełniać sobie potrzeba dni tego życia w świecie odrębnym; ale uznawszy i ukochawszy tę prawdę, że Bóg „dla człowieka w człowieku nie stworzył sługi lecz *brata*", należy wytężyć wszystkie siły przeciw ciemnocie, zepsuciu, przewadze możnych a nikczemnych, przeciw kłamanéj lub sprzedawanéj miłości, przeciw każdemu fałszowi i zaprzeczeniu ducha. Tę walkę ze złem wypowiada poetka w formie prośby do towarzyszek swoich, ażeby ją w razie niebezpieczeństwa lub sił utraty, radą i ramieniem wsparły:

Jeśli na widok zepsucia,
Które się szerzy dokoła,
Szyderstwem stępia uczucia,
Pogardą nagina czoła,
Trony myśli, którémi prawda się tak szczyci,
Że one tylko być mogą
Czystém zwierciadłem cnocie,

Aż je zepsucie pochwyci,
Nikczemną zdepce nogą
I zanurzy w swojém błocie;
Jeśli na obraz nędzy, tęsknoty,
Złego nad dobrem przewagi,
Niecnéj obłudy, grubéj ciemnoty,
Zbraknie mi w sercu odwagi;
Jeśli *bezczynnie* opuszczę ręce
I szałem dzikiéj rozpaczy
Najczystsze szczęście ducha poświęcę
Za podłą rozkosz bogaczy: —
Wtenczas ty siostrę pociesz, dziewczyno,
Orzeźwij, pokrzep na sile;
Choć jady złego do serca wpłyną,
Bądź ku dobremu podnietą,
Wspomnij jéj tylko, że przez trzy chwile,
I ona była poetą.

Jak widzimy, wiersz „Szczęście poety" był nie tylko obrazem przeszłości i spółczesnego stanu niektórych umysłów; lecz zawierał nadto coś w rodzaju programu działania dla entuzyastek. Ta to okoliczność wierszowi, nie wykwintnemu wcale pod względem rymowania a naśladowanemu w kilku miejscach pod względem treści z „Ody do młodości", zawierającemu obrazy dość spowszedniałe, silnemu raczéj retorycznie niż poetycznie, — nadała rozgłos i zapewniła znaczenie w dziejach piśmiennictwa naszego. Jakoż sława tego wiersza, rozgłaszana bezwątpienia przez płeć piękną, ustaliła się prawie natychmiast. P. Szabrański połowę miejsca przeznaczonego w *Bibliotece Warszawskiéj* na rozbiór „Pierwiosnka" poświęcił streszczeniu „fantazyi" Gabryelli, nazywając ją „pięknym utworem, pracą wzniosłych myśli i wznioślejszego jeszcze uczucia". W utworze tym — pisał — myśli płyną rwącym pędem, dykcya pewna, wyrobiona, niektóre czasem zwroty jak gdyby napomykały coś znajomego, a jednak zupełnie są oryginalne. *Najpierwsza* ([1]) ta próba poetyczna tak świetna, przekona zapewne p. Gabryellę, że tak pięknych natchnień swoich kryć dla literatury niewolno. (Bibl. Warsz. 1841 r., luty, str. 394—6). P. Skimborowicz nazwał w *Przeglądzie Warszawskim* (zesz. I, str. 88) utwór Gabryelli „poezyą zapału" i przytoczył z niego określenie poety. Rzecz dziwna! w gronie młodych zapaleńców, którzy się wówczas zebrali dla wydawania czasopisma „młodego" przeciw „jesiennéj" Bibliotece, mianowicie *Nadwiślanina;* w gronie, do którego należeli: Seweryn Filleborn, J. B. Dziekoń-

([1]) Widocznie nie pamiętano już wówczas o wierszu z r. 1839, a może nie znano znaczenia pseudonimu.

ski, Zenon Sierpiński, Gustaw Zieliński, Dłużniewski, Roman Zmorski, Włodzimierz Wolski, Teofil Lenartowicz, Wacław Szymanowski, Józef Kenig, Jan Majorkiewicz, — w gronie, którego organ zaraz w pierwszym numerze pełne zapału mieścił wiersze, wzywając do podążania:

„Za orłem w ślady
Między wiecznych gwiazd gromady";

w gronie, które wołało do wszystkich czuć umiejących:

...Myśl twoja, pieśń twoja, cała twoja dusza
Niechaj wzlata i buja w tym boskim przestworze
Wieszczów czy obłąkańców, gdzie *nic nie narusza*
Szczęścia, o jakiém człowiek ledwie marzyć może; —

otóż w tém gronie nie objawiło się serdeczne dla bratniéj myśli uznanie. Na 91 stronie, I tomu „Nadwiślanina" powiedziano tylko te słowa: „Nie dzielimy uniesień objawionych w innych pismach nad poezyą tam (w Pierwiosnku na r. 1841) zawartą, owszem, z żalem wyznać musimy, że wraz ze zniknięciem z kart jego podpisu Józefy P(rusieckiéj) znikł cały *zapal* i uczucie. Są to kwiaty zebrane z różnych książek, które nie przyjęły się w sercach autorek." Wzmianka o Józefie Prusieckiéj zdaje się dowodzić, że nie obyło się w tym sądzie bez jakiegoś koteryjnego wpływu, gdyż niepodobna, ażeby słabe jéj wiersze, mogły taki zapał w młodych sercach zapaleńców wywołać, jakby to z powyższéj wzmianki wnioskować można było. Bądźcobądź, sąd ów negatywny nie mógł miéć żadnego znaczenia i wpływu téż żadnego nie wywarł; a wiersz Gabryelli stał się bardzo popularnym.

Myśli wyrażone w „Szczęściu poety" rozwijała późniéj Gabryella dwukrotnie jeszcze: raz w „Fantazyi" a drugi raz w „Trzech pieśniach gęślarza". Oba te utwory drukowane były najpierw w „Przeglądzie Naukowym", pod redakcyą Hipolita Skimborowicza i Edwarda Dembowskiego naówczas wychodzącym.

W „Fantazyi" (1) maluje poetka straszny obraz samolubstwa, podłości, brudów, starości duchowéj na ziemi, wówczas *kiedy byli na niéj ludzie;* potém wystawia piewcę proroka, który w pięknych i silnych słowach wartość i potęgę pieśni przedstawia:

„Gdy wszystko będzie zimne i martwe i głuche,
Kto wywoła na ziemi silnemi piersiami,
Z grobów życie, z wspomnienia przyszłości naukę?
Kto was w niebo powiedzie jasności szlakami,

(1) Przegl. Nauk. 1843, Nr. 16.

Jeśli pieśń wieszczów zmilknie? O ziemscy mieszkańce!
Póki Bóg jeszcze pieśnią do was się odzywa;
Póki w dusze wybranych hymn natchnienia wlewa
Jako wonną oliwę w świątyni kagańce:
Słuchajcie jego głosu! Ludzie, bracia moi,
W pokorze przed nim wasze nachylajcie czoła;
Otrzyjcie serce z pyłu ziemskich niepokoi:
Dziś Bóg pieśnią, lecz kiedyś piorunem zawoła!"

Następnie, w ognistéj przemowie, miejscami z improwizacyi Konrada naśladowanéj, wieszcz ów zagrzewa do wzajemnéj i czystéj miłości braterskiéj, a ostrzega przed niebezpieczeństwem niewoli ciała, przed brudnym egoizmem bogaczy a szczególniéj przed fałszem i ciemnotą. Umilkł wieszcz, ktoś go „szalonym" nazwał, ludzie powtórzyli i odeszli spokojnie. Wieszcz zostawszy sam, roztrzaskał lutnię o sterczące skał brzegi, ostatnią łzę uronił nad bratniém cierpieniem i skonał. Ród ludzki idąc daléj *bez celu*, ginął i niszczał; nareszcie zostali na ziemi tylko bogacz, obrońca własności, i biedak; bogacz cisnął całym skarbów ciężarem w piersi brata i zabił go, a chmura ostatnim gromem bratobójcę skarciła... I wszystko było dobrze... *bo ludzi nie było.*

„Trzy pieśni gęślarza" [1] w formie mistycznéj téż same zachęty i téż same przestrogi zawierają. W pierwszéj gęślarz powiada, że o „córach Łady" a więc o piękności dziewic, o miłości indywidualnéj, o szczęściu jednostkowém śpiewać nie myśli; poczém wyraża, że dla siebie tylko nie dla tłumu śpiewa, że nie dba o pochwały ni nagany, gdyż zerwano związek pomiędzy nim a ludźmi. W drugiéj jest dumny protest przeciw wszelkiéj przemocy materyalnéj, a przedewszystkiém przeciw kniaziowi, któremu poeta urąga, mówiąc, że w mocy biednego gęślarza spoczywa władza unieśmiertelniania możnych téj ziemi lub pogrążania ich w toni zapomnienia; tu także mieści się energiczne sformułowanie programu, zrywającego z tradycyą wszelkiéj konwencyonalnéj, utartéj poezyi.

Kniaziu mój pyszny, krogulcze młody!
Choćbyś chciał nawet krzywemi szpony
Z głębi méj piersi wyszarpać tony,
    Dla swéj zabawy lub chwały;
Oh nie! na siwy włos mojéj brody,
Oh, na gęśl moję — niech i gęśl pęknie,
Nim się w niéj jedna struna poruszy
Odmiennym dźwiękiem, odmiennem pieniem
    Jak tém, co mi Bogi wlały

---

(1) Pierwsza w Przegl. Nauk. z roku 1843; dwie drugie tamże z r. 1844.

Niepojętém natchnieniem,
Lub co ja sam dla siebie z własnéj ciągnę duszy!...

W trzeciéj wreszcie pieśni gęślarz obrazowo przedstawia swoje sieroctwo. Wspominając najdroższe imiona matki, ojca, brata, żony, syna, określa jakie to one nieprzebrane skarby dla uczucia ludzkiego stanowią, i z bólem oznajmia, że skarby te dla niego już nie istnieją; pieśń mu więc tylko pozostała:

Ona mi tylko, ona wspomina
Rodziców, brata, żonę i syna;
Ona mi jedna, gdy ją poruszę,
Wiernie wypowie stęskniałą duszę;
Ona tak jedna — przyzwyczajoną
Dźwięczyć o moich zmarłych, o grobie,
Smucić się ze mną w gorzkie wspomnienia,
Że nawet gdy ją trąci z niechcenia
Oddech Pochwista, to ona w sobie
Pewno żałosną ozwie się stroną.

Że w tém głębokiém uczuciu smutku nie indywidualne jedynie straty, ale też i ogólne znalazły swoje uzewnętrznienie, dowodzi tego pieśń pierwsza, która kwilenia jednostkowe ze sfery poezyi wyklucza.

Przejęta miłością dla ludu, w każdym z wymienionych poemacików, przedmiotu tego, który naówczas tyle szlachetnych a zapalonych umysłów zajmował, z lekka dotykała; spółcześnie atoli w innych pismach bardzo stanowczo go rozwijała. O naturze ludu najpochlebniejsze a bardzo uludne miała wyobrażenie: „Z prostych ust wieśniaczki — mówiła — nic tak zdrożnego nie wyjdzie, coby skazić duszę, zepsuć serce dziewczęcia mogło". Za oświeceniem ludu przemawiała nader gorliwie: „Kto ma więcéj ukształcenia, powinien się niém z drugimi dzielić; kto ma więcéj światła, drugim świecić powinien. *Nie stawiaj świecy pod korcem* — czytają wszyscy te słowa, a nikt ich czy nie rozumie, czy nie chce rozumieć. Kto ma by na pół łuta więcéj od innych oleju w głowie, to się tak dobrze panoszy i odstrychuje od uboższych duchem, jak miałkiego mózgu bogacz od uboższych pieniędzmi... Nie każdemu jest dane, żeby sam z siebie postępował w mądrości ludzkiéj; więcéj jest takich, którzy potrzebują uczyć się jéj od innych. Gdy rozumni od nich się odsuną, cóż mają począć biedni nieświadomi? Oto w głębszéj jeszcze pogrążą się nieświadomości, żeby w zapomnieniu chęć nawet i owę niepewną tęsknotę ku czemuś jaśniejszemu zatracić." To też Żmichowska wierzyła jak w dogmat w wygładzenie obyczajów wieśniaczych, „byle się do nich towarzysko z wyższych miejsc przybliżono" ([1]), oburzała się na

([1]) Prządki z r. 1844. Pisma Gab. I. 67 i 9.

uciemiężenie chłopów przez panów; powtarzała z naciskiem, że wszyscy są braćmi i jak bracia kochać się powinni. Nienawistnych atoli instynktów nie podbudzała; upokorzenia i upadku strony silniejszéj na rzecz słabszéj nie pragnęła bynajmniéj. Słowa jéj w tym względzie były raczéj łagodną wskazówką obowiązku, jaki panowie względem rzeszy wiejskiéj spełniać powinni, aniżeli ostrym za niespełnianie wyrzutem. Jak wszyscy naówczas, tak i ona łudziła się szlachetnym, pełnym przebaczenia i poświęcenia ([1]) charakterem chłopów, nie przypuszczając w nim porywów brutalnych. Można złudzenia tego nie pochwalać; ale któż zgani piękną jego pobudkę?...

Tém złudzeniem, rozciągniętém i do sfery władz umysłowych, tłómaczymy sobie rażące nas dzisiaj dopatrywanie się w sercu, fantazyi i rozumie ludu uczuć i pomysłów, przechodzących skalę jego usposobień duchowych, jak to widzimy szczególniéj w fantazyi p. n. „Maina i Kościéj" tudzież we fragmencie „Lilia". W owych czasach, kiedy te utwory powstały, mniemano powszechnie niemal, że w poezyi ludowéj, a choćby tylko w jéj formie, znaleźć można estetyczne zaspokojenie wszystkich wymagań umysłu naszego. Pieśni, klechdy i powieści uważano za niewyczerpane źródła natchnienia poetycznego, tak, że nie tylko „farby do obrazu", ale obrazy całe z nich zaczerpnąć się spodziewano. Ztąd powstało mnóstwo prób powieściowych i dramatycznych, których tkankę stanowiło jakieś podanie ludowe. W swoim czasie próby te zajmowały; dziś są prawie zapomniane. Żmichowska wystąpiła najpierw z „Mainą i Kościejem" ([2]). Forma tego utworu, zawarunkowana zwrotem, o którym mówiłem, tądzież przykładem Mickiewicza (Kurhanek Maryli i Dziady, z których jeden ustęp I. 82, dość wyraźnie naśladowany), odznacza się fantazyjną nieprawidłowością, a treść poczerpnięta z wątpliwości, odzywających się na dnie duszy poetki. Dręczyła Gabryellę kwestya roli kobiety, obdarzonéj umysłem wyższym od tłumu i sercem gorętszém, w świecie, w którym niéma nic, coby ją na życie całe przywiązać do siebie mogło. Taką kobietą była Maina, dziecię cudowne czasów przedchrześciańskich. Smutna, zmęczona życiem, choć go jeszcze użyć nie miała czasu, posłuchała poszeptów czarownych Kościeja, ducha porywającego młode dziewice, nie w śmierci wprawdzie, ale w jakiegoś dziwnego snu objęcia. Było to jakieś odosobnienie, oderwanie się od świata, było to zatopienie się we wnętrzu własném, w rozpamiętywaniu rzeczy przyszłych, w marzycielstwie spokojném, które dawało ubłogosławienie. W formie mytycznéj Żmichowska wypowiedziała tu wszystkie niepokojące ją myśli, wszystkie pragnienia, wszystkie wątpliwości o znikomém trwaniu rzeczy świata tego. Mai-

---

([1]) Dańko z Jawuru. Pisma I; 125 i 127.

([2]) Początek w Bibl. War. 1842, zesz. styczniowy, dalszy ciąg w Pielgrzymie 1843; II, od str. 193.

na mogła się obudzić i wyjść z pod władzy Kościeja, jeżeliby ktoś mógł przywołać ją tak silnem zaklęciem, żeby dla niego sen swój chętnie przerwała. Zaklęcia atoli takiego matka w swej głowie odszukać nie może, bo „na świecie smutek wszędzie" i niema żadnej radości, którąby niezawodną nazwać się mogła. To też naprożno zebrani chłopcy i dziewczęta powoływali umarłą do życia obietnicami najróżniejszej treści; uśpiona pozostała nieruchomą. Na głos obowiązku dopiero życie wracać zaczęło; ale stary, doświadczony Niklot powstrzymał siostrę, która tego zaklęcia użyła, przedstawiając, że „w życia tego brudy" nie warto na nowo wprowadzać istoty szczęśliwej.

Kto ma siłę i mądrość, niech idzie wśród ludzi
Leczyć rany głębokie, koić długie troski,
Bo ten wśród błota, wśród znoju
Nie zmęczy ręki, duszy nie zabrudzi.
Lecz kto ma serce tylko *do czucia, do pieśni*,
Ten *niech całe życie prześni*,
Tego zostaw w pokoju!

Ale ten „pokój" właśnie, nie będący przecież martwotą, jest czémś wielce nieoznaczonem... Można być pewnym, że poetka nie umiała wówczas sama przed sobą wyliczyć korzyści znicestwienia cielesności jednostkowej na rzecz panteistycznego rozpłynięcia się w obszarach ducha; ale i to pewna, że nie pragnęła nicestwa bezdusznego i zakamienienia bezmyślnego. Być może, że pojęcie „nirwany" było podścieliskiem myśli przewodniej „Mainy i Kościeja"; lecz poetka nie śmiała lub nie chciała go sformułować jasno.

Podobne myśli są i w poemacie „Lilia". We wstępie do niego p. n. „Przekleństwo" (1) wystawia poetka czarnoksiężnika-pieśniarza, wzywającego ducha zniszczenia; na jego zaklęcie *grom* w przelocie swoim *zawisnął*; ale krzyk matki, błagającej o ratunek dla dziecka, które w kolebce na wezbranej wód fali popłynęło, zniszczył czar zaklęcia a piorun roztrzaskał lutnię czarnoksiężnika. Ten wyratował dziecię, lecz je przeklął, pomazawszy krwią własną, na wieczne życie i wieczne cierpienie, póki ktoś piętna krwawego nie zetrze.

Dziecięciem tém przeklętém była „Lilia", upostaciowanie jakiegoś smutku bezprzyczynowego, tęsknoty za czémś nieokreślonem, pragnienia rychłej śmierci, czułości pełnej buddystycznego mistycyzmu, puszczającej na wolność rybki przez ojca złowione, rozmawiającej tkliwie z kwiatkami. A obok tego w Lilii jest jakaś bezświadoma odwaga, nie lękająca się ani samotności, ani ponurego szumu lasów, ani ryku burzy, ani złych ludzi, ani zwierząt dzikich. Podług

(1) Po raz pierwszy drukowane w Pielgrzymie 1843; III, od str. 180.

poetki, Lilia — to upostaciowanie poezyi i zachwycenia, jeżeli, rozumie się, wystawimy sobie, że poezyą w marzeniu, a zachwycenie w kontemplacyi tkliwéj upatrywać wypada. Otoczenie jéj pospolite, ojciec rybak; jakie jest jéj zajęcie, nie wiadomo: marzy tylko i tęskni, modli się zresztą, ale nie poprzestaje na ustalonych formułach, lecz raczéj mistycznèm zatopieniem się w Bogu cześć swoję dla niego wyraża, — szukając własnego szczęścia w zlaniu się duchowém z „niewidzialnym" a oddanie hołdu pokornéj służebnicy za rzecz drugorzędną uważając.

Oba te poemata były niegdyś wysoko cenione — przynajmniéj przez pewne grono osób. Kiedy w roku 1843 Eleonora Ziemięcka umieszczała wyjątek z „Mainy i Kościeja" poprzedziła go wstępem, w którym nazwawszy autorkę „genialną", takie o poemacie złożyła proroctwo: „Jest to utwór, który z czasem stanie obok *najpierwszych naszych poematów;* zaleca go *doskonałość formy* i nowość pomysłu" ([1]). My dzisiaj chłodniejszém na nie patrzymy okiem, doskonałości formy przedewszystkiém nie widząc. Oba poemata przepełnione są liryzmem, który obok takich pierwszorzędnych wzorów, jakie Byron, Mickiewicz i Słowacki zostawili, bardzo słabym wydać się nam musi; opowiadanie zazwyczaj rozwlekłe, gawędziarskie; obrazy rzadko kiedy nowe i piękne; wyrażenia słabe, rymowanie zaniedbane. Obfitość myśli jedynie je zaleca; poetka nie chciała żadnéj uronić i nie tyle dbając o przepisy artyzmu, ile o zadośćuczynienie własnemu sercu i fantazyi, spisywała je wszystkie. Pomimo niektórych ustępów, tchnących naśladownictwem, główną myślą dążyła Gabryella do wyrobienia sobie indywidualności artystycznéj odrębnéj; brak jedynie siły, brak tych nagłych a gwałtownych uniesień, które porywają czytelnika, brak wysokiego fantazyi polotu i wybitności jego śladów wyrazowych, sprawiały, że indywidualność ta nie odcisnęła się jeszcze naówczas niestartemi cechami, nie wzrosła w krzepkość, nie określiła się dokładnemi konturami. Myśl nie przyszła jeszcze do pewności siebie; fantazya bujała zbyt swobodnie i napełniała formy treścią nieodpowiednią; wysoki zmysł artystyczny w szczegółach nie dopomagał do budowy skończonéj całości.

Z prozaicznych utworów Gabryelli tego czasu, kierunek ludowy reprezentują „Prządki" i „Dańko z Jawuru". Pierwsze ([2]) zawierają dwie wcale ładne pieśni i trzy klechdy. Jedna mówi o królewiczu, który, niewidzialnym kocem przykryty, na bystronogim koniu zajechał gdzieś w chmury, ożenił się z wiecznie żyjącą dziewicą, żył 3000 lat, lecz stęskniwszy się za domem rodzinnym, został przez śmierć przywabionym do udanéj nadprzyrodzoną sztuką wioski i tam do krainy śmierci zabranym; druga o niewdzięcznéj córce, która po-

---

([1]) Pielgrzym 1843; II, 193.
([2]) Drukowane w Pielgrzymie 1844, tom I-szy.

szedłszy za księcia, ojca się zaparła; trzecia o miłości czarta do dziewczyny wiejskiéj. Pierwsze dwie dobrze są opowiedziane; ostatnia razi stylem nienaturalnym i kolorytem zbyt ponurym; co z prostotą klechdy ludowéj, z jéj poufałém traktowaniem świata nadzmysłowego, nie wielką zgodę przedstawia.

„Dańko z Jawuru" jakkolwiek pojawił się w druku dopiéro w r. 1845 i 1846 (w Pielgrzymie), powszednością jednak pomysłu, stylu i obrobienia wskazuje wcześniejszą chwilę twórczości Gabryelli. W wydaniu zupełném pism swoich, poetka dopisała dedykacyą: „dla małego siostrzeńca", którą wybornie określiła, nie tylko przeznaczenie powiastki, ale też i sposób jéj obrobienia: istotnie jest to rzecz dla młodzieży raczéj, niż dla starszego pokolenia. Niéma tu nawet śladu usiłowań, ażeby początek XIV wieku, w którym akcya się odbywa, w jego prawdzie przedstawić, tak, że tło historyczne jedynie w nazwiskach króla Władysława, jego syna Kazimierza, w obrazie napadu Litwinów i nazwach ich bóstw upatrzyć można. Myślą przewodnią utworu jest przeciwstawienie szlachetnego, pełnego poświęcenia serca Dańka, syna chłopskiego, synowi szlacheckiemu, który go skrzywdził. Z nią łączy się najściśléj obraz ucisku ludu, okrucieństwa niektórych dziedziców i łaskawości królewicza Kazimierza. Opowiadanie jest gładkie, styl prosty, chociaż z właściwemi już Gabryelli cechami, tylko rozumie się bez tego wykwintnego wyrobienia, jakiém się późniéj odznaczał. Stylem tym przemawiają wszystkie osobistości powieściowe bez różnicy wieku, temperamentu i wykształcenia, z wyjątkiem tylko czarownicy Werszedy, postaci niezbędnéj w ówczesnych powieściach, która w krótkiém wystąpieniu swojém znalazła na zawołanie, ją tylko wyłącznie cechujący, sposób wyrażania myśli. Powiastka ta, odznaczająca się niektóremi pięknemi ustępami, do których należy malowniczy obraz obrony chłopów przed nacierającymi Litwinami, nie była gorszą od tych prób niby historycznych powieści, które wówczas Miniszewski i inni wydawali, ale dla nas jest tylko ważna jako protest przeciw uciskowi chłopów, jako chęć wzruszenia serc spółczesnych dziedziców historyą dawno ubiegłych czasów.

Oprócz wykazywania wartości i znaczenia poezyi dla społeczeństwa, oprócz pobudzania spółczesnych do polepszenia doli ludu, t. j. oprócz tych dwu głównych idei, charakteryzujących pierwszy okres działalnosci piśmienniczéj Gabryelli, przedstawiła ona w kilku fragmentach swoje poglądy na znaczenie wiary dla jednostek a pośrednio i dla narodu, poglądy, które w wymienionych dotąd utworach albo epizodycznie albo niewyraźnie były wypowiadane. Fragmenta te mają ogólny napis: „Wyjątki z podróży kobiety". W pierwszym z nich p. n. „Gibraltar" ([1]), który jest allegorycznem fantazyowa-

([1]) Drukowany w Bibl. Warsz. 1841, III.

niem na temat wiecznego pokoju, miłości ludów, oświaty powszechnéj, prawdy dla wszystkich, wsłuchiwania się w głosy przyrody, znajduje się charakterystyczny ustęp o modlitwie: „Złożyłam ręce i zaczęłam się modlić, nie tą modlitwą, która błagające oko z wyrazem prośby ku *błękitowi atmosfery* wznosi; ale tą prawdziwą modlitwą czci i uwielbienia, w istność człowieka wsączoną, jak śpiew w piersi ptaszyny, jak zapach w listki kwiatów; tą modlitwą ducha, która nie Bogu o sobie, lecz sobie o Bogu mówi, która jak wszystkie umysłu zdolności dana jest człowiekowi dla jego szczęścia i ulepszenia.” W „Burzy” ([1]) przedstawiającéj niezachwianą odwagę kobiety, którą podtrzymuje myśl i wiara, poetka ostro przeciw tym powstaje, co ideę nieśmiertelności zaprzeczyć pragną: „Leć, leć, aniele śmierci! połóż twój palec na ustach fałszywego mędrca, co pleśnią grobu okryty i zimny woła, że wszystko w grobie się kończy; że w lekkie wieko trumny można zabić silną myśl człowieka; że poświęcenia i trudy szaleństwem są i marnotrawstwem dni swoich; że Krzyż Chrystusów nad wielkim tylko cmentarzem bezużyteczne wyciąga ramiona, a krew męczenników w nieurodzajną wsiąknęła ziemię i powstał z niéj robak grobowy, ostatni, jedyny szlachetnych dusz potomek. Leć, leć, aniele śmierci! skrzydły swemi rozwiéj w powietrzu niecne słowa, niechaj na wiek wieków zostanie o nich tylko ta pamiątka, że kłamano niegdyś.” W trzecim wreszcie fragmencie „Zwaliska Luksoru” ([2]) z powodu ruin dawnych świątyń i posągów, wszczyna się między bratem i siostrą rozprawa o wierze. Brat ją potępia jako zabytek ciemnoty i barbarzyństwa; siostra, odróżniając zabobony i obrzędy od wiary czystéj, skłaniającéj do działania na pożytek bliźnich, broni jéj i słowami pełnemi zapału przekonywa a raczéj porywa go. „Wiara, według niéj, zbroi przeciw szyderstwu i prześladowaniu, przeciw mękom i śmierci; wiara, daje siłę potrzebną do stargania tych więzów, które ze spokojném, wygodném życiem człowieka łączą, które ze stosunków rodzinnych, z przywyknień serca, z upodobań wyobraźni usnuły lekką, lecz trudną do zerwania pajęczynę między nim a poświęceniem”. W ostatecznym rezultacie rozmowy, wypadło, że dla mędrców jest przekonanie, dla wybranych wiara czysta, duchowa, udoskonalająca władze naszego umysłu i serca; dla tych zaś, co żyją, myślą, sądzą sercem tylko, — zostaje „religia cudów, pieśni i wonnych kadzideł”.

Zdaje się, że dla kobiety, co tak głęboko pojęła znaczenie wiary, jako udoskonalenia wewnętrznego; co tak hardo wyzywała wszystkie ziemskie potęgi, pieśń im tylko przeciwstawiając; co tak polepszeniem doli ludu była przejęta, że o sobie zapomniała: nie miała nigdy nadejść chwila, w któréj przypominaćby jéj było potrzeba, iż i ona przez

([1]) W Pielgrzymie; 1842, I.
([2]) W Pielgrzymie; 1842, III.

trzy chwile poetą była. A przecież chwila ta, w której widać było „łzę w jéj oku, smutek w twarzy", w której „żalom wodze puściła", nadeszła bardzo prędko. W „Wolnych chwilach Gabryelli" z roku 1845 ukazał się po raz pierwszy wiersz p. n. „Czemu mi smutno?" Wiersz ten, przypominający śliczny utwór Słowackiego na tenże temat, a jednak nie będący jego naśladowaniem, należy do najpiękniejszych klejnotów liryki naszéj, a odkrywa bolesne pasowanie się ducha poetki z jakąś trwogą, niepokojem i smutkiem. Gabryella rozpatruje rozmaite tego stanu przyczyny. Czy dlatego jéj smutno, że wiatr jesienny odarł z zieleni lasy i pola, dachem ołowiu rozbił po niebie chmurę ciemną i pędzi przed sobą tuman liści spadłych z drzewa:

Jakby liść każdy był duszą człowieka,
Co wirem szału i losu porwana,
Po szlakach drogi nieznanéj nieznana
Leci, aż padnie smutna i daleka,
Gdy wiatr ucichnie, lub jéj zbraknie siły
Nad brzegiem jakiéjś-tam obcéj mogiły?...

Czy dlatego jéj smutno, że widzi jakąś kamienną wśród ludzi obojętność, że „wszyscy w różne chodzą strony, każdy ku swojéj gwieździe obrócony", nie dbając ani o cześć, ani o miłość spółbraci, ani o szlachetność?... Czy dlatego jéj smutno, że sceptycyzm nauki kazał jéj o piosence „na nutę nadziei i wiary" zapomniéć? Czy też dlatego, że wszyscy, co sercu jéj blizkimi byli, w „dębowéj trumnie zasnęli na wieki?"... Oh nie! poetka oddawna przywykła „w jesienne zawieje czekać, aż kiedyś słońce zajaśnieje", a w cnotę ludzi wierzyć jak w przyszłość, w mądrość, w litość bożą; ni też ksiąg uczonych karty, choć ją do próbowania każdego pomysłu pobudziły, wiary jéj zachwiać nie mogły; ni też na groby tyle wylała cierpienia, ona co również ma umrzéć; ale jéj smutno...

...Bo dziś jako cnotę
W serca brać trzeba boleść i tęsknotę,
I Bóg sam duszę dał mi do nich zdolną;
A chyba w sądu godzinę okrutną
Ja powiem Bogu, czemu byłam smutną,
Bo ludziom mówić nie wolno!

Ale co poetce mówić było „niewolno", to nam zbadać wypada. Stratę indywidualną poniosła Żmichowska w tym czasie jednę tylko przez śmierć brata Jana w r. 1843. Strata ta była bezwątpienia bardzo bolesna, gdyż siostra w odrodzeniu moralném tego brata największy udział miała... W pierwszéj chwili, po powrocie z zagranicy, kiedy wyśpiewała „Szczęście poety", Gabryella brała swe myśli i uczucia z warstwy najświeższéj. Blaskiem ich była do pewnego

stopnia oślepiona i skrywszy pod kamienną powłoką „dawne rojenia”, mogła urągać konwencyonalnym przepisom, ortodoksyjnéj groźbie. Martwota i bezduszność tłumów, wobec których chciała poetka wyższe zająć stanowisko, myśląc, że czarem słowa ku sobie je pociągnie, była taka sama, jak przed laty; a entuzyastki, zamiast uwielbienia, doznawały upokorzeń. Gabryella wprawdzie, jako autorka, o wiele względniéj od innych była traktowaną. Mówiono, że jéj wolno miéć własne swoje przekonania i nie zupełnie tak jak wszyscy inni postępować. Ale ona względności téj za chlubne odznaczenie nie uważała: „Jeśli większa swoboda miała być zdrożnością jakąś — myślała — to ją obrażało, że z autorstwa chciano patent na zdrożności wykroić; a jeśli była tylko przywilejem rozumnych, to ją znów obrażało, że autorstwo... za jedno z rozumem biorą. Ileżbo ona znała rówieśnic swoich, które przez całe życie ani jednego słówka nie podały do druku, a od których tak wiele się nauczyła!” ([1]). Wśród takich rozmyślań musiała zagłębić się w dochodzenie przyczyn téj dysharmonii, jaka pomiędzy otoczeniem a entuzyastkami z każdym niemal rokiem coraz bardziéj się uwydatniała; musiała więc przypomniéć sobie owo utylitarne i prozaiczne wychowanie, jakie kobiety nawet jéj spółczesne odbierały, a cóż było myśléć o pokoleniu daleko starszém? Zdolności wybitne, temperamenta żywe otrząsnęły się z poziomych wyobrażeń i własną pracą doszły do rozbioru najwyższych zagadnień człowieka; ale zdolności średnie, temperamenta powolne praktyką życia jedynie utwierdzić się mogły w najprozaiczniejszych i najbardziéj z życiem powszedniém związanych wiadomościach i przepisach; o wielu nawet rzeczach pozapominały; a odżywiając swój umysł tylko rutyniczném spełnianiem obowiązków religijnych i czytaniem pospolitych romansów, nie mogły ani rozumiéć wysokich polotów entuzyastek, ani tém bardziéj podążać za niemi. Z „nawałnic i burz” entuzyastki śmiać się mogły; ale drobne, szpilkowe ukłucia, codzień się powtarzające zarówno w „towarzystwie” jak i w niektórych satyrycznych owego czasu pismach, kobiecą ich naturę drażnić straszliwie musiały. Niepodobna było w takim stanie rzeczy marzyć o tryumfalném roznoszeniu światła wśród ciemnych tłumów; lecz o zabezpieczeniu własnych umysłów przed naciskającą pomroką, i własnych serc przed straszną nawałnicą szyderstwa. Gabryelli było bardzo smutno.

([1]) Dzieła Hofmanowéj, wyd. przez Żmichowską. Tom VIII, str. 287.

III.

Sarkazm wynikiem głębokiego smutku. „Capriccio."—Najwyższe wzniesienie się talentu Gabryelli przedstawia „Poganka". Jest to poemat i jako taki sądzonym być winien. Siła natchnienia równa innym siłom natury.—Obrona „rozsądku" przeciw filozofom i entuzyastom.—Spokojowi domowego życia przeciwstawiony demonizm nadzwyczajnych natur w trzech kształtach: malarza Cypryana, artystki życia, Aspazyi i bezwzględnego czciciela miłości, Benjamina.—Rozbiór poematu.—Wyjaśnienie niektórych niedokładności w jego wykonaniu i pierwiastku fantastycznego. — Idea miłości przeważa nad uwielbieniem dla nieokiełznanéj siły talentu. — Owocem tego przekonania była „Książka Pamiątek."—Wszystkie jéj postaci miały być smutnemi okazami „miłości zaprzeczonéj," — Znaczenie „Książki Pamiątek jako protestu przeciw przymusowi rodzinnemu i społecznemu w kwestyi małżeństwa; krytyka idei głównéj.—Sama autorka zmieniła ją późniéj. — Dlaczego „Książka Pamiątek" nie została ukończoną?

Bezpośrednim wynikiem tego bolesnego usposobienia był sarkazm. Gabryella nigdy dotychczas téj ostréj broni nie używała; w „Capriccio" dopiéro drukowanym poraz pierwszy wraz z wierszem „Czemu mi smutno" w „Wolnych chwilach", zwróciła ją właśnie niejako przeciw sobie saméj, bo przeciw ideałom, uwielbianym przez nią i przez jéj towarzyszki. Sam już początek powiastki usposabia nas ironicznie. „Jeden uczony — opowiada Gabryella — bardzo szanowny i bardzo szanowany przeze mnie człowiek... skarżył się na zbytek poważnych we wszystkich pismach rozpraw i prosił mię, ale to wyraźnie prosił, żebym coś *mniéj rozumnego* napisała." — Poetka sądziła zrazu, że jéj to przyjdzie z łatwością; ale gdy przyszło do wykonania, pokazały się nagle nieprzewidywane przeszkody w postaci wątpliwości „co jest rozumem a co nierozumem„ „jak brać te określniki, światowo czy ewangelicznie, według *opinii*, czy według własnego przekonania, kształtem żartu czy smutną prawdą?" Późniéj gdy o tém w gronie kilku dobrych znajomych wspomniała, każda starała się jéj poddać jakiś nierozumny temat, z których najszczęśliwiéj pomyślanym był wykład filozoficzny terminami heglowskiemi o „obiedzie"; po długich wreszcie rozprawach Ksawera opowiedziała o „najnierozumniejszém, najszaleńszém ze wszystkich szaleństw — o kochaniu się w poecie... Ksawera była entuzyastką a żyła wśród otoczenia poziomych pojęć i uczuć. „Ja wychowałam się—mówiła—wpośród osób liczących lata życia na zbiory jesieni i wiosenne zasiewy, modlących się rannym i wieczornym pacierzem albo mszą niedzielną, kochających jadłem i napojem, odzieżą i pomieszkaniem, *temi powinnościami rodzinnych stosunków;* — a przecież moja myśl odstała od ich myśli, zapragnęłam słowa bożego, przemówiłam modlitwą uwielbienia i zachwyceń, wymarzyłam sobie żywsze kochanie, miłość świętszą i wznioślejszą. Wszystko to wprawdzie było raczéj poczuciem niż pojęciem lepszego świata, tęsknotą niż rozmyślaniem. Moja dusza, jak biała karta otwartéj księgi, czekała dopiéro

na tajemnicze przyszłości wyrazy, ale też żadne *czcze*, próżne, *drobnostkowe* nie splamiło jéj słowo“ (¹). Tajemniczy wyraz przyszłości pojawił się w osobie poety Juliana. Nie był to wprawdzie geniusz, „co przeciągłém echem po wszystkie brzmi wieki“; ale też i nie wierszokleta. Ksawera wierzyła najmocniéj, że od niego się dowie rozwiązania dręczących jéj umysł zagadek o Bogu, przyrodzie i duszy człowieczéj. Wśród najzuchwalszych nadziei dostała do rąk jeden wiersz Juliana, pełen smutku i zwątpienia strasznego. Kiedy go przeczytała, Julian z poety stał się dla niéj, „świętszą jeszcze, bo nieszczęśliwą istotą.“ Uwielbienie dla talentu, spółczucie dla nieszczęścia wytworzyło w sercu Ksawery miłość dla Juliana. Upojenie trwało niedługo. Julian nie tylko nie rozwiązał zawiłych zagadek, ale nadto zatrwożył czystą wierzącą duszę Ksawery nielitościwym sceptycyzmem, spotwarzając wielkie imię Boga. Poezya, która, według określenia Juliana, przy pierwszém zapoznaniu się z Ksawerą, miała być wiecznotrwałém zapytaniem, które stworzenie swemu Stwórcy na wszystkie wyśpiewuje tony, wiedząc, że odpowiedź byłaby mądrością bożą, tak jak ślepa spokojność zwierzęcą bezmyślnością bywa: poezya tedy ta powoli z zapytania do zaprzeczenia przeszła i wywołała protest ze strony Ksawery. „Dlaczegóżby nie przypuścić — zawołała — że mądrość nie na walce, lecz na zwycięztwie polega, a Bóg siły, że jest Bogiem ideału gorącéj piersi naszéj... Zrównoważenie, czy zniesienie złego przez dobre, ciemnoty przez światłość, boleści przez szczęście, to jest zagadką na całe życie człowieka, może ludzkości nawet. Lecz kiedy mam w myśli jakieś pojęcie, zastosowane do tych wyrazów: cnota, piękność, doskonałość, a w sercu mam uczucie niewyczerpane, nieskazitelne, promienne: oh, wtedy mnie dosyć na tém! Nie rozpaczam o przyszłości, bo wierzę w Boga doskonałego bez końca, a wierzę w takiego Boga,.. bo kocham.“ Ksawera, jak prawdziwa entuzyastka, sama miłość swoję wyznała i nie zaparła się słów przed ojcem, który nadszedł w téj właśnie chwili i pytał: co za wiersze deklamują? Julian zaczął przebąkiwać wyrazy oświadczyn; lecz Ksawera nie dała mu skończyć i zapewniła strapionego poetę, że jéj wyznanie było wyrazem uwielbienia dla geniuszu i spółczucia dla jego cierpień, że zatém do niczego go nie obowiązuje. Potém, gdy matka wspomniała jéj o sądach ludzkich, ona zaczęła mówić o sądzie własnego sumienia. „Matko, któż mię potępi, że go kocham? On wieszcz, on święty, on wybrany Boga; *a że choć kocham, żoną mu być nie chcę*, to moja cnota, matko, to moja świętość, to chwała jedyna. Jemu nie trzeba drogi rodzinnemi obowiązkami i rodzinną pracą utrudniać. On z życia rzeczywistego uczucie tylko czerpać powinien; z każdego serca wybrać daniną promień najczystszy, aby

---

(¹) Pisma Gabryelli; I, 225.

kiedyś wszystkie promienie w tęczę pomysłów rozwinął i ludziom oddał poezyą... Innego stosunku między nim a światem być nie może, innego ja mu nie narzucę dla... ach matko, tém jednem słowem ustaliłaś na wieki przedsięwzięcie moje... dla losu" (¹)! Julian naturalnie wyznał, że Ksawera była objawieniem prawdy i piękna natchnieniem; miłość jéj, nawrócenie swoje opisał wierszem i odczytał ukochanéj... A potém? Potém w kilka tygodni przysłał opisanie całego poranku i Pilicy i wiersze też same... przysłał drukowane w Noworoczniku, a sam *niby kochał* się w innych...

Entuzyastka rozczarowała się; miłość poetów, zacząwszy od Petrarki „praojca zakochanych rymowników" a skończywszy na pierwszym lepszym wielbicielu Filidy lub Maryi, zaczęła uważać za balladę, sonet lub elegią. „Poeta kocha się dla rymu — mówiła późniéj — bo mu do natchnienia téj *średniówki* w życiu potrzeba; oświadczy ci się w pięknie zakreślonym peryodzie; a jeśli wzruszona i łatwowierna, z bijącém sercem, ze łzą w oku, dasz mu pełną uczucia, prawdy i wzniosłości odpowiedź, on ją gotów w lada pisemku za swój własny utwór przedrukować." Ten zarzut sercowego plagiatu był jedną stroną rozczarowania, bardziéj indywidualną; drugą, ogólniejszą, było potępienie rzucone na zbyt wysokie ducha poloty, których ciemne i niedołężne otoczenie zrozumieć nie może. „Jeśli tu jest pomiędzy wami taka, — mówiła do grona kobiet, które jéj powieści o Julianie słuchało, — co, jak ja wtedy, odważna aż do zuchwalstwa, a nieświadoma aż do ślepéj ufności, rzuca się myślą na najwyższe olbrzymich pojęć tytany i *wierzy jeszcze*, że jéj ktokolwiek do zwalczenia ich pomódz może; jeśli jest taka, a ma drażliwe nerwy, słabe piersi, wątłe zdrowie, a i piękna jest przytém: niech lepiéj z matką codzień na bale i wieczory jeździ, niech tańczy, póki jéj tchu stanie; jéj duszy i jéj ciału mniéj taniec zaszkodzi; — a jeśli brzydka, to niech lepiéj tablic chronologicznych Lesaża na pamięć się uczy, niech z małemi dziećmi syllabizuje, *niech czemkolwiek zabije w sobie tę chęć zaciekania się i badań*, bo ja wiem, że dla słabych jest tam przy końcu szaleństwo lub występek" (²).

Gabryella zachowuje się wprawdzie dosyć objektywnie wobec sarkazmów Ksawery; objektywność ta jednakże sama już świadczy, w naturze tak skłonnéj do uniesień jak nasza poetka, że je w znacznéj części podzielała... Co więcéj, Gabryella do sarkazmów Ksawery dodała jeszcze odrobinę ironii ze swojéj strony. Ta entuzyastka, co o wiecznéj marzyła miłości; co tak wyniośle sądami ludzkiemi i zapewnieniem losu gardziła; co tak bohatersko rodzinnemi obowiązkami polotów fantazyi Juliana wstrzymywać nie chciała; ta sama entuzyastka wyszła obojętnie za mąż za Leopolda, którego

(¹) Pisma Gabryelli; I, 252.
(²) Tamże, str. 230.

razem z Julianem poznała, choć nie zauważyła nawet koloru ani włosów ani oczu... Ta ukryta ironia była bezwątpienia bardziéj łzawą, niż wszystkie sarkazmy Ksawery. Być wyszydzonym przez ludzi obojętnych jest rzeczą bolesną; ale być zdradzonym przez towarzysza myśli naszych i dążności—stokroć boleśniejszą. Ksawera swojém obojętném zamążpójściem zaparła się wszystkich dawniejszych entuzyastycznych ideałów i stała się do bezmyślnéj rzeszy podobną. Gabryella z artystycznym taktem tego sensu moralnego sama nie wypowiada, lecz go domyślać się tylko pozwala.

Kampania więc entuzyastek skończyła się dla Gabryelli sarkazmem, ale nie zwątpieniem. Ona wyniosła z niéj to ważne na przyszłość przekonanie, które również jak sarkazm ustami Ksawery wyjawiła, że „każdą pewność człowiek sam z siebie wydobyć musi“; że mistrz, nawet najbieglejszy, wątpliwości w duszy zrodzonych nie usunie, a cóż dopiero ciemny tłum półmędrków... Z tém przekonaniem Gabryella zaczęła szukać punktu oparcia w jakiémś otoczeniu, któreby dla wyrabiania się myśli nie było zawadą. Zgodnie ze swojemi skłonnościami i przyzwyczajeniami, taki punkt oparcia znalazła w sferze ludzi wyższego wykształcenia, a przedewszystkiém w sferze artyzmu. Stosunków świata konwencyonalnego, kochającego „jadłem i napojem, odzieżą i mieszkaniem“ nie chciała już przedstawiać, chociaż ówczesny stan naszéj powieściowéj literatury mógł ją ku temu silnie pobudzać. Bolesne zawody w czasie apostołowania idei wznioślejszych wśród tego świata zraziły ją do niego stanowczo; nie przedstawiało się w nim dla poetki dosyć ani materyału do uplastycznienia jéj pomysłów, ani zasiłku dla własnéj duszy. Dawne, panteistyczne trochę marzenia, wyrażone w „Burzy“ a szczególniéj w „Mainie i Kościeju“, nie mogły jéj teraz po kilku latach zetknięcia się bliższego z rzeczywistością zadawalniać tak, jak dawniéj zadawalniały; myśl jéj potrzebowała już obecnie bardziéj określonych, bardziéj wykończonych kształtów. Poetka spodziewała się znaleźć zadowolnienie zarówno myśli jak i fantazyi w krainie dusz wybranych, umysłów podniosłych, serc szlachetnych, bijących dla prawdy, piękna i cnoty. Tu przynajmniéj nie spotka się z jednostajną popielatością przekonań, z komunałami poczytywanemi za kwintesencyą mądrości, z uczuciami odmierzanemi podług skali „sądów ludzkich“ a nie własnego serca, z czynami, które w brutalnym egoizmie lub owczéj cnocie miały swe źródło... Gabryella, słowem, szukała piersi nie „na miarę krawca, lecz Fidyasza.“

Ktoś powierzchownie rzeczy biorący mógłby sądzić, że to przeniesienie się w sfery artystyczne było jedynie powrotem do pomysłów wyśpiewanych w „Szczęściu Poety“ i w „Trzech pieśniach gęślarza“; ale zastanowiwszy się nad niém dokładniéj, musiałby zbyt prędkiego sądu pożałować. Gabryella istotnie miała i teraz wstręt nieprzezwyciężony do tego świata, co się przechwalał „złotem, srebrem, miedzią i gałganami, na bankowe papiery przerobionemi“;

Gabryella i teraz nadzwyczaj wysoko ceniła zapał, nieustraszoną śmiałość mówienia prawdy, stanowczość przekonań, siłę do stwierdzania ich czynem; Gabryella i teraz czołem biła przed natchnieniem artysty: ale też, doświadczeniem życia nauczona, znalazła miejsce właściwe dla potępianego wówczas w kołach entuzyastów i filozofów „rozsądku“ a ponad twórczość artystyczną prawdę miłości i to miłości rodzinnéj wyniosła. W gronie towarzyszów serdecznych, zbierających się wokoło tego uroczego kominka, który tak cudnie we „Wstępnym obrazku“ opisała, lubiła Gabryella prowadzić dyskussyą o tych właśnie przedmiotach, które ją naówczas najbardziéj zajmowały; a odłożywszy na bok chęć apostołowania wśród mas, usiłowała jakieś wyższe ideały w szczupłém przynajmniéj kółku urzeczywistnić.

Wobec entuzyastów i filozofów potrzeba tedy było najpierw uprawnić istnienie sponiewieranego „rozsądku“; Gabryella dokonała téj rehabitilacyi w sposób jak najmisterniejszy. „Rozsądek — powiedziała — to jest kawałek owego powszedniego chleba, o który w pacierzu matki was prosić nauczyły; rozsądek — najpośledniejszy wyrób ludzkiego mózgu, szmatka, na którą wszyscy ubodzy w duchu zdobyć się mogą, klej co w spójności trzyma mędrców i prostaczków, gdy im najwyższego religiamentu, gdy im miłości zabraknie. Francuzi trochę lepsze od nas mają na to wyrażenie; oni ten rozsądek, o którym ja chcę mówić, zowią *le sens commun;* i w istocie jestto jakiś zmysł powszechny, za pomocą którego można przyswoić sobie, można się wtajemniczyć niejako w sposób widzenia tak ogólny, że na co spojrzę, to mi się przedstawi takiém, jakiém jest dla wzroku innych; a dopiero, co ja tam dojrzę w przydatku, w ujemności lub w odmianie zupełnéj, to już moja własność, mój twór; ale zawsze, bądźcobądź ja do źrenicy mojéj gromadzę wszystkie promienie, pod któremi ludzie bracia na świat boży patrzą; zawszeć ów zmysł włączy mię w massę ogółu: zawszeć on mi nie da odpaść w dziwactwo i niepojętość“ (1). Na zarzut, że niepojętość nie jest znów czémś złém bardzo, kiedy Bóg także jest niepojęty, poetka odpowiada: „On ma czas, wieczność i prawdę niezjawioną, a człowiek — co ma?...“ zkąd wynikało, że niepojętość, która dla entuzyastów była z jednéj strony bronią a z drugiéj kamieniem obrażenia względem ogółu, w działaniu, ograniczoném przestrzenią i czasem, była zawadą tylko...

Wobec fanatycznych wielbicieli piękna i sztuki, Gabryella zamieniła sarkazmy Ksawery w „Capriccio“ na poetyczne określenie stosunku artyzmu do życia rodzinnego, a przez nie i do życia społecznego wogóle. „Wyłączono już bóstwo z natury — mówiła ona — nie biją dziś pokłonów słońcu, gwiazdom i księżycowi: wyłączcież i wy cześć waszę z użycia piękności i sztuki; postrącajcie artystów z ołtarzy waszych, bo to nowe bałwochwalstwo tylko, sabeizm intel-

(1) Poganka. Pisma; II, 107.

lektualny. Co jest boskiego w artyście, to dane przez was i wam; co jest boskiego w artyście, to właśnie rozłączać się z nim musi ciągle, żeby stanęło przed wami; co w nim boskiego, to przez jego duszę sączy się niby olej skalny i na zewnątrz dopiero w zetknięciu ze wzrokiem waszym, i z myślą waszą, i z uczuciem waszém, może się w blaski rozetlić; ale tam w głębi... tam tylko massa jakiéjś czarnéj ziemskiéj gliny, trochę odmiennego gatunku" niż ta, z któréj inni ludzie ulepieni. „Geniusz artysty ogniem jest: rzucajcie mu na pastwę wszystko co chcecie, tylko nie rzucajcie złotego szczęścia i serc miłością bijących" ([1]).

Widząc w artyzmie jakiś demoniczny pierwiastek, radziła Gabryella opromieniać się blaskami jego, zachwycać się pięknością: ale nad te rozkosze wyżéj cenić szczęście rodzinne, czyn szlachetny, cnotę świadomą i pewną siebie. Sama jednakże, pisząc „Pogankę" tak dalece była jeszcze pod wpływem dawnych swych marzeń o potędze artysty; tak się dała porywać ówczesnym heglowskim na sztukę poglądom; tak zresztą słabo urokom artyzmu się broniła:—że owę demoniczność natury artystycznéj najzupełniéj usprawiedliwiała. „Artysta tworzy tylko — utrzymywała — tworzy zaś, bo ma zdolność i musi tworzyć, bo tego wymaga organizm całéj jego istoty, bo pszczoła także musi miód wydawać, kwiat musi pachnąć, woda rzeki musi płynąć; — ale jak tworzy, na co tworzy?... Czasem tworzy okropnemi sposobami: żeby odmalował konającą twarz Chrystusa, przybija do krzyża żywego człowieka i bok mu włócznią śmiertelnie rani; żeby wyśpiewał piosnkę miłości, kładzie spokojne ucho na wzburzonéj piersi, nastraja do gry krwawe żyły i przebiera po nich marmurowemi palcami dopóty, dopóki mu artystycznego nie wydadzą dźwięku; a jak wydadzą, to choćby też wszystkie struny pęknąć i splątać się miały, oddziera od nich palce, przenosi je coprędzéj na kościane klawisze fortepianu, może na smyczka włosienie, i co podsłuchał, odgrywa dokładnie, i czém pamięć naciągnął, tém echo dętych instrumentów wypełnia." Ale czyż za to przekleństwem rzucić mamy artyście? „A jeżeli też w zamian cierpień i krwi naszéj da nam jakie arcydzieło, prześliczny obraz, cudną małą piosnkę, to cóż?" Nie, przeklinać nie można, woła poetka, artysta jest tylko odmiennym gatunkiem człowieka; „po co sądzić, ganić, chwalić? jest odmiennym, i koniec; niechże kto wielbi białość, a błękit potępia" ([2])...

Do téj pobłażliwości względem artystów skłania poetkę nie tylko maksyma, że wszystko, co jest, ma prawo być takiém, jakiém jest; lecz zarazem i ta okoliczność, że artystom jako Prometeuszom sęp artyzmu wnętrzności codzień wygryza i ostatecznie miłość dla sztuki,

(1) Tamże, str. 83.
(2) Poganka. Pisma II; 82, 83.

zapewniając przemijające oklaski, życia nie ochrania. Tak Cypryan, zakłóciwszy spokojność Benjamina rozbudzeniem w nim żądz przedtém nieznanych dla odmalowania arcydzieła, sam trawi się powoli i umiéra.

Możnaby sądzić, że powyższe na sztukę i artystów poglądy, w „Pogance“ wypowiedziane, są własnością Benjamina, do któréj poetka prawa sobie rościć nie chce; ale przeczytawszy „młodemu artyście nieużyteczną przestrogę“ innego nabierzemy przekonania. W przestrodze téj Gabryella porównywa sztukę do czarnoksiężnicy, „co serce wydziera i duszę pochłania“, i radzi artyście, ażeby na odegnanie uroków przytulił do piersi dłoń szczeréj przyjazni, proch ziemi ojczystéj, ażeby cośkolwiek ukochał miłością wyższą nad miłość sztuki; lecz napróżno! czarnoksiężnica splątała ducha artysty, wzięła go na skrzydła tęczowe i makiem snów wiecznych czoło mu uwieńczyła... Czy poetka oburza się na to? Nie; tak ona powiada:

Już usnął, już wzleciał, już ku nam jedynie
Głos czarnoksiężnicy, *nie jego* głos płynie;
Toż cuda się dzieją, oh, cuda wśród ludzi!
Ten głos go usennił; a *nas tu on budzi.*
Ten głos go roztęsknił, a *nas tu pociesza;*
Więc daléj, więc daléj, w muzykę zaklęty,
Leć duchu! *tyś grzeszny sam sobie, nam — święty* ([1]).

Tak jest: Gabryella w tym czasie (t. j. około roku 1846) była bezwarunkową czcicielką siły twórczéj i widomych jéj skutków; uważała ją na równi z potęgami natury; a jak tych do żadnéj odpowiedzialności nikt nie pociąga, tak ona tamtéj pociągać nie chciała. A co do uczucia artystycznego i wyższego ducha polotu; to rozwinięcie ich poczytywała za jedno z największych dobrodziejstw, jakie ludzie ludziom wyświadczać mogą. To też nic dziwnego, że Benjamin, odepchnięty i wyszydzony przez kochankę, pisząc list do niéj, nie zapomniał jéj wyrazić wdzięczności za to, że w skutek jéj miłości nauczył się odgadywać słowa rękopismów zbutwiałych, że ostrołuki gotyckich kościołów i pilastry świątyń greckich od jednego spojrzenia musiały mu tajemnice swéj piękności wypowiedziéć zaraz, w najdrobniejszym ułamku swoim; że mu ani jeden rzut pędzla sławnych mistrzów w ich cudownych obrazach straconym nie był ([2]). Otrząśnięcie się z naleciałości ciemnoty, z ciasnych powijaków dziecinnéj, bezświadoméj wegetacyi, życie pełnym rozwojem ducha, niekrępowanego żadnemi utartemi i przyjętemi przez świat salonowy prawidłami: stanowiło różnicę człowieka od maryonetki; i prędzéj przeba-

([1]) Pisma; I, 303.
([2]) Poganka. Pisma; II, 174.

czyłaby Gabryella szaleństwo jakieś, puszczenie fantazyi samopas, niż trwonienie drogocennych chwil życia „na drobniuteczkie wrażenia“, na filisterskie, że tu wyrażenia Zygmunta użyję, „odpoczywanie fabrykanta Niemca przy żonie Niemce.“ „Ej, daj mi pokój z całą powszednich małżeństw uroczystością — woła artysta Cypryan; — co mi po téj dziewicy, która skromnie oczy spuści, jakby drzémać chciała, ustek niewinnie przysznuruje i nic mi nie da w życiu, prócz praw kodeksem zawarowanych. Oh! jak innym piorun od świecy, tak inną moja piękna od téj ze zwyczajowych przepisów uklejonéj duszyczki“ (¹).

Uwielbienie to atoli nie posuwało się i nie mogło się posunąć tak daleko, ażeby kazało poetce zapomnieć o prawach rodziny, o prawach społeczeństwa, o prawach cnoty. Obrona „rozsądku“ poprowadziła ją z konieczności do uznania téj prawdy, że gdyby rodziny nie miały się na baczności, demoniczna artyzmu natura musiałaby je rozłożyć i strawić. Nie mogąc się jeszcze naówczas pogodzić z myślą kierowania siłą twórczą, uznać przecież musiała, że ona w pewnych objawach swoich fatalne spustoszenia i w sercach i w charakterach zrządzać jest zdolna. Kiedy na tym punkcie przekonań swoich stanęła, zestawiła dwie ścierające się za sobą siły i — napisała „Pogankę.“

Poganka jest to poemat, na stworzenie którego złożyła się zarówno cisza pustyni jak i wulkaniczne wybuchy uczucia, poloty fantazyi podniesionéj do stopnia halucynacyjnych widzeń, a obok tych niespokojnych czynników jasne i wiecznotrwałe promienie rozumu...

Z głębokim artyzmem wyosobniła poetka dwa sprzeczne, w duszy ludzkiéj ścierające się ze sobą prądy, i w kształtach rzeczywistości w dwu odrębnych światach uzmysłowiła je przed oczyma naszemi. Jeden prąd spokojnym, cichym strumieniem biegnie w nieskończoność; drugi straszliwym na ziemię łeje się potopem. Każda dusza ludzka ulega w pewnych chwilach naciskowi jednego lub drugiego i stosownie do swego usposobienia, zdolności i wychowania, w uczuciach, w myślach i w czynach natężenie tego nacisku przedstawia. Tkwią w nas zarody i olimpijskiego spokoju i burzy huraganowéj: zakamieniałego konserwatyzmu i rewolucyjności bezgranicznéj; bierności, do apatyi posuniętéj, i żądzy ruchu, druzgocącéj po drodze nawet najświętsze i najwznioślejsze prawdy, co jéj polotowi opór stawiają. Od najprostszych, najelementarniejszych objawów pokory i zuchwalstwa, poprzez wszystkie stopnie duchowéj skali, poprzez wszystkie stany uczucia, fantazyi i myślenia, aż do najwyższych sfer ofiarności męczeńskiéj i pychy demonicznéj, zarody owe w olbrzymie drzewo się rozrastają. I spokój Sokratesa przed wypiciem cykuty, i wściekła żądza Kaliguli, co chciał świat cały jedną ukoronować

(¹) Tamże, str. 78.

głową, ażeby, ją tylko za jednym zamachem strącić był w stanie; poświęcenie S. Wincentego a Paulo i szatańska ironia Tyberyusza, Ludwika XI, Iwana Groźnego; cichość robotnika, pracującego wytrwale choć krwawo na wyżywienie rodziny i fantastyczne miotanie się po pustyniach Wacława Rzewuskiego: to wszystko w takim lub innym stopniu znajduje się społem w duchu każdego. Wszak podczas najstraszniejszych okropności terroryzmu, sielankowe uczucia i sielankowe kostiumy w największéj były modzie. W miarę rozwijania władz ducha, sprzeczne owe prądy rozwijają się także; szczęśliwy ten, kto je zmusi do zlania się harmonijnego i nie popadnie albo w kamienną martwotę albo w bezcelową, dymną i iskrzącą się wybuchowość, co pożarem wśród wszelkich stosunków się szerzy;—lub też zmordowany, zgnębiony przedwczesnym finałem wielkiéj życia epopei nie zakończy.

Pierwiastek „spokoju“ wystawiła Gabryella w liczném rodzeństwie Benjamina. Wśród niego panowała jakaś święta, ewangeliczna błogość, w urządzeniu stosunków domowych, w pożyciu sióstr i braci, ojca i matki, w każdym myśli i uczuć kierunku, w każdém słowie i w każdym uczynku. Błogość ta przecież nie była ani zwierzęcą szczęśliwością bezmyśli, ani wszelkiego smutku, wszelkiéj goryczy zaprzeczeniem. I owszem w rodzinie Benjamina nie obeszło się ani bez takich tęsknych jak Ludwina i Julcia istot, ani bez takich goryczą pojących się mężów jak ojciec, co karty księgi dziejowéj z sercem żalu pełném przewracał. W rodzinie Benjamina odczuwano gorąco każde tętno sprawy ogólnéj i nie szczędzono życia w jéj obronie. Nie w uwolnieniu się więc od trosk, smutków i strat wielkich; nie w ślimaczéj egoizmu skorupie tajemnica błogości owéj leżała; lecz przedewszystkiém w tém uspokajającém pojęciu, co było dla całéj rodziny prawdą najwyższą, żywotną, że wszystko co piękne, jasne, szczęśliwe, mądre, to Bóg, który ani na jedno oka mignięcie najmilszych dzieci swoich samym sobie nie zostawia; a potém, w zastosowaniu téj prawdy do życia, w urzeczywistnieniu ideału Bożego na ziemi — w miłości prostéj, szczeréj, szlachetnéj, która wszystkich bez wyjątku członków rodziny i społeczeństwa ciepłym słońca promieniem ogrzewała i do coraz wspanialszego rozwoju pobudzała. To też ta miłość i ta wiara niezachwiana we wszystko, co dobre, piękne, mądre i szczęśliwe, stanowiła talizman rodzinny przeciw nieszczęściom niespodziewanym i klęskom losowym. Ani śmierć braci Józefa i Karola, co zgonem walecznym w obronie „dobrego“ polegli; ani utrata najdroższego ojca nie mogła zakłócić spokoju téj błogosławionéj rodziny; nie mogła do rozpaczy i szaleństwa żadnego z jéj członków doprowadzić; bo podtrzymywały ich miłość i wiara. Trochę tylko smutku przybyło, trochę łez się wylało; ale spełnianie obowiązku nic na tém nie ucierpiało. A gdy Benjamin, znękany i zawiedziony, powrócił do tego świętego grona, którego głos napróżno go niegdyś do obrony ogniska rodzinnego powoływał; ono go

nie odepchnęło, nie znieważyło pamięci lat młodych przypomnieniem bolesnego upadku; nie wyrzucało mu okropnego o sobie zapomnienia. Benjamin te słowa wówczas od matki usłyszał: „Teraz kiedy wróciłeś do mnie, mnie się znów zdaje, że ja ciebie drugi raz na świat wydałam; że tak jako wtedy nie obejdzie się znowu bez moich starań i bez ciągłéj opieki mojéj; dlatego téż, patrz, Benjaminku, sama usłałam twoje łóżko w tém miejscu, w którém dwadzieścia cztery lata temu kolébka twoja stała. Zaśnij spokojny, jak gdybyś miał z jutrem po raz pierwszy na światło oczy swe otworzyć; *nie pomnij złego* Benjaminku; wyrzuć z serca przeszłość całą; tylko nie wyrzucaj téj miłości, którą nas kochałeś dawniéj. Z tą miłością zaczniemy jeszcze bardzo piękne życie; alboż to nam czasu braknie? Serce matki zna cudowne tajemnice wieszczego odżywania we wszystkich chwilach przeszłości swego dziecięcia. Zobaczysz, Benjaminku, że nam dobrze będzie“ (1)...

Wśród takiéj-to rodziny, nie wątpiącéj ani na chwilę o możności szczęścia z powodu rozumnego ograniczania wymagań, wychował się artysta Cypryan, z duszą płomienną i pełną blasków tęczowych. Jakim był w dzieciństwie swojém, nie wiemy; poetka przedstawia go nam wtedy dopiéro, gdy z długiéj po obczyznie wędrówki wraca w progi rodzinne. Wówczas demoniczna jego natura rozwinęła się już w pełni i trawiąc ducha samego artysty, wciągnęła w zaczarowane swe koło, spokojnego dotąd jak dziecię i szczęśliwego jak dziecię, Benjamina. Cypryana pożerał pomysł artystyczny, który sam fantazyi jego się narzucił i ani na chwilę go nie odstępował, pomysł przedstawienia niepokonanéj potęgi miłości i piękna w obrazie Aspazyi i Alcybiadesa. Aspazyą już stworzył; szukał tylko wzoru do postaci jéj kochanka. Wszedłszy do dworku rodzinnego w téj chwili właśnie, kiedy rodzina opłatkiem wigilijnym się łamała, dostrzegł w Benjaminie to, czego tak długo szukał napróżno. Artystę uderzyła przedewszystkiém piękność jego zachwycająca; to téż objąwszy go za szyję, zanim do piersi przycisnął, zatrzymał się jakby zdziwiony: oczy utkwił w twarzy Benjamina, dłońmi jak kleszczami przytrzymywał jego barki i patrzył nań ciągle, a dziwny uśmiech zachwytu usta mu rozświecił. Odtąd Benjamin nie miał w Cypryanie brata, lecz artystę tylko, co go za przedmiot studyów swoich obrał. Lecz Cypryan przebył już wszystkie fazy zwątpienia, rozpaczy, walki z niemocą artystyczną, z nieszczęściem, co mu piersi tchnące życiem na zachrzypłe kaszlem, zerwane astmą zmieniło, z odrętwieniem, z nieczułością ludzką i pychą brzęczącéj monety. Cypryan był tak nieszczęśliwy, tak okropnie nieszczęśliwy, że nie miał już miary do ocenienia nieszczęścia innych i dlatego litości miéć nie mógł. On czuł, że z ukończeniem obrazu, życie się jego skończy; miałże więc skąpić

(1) Poganka. Pisma; II, 163, 164.

zachodu dla zdjęcia potrzebnego wzoru; miałże roztaczać nad jasną głową brata „trzygroszową troskliwość“, którą sam dla siebie pogardzał? Nie, Cypryan postanowił rozmarzyć niewinne dziecię, ażeby serce jego bardziéj przyśpieszoném biło tętnem; ażeby w mózgu jego burza myśli zawrzała; ażeby fantazya rozkołysała się widziadłami szczęścia i w spółce z namiętnym uczucia porywem muszkuły jego męztwem nieustraszoném naprężyła; ażeby, słowem, karpackiego górala przetworzyć na Ateńczyka Alcybiadesa. A więc wśród sennego rozmarzenia, wśród półcieniu nocy rozświetlonéj kilkoma świecy promieniami, wśród radości z powrotu brata i niespodzianek fantastycznego uraganu, zaczął Cypryan rozdmuchiwać w piersi Benjamina iskry sławy poetycznéj, wrzawliwych oklasków upojenia, potęgi niesłychanéj, miłości bezbrzeżnéj. Cypryan kochał się w jaskrawych kolorach i w uczuciach burzliwych. Wystawiwszy mu w porywającéj rzeźbie słowa obrazy wielbionego poety i zwycięzcy hipodromu, kobiety silnéj w namiętności i silnej w duchu; starał się wszelkie jego wątpliwości zażegnać i wyłożył cudną teoryą uduchownionéj zmysłowości. „A nie nazywaj szczęścia podobnego zmysłowością; rozkoszy twojéj,—rozpustą;—mówił do niego: — zmysłowość będzie ledwie formą najorganiczniejszego wzniesienia się ludzkiéj natury w pełność bóstwa z duchem i ciałem; rozkosz sama w świadectwo przeciw rozpuście stanie... Gdybyś nie miał każdochwilowego uznania swéj godności; gdyby ona (t. j. kochanka) nie była ową Medeą, co żywiołom rozkazuje, ale Medeą, *która nigdy zbrodni nie popełni*, bo wiecznie kochaną będzie; gdybyś ty po jéj miękkich wezgłowiach hartowniéj wśród spartańskich niewygód zasnąć potém nie umiał; gdyby ona ze swych ust rozpieszczonych krwawym na torturach w potrzebie nie splunęła językiem; gdybyście oboje *nie mieli téj wyobraźni*, co wam w poezyą każdy całunek ozłoci, *téj śmiałéj myśli*, co z każdéj chwili radosnéj *chwilę siły* wyciągnie, co zawsze nową prawdę wykryje lub nowy sposób na szczęście utworzy; gdybyście nie byli tak właśnie duchem potężni, intelligencyą wzniesieni, przyznaniem szlachetni: tobyście i tak szczęśliwi nie byli.“

Cypryan posiadał umysł bogaty, rozwinięty zarówno studyami książkowemi, jak i doświadczeniem życiowém, serce nawet szlachetne, rade uchronić ukochanych od smutku i cierpień; ale fantazya górowała w nim nad wszystkiemi innemi władzami ducha, których używała za środki poprostu, do osiągnięcia artystycznych celów niezbędne. Choć mu więc kiedy przyszło na myśl niebezpieczeństwo, na jakie swojemi płomiennemi słowy duszę brata-dziecka narażał; to fantazya, wystawiając mu obraz niedokończony, tłumiła wszelkie wątpliwości i skrupuły, boć „obraz przedewszystkiém!“ Jakto? Aspazya jego, ta kochanka, co mu zobojętniła wdzięki wszystkich kobiet, co wieczném złudzeniem, nieodstępną wizyą stanęła w dziecinnych jeszcze dumaniach jego i w snach nocy niespokojnych, miałażby pozostać na płótnie sama jedna bez kochanka, wtedy właśnie,

13*

gdy już przed artystą w całym majestacie podzielanego szczęścia usiadła?...

Upojenie pięknością śpiącego brata, rozmarzenie własnemi słowami i długiem w noc czuwaniem, przypłacił Cypryan upadkiem sił, chorobą; ale zdobył sobie model, cel pragnień najgorętszych; odmalował Alcybiadesa, stworzył arcydzieło... Ukończywszy obraz, odesłał go bratu ukochanemu i... umarł.

Cypryan należał do pokolenia tych umysłów głęboko-artystycznych, dla których świat wyobraźni jest istotnym a nawet najrzeczywistszym światem; dla których zewnętrzność o tyle tylko istnieje, o ile służy do oddania pomysłów, rodzących się w fantazyi, za pośrednictwem znaków widzialnych. Gabryella, posiadając również jak Cypryan wrzącą fantazyą, przeszedłszy przez szkołę cierpień, wątpliwości, marzeń, sarkazmów, tak się wtajemniczyła we wszystkie skrytości duszy takich jak Cypryan istot, iż stworzyła jednę z najgłębiéj pomyślanych postaci w zakresie całéj literatury powszechnéj. Wprawdzie ta postać w trzech tylko sytuacyach występuje; wprawdzie sytuacye te przedstawiają jeden króciutki ustęp z jego życia: ale w odmalowaniu ich poetka tyle nagromadziła rysów, tyle potęgi wlała w każde słowo, w każde jego zagięcie, że Cypryan staje przed nami jako osobistość we wszystkich szczegółach swego umysłu, uczucia i woli wykończona, jako osobistość pełna siły nadzwykłéj, pełna uroku nieprzepartego, którym nie uledz wydaje się prawie niepodobieństwem.

Téj sile i temu urokowi umysłu Cypryana uległ, po krótkiéj walce z duchem cichego rodzinnego szczęścia, siedemnastoletni Benjamin; pokochał wymarzoną przez brata Aspazyą jako kapłankę piękności, rozumu i ubłogosławienia. Jak ptak, co wszystkie pióra do lotu rozwija, jak okręt co wszystkie żagle na wiatr pomyślny rozpuszcza: tak on rozwinął naówczas wszystkie władze swego ducha, rozpuścił wszystkie żywioły istoty swojéj, leciał i pędził w nieskończoność!... (1). W duszy Benjamina były już zarody żądzy jakiegoś nadzwyczajnego, jakiegoś gwałtownego pochodu przez życie. Dzieckiem jeszcze, przy pomocy brata, lubił niebezpieczeństwa szybkiéj jazdy i groźnego polowania; nigdy nie chciał oduczyć swego konia od narowów tysiącznych, bo lubił „tabunową niesforność“, bez drżenia potykał się z wilkiem; miał pragnienie wiedzy szerszego świata; a gdy mu Cypryan poszepnął: „trzeba szaleć Benjaminie“, zaczął żyć szaleństwem marzenia, dopóki szaleństwo rzeczywistości miejsca jego nie zajęło. Benjamin miał wiele z natury „Farysa.“ W jednym ze swoich z wiatrem przegonów, wśród burzy, ulewy, grzmotów i błyskawic ujrzał kobietę, ucieleśniony ideał brata swego — Aspazyą. Stało się zadość marzeniom Cypryana. Aspazya wśród owéj burzy zaimprowizowała rodzaj wyścigów pomiędzy sproszonymi na bal kostiu-

(1) Poganka. Pisma II, 94.

mowy gośćmi. Benjamin, nie wiedząc o tém, wszystkich prócz Aspazyi prześcignął i jako zwycięzca hipodromu wszedł do grona gości nieznanych.. Uderzył go i olśnił przedewszystkiém przepych zamku, bogactwo wschodnie, z całą subtelnością artyzmu zużytkowane. Było to urzeczywistnienie najbujniejszych, najśmielszych, najnieprawdopodobniejszych marzeń o zastosowaniu skarbów natury i sztuki do uprzyjemnienia pobytu istot ludzkich na ziemi. W każdym szczególe architektonicznym, w każdéj drobnostce umeblowania, w każdym ruchu osób napełniających zamek znać było wytworny smak estetyczny, połączony ze wszystkiemi blaskami skarbów, jakie tylko ziemia wydać może. A cóż dopiero sama pani zamku! „Wysoka była — opowiadał późniéj Benjamin — ale przecież nie jak inni ludzie: ona wysoka postacią, chodem, ruchem; ona wysoka spojrzeniem patrzących na nią, bo to spojrzenie musi w proch upaść, musi w ziemi utkwić pierwéj, nim się ku jéj obliczu wzniesie — a od ziemi do jéj oblicza, to jak od ziemi do nieba, i dlatego mierzy się ją rozmiarem doznanych wrażeń i mówi: ona wysoka.“ Zwoje złocistych pierścieni roztaczały w koło jéj twarzy jasną, przeświecającą niby wszystkiemi odcieniami bursztynu, niby wszystkiemi połyskami topazu, aureolę. „Co do jéj oczu: były ciemno-zielone, ale ciemnozielone jak malachit nie jak szmaragd; świeciły z wierzchu odbiciem tylko bez żadnéj promienności, bez tego przezrocza, którém-to czasami aż dno serca widać; jéj oczy były jak nie jéj oczy, były jak gdyby zamarłe oddawna, jak pożyczone u trupa; najpiękniejsze, ale do patrzenia jedynie, do użytku, nie do szczęścia. Co za dziwna sprzeczność z czołem wyniosłem i rysującém się w każdy wyraz myśli każdéj; co za dziwna sprzeczność z licem bladém, ale zda się gorącém jeszcze od krwi dopiéro co ubiegłéj, lub gorącém już od krwi, co ma z pierwszém serca uderzeniem nadpłynąć; co za sprzeczność, co za najdziwaczniejsza sprzeczność z ustami szczególniéj, z temi jéj drobnemi choć wydatnemi, z temi jéj świeżemi jak niewinność, namiętnemi jak pieszczota ustami! Takie oczy i takie usta — śmierć i życie“ (1)!

Jak powierzchowność, tak i wnętrze duszy téj kobiety uderzało niepospolitością. Aspazya wybornie umiała łączyć lekkość salonowego szczebiotu z powagą uczonéj z erudytami dyskussyi, subtelną ironią z potężną grozą wybuchowéj ekstazy, zimne i odstręczające szyderstwo z sympatyczną wolnością. Kochała tylko wtedy, kiedy śpiewała, a śpiewała o miłości, potężnéj jak wszechmoc, ognistéj jak wulkan, wyłącznéj jak Boga istnienie. Zniszczeniem indywidualnéj odrębności składała dowód, że miłość płomieniem serce jéj obejmuje; ukochanemu odbierała powoli wszystko, co jego istotę wewnętrzną

(1) Poganka. Pisma II; 108, 109.

stanowiło i wówczas dopiero przesyt uczuwała, gdy już nic do odebrania nie zostało.

Aspazya była wielką artystką życia. Otoczyła się zbytkiem, wykształciła swój umysł, udoskonaliła poczucie artystyczne, zawiązała węzły szerokich z gronem wysoko wykształconych ludzi stosunków, w tym jedynie celu, ażeby każdy twór wszystkich trzech królestw przyrody, ażeby każda książka, malowidło, posąg, budynek, słowem, każde dzieło ludzkie, ażeby każda rozwinięta istota, ażeby wszystkich rozumów odcienia i wszystkich serc tajemnice głębokie, dostarczały wrażeń przyjemnych, któreby ona sobie na własność życia zabrała. Rozświetlała, rozszerzała i pogłębiała ducha swego skarbnicę, ażeby potrafiła, ażeby umiała wynaleźć środki do zaspokojenia nienasyconej żądzy użycia. Pomimo tych olbrzymich usiłowań, bywały jednak chwile, w których się Aspazya nudziła; na taką chwilę trafił Benjamin przy pierwszém z nią zapoznaniu się. Wtedy sarkazm panował na jéj dworze; najwznioślejszemi uczuciami bawiono się jak piłką i upajano się pięknemi myślami i wyrazami na to jedynie, ażeby je niezadługo najgustowniej w świecie wyszydzić, wyśmiać, sponiewierać. Prosta i serdeczna, choć gorąca, dusza Benjamina oburzyła się na widok tych bachanalij duchowych; on nie pojmował jeszcze, jak można pogardzać ideałami, których znaczenie doskonale się rozumie; on nie pojmował, że na wzór artysty, co najsprzeczniejsze odtwarza charaktery, można i w życiu samém taki tryb myślenia i czucia zachować; on nie pojmował, żeby własną duszę *nicować* można było. To też, choć mu Aspazya powiedziała, że jest pięknym jak przypomnienie dawnych czasów, kiedy każdy człowiek był zbiorem owych pierwiastków siły, wdzięku i szczęśliwości, któremi się później rozdrobnieni jego następcy dzielić musieli, jak się dzieli trupem wylęgłe z niego robactwo;—pożegnał ją, nie chcąc jéj nawet „jałmużną dobrego wspomnienia obdarzyć.“ Duch cichego rodzinnego szczęścia dość silny był w nim jeszcze naówczas; Benjamin opuścił zamek, postanawiając sobie, że o Aspazyi zapomni. „Głos twój pieściwy i nęcący — mówił sobie o niéj — dotknięcie rąk twoich miękkie i przejmujące: ale od słów twoich tchnienie w piersiach marznie, przy tobie serce cierpi i rozum się błąka; ty nie objawisz Boga, ty nie dasz nieba, biedna potępiona; o nie, nie! Ja zapomnę o tobie, ja zdmuchnę jak mętne szumowiny obraz twój z mózgu mojego; ja o dzisiejszéj nocy powiem sobie: *nie była* i dalej pójdę... dalej, dalej“...

Postanowienie to atoli uległo w walce z urokiem, jaki na Benjamina rzuciła artystyczna natura Aspazyi. Wspomnienie jéj żarem osiadło na jego mózgu: piekło go i paliło i zdmuchnąć się jak szumowiny nie dało. Przy drugiém spotkaniu, nie mniej od pierwszego poetyczném, bronił się wprawdzie jeszcze biedny jeniec, błagał Aspazyi, ażeby kłamaném uczuciem go nie obdarzała; ale pod czarem jéj głosu, słowa miłości wymawiającego, pękła niezbyt hartowna stal

jego woli, ustępując miejsca majakom rozmarzenia, upojenia, szczęścia. Odtąd stał się dla „pięknej kobiety“ źródłem najwyszukańszych wrażeń przyjemnych, składając w ofierze wszystkie upodobania swoje, wszystkie rojenia i zachwyty, wszystkie skarby prostego i naiwnego umysłu, wszystkie wspomnienia przeszłości, wszystkie uczucia najserdeczniejsze: miłość ojca, matki, sióstr i braci.

Dla zaspokojenia jéj życzeń, jéj fantazyi, rzucał się w szalone przedsięwzięcia spekulacyjne; starał się o „krzyże wszystkich świętych z kalendarza” o wyobrażenia wszystkich zwierząt od słonia do baranka, polerował się po wszystkich stolicach Europy, pożerał książki z lipskich księgarni, ubiegał się nawet o zaszczyt włożenia biretu doktorskiego na głowę... Wszystkie te zachody jednak spełniał jak lunatyk, machinalnie niemal; nic a nic z owych usiłowań nie zwiększyło treści jego ducha, do historyi życia nie weszło; bo one nie wynikały z własnego popędu, lecz były wyrazem jednochwilowych Aspazyi umiłowań. Tak upłynęło lat kilka. „Przez ten czas — opowiadał późniéj Benjamin — Aspazya roztrwoniła wszystkie spólne dostatki nasze: zapał, uczucie, natchnienie piękna, — władzę cieszenia się, pojmowania, tworzenia coraz to nowych a ciągle uiszczanych marzeń, władzę szczęścia. Miłość całą moję ona wzięła i zmarnowała” (1). Aspazya, jako genialna artystka życia, wyzyskawszy wszystkie efekta nowego przedmiotu, upoiwszy się jego pięknością, zapałem, ukształceniem, bogactwem, zaczęła się go pozbywać, jako rzeczy nie dostarczającéj już nowych silnych wrażeń... A Benjamin, którego życie w uczuciu się skupiało, który nie mógł przestać kochać, zaczął cierpieć, oburzać się i niepokoić, zazdrościć i nienawidzieć. Powoli doszedł do takiego stopnia boleści i zepsucia, że wściekłość go opanowała i nie dbał już o żadne inne uczucia, o żadne inne zasady, prócz téj chęci nieograniczonéj, ażeby sobie ulżyć choćby na jedno odetchnienie tylko. To też przy zdarzonéj sposobności nie wahał się zabić człowieka, którego podejrzewał, że mógłby się stać jego rywalem. Gdy o wszystkiém, co zaszło, opowiedział Aspazyi, nie oburzyła się nawet, zamyśliła się tylko głęboko, i po długiém milczeniu, rzekła zimno: „Ja ciebie nie kocham; ty mnie nie kochasz: rozstańmy się, Benjaminie”. Temi spokojnemi słowy chciała sobie jeszcze jeden efekt życiowy zapewnić; chciała doświadczyć gniewnego uniesienia kochanéj niegdyś istoty; chciała wysłuchać grzmotu słów potężnego uczucia; chciała się przyjrzeć grze muszkułów oburzenia. Dopięła swego zamiaru. Benjaminowi „wzgarda płomieniem z piersi do ust buchnęła”, rozgrzał się język, którym „splunął wszystkie obelgi, wszystkie swoje męczarnie, wszystkie przekleństwa”... Co za przecudna uczta artystyczna; zastawiono na niéj tyle silnych a tak namiętnie wyrzuconych uczuć z najgłębszych

(1) Pisma; II, 153.

skrytości duszy! Aspazya rozkoszowała się ze spokojem wytrawnego smakosza... Spokojem tym zyskała jeszcze jeden objaw uczucia, drżącego na wspomnienie okropnéj przyszłości, w której nic a nic do kochania nie zostanie... Benjamin pomimo serdecznéj opieki rodziny, pomimo czułych starań matki, pomimo niezachwianéj cierpliwości i słów pięknych Ludwinki, nie mógł oderwać myśli od wspomnienia „pięknéj kobiety" i ostatnim wysiłkiem rozumu, uczucia i woli zebrał się na odwagę napisania listu do niéj, w którym odźwierciedlił całą duszę swoję, znękaną ale kochającą, sponiewieraną ale potężną, zawiedzioną ale ufną, co niczego więcéj nie pragnie i nie żąda, jak tylko powrotu dawnych, uszlachetnionych stosunków z sercem kochanki. W liście tym wyspowiadał się z marzeń swoich na przyszłość, podniosłością ich chcąc zainteresować artystyczny zmysł Aspazyi. Jak ta ulegała demonizmowi fantazyi, wcielającéj pomysły swoje w życie, tak Benjamin poddawał się demonizmowi wyłącznego uczucia, szukającego zaspokojenia również w życiu rzeczywistém. On nie mógł tego uczucia wyrzucić z serca swego, nie mógł z rezygnacyą powierzyć się opiece Boga, nie mając tego jednego, najważniejszego, jego zdaniem, klejnotu duszy. Dla niego bowiem wszystkie władze duszy skupiły się w jedném ognisku miłości Aspazyi; a gdy ognisko to zagasło, przestał być istotą myślącą i czującą, nie śmiał stanąć w obliczu tego „co piękne, dobre, mądre i szczęśliwe". „Kto kochał — pisał on do Aspazyi — ten kochać będzie zawsze, choćby nieszczęście zawichrzyło mu w głowie, a grzechy tak serce zepsuły, iżby sam w obłąkaniu wołał: *nienawidzę;* on kochać będzie, bo *kochanie jedyną nieśmiertelnością człowieczeństwa*". W przeszłości swojéj widział złe zużytkowanie władz duszy, bo „dobro, nowego dobra nie rodzące, jest złem najgorszém; głupstwo nie tyle zaszkodzi, nienawiść nie tyle pognębi, ile rozum, gdy się zużyje na bezplenne prace; miłość, gdy się w samolubne uczucie roztrwoni"... Obięcywał też sobie, że wszystko złe jeszcze naprawi, wszystko dobre rozwinie, ulepszy się i ugodni. Tak mu kazała pisać wątła nadzieja powrotu miłości dla niego w sercu Aspazyi. Ale gdy mu sama nie odpisała nawet, lecz paziowi tylko, który był może nowym jéj kochankiem, słowa pełne szyderczego jadu przesłać kazała; wszystkie postanowienia, całe owo szukanie *celu* w życiu rozwiało się na zawsze. Benjamina ogarnęła doskonała martwota; ze wszystkich władz duszy pamięć mu tylko została. Na pamięć wydawał teraz wszystko: grzeczność, spółczucie, oburzenie, przychylność. „Chcecie bym pracował? — mówił do swych przyjaciół — będę pracował; chcecie bym się pozwolił przybić do krzyża? chętnie i drzewo na krzyż dźwigać będę, i rozpostrę ramiona, i dam przybić ręce, nogi, i skonam, o bracia moi! tylko... tylko choć skonam, nie zbawię... nie zbawię, bo, *nie kocham was*".

Poetka z wielkim talentem, z subtelnością genialną umiała przeciwstawić duchowi spokoju rodzinnego i rezygnacyi niezamąconéj

wichrami namiętności trzy rodzaje gwałtownego naprężenia ducha: demonizm fantazyi, skierowanej ku światowi wewnętrznemu, artystycznemu, demonizm fantazyi, skierowanej ku życiu rzeczywistemu i demonizm uczucia, w miłości ziemskiej szukającego błogości niezakłóconej. Nie wyczerpała wprawdzie Gabryella głównych typów demonizmu; to prawda; ale w tych, które do obrobienia artystycznego wzięła, okazała głębokie pojęcie natury ducha ludzkiego, wysoką zdolność wtajemniczania się we wszystkie jego głębiny, subtelność analizy choć w najogólniejszych tylko zarysach. Wszystkie trzy osobistości, przedstawiające trzy rodzaje demonizmu, obdarzyła poetka wysoką intelligencyą, gdyż bez niej nigdyby się nie stały uosobieniami wielkich potęg duszy ludzkiej; bez niej byłyby prostemi okazami szaleństwa, rozpusty i niedołęztwa woli. Intelligencya, świadomość wielkich zagadnień życiowych, nauka, oświecająca drogi ich pochodu i ukazująca im wszystkie zarzuty, jakie ludzie ludziom stawiać mogą; wszystkie wątpliwości, jakie każdy talent sam sobie rozwiązywać musi; wszystkie wymagania, jakie społeczeństwo jednostkom stawia: sprawiają, że owe trzy osobistości uważać musimy na równi z potęgami natury, z szalonemi wichrami, z burzą zwrotnikową, z wybuchami wulkanu, któremi kierują prawa mądre, lecz nieubłagane, poświęcające życie nie tylko jednostek, ale gromad całych, byle tylko same swobodnie moc swoję okazać mogły...

Artyzm Gabryelli doszedł w „Pogance" swego zenitu. Jakiż-to wyborny kontrast pomiędzy spokojnemi, tęsknemi trochę a prostemi obrazami, w których poetka maluje nam pożycie rodziny Benjamina w początku i na końcu poematu, a tym palącym kolorytem owych entuzyastycznych sytuacyj, w których demoniczne natury na scenę występują! Niepodobna przypatrywać się pierwszym bez rzewnego roztkliwienia, a drugim bez uniesień i zapału... Gabryella nie rzeźbi w Pogance szczegółów; całe dzieje miłości wzajemnej Benjamina i Aspazyi, zawierają się na kilku kartach; ale poetka tak dobitnie wystawiła nam charaktery, tak umiejętnie przygotowała nas do ich zrozumienia, że łatwo się nam domyśleć sytuacyj pojedyńczych, któreby może w wykonaniu trochę jednostajnemi się przedstawiły. Z trzech osobistości wulkanicznego usposobienia pod względem rzeźbiarskim, Cypryan najwydatniej się przedstawia; Aspazya, jako artystka życia, nie tyle słowami, ile otoczeniem swojem, które sama urządziła, w myśl nam się wraża; Benjamin, będąc uosobieniem uczucia, chociaż ani na chwilę z nami się nie rozstaje, w falistych pojawia się kształtach, jako najdoskonalsze urzeczywistnienie nie czynności, lecz bierności: wszystkie wrażenia, wszystkie myśli, wszystkie sytuacye „magnetycznie" zbiera w piersi swojej i odtwarza wiernie jak klisza fotograficzna.

To, co nas dziś razi w poemacie Żmichowskiej: tajemniczość jakaś istnienia Aspazyi; sześcioletnie, nieprawdopodobne awantury Benjamina, w których został nabobem, erudytem, lwem salonowym, wszyst-

kiém zresztą, co tylko pomyśléć można; zwęglenie się wreszcie „poganki” w téj właśnie chwili, gdy Benjamin obraz Cypryana, przedstawiający Aspazyą i Alcybiadesa, spalił: trzy te szczegóły, w czasie pojawienia się Żyda tułacza, Monte-Christa i innych dzieł fantastycznych, były do pewnego stopnia uprawnionemi. A przytém „Poganka” nie jest powieścią, nie kreśli powszednich stosunków życia, ale jest poematem, przedstawiającym potęgi ducha ludzkiego w plastycznych obrazach... Jeżeli więc zgadzamy się na uosobienie takich potęg nawet w postaci szatana, jak w „Fauście” Goethego; to trudno brać Gabryelli za błąd kardynalny użycie barw pewnéj tajemniczości i nadzwyczajności, do malowidła postaci nadzwyczajnych. Goethego usprawiedliwia wiara ludu; lecz ta sama wiara właśnie towarzystwo osób, które uderzyły imaginacyą ludową, z cudownemi okolicznościami jak najściśléj jednoczy. Rozumie się, że słowa moje nie mają na celu uprawnienia nawet w poezyi sytuacyj nie umotywowanych artystycznie; chęć tylko wytłómaczenia sposobu powstania takich sytuacyj upatrywać w nich należy.

Nadzwyczajności, których ślad wskazałem, nie spotykamy już wcale w „Książce pamiątek” ([1]). Wprawdzie i tu poetka nasza nie rozstała się ze światem artyzmu i wyższego wykształcenia; wprawdzie wyprowadzone na widownią osobistości, niepospolitemi są objawami potęgi ducha ludzkiego; świat ten atoli ma pod sobą grunt rzeczywisty; osobistości te, w warunkach życia codziennego się ukazują. W „Książce pamiątek” dokonały się zrękowiny przynajmniéj, jeśli nie zaślubiny idealizmu z realizmem estetycznym; początkowa nawet rozmowa z gospodarzem domu, w którym mieszkanie nająć pragnął, zakrawa prawie na obrazek rodzajowy; tak samo jak późniejsza scena w restauracyi Marego, gdzie to się zebrało grono młodzieży, co społeczeństwu „kradli procent od swoich zdolności, rodzinie — kosztowne utrzymanie bez wzajemnéj pracy, kobietom — dobre imię, a jedni drugim — pieniądze przy zielonym stoliku”... Tylko delikatność barw i leciutkie ich nakładzenie zdradzają, że obrazków owych nie robił artysta zamiłowany w scenach rodzajowych. To też następnie towarzystwo hulaszczych młodzików schodzi zupełnie z widowni powieściowéj; ślusarz, jego żona i służąca zjawiają się na niéj bardzo rzadko, a Helusia furtką serca weszła do salonu osób o wysokim nastroju duchowym, o nadobłocznych dumaniach, o sercach eterycznych. Artyzm więc i w „Książce Pamiątek” jest przedmiotem najważniejszym; ale wyobraziciele jego nie posiadają już tych namiętnych a gwałtownych uniesień, tych burzliwych,

---

([1]) „Poganka“ i „Książka Pamiątek“ wyszły poraz pierwszy w „Przeglądzie Naukowym“, zostającym naówczas pod wyłączną redakcyą p. Hipolita Skimborowicza. „Poganka“ ukazała się w roku 1846, w tomie II, III i IV; „Książka Pamiątek“ zaś w roku 1847, w tomie I, II, III, tudzież w tomie II roku 1848.

druzgocących wszystkie po drodze przeszkody żądz i pragnień: są to raczej wysoko ukształcone jednostki, które zszedłszy się na pogawędkę, rozbierają z zapałem, lecz bez gwałtownych wyskoków, zajmujące kwestye artystyczne, sercowe i umiejętne. I tu pod spokojną powierzchownością odegrywa się dramat straszliwy; wszystkie przecież pozory salonowego trybu życia są dość skrupulatnie zachowane. Bo też i pojęcie artyzmu jest trochę odmienne od tego, jaki w „Pogance” dostrzegamy. Już teraz poetka nie rozpatruje natchnienia artystycznego z punktu widzenia przyrodnika, co je do sił natury zalicza i do odpowiedzialności społecznéj pociągać nie myśli; lecz z punktu widzenia publicysty, który się pyta o cel każdego kroku społecznego. To badanie celów i zamiarów, będących zasadą życia społeczeństw, uzmysłowiła poetka w postaci obywatela Kazimierza, który nie poprzestaje na zanotowaniu sobie faktu, że coś a zwłaszcza ktoś jest takim a takim, lecz chciałby jeszcze wiedzieć, jak ten ktoś przymiotów swoich, zdolności, bogactwa, wpływu używa: czy na cele egoistyczne, czy też na społeczne. Kazimierz wie, że na polu badań filozoficznych przepadłby całkowicie z pytaniem swojém, bo tam tylko logiczna wynikłość jest ostateczném prawem. Widzimy ztąd, że poetka teoretycznie i wtedy jeszcze z wpływów heglowskiego systemu nie wyłamała się, choć filozofom niemieckim jeszcze w „Pogance” łatkę przypiąć potrafiła; ale nie szło już naówczas o naukowe uzasadnienie, tylko o praktyczne urzeczywistnienie czynów, z pewnym zamiarem przedsiębranych. „W świecie historyi — powiada Kazimierz — rozum, piękność i dobroć przestają być abstrakcyą, ukazują nam się w ludziach pojedyńczych, jako zdolności lub przymioty. Zdolność można w sobie do wysokiego stopnia rozwinąć, lecz rozwinięcie nic o *skierowaniu* nie stanowi, przymiot można posiadać, lecz posiadanie *sposobu życia* nie wskazuje jeszcze”. Kazimierz potępiał bezwarunkowo wszelką uprawę umysłową, a więc i rozwinięcie poczucia artystycznego, dla samolubnego używania większéj liczby wrażeń przyjemnych. „Znałem takich samolubów — mówił — ludzi, co się w uprawie własnéj duszy zamknęli, jak pustelnicy Tebaidy w osiąganiu własnego tylko zbawienia. Gorzko mi było, gdy patrzyłem na nich, bo oni dla młodszéj braci mojéj poświęconemi zdawali się relikwiami, a ja wiedziałem, że w nich faryzejska cnota, nie przez obłudę faryzejską, ale przez nadużycie gimnastycznych z własną myślą ćwiczeń... I zbierają myśli najwznioślejsze, uczucia najżywsze, rozwijają w jakąś dziwną potęgę wszystkie władze swoje; a kiedy mózg im się rozjaśni, kiedy mogą użyć wszystkiego, co jest tylko w objawach mądrości bożéj i piękności bożéj; kiedy się poczują bystremi w grze pojęć człowieczych, silnemi w przyjmowaniu artystycznych wrażeń, roztkliwionemi idealném jakiémś ukochaniem, to światu w najwspanialszym darze stawiają jednostkę swoję i pytają: czyż to nie dosyć?... Ja wiem już tak wiele, umiem cenić tak wysoko, umiem wielbić tak szczerze; nienawistnym poru-

szeniom, brudnym namiętnościom zamknięte serce moje; wszelkiéj nędzy przystępne moje współczucie, wszelkiéj cnocie dusza otwarta: czyż to nie dosyć?" O całą połowę nie dosyć jeszcze! woła Kazimierz. Dlaczego? Bo „dzisiaj ludzie przyszli do uznania, że *zbawianiem innych, własną duszę zbawić dopiéro można*" (¹); że interesa ogólne ważniejsze są od interesów jednostkowych; że każda czynność nasza ku wzniosłemu celowi uszczęśliwiania bliźnich zmierzać powinna."

Gabryella więc, jak widzimy, przestała teraz w sztuce i ukształceniu widzieć takie potęgi, którym kierunku nadać niepodobna, a dane w „Pogance" ostrzeżenie, żeby serce swoje zdala od artystów trzymać, zamieniła na wymaganie od wszystkich „bogaczów ducha" zwrotu zdolności do rzeczy ogólnego pożytku. Zdanie zaś, wyrzeczone przez Benjamina mimochodem, że *bez miłości* nie można ludzi zbawić, rozwinęła w całym szeregu obrazów. Miłość — według ówczesnych przekonań Gabryelli (²) to wielki dar boży, to anioł, który raz ną rok, raz na całe życie do serca zstępuje i drzémiące wody martwéj sadzawki Betsaidy porusza; miłość jest siłą, miłość ukrzepia, ośmiela, uzbraja i tak wzmacnia, że samę siebie zwyciężyć jest zdolna. A my zamiast korzystać z téj siły na ogarnięcie ziemi i nieba, na stworzenie ideału i doskonałości, na pokonanie piekła i niepodobieństwa, najłatwiéj się jéj wyrzekamy, „najprostszéj furtki, najokropniéj spróchniałéj rogatki" w postaci niechęci papy, mamy, stryja, wuja, siostry, brata, cioci, uchylić nie mogąc i nie śmiejąc." „Zawsze i wszędzie, w każdém zdarzeniu ważném i fraszce nieważkiéj, najłatwiejszą, najprędszą bywa ofiara miłości. A potém dziwimy się, dlaczego ani familii lepiéj się nie powodzi, ani nam samym nie weseléj na świecie, dlaczego pomysłów, tryumfów, arcydzieł w życiu naszém nie przybywa... A przecież jasną jest rzeczą, że przez zaparcie się jednéj prawdy, wszystkim prawdom się sprzeciwiamy!" „Nie rozpromienieje szczęściem dokoła, kto sam w głębi swéj piersi własnego szczęścia nie świeci gwiazdeczką; nie nakarmi, kto sam głodny; nie nauczy, kto sam bezwiedny; nie wesprze, kto sam bezsilny; nie stworzy, kto sam umarły. Bez miłości niéma rodzin, niéma mistrzów, niéma bohaterów, niéma artystów; a gorzéj jeszcze z *miłością zaprzeczoną* w czyjéjś przeszłości, bo z taką są w dalszém życiu dziwacy, skąpcy, systematycy kamienni, łzami przesiąkłe gąbki, woski, szkaradnych odcisków biorące piętna; są pijacy, niedołęgi, zbrodniarze lub trupy"...

W teoryi zadań artystycznych zbliżywszy się do rzeczywistości, co do uczucia została jeszcze Gabryella dawną entuzyastką, wyznającą w części zasady, przez Saint-Simonistę Enfantina niegdyś gło-

---

(¹) Książka Pamiątek. Pisma III, 84—86.
(²) Tamże, III, 121, 122.

szone. Miłość miała wszystko zbawiać, wszystkie cierpienia nieomylnie leczyć, do wszystkich czynów szlachetnych najpewniéj i najdzielniéj pobudzać. Kto dla jakichkolwiek powodów zaprze się miłości, ten staje się niezdolnym do pożytecznego wśród społeczeństwa działania. Na wzmocnienie tego przekonania, w kole entuzyastów pielęgnowanego, wpłynęła jeszcze i ta okoliczność, że w owym czasie było kilku pisarzy utalentowanych: Rzewuski, Korzeniowski, Grabowski, którzy nie uznawali konieczności silnego miłosnego węzła w małżeństwie, a zatem i w życiu rodzinném, i popierali to przykładami z dawnéj przeszłości polskiéj, twierdząc, że miłość egzaltowana najgorsze pociąga za sobą następstwa. Oburzały te poglądy młodzież ówczesną [1], która nieraz przeciw nim w imię „świętego uczucia" protest zakładała; oburzały też i Gabryellę, która przedsięwzięła w kilku przykładach „zaprzeczonéj miłości" wykazać skutki najfatalniejsze pogwałcenia przyrodzonych praw człowieczeństwa. Z tym zamiarem zaczęła pisać „Książkę Pamiątek".

Najważniejszą jéj postacią, około któréj krążą wszystkie inne, jak planety około słońca, jest Marya-Regina. Rozum bystry i subtelny, fantazya bujna i ruchliwa, umiejąca uplastyczniać sobie i innym najsłabsze i najgwałtowniejsze poruszenia umysłu i serca, talent genialnego uprzyjemniania życia za pośrednictwem najwykwintniejszych wytworów nauki, sztuki i przemysłu, tudzież powabu stosunków towarzyskich, właściwie dobranych. To też Marya-Regina, coby dnia najszczęśliwszego dwa razy przeżyć nie chciała, co nie cierpiała półuczuć, i półprzywyknień, mieniła się w tysiączne blaski swéj fantazyi i niemi cały świat swój, całe otoczenie sposobem istnie czarodziejskim przyoblekała. Przywykła do zupełnéj w myślach i czynach niezawisłości, nigdy przecież nie zboczyła z ubitéj drogi, nigdy za granice, określone wymaganiami towarzyskiemi, nie przestąpiła; lecz za to w obręb powszedniości tyle zagarnęła sobie tylko właściwéj poezyi; tak zekształtowała najpospolitsze zdarzenia życia; tak ze wszystkiego, co ją otaczało nowe umiała wyciągnąć żywioły: że była i rozsądną i dziwaczną, entuzyastką i chłodną anatomistką, czułą i dumną, a zawsze, w każdéj chwili swego życia, w każdém myśli poruszeniu, w każdém drgnięciu serca wysoce artystyczną istotą. Ten artystyczny charakter nadawał całemu jéj obejściu się i urok niewypowiedziany, i grunt stały, niewzruszony, ciągle tenże sam pod przemienną fantazyowania powłoką. Jako biegła artystka, umie ona prześlicznie się roztkliwiać nad matki swojéj wspomnieniem; umie wypowiedzieć, ile to traci każdy człowiek, każda kobieta na wczesnéj jéj stracie; umie wybornie odczuwać cudze natchnienia, myśli, żądze, plany i zamiary; umie przecudownie

[1] Zob. w „Przeglądzie Naukowym" z r. 1846, tom III, str. 828—836, toż w „Dzwonie", tom II, i t. d. rozbiory „Spekulanta",

o czysto kobiecem wychowaniu rozprawiać; umie rozumnie słuchać i rozumnie odpowiadać; umie słówkiem i ruchem wszystkich ku sobie pociągnąć, czy to poetę Ludwika, czy smutną marzycielkę Helusię, czy prostą ślusarzową nawet. W teoryi co do miłości jest największą entuzyastką; w praktyce oblicza skrupulatnie, jakie korzyści cierpienie z zawiedzionéj lub zaprzeczonéj miłości przynieść może.... Brata nawet, którego najwięcéj ze wszystkich kochała, nie inaczéj ocenia, tylko jako artystę: rzuca mu pod nogi serca innych kobiet, byle tylko talent jego nowemi wrażeniami podsycić; ale niewiadomo, czyby swoje własne uczucia zdeptać mu pozwoliła. O jeduém z owych serc poświęconych na ofiarę talentowi brata, Marya-Regina z prawdziwie artystycznym spokojem tak opowiada. „Spotkałam w życiu kobietę, która mi była przyjaciółką i siostrą. *Wzięłam od niéj tyle skarbów*, ile ich dać mogła tylko; dałam tyle, że nieufność wcielona byłaby mi zaufać musiała; a w końcu — cóż zrobiłam? Oto zatrułam całe szczęście téj kobiety. Nie dozwoliłam jéj uwierzyć, że kochaną będzie; temu, który ją kochał, wydarłam gwałtem całą miłość dla niéj i w ostatecznym wyniku mych starań otrzymałam, że jest na świecie jedno serce zbolałe i jeden artysta więcéj.... Ja dziś jeszcze nie wiem, co jest większém nieszczęściem dla ludzi; czy miłość, któréj się wyrzekają w całéj świeżości jéj pierwotnego powabu, czy miłość, którą tracą z duszy wśród rozczarowania, wśród niesmaków i wśród najokropniejszego uczuć swoich bankructwa. Złe, które wyrządziłam, jest dziś już pewnością; byle też kto kamieniem może cisnąć na mnie: ale złe, którego oszczędziłam ukochanym moim, zostało w przypuszczeniu — i wybrany człowiek tylko jest je ocenić zdolnym". Nie dosyć na tém. Sądząc, że Anna-Klara, owa ofiara jéj egoizmu artystycznego, wyszedłszy za innego, żyje jeszcze, postanowiła nowém draśnięciem poruszyć struny jéj serca, ażeby ich dźwięk dobiegł uszu brata i oderwał go od nowéj miłości, która była podług Maryi Reginy dla niego niestosowną. W tym celu posyła za pośrednictwem Ludwika karteczkę, zawierającą te słowa: „nie wątpij Anno-Klaro"; a gdy jéj Ludwik robi uwagę, że w sercu biednéj starą ranę zajątrzyć kartka ta może, odpowiada mu pełném sofisteryi subtelnéj rozumowaniem: „Anna-Klara jako żona innego nie tém cierpi, że się dziś z Romualdem połączyć nie może, ani tém cierpi, że on daleko; ale tém, że obojętny; że jéj przestrogi moje — wiarę w trwałość uczucia jego zachwiały; że nakoniec, gdy pomyśli o przeszłości swojéj, to jéj uczcić nie może, bo w niéj tylko fałsz i zawód widzi. Moją winą jest gorycz takiego cierpienia; ja też ów kielich z przed niéj usunąć powinnam *nie na teraźniejszość, nie na przyszłe życia wypadki*, ale na uświęcenie tego, co minęło. Dam jéj miłość brata mojego i powiem: nie smuć się Anno-Klaro, wypadki życia mogły ci się były w pomyślniejsze ułożyć okolicznosci; ale którąkolwiek stroną idzie ścieżka twoja, Bóg ci dał na wsparcie i na zasiłek prawdę uczuć

twoich. Co kochałaś, było wartém kochania. Miłość dla ciebie została w sercu Romualda. Przeszły po niéj wrażliwego charakteru cienie, przeszły szalonego życia artystów widziadła, a ona została niezmienną; ona trwa dotąd i *w każdém odbrzmiewa natchnieniu* i w każdéj myśli szlachetniejszéj rozbłyska. Oh! jak ja powiem tak Annie, to moja Anna-Klara złoży ręce na piersiach, pomyśli o niebie, o wieczności; lekko wstrząśnie ciężarem tłoczącéj ją w obecnéj chwili *niedokładności*, i z rozjaśnioném czołem śmiało naprzód pójdzie" ([1]). Marya-Regina tak postępowała z żywemi uczuciami ludzkiemi, jak z farbami, jak z dźwiękami, jak z pomysłami poetycznemi: układała je, dzieliła, łączyła, mięszała, ażeby jakiś efekt sprawić. Szczęściem, że nowa kombinacya tematów nie mogła już zaszkodzić Annie-Klarze, któréj do śmierci wystarczył już pierwszy eksperyment Maryi-Reginy.

Jak z Anną-Klarą, tak i z Heleną postępowała Marya-Regina, chcąc wyzyskać skarby jéj duszy na miłe wrażenia dla siebie, na udoskonalenie talentu brata Romualda. Helusia była dzieckiem melancholicznem i marzącém, obdarzoném niepospolitą obfitością fantazyi, zwracającéj się przedewszystkiem do przedmiotów smutnych i tęsknych, zwłaszcza od chwili, w któréj zaprzyjaźnioną ze sobą Annę-Klarę utraciła. Wspomnienie jéj zachowała z całą pobożnością człowieka, ktory relikwie w ostatnim życia momencie do piersi przyciska, by sobie pociechę i zbawienie na wieczność całą zapewnić. Ku temu wspomnieniu, jak roślina ku słońcu wyłamała wszystkie gałązki swoje, ku niemu schyliła się w pokorze wszystkiemi kwiatkami swojemi i więdła zwolna w cichości, bo słońce takie nie rozgrzewa, lecz pali; nie użyznia- lecz zabija, jeśli cobądź w innym kierunku duszy nie pociągnie". Helusia długo w swojém życiu jednostajném innego wrażenia odebrać nie mogła. Dopiéro zaprzyjaźnienie się z Ludwikiem, który serdecznem dla niéj spółczuciem, co jéj ból zrozumiéć i podnieść wysoko umiało, rozbudził ją do życia, a potém kształcić ją zaczął i z towarzystwem Maryi-Reginy zapoznał; dopiéro znajomość z Romualdem i podzielane uczucie — wyrwały ją ze smutku głębokiego i wskazały jéj nowe tory życia. Marya-Regina z właściwą sobie sztuką życia przygarnęła do siebie biedną marzycielkę, odwiedzała ją i przyjmowała u siebie, bo widziała, że brat jéj przy Helusi okazuje zapał, który był utracił, zdobywa się na utwory natchnienia pełne, odżywa na nowo, i szczęśliwym się czuje. Brat Romuald, taki miękki i taki wrażliwy, taki stęskniony za cieplejszą temperaturą serdeczną, taki żądny wstrząśnień coraz innych, że trudno mu żałować zabawki sercem marzycielki, choćby ono potém krwawiło się z bólu, gdy z artystycznego ról układu przyjdzie jéj odgrywać opuszczoną kochankę. Helusia miała serce tak tkliwe!

([1]) Pisma; III, 76, 77.

Ona muzyki nawet sercem słuchała, sercem ją oceniając! Helusia miała tak żywą wyobraźnią! Ona słuchając wykładu dziejów, chwytała nieraz obrazek jaki, z obrazka wysnuwała legendę, z legendy tysiączne następstwa, o których pewno ani się śniło historykowi; a potem łączyła je z wypadkami obecnemi i przerzucała znowu w tak daleką przyszłość, żeby jéj chyba aż poza nadzieją, aż poza marzeniem szukać było trzeba! A słuchając lekcyi nauk przyrodzonych, układała zaraz najśmielsze, najdziwniejsze, najnieprawdopodobniejsze hipotezy, byleby one zaspakajały tylko jéj potrzebę szczęścia, jéj chęć udoskonalenia się, jéj wiarę w nieśmiertelność!... Jakżeż tu nie korzystać z tak pięknéj sposobności i nie czerpać z tego źródła żywych, naiwnych i wzniosłych natchnień! Toż takie źródło ledwie raz w życiu może znalazła Marya-Regina; ona, co umiała szukać tak dobrze.

Romuald w czerpaniu z niego pomagał siostrze najdzielniéj. Wesoły i pusty, a jednak marzący czasami o zaprzeczonéj z Anną-Klarą miłości, pokochał Helusię wrażliwością artysty na jéj smutek bezdenny, na jéj cześć dla zmarłéj przyjaciółki, na jéj fantazyowanie niewinne, lecz w szczegóły bogate, na całą dziwaczność jéj położenia i natury. Zawiedziony pod względem nadziei świetnych tryumfów muzykalnych w Warszawie, szydersko odzywający się o barbarzyństwie kraju, co artysty ani pojmuje, ani ceni; żyjący wśród orgij, któremi zwątpienie zagłuszyć pragnie, — chwycił się Romuald pierwszéj sposobności rozerwania się oryginalnemi wzruszeniami, spoufalił się z mieszczańskiem towarzystwem, grał mu krakowiaki i oberki, cieszył się jak dziecię radością osmalonych i ogorzałych twarzy, nie dlatego, żeby kochał lud jak Ludwik, lecz dlatego jedynie, że wyobraźnia jego nowe żywioły dla siebie odkryła, a serce trochę silniéj na widok Helusi zapukało w piersi. Helusia natomiast pokochała go całą potęgą swojéj melancholicznéj duszy, całą gorącością niezużytych sił młodych. Marya-Regina doskonale rozumiała ten stosunek, ale go nie osłabiała bynajmniéj; owszem podsycała do czasu, przygotowując tylko w innéj stronie assekuracyą. A gdy Ludwik zwrócił jéj uwagę na niebezpieczeństwo złamania życia Helusi, ona potrafiła mu bardzo subtelną i charakterystyczną dać odpowiedź: „Romuald nie kocha Helusi, wierz mi pan; w tém jest daleko więcéj poezyi: są dwie dusze, które się spotkały i podziwiały wzajemnie; dwie indywidualności, które *niezależnie* wspomagać się będą, dwa talenta *jednakie*, które sobie sprawiedliwość oddadzą. Dwa talenta, ależ to jest bliższe spokrewnienie niż brata z siostrą w rodzeństwie, to jest zupełna *tożsamość;* a wiemy przecież, że *namiętność na prawach sprzeczności rozwija się tylko....* Romuald *nie może* kochać Helusi; prawda, że się nią zajął, zachwycił, zaczarował, *bo to jest śliczny utwór Pana Boga;* ale czy taki człowiek jak on, starszy o lat tyle, o wrażeń tyle, o błędów tyle, czy taki człowiek może kochać Helusię-dziecię, Helusię-aniołka? — nie, to nie

leży w naturze rzeczy". Zapewne, wyobraźni Maryi-Reginy przedstawiało się tylko harmonijne dwu strun brzmienie!....

Podobnież zachowała się i z Ludwikiem. Wprawdzie nie łudziła go nigdy żadnem słówkiem miłosnem, wyznając głośno, że kochać już nie może; wprawdzie zachowywała względem niego ton jakiejś wyższości i protekcyjności; ale zarazem mile słuchała jego rojeń entuzyastycznych, lubiła z nim długie toczyć dyskussye, brata swego pod opiekę mu oddawała; poetą go w najwyższem znaczeniu tego wyrazu nazwała; poufnych zwierzeń czyniła go uczestnikiem..... Ludwik, młody zapaleniec, propagujący idee powszechnego braterstwa, oświaty dla wszystkich, szczęścia dla biednych i uciśnionych, łudził się długo, że Marya-Regina kocha go, choć tego poznać nie daje. Nareszcie w owéj o Helusi rozmowie złudzenia jego rozwiały się a zastąpiła je dojmująca szyderstwa pewność. — „Helusia — mówiła Marya-Regina — będzie ukochaną młodém, nieskażonem sercem; Helusia w czyste, poświęcone i pracowite życie wniesie urok swéj pieśni; ze *świętego wypełnienia rodzinnych obowiązków* weźmie zabezpieczenie szczęścia swojego; Helusia... ot, czemuż nie mam powiedzieć... Helusię pan będziesz kochał".

Nie stało się jednak zadość kombinacyom znakomitéj artystki. Ludwik, przebywszy fazę ironii i dumy, głębokiego rozżalenia i boleści, czuł wprawdzie, że przestać kochać Reginy nie będzie w jego możności, ale zarazem postanowił, obyczajem konających Rzymian, zawinąć się w togę własnéj godności i cierpiéć obojętnie. Postanowienie nie skutkowało na przywrócenie równowagi w uczuciach, i dostał rozdraźnienia nerwów. Helusia, dowiedziawszy się, że umarła jéj przyjaciółka była pierwszą Romualda ulubioną, uleciała w nieskończoność. Romuald po śmierci Helusi zaczął się coraz gorzéj prowadzić; widziano go pijanym przed południem, a nieumytym po południu nawet. Kazimierz niby wierzchem w téj powodzi ogólnej płynął, lecz płynął samotny i gdzieś samotny daleko się rozbijał. Marya-Regina wreszcie skamieniała: artystka piękna, dumna zrobiła się skąpą gospodynią dziwacznego ojca i rozrzutnego brata. A dlaczego? Dlatego, że wszyscy przeciw miłości zgrzeszyli: jedni ze zbytku uczuciowych skrupułów, drudzy z teoryi lub z niedołęztwa, lub jeszcze ze źle zrozumianéj cnoty. Marya-Regina oderwała skłaniające się ku Ludwikowi serce, bo w jéj przekonaniu istotnym obowiązkiem niewieściego uczucia był wybór i uznanie najlepszości w wyborze: ona tak dla swéj pychy, czy dla swego rozumu potrzebowała ideału najlepszości, jak Romuald do podparcia swéj niemocy, do utrzymania swego charakteru — potrzebował kochającéj i kochanéj kobiety (¹).

O ile powieść Gabryelli była protestem przeciw przymusowi ro-

(¹) Pisma; III, 119, 120.

dzinnemu w kwestyi miłości i małżeństwa, o tyle prawdy i żywotności przyznać jéj trzeba; przymus bowiem zewnętrzny nigdy nie może uszlachetnić ducha ludzkiego, a jeżeli go w złym kierunku nie popchnie, co bywa bardzo często, to przynajmniéj zatamowania świętéj działalności władz umysłowych i apatycznéj rezygnacyi stanie się powodem. Jeżeli jednak zasadę, wypowiedzianą przez Gabryellę, weźmiemy w jéj istocie, to się nam łatwo pomyłką okaże, jak się okazała saméj Żmichowskiéj po latach kilkunastu. Miłość, jak wszelkie uczucia, będące pobudkami do czynów, może zarówno budować grody jak je burzyć, może nas zbawiać i potępiać, może uszlachetniać i znikczemniać; a to stosownie do indywidualnych usposobień, do kierunku, jaki przybiera, i do przedmiotu, ku któremu się zwraca. Miłość jest bezwątpienia koniecznością natury ludzkiéj, jak wszelkie fizyczne i duchowe potrzeby człowieka, i gdybyśmy ją rozpatrywali tylko jako siłę natury, moglibyśmy się zgodzić na uwielbienie swobodnego jéj rozwoju. Ale my z doświadczenia wiemy bardzo dobrze, że siła ta w najrozmaitszych ukazuje się fazach, od zmysłowego poczynając pociągu a kończąc na marzeniach pozaświatowych. Widząc tak różne rodzaje téj siły, pytamy już z punktu społecznego: który z nich najlepiéj celom społeczeństwa odpowiada?.... Słuchać tylko pierwszego pociągu, nie analizując go w szczegółach i nie uprawniając jego natchnień sankcyą rozumu; odepchnąć od siebie cień nawet nieufności rozważnéj, jeżeli tylko ona pierwszym naszym uczuciom się sprzeciwia (co właśnie Gabryella za grzech Kazimierzowi naówczas poczytywała): jest to przypisywać instynktowi wyższe nad rozum znaczenie. Instynkt, ten spadek doświadczeń dziejowych, nieświadomie przekazywany i przejmowany, może zapewne niejednokrotnie najlepiéj doradzić, może najodpowiedniejszy cel dążenia wybrać; może najcudowniejsze środki osiągnięcia go podać, jak to widzimy w zdumiewających pięknością lub trwałością utworach zwierząt; ale instynkt działa ślepo i równie dobrze na śmierć naraża, jak i życie ochrania. Tam zwłaszcza, gdzie instynkt samowładnie już nie panuje, lecz rządy swoje dzielić musi z rozwagą, rozsądkiem i rozumem, jak u ludzi np., powierzanie się ślepym jego natchnieniom mogłoby zgubniejsze dla jednostki i społeczeństw przynieść owoce, niż puszczenie siły artystycznéj samopas, bez żadnego kierunku; a to z powodu większego znaczenia dla życia — miłości, niż popędu artystycznego.

To też nie w idei zasadniczéj widzimy główną wartość „Książki Pamiątek", tem bardziéj, że idea ta nie została artystycznie aż do zupełnego rozwinięcia swego doprowadzoną, gdyż utwór sam nie jest skończony. Prócz tego „Książka pamiątek" nie zupełnie jest pod względem artyzmu jednolitą; owszem rozpada się na dwie nierówne części: pierwszą, pisaną w r. 1847, drugą — w 1848 r. po sześciomiesięcznéj przerwie. Zanim tę drugą część Gabryella do druku podała, pomieściła w *Pamiętniku Naukowym* bardzo ciekawe i charaktery-

styczne usprawiedliwienie swego długiego milczenia. Nie uważała ona „Książki Pamiątek" za powieść, ale za zbiór biografij kilku rzeczywiście istniejących na świecie osobistości. Otóż już wówczas jakiś wypadek, który Gabryella nazywa skutkiem nieuwagi swojéj, sprawił, że rękopism się zawieruszył. Chciała Gabryella z własnéj fantazyi dosnuć tkanki powieściowéj, chciała Helusię za Romualda wydać, Ludwika na wieki z Maryą-Reginą pogniewać i „kupić sobie nieograniczony urlop, może nawet wieczystą od powieści spokojność"; ale nie wiedziała, co z mnóstwem innych zrobić szczegółów. — „W *Książce Pamiątek* — pisała — jak w zwyczajném życiu człowieka, są jakieś zarysy tylko, ale niema wykończenia; bo téż prawdę powiedziawszy, czy jest na świecie człowiek, coby *według zasad sztuki rozwinął dni swoich tkankę* w jakiś ustęp pełny, konsekwentny, logiczny, wykończony? W dziejach świata, we własnych wspomnieniach napróżno szukam takiego. Chwila życia między kolebką i grobem *jest zawsze jakimś urywkiem* tylko bez początku i bez końca. Duch-artysta pracuje nad jego ukształtowaniem; duch-autor chce go w ciąg powieści lub epopei ułożyć, a tymczasem posąg nigdy wszystkiemi członkami od marmurowéj massy nie odstanie, *powieści swego życia nikt z nas nie ukończy.* Ciągłą odpowiedniość wypadków, mistrzowskie związanie wszystkich środków z jednym celem — kto miał kiedy w życiu tak, jak artyści i autorowie w swoich dowolnych utworach miewają? Kto miał? ja nie wiem; ale wiem, że *o ile niepodobném jest przeprowadzenie obecnéj rzeczywistości w idealną dokładność sztuki*, o tyle mi nawzajem trudno było do *rzeczywistych*, jak się pokazuje, *zdarzeń*, artystycznym sposobem obrobione przypisywać karty" ([1]).

Rękopism nareszcie się znalazł i Gabryella posłała go do druku. Znacznie on jednak się różnił od pierwszéj części. Tu było wiele jeszcze uniesienia, zapału, rozmarzenia, poezyi; w drugiéj części więcej się daleko znalazło rozpraw niż obrazów, więcéj morałów dyalektycznie rozwijanych, niż ruchu, akcyi powieściowéj. Rozumowania były bardzo subtelne; wyrażenia nieraz przecudownie dobrane; morały, jeżeli nie przekonywające, to przynajmniéj głęboko pomyślane; ale w utworze sztuki któż nie wolał dawnych obrazów smętnéj, roztęsknionéj Helusi, Ludwika dzielącego jéj boleść i wypowiadającego natchnione o czci dla zmarłych myśli i uczucia, rozmowy o szczęściu i poezyi w salonie Maryi-Reginy?.... W téj drugiéj był tylko jeden prześliczny obrazek wieczorku muzykalnego, który poezyą z mieszczańskiemi obyczajami w dworku ślusarza, za sprawą Romualda i Helusi, tak uroczo zjednoczył.... Resztę zapeł-

([1]) *Przegląd Naukowy* z roku 1848, Nr. 10. Usprawiedliwienie to datowane z Rzeczycy 22 lutego 1848 r. Podobne znajduje się w wydaniu „Pism Gabryelli" 1861. III. str. 112, 113.

niały rozprawy, które w otoczeniu dawniejszém Maryi-Reginy zachowały jeszcze pewien odcień artystyczności, ale wraz z nowo-wprowadzoną postacią, Kazimierzem, przybrały charakter mglistéj trochę dydaktyki, choć pod względem słuszności uwag nieraz tamte przewyższały.

Jaka była przyczyna téj zmiany, trudno dziś wiedzieć napewno. Przypuszczenia nie mogą sięgać do sfery wypadków zewnętrznych; ale niektóre szczegóły rozwoju wewnętrznego przytoczyć mogę dla wyjaśnienia osłabnięcia potęgi artystycznéj w drugiéj części „Książki Pamiątek.“ Po skończeniu „Poganki“ Gabryella ochłodła w uwielbieniu nieposkromionéj, demonicznéj siły natchnienia, znajdując w idei „miłości wyłącznéj“ wyższy motor życia społecznego; dlatego też artyzm podporządkowała dobrym czynom, w miłości biorącym początek. Zastosowując zasadę tę do własnéj swéj działalności, postanowiła, nie poruszając bynajmniéj pragnień i polotów wyższych, rozpatrzéć się w życiu rzeczywistem i dokładniéj warunków jego w utworach swoich dochowywać. Widzieliśmy, jak nie chciała fantazyą dorabiać tego, co życie zaczęło, jak „Książce pamiątek“ pragnęła nadać cechę bytu rzeczywistego. Obniżenie wartości społecznéj artyzmu wpłynęło na sposób tworzenia Gabryelli; nie chciała być artystką tylko, chciała być jeszcze i moralistką społeczną. W tymże samym czasie powzięła myśl napisania całego kursu nauk, przeznaczając go do pomocy w domowém wychowaniu panien. Kurs ten oprócz części wstępnéj, elementarnéj, miał obejmować geografią, arytmetykę, nauki przyrodzone, historyą, naukę mowy ustnéj i pisanéj wraz z literaturą (1). Pierwszą wstępną część tego kursu wydała już Żmichowska w pierwszéj połowie roku 1847; geografia ogólna była już ukończona na początku 1848 (2). Pisząc spółcześnie dzieła dydaktyczne, podręczniki naukowe i utwór artystyczny, nie mogła się Żmichowska uwolnić od wpływu pierwszych na drugi, témbardziéj, gdy im spólna myśl: *nauczanie*, już to nierozwiniętych, już rozwiniętych i dojrzałych osób, przewodniczyła. Z początku wpływ ten, działając zgodnie ze zmienionemi na znaczenie artyzmu poglądami, odbił się tylko w mniéj jaskrawym kolorycie, w większéj ilości dyskussyi; lecz potém, w miarę mnożenia się pracy dydaktycznéj, twórczość artystyczna przyjmowała od niéj sposób produkowania: dydaktyzm brał górę nad artyzmem. Zyskiwała na tém w części określoność przekonań, traciła zaś barwność obrazów...

Bądźcobądź, jednak nakreślenie takich przepysznych postaci jak Marya-Regina, Romuald i Helusia, przedstawiających dwie odrębne natury artystyczne i jednę uczuciowo-fantastyczną, pozostanie na zawsze chlubą niepospolitego talentu Gabryelli. Do całkowitego

(1) „Przegląd Naukowy“, rok 1847; tom II, str. 562.
(2) Tamże, r. 1848; III, 32.

ich wykończenia nigdy nie przyszło: najpierw z powodu zewnętrznych, niezależnych od autorki okoliczności, potém z powodu zmiany pod względem przekonania co do zasadniczéj myśli utworu.

IV.

Czasy reakcyi od roku 1850. — Żmichowska ze wstrętem na nie patrzyła, oburzając się przedewszystkiém na zmianę przekonań wielu dawnych towarzyszek i towarzyszy. — Sarkazm uwydatnił się teraz jeszcze silniéj niż poprzednio. — Satyra na obłudę społeczną. — Pisma Gabryelli z tego czasu. — „List nie wiem czyj i nie wiem do kogo." — Wiersz do Hipolita Skimborowicza. „Adeodat." — Pierwsze zapytanie. „Stary Dwór w Świerszczowéj." — Drugie zapytanie. „Biała Róża" jako najenergiczniejszy protest przeciw apatycznéj rezygnacyi i marzycielstwu a zachęta do walki z wszelkiém złem, z wszelkiém nieszczęściem. — „Rozmowa wieczorna." — Pojęcie „obowiązku" jako najwyższego regulatora czynności ludzkich. — Uwielbienie siły woli.

Zewnętrzne okoliczności zmusiły do zamknięcia wydawnictwa „Przeglądu Naukowego" ([1]); „Książka Pamiątek" oczywiście przerwana została. Czas spędzony w samotności, w oderwaniu od wszelkich stosunków literackich i naukowych, zdala od gwaru i smutków życia towarzyskiego, zużytkowała Żmichowska na rozmyślania nad swojém własném i nad ogólném położeniem i na utworzenie wymownych a pełnych siły liryk. Liryki dotychczas nie wyszły jeszcze z druku; rozmyślania zaś złożyły się na głębokie rozżalenie jéj serca, na zaprawienie umysłu sarkastycznemi i pessymistycznemi poglądami i na zmianę niektórych cech jéj talentu.

Ażeby zrozumieć ten przewrót w duszy Żmichowskiéj, trzeba sobie przypomnieć, że rok 1850 zaznaczył w dziejach umysłowości i obyczajowości naszéj nową, niepodobną do poprzedniéj a raczéj przeciwstawiającą się jéj fazę, która z latami coraz jaskrawiéj zarysowywać się zaczęła. Wówczas - to idee demokratyczno - postępowe straciły zupełnie prawie na cenie, a konserwatyzm zapanował nad umysłami. Konserwatyzm ten tak był krótkowidzącym i zalęknionym nadużyciami rewolucyi lutowéj w Paryżu, że dla „świętego spokoju" nawet posądzenia o serwilizm się nie lękał czasami; i marząc o lepszéj doli, nie wahał się bratać z nieprzyjaznemi sobie zkądinąd żywiołami. Z konserwatyzmem tym łączyła się najściśléj religijność ortodoksyjna, albo przynajmniéj pozory takiéj religijności. Wielotomowe dzieła religijne tłómaczono głównie z francuzkiego, a także z włoskiego i niemieckiego; każdą myśl przyoblekano w formuły religijne. Chrystus, miłość bliźniego, poświęcenie: były na ustach każdego, tak, że ludzi

---

([1]) Ostatni t. j. 19 numer jego wyszedł 10 Lipca 1848 r.

ówczesnych możnaby było posądzić prędzéj o wygórowany idealizm i marzycielski mistycyzm, aniżeli o praktyczne gonienie za mamoną. A jednak w gruncie rzeczy, oddziaływanie stosunków zachodnich uwydatniło się natenczas dosyć wyraźnie we zwrocie do przemysłu, do zajęć praktycznych.

Reakcya, która we wszystkich krajach europejskich po roku 1850 zapanowała, wydała skutki tém smutniejsze, że się we wszystkich sferach życia duchowego objawiła.

Żmichowska rozpatrzywszy się w ówczesnych stosunkach, z głębokiém rozżaleniem, głosem boleści i ironii pełnym, zapytała się w „Liście nie wiem czyim i nie wiem do kogo“; gdzie żyje „owa plejada szlachetnych i wzajemnie się kochających towarzyszy“; gdzie jest ten Lucyan, „co-to, niby z pogańskiéj wszechwładzy i chrześcijańskiego czucia urobiony, w naszéj przeszłości Regulusowe uszlachetnił cnoty. Gdzie jest ta Elżbieta, stokroć błogosławiona, co umiała poczciwe serce tak poczciwém natchnąć uczuciem, że kiedy ją konające usta ukochanego wspominają, to mówią o wspólnéj wierze, równym dziale w prawdzie, wzajemném coraz wyższéj lepszości wymaganiu, o sprawiedliwéj dokonanych czynności ocenie; a przytém o tkliwości namiętnéj, o względach pieszczotliwych, o opiekuńczym i uległym zarazem stosunku?... Gdzie jest brat Paweł z macierzyńską duszą, ojciec Euzebi z klassykami w ręku? gdzie Leon odważny, Stefan wytrwały, Karol pobożnie natchniony: gdzie oni wszyscy, co składali urocze grono bojowników o prawdę wiekuistą, o piękno natchnione, o światło i cnotę dla bliźnich?...“ Napróżno szukała ich wokoło siebie, napróżno o nich zasięgała wiadomości od innych. Widziała tylko ludzi, zajętych *samolubném zbieraniem* lub *traceniem majątku*, widziała bogatych, ubogich i pracujących na to, by się z ubóstwa ku bogactwu wznieśli, choćby najpotworniejszemi środkami, choćby zdeptaniem zawadzającego brata. Słyszała, jak ojciec synowi obliczał, jaka gałąź nauki do *zyskownéj karyery* przydatniejsza; jak matka tłómaczyła dzieciom, że ostatecznie na poczciwości *zawsze się lepiéj* niż na oszustwie *wychodzi*. „Dobre imię — to szyld, ułatwiający przeprowadzenie wszelkich interesów; bystrość pomysłów—to wędka na miliony; gotowość do rzucenia się w sam wir niebezpieczeństwa—to przedsiębierczość zdobywcza; złe — *to brak złota zawsze;* dobre — to zawsze tegoż złota obfitość.“ Zauważyła, że talent, dowcip, odwaga, rzetelność, różne zdolności i cnoty, „któremiby można doczesność znieśmiertelniać a nieśmiertelność ode złego na wieki wieków wybawić“ były naówczas zmuszone jedynie do przynoszenia procentów...

Sarkazm tedy, jak widzimy, dotykał teraz, nie szczuplejszego koła wyobrażeń, jak było w „Capriccio“, ale całéj obszernéj sfery stosunków społecznych, które, pochłonąwszy śmiałych Prometeuszów myśli, stały się okropnie prozaicznemi, okropnie utylitarnemi. Już wtenczas nie mogła wprawdzie zaprzeczyć, że istotnie zepsucie szerzy się przez nędzę, a przez dostatek moralność się zabezpiecza; ale z tém

chłodnem statystycznem spostrzeżeniem trudno się było jéj entuzyastycznéj jeszcze, pomimo doznanych zawodów, duszy po przyjacielsku pogodzić. Wysłała tedy ów *list* do redakcyi „Biblioteki Warszawskiéj“ spodziewając się jakiéjś odpowiedzi publicznéj; ale redakcya zmieniła tytuł, odrzuciła sarkatyczne, pełne goryczy zakończenie, i tak przeinaczony artykuł umieściła dopiero w trzy lata po jego napisaniu t. j. r. 1857; autorka oczywiście żadnéj odpowiedzi nie otrzymała...

Sarkazm pozostał w duszy Żmichowskiéj na bardzo długo, rozmaite przybierając kształty. Niekiedy przemieniał się on w chęć zapomnienia wszystkiego, co było. Zapomnienie, które w „Książce Pamiątek“ nazywało się jedynem, ale najzupełniejszem zniszczeniem, „nicością“, teraz w roku 1854, w wierszu do p. Hipolita Skimborowicza, zamieniło się na „łaskę sakramentu, na odpuszczenie grzechów naszych wśród chaosu pomyłek, kłamstw i zwątpień.“ To też gdy inni wdzięczni byli bibliografowi za to, że ocalał od niepamięci „daty, tytuły, imiona“, ona jedna przeciwny głos wzniosła „za same siebie i za przyszłość całą“, prosząc go, żeby dał choć trochę zapomnieć z tego, co przebrzmiało (1)...

To samo życzenie o całą skalę głosu gwałtowniejszemi i boleśniejszemi słowami wypowiedziała w pięć lat potem, pisząc usprawiedliwienie się swoje z niedokończenia „Książki Pamiątek.“ „Żeby ludziom przebaczyć — pisała tu — żeby Pana Boga nie obrazić; żeby nie zgorszyć, nie skłamać, nie zniechęcić się, nie zaszkodzić, nie zbluźnić, nie rozmazgaić się, nie upaść; żeby iść naprzód, a jeśli nie naprzód, to chociaż żeby iść coraz, coraz daléj; żeby dożyć, a *jeśli nie dożyć, to chociaż, żeby doistnieć*, dotrzymać, dosięgnąć po dzień dzisiejszy; żeby mniéj grzeszyć i mniéj cierpieć: ja nigdy w tył się nie oglądałam. Wszystkie zdolności moje, wszystkie władze méj duszy ku temu skierowałam, *żeby się zapominać nauczyły* i powiodło mi się doskonale: *nie pamiętam niczego*... Zapomniałam, co kto mówił do mnie, gdzie i kiedy widywał się ze mną, jak i o kim opowiadał, ile przyrzekał, ile czynił; za czem się ujmował, przeciw czemu powstawał z oburzeniem, komu był przyjacielem, komu wrogiem. Ach! *niechaj śpią w pokoju dawni znajomi moi*... żadnego z nich nigdy nie upokorzę, nie zawstydzę, na niekonsekwencyi lub na kłamstwie wierutnem nie schwycę... bo zapomniałam, zapomniałam“ (2)!

Ten wykrzyk namiętnéj a zbolałéj duszy świadczył o głębokości jéj ran, o wiernem i gorącem przywiązaniu do zawiedzionych nadziei, do zawodzących ludzi, do idei, które oni reprezentowali, a których się potem zaparli; nie mógł atoli wyrugować z niéj wspomnień, cier-

(1) Pisma Gabryelli; I, 304.
(2) Tamże; III, 114, 115.

pieniami uświęconych. Owszem, Gabryella wracała do nich z prawdziwą rozkoszą i przeciwstawiała im zawsze okropną zmianę pojęć i kierunków od r. 1850 do 1860. To, co w samej sile młodości ukochała, z czem się zżyła najlepszemi dniami swego istnienia, co w najpiękniejszych utworach swoich apoteozowała, zostało dla niej drogocennym klejnotem, z którym rozstawać się nie chciała, chociaż dostrzegła już w nim teraz niewidziane dawniej skazy. Czy to pisze wstęp do „Niektórych pism bezimiennej autorki“, czy „Kwestyą podrzędną“ zagaja; czy też piórem naocznego świadka w rozprawie o dydaktycznych pismach Hofmanowej kreśli wizerunek owych czasów pełni swego talentu, zawsze z największym mówi o nich zapałem. A mówi tak o nich dlatego, że wówczas „dla większej części piszących ogłoszone drukiem zdanie, było niejako osobistem zobowiązaniem i na własne sumienie wystawionym wekslem“; że epoka owa była epoką dobrej wiary, szczerego zapału, niekrępowanego pobocznemi a poziomemi względami, ukochania prawdy, słowem, epoką w której nie było rozdźwięku między słowem i czynem, między uczuciem i osobą, między pisarzem i człowiekiem. Bywały częste pomyłki, bywały zdania niedowarzone, bywały marzenia bezpodstawne, ale nie było zabijającego chłodu, przerażającej bezbarwności przekonań, połowicznych uczuć, czynów zaprzeczających głównym zasadom. „Ówczesny autor — mówiła Żmichowska — był do pewnego stopnia i w pewnych ma się rozumieć wymiarach, niejako mówcą ateńskim z czasów wojny peloponezkiej: władał zbiegłym do koła siebie tłumem, stanowił o życiu i śmierci, o wojnie i pokoju; teraz jest retorem rzymskim z czasów Augustyna Ś.: musi wiele bardzo pracować, uczyć się, mozolić; otrzyma za to posadę jaką, przy sprzyjających okolicznościach honoraryum zyskowniejsze; lecz nie otrzyma wpływu na sprawy dziejowe, nie zapanuje sercom, nie rozgrzeje piersi“ (1)...

A kobiety-entuzyastki... cóż się z niemi stało! One, co dawniej do światła się garnęły jak młode orlęta, które po raz pierwszy z gniazda rodzinnego na szerszy przestwór wyleciały; co odwagą przekonań swoich, miłością zasad, lekceważeniem konwenansów śmiało po napół zakazany owoc sięgały... teraz gałgankami się bawią: „mało takich, coby sutsze garnirowanie przy sukni lub trudniejszy na kołnierzyku desenik dla przeczytania najsławniejszego dzieła poświęciły.“ Najbogaciej nawet uposażone natury, najbystrzejsze umysły, najwytworniejsze fantazye, takie jak Biała-Róża naprzykład, nie mają dosyć śmiałości, ażeby odważnie a otwarcie w obronie prawdy myśli swoich stanąć, ażeby fałszywe choć pospolicie kursujące formułki prawd odrzucić, ażeby talentem swoim ruch zbawienny wśród apatycznego spokoju wytworzyć.

---

(1) Pisma; IV. 6.

Tak się Żmichowskiéj i wielu innym duszom gorącym ([1]) przedstawiało ówczesne położenie nasze pod względem społecznym. To też, gdy osiadła stale w Warszawie 1855 roku, otoczyła się gronem dziewcząt, których kształceniu się poświęciła i poprawiała dawniéj napisaną a w części i wydrukowaną „Geografią“, chcąc pracą dla przyszłości osłodzić gorycz chwili spółczesnéj. A kiedy się do dziedziny artystyczno-literackiéj zwróciła, satyrą społeczną i dydaktyzmem odznaczała utwory swoje. Pierwszém z tego czasu dziełem był „Adeodat“, pomieszczony w „Wieńcu“ 1857 roku, książce zbiorowéj na cześć Jachowicza wydanéj.

Adeodat jest satyrą ówczesnéj obłudy religijnéj, mającéj zresztą znaczenie nie tylko czasowe, ale i ogólne. Adeodat, który był uciekł na puszczę, nie chcąc patrzéć na szkaradę postępków ludzkich, wraca do świata, żeby go pozyskać dla prawdy i miłości, ażeby się poświęcić, pracować i cierpiéć dla braci. Wchodzi do salonu, zastaje liczne towarzystwo; każdy, do kogo się tylko zbliży, rozprawia głośno o potrzebie miłości, poświęcenia, ofiary, łaski, pokory, świętego natchnienia; czy to panna, co świecidłami ma głowę zajętą, czy obywatel, co pracę robotnika wyzyskuje, rozpajając go w dodatku, czy literat, co rzemieślniczą robotę, bez zapału dokonaną, oddaje do druku, czy urzędnik, co za przegraną do niego kartę sprawiedliwość sprzedaje... wszyscy mają na ustach święte słowa, „wypełniając wóz Chrystusem“ jak mówi Słowacki; ale w każdym natomiast postępku słowom swoim kłamią bezczelnie i Chrystusa się zapierają. Toż samo, w innéj tylko formie, napotyka Adeodat w kłamaném ubostwie i w zabobonnéj ciemnocie; pierwsze imieniem Chrystusa wyciąga datki od litościwych na pijatykę i rozpustę; druga, czcząc Boga postem i pokłonem, nie zaniedbuje także i świeczki dla czarta. Wśród młodzieży jedynie widzi Adeodat niektóre jednostki szlachetnemi, wielkiemi uczuciami przejęte. I tu jednak, niestety, przygnębienie moralne, spowodowane ogólnemi klęskami i osamotnieniem istot wybranych, apatya, nieufność we własne siły, brak wiary w przyszłość, zwątpienie o możności indywidualnego wpływu na ciemne i okołowacone massy: odbierają tym jednostkom siły, tłumią ich zdolności, zatruwają serca i niezdatnemi je do działania czynią.

Adeodat, odbywszy swoję wędrówkę, zaszedł na cmentarz i począł obliczać zebrane spostrzeżenia. Nikt go wprawdzie nie ukrzyżował, nikt nie spotwarzył, nikt nie wyśmiał urągliwie; lecz za to obojętność wszędzie go lodowatym opasała murem, wszędzie dano mu poznać, że się na nic ludziom nie przyda,—on, co miłością najczystszą, słowem najszczerszém, uściskiem najserdeczniejszym objąć ich pragnął. Znalazł wśród ludzi wszystkie warunki do zbawienia ludzi

([1]) Porównaj np. charakterystykę dziesięciolecia 1850—1860 przez Trentowskiego na wstępie do „Panteonu wiedzy ludzkiéj“ pomieszczoną.

potrzebne, ale warunki te znalazł w chaosie i rozstroju. „Gdzie wiedzą, co *najlepsze*, tam niczego co *dobre* spełnić nie umieją; gdzie pragną tego, co *sprawiedliwe*, tam przeciw temu, co *zdrożne* wytrwałéj cierpliwości nie stawiają; gdzie ponoszą, co *najdotkliwsze*, tam do tego, co *uszlachetnia*, nie tęsknią; gdzie wierzą w to, co *nadzmysłowe*, tam jeszcze temu, co *jawne* nie ufają. Słowom ludzkim brak wiary i miłości; miłości ludzkiéj brak spokoju i nadziei; cierpieniom ludzkim brak uświęcenia i godności; wierze ludzkiéj brak słowa prawdy Bożéj." Adeodat atoli nie kończy złorzeczeniem; wobec grobów nie mógł zwątpić o duchu człowieczym; śmierć bowiem nietylko kończy wszystkie uciechy i cierpienia, nie tylko pysznych z pokornymi, bogatych z nędzarzami, rozłzawionych ze śmiejącemi się zrównywa; ale nadto daje nadzieję poprawy i udoskonalenia. To też Adeodat kończy śliczną apostrofą: „bracia moi, bracia obojętni i oporni! kochać was będę wszystkich, was, co umrzéć zepsuciu, odżyć wyrokom Najwyższego musicie"... a autorka dodaje sarkastycznie: „ach, jak łatwą jest miłość bliźniego na *puszczy* i na *cmentarzu!*"

Takim satyrycznym manifestem, w którym wiele ówczesnych wypadków najdokładniejsze znalazło odzwierciedlenie, zagaiła Żmichowska szereg rozpraw raczéj niż obrazów, mających na celu wykazanie szkodliwości niektórych grzechów, nieuznawanych wtedy za grzechy, i usprawiedliwienie a raczéj krytyczne rozjaśnienie tego duchowego kierunku, pod wpływem którego zawód swój piśmienniczy i działalność swoję społeczną rozpoczęła. Równocześnie formułowała Żmichowska zmienione poglądy swoje na te przedmioty, których już dawniéj dotykała; stąd-to utwory jéj z tego czasu (od 1854 — 1860) mają przeważnie cechę satyryczno-dydaktyczną, tu i owdzie tylko będąc ubarwione świetnym obrazem lub plastycznym charakteru zarysem. Artyzm zeszedł teraz na plan dalszy jeszcze, niż był w drugiéj części „Książki Pamiątek."

Żmichowska wzięła na nowo pod rozwagę cały szereg owych wielkich zagadnień, o których jako entuzyastka rozmyślała dawniéj głęboko, o które jednak w dawniejszych pismach mimochodem tylko potrącała. A więc stosunek człowieka do Boga, doczesności do wieczności, znaczenie pokory, cierpienia i ofiary: stały się pierwszym przedmiotem rozbioru w „Niektórych pismach bezimiennéj autorki". Zaraz na początku, wobec rozszerzonych naówczas zaleceń ślepéj, bezwarunkowéj wiary i rutynicznéj pobożności (co stryj Krzysztof przedstawia) występuje autorka z silnym, gorącym, namiętnym protestem, broniąc swobody myślenia i odważnego dochodzenia prawdy; bo jako „nieodrodne dziecko jafetyckich plemion koniecznie potrzebowała ruchu i samoistności". Obojętność na wielkie kwestye, bezświadome zgadzanie się na rzeczy, których się nie rozumie, było dla niéj morderstwem wolnego ducha. Domagała się zatém wszechstronnego rozwijania tego ducha, bez omijania przepaścistych jego głębi, zarówno dla mężczyzn jak i dla kobiet; bo niewiadomo kto drzémie

w duszy kobiecéj: czy kobieta, chciwa szczęścia, wiedzy i czynu, czy też zakonnica samotna, z pod wpływu ciała wyzwolona, ekstazą ducha jedynie żyjąca przez wszystkie dni swoje... A gdy temu wymaganiu przeciwstawiono zarzut „pychy rozumu" i zalecano „pokorę", jako jedyną drogę, do bram mądrości prowadzącą, ona radziła pokorę zachowywać względem ludzi tylko, gdyż w powikłaniu spraw doczesnych ona wszystko ułatwia i jest najpewniejszym zakładem przyszłego porządku; ale względem Boga nie wysilać się na tę „zbyteczną cnotę"... „Nie masz czego Bogu twojemu ustąpić; nie masz o co z nim się poswarzyć, nie on z tobą o sławę lub zyski ubiegać się zacznie. Względem Boga zasługą twoją, to właśnie tak przez drugich niesłusznie zwana pycha twoja. Gdybyś się wyrzekła poznawania i rozumienia, wyrzekłabyś się najświetniejszéj korony dziedzictwa twojego" ([1]). Najmocniejszém jéj przekonaniem było, że każda rozbudzona w duszy naszéj *wątpliwość* jest wprost *rozkazem Pańskim*, który nas ku wyższéj sferze doskonałości popycha. Ale samemu koniecznie potrzeba wątpliwości rozwiązywać i badać, rozważać samodzielnie; jeżeli bowiem „wśród skalanych i występnych znaleźć można wielu *półmędrków*, osłaniających się jakim łachmanem zkądkolwiek wyszarpniętego zdania, to natomiast niema w téj podłéj ciżbie człowieka, coby szczerze prawdy szukał i w głębie własnéj duszy zstępował, by lepiéj siebie i Boga zrozumiéć".

Ażeby przykładowo wykazać, że ślepa wiara nie chroni bynajmniéj jéj wyznawców od grzechu, od występku, od zbrodni, napisała Żmichowska „Stary dwór w Świerszczowéj". Z wielkim taktem artystycznym nie podaje autorka utworu tego za swój własny, lecz po prostu tylko za „ćwiczenie" młodzieńca z bogatą i ruchliwą fantazyą. Istotnie Żmichowska, chcąc prawdę tezy swojéj dowieść, wolałaby była bezwątpienia formę rozprawy; gdy jednak smak ówczesny skłaniał się ku powieściowym opowiadaniom, gdy każdą prawdą w tym jedynie uprzywilejowanym kształcie się lubował; autorka uległa musowi okoliczności i dała do *Gazety Warszawskiéj* powiastkę, usprawiedliwiając przed sobą samą nieodpowiedniość formy artystycznie obmyślonemi okolicznościami. Rzecz więc całą włożyła w usta pedagoga, opowiadającego o związaném najściśléj z wydarzeniami swego życia ćwiczeniu wychowańca. Obmyślenie atoli treści ćwiczenia wiązało się nierozłącznie z podniesionemi w „Pierwszém zapytaniu" poglądami. Żmichowska wybrała za tło opowiadania drugą połowę w. XVII, która była u nas długą chwilą wiary przyjmowanéj bez rozbioru, chwilą praktyk religijnych, spełnianych z drobiazgową skrupulatnością, chwilą gorliwości o chwałę Bożą, wyrażającéj się w nietolerancyi; chwilą zupełnego prawie upadku „pychy rozumu". A przecież w tym samym czasie panował przedpotopowy niemal zamęt mo-

([1]) Pisma; IV, 39.

ralny: „człowiek rodzinny i sąsiad, urzędnik i obywatel zdają się rządzić zupełnie inném sumieniem; zdają się miéć raczéj nie jedno, ale dwa, trzy sumienia, zupełnie od siebie niezależne". Obok cnót domowych istniały naówczas wielkie bezprawia publiczne; obok rzetelności gospodarskiéj, przedajność w sprawach Rzeczypospolitéj; obok słów gorących o miłości ojczyzny, brak ofiarności w czasie jéj niebezpieczeństwa. „Ten, co drży przed gniewném spojrzeniem rodzica, na sejmiku uszy i ręce adwersarzom obcina; ten, co szczerze i bez obłudy w świątyni Pańskiéj krzyżem leżąc, pod nogi bliźnim się ściele, pył z ich obuwia otrząśnięty ukorzoném czołem zmiata, na progu kościelnym dumnie już wąsa pokręca, a z dziedzicznego dworca chłostę i ciężką pracę poddanym szafuje. Tu uciekają ludzie, co jutro niepodobne zwycięztwo krwią własną okupić potrafią; tam przedajny pieniądz złożony jest na ręce, która w lepszéj godzinie da się odrąbać za świętość narodowego prawa. Wydzierca cudzéj własności poświęca wszystko w chwili zapału i uniesienia, a nawzajem częstokroć przykładny ojciec rodziny lub wspomożyciel ubogich z zimną krwią zdradę publiczną knuje i przyszłych nieszczęść bez zgryzoty rzuca zgubne ziarna" (¹). Jednym z przedstawicieli tego zamętu był starościc Floryan, któremu umierający ojciec rozkazał oddać siostrze Beacie ogromne skarby, w klejnotach i pieniądzach nagromadzone, gdy jemu samemu włości obszerne zostawił. Floryan czuł się pokrzywdzonym, ale nie sarknął; ślepo postanowił być posłusznym rozkazom ojca, zewnętrznie jednak tylko, obrzędowo, że tak powiem, nie zaś wewnętrznie, duchowo. To też nie miałby nic przeciwko temu, gdyby jakieś nieszczęście, któregoby nie był *widomym* sprawcą, uczyniło go posiadaczem skarbów siostry. Od zabójstwa, od trucizny, pomimo nadarzającéj się sposobności, myśl jego, dręczona żądzą posiadania, torturowana dwoma strasznemi kołami: rozkazu ojcowskiego i chciwości, daleką była. Gdy się zjawił konkurent, Floryan coprędzéj opowiedział, jak wielką jest ogólna summa posagowa, ile jéj będzie w brzęczącéj monecie, a ile w innych kosztownościach, dodając, że „choć mógłby sarknąć trochę na mniéj sprawiedliwy podział", nie pragnął jednak nigdy ukrzywdzić siostry, i odda wszystko aż do złamanego szeląga „tak niech mi Bóg w Przenajświętszéj Trójcy dopomoże". Floryan był dobrym obywatelem; na pierwsze drgnięcie narodowego odporu przeciw Szwedom, zebrał ludzi, wyszykował broń i konie, a gdy wróg na zamek jego napadł, bronił go mężnie i odparł Szwedów. W téj właśnie chwili podniecenia bohaterskiego w obronie ojczyzny, dopuścił się strasznego występku. Beata, w czasie napadu nieprzyjaciela, zniknęła. Floryan rozesłał pogoń, kazał szukać po wszystkich zakątach, przetrząsnąć wszystkie kryjówki; tylko... tylko jednego wyrazu nie domówił, jednéj myśli w czyn nie zamienił,

(¹) Pisma; IV, 105.

jednéj wątpliwości nie usunął. On tylko i siostra znali tajemne wejście do skarbca, on mógł przypuszczać, że tam Beata się skryła; ale przypuszczenie swoje tak długo pod czaszką zatrzymał, aż przekonać się o jego prawdzie nie był w możności, gdyż w drugim napadzie szwedzkim, ranny do niewoli się dostał. Wróciwszy z niéj, mając się żenić, poszedł do skarbca, a w jego ramiona spadła jakaś czarna massa nawpół przegniłych łachmanów i kości, a na twarz jego spłynęły zimną, wilgotną zasłoną jakieś włosy złociste, przy skórze ludzkiéj czaszki trzymające się jeszcze. Po tém słynął Floryan, jako dobry sąsiad, wzorowy obywatel, dzielny żołnierz, prawy urzędnik, opiekun wdów i sierot, bogobojny chrześcianin... tylko spowiednik, wychodząc z komnaty umarłego, powiedział do zgromadzonych: „Bracia moi, módlmy się za duszę *wielkiego grzesznika*". Obłuda dobrego uczynku towarzyszyła Floryanowi przez całe życie i stała się jego maską śmiertelną... on do ostatniéj chwili utrzymywał, że siostry swojéj nie zabił... Spełniał wszystkie zewnętrzne akty pobożności, tylko duszy nie doskonalił.

W „drugiém zapytaniu" Żmichowska powstaje energicznie przeciw apatycznéj obojętności i rezygnacyi trwożnéj. Obłuda martwoty, objawiająca się w braku granitowéj przekonań zasady i zgadzaniu się na poglądy najsprzeczniejsze, stała według niéj niżéj nawet od obłudy faryzejskiéj: „Faryzejska bowiem obłuda — powiada — przynajmniéj zaczepić musi, potrącić, skrzywdzić prędzéj czy późniéj uśpionych swoją piosenką, jak namiętność występna lecz rzeczywista musi własnym szałem się ukarać a grozą innych odrazić; — lecz to szkaradne na chléb powszedni cudzołóztwo, ta obłuda strupieszała, nie dająca znać o sobie, wypłókująca z pod spodu brzeg piaszczysty, na którym stoją ludu miliony, to mi jest wstrętne zupełnie, to dla mnie obrzydliwością spustoszenia najszkaradniejszą ze wszystkich" ([1]).

A czém obojętność w sferze myśli, tém rezygnacya w sferze uczuć i czynów. Fałszem jest, jakoby nieszczęście było owocem grzechu; zarówno dzieje pojedyńczych ludzi, jak i narodów całych wykazują, że nieszczęścia najpospoliciéj niewinnych dościgają. Zbrodnia w pełni rozwoju jest spokojniejszą od niewinności, a śmierć niegodziwca niczém się nie różni od śmierci sprawiedliwego. Jak nieszczęście nie jest przyczyną grzechu, tak też nie bywa środkiem udoskonalenia: głód prowadzi za sobą rozboje i złodziejstwa; zaraza — zobojętnienie dla cudzéj śmierci i bezwstydniejszy egoizm; wojna — rozpustę i grabież; kalectwo — chytrość i zazdrość względem drugich; sieroctwo nawet, takie bezpośrednie, jak się zdaje, ręki Bożéj dotknięcie, przechodzi w pewną martwotę serca, w pewną skamieniałość wewnętrzną. A kiedy tak jest, mamyż cierpieć pokornie, mamyż nakazywać milczenie wszystkim opornym władzom duszy naszéj?...

([1]) Pisma; IV, 138.

Nie; nieszczęście jest samymże grzechem: przeciw nieszczęściu trzeba walczyć, trzeba bojować jak przeciw wszelkiemu innemu złemu; „jakkolwiek zwodniczym przyodzieje się kształtem, tępić je na wsze strony, niszczyć, z korzeniem wyrywać powinniśmy; czy ubóstwo żebracze w łachmanach, *czy zaczepność, zuchwałą klejnotów swoich blaskiem*, my właśnie, chrześcianie, mamy prawo z pomiędzy siebie usuwać to wszystko". Tę siłę, którą na przecierpienie boleści marnotrawimy, obróciwszy na usunięcie jéj przyczyn, lepszego jutra się doczekamy. „*Walka* jędrniéj niż rezygnacya władze ducha rozwija; a chwała Boża, czyż nie głośniéj, czyż nie święciéj rozbrzmi po ziemi całéj, gdy się każdy starać będzie w ofierze nieść Panu *miłość ożywczą, dzielną* i *szczęście poczciwe*" ([1]).

I znowuż chcąc poprzéć przykładem życiowym wywody teoretyczne o szkodliwości apatycznéj rezygnacyi a potrzebie walki z wszelkiém złem, z wszelkiém nieszczęściem, napisała Żmichowska „Białą Różę". Przedstawiła w niéj kobietę o wyobraźni niepospolitéj, o rozumie analitycznym, nadzwyczaj subtelnym, o popędach bardzo szlachetnych z natury; ale o energii zmiażdżonéj względami życia światowego i wpływami ograniczonego pod względem umysłowym otoczenia. Biała Róża posiadała wszystkie piękne przymioty Maryi-Reginy, co się tyczy piękności, nauki, zdolności odczuwania wrażeń i artystycznego wykształcenia; posiadała nadto wyższość nad nią pod względem zewnętrznym, jako bogata dziedziczka; brak jéj tylko było jednéj jedynéj, ale za to bardzo ważnéj zalety — samodzielności. Biała Róża umiała marzyć prześlicznie, umiała ze smakiem prawdziwym unosić się nad pięknością dzieł sztuki, umiała rozumnie oceniać rezultaty nauk głębokich; a co ważniejsza, umiała się nad sobą zastanawiać, tak subtelnie i tak trafnie wszystkie głębie ducha swojego analizując, że tego talentu najzręczniejszy psycholog mógłby jéj pozazdrościć. Ten właśnie talent dowodził, że ona nie była, jak tyle innych kobiet, składem jedynie z zewnątrz nazbieranych wiadomości i uczuć: że przeciwnie całą treść nauki i sztuki, cały obszar, niezbyt zresztą rozległego doświadczenia, na istotną, nieoddzielną własność duszy swéj przerobiła i przetrawiła; że nauki i sztuki nie były tylko klejnotami zdobiącemi jéj umysł, ale istotnemi czynnikami jéj istnienia, jéj rozwoju, jéj życia. To wszystko upodobnia ją do Maryi-Reginy, i od tego dopiéro punktu rozpoczynają się zasadnicze różnice. Podczas gdy Marya-Regina, nie ubliżając zresztą pozornym regułom konwenansu, mówi, czuje i działa z własnego popędu; podczas gdy odrębność swoję i oryginalność wyraziście zaznacza; gdy śmiało i z całą pewnością siebie teorye własne wygłasza, choćby nawet jednego tylko znalazła ich zwolennika; gdy nadto teorye te z nieustraszoną odwagą wciela w życie: to Biała Róża przeciwnie,

---

([1]) Pisma; IV, 150—152.

jako kobieta czasów reakcyjnych, całą sztukę udawania w to włożyły, ażeby w niczém się od innych kobiet nie odróżniać, chociaż nie tylko czuje, ale zna całą martwotę, całą nicość konwenansu. Biała Róża nie miała odwagi iść naprzekór przyjętym zwyczajom i manierom, a w jéj pozornéj niewiadomości, zkąd Kazimiera brała siłę i swobodę całego świata, że nie bała się ośmieszenia, łatwo odkryć maskującą się prześlicznie słabość woli, którą na urodzenie swoje spędza. Była ona, jak sama wyznaje, „chorobliwie nieśmiałą, febrycznie drżącą pod cieniem śmieszności, kamiennie sztywną na byle pozór jakiegoś dziwactwa z jéj strony lub jakiéjś niechęci ze strony bliższych jéj osób". A jednak wśród otoczenia balowego, wydała się Kazimierze jako konserwatystka w każdym szczególe życia, przedstawiająca pewien stopień „religijnego ogrzania lub niedogrzania raczéj"; pielęgnująca uszanowanie dla formy, nieufność względem uczucia, szyderstwo salonowe dla wszelkiéj niezwykłości, bojaźń wyższego, nałóg miernoty; słowem, jako egzemplarz mający „zalet mnóstwo, cnoty ani jednéj". Zkądże taki odskok od wewnętrznéj treści duszy do jéj uzewnętrznienia, do jéj przejawu wśród towarzyskich stosunków? Biała Róża była w dzieciństwie uczuciową i śmiałą; ale gdy pierwsze jéj porywy zostały ironią osób otaczających skarcone; gdy jéj marzenia wyśmiano, gdy jéj wszystkie wiadomości zaczęto traktować po prostu jako środek służący do upiększenia modelu panny posażnéj, gdy zaczęto przedstawiać uczoność jako synonim śmieszności, entuzyazm — jako szaleństwo, śmiałość — jako dowód złego gustu: uległa najbliższym wpływom, stała się na pozór taką, jak wszystkie inne bogate panny na wydaniu, wlazła w reakcyjną skorupę „tego co wypada i co nie wypada"... Założyła natomiast we własnéj głowie państewko osobne, rozświetlone błyskami boleśnéj ironii a zaludnione wszystkiemi lepszemi życzeniami młodego i niezużytego serca, wszystkiemi wyższemi polotami umysłu, wszystkiemi najbujniejszemi marzeniami fantazyi. Biała Róża stała się bardzo utalentowaną i bardzo zręczną artystką życia, przebywała najswobodniéj w dwu sprzecznych światach, i co traciła w jednym, wynagradzała sobie w drugim. List do Kazimiery, opowiadający dzieje jéj umysłu, jest arcydziełem subtelności nie tylko uczuciowéj, ale i rozumowéj: tyle w nim bystrych spostrzeżeń, tyle téj analizy głębokiéj, która w każdym proszku życiowym umie cały świat myśli odkryć, tyle drobnostkowéj rozwagi, która przecież pierwiastku poetycznego nie jest pozbawiona. Biała Róża poczytuje się za nieszczęśliwą i biedną, za nieszczęśliwszą i biedniejszą stokroć od Kazimiery, co tak swobodnie i tak odważnie z myślami swemi i uczuciami w świat występuje; uznaje więc ją za wyższą, zasięga od niéj rady, okazuje chęć otrząśnięcia się z łusk, pokładowo duszę jéj pokrywających.

List „Białéj Róży" był koncertowym popisem, na którym bogate jéj zasoby, brylantowym zajaśniały blaskiem, zakrywając fałsz i obłudę. Taka niepospolita natura, jak Biała Róża, umiała odróżnić złe

od dobrego, umiała zarówno jedno jak i drugie wybornie analizować; ale zamiast użyć swych wielkich zdolności na uporczywą walkę ze złem, z towarzyską obłudą, z przerażającą ciemnotą, wolała bawić się w niezaczepną igraszkę ironii z saméj siebie, ażeby mogła powiedziéć sobie i drugim, co ją zrozumiéć mogli: patrzcie, jakam bogata, jakam wyższa od wszystkich otaczających, od pospólstwa, od gminu salonowego!... Jéj list był wynikiem miłości własnéj; chciała zadziwić skromną Kazimierę potęgą swego artyzmu życiowego, chciała zakosztować rozkoszy bezinteresownego spółczucia, ażeby je późniéj wyszykanować dowcipnie. Kazimiera dała się uwieść pozorom; jéj szlachetna i otwarta natura, nie pojmująca igraszki z najpiękniejszemi i najwznioślejszemi ideami, chciała biedz z ofiarą najserdeczniejszéj sympatyi... Nie wiadomo, jakieby sztuczki wyprawiała zręczna Biała Róża, gdyby ten pierwszy poryw Kazimiery w naiwnéj prostocie doszedł był jéj wiadomości; wiemy atoli, że po surowym liście Hieronima, odpowiedzi wcale nie dała, rozumiejąc, że jéj subtelną grę zdemaskowano.

List Hieronima jest streszczeniem etycznych poglądów Gabryelli w téj dobie jéj umysłowego rozwoju. Hieronim tak jest oburzony hipokryzyą czasów swoich, że pragnąłby miłość wszystkich stworzeń na doskonałéj złego nienawiści ugruntować, sądząc według najgłębszego przekonania swojego, że złe nie złem, ale *marnotrawstwem dobrego* się pleni. „Żeby na świecie, gdzie *każdy* umié gadać słowami prawdy, chwalić istniejące lub nieistniejące cnoty, wielbić rzeczywistych lub urojonych bohaterów, deklamować szczere lub nieszczere kazania; żeby na tym świecie, pomiędzy tyloma wykrzyknikami, zaręczeniami, sylabami i frazesami blizkoznacznemi nie dać się otumanić, nie wyekspensować na próżnię swego entuzyazmu, na lewo i na prawo swoich sympatyj, ugodzić w samą istotę rzeczy, pochwycić ciało nie larwę: więcéj pono trzeba miéć zręczności, niż jéj miał ten, co mu w bajce kazano szukać swéj kochanki pośród tłumu dziewcząt w jéj zupełne podobieństwo zaczarowanych”. Tu ani rozum, ani poczciwość nie wystarcza; potrzeba całém sercem nienawidziéć wszelkiego zła a grzeszną pobłażliwość precz wyrzucić z praktyki życia, bo „kto uwierzy faryzeuszom, zaufa obłudzie, rękę pomocną wyciągnie ku kłamstwu lub je słodyczą przytakującą uzuchwali”, ten srodze zawini przed Bogiem. A przedewszystkiém trzeba się miéć na wielkiéj baczności przed natarciem tych zaraźliwych wad, które z niewłaściwie skierowanéj cnoty powstają. Hieronim wylicza w szczególności, stosując się do wyrazów Białéj Róży, trzy takie wady: przesadę, egzaltacyą i romansowość, które sprawiają, że ludzie udają bez obłudy, a nie szukając ani osobistego zysku, ani bliźniéj krzywdy, sami siebie najpierw zwodzić zaczynają i lekkomyślnie a świętokradzko biorą najpoważniejsze uczucia, myśli, cnoty — do zabawki ([1]).

([1]) Pisma; IV, 280.

Przesada jest bardzo niewinną jeszcze chorobą, która czasem jak febra ku zdrowiu posłużyć może, a jeśli dla wielu temperamentów grozi wyczerpnięciem, dla niektórych, trochę leniwszych, gimnastykę zastępuje ([1]); *egzaltacya* daleko jest niebezpieczniejsza, gdyż bitym traktem wiedzie nas do obłudy, do zniechęcenia i mizantropii. „Mielibyśmy daleko więcej poczciwych ludzi, gdybyśmy nie mieli ich tylu, co od razu, za pierwszym skokiem, doskonałymi chcieli zostać". Zdaje się wielu szaleńcom, że przywłaszczywszy sobie jaki klejnot duchowy, sięgnąwszy wysoko zamiarem lub uczynkiem jednym, posiądą ów klejnot na własność rzeczywistą; gdy tymczasem ów egzaltowany zamiar i uczynek wybuchowy pozbawiają ich siły do wykonania tych przedsięwzięć, które były najbliższym ich obowiązkiem. Na nic się nie zda złe przeinaczać, przeginać; nicować „wrodzone skłonności": bo zamiast dobrego, złe tylko w sobie zaszczepimy. Niepodobna żółwiowi doścignąć jelenia, niepodobna gwałtownemu stać się łagodnym, utalentowanemu — geniuszem. A przecież każdy w swoim zakresie może się udoskonalić i każdy pracą swoją pożytek dla bliźnich przynieść jest w stanie ([2]). Hieronim rozwija tu te same myśli, które niegdyś w „Książce Pamiątek" Kazimierz Ludwikowi wykładał ([3]); ale przedstawia je nie jako „sąd zbyt surowy i nielitośne przeciw sobie męztwo", lecz jako nieomylne życia drogoskazy.

Toż samo i co do romansowości. Oczekiwać jakiegoś nadzwyczajnego uczucia, chcieć w sobie wzbudzić sztucznie idealne roznamiętnienie, jest to marnotrawić życie, nie spełniać tego dobrego, które wykonać możemy. „Miłość koniecznie być musi samorodną, niezależną, z siebie i przez siebie powstałą, inaczej miłością być przestaje, a zaczyna być romansem.... Ludzie sobie na nieszczęście wielki poemat o miłości ułożyli i w oderwanych wierszach, aforyzmach, ustępach, ten poemat jak *fałszywa moneta* rozbiegł się po kraju" ([4]). Miłość wyłączna „kochanka i kochanki" jest gwiazdeczką, która „nie każdemu błyszczy"; czasem zgaśnie, czasem chmurami zajdzie, czasem rozbije się w przestrzeniach albo na bok usunie. Kto rozumny, ten ją do *naddatków życia*, jak urodę, majątek, lub wyższy talent w sztukach pięknych *policzy;* ale gonić za nią, wymyślać ją sobie, ciągle o niej marzyć, jest to urojenie oddawać za prawdziwe skarby. Kochać potrzeba nie same ideały wcielone, nie same piękności doskonałe, ale wszystko, co nam blizkie: „jeśli rodziców, to rodziców, choć z najsmutniejszemi przywarami; jeśli dzieci, to dzieci, choć wcale nie obiecujące na przyszłość i niepponętne w teraźniejszości; jeśli przyjaciół, to przyjaciół, choć niesłynnych

(1) Pisma; IV, str. 284.
(2) Tamże; 285 -289.
(3) Pisma Gabryelli; III, str. 89- 91.
(4) Tamże; IV, 289—291.

rozumem, znaczeniem, tkliwością; jeśli kochanków, to kochanków, choć zwyczajnych ludzi, choć ułomnych, choć nie bohaterów" (1). Takie trzeźwe, dalekie od dawnych entuzyastycznych uniesień pojęcie miłości spowodowało Żmichowską do pozostawienia „Książki Pamiątek" niedokończoną; a co więcéj, jakby dla zrównoważenia zbytecznego zapału zbyteczną ironią, autorka dodała do nektaru kilka kropel piołunowych: „Dzisiaj wiem z pewnością, że zaprzeczona czy uznana, podzielona czy odparta, skojarzona czy rozbita, *każda miłość* z lat koleją, choć innemi ścieżkami, u tegoż samego punktu błotnistéj rozłogi staje" (III, 123). Hieronim tego zdaniaby nie podpisał; ale Gabryella z latami coraz zawziętszą przeciw miłości wyłącznéj się stawała, tak że w wyjątku z powieści „Kasia i Marynka", napisanéj, zdaje się, około roku 1862, najkategoryczniéj przeciw łagodności ślamazarnéj, przeciw tkliwości niezdarnéj, przeciw dobremu sercu i miłości powstaje. — „Bardzo szanuję — mówi tutaj — lordów angielskich, co bez miłości zaprowadzają wolny handel zbożowy, Amerykanów, co bez miłości znoszą niewolnictwo... Bardzo szanuję obsługujących szpitale, siostry miłosierdzia, lekarzy, administratorów dobroczynności publicznéj, założycieli szkół i szkółek, stowarzyszeń wzajemnéj pomocy i kass oszczędności. Bardzo ich szanuję, choć większa ich połowa nie przez miłość działa, zaiste, ani też osobliwą dobrocią nie pociąga". Jedyną skalą, podług któréj mierzyła Żmichowska dobre serca i dobre uczynki, była skala „prawa i obowiązku" (2).

Nie tak szorstko, nie tak zimno, ale z niemniejszą stanowczością, przeciwstawia Hieronim pracę obowiązkową — marzeniu, téj prawdziwie śmiertelnéj chorobie. Marzenie jest szkaradnym nałogiem, jest prostém pijaństwem ze wszystkiemi skutkami pijaństwa, lubo z trochę napozór odmienną przyczyną. Duch wylatuje z marzycieli przed grobem jeszcze, buja po kwiatkach, śni o miłostkach, rozkwila się nad srebrnemi promykami księżyca; zdaje mu się, że to ciągłe samobójstwo nie liczy się między grzechy wołające o pomstę do Boga. A tymczasem „zuchwalec który w cierpieniu zżyma się i targa, mniéj grzeszy prawdzie najwyższéj, jak ten, co *przed troskami tego świata* w marzenia się kryje". Warto sobie przypomnieć, że już w „Książce pamiątek" Marya-Regina nazwała marzycielstwo „kalectwem sercowém"; ale ta właśnie okoliczność, że frazes ten

---

(1) Tamże; IV. 290.

(2) Wyjątek wzmiankowany p. n. „Rozmowa wieczorna", drukowany był w książce zbiorowéj: Kłosy i Kwiaty (Kraków, 1869) od str. 31—67. Ustęp przytoczony znajduje się na str. 64, 65. Przytém nadmieniam, że powiastka p. n. „Kosztem życia" z podpisem *Marya-Regina*, drukowana w *Przeglądzie Polskim* z r. 1866 w zeszycie listopadowym, a przypisywana w swoim czasie Żmichowskiéj, niema ani jéj stylu, ani jéj pojęć, będąc zręcznem naśladowaniem ramot francuzkich w języku, który zawiera wyrażenia czysto galicyjskie.

nie z ust samėj autorki, lecz z ust bohaterki, nie mającėj sankcyi doskonałości, pochodził, uszczuplała jego znaczenie. W „Białėj Róży” przeciwnie, Hieronim w imieniu autorki przemawia; jego słowa są objawem jėj własnych myśli, a zaakcentowanie tak silne szkodliwości marzenia stanowi jednę z najwyrazistszych dążności Żmichowskiėj. Marzenie przeszkadza pracy pigmejskiėj czy tytanicznėj, pojedynczėj jednostki czy też narodu całego. A tyle jest do roboty!.... Pamięć nie starczy, rozum nie starczy, uczucie nie starczy; wola chwieje się tak często; człowiekby sobie, gdyby mógł tylko, wiary, miłości nadziei przysporzył; geniuszby wszystkich wieków chciał zebrać do myśli, boleści wszystkich męczeństw chciałby w serce przelać, siłę wszystkich atletów chciałby mieć w ramionach, i wie, że wtedy jeszcze niewieleby uczynił, i wtedy jeszcze krokiem zaledwie posunąłby się ku jasności zbawienia... a ludzie marzą! ([1]). Ktoś mógłby utrzymywać, że marzenie jest rodzoną siostrą poezyi... — „Bluźnierstwo! — woła Hieronim — poezya rozmyśla, poezya tworzy, poezya wypowiada się ludziom; a wiesz czėm jest marzenie? — oto w niebezpieczeństwie jest bezwładnością, a w nieszczęściu jest niedołęztwem; w zepsuciu jest zagłuszonėm sumieniem; w Egipcie jest Izraelitą nad garnkiem czosnku i cebuli siedzącym; w chrześciaństwie jest renegatem nikczemnym”.

Potrzeba więc na wieki płonne marzenia pożegnać, a chwycić się pracy użytecznėj, wiodącėj ku najwyższemu celowi człowieczeństwa: ku wzbogaceniu osobistości swojėj we wszelką możebną doskonałość. Jaka siła da nam możność osiągnięcia tego celu za pomocą pracy? Żmichowska nie odpowiada na to pytanie wyraźnie, ale łatwo się domyślėć, że tą siłą była dla niėj *wola* ludzka, którėj tak piękny hymn w geografii swojėj poświęciła. Przyznawszy tu ogromny wpływ klimatu, a więc powietrza, gruntu, pożywienia i t. d. nie tylko na fizyczny ustrój ludzi, lecz też i na umysłowe ich zdolności, dodaje: „Ponieważ człowiek ma inne przeznaczenie jak roślina, która zawsze w jednėm miejscu rośnie, inne jak zwierzę, co jest wiecznie do tėjże samėj strefy przywiązane; więc też wiemy, że *wolną wolą* swoją poczęści wyswobodzić się z tego wpływu może, albo go uniknąć przesiedlając się w inne strony, albotéż pracą swoją działanie jego zmienić. Praca człowieka w tym względzie jest tak potężną i wiele mogącą, że ją nawet uważają jako *dziewiątą przyczynę* ([2]) na stan klimatu wpływ swój wywierającą. Nieraz w bezludnym kraju niepowstrzymane rzek wylewy tworzyły tylko zatęchłe bagniska; krzaki i ciernie najurodzajniejsze pokrywały wzgórza; po łąkach grzyby i mchy nieużyteczne tamowały wzrost pię-

([1]) Pisma; IV, 296, 7.
([2]) Autorka wymieniła poprzednio (str. 70—72) ośm przyczyn.

kniejszym i pożyteczniejszym roślinom; zbyt gęste lasy nie przepuszczały promieni słonecznych, a tém samém żaden powiew wiatru nie mogąc się przedrzéć przez ich gałęzie, nie rozpędził téż nigdy zgubnych wyziewów, które się z gnijących drzew i liści tworzyły; grunt, ożywczego ciepła atmosfery pozbawiony, wydawał same trucizny i tchnienie śmierci nad wszystkiemi tworami unosić się zdawało. Lecz niechże w takie miejsca przemyślni ludzie zawitali, wnet wszystko inną przybrało postać. Bagna zostały osuszone, rzeki w kamienne bulwarki ściśnięte, siekierą i ogniem lasy przerzedzone, słońce grunt ogrzało, wiatr go do reszty wysuszył, wszystko się upiękniło, klimat cały się zmienił, *a natura zwyciężona uznała się służebnicą ludzkiego rozumu*" ([1]).

To dumne zdanie tłómaczy nam jasno, jaką siłę uważała Żmichowska za czynnik najważniejszy w udoskonaleniu człowieka..... Wzmocnienie woli, wyrobienie energii w apatycznych massach, przyjmujących obojętnie złe i dobre, idee postępowe i wsteczne; wytworzenie silnego oddziaływania przeciwko fałszowi, ciemnocie i obłudzie: oto treść pojęcia, które w czyn chciała wprowadzić za pośrednictwem „wyznawców prawdy". Chęć powiększenia liczby takich wyznawców jest charakterystyczną cechą dążnośai wszystkich pism Gabryelli od 1854—1860.

V.

Znaczenie pedagogicznéj działalności Żmichowskiéj w dziedzinie piśmiennictwa. — Wiersz „Do moich dziewczynek". — Część elementarna wykładu nauk jest pierwszą naszą „nauką o rzeczach" przedstawiając sposób uczenia dzieci przed rozpoczęciem nauki czytania. — Zasadnicze błędy w układzie téj książki. — Nieznajomość poglądów Froebla. — Rzecz o rozwijaniu wyobraźni dziecka za pośrednictwem przedmiotów z rzeczywistości wziętych. — „Błyskotki". — Geografia Żmichowskiéj jest pierwszą obszerną a oryginalnie napisaną pracą z zakresu téj nauki. — Geografia na tle historyczném osnuta, Edwarda Braconnier. — Praca Żmichowskiéj ma przeważnie charakter etnograficzny. — Brak talentu popularyzacyjnego. — Ostatnie 16 lat życia Żmichowskiéj. — Studyum o Edmundzie Strzeleckim. — Wydawnictwo dzieł Hofmanowéj. — Rodzaj pamiętnika p. n. „Czy to powieść?"

Tu podobno najwłaściwsze będzie miejsce dla krótkiego rozpatrzenia pedagogicznéj działalności Żmichowskiéj, o ile się ona w dziełach drukiem ogłoszonych zaznaczyła; nie posiadam bowiem

([1]) Geografia Żmichowskiéj. Warsz. 1857. str. 78, 79.

dostatecznych danych do przedstawienia jéj zasług w dziedzinie praktyki wychowawczéj.

Jak gorąco Żmichowska kochała swój zawód, jak szczerze do wychowania swoich uczennic przywiązywała się, świadczy o tém piękny wiersz: „Do moich dziewczynek” (¹). Wystawia w nim poetka wszystkie życia powaby, a za największy z nich poczytuje *dobry uczynek;* wystawia cierpienia, z których najcięższém *wyrzut sumienia;* dodaje atoli odwagi młodym przyjaciołkom swoim tém zapewnieniem, że choć bardzo wiele złego na świecie, to przecież „jeden dobry za stu złych nagrodzi”; ostrzega je przed zarozumiałością i „dumnego serca pychą bez granic” i we wzorzystym obrazku kreśli szczęścia zarysy, ucząc dziewczynki, że od miłości zyskanéj większém jest szczęściem miłość doznana, a większém jeszcze jest „wielkie szczęście ludu całego, ze światłem słońca *światło rozumu*, z pamięcią przodków win odpuszczenie i z *pracą wszystkich* — wszystkich zbawienie”. A kończy tęskno:

Lecz wy daleko!... ach! tam inaczéj
Może im szczęście kto wytłómaczy?
Może je złudzi inną nadzieją?
To, co im mówię, czyż zrozumieją?
O, gdyby mogły... Dziewczynki moje!...
Lecz ja daleko, daleko stoję...
I jeszcze daléj smutna odchodzę...
Szczęść Boże! lepszéj dziewczynek drodze!

Dla tych-to ukochanych dziewczynek zamierzyła Żmichowska wydać „Wykład nauk”, do pomocy w domowém wychowaniu przeznaczony. Jak wiemy, skończyło się na dwu tylko książkach, z których jedna zawiera część elementarną a druga geografią.

Część elementarna, która się po raz pierwszy ukazała w r. 1847, była prawie zupełnie nowém zjawiskiem w naszéj pedagogicznéj literaturze, przedstawiała bowiem sposób uczenia dzieci przed rozpoczęciem nauki czytania i w pewnéj mierze zawierała to, co dziś „nauką o rzeczach” lub „nauką poglądową” nazywamy. Wprawdzie istniały już naówczas „Rozmowy mamy z Józią, służące za wstęp do wszelkich nauk a mianowicie do gramatyki” przez Jachowicza ułożone (²), którym Żmichowska w przedmowie do Geografii należne oddaje pochwały, ale szczupły ich, logiki głównie dotyczący, zakres pozwala nam uważać je tylko za niejaką dla autorki części elementarnéj wykładu nauk wskazówkę, lecz nie za dzieło, któreby jéj pracy prawo chronologicznego pierwszeństwa odjąć mogło.

(¹) Pisma Gabr. I. 297—301.
(²) Pierwsze wydanie w r. 1830, drugie rozszerzone w 1846.

Przewodnią myślą układu téj książki było przekonanie, że póki dziecko nie nauczy się czysto i dobrze wymawiać, póty z niém nauki czytania rozpoczynać nie warto. Radzi zatém Żmichowska kształcić *mowę*, ale nie w sposób pedantyczny; nie każe więc np. przerywać dziecku, aby jego wymawianie poprawić; za najodpowiedniejszy ku temu środek uważa wierszyki, głównie Jachowicza, nie pomijając jednak i przydatnych dla dzieci utworów innych pisarzy: Krasickiego, Massalskiego, Morawskiego, Góreckiego, Brodzińskiego i t. d. Obok kształcenia mowy należy zaopatrywać główki dziecięce w pewną treść naukową za pośrednictwem rozmów. Na układ systematyczny kładzie Żmichowska nacisk, zaczynając od wyosobnienia osobistości dziecięcéj z nieskończonego mnóstwa otaczających przedmiotów; mówi zatém o imieniu i nazwisku, o rodzinie, narodzie i ludzkości; następnie o zmysłach, członkach ciała, o rozumie, o udoskonaleniu, o potrzebie pracy; daléj o zwierzętach, roślinach, kamieniach i rozmaitych przedmiotach otaczających dziecko, późniéj o wodzie, chmurach, mgle, o ogniu i wulkanach, o powietrzu, o powierzchni ziemi. Melodyczność na tém tu polega, że się przechodzi od bliższych do dalszych przedmiotów. Gdy się ten cykl tymczasowo zamknęło, autorka podaje pojęcie przestrzeni, liczby i czasu, łącząc z tém pierwszą naukę rachunków. A zastosowując liczby do wymiaru długości w przestrzeni, mówi o miarach i przechodzi do oznaczenia wielkości ziemi, do podziału lądu na 5 części, które ogólnie a jednak nie ogólnikowo opisuje. Zaczepiwszy o zajęcia ludzi, o ich prawa, o ich cywilizacyą, podaje wiadomości z historyi starożytnéj a w części i nowożytnéj, zaznaczając troskliwie postęp i udoskonalenie ludzkości. W końcu tego działu, w 15 rozmowach opowiada autorka dzieje Polski. Drugi dział, z którego wychowawca ma dziecku odczytywać stosowne ustępy, ażeby je do książki przyzwyczaić, w odwrotnym jak pierwszy ułożony jest porządku; tu autorka od najdalszych do najbliższych przedmiotów, od wszechświata do człowieka przechodzi. Przeważają w nim szczegóły z nauk przyrodzonych, których zaniedbaniu przypisuje Żmichowska brak zastanowienia i zatrzymania uwagi na jednym przedmiocie, twierdząc bardzo słusznie, że nauka nie tylko materyałem zasilającym pamięć, ale i narzędziem pomocniczem do rozwijania władz umysłowych być powinna. Czytania z geografii są dopełnieniem tego działu.

Trzeci dział wreszcie jest dopiero „nauką czytania”, elementarzem, gdzie się również mieści i nauka pisania. Żmichowska zaczyna czytanie od ćwiczeń samogłoskowych na całych wyrazach, następnie mówi o zmiękczaniu przez *i* (np. m*i*am*i*a), potém przechodzi do spółgłosek, nie każąc wymawiać ich nazw (metoda t. z. *głosowania*), do składania brzmień, zaznajamia ze znakami przestankowemi i z czytaniem najpierw przysłów jako rzeczy znanych dziecku, potém wierszy, anegdot historycznych i t. d.

Ogólny układ téj książki dziś jeszcze na zupełne zasługuje uznanie; w szczegółach atoli jego przeprowadzenia na wiele rzeczy zgodzić się niepodobna. Żmichowska znała bezwątpienia Pestalozzego, może Diesterwega, ale nie znała widocznie Froebla: ztąd abstrakcya góruje u niéj nad zmysłowém dostrzeganiem; ztąd w pierwszéj zaraz rozmowie mówi o tak oderwaném pojęciu jak: „ludzkość"; ztąd w drugiéj części zaczyna od wszechświata, jak gdyby dziecko przez poprzedzające rozmowy mogło już być przygotowane do zrozumienia takich rzeczy jak „ciała i ogólne ich własności", jak „pierwiastki ciał wszelkich" i t. p. Dziś naukę o rzeczach inaczéj pojmujemy, biorąc pod uwagę najbliższe tylko, najbardziéj znane, widzialne i dotykalne przedmioty; wiedząc, że dziecko bardzo długiego potrzebuje czasu do wzniesienia się w dziedzinę abstrakcyi. Nauka czytania, oparta na głosowaniu, ma wprawdzie i dziś jeszcze zwolenników, ale jéj przeprowadzenie w wysokim stopniu jest niezadawalniającém. Uczenie zaraz po samogłoskach miękczenia spółgłosek za pośrednictwem *i*, nazywanie *j* przedłużoném *i*, zestawianie takich dźwięków jak: *ia*, *ie*, z takiemi jak: *aj*, *ej*; brak stopniowania w układzie dźwięków tak, że na początku nieraz bardzo trudne do wymówienia napotykają się; połączenie dźwięków nie spotykanych w polskim języku (kjo, kju, kję, hją, hju, ijg i t. p. i t. p.): sprawiają, że właściwa „Nauka Czytania" Żmichowskiéj w żaden sposób zalecona być nie może, gdy przeciwnie z dwu pierwszych działów części elementarnéj w drugiém jéj wydaniu ([1]) wiele jeszcze wychowawca skorzysta.

Na szczególną uwagę zasługuje fakt, że Żmichowska, będąc poetką, nie czerpała ani w powieściach, ani w klechdach pomocy do rozwinięcia i pokierowania wyobraźni, zwracając „najpierwsze, najświeższe, najsilniejsze budzącej się duszy wrażenia" ku cudom natury i cudom pięknych dzieł ludzkich, dając na pokarm umysłom prawdę rzeczywistości pierwéj niż prawdę ideałów. — „To, co duch ludzki stworzył doskonalszém lub raczéj do pewnego stopnia artystyczniejszém niż obecność i przeszłość, zostawiliśmy — powiada Żmichowska — na późniéj. Gdy już świat faktów i rzeczy ożywi się *pod ożywiającą wszystko* wyobraźnią dziecięcą, niech mu troskliwy wybór świata fantazyi i pomysłów nie żałuje. Są na to bajki ludowe, legendy, poezye różne", które autorka „błyskotkami" nazywa. Nie zaprzeczała więc Żmichowska, jak widzimy, potrzeby kształcenia i rozwijania fantazyi, ale zgodnie z nowszemi poglądami pedagogiki do późniejszego, jednak niezbyt późnego, odkładała to czasu. Umiała więc połączyć użyteczność z wymaganiami wszechstronnego rozwoju władz duszy.

([1]) Wyszła p. n. „Część elementarna wykładu nauk przeznaczona do pomocy w domowém wychowaniu panien" wyd. drugie zmienione i przerobione (mianowicie w dziale drugim). Warsz. 1873. VIII. 392 i tablice.

Drugą ważną rzeczą jest to, że wbrew przyjętemu zwyczajowi, nie zapełniła swéj książki naukami moralnemi, które zazwyczaj nie odpowiadają swemu celowi, gdyż zamiast rozwijać uczucia etyczne, nieraz przytłumiają je, zbyt często się powtarzając. Żmichowska zrobiła słuszną uwagę, że nauka czytania nie jest nauką moralności, jakkolwiek, rozumie się, nic zawierać nie powinna, coby niemoralném było. Autorka nie rozpoczęła swéj książki od imienia Boga. Dlaczego? — „To imię — powiada — nie da się pod żadną lekcyą podciągnąć; nie podaje się ani pamięci, ani uwadze, ani wyobraźni dziecięcéj. To imię wlewa się sercem do serca w chwili szczęścia, boleści, natchnienia, w chwili, któréj objawienie ma każda kobieta, piastująca na łonie córkę lub syna swojego. To imię nakoniec może być uzupełnieniem wszystkich rozmów, tchnieniem ożywiającém każdą naukę, lecz myśmy się nie odważyli saméjże nauki przedmiotem go uczynić".

„Jeografia" jeżeli nie cała, to w znacznéj przynajmniéj części wydrukowana już była w roku 1848; dostała się do rąk publiczności dopiéro w 1857 i 1858 roku z wielu kartkami przedrukowanemi ([1]). Autorka czuła w sobie brak popularyzacyjnego talentu i sama o tém wychowawców ostrzega, mówiąc, że nie pochlebia sobie, ażeby wykład geografii, w jéj książce zawarty, mógł kiedykolwiek *nauczycielkę* zastąpić, że owszem pierwsza część zwłaszcza przedstawia tyle przedmiotów obcych uwadze i wyobraźni dziecięcia, iż każde jéj słowo prawie musi być objaśnioném stosownie do jego zdolności „wymalowaném niejako stosownie do obrazów, które zmysły jego otaczają; upodobnioném o ile się da tylko, ze zwyczajami, wśród których życie jego płynie". Żmichowska chciała dać systematyczny wykład naukowych faktów, przypominając sobie zapewne luźność i ułamkowość instrukcyi, jaką sama na pensyi i w instytucie guwernantek odebrała. Nie wiedziała jeszcze, że i gruntowność i systematyczność nawet mogą być zachowane pomimo popularnego, przystępnego dla umysłów dziecięcych sposobu przedstawiania faktów naukowych. W każdym jednak razie, na zupełne zasługuje uznanie chęć Żmichowskiéj uczynienia instrukcyi żeńskiéj gruntowną i systematyczną;- przyczém i téj okoliczności zapominać nie należy, że praca jéj była pierwszą obszerną, oryginalnie obrobioną w języku polskim geografią. Najznakomitsze nasze w tym przedmiocie dzieło Jana Śniadeckiego zawierało tylko geografią matematyczną i fizyczną, a zwykłe podręczniki, tłómaczone, lub kompilowane, były i szczupłe i niewielkiéj wartości. Dopiéro w tym samym roku, w którym ukazała się pierwsza część Geografii

---

([1]) Tytuł jest następny: Wykład nauk przeznaczony do pomocy w domowém wychowaniu panien przez Żmichowską. Jeografia. 2 części str. 1258 i kilkanaście tablic. Warszawa.

Żmichowskiéj t. j. w 1857 wyszła u nas w przekładzie Tomasza Dziekońskiego, obszerna czterotomowa „Geografia na tle historycznem osnuta" Edwarda Braconnier. Żmichowskiéj więc słusznie należy się zasługa pierwszeństwa w opracowaniu obszernéj, i jak dotąd jedynéj oryginalnéj na taką skalę geografii; a zasługa ta zwiększy się, jeżeli dodamy, że wykład Żmichowskiéj był na swój czas wcale dobry. Praca Żmichowskiéj jest przeważnie geografią polityczną a raczéj etnograficzną. Istotnie, wszystkie ogólne wiadomości z geografii matematycznéj i fizycznéj, które składają całe dwutomowe dzieło Śniadeckiego, mieszczą się tu na 72 stronicach, a w szczegółowym opisie krajów najmniejszą stanowią cząstkę; tak, że odliczywszy na nie 258 stron, reszta t. j. 1000 przypadnie dla szczegółów etnograficznych i politycznych. To też autorka cały zapas obszernego oczytania złożyła w téj ogromnéj reszcie. Geografią matematyczną i fizyczną przedstawia zwięźle, zanadto nawet zwięźle, skutkiem czego powstaje niejasność, konieczność wyczerpującego komentowania zawartych tu szczegółów, konieczność o wiele natarczywsza niż np. w dziele Śniadeckiego. Nie wielka z niéj korzyść dla wychowawców, a dla wychowańców prawie żadna. Etnograficzne natomiast wiadomości, bardzo starannie z najlepszych i najautentyczniejszych źródeł zaczerpnięte, przedstawiały u nas pierwszą próbę etnologii i dziś nawet, pomimo nowych odkryć i zmiany wielu etnologicznych poglądów, dorosłym wychowańcom bardzo wielki przynieść mogą pożytek, zaznajamiając ich ze zwyczajami, obyczajem, religią, rządem a trochę i z mową różnych ludów, na kuli ziemskiéj zamieszkałych. Podział tych ludów na pięć ras stracił wprawdzie dziś kredyt; brak wykazania łączności klimatu z charakterem ludów pomimo uznania jéj w zasadzie, trudno również za zaletę poczytać; powierzchowny pogląd na powstanie religij, niewłaściwe ich rozklassyfikowanie, należą do znacznych usterków; ale same fakta etnograficzne są bardzo dobrze dobrane i umiejętnie opowiedziane, a lekkie niedokładności nader łatwo usuwać się dają. Zwolenniczce samodzielności kobiecéj łatwo np. wybaczamy optymizm, z jakim się o kobietach Stanów Zjednoczonych odzywa: „Kobiety w Nowéj Anglii są bardzo ukształcone; przy zwyczajach, dających im zupełną swobodę, zachowują nieskazitelną czystość obyczajów, a ich piękność, ich płeć nadzwyczaj białą i świeżą wszyscy podróżnicy wychwalają" (1). Jednocześnie zaś o Amerykanach powiada, że całą ich polityką jedynie handlowy interes kieruje.... Zastanawiać się tu nad szczegółowemi błędami „Geografii" Żmichowskiéj nie myślę; dodam tylko słów parę o jéj ogólnym układzie.

Miała zapewne Żmichowska zamiar wydać specyalną geografią Europy i z tego powodu dzieło jéj nie przedstawia równomierności.

(1) Geografia, str. 885.

Po wiadomościach ogólnych miały następować szczegółowe; w ciągu jednak pisania czy drukowania autorka plan zmieniła i, poczynając od opisu Azyi, ogólne ze szczegółowemi w jednę całość połączyła. Europa tym sposobem została upośledzona, gdyż opisu jéj najgrubszemi tylko dokonano rysami. Zwykły zaś opis czterech części następujący przedstawia schemat: najpierw idzie rzecz o lądach i wodach, dalej o klimacie i fizycznym podziale, następnie o politycznym podziale danéj części ziemi; stanowi to stronę ogólną opisu. Szczegółową zaś tworzą t. z. „Wiadomości dodatkowe o krajach i ludach" nazwane przy Oceanii „Czytaniami" a będące najobszerniejszą częścią dzieła Żmichowskiéj, częścią etnograficzną.

Geografia Żmichowskiéj nie miała, jak się zdaje, powodzenia, będąc zbyt obszerną i zbyt nieprzystępną, zwłaszcza w części matematycznéj i fizycznéj; ta téż okoliczność zmusiła autorkę do zaniechania dawnego zamiaru wydania innych podręczników naukowych dla panien. Żmichowska wogóle, wydawszy Geografią i przygotowawszy do druku „Pisma Gabryelli", które wyszły w 4 tomach 1861 roku, na długi bardzo czas zupełnie zamilkła. Jaka tego była przyczyna specyalna, nie wiem; czy zawód osobistych marzeń, czy ciężar stosunków reakcyjnych przytłaczał jéj duszę, czy niemożność zmienienia ich odejmowała jéj odwagę i ufność we wzniosłe dążenia ukształconych i utalentowanych jednostek?... dość, że usprawiedliwiając się przed czytelnikami z nieukończenia „Książki Pamiątek", prawdopodobnie pod koniec 1859 r., Żmichowska z goryczą o społeczeństwie swojém się odzywała. „Tu — powiedziała — w mojéj okolicy, inne prawa, inny rozwój biograficzny! Złe się nie poprawia, dobre się psuje; szermierstwo siły wycieńcza, rezygnacya ducha nie wzmacnia. Byle nieroztropność, to śmiertelną chorobą grozi; byle katar — letargiem; ocet z żółcią smak przytępia, a cukier z miodem rozmdławia; nie możemy stosownych dobrać sobie pokarmów; i kuracye szkodzą, i cierpliwość nie leczy... Głupcy marnują swoję pracę; rozumni marnują się bez pracy; nad wszystkimi straszliwa zda się klątwa zepsucia lub nieużyteczności zawisnęła"... Wprawdzie w temże samém miejscu zapewniała Żmichowska, że nigdy może względniejszą i szczerszéj wyrozumiałą nie była; ale obraz ówczesnych stosunków jaskrawemi namalowany kolorami, przedstawiający jéj „morskich korsarzy, skalane ręce, zbogaconych szachrajów, nikczemnych i egoistów, massę obłudy, próżności, kłamstwa, niechęci" obok ulepszeń, zbezczeszczonych dotknięciem kału; obraz ten, oburzeniem strasznem napiętnowany, dowodził, że wyrozumiałość i spokój autorki znajdowały się dopiero w fazie teoretycznéj. Dopiero 16 ostatnich lat życia miały wyrozumiałość i spokój, do pewnego przynajmniéj stopnia, urzeczywistnić w praktyce. Większą część tego okresu czasu przepędziła Żmichowska na wsi wśród krewnych, robiąc kiedy niekiedy bliższe i dalsze wycieczki, do Krakowa, do Lwowa, w Tatry i t. p. Szczegóły te znane nam są dotychczas

w chaotycznêm jedynie ugruppowaniu, bez dat chronologicznych, bez objaśniających przyczyn i okoliczności. Na lat kilka przed zgonem osiadła Żmichowska stale w Warszawie i pomimo słabego zdrowia, które ją już oddawna przygnębiało, wzięła udział w pracach literackich. Najpierwszym z tego czasu utworem była wspomniana już przeze mnie „Rozmowa wieczorna" drukowana 1869, jakkolwiek o wiele wcześniéj napisana; potém nastąpił przedruk części elementarnéj „Wykładu nauk" i udział w przekładzie zbiorowym „Dziejów Anglii" Macaulaya, studyum nad wpływem i znaczeniem dzieł Hofmanowéj, wraz z przygotowaniem ich do przedruku; dwa artykuły o pierwotném wychowaniu dzieci do roku siódmego w „Gazecie Polskiéj" (roku 1875 NN. 63, 64); życiorys Edmunda Strzeleckiego w „Ateneum" z roku 1876; wreszcie rodzaj pamiętnika swoich czasów, jakkolwiek bez szczegółów autobiograficznych, pamiętnika, którego nie skończyła, a któremu dała napis „Czy to powieść" (1).

I ten ostatni okres działalności piśmienniczéj nie obszedł się bez domieszki goryczy, która się z obozu konserwatystów wysączyła. Życiorys Strzeleckiego, w którym autorka otwarcie niechęć swoję do jezuitów i gnuśnéj arystokracyi wyraziła; a zwłaszcza wydawnictwo dzieł Hofmanowéj, gdzie redaktorka niektóre, niezbędne, jéj zdaniem, objaśnienia i poprawki dodała, a oceniając znaczenie naszéj wychowawczyni, przy uznaniu wielkich jéj zasług, niektóre przestarzałe poglądy wytknęła, stało się powodem owych pocisków, na Żmichowską rzuconych. Jakkolwiek ja sam uznaję niewłaściwość pedagogiczną niektórych przypisków Żmichowskiéj do powieści historycznych Hofmanowéj; to jednakże przedstawianie téj niewłaściwości jako grzechu śmiertelnego uważam za przesadę. Wprowadzenie zaś do katalogu książek zaleconych do czytania dla panien kilku dzieł treści naukowéj z postępową barwą; wykazanie zmian, jakim kwestya wychowania kobiecego w ciągu czterdziestu lat ulegała; rozumne uwagi, ostrzegające przed szkodliwością pożerania książek: stanowią zdaniem mojém istotną Żmichowskiéj zasługę.

Życiorys Strzeleckiego zawiera wiele trafnych spostrzeżeń pod względem psychologicznym, zaznajamiając nas zblizka z fenomenalnym objawem ducha ludzkiego. „Czy to powieść" jakkolwiek fragment tylko, pod względem konstrukcyi dość luźny, odznacza zwrot do rzeczy powszednich, od których taki wstręt dawniéj miała Żmichowska. Rzeczy te jednak powszednie nie są to komunały rodzajowego malarstwa, tak obfite w naszéj powieściowéj literaturze; owszem kilka charakterów, wypaczonych surowem wychowaniem, jako to Dorota, jéj syn Jan i Ewa, taką prawdą i taką wybitnością celują, że je do najznakomitszych kreacyj artystycznych zaliczyć można, do kreacyj, które niewątpliwie literaturę wzbogacają. Dzieje

(1) Druk. w „Wieku" roku 1876 NN. 268—289 i roku 1877 NN. 1—30.

tych postaci stanowią najważniejszą i najlepiéj obrobioną część ostatniego utworu Żmichowskiéj, który się z kilku epizodów składa. Najlepiéj też podobno oznaczymy wartość jego, gdy go pamiętnikiem nazwiemy, pamiętnikiem, zostawionym nam przez autorkę dla lepszego zrozumienia ducha, jaki w czasach jéj dzieciństwa rodziny nasze ożywiał. Chciała Żmichowska w ten sam sposób przedstawić późniejsze okresy ostatniego pięćdziesięciolecia; lecz śmierć ją zaskoczyła 25 grudnia 1876 roku.

VI.

Ogólna charakterystyka umysłu i artyzmu Żmichowskiéj. — Uczuciowość stanowi ich cechę najwybitniejszą, — Rozum głęboki i subtelny; dedukcyjny jego charakter. — Wyobraźni charakter wybuchowy. — Różne stany połączenia tych trzech potęg, które najjednoliciéj działały w „Pogance.“ — Ukochanie prawdy we wszystkich kierunkach życia. — Wstręt do powszedniości zarówno w myślach, w uczuciach, jak i w stylu. — Dlaczego taki talent nie mógł się stać popularnym? — Stopień ukształcenia wśród ogółu. — Zasługa Edwarda Dembowskiego. — Niesprawiedliwość innych historyków literatury, którzy nie zadawali sobie pracy nietylko ocenienia, ale nawet prostego przejrzenia pism Gabryelli, powtarzając jedynie ogólniki niewielkiéj wartości. — Sprawiedliwość talentowi Żmichowskiéj oddawać zaczęto w ostatnich dopiero latach. — Co ma do zrobienia historya literatury?...

Poznawszy szczegółowe cechy umysłu Żmichowskiéj, przypatrzmy się na chwilę jego ogólnéj naturze i sposobowi tworzenia.

Pomimo niepospolitości swojéj, Żmichowska nigdy kobietą być nie przestała: najwybitniejszém też znamieniem jéj umysłu jest wielka uczuciowość, nieraz do namiętności posunięta. W pismach jéj nie znajdziesz ani jednéj karty, któraby była suchym zlepkiem obojętnych frazesów, nie mających jakiegoś znaczenia dla jéj serca; wszędzie natomiast sprawdza się mimochodem rzucone wyznanie, że każde słowo czuła do głębi duszy, na każdy obrazek jakby żywemi patrzyła oczyma, za wywnioskowane zdanie głowęby sobie ściąć dała ([1]). Namiętne uniesienia nadawały siłę niezwykłą, werwę niestrudzoną, żywotność ogromną każdemu jéj obrazowi, każdéj myśli, każdemu poglądowi; namiętne uniesienia przemawiały wprost do duszy czytelnika, porywały go i unosiły. Uczuciowość atoli Żmichowskiéj zwracała się przeważnie w stronę wielkich zagadnień, obchodzących albo ludzkość całą albo pojedyńcze społeczeństwa, albo też wreszcie wybrane umysły pewnego narodu. Tu uczuciowość sprzymierzyła się najściśléj z rozumem. Rozum zaś Gabryelli był zarówno obszerny, jak głęboki i subtelny; obejmował on całość

([1]) Pisma; IV, 53.

wszechświata, całość zadań ludzkich; jednak w skutek swojéj skłonności do analizy głębokiéj, nie zajmował się szczegółami, spostrzeżeniami pojedyńczemi, drobnostkami życia rodzinnego i państwowego, ale odrazu sięgał do ich zasady, do ich ogółu, a ze szczegółów te tylko pod bliższą brał uwagę, które wybitnością swoją zdawały się mieć wielki, jeżeli nie decydujący wpływ na ustrój całości. Ztąd pochodził jéj stanowczy wstręt do przedstawiania stosunków życia powszedniego w zwykłych jego, codziennych, pospolitych, nieraz płaskich objawach: ztąd uciekanie do krain wyższego duchowego polotu, w świat wielkich rojeń, w świat artystów, w świat wysoko ukształconych; ztąd też wynika właściwość jéj stylu, w którym najstaranniéj unikała zwrotów utartych, frazesów oklepanych, porównań zużytych, chociaż z drugiéj strony będąc czcicielką siły artystycznéj nie wahała się używać wyrazów i wyrażeń gwałtownych, czasami trywialnych nawet, byleby tylko nie iść w parze z zastępem pisarzy popularnych, lecz bezbarwnych.

Kierunek jéj rozumu był raczéj dedukcyjny niż indukcyjny; ale dedukcyą Gabryelli, wychodzącą z kilku najogólniejszych pojęć, rządzi ogromna zdolność analityczna. Bystrość i przenikliwość umysłu, połączona z obszerném i gruntowném ukształceniem, pozwoliły Gabryelli, która nie odbyła, jak sama się przyznaje, dostatecznych studyów psychologicznych, zajrzeć głęboko w duszę ludzką i niektóre zasadnicze jéj pierwiastki z mistrzowską subtelnością na jaw wydobyć. Są u naszéj poetki paradoksy, niekiedy zbyt namiętne sądy; ale płytkich, z wiatru pochwyconych i na wiatr rzuconych myśli nie znajdziemy wcale; a kto dokonał tak świetnéj analizy jak Gabryella w „Białéj Róży“, ten na miano wielkiego psychologa zasługuje. Ztąd wynika niepospolita werwa dyalektyczna, a więc umiejętność prowadzenia rozmowy, rozumie się głębokiéj albo dowcipnéj, czém mianowicie „Książka Pamiątek“ i pierwsza część „Białéj Róży“ celuje.

Jakkolwiek Żmichowska w ciągu życia doznała kilku przewrotów umysłowych, jednę atoli cechę zachowała niezmienną poprzez ciąg całego autorskiego zawodu. Tą cechą, zarówno pierwszy jak ostatni jéj utwór silnie znamionującą, jest namiętne ukochanie *prawdy*, nie prawdy logicznéj tylko, ale prawdy w całéj istocie człowieka, w całym jego stosunku do rodziny, społeczeństwa i Boga, prawdy któréj przeciwstawieniem jest, nie fałsz jedynie myślowy, lecz także fałsz uczucia i fałsz uczynku, udawanie, obłuda. Nieprzerwane i niestrudzone dążenie do osiągnięcia wiedzy prawdy i wcielenia jéj w życie; walka zawzięta przeciw wszelkiemu fałszowi i złemu, przeciw apatyi i obłudzie: były w umyśle Gabryelli nieoddzielnemi od wartości człowieka. To też sama nie przestawała aż do śmierci śledzić postępów nauki, przyswajać ich sobie, wzbogacać niemi skarbnicy umysłu i dzielić ich z uboższymi. Tą dążnością kierowała się Żmichowska i jako młoda entuzyastka, sądząca, że świat

przebojem zdobędzie, i jako doświadczona niewiasta, co uznawszy konieczność powolnego nabywania prawdy i jeszcze powolniejszego wcielania jéj w życie rzeczywiste, sceptycznym uśmiechem się nie zadawalnia i do ciągłego pochodu na przód całą potęgą uczucia i talentu swego zachęca, z siebie saméj wyborny dając przykład. Z tego wyznawania „prawdy“ choćby je kosztem życia przypłacić trzeba było, naturalnym wynikiem powstała obrona swobodnego badania, bez względu na jakiekolwiek powagi. Rozdziału wiary i wiedzy w pierwszych trzech fazach rozwoju swego nie pojmowała Żmichowska, a zdaje się, że i do ostatniéj chwili pozostała przy zdaniu, że jedna i druga połączyć się mogą nierozerwalnie; ale wiarę pojmowała jako duchowe udoskonalenie, nie wiele ceniąc zewnętrzne obrzędowości formuły i nie sądząc, ażeby badania naukowe potrzebowały jakiejkolwiek innéj sankcyi prócz swojéj prawdziwości. Silna poetyczna wiara Gabryelli, przechodząca w początkach poetyckiego zawodu w panteistyczne trochę rojenia (Burza, Maina i Kościéj), dopiéro w „Książce Pamiątek“ silniéj się zabarwia formułami chrześciańskiemi, a począwszy od „Listu“ aż do „Białéj Róży“ zabarwienie to coraz wydatniéj występuje, ażeby tém skuteczniéj ówczesnym reakcyjnym kierunkom przeciwdziałać. Nie chodzi jéj jednakże i w tych ostatnich utworach o dogmat, ale o czystą moralność chrześciańską. Z przejęcia się tą ideą miłości chrześciańskiéj i z wpływu pojęć, spółczesnych jéj rozwojowi, wyniknęło, że Żmichowska, pomimo swojéj arystokracyi umysłowéj, pozostała przez całe życie wierną wyznawczynią zasad demokratycznych, które czasami aż do przesady posuwała, przypisując nieszczęścia krajowe wyłącznie ambicyi i pysze magnatów. Wszakże zasady te z drugiéj strony nie były i nie mogły być sprzeczne z postępem ludzkości: nie na obniżaniu bowiem skali ideałów, ale na jéj wznoszeniu polegały. Dlatego to zasady owe nie zdołały przerobić talentu Żmichowskiéj, nie nadały mu pierwiastku popularyzacyjnego; zostały one w uczuciu i w przekonaniu, ale ani zniżyły wysokiego polotu jéj ducha, ani też wyobraźni jéj nie zaludniły postaciami o słabym mózgu i o powolnie bijącém sercu.

Wyobraźnia Gabryelli była natury wybuchowéj: buchnęła oślepiającym płomieniem, wyrzuciła massę lawy gorącéj, a potém przy pomocy subtelnéj analizy zastygłą już lawę drobnostkowo rzeźbiła. Nie było w niéj jednostajnéj siły natężenia; słabła i potężniała, stawała się rozpaloną i ciepłą tylko. Zgodnie z rozumem dedukcyjnym nie chwytała cech powierzchownych, zewnętrznych, nie umiała sobie uprzytomniać tych fizyonomij pospolitych, co-to w nich wyraża się dusza całkowita, nie mająca żadnych labiryntów, żadnych tajemnic i żadnéj głębi. Żmichowska w jednym z listów sama trafnie określiła naturę swojéj wyobraźni. „W teatrze—powiada—bez lornetki obejść się nie mogę; a że na świecie, który jest także teatrem, w ręku jéj bezprzestannie trzymać niepodobna, więc i *gra*

twarzy jest dla mnie, jakoby nie była. Muszę zblizka się przypatrzéć, żeby znaczenie fizyognomii zrozumiéć; *czasem* rozumiem tak głęboko, że widzę co pod skórą i kośćmi w piersiach, a co pod czaszką w mózgu najtajniéj się kryje. Rzadkie są jednak chwile mego jasnowidztwa... Wszyscy koło mnie poznają się na wielu drobiazgach i symptomatach pierwéj, nim ja się dowiem; lecz gdy się dowiem, albo gdy już chcę się dowiedziéć, albo gdy mi przypadek coś pod oczy podsunie; wtedy straszliwéj nieomylności dochodzę" (¹)... Takie chwile straszliwéj nieomylności najliczniéj zdarzały się przy pisaniu „Poganki", która obfituje w obrazy pełne tak doskonałéj plastyki, że tylko na płótno je przenieść. Dość tu wspomniéć wilka zabitego przez Benjamina, Cypryana nad łóżkiem brata, Aspazyą w chwili rozstania się z kochankiem. Z biegiem lat fantazya Gabryelli traciła na barwności i wyrazistości; wtedy rozum i uczucia brały górę i to nam wyjaśnia dydaktyczny charakter pism Żmichowskiéj z trzeciego literackiego okresu, tudzież mglisty koloryt ostatniego jéj utworu: „Czy to powieść?"

Zmysł słuchu natomiast miała Gabryella niezmierny czujny a wrażliwy na najmniejsze odcienie głosu; to nam tłomaczy potęgę jéj słowa jako dźwięku, silnie, gwałtownie wpadającego w ucho — i zdolność charakteryzowania osób wysokiego ukształcenia za pośrednictwem drobnych różnic stylowych. Zdaje się na pozór, że wszystkie jéj osobistości mówią jednym stylem; a jednak wsłuchawszy się weń uważnie, odkryjemy, mianowicie w „Pogance" i „Książce Pamiątek", pewną subtelną w intonacyi i szyku frazesów, stosownie do osób przemawiających, odmianę. Styl Gabryelli, jedyny w swoim rodzaju, całkiem oryginalny, zawarunkowany był oczywiście jéj usposobieniem duchowém. Rzadko kiedy posługuje się on porównaniami wziętemi ze świata zmysłowego, najczęściéj zaś używa bardzo trafnych, świeżych i silnych metafor poczerpniętych ze świata umysłowego, które w połączeniu z obrazowemi sposobami mówienia, tak obfitemi w języku naszym, nadają dykcyi Żmichowskiéj urok nadzwyczajny. Śmiałość zestawień i werwa wyrażeń pociągają za sobą umysł czytelnika, nie dając mu czasu do rozbioru. Wielka zdolność analityczna wynalazła dla swego użytku takie mnóstwo odcieni wyrazowych, z któremi igrać się zdaje, że dla umysłu nie przywykłego do sumiennego rozbioru wyrazów, nikną one lub niezrozumiałemi się stają. Do tego dodawszy skłonność do budowania długich okresów; błyskawiczną szybkość w następstwie zdań, cieniujących subtelność myśli; brak przejść dających odpoczynek umysłowi; zamiłowanie w przekładniach, w doborze przymiotników, w używaniu częstém szóstego przypadku porównawczego i w stawianiu słowa (czasownika) na końcu zdania: zrozumiemy, o ile z suchego schematu zrozumiéć można, jaka była

(¹) List przytoczony przez p. Wandę Żeleńską w „Kłosach" 1877, Nr. 604.

oryginalność stylu Gabryelli. Jego świetność, istotnie brylantową, własnem jedynie czytaniem ocenić można.

Gdy się przenikliwy rozum połączy bratnim związkiem z płomienną wyobraźnią i głębokiem uczuciem; gdy sobie do uzewnętrznienia odpowiednio silnego środka dobierze: może stworzyć arcydzieło. Te wszystkie warunki posiadała Gabryella, kiedy tworzyła „Pogankę". „Poganka" jest jéj arcydziełem, a jednym z najpiękniejszych klejnotów poezyi naszéj. Wówczas Gabryella była wielką *poetką*. Kiedy pisała „Książkę Pamiątek", wyobraźnia znacznie ostygła; a głównym czynnikiem twórczym stało się uczucie namiętne... „Książka Pamiątek" gdyby została dokończoną, byłaby piękną *powieścią*. W „Białéj Róży" skłonność do analizy wzięła górę; pod względem myślowym jest to utwór najdojrzalszy ze wszystkich trzech, ale artystycznie, mimo ślicznego początku — najsłabszy; dydaktyczność zabiła w nim artyzm kompozycyi, chociaż artyzm słowa pozostał. Poezya wierszowana nie leżała widocznie w naturze talentu Gabryelli; nie tyle brak plastycznéj obrazowości, ile rozwlekłość i słabe rymy stają jéj na przeszkodzie. Poezye Gabryelli są to poezye uczucia tęsknego i głębokiego, czasami myśli wzniosłéj; lecz wyobraźnia bardzo słaby bierze w nich udział. Za najudatniejsze pod względem formy uważam wiersze: „Łaskawa dziewczyna, Dziwne dziewczę i Circulus vitiosus"; inne są słabe. Ale kto stworzył taki potężny poemat jak „Poganka", ten o sławę rymopisa dbać nie potrzebuje.

Utwory takiego umysłu i takiego artyzmu jak Gabryelli, nie mogły zostać popularnemi. Ogół lubuje się w tych jedynie produkcyach, które wielkiego natężenia myśli nie wymagają, które nie wychodzą poza sferę stosunków codziennych, a jeżeli wychodzą, to bawią przyprzynajmniéj imaginacyą, nie wzywając do pomocy rozumu. Dla ogółu czytanie nie może być pracą, ale rozrywką tylko. Dla ogółu subtelna analiza jest rzeczą nudną; a umysł dręczony wielkiemi zagadnieniami nauki lub sztuki — waryatem, nad którym zastanawiać się nie warto. W epoce, kiedy powstały najpiękniejsze utwory Gabryelli, ogół rozczytywał się w powieściach Dumasa starego i Suego, z krajowców zaś cenił najwyżéj Kraszewskiego, po nim Chodźkę, Korzeniowskiego, Rzewuskiego, Wilkońskiego, a nawet Ad. Am. Kosińskiego, Skotnickiego, Laskowskiego i t. p. bohaterów dnia. W tym samym roku, w którym pojawiła się „Poganka", wyszły właśnie: *Pamiętniki Nieznajomego*, *Zygmuntowskie czasy*, *Spekulant*, *Listopad*, a z tłómaczeń *Monte-Christo*, *Żyd wieczny tułacz* i inne; jakżeż wymagać od ogółu, ażeby w obec tych przystępnych i łatwo zrozumiałych utworów, miał o „Pogance" pamiętać, o *Pogance*, która tak rażąco odskakiwała od wszystkiego, co spółcześnie jako pokarm duchowy czytelnikom dawano!... Nie dziwimy się też, że sława Gabryelli zawierała się naówczas prawie w obrębie Warszawy i trochę

w Poznańskiem. Tygodnik np. Petersburski, ani razu o Gabryelli nie wspomniał; do czego może nie tylko brak rozgłosu, lecz nadto jeszcze demokratyczne i postępowe przekonania poetki dla ultrakonserwatywnego pisma były powodem. I w Warszawie jednak koła tylko intelligencyi ceniły talent Żmichowskiéj. *Pielgrzym* i *Przegląd Naukowy* nazywały ją genialną autorką, ale ponieważ same bardzo szczupłą garstkę czytelników wkoło siebie skupiały, nie mogły więc uznania dla genialnéj autorki szeroko i daleko rozgłosić. Po wyjściu „Wolnych chwil" w Poznaniu, musiały się tam zapewne pojawić recenzye; wpływ ich jednak nie mógł być wielkim z powodu, że pisma poznańskie w swojéj przeważnie okolicy kursowały. W Warszawie nawet i recenzyi nie było, prócz króciutkiéj wzmianki w *Przeglądzie Naukowym* (rok 1845, II, 354). Późniejsze utwory jeszcze wśród zupełniejszéj ukazały się ciszy. Wprawdzie poczytność pism, w których Gabryella w trzecim okresie swéj działalności pomieszczała utwory swoje, była wielka, gdyż zarówno „Wieniec" książka zbiorowa ku czci Jachowicza wydana, jak i *Gazeta Warszawska* licznych miały prenumeratorów; ale sam rodzaj twórczości stał się teraz znacznie niedostępniejszym od dawnego, tak, iż autorka „Białéj Róży" i „Adeodata" nie zyskała życzliwego, że nie powiem, namiętnego przyjęcia u ogółu.

Dziwniejszém jednak od usposobienia ogółu było zachowanie się historyków literatury. Prócz Edwarda Dembowskiego, który jako spółredaktor *Przeglądu Naukowego* znając Gabryellę zblizka, pierwszy z serdecznem odczuciem szlachetnych jéj dążeń zamieścił jéj nazwisko w dziejach piśmiennictwa (r. 1845, str. 366); wszyscy późniejsi historycy literatury albo podawali tylko suche bibliograficzne wzmianki, dołączając czasami epitet „niepośledni talent" i powtarzając znany frazes o „zapłakanym aniele nad grobem najdroższych nadziei"; albo też nawet nazwiska w regestrach swoich nie pomieszczali. Kształcące się pokolenie nie mogło więc z historyi literatury powziąć ani jasnego pojęcia o wielkości talentu Gabryelli, ani szczeréj zachęty do zapoznania się z jéj utworami, za pośrednictwem własnego czytania. To też bardzo długo autorka „Poganki" miała wprawdzie gorących wielbicieli, mianowicie wśród ukształconéj młodzieży, która wszystko, co wielkie i szlachetne, ukochać umié; ale wielbiciele nie zdołali naprawić krzywdy, wyrządzonéj przez dziejopisów piśmiennictwa poetce naszéj.

Dopiéro od czasów najnowszych datuje się dążność do zaznajomienia publiczności z utworami znakomitéj autorki. Odezwało się parę głosów z serdecznem uznaniem dla jéj talentu, a rozbiorem jéj utworów starano się pobudzić do ich czytania.

Teraz, gdy po śmierci Żmichowskiéj, tyle sympatycznych o niéj ukazało się wzmianek; gdy już dłuższe o jéj pismach drukują się artykuły; gdy publiczność zainteresowała się nieco znaną sobie z kilku zaledwie wierszy poetką: wolno dla dzieł jéj lepszą rokować

przyszłość. Popularnemi nie staną się one może nigdy, tak jak nie są popularnemi poemata Krasińskiego i niektóre Słowackiego: ale wiadomość przynajmniej o nich rozpowszechni się szeroko; myśli i uczucia poetki przenikną w treść duchową ogółu; a historycy literatury, pozbywszy się nałogu przepisywania komunałów, zamieszczą Żmichowską w rzędzie wielkich talentów poetycznych, których poznanie winno stać się obowiązkowem dla każdego średnio ukształconego, — w rzędzie tych talentów, których życie ziemskie uwiecznia się ziemską nieśmiertelnością.

O WŁAŚCIWOŚCI

SĄDÓW POKOJU I SĄDÓW GMINNYCH

w sporach wekslowych, 250 rs. nie dochodzących.

Obowiązujący w Królestwie Polskiém do dnia 1 (13) Lipca 1876 roku, Kodeks Postępowania Sądowego wyraźnie rozróżniał niewłaściwość Sądu ze względu na osobę *(incompetentia ratione personae)* od niewłaściwości Sądu ze względu na przedmiot sporu *(incompetentia ratione materiae).* W pierwszym razie, samo przyjęcie rozprawy, choć przed niewłaściwym Sądem, bez wyraźnego przedtém wystąpienia z ekscepcyą, (w duchu art. 169 K. P. S.) pokrywało niewłaściwość, a tém samém tamowało stronie możność wystąpienia późniéj z tym zarzutem. W drugim razie (z mocy art. 170 K. P. S.) Sąd, nawet z urzędu, mógł i powinien był, w każdém położeniu sprawy, niewłaściwość swą wyrzec, a w następstwie tego, uchylić się od sądzenia sporu, który w zakres jego attrybucyi wcale nie wchodził. Rozróżnienie to polegało przedewszystkiém na téj zasadzie, że Sąd każdy takiego tylko rodzaju spory władnym jest rozpoznawać, jakie się mieszczą w granicach przez władzę prawodawczą wskazanych. Ścisłe przestrzeganie rozporządzeń prawa w téj mierze dotyczy porządku publicznego, któremu, stosownie do brzmienia art. 6 Kodeksu Cywilnego Polskiego, przez umowy prywatne ubliżać wcale niewolno. Przepisów przecież prawa, korzyść tylko lub dogodność pewnych osób mających na względzie, każdy zrzec się może.

Nowo zaprowadzona Ustawa Postępowania Cywilnego, lubo niedość dobitnie, rozróżnia wszakże obadwa rodzaje niewłaściwości Sądu i także tylko drugi jéj rodzaj ma na względzie, ilekroć dozwala

Sądowi z urzędu wyrzec, że spór do niego nie należy. (Zob. artykuły 53 i 79 Ust. Post. Cyw.)

W razie istnienia pierwszego rodzaju niewłaściwości, wolno jest interesowanym stronom, zarzut w téj mierze postawić (art. 69 i 571 tegoż prawa).

Pod powagą dawniéj obowiązującego Kodeksu Postępowania Sądowego, niejednokrotnie przychodziło pod rozbiór Sądów to pytanie prawne: „o ile Trybunały Cywilne władne są rozpoznawać spory, należące do Trybunałów Handlowych?" Pytanie to znalazło w jurysprudencyi IX Departamentu Rządzącego Senatu (w 1862 roku) rozwiązanie twierdzące; mianowicie uznaném zostało: że Trybunały Cywilne są właściwemi, w zasadzie, do wszelkich sporów cywilnych, zaś Trybunały Handlowe, również rodzaj cywilnych sądów stanowiące, ustanowione zostały jako sądy wyjątkowe, dla sporów handlowéj wyłącznie natury, na korzyść, a raczéj dla dogodności stanu handlowego, i w ogóle dla załatwiania takich stosunków, w których szybkość działania i prostość form jest i możliwą i pożądaną. Uznano daléj, że korzyści téj, choć z prawa płynącéj, ale dla samychże stron głównie ustanowionéj, wolno zrzec się tymże stronom, a zrzeczenie się takie, może być albo wyraźne albo milczące; to ostatnie przez pominięcie zarzutu, przed wszelką rozprawą sądową. Ilekroć więc strona, pociągnięta mniéj właściwie, w sporze handlowym, przed Trybunał Cywilny, nie wniosła ekscepcyi na początku sprawy, *(in limine litis)* to jest przed wszelką obroną w sprawie, ekscepcya jéj poczytywała się za pokrytą. W następstwie tego, Trybunał Cywilny nie miał już zasady przyjmować, a nawet rozbierać, o ile usprawiedliwioną jest ekscepcya niewłaściwości Sądu, skoro ta później wniesioną została, a tém bardziéj sam, z urzędu, niewłaściwości swéj nie był władnym uznawać.

Wobec zasady: przyznania Sądom Handlowym przymiotu wyjątkowych Sądów Cywilnych, jurysprudencya dawniejsza rozróżniała spory cywilne od sporów handlowych. Do rzędu tych ostatnich nie zaliczano wcale spraw, chociaż przeciwko handlującym wytaczanych, jeżeli spór był czysto cywilnéj natury, idąc w téj mierze za duchem art. 638 Kodeksu Handlowego, który nawet wyraźnie wyłącza od jurysdykcyi handlowéj spory przeciwko kupcom za produkta, na własną ich potrzebę nabyte. Do rzędu sporów, bezwarunkowo podlegających jurysdykcyi handlowéj, Kodeks Handlowy nie zalicza także sporów opartych na wekslach suchych, a tém bardziéj na papierach, niektóre tylko zewnętrzne cechy takichże weksli noszących, lecz w duchu prawa (w myśl art. 112 K. H.) za karty ręczne poczytywanych; bo tylko do weksli ciągnionych (trasowanych) i to wszelkie wymagane przymioty prawne mających, prawo bez względu na stan osób ciągnących, przyjmujących lub indosujących weksle, znamię czynności handlowéj przywiązuje. Co większa, prawo wyraźnie w art. 636 Kodeksu Handlowego, zastrzega:

„że jeżeli na wekslach suchych same tylko podpisy osób niehandlujących znajdować się będą, a przyczyna takich weksli nie będzie polegała na czynności handlowéj, Trybunał Handlowy odeśle spór przed właściwy Trybunał Cywilny, jeżeli o to wniesioném będzie żądanie". W rozwinięciu téj właśnie zasady Senat Rządzący zawsze jednostajnie zapatrywał się na znaczenie artykułu 631 Kodeksu Handlowego, gdyż nie poczytywał nigdy za bezwarunkowy przepisu rzeczonego artykułu, poddającego spory między handlującemi Trybunałom Handlowym, ale uznawał, że prawidło to ogólne, na domniemaniu oparte, dopuszcza wyjątków, mianowicie: domniemanie to ustąpić powinno przed dowodami. Ilekroć zatém, istotném źródłem zobowiązania między handlującymi powstałego był stosunek czysto cywilny, naprzykład: kupno dóbr nieruchomych, zaręczenie, lub inne temu podobne zobowiązanie, Rządzący Senat, z urzędu nawet, sprawę przed Sądy Cywilne odsełał. Ustalił przytém Rządzący Senat, zasadę (zob. jurysprudencyą z 1864 roku), że forma wekslu suchego, w którą obleczoném zostało zobowiązanie z cywilnego stosunku wynikłe, nie jest wcale stanowczą w przedmiocie właściwości sądu, bo tylko formalny weksel ciągniony, w duchu art. 632 Kodeksu Handlowego, w związku z art. 631 tegoż prawa, bezwarunkowo ustala właściwość Trybunału Handlowego.

Wskazane wyżéj zasady Kodeksu Handlowego nie zostały żadnym przepisem nowego prawa uchylone, mają zatém dotychczas zupełną moc obowiązującą i przez wszystkie Sądy szanowanemi być powinny.

Nowe ustawy sądowe nie tylko nie rozszerzyły zakresu władzy sądownictwa handlowego, które zawsze za wyjątkowe poczytywaném być powinno, ale władzę tę pośrednio ograniczyły, mianowicie w sporach drobnych, wartość których 250 rubli nie dochodzi, gdyż wszelkie spory, do wysokości téj cyfry, na zobowiązaniach *osobistych* polegające, z mocy wyraźnego przepisu art. 29 nowéj Ustawy Postępowania Cywilnego, rozpoznawane być mają przez Sędziów Pokoju. Sądy Gminne mają pod tym względem takąż samę jak Sędziowie Pokoju attrybucyą. Wyjątki od téj powszechnéj, w art. 29 Ustawy Postępow. Cywilnego wskazanéj zasady, wyłuszczone są szczegółowo w art. 31 tegoż prawa, lecz nie napotykamy tam żadnéj wzmianki o sporach handlowych, które prawie wszystkie do rzędu osobistych należą; owszem art. 35 tegoż prawa, wskazujący: przed którego mianowicie Sędziego Pokoju pociągane być mają spółki firmowe (względem których trudno przypuścić, aby miały niehandlowe spory) témbardziéj utwierdza nas w przekonaniu, że zobowiązania handlowe nie zostały wcale usunięte z pod opieki prawa, zmierzającego do szybkiéj a niekosztownéj sprawiedliwości w sporach o mniejsze kwoty, jakie się najczęściéj między niezamożnymi mieszkańcami trafiają. Że taka była istotna myśl prawa, przekonywa nas o tém jeszcze bardziéj art. 202 Ustawy Postępowania Cywilnego, podług którego

pod jurysdykcyą Trybunałów, czyli Sądów Okręgowych, podchodzą takie tylko sprawy, jakie do attrybucyi Sędziów Pokoju nie należą. O sądownictwie handlowém natrafiamy jedyną wzmiankę w art. 28 rzeczonego prawa, z osnowy którego, w związku z artykułem 236 wynika, że jedyny w Królestwie, Trybunał Handlowy Warszawski, odpowiada wydziałowi Cywilnemu Trybunału Cywilnego czyli Sądu Okręgowego, lecz rozpoznaje same tylko spory handlowe, zaś rozpoznawanie podobnychże sporów po innych guberniach do Sądów Okręgowych należy. W przepisie tym prawa, (w art. 28) powołane są zarazem art. 631—638 Kodeksu Handlowego, jako ustalać mające właściwość Trybunału Handlowego, lecz przepis ten całkiem milczy względem wysokości przedmiotu spornego. Wobec takiego milczenia prawa, ogólny przepis art. 29 Ustawy Postępowania Cywilnego należy tu poczytywać za obowiązujący, rozumie się z temi jedynie wyjątkami, jakie art. 31 tegoż prawa wymienił. Wszelkie zatém drobne, to jest 250 rubli nieprzechodzące spory, chociażby nawet natury handlowéj, jeżeli tylko do rzędu *osobistych* sporów należą, przez Sędziów Pokoju, albo w Sądach Gminnych rozpoznawane być mogą i powinny. Tak nawet dzieje się w Cesarstwie, gdzie podług artykułu 1303 Ustawy Handlowéj nie podlegają sądownictwu handlowemu spory 150 rubli nie dochodzące, chociażby były handlowéj natury.

Choćby nawet wypadło nam poczytywać Warszawski Trybunał Handlowy, oraz Sądy Okręgowe, za władze sądownicze, wyjątkowo właściwe dla wszelkich spraw handlowych, bez względu na wysokość przedmiotu spornego, to w każdym razie, wobec wskazanéj wyżéj litery prawa handlowego oraz jego ducha, dziwném się wydawać musi, systematyczne, że tak powiem, usuwanie się niektórych Sędziów Pokoju, zwłaszcza w mieście Warszawie urzędujących, od rozpoznawania wszelkich bez różnicy spraw, opartych na wekslach lub pismach, zewnętrzny pozór weksli mających, posunięte nawet do ogłoszenia na drzwiach izby posiedzeń: *że skargi oparte na wekslach nie będą wcale przyjmowane.*

Ogłoszenie podobne nie tylko, że jest przeciwne duchowi art. 5 Kodeksu Cywilnego Polskiego, który zabrania Sędziom wyrokować w sposobie ogólnych i urządzających postanowień, ale jeszcze niezgadza się z wyraźném rozporządzeniem art. 53 Ustawy Postępowania Cywilnego, który na ten przypadek, gdy Sędzia Pokoju, przed wprowadzeniem saméj sprawy, niewłaściwość swą uznaje, zobowiązuje go do wydania oddzielnéj rezolucyi piśmiennéj, w każdym pojedynczym sporze, nawet w tym razie, gdyby żądanie ze strony powoda sprawy wniesioném zostało przed Sędziego ustnie.

Jak dalece postępowanie takie, prawu przeciwne, wymiar sprawiedliwości utrudnia, łatwo wykazać. I tak: posiadacz pisma, przedstawiającego się z pozoru jako weksel suchy, w nadziei rychłego wymiaru sprawiedliwości bez kosztów, zanosi skargę przed właściwego Sędziego Pokoju. Po zwróceniu sobie skargi bez rozpoznania takowéj,

i bez wszelkiéj rezolucyi piśmiennéj, któraby odsełała spór przed Trybunał Handlowy, posiadacz wekslu, któremu dłużnik odmówił zapłaty, nie mogąc skarżyć się do Zjazdu Sędziów Pokoju na nieistniejącą decyzyą Sędziego, cóż ma uczynić? Musi on albo poprzestać na tém, co zechce dać mu nierzetelny dłużnik, albo udać się przed Trybunał Handlowy. Jest do przewidzenia, że Trybunał Handlowy, nie samę tylko zewnętrzną postać pisma mając na względzie, lecz bliżéj w istotę rzeczy wnikając, nie ograniczy się na rozpoznaniu tego jedynie szczegółu, czy owo pismo na blankiecie wekslowym się mieści, i czy jest nazwane wekslem.

Podług wyżéj przedstawionych zasad prawa, Trybunał Handlowy nie wszystkim pismom, nazwę weksli noszącym, lub niektóre pozorne przymioty weksli mającym, ten przymiot przyznać może. Niewątpliwie zatém uzna się niewłaściwym do sądzenia sporu, w razie uczynienia ekscepcyi przez stronę pociągniętą przed niego, ilekroć tak nazwany weksel okaże się tylko kartą ręczną, od osoby niehandlującéj pochodzącą, albo wreszcie, gdy niehandlowa przyczyna zobowiązania, przyznaną lub wykrytą zostanie. Strona zatém, która, idąc za wskazaniem Sędziego Pokoju lub Sądu Gminnego, udała się niewłaściwie przed Trybunał Handlowy, traci najpierw na czasie a potém na kosztach, które bezpowrotnie ponieść musi. Niedość na tém: nawet prawomocny wyrok jurysdykcyi handlowej, odsełający spór z wekslu na drogę cywilną, może nie być, w obliczu Sędziego albo Sądu Gminnego, dostateczną powagą, aby nareszcie wrota sprawiedliwości, błagającéj o nią stronie, otworzone zostały. Sędzia Pokoju lub Sąd Gminny, który już raz uznał przedstawione sobie pismo za weksel, i dla tego odmówił przyjęcia skargi, na jego podstawie opartéj, może nie uwzględnić nowego położenia rzeczy, i nie zgadzając się na pogląd Trybunału Handlowego, odmawiającego pokładanemu pismu przymiotu wekslu, może znów, po raz drugi, skargi pod swój rozbiór nie przyjąć. Wynika ztąd niebezpieczeństwo takiego położenia, że posiadacz pisma nazwanego wekslem, na drobną kwotę brzmiącego, nie będzie miał żadnego Sądu, w którymby mógł skutecznie zasądzenie swéj należności pozyskać, a przynajmniéj wiele czasu i pieniędzy bezpowrotnie stracić musi, zanim po przeprowadzeniu jurysdykcyjnego sporu, dowie się nareszcie, gdzie należy z powództwem wystąpić. To fałszywe położenie posiadaczy weksli spowodowało, że wielu z nich, dla uniknienia wykazanych powyżéj ważnych niedogodności, starało się u swych dłużników o przemianę weksli na proste rewersa, a to dla zapewnienia sobie jurysdykcyi Sędziego Pokoju, na ten przypadek, gdyby dług nie został zaspokojony w umówionym terminie.

Przeciwko bezwarunkowemu odrzucaniu, a raczéj nieprzyjmowaniu przez Sędziów Pokoju i Sądy Gminne, skarg, opartych na wekslach, choćby nawet wszystkie wymagane prawem przymioty handlowych weksli mających, walczy jeszcze jeden, wyłącznie dla Sędziów

Pokoju i Sądów Gminnych ustanowiony przepis, mianowicie art. 30 Ustawy Postępowania Cywilnego. Podług tego przepisu prawa, wszelkie spory, nawet nie należące do attrybucyi Sędziego Pokoju lub Sądu Gminnego, mogą też Sądy rozpoznawać i to nawet mocą ostatniéj instancyi, jeżeli strony zgodzą się na to dobrowolnie. Dla czegóż uprzedzać bieg wypadków i odmawiać przyjęcia podania jednéj strony, nie mając żadnéj pewności, że druga strona, wezwaną będąc do Sądu, nie będzie wolała poddać się jego jurysdykcyi i uniknąć tym sposobem rygorów handlowych?

Nawet i w tym razie, gdy strona pozwana zażąda wyraźnie odesłania sporu przed Trybunał Handlowy, a Sędzia Pokoju lub Sąd Gminny żądanie to jéj, po bliższém wniknięciu w naturę stosunku, za uzasadnione uzna, — wyrok przyjmujący ekscepcyą niewłaściwości Sądu będzie miał przynajmniéj to błogie następstwo, że jeżeli posiadacz wekslu wystąpi późniéj na jego podstawie przed Trybunał Handlowy, to nie będzie już narażony w tymże Trybunale na odpieranie zarzutu niewłaściwości, a przynajmniéj, w razie wystąpienia z podobną ekscepcyą, łatwo ją będzie mógł usunąć, gdyż oświadczenia strony przed Sędzią Pokoju lub Sądem Gminnym złożone, które tamże przyjęcie ekscepcyi spowodowały, dostatecznemi się zwykle okażą do poczytania Trybunału Handlowego za sąd upoważniony do rozpoznania sporu.

Tak więc Sądy Gminne i Sędziowie Pokoju, którzy, opierając się na saméj tylko formie dokumentów, odmawiają przyjmowania skarg pod swoje rozpoznanie, dając za powód to, że sprawa opiera się na wekslu, postępują niezgodnie z duchem i literą prawa, a więc nietrafnie i z wielkim uszczerbkiem sprawiedliwości.

Gdyby przy zasadzie bezwarunkowego niedopuszczania przed siebie wszelkich spraw z weksli wytrwać mieli, cały drobny świat handlowy byłby w swych interesach zagrożonym.

Od władzy przecież zwierzchniéj, nad sądami temi przełożonéj, oczekiwaćby wypadało odwrócenia szkodliwych następstw jurysprudencyi tak błędnéj, co, jak mniemam, nawet bez współudziału władzy prawodawczéj, przez proste tylko wyjaśnienie istotnego znaczenia obowiązującego prawa, dałoby się osiągnąć.

Hipolit Chwalibóg.

WIADOMOŚCI Z NAUK PRZYRODNICZYCH I STOSOWANYCH

PRZEZ

Prof. **Karola Jurkiewicza.**

Przystępując do przedstawienia czytelnikom naszym treściwego sprawozdania z postępu umiejętności przyrodniczych w ostatnich czasach, stajemy w obec dosyć trudnego zadania. Niezmierny, wszechstronny rozwój, do jakiego one doszły, tyle najrozmaitszych przybrał kierunków, tyle w każdéj oddzielnéj nauce stworzył gałęzi, taki ogrom naukowego wytwarza materyału, że sprawozdanie szczegółowe z jednéj pojedyńczéj jakiéjkolwiek umiejętności w poważną książkę urośćby mogło. Fakta jednakże, nieustannie przez tysiące zdolnych i gorliwych pracowników zdobywane, mają po większéj części obecnie bardzo specyalny charakter, i ztąd też zwykle naukowe przedewszystkiem znaczenie, dostępne przeważnie dla specyalistów. Wszystkie one dla rozwoju każdéj po szczególe umiejętności są wielkiéj wagi, niby pojedyncze cegiełki, z których kształtny i potężny gmach się jéj buduje, ale pojedyńczo brane, rzadko tylko ogół zajmować mogą. Sprawozdania więc naukowe dla szerokiego koła czytelników nie-specyalistów, winny, według nas, obejmować jedynie fakta szerszego, ogólniejszego znaczenia pod względem teoretycznym, czy stosowanym. Z drugiéj znowu strony trudno jest oznaczyć dla pierwszego sprawozdania okres, jaki ono ma objąć, wiele bowiem badań, świeżo dokonanych lub obecnie jeszcze trwających, posiada dawniejszy punkt wyjścia, o którym wiedzieć potrzeba, chcąc zrozumieć owych badań znaczenie czy wyniki.

Kreśląc więc niniejszą pierwszą kronikę, postanowiliśmy podać w niéj główniejsze nowości z całéj dziedziny przyrodoznawstwa, mogące zająć jak największą liczbę czytelników, mających o tem przyrodoznawstwie pojęcie, jakie każdemu wykształconemu człowiekowi nie

obcem być winno. Nowości te pojawiły się głównie w drugiéj połowie ubiegłego roku, jakkolwiek niektóre są dalszym ciągiem badań dawniejszych. W przedstawieniu ich staraliśmy się być, o ile można, zrozumiałymi, chodziło nam bowiem głównie o ogół, anie o specyalistów, którzy w wyłącznie ścisłéj nauce poświęconych dziennikach znaleźć mogą poważne naukowe dane o rezultatach z ostatnich badań, w każdéj oddzielnéj gałęzi wiedzy przyrodniczéj dokonanych. Fakta należące mniéj więcéj do pewnéj oddzielnéj umiejętności staraliśmy się zestawić obok siebie.

Nowa przypuszczalna planeta. Dzisiejsi astronomowie z żywém nader zajęciem śledzą badania słynnego dyrektora paryzkiéj dostrzegalni astronomicznéj, p. *Leverrier*, mające na celu wykrycie między Merkurym a Słońcem przypuszczalnéj nowéj planety. Ciągłe wynajdywanie w ostatnich dziesiątkach lat nowych teleskopowych planet pomiędzy Marsem i Jowiszem, których obecnie sto siedmdziesiąt naliczono, nie zwraca już na siebie baczniejszéj uwagi ogółu, tak pospolitą i zwyczajną stało się rzeczą. Ale gdyby się p. Leverrier udało odkrycie, przy pomocy jedynie rachunku, nowego ciała najbliższego Słońca, podobnie jak tego dokonał w 1846 roku z Neptunem, najbardziéj z całego systematu planetarnego od Słońca oddalonym, byłoby to jednym z najświetniejszych tryumfów astronomii współczesnéj. Dla czegoby zaś owa przypuszczalna planeta istniéć miała; na jakiéj podstawie uczony astronom paryzki przypuszczenie swoje opiéra: o tém w krótkości wspomniéć tu wypada.

Zasadę odwiecznego a prawidłowego ruchu ciał niebieskich w ogólności, a układu planetarnego słonecznego jako cząstki wszechświata w szczególności, wyjaśniła nieśmiertelna nauka Newtona o sile ciążenia powszechnego, dowodząca, że wszystkie ciała świat stanowiące przyciągają się wzajemnie z siłą stosunkową do swéj massy a odwrotną do kwadratów z dzielącéj je odległości. Teorya ta w stanowczy sposób stwierdzoną została przez najściślejsze dotychczasowe spostrzeżenia, a cała mechanika niebieska na niéj spoczywa. Na podstawie zasadniczego tego prawa obliczono teoretycznie drogi wszystkich planet z największą dokładnością, a codzienna obserwacya stwierdza obliczeń tych rzetelność. Dla każdéj planety istnieją ułożone tablice jéj biegu; przy pomocy ich astronom badacz w każdéj chwili może najdokładniéj wskazać punkt w przestworze, w którym dana planeta się znajduje. Jednakże zdarzają się i pewne wyjątki. Niekiedy uczeni spostrzegali, że biegi niektórych ciał niebieskich, śledzone bezpośrednio narzędziami, nie zgadzają się wcale z teoretyczném obliczeniem, zapisaném w tablicach astronomicznych, ale ulegają pewnym zboczeniom, zwanym inaczéj przeszkodami ruchu (perturbacyami). Odstępstwa te rzeczywistości od teoryi, podające niejako w wątpliwość

ogolne prawo Newtona, niepomiernie kłopotały astronomów. Różnice pomiędzy tablicami biegu Urana a wypadkami obserwacyi nasunęły najpierw Besselowi, a następnie Leverrier'owi myśl śmiałą, że pochodzić one mogą od istnienia jakiegoś nieznanego ciała w przestrzeni, które wpływem swoim odchyla właśnie Urana z obliczonej dlań drogi. Wierząc w nieomylność zasadniczego prawa mechaniki, Leverrier z przeszkód ruchu Urana postanowił na drodze rachunkowej dojść wielkości owego przypuszczalnego ich sprawcy, obliczyć bieg jego i wskazać miejsce znajdowania się w danej chwili. Kiedy po długich i nader trudnych obliczeniach wypowiedział, że owo niedostrzeżone dotąd ciało niebieskie jest ośmdziesiąt sześć razy większe od ziemi, sceptycy ówcześni wzruszali ramionami z ironicznym uśmiechem niedowierzania i zapytaniem: jak to być może, aby planeta téj wielkości mogła się dotąd ukrywać przed bacznem okiem astronomów? Napróżno zwracano ich uwagę, że ciało to, jako o sześćset milionów mil od słońca odległe, słabo tylko przez jego promienie oświetlonem, a zatem trudnem do odszukania być musi; wcale to nie przekonywało wątpiących. A jednakże astronom Galle w Berlinie zaledwie otrzymał wskazówki Leverrier'a, natychmiast odnalazł nieznanego przedtem Neptuna w ściśle przez rachunek oznaczonem miejscu.

Po świetnem tem pierwszem powodzeniu, p. Leverrier zajął się następnie perturbacyami Ziemi i sprawdzeniem teoryi Słońca, a następnie Merkurego i Wenery. Nie wdając się w bliższy rozbiór tych kwestyj, jako zbyt specyalnych, powiemy tu tylko, że prace Leverrier'a nad Merkurym, jeszcze w 1859 roku dokonane, doprowadziły go do wniosku, że przeszkody w ruchu Merkurego muszą zależeć od pewnej nieznanej planety, istniejącej pomiędzy nim a Słońcem, której massa tem musi być większą, im planeta bliżej Słońca leży.

Jeżeli planeta ta rzeczywiście istnieje, to w biegu swoim naokoło słońca powinna w pewnych epokach być widzialną z ziemi, jako czarna okrągła plama, przesuwająca się po tarczy słonecznej, podobnie jak Wenus i Merkury, leżące również pomiędzy Ziemią a Słońcem, a obserwowane oddawna na owej tarczy, podczas swojego przez nią przechodu. Na podstawie tego właśnie zjawiska „przejścia przez tarczę słoneczną" p. Leverrier usiłuje odkryć nowe to ciało niebieskie.

Otóż wyśledzenie owej *pozornej* plamy na słońcu, zależnej od przejścia przypuszczalnej planety między ziemią a słońcem, nie jest łatwem zadaniem, bo, jak każdemu wiadomo, na tarczy słonecznej ciągle ukazują się plamy, stanowiące właściwość samejże fotosfery, czyli świetlanej powłoki słońca. Różnice, jakiemi odznaczać się mają plamy pozorne, zależne od przechodzenia planety przez tarczę słoneczną, od plam tarczy téj właściwych, a przedewszystkiem: małe ich wymiary, okrągłość, jednostajna czarność pierwszych, ruch im właściwy a szybki na tarczy słonecznej,—nie są jeszcze dostatecznemi,

według zdania p. Janssena, danemi do należytego odróżnienia jednych od drugich. Bo często dają się widzieć istotne plamy słoneczne, które wielkością, zupełną okrągłością, jednostajną czarnością bez wszelkiego przycienia, są zupełnie podobne do plam pozornych, jakie dają Wenus lub Merkury podczas przejścia swego. Obserwacye ruchu plam na tarczy słonecznéj, zwykłemi lunetami dokonywane, często bardzo do błędnych doprowadzać mogą wniosków, bo jedynie lunety, postępujące nieprzerwanie za dziennym biegiem ciał niebieskich przy pomocy oddzielnego przyrządu zegarowego, oceniać ściśle mogą ich ruch rzeczywisty.

Z tém wszystkiém astronomowie usilnie wciąż się starają o usunięcie wszelkich możliwych wątpliwości i osiągnięcie pożądanych wypadków. Dla odróżnienia dokładnego plamy słonecznéj rzeczywistéj od plamy wywołanéj przechodzeniem jakiéjś planety przez tarczę słoneczną, mają tę wskazówkę, że plama rzeczywista, obserwowana ściśle, będąc jedynie zmianą fotosfery, przedstawia zawsze pewne odcienie w swéj barwie i natężeniu. Przeciwnie planeta, stając między słońcem a ziemią, zakrywa po prostu pewną część téj fotosfery, zaciemnia ją całkowicie lub nagle odsłania, nie zmieniając bynajmniéj. Przy ocenianiu znowu i pomiarach przebiegu plamy po tarczy słonecznéj, wielce uciążliwych i niebezpiecznych dla oka z powodu rażącego światła słonecznego, starają się dopomagać sobie fotografią, któréj użycie w badaniach tego rodzaju oddawna już przez p. Faye jest zalecaném, a obecnie przy pomocy tak zwanego rewolweru fotograficznego Janssena, wyborne dającego rezultaty, pożądane zapewnia skutki.

Mając już pewność, że dana plama pochodzi istotnie od planety, przesuwającéj się przez tarczę słoneczną, potrzeba tylko mieć ścisłe obserwacye kilku jéj przejść, ażeby obliczyć mniéj więcéj dokładnie jéj drogę i wynaleźć wzór matematyczny, któryby odpowiadał nie tylko wszystkim jéj obserwowanym dotąd przejściom, ale nadto podawał je w przyszłości, a tym sposobem umożliwiał odnalezienie jéj najłatwiejsze. Takiém jest właśnie zadanie obecne p. Leverrier'a ze względu na nową, przypuszczalną planetę. Znaczenie i wartość téj metody wykazuje on w następujący sposób. Przypuśćmy na chwilę, powiada, że nie znamy Merkurego, ale z niewątpliwych i dokładnych obserwacyj wiadomo nam, że w czterech pewnych epokach, mianowicie: 5 Listopada 1789, 9 Listopada 1802, 8 Maja 1832 i 8 Maja 1845 r. widziano okrągłe i ciemne ciało, przesuwające się ruchem własnym po tarczy słonecznéj. Chodzi o to, żeby z tych czterech danych obliczyć następne przejścia Merkurego. Otóż rachunki p. Leverrier wykazywały, że jeżeli owe cztery obserwacye rzeczywiście odpowiadają przejściu jednéj i téjże saméj planety, to powinna ona była znowu przejść przez tarczę słoneczną 9 Listopada 1848 roku. Istotnie, przejście to w oznaczonym dniu nastąpiło.

Dla obliczenia więc, a następnie wynalezienia nowéj przypuszczalnéj planety, astronom ten zajął się przedewszystkiém krytyczném zbadaniem dokonanych od 1761 roku obserwacyj plam na słońcu, mogących być wynikiem przechodzenia podobnego ciała. Z dwudziestu czterech wziętych pod uwagę dawniejszych obserwacyj, pięć tylko według niego można przyjąć za podstawę obrachowań. Z rachunku wynika, że obrót nowéj planety około osi wynosi mniéj więcéj od 29 do 33 dni, a odległość jéj od słońca jest pięć razy mniejszą od odległości ziemi. Pan Leverrier wyznaczył nadto cztery możliwe jéj orbity czyli drogi wokoło słońca, przyjmując za punkt wyjścia dla oznaczenia każdéj, cztery oddzielne obserwacye; dla każdéj zaś drogi obliczył efemerydy, czyli tablice astronomiczne. Wypadki tych obliczeń zgadzają się z pięciu obserwacyami, obranemi za podstawę rachunku, a nawet p. Hind, sławny astronom angielski, przekonał się, że są one również zgodne z szóstą obserwacyą, w 1819 roku w Augsburgu dokonaną, któréj p. Leverrier nie wprowadził wcale do swoich wzorów, nie uważając jéj za dosyć pewną. Najbliższe przejście przypuszczalnéj planety przez tarczę słońca może być według rachunku p. Leverrier'a obserwowane dopiéro w październiku 1882 r.

Wypadnie więc cierpliwie czekać jeszcze pięć lat na sprawdzenie hypotezy głębokiego matematyka i pilnować wtedy wejścia nowéj planety na tarczę słońca. Inaczéj wypadłoby jéj szukać w przestworach niebios, co przedstawia bardzo małe prawdopodobieństwo odnalezienia jéj tam. Jeżeli rzeczywiście przypuszczenie p. Leverrier'a się sprawdzi, będzie to nowym dowodem szczytności teoryj naukowych, dających umysłowi ludzkiemu możność nie tylko wyjaśnienia spełnionych czy obecnych zjawisk, ale nadto umożebniających nowe i niespodziewane odkrycia w niezmierzonym światów przestworze.

Teorya słońca. Pan *Gazan* przedstawił w październiku Instytutowi francuzkiemu swoję teoryą plam słonecznych i obecnego stanu słońca w ogólności. Według niego, słońce nie jest, jak przypuszczają, ciałem gazowém, ale olbrzymią kulą, składającą się z jądra pokrytego ciekłą warstwą, roztopioną i błyszczącą, a otoczoną w około atmosferą par i gazów. Dolne warstwy téj atmosfery, w skutek stopniowego stygnięcia, zamieniają się w ciecz i to ma stanowić plamy.

Batometr. Angielski fizyk, p. *William Siemens*, na posiedzeniu Towarzystwa Naukowego Królewskiego w Londynie, przedstawił oryginalny i ciekawy swój przyrząd fizyczny, zwany *batometrem*, a wskazujący na okręcie w każdéj chwili głębokość morza pod dnem statku. Narzędzie podobne wielkiego jest dla żeglarzy znaczenia, bo bez zarzucania ołowianki, co jest rzeczą zawsze uciążliwą, a często nawet spóźnioną, będą mogli jednym nań rzutem oka sprawdzić

czy im podwodna nie grozi skała lub mielizna. Głębokość wody odczytywać się będzie bezpośrednio, jak temperatura na termometrze.

Teorya batometru opiera się na prawie ciężkości, na którém cała równowaga ciał spoczywa. Ziemia przyciąga każde ciało zewnątrz niéj się znajdujące z siłą wprost stosunkową do swéj massy a odwrotną do kwadratów z odległości. W miarę więc oddalania się pewnego ciała od powierzchni ziemi, waga jego maleje i człowiek na przykład, wzniesiony wysoko balonem, waży daleko mniéj, niż znajdujący się na powierzchni ziemi. Gdyby pomiędzy okrętem, znajdującym się na głębokiéj wodzie, a dnem morskiém, znacznie od niego odległém, istniała próżnia, to ciężar okrętu byłby znacznie mniejszym od wagi jego na ziemi. Ale pomiędzy okrętem a dnem morskiém istnieje rzeczywiście pewnéj grubości warstwa wody, materyi rzadszéj wprawdzie od ziemi, ale któréj massa jednakże statek przyciąga, choć słabiéj niż ziemia. Im więc warstwa wody będzie grubsza, tém ciężar statku na niéj spoczywającego będzie mniejszy w porównaniu z tą jego wagą, jakąby miał, gdyby bezpośrednio spoczywał na pokładach ziemi. Jednėm słowem, różnice w wadze statku będą zależały od większéj lub mniejszéj głębokości wody, pomiędzy nim a dnem morskiém zawartéj.

Przez rachunek i doświadczenie p. Siemens obliczył, że ciężar ciała na powierzchni morza maleje w stosunku głębokości do średnicy ziemi, czyli zmniejsza się o $\frac{h}{2r}$, przyjmując za h głębokość morza, a za r promień ziemi, w jakichkolwiek jednostkach miary wyrażone.

Jak jednak praktycznie ocenić te zmiany ciężaru? Wagą zwyczajną niepodobna, bo gwichty czyli ciężarki temuż samemu zmniejszeniu wagi ulegać będą. Cały pomysł nowego przyrządu polega na nastepującéj jego budowie. Rurka stalowa nakształt barometrycznéj, z obu stron otwarta, kończy się lejkowatemi rozszerzeniami. Dolny jéj koniec zamknięty jest cienką i giętką blaszką stalową, zawieszoną na dwóch czułych sprężynach, idących wzdłuż rurki. Jeżeli rurkę wypełnimy rtęcią, to cały słup rtęci spoczywa na owéj blaszce. Jeżeli ciężar tego słupa się zwiększa w skutek silniejszego przyciągania, to sprężyny nieco ustępują i blaszka giętka, stanowiąca dno rurki, ku dołowi się wygina. Jeżeli ciężar rtęci maleje, to sprężyny sprowadzają blaszkę do pierwotnego płaskiego położenia. Oczywistą jest rzeczą, że w pierwszym razie poziom rtęci u góry rurki się zniża i naodwrót podnosi, kiedy blaszka podciąganą jest przez sprężyny ku górze. Zmiany wysokości słupa rtęci w rurce wykazują zatém różnicę ciężaru. Jeżeli teraz prosty przyrząd elektryczny automatycznie zapisywać będzie wznoszenia czy opadania rtęci, to narzędzie w każdéj chwili ostrzeże o zmianie siły ciężkości, a więc i o głębokości wody. Batometr więc jest

przyrządem wykazującym zmiany siły przyciągania, jak barometr wskazuje zmiany ciśnienia powietrza. Na tarczy jego da się widzieć nieustannie, czy w danéj chwili statek jest nad głęboką kotliną dna morskiego, czy nad jego wyniosłością. Skoro z pomocą batometru całe dno oceanu ze wszystkiemi swemi nierownościami dokładnie poznane i na odpowiednie karty morskie przeniesionem zostanie, to z samych wskazań narzędzia i porównania ich z kartą można będzie, bez pomocy astronomicznych danych, ocenić punkt na morzu, w którym się okręt w danéj chwili znajduje.

Narzędzie to wielce zajęło angielskich uczonych, a jeżeli ścisłem i praktycznem w zastosowaniu się okaże, to stanie się jednym z najważniejszych tegoczesnych wynalazków.

Telefonia elektryczna. Jeżeli *machina mówiąca* zaciekawia dziś Paryżanów, to inny przyrząd, zwany *telegrafem mówiącym*, ustawiony w oddziale kanadyjskim na ostatniéj filadelfijskiéj wystawie powszechnéj wprawiał w zadumienie nie tylko publiczność, ale i uczonych. Jeżeli bowiem bardziéj jeszcze udoskonalonym zostanie, może wielki sprawić przewrót w dzisiejszéj telegrafii. Że *telefonia elektryczna* czyli przesyłanie dźwięków i wyrazów nie jest bynajmniéj mrzonką, ale rzeczywistym i donośnego znaczenia faktem, to można ztąd wnioskować, że professor *Thomson*, który badał odkrycie na miejscu, uważał je za przedmiot zasługujący na poważne traktowanie w mowie, na otwarciu posiedzeń *Stowarzyszenia Naukowego Brytańskiego* w Glazgowie ubiegłéj jesieni wypowiedzianéj.

„Zbliżyłem się — powiada on — do telegrafu mówiącego, i słyszałem wyraźnie, jak ktoś ze znacznéj odległości przesyłał nim całe zdania, wyjęte z Nowo-jorckiéj gazety. Zaciekawiony niezmiernie i obawiając się złudzenia, prosiłem kolegi swego, professora *Watsona*, ażeby stanąwszy na drugim końcu drutu telegraficznego, mówił do mnie. Wyrazy jego wymawiane jasnym i silnym głosem, przychodziły przez drut do mnie najdokładniéj".

Przesyłanie dźwięków za pomocą drutów nie jest nowym bynajmniéj wynalazkiem. Jeszcze w 1863 roku, *Reiss*, professor fizyki w Fridrichsdorfie, wykonał następujące doświadczenie w wielkiéj sali stowarzyszenia frankfurckiego. O sto dwadzieścia, mniéj więcéj, kroków, ustawił przyrząd przez siebie obmyślany i w danéj chwili poprosił zebranych słuchaczy o cichość. Nagle usłyszano głos, niby z sufitu wychodzący, i niebawem przyjemna melodya rozległa się po sali, ku wielkiemu zdumieniu słuchaczy. Professor *Reiss* uprosił po prostu jednę ze śpiewaczek miejscowego teatru, aby zaśpiewała przed jego przyrządem, a drut telegraficzny śpiew jéj przeniósł do sali. Pierwszy więc pomysł telegrafu, przenoszącego dźwięki, datuje od lat kilkunastu i jest własnością professora *Reissa*; *telefon* zaś amerykański jest właściwie tylko ulepszeniem dawniejszego przyrządu, obmyślonem przez młodego Anglika, naturalizowanego w Stanach Zjednoczonych, *Grahama Bella*. Ulepszenie to

stanowi jednakże niemałą zasługę. Postarajmy się wyjaśnić teraz, w jaki owo przenoszenie dźwięków odbywa się sposób.

Wystawmy sobie kwadratową skrzynkę, zamkniętą u góry sprężystą błoną jakąkolwiek, silnie naciągniętą skórą, a będziemy mieli bęben kwadratowy. Z jednego boku bębna przytwierdzona jest do niego rurka, u góry rozszerzona, jak w tubie czy trąbce akustycznéj, a dolną częścią połączona z jego wnętrzem. Nad błoną umieszczona jest delikatna blaszka platynowa z nią się stykająca i powtarzająca tém samém drganie błony, a nadto tak urządzona, że za każdém drgnięciem dotyka drugiéj blaszki metalowéj, połączonéj z drutem telegraficznym.

Jeżeli tedy wymawiamy pewien wyraz przed ową trąbką akustyczną, to głos dochodzi do wnętrza bębna i wprowadza w drganie pokrywającą go błonę sprężystą. Każde jéj drgnienie powtarza się w blaszce platynowéj, która znowu, stykając się w chwili drgania z blaszką metaliczną, przepuszcza prąd z bateryi w drut telegrafu. Taką jest cała zasada przyrządu głos przesyłającego.

Z drugiéj znowu strony, fizycy *Page* i *Henry* okazali, że drut prosty z miękkiego żelaza, obwinięty drutem miedzianym odosobnionym, jak zwykle, za pomocą jedwabiu, wydaje pewien dźwięk, ile razy przez ten drut obwijający przebiega prąd elektryczny lub się przerywa. Otóż jeżeli podobny drut żelazny, obwinięty drutem spiralnym, połączonym z drutem bateryi, postawimy na jakiéjś brzmiennéj skrzynce, naprzykład na dece skrzypiec, fortepianu i t. p. dla wzmocnienia dźwięku — to ile razy prąd z bateryi przebiegać będzie w drucie spiralnym, drut żelazny wyda głos wzmocniony.

Połączywszy ten przyrząd drutem telegraficznym z naszym bębnem, otrzymamy taki rezultat: że każdemu drgnieniu błony bębna odpowie przebieg prądu, czyli wytworzenie się głosu. Liczba drgnień błony powtórzy się w drucie telegraficznym i naszym drucie brzmiennym, a ponieważ liczba drgań w sekundzie warunkuje ton, czyli pewną nutę, to drut brzmienny nutę tę powtórzy. Każdy więc ton, samogłoska, zgłoska, zostanie przez drut powtórzoną, niby przez echo.

Mówiąc więc w Lublinie przed trąbką akustyczną, któréj bęben połączony jest drutem telegraficznym z drutem brzmiennym w Warszawie, będziemy odrazu przesyłali telegraficznie nasze wyrazy, a drut brzmienny je powtórzy.

Telegrafia tego rodzaju przesyła wolniéj depeszę słowną i opowiada ją a nie pisze. Głos z dalekiéj przychodzący odległości jest nosowy i cichy. Prawdopodobnie przy dalszém udoskonaleniu wynalazku da się temu zaradzić. Tymczasem dziś już niewątpliwą jest rzeczą, że można ustnie porozumiewać się za pomocą telegrafu elektrycznego.

Cieplik utajony. Opierając się na zasadach teoryi mechanicznéj ciepła, p. *Favé* podaje następujące myśli o cieplíku utajonym, jako

prawdopodobne wnioski owej teoryi. Ciało w stanie ciekłym będące, zawiera więcej eteru, niż w stanie stałym, a eter ten drga jednakowo z cząsteczkami ciała. Przechodząc ze stanu ciekłego do gazowego, ciało jeszcze więcej wbiera w siebie eteru. Przypuszczenie to, możeby na drodze doświadczalnej sprawdzić się dało. W istocie bowiem, jeżeli ciało w różnych stanach skupienia zawiera różne ilości eteru, to przy przechodzeniu ciała ze stanu stałego w ciekły, a następnie w lotny, massa jego, a zatém i waga zwiększać się powinny. Potrzebaby zatém sprawdzić, czy waga pewnego ciała szczelnie w rurce zamkniętego zwiększa się rzeczywiście, kiedy ono ze stanu stałego lub ciekłego w gazowy przechodzi.

Wiadomo jest, że wiele ciał stałych, ciekłych i gazowych w skutek pewnych przyczyn zmienia swe fizyczne lub chemiczne własności, nie zmieniając bynajmniej swojego składu. Tak naprzykład, stal przez hartowanie nabywa odmiennych własności od zwyczajnej. Przypisują to zwykle zmianie w układzie cząsteczkowym. P. *Favé* sądzi, że zmiany podobne objaśniać można rozmaitą ilością eteru składowego, a mianowicie, że stal podczas hartowania wbiera w siebie większą jego ilość. Dowodem tego byłoby sprawdzenie, czy stal, tracąc hart, traci zarazem pewną część swego cieplika utajonego.

Jeżeli hypotezy p. *Favé* stwierdzone zostaną doświadczeniem, to wtedy jawném będzie, że ciała, zwiększając swą temperaturę, nabywają nie tylko szybszego ruchu wibracyjnego cząsteczek, ale nadto wbierają pewną ilość eteru rozmieszczającego się wśród tych cząsteczek; że więc współcześnie ze wzrostem temperatury i massa ciała się zwiększa.

Oko sztuczne. Nazwę tę ma przyrząd fizyczny, bardzo dowcipnie obmyślany i zbudowany przez p. *Wernera Siemensa*, który to przyrząd jakkolwiek ślepym wzroku zastąpić jeszcze nie zdoła, wszelako może mieć pewne ważne zastosowania, a nawet naprowadzić na ciekawe odkrycia. Ocenia on doskonale i odróżnia rozmaite stopnie natężenia światła a nawet rodzaje barwy. Można nie widzieć, na przykład, pewnéj tkaniny, a przy pomocy tego mechanicznego oka dowiedzieć się, jakiego jest koloru. Zamknięte do skrzynki z kawałkiem jedwabnéj materyi jakiéjkolwiek barwy, oceni tę barwę doskonale i wyraźnie ją wypowie.

Dla zrozumienia jego mechanizmu potrzebne są pewne przedwstępne wiadomości. Mamy pewien pierwiastek chemiczny, *selen*, mniéj znany ogółowi, brunatnéj barwy, a własnościami swemi chemicznemi powinowaty z siarką i fosforem. Berzelius w 1817 roku znalazł go w pirytach żelaznych, czyli rodzimych związkach siarki z żelazem, stanowiących dosyć pospolite minerały, i z nich wydzielił go w czystym stanie. Selen, podobnie jak siarka i żywice, jest złym przewodnikiem elektryczności, ale ogrzewany wyżéj 150° i stopiony, przeprowadza ją daleko lepiéj. P. *May*, urzędnik przy telegrafie transatlantyckim w Londynie a zarazem assystent przy katedrze fizyki

profesora Willoughby, zauważył niedawno, że selen, wystawiony na działanie promieni słonecznych, staje się nagle doskonałym przewodnikiem dla elektrycznego prądu. Własność tę jednak okazuje tylko chwilowo, i traci ją, kiedy nań światło działać przestaje. Z téj właśnie szczególnéj własności selenu skorzystał p. *Siemens* dla zbudowania swego oka mechanicznego.

Przewodnictwo selenu dla prądu wzrasta odpowiednio do natężenia światła, a nawet zależy od jego barwy. Prąd elektryczny z każdego stosu galwanicznego, z jednego po prostu elementu, Daniella na przykład, odchyla natychmiast, jak każdemu wiadomo, igiełkę galwanometru. Im prąd jest silniejszy, tém zboczenie to jest większe. Jeżeli w łańcuch galwaniczny wstawimy krążek selenu, to selen, jako zły przewodnik, będzie oczywiście stawiał silny opór prądowi. Wszelako, jeżeli selen, z powodu działania nań światła, lepszym przewodnikiem się stanie, to i prąd łatwiéj przez niego będzie mógł przechodzić, a więc bardziéj odchyli igiełkę galwanometru. Wielkość odchylenia tego, dowodząca siły prądu, wykaże zarazem zwiększenie się przewodnictwa selenu, czyli ostatecznie stopień natężenia światła, działającego na selen.

Rozumiejąc to, łatwo pojąć budowę i działanie owego oka sztucznego. Jest ono małą bańką szklanną z dwoma przeciwległemi otworami: w jeden wstawiona jest soczewka podwójnie wypukła, w drugi korek z krążkiem selenu, połączonym z jednéj strony ze stosem, z drugiéj z galwanometrem. Bańka szklanna jest tu gałką oczną, a selen siatkówką. Dwie małe zasłonki mogące się zsuwać po bańce i zasłaniać lub odsłaniać soczewkę, spełniają czynność powiek.

Postawmy lampę przed tém okiem, zamkniętém powiekami sztucznemi, a następnie rozsuńmy je: igiełka galwanometru zboczy natychmiast. Jeżeli zamiast lampy użyjemy wiązki światła elektrycznego, otrzymamy gwałtowne bardzo zboczenie igiełki. Kiedy lampę przyciemniamy, igiełka się cofa. Oko więc wrażliwe jest na światło i na jego natężenie.

Wrażliwość ta selenu zmniejsza się jednakże i całkowicie znika, jeżeli światło działa nań przez czas dłuższy. W zbyt żywém świetle igiełka niebawem wraca na zero.

Ruch dwóch zasłonek, naśladujących powieki, można łatwo uczynić automatycznym, przy pomocy małego elektro-magnesu, pobudzanego tymże samym prądem. Kiedy ten prąd osłabnie, to i elektromagnes siłę swą straci i powieki sztuczne się otworzą. W przeciwnym razie zamykać się muszą. Jeżeli więc sztuczne oko przez zbyt żywe światło olśnionem zostanie, to powieki same się zamkną, jak w żywém ludzkiém oku — jeżeli ciemność nastąpi, oko szeroko się roztworzy.

Powiedzieliśmy, że oko selenowe może rozróżniać barwy. W rzeczy saméj, każdéj barwie odpowiada pewne zboczenie igiełki galwa-

nometru. Krańcowa fioletowa barwa odchyla ją na 139°, fioletowa na 148°, niebieska na 158°, żółta na 178°, czerwona na 188°, krańcowa czerwona na 190°. Każda więc barwa sama się niejako telegrafuje; z kąta odchylenia igiełki można odczytać barwę, jaka na sztuczną podziałała siatkówkę.

Niech oko podobne, umieszczone gdzieś o kilkaset metrów, połączoném przez drut zostanie z galwanometrem, ustawionym w gabinecie badacza, a igiełka galwanometru kątem swego zboczenia wypowie natychmiast, jaką barwę przed sztucznem postawiono okiem. Prześle ją ono telegraficznie natychmiast.

Bardzo więc ciekawém jest to zastosowanie fizycznych zjawisk, w którém przyrząd, składający się z bańki szklannej i odrobiny selenu, telegrafuje z odległości barwy tkanin przez liczne i nieprzezroczyste ciała. Nie łudząc się zawczasu próżnemi nadziejami, można przypuszczać jednak, że piękne to doświadczenie powiedzie z czasem do ważnych zastosowań. Oko sztuczne wrażenia swoje przesyła telegraficznie, jako zmiany natężenia prądu elektrycznego, zmiany zaś podobne mogą być zużytkowane przy rozkładzie związków chemicznych, podobnie jak światło, które redukuje bezpośrednio sole srebra, używane przy fotografii. Może się więc znaleźć sposób reprodukowania tego, co sztuczne oko gdzieś daleko widzi, czyli fotografowania z odległości. Pismo nawet przez oko widziane może się da reprodukować fotograficznie, a wtedy powstałby nowy sposób telegrafii elektrycznéj. Byłoby to widzenie w odległéj przestrzeni, pomimo wszelkich zaciemniających na drodze przeszkód.

Gdyby nakoniec udało się drgania elektryczne uczynić wrażliwemi dla mózgu, z właściwemi im różnicami siły i odmienności, to ślepi mogliby wejść w nowy związek ze światem zewnętrznym. Gra światła, kontury ciał, wytworzone przez jego promienie, a więc kształt ciał ostatecznie, zebrane przez siatkówkę selenową, mogłyby odbijać się na mózgu, w skutek odpowiednich wrażeń elektrycznych. Ślepy widziałby do pewnego stopnia.

Wątpliwości nie ulega, że dziś bardzo jeszcze od tego daleko jesteśmy, nie mamy wszelako prawa ograniczać nadziei naszych ciasném kołem teraźniejszości. Nieustanne nowe a wielce ciekawe odkrycia naukowe pozwalają nam wiele spodziewać się w przyszłości.

Silne mikroskopy. Na zjeździe stowarzyszenia naukowego Brytańskiego w Glazgowie przedstawiane były potężne mikroskopy, których powiększenie linijne dochodzi do 20,000 razy. Kropelka wody, mająca pół linii średnicy, wydaje się w nich niby akwaryum, obejmujące 3000 garncy, a mikroskopijne wymoczki — jak wielkie ryby w niém pływające.

Radiometr. Rzadko które zjawisko fizyczne tyle wywołało sporów, badań, przypuszczeń, co objaw szczególnego rodzaju, zauważany przez p. *Crookes*, członka naukowego towarzystwa Londyńskiego, i okazywany za pomocą niewielkiego przyrządu przezeń wynalezio-

nego i nazwanego *radiometrem.* Od dwóch lat blizko na wszystkich posiedzeniach naukowych odbywają się nad nim rozprawy i odczytują przez rozmaitych uczonych nadsyłane uwagi. Chcąc mieć dokładne wyobrażenie o przebiegu całéj téj kwestyi, potrzebaby bardzo liczne przeczytać karty, po różnych dziennikach naukowych rozrzucone. W obecném naszém sprawozdaniu ograniczyć się musimy krótką jedynie i treściwą wzmianką, dla objaśnienia ciekawych czytelników, o co tu właściwie chodzi.

Wszelkie objawy fizyczne, wynikające bądź w skutek wpływu pewnych sił, jako takie oddawna uważanych, jak, siła ciążenia powszechnego, siła chemicznego powinowactwa, — bądź przez działanie tak zwanych dawniéj *ciał nieważkich:* ciepła, światła, elektryczności, magnetyzmu,— wyrażają się zawsze *ruchem.* Tak ogrzewanie czy oziębianie rtęci w termometrze objawia się widocznie jéj podnoszeniem czy opadaniem; woda, zamieniona przez ciepło w prężną parę, nadaje ruch machinom; magnes przyciąga żelazne opiłki; kawałek żelaza wprowadza w ruch igiełkę magnesową; laska laku, potarta, przyciąga drobne ciała w skutek elektryczności w niéj się objawiającéj i t. p. Dziś owe dawniejsze ciała nieważkie uważają się jedynie za szczególne modyfikacye pewnéj nieznanéj siły. Ale jedna z tych modyfikacyj i może najpotężniejsza ze wszystkich: światło, nie dało się dotąd na ruch zamienić. Otóż fizyk angielski p. *Crookes* utrzymuje, że światło bezpośrednio ruch wywoływać może. Dla unaocznienia tego, zbudował swój *radiometr.* Jest to maleńki wiatraczek, składający się z dwóch cienkich pręcików szklannych, pod kątem prostym poziomo skrzyżowanych, na końcach których znajdują się pionowo przytwierdzone malutkie krążki z wypalonéj miki. Krzyż w środku ma szklanną osadę, wspiérającą się na końcu cienkiéj igiełki jako na osi. Jedna z powierzchni każdego krążka mikowego jest okopcona, druga zaś pozostawiona w naturalnym stanie, ale okopcone powierzchnie wszystkich krążków zwrócone są w jedną strónę. Wiatraczek ten zamknięty jest w jajowatéj szklannéj bańce pozbawionéj powietrza Jeżeli teraz na wiatraczek padają promienie słoneczne lub światło sztuczne, to wiatraczek obraca się z wielką szybkością, dopóki światło nań działa. P. Crookes powiada, że od światła jednéj świecy wiatraczek robi do czterdziestu obrotów na sekundę; pod wpływem zaś silnych promieni słonecznych lub światła elektrycznego, obroty są tak szybkie, że ich okiem dośledzić niepodobna i dochodzą do kilkuset na sekundę. Kierunek obrotu jest taki, jak gdyby jakiś wiatr uderzał w czarną powierzchnię skrzydeł mikowych. Dowcipna ta zabawka, interesująca wszystkich, stała się przedmiotem starannych badań wielu uczonych z téj mianowicie przyczyny, że miała za zadanie dowieść, jak powiedzieliśmy, bezpośredniego mechanicznego wpływu światła, czyli uderzania po prostu mechanicznego jego promieni, a nadto nęciła samą trudnością sprawdzenia przypuszczalnego faktu.

Zjawisko obrotu podobnego wiatraczka nie jest bynajmniej nowością. Już bowiem w ubiegłém stuleciu, uczeni, chcąc doświadczalnie sprawdzić wiarogodność hypotezy Eulera, że odwrócenie ogona komet od słońca, pochodzi w skutek odpychania cząsteczek materyi, składających ów ogon, przez promienie słoneczne, rzucali je zebrane przez soczewkę na skrzydła podobnego żelaznego wiatraczka i wywoływali tém obrót. Przekonali się wszakże, że zależał on wyłącznie od rozszerzania się powietrza w skutek ciepła owych promieni. P. Crookes przyrząd swój zamyka w bańce szklannéj, z któréj, o ile możności, stara się wyciągnąć powietrze, i oświadcza, że w miarę jego rozrzedzania, wiatraczek coraz się szybciéj obraca; wnosi więc ztąd, że powietrze na obrót żadnego nie wywiera wpływu, i że jedynym tu działaczem jest siła mechaniczna światła. Biorąc w rachubę powierzchnię blaszek radiometru i przypuszczając możliwe na nią działanie mechaniczne drgań eteru, znakomity matematyk angielski p. *Maxwell* oblicza, że siła eteru wiele tysięcy razy jest za słabą, aby radiometr poruszać mogła, gdy tymczasem, jeśliby rzeczywiście promienie słoneczne taką siłę mechaniczną posiadały, jaką im p. Crookes przypisuje, to działając na oświetloną powierzchnię planet, wyparłyby cały układ planetarny z dróg mu właściwych. Sam p. Crookes, opierając się na swojém doświadczeniu, zmuszony jest przyjąć, że słońce powinnoby promieniami swemi wywierać na ziemię parcie równe ciśnieniu 75 milionów cetnarów, i że gdyby z tą siłą nagle ją promieniami swemi uderzyło, strąciłoby ją z jéj drogi. Dochodzi więc do absurdu, proponując nawet przerobienie całéj dzisiejszéj wiedzy astronomicznéj, w taki sposób, aby się z teoryą jego radiometru zgodzić mogła!

Nie będziemy się tu wdawali w szczegółowe opisywanie doświadczeń, ani w głębokie naukowe wywody i uwagi, jakie rozmaici uczeni angielscy, francuzcy i niemieccy stawiali p. Crookes, jako zarzuty przeciwko jego teoryi, a które on mniéj lub więcéj zręcznie odpierać usiłował. Powiemy tylko, że ostatecznie nie ulega już wątpliwości, bo to mnogiemi i licznemi doświadczeniami stwierdzone zostało, że ruch radiometru bynajmniéj nie zależy od mechanicznego wpływu światła, ale wyłącznie tylko od działania znajdującego się w nim zawsze powietrza, wielce rozrzedzonego a ogrzewanego przez promieniowanie. Wiadomo, że najlepsze machiny pneumatyczne nie dają próżni bezwzględnéj. Badacze, którzy zdołali w inny sposób, bądź fizyczny, bądź chemiczny, osiągnąć ją w bańce szklannej, zawierającéj radiometr, przekonali się, że w próżni radiometr się nie obraca pomimo najsilniejszego oświetlenia, a przeciwnie natychmiast obracać się zaczyna, skoro tylko najmniejsza ilość powietrza wpuszczoną zostanie. Być może, że światło w istocie posiada siłę mechaniczną, ale radiometr bynajmniéj jéj nie dowodzi.

Ilość kwasu węglanego w powietrzu. Na zjeździe Stowarzyszenia francuzkiego dla postępu nauk, odbytym w miesiącu sierpniu roku zeszłego w Clermont-Ferrand w Owernii, professor fakultetu nauk ścisłych w tém mieście, p. *Truchot*, przedstawił wypadki swych badań nad ilością kwasu węglanego w powietrzu. Doszedł on do tych samych prawie wniosków, co i dawniejsi badacze, a szczególniéj *Boussingault*, mianowicie: że w lecie na 10,000 objętości powietrza, znajduje się 4 objętości kwasu węglanego. P. *Truchot* robił współcześnie doświadczenia na różnych wzniesieniach, przy czém w mieście leżącém na 395 metrów nad poziomem morza, znalazł na 10,000 objętości powietrza, 3,13 objętości kwasu węglanego; na szczycie Puy-de-Dôme (1446 metr.) 2,03 objętości, a na wierzchołku Pic de Sancy (1886 metrów) tylko 1,73 objętości. Ilość więc kwasu węglanego w powietrzu maleje w miarę wzniesienia.

Z 45 oznaczeń, robionych w zimie, od 7 stycznia do 14 kwietnia, otrzymał następujące wypadki: piętnaście rozbiorów powietrza z dni pogodnych, kiedy ziemia nie była pokryta śniegiem, dało kwasu węglanego maximum 4,2, minimum 2,1, średnio 3,3 objętości; jedenaście rozbiorów powietrza podczas deszczu, maximum 5,1, minimum 4.2, średnio 4,6; nakoniec dwadzieścia jedno oznaczeń, kiedy ziemia była pokryta śniegiem, wykazało maximum 8,7, minimum 4,4, średnio 5,6 objętości.

Porównywając ilość kwasu węglanego w powietrzu z wysokością barometru, p. *Truchot* sprawdził, że ilość ta ma się w stosunku odwrotnym do ciśnienia powietrza, co naprzód przewidzieć się dawało. W kilogramie śniegu znalazł średnio 25,5 centymetrów sześciennych kwasu węglanego.

P. *Corrwenwinder* robił podobneż oznaczenia w Lille w różnych porach roku, używając, dla wydzielenia kwasu węglanego z powietrza, stężonego roztworu baryty gryzącéj. Nie przytaczając liczebnych wypadków, powiemy tylko, że najwięcéj kwasu węglanego w powietrzu znalazł nie w zimie, jak to podawał *Saussure*, ale na wiosnę. Przypuszcza więc, że pączki roślinne podczas swego rozwoju pochłaniają bardzo silnie tlen a wyziewają kwas węglany. Podczas mrozu, kiedy ziemia pokryta jest śniegiem i wieje wiatr południowo-zachodni, w powietrzu mało jest kwasu węglanego, ale przy północno-zachodnim wietrze i topniejącym śniegu, ilość gazu dochodzi w powietrzu niekiedy aż do $^4/_{1000}$. Wielka obfitość kwasu węglanego, wydzielającego się w powietrzu z topniejącego sniegu, pochodzi ztąd, że w ziemi odbywa się ciągłe butwienie materyj organicznych z niezbędném wytwarzaniem tego gazu, jako jednego z ostatecznych produktów rozkładu. Kiedy powłoka śniegowa pokrywa ziemię, to wydobwający się gaz z ziemi zostaje przez śnieg zatrzymywanym i wydziela się zeń dopiéro przy odwilży.

Nowy metal Gall. W ubiegłym roku kilku francuzkich chemików gorliwie zajmowało się badaniami nowych lub rzadszych metali,

a mianowicie: otrzymywaniem, własnościami fizycznemi i chemicznemi, w stanie czystym i w związkach, gallu, niobu, tantalu, rutenu. Nowy metal, *gall*, którego ślady przy pomocy analizy spektralnéj po raz pierwszy zauważył chemik-amator, p. *Lecoq de Boisbaudran* z Cognac, w sierpniu 1875 roku, został następnie otrzymany przez niego w stanie czystym i obecnie jest przedmiotem ciągłych i starannych jego studyów. Piąty ten z kolei nowy metal, jaki od czasu wynalezienia analizy spektralnéj z pomocą jéj wykryto, jest obok tallu, indu, cezu i rubidu jednym z długiego zapewne jeszcze szeregu pierwiastków chemicznych, jakie na drodze téj wynaléźć się w przyszłości dadzą. Odkrycie gallu tém jest mianowicie ważne, że przez uczonych na podstawie głębokich teoretycznych rozumowań naprzód przewidywaném było. Nie wdając się w szczegółowy rozbiór faktów i wniosków, służących za zasadę owym rozumowaniom, jako dostępnych jedynie specyalistom, powiemy tu tylko, że p. de Boisbaudran, porównywając z sobą widma świetlne rozmaitych metali, do jednej i téjże saméj gruppy należących, zawnioskował, że w gruppie glinu, indu i tallu, powinien się znajdować, pomiędzy glinem a indem, jakiś nowy nieznany jeszcze metal, którego w rudach cynkowych spodziewać się należało. Z drugiéj znowu strony, znakomity petersburski uczony, professor *Mendelejew*, na podstawie głębokich chemicznych i matematycznych rozumowań i obliczeń, przypuszczał istnienie nieznanego dotąd pierwiastku, blizkiego glinowi, który nazwał *eka-aluminium* i podał naprzód przypuszczalne jego fizyczne i chemiczne własności, które w głównych punktach wielce się zgadzają z nowo odkrytym gallem. Tym sposobem głęboko na zasadzie znanych faktów obmyślane teorye chemiczne stają się obecnie wielce doniosłemi, bo pozwalają nietylko przewidywać istnienie w przyrodzie nieznanych dotąd ciał, ale nadto określać z wielkiém prawdopodobieństwem ich fizyczne i chemiczne własności.

Metal *gall* znaleziony najpierw został w brunatnéj blendzie (siarku cynku) z Pierrefitte w Pyrenejach. Wedle swych podobieństw chemicznych powinienby on się znajdować w blendach w ind bogatych, jak np. we Freiberskich. Nie wszystkie jednak rudy cynkowe go zawierają. Najbogatszą w gall okazała się, oprócz wyżéj wymienionéj, blenda żółta z Asturyi. Tymczasem blendy i galmany belgijskie, szwedzkie i szlązkie nie zawierają prawie wcale tego metalu. Otrzymywanie jego jest bardzo trudne, a nawet niebezpieczne, bo ogromną ilość sproszkowanéj rudy rozpuszczać przedewszystkiém potrzeba w wodzie królewskiéj. Po dwóch latach usilnych i wytrwałych prób i rozmaitych usiłowań, udało się p. de Boisbaudran z dziesięciu cetnarów rudy otrzymać nie całe pół grama, to jest około ósmiu granów czystego metalu. Jest on biało-srebrzysty, podobny zupełnie do rtęci, z silniejszym jeszcze blaskiem. Topi się już w 30° C. a więc w palcach. W 10 lub w 15° krystali-

zuje się w ośmiościany, daje się krajać nożem i jest nieco kowalny. Ciężar jego właściwy 5,9 odpowiada ściśle gęstości przewidzianéj przez p. Mendelejewa. Podobnie jak glin, nie utlenia się w powietrzu, w czerwoności nieco ciemnieje, (podobnie jak ind) i pokrywa się cienką powłoczką tlenku. Jak glin rozpuszcza się szybko na zimno w wodzie zakwaszonéj kwasem solnym, ale kwas azotny rozpuszcza go dopiéro na gorąco. Amonia z chlorku i siarczanu gallu strąca biały galaretowaty tlennik, podobny do glinki, składu $Ga_2 O_3$, mało rozpuszczalny w amonii, ale łatwo w potażu. Kwas octowy strąca go na zimno ze związków. Siarczan gallu z siarczanem amonu daje ałun gallo-amonowy, krystalizujący w sześciany i ośmiościany i jednokształtny z ałunem glino-ammonowym, bo daléj wzrasta, włożony w roztwór tego ostatniego.

Niob i tantal. W rozprawie swojéj, przedstawionéj dla uzyskania godności doktora chemii, p. *Joly* przedstawił wypadki swych badań nad dwoma rzadkiemi metalami: *niobem* i *tantalem*, znajdującemi się w niektórych minerałach, jako wielce skomplikowane związki, a dotąd jeszcze nie otrzymanemi w stanie czystym. Wielu bardzo chemików pracowało już nad temi dwoma metalami — z dawniejszych: *Hatchett*, *Eckeberg*, *Wollaston*, *Berzelius*, *Henryk Rose*, z dzisiejszych: *Marignac*, *Henryk St. Claire Deville* i *Troost;* ale wszystkim udało się jedynie z owych rodzimych, nader złożonych, związków niobu i tantalu, jakie stanowią właśnie niektóre wspomniane rzadkie minerały, otrzymać prostsze ich związki, wydzielić ich kwasy i wyprowadzić wzory chemiczne. O ile roboty podobne były trudne, a otrzymywane wypadki wątpliwe, wnosić ztąd można, że tak zdolni badacze, jak *Kobell* i *Hermann*, ważne jednak popelnili błędy, przyjmując w związkach tych istnienie dwóch nowych metali: *donaru* i *ilmenu*, które się wcale czém inném następnie pokazały.

Z kolei p. *Joly* starał się o rozjaśnienie wielu wątpliwych o tych metalach kwestyj, a przedewszystkiém o wydzielenie ich ze związków w stanie czystym. Głównie zwrócił uwagę na ich związki z azotem i węglem, niektóre fluorki i sole drogą suchą otrzymane. Kwas niobowy, potrzebny mu do badań, otrzymał z czystego tlenochlorku niobu, otrzymywanego już dawniéj przez H. Sainte-Claire Deville, i z rodzimych niobitów czyli kolumbitów grenlandzkich, amerykańskich i francuzkich; kwas tantalowy, znajdujący się w niobitach w niewielkiéj ilości, wydzielił z tantalitu z Limoges, bardzo weń obfitującego i z ittro-tantalitu czyli hjalmitu szwedzkiego. Otrzymywał zaś je metodą Deville'a przez używanie chloru gazowego. Dla otrzymania czystych metali starał się kwasy otrzymane rozłożyć węglem w wysokiéj temperaturze, co mu się jednak nie udało, z tego powodu, że, jak się pokazało, węgiel łączy się stale z temi metalami.

Do tego czasu związki tych metali z azotem i węglem były

nie znane i p. Joly otrzymał je po raz pierwszy — a mianowicie: dwa azotki tantalu ($Ta_6 N_5$, $Ta_2 N$), węglik tantalu $Ta_2 C_2$, azotek i węglik niobu ($Nb_2 N$ i $Nb_2 C_2$). Przy robotach tych wyjaśnił się mimowolny błąd Berzeliusa, który, prażąc kwas tantalowy w tygielku z węglem, zauważył, że massa czarna wewnątrz, przybierała na powierzchni barwę żółto-mosiężną. Odczyn ten wziął Berzelius za redukcyą kwasu, a ciało żółte za tantal metaliczny. Tymczasem p. Joly przekonał się, że to jest właśnie węglik tantalu. Próbując łączyć suchą drogą kwasy z rozmaitemi zasadami, stwierdził, że kwas niobowy daje cztery rodzaje soli, a mianowicie z 1, 2, 3 i 4 atomami zasady.

Ruten. PP. *Henryk Sainte-Claire Deville* i *Debray* przedstawili Akademii Paryzkiéj wypadki prac swoich nad fizycznemi i chemicznemi własnościami metalu rutenu, który wydzielili z kwasu lotnego nadrutennego. Metal ten otrzymali w postaci krystalicznéj, z ciężarem właściwym przy 0° = 12,261. Ogrzewany w tlenie, daje on dwutlenek rutenu $Ru O_2$, ulatniający się dopiero w mocnéj czerwoności. Kwasów wykryli trzy: *rutenawy* ($Ru O_3$), dający z potażem roztwór żółto-pomarańczowy, *heptarutenny* ($Ru_2 O_7$) dający z potażem sól czarną a roztwór ciemno-zielony, wreszcie *nadrutenny* ($Ru O_4$) Clausa. nie łączący się z potażem, lotny, o znacznéj prężności pary niżéj nawet 100°, a przy 108° rozkładający się z wybuchem.

Odrażająca woń niektórych kwiatów. Pewne rośliny podczas kwitnienia odznaczają się dziwnie odrażającą wonią, przypominającą padlinę. Kwiat np. *Raflesii*, tak cuchnie zgniłém mięsem, że owady mięsożerne zwabione tą wonią zdaleka doń się zlatują. Podobnąż własność posiada wierzchołek kwiatostanu rośliny *Proteinophallus Rivieri* z rodziny *obrazkowatych* (Aroideae). P. *Aimé-Girard* starał się zbadać chemiczną przyrodę lotnych tych wydzielin. Przekonawszy się, że mają one odczyn alkaliczny, otoczył strzałkę kwiatową paskami papieru lakmusowego słabo-zczerwienionego kwasem solnym, dla pochwycenia owego alkali. Po niejakim czasie paski te traktował potażem i otrzymał rzeczywiście produkt lotny alkaliczny, a z niego chloroplatynian krystaliczny. Sól tę ma dalszemu poddawać badaniu, przypuszcza jednak, że zawiera ona propylaminę (związek obficie znajdujący się w tak zwanym *lagrze* śledziowym).

Fermentacya moczu. Wiadomo, że normalny świeży mocz ludzki ma zawsze odczyn kwaśny, ale po pewnym przeciągu czasu staje się alkalicznym, w skutek samowolnego tworzenia się węglanu amonu przez rozkład mocznika. Jest to pewien rodzaj fermentacyi, którą Liebig objaśniał w ten sposób, że odbywa się ona w skutek śluzu, znajdującego się w moczu i zamieniającego się pod wpływem tlenu powietrza na ferment, wywołujący następnie rozkład mocznika. P. *Pasteur*, od bardzo dawna pracujący nad fermentacyami, utrzymy-

wał przeciwnie, że rozkład mocznika następuje jedynie w skutek rozwoju pewnego grzybka mikroskopowego, który opisał starannie. Następne badania p. *Van Tieghem* nad tym grzybkiem i wykrycie jego w chorobnym świeżym amoniakalnym moczu ustaliły to przekonanie, że grzybek ten jest rzeczywistym uorganizowanym fermentem, wywołującym rozkład.

Przed rokiem dopiéro strasburgski chemik p. *Musculus* ogłosił, że w moczu chorych na katar pęcherza znalazł rozpuszczoną pewną materyą organiczną, strącalną wyskokiem, która zmienia mocznik w węglan amonu, jak dyastaz zmienia mączkę w dekstrynę i cukier. Utrzymuje daléj, że mocz nie zawierający takiego fermentu może pozostawać w powietrzu całkowicie bez zmiany. Zdanie to zniewoliło pp. *Pasteura* i *Jouberta* do nowych badań, z których się przekonali, że jakkolwiek w moczu amoniakalnym istnieje rzeczywiście ów ferment rozpuszczalny, to jednakże powstał on dopiéro w skutek wpływu owego grzybka. Jeżeli czyste komórki tego ostatniego dodamy do jakiegokolwiek płynu organicznego, nie zawierającego wcale mocznika, to po pewnym przeciągu czasu, w skutek rozwoju grzybka, powstanie w płynie nowe ciało, które można strącić wyskokiem. Otrzymany osad jest właśnie owym fermentem, znalezionym przez p. Musculus i zdolnym mocznik zmieniać w węglan amonu. Jest to pierwszy fakt, że samoistny ferment uorganizowany, grzybek, wywołuje samym rozwojem swoim powstanie nowéj materyi organicznéj rozpuszczalnéj, zdolnéj podobnie jak on, sprowadzić fermentacyą. P. *Berthelot* potwierdza zupełnie zdanie Pasteura, bo jeszcze w 1860 roku zauważył, iż drożdże piwne wywołują podobnież utworzenie w płynach cukrowych fermentu rozpuszczalnego, wpływającego następnie na rozkład cukru.

Tym sposobem p. Pasteur stanowczo jest zdania, że fermentacya moczu, jak każda inna, wymaga niezbędnie i przedewszystkiem obecności w cieczy fermentu uorganizowanego, dostającego się do niéj z powietrza. Przeciwko téj teoryi *zarodków atmosferycznych* występuje obecnie p. *Bastian*, który na podstawie własnych doświadczeń utrzymuje, że w pewnych płynach organicznych istnieją złożone związki organiczne, mogące same przez się zmieniać się w rozmaite gatunki bakteryj, — w szczególności zaś jest zdania, że fermentacya moczu bynajmniéj nie jest zależną od zarodków, mogących się znajdować w powietrzu. Teorya więc Bastiana jest, jak widzimy, wprost przeciwną teoryi Pasteura, i przypuszcza nawet samorództwo. Obadwaj uczeni ciągle obecnie wiodą z sobą spór nader żwawy w téj kwestyi.

Dzieło p. Peligot o szkle. Szkło jest jednym z najważniejszych wyrobów przemysłu, jako potężny czynnik postępu nie tylko w ogólnym dobrobycie, ale i w saméj nauce. Cennemi swojemi własnościa-

mi fizycznemi, obfitością i pospolitością materyałów surowych, z jakich się wyrabia, a ztąd przystępnością ceny, zdolnością przybierania wszelkich możliwych barw i kształtów, oddaje ono nam nieocenione usługi. I trudno wyobrazić sobie, na jakim stopniu kultury stałby dziś człowiek, gdyby szkła nie znał. Pomijając już niezliczone jego użytki w codziennem i zbytkowem życiu, ileż naukowych przyrządów na zastosowaniu się jego opiera, a fizyka, astronomia i umiejętności biologiczne najgłówniejsze swoje odkrycia jemu są winne. Jednakże stało się ono dla każdego z nas już tak zwykłą i powszednią rzeczą, że nikogo prawie nie zaciekawia historya jego, sposób wyrabiania różnorodnych gatunków i stopniowy rozwój przemysłu szklarskiego, zanim on doszedł do dzisiejszej swej doskonałości. Nawet w dziełach naukowych i technicznych wyrób szkła traktowany jest ogólnikowo i pobieżnie. Chcąc temu brakowi zaradzić, jeden z pierwszorzędnych uczonych paryzkich, profesor *Peligot*, korzystając z rad i wskazówek technicznych, dostarczonych mu przez dyrektorów najsłynniejszych hut francuzkich, wydał obecnie obszerne dzieło pod tytułem: *Le verre, son histoire, sa fabrication*, obejmujące wielce ciekawe szczegóły. Znaczenie przemysłowe i ekonomiczne szkła wykazują najlepiej dane liczebne. We Francyi, na przykład, istnieją obecnie 182 huty szklanne, poruszane siłą 3500 koni parowych, 655 koni hydraulicznych, zatrudniające 26,000 robotników i wyrabiające rocznie szkła za 109 milionów franków. W 1873 r. wprowadzono do Francyi szkła z zagranicy za 4 miliony niespełna, ale wywieziono za 63 miliony franków. W całej Europie wyrabia się rocznie za pół miliarda franków szkła wszelkiego rodzaju, a za sto milionów w Stanach Zjednoczonych.

W dziele powyższem znajdujemy szczegółowy opis własności, składu i sposobów wyrabiania rozmaitych gatunków szkła taflowego, zwierciadlanego, stołowego zwykłego, czeskiego, butelkowego, kryształu, flintglasu, strassu, emalii, szkieł barwnych i t. p. Oddzielne ustępy poświęcone są kwestyi hartowania, które od czasu odkrycia szkła wytrzymałego p. *de la Bastie*, ważne w pryszłości mieć może zastosowanie, a niemniej sposobom rytowania na szkle za pomocą kwasu fluowodorowego, piasku i t. p. Obszerne miejsce zajmują opisy pieców szklarskich wszelakiej konstrukcyi.

Wyrób szkła taflowego, którego w samej Francyi wyrabia się rocznie za 22 miliony franków, traktowany jest bardzo obszernie. W istocie, rozmaite gatunki szyb okiennych, od zwyczajnych i karbowanych, do matowych i kolorowych, rozmaitych też wymagają sposobów otrzymywania i szczegółowego ich opisu. Sama fabrykacya zwierciadeł przeszło ośmdziesiąt stronnic dzieła zajmuje, przedstawiając ciekawe szczegóły, dotyczące dęcia i lania tafli, ich podlewania, srebrzenia i platynowania. Wyłożywszy dokładnie sposoby otrzymywania kryształu i rozmaitych z niego wyrobów, oraz strassu, używanego na imitacye dyamentów i innych drogich kamieni, autor kończy swe

dzieło fabrykacyą crownglasu, flintglasu i owych potężnych szkieł optycznych, którym nauka zawdzięcza najpiękniejsze swoje odkrycia.

Pszczolnictwo w Stanach Zjednoczonych. Jeden z czterech miejscowych dzienników, specyalnie poświęconych pszczolnictwu, *Bee Keeper's Magazine*, wykazuje ogromne korzyści, jakie hodowla pszczół przynosi w Ameryce północnéj, stając się dla wielu hodowców źródłem istotnego bogactwa. W Kalifornii jeden z wielkich pszczolarzy ma z niéj rocznie 25 tysięcy dolarów czystego dochodu. W Stanie Nowojorckim jeden z nich sprzedał 90, a drugi 80 tysięcy funtów miodu. W Stanach Zjednoczonych znajduje się 70 tysięcy pszczolarzy, posiadających razem 3 miliony ulów, dających rocznie średnio po 22 funty miodu. Produkcya miodu wynosi tam przeciętnie 70 milionów funtów, co licząc za funt po 1.25 franka, stanowi wartość 85,500,000 franków i 20 milionów funtów wosku wartości 30 milionów franków. Rocznie miodu i wosku Stany Zjednoczone wywożą za granicę za 10 milionów franków.

Wystawa owadów. Towarzystwo centralne francuzkie pszczelne i owadnicze urządza co dwa lata w oranżeryach Tuileryiskich ciekawą nader i pouczającą wystawę, która piąty już raz z kolei odbywała się w r. z. od 25 Sierpnia do 25 Września. Urządzenie jéj godne jest ogólnego naśladowania i dla tego w krótkości je tu podajemy. Wystawa dzieliła się na cztery oddziały. W pierwszym mieściły się wszystkie owady użyteczne, na sześć grupp podzielone. Każdy owad, o ile się dało, był przedstawiony jako: jajko, liszka, poczwarka i owad doskonały. Jeżeli ulega pewnym chorobom, jak np. pszczoły i jedwabniki, to okazy chore były przedstawione we wszelkich okresach choroby. Obok każdego owadu znajdowały się produkta, jakich dostarcza i rozmaite formy ich przerobu, a nadto rośliny, jakiemi się owad żywi, dzieła, rozprawy i opisy, specyalnie o nim traktujące, uwagi hodowców nad metodami hodowli z wykazaniem kosztów produkcyi i cen handlowych za otrzymywane produkta.

Drugi oddział zawierał owady szkodliwe w dziesięć grupp zebrane, według działów roślin, którym szkodę przynoszą. W pierwszych więc sześciu gruppach mieściły się wszystkie rośliny hodowane sztucznie, drzewa owocowe i dzikie. Siódma mieściła owady niszczące drzewo budowlane, ósma — szkodników dla martwych materyj organicznych, jak włosów, piór, wełny i t. p. Dziewiąta obejmowała pasożyty ludzkie i zwierząt domowych; dziesiąta wreszcie — owady wrogie dla hodowli ryb.

W trzecim oddziale stanęły zwierzęta, pomagające człowiekowi w tępieniu szkodników, a więc przedewszystkiem owady drapieżne, jak piaskówki, szczypawki, stafiliny, — daléj ssące, ptaki i gady owadożerne.

Czwarty oddział nakoniec obejmował zwierzęta blizkie owadom w układzie zoologicznym. A więc krocionogi i pająki szkodliwe i użyteczne, hodowlę sztuczną skorupiaków i mięczaków jadalnych: raków rzecznych i morskich, krabów, krewetek, ostryg, omułków; tuczenie ślimaków i t. p.

Nagrody stanowiły: *pszczoła honorowa*, dyplom zasługi, medale złote, pozłacane, srebrne i bronzowe, a to według uznania i rozdziału biegłych.

Phylloxera. Ciężka plaga od kilku lat niepomiernie trapi Francyą, zagrażając jednéj z najważniejszych gałęzi bogactwa krajowego. Jest nią drobny owadek, mszyca, *Phylloxera vastatrix*, pustosząca słynne na cały świat francuzkie winnice. Osiada ona jako pasożyt na korzeniach szczepów, robi w nich niezliczone nakłucia, a niedosyć, że sama napawa się sokami szlachetnéj rośliny, ale, dziurawiąc tkankę, spowodowuje ich wyciekanie, za czém idzie stopniowe więdnienie i obumieranie szczepu. Rozmnażając się niepomiernie, szybko przechodzi z jednéj winnicy do drugiéj, i zagarnia pod swój wpływ niszczący coraz szersze obszary. A nie łatwa z nią sprawa, bo pomimo niesłychanych mozołów, najrozmaitszych środków, ochronnych czy tępiących, na które się cały świat uczony i nieuczony wysila niezmordowanie i bez przerwy, phylloxera przecież stale oporną się przedstawia. Więc od niejakiego czasu nie odbywa się ani jedno posiedzenie, czy w Akademii, czy w najrozmaitszych Stowarzyszeniach naukowych, gospodarczych, przemysłowych i t. p. żeby nie było o niéj mowy. I wszystkie dzienniki, polityczne czy naukowe, głoszą o niéj nieustannie. Ani liczne kommissye specyalne, ani wysokie premia wyznaczone nie osiągnęły jeszcze stanowczego rezultatu. Są tylko próbowane najrozmaitsze środki, z mniejszém lub większém powodzeniem, zalecane ciągle nowe metody, mniéj lub więcéj kosztowne; ale do ostatecznego zniszczenia wrogiego owadu jeszcze daleko. Według grudniowych wiadomości z Pesztu, phylloxera zaczyna już zagrażać i węgierskim winnicom. Na południu, w Pancsowie, rozsiadła się już ona na stu kilkudziesięciu morgach i myślą tam o sztucznem zatopieniu winnic leżących w pobliżu Dunaju.

Według ostatniego raportu, złożonego Akademii nauk przez kommissyą, wyznaczoną z jéj grona dla wszechstronnego zbadania téj palącéj kwestyi, najlepszemi truciznami, zabijającemi owad przez zetknięcie z nim, okazały się: siarek węgla i siarko-węglany alkaliczne, używane jako roztwory do podlewania. Wszelako środki te muszą być kilkakrotnie od czasu do czasu powtarzane, jeżeli phylloxera stanowczo ma być wyniszczoną. Najlepsza pora do działania jest wtedy, kiedy owad z zimowych jaj wylęgły zstąpi na korzenie, co dzieje się w Lipcu. Tym sposobem niszczą się stare mszyce, siedzące na korzeniach, i młode z jaj zimowych wylęgłe. Wiedzieć bowiem potrzeba, że w pewnych epokach owad się oskrzydla; samice wychodzą z ziemi, przelatują na latorośle i służące im za podpory paliki lub ruszto-

wania, składają tam jaja, z których nowo wylęgłe mszyce zstępują następnie na korzenie. Znakomity zoolog i członek Instytutu, pan *Emil Blanchard*, i specyalnie zajmujący się phylloxerą, p. *Balbiani*, stanowczo twierdzą, że podziemne owady dałyby się wygubić bardzo prędko, gdyby nie ciągłe przybywanie nowych, z jaj wylęgłych osobników. Jaja te więc stanowczo niszczyćby wypadało, co jest wcale nie łatwą znowu rzeczą, z powodu ich szczególnéj oporności działaniu trucizn. P. *Balbiani* przekonał się, że jest to skutkiem osobliwéj budowy wytrzymałéj ich powłoczki i żywotności pomimo długiego nawet pozostawania w wodzie. Roztwór wodny 10% kwasu karbolowego po 24 godzinném z niemi zetknięciu dopiéro je zabija. Zalecany jest roztwór z 50 grammów krystalicznego kwasu karbolowego, 100 grammów krystalicznego węglanu sody na kwartę wody. Ale środki te, uznane ostatecznie za skuteczne, są za drogie (jeżeli w wielkiéj ilości używać się mają), a więc dla niezamożnych i drobnych posiadaczy winnic niedostępne. Jeden z posiadaczy winnic podaje tani sposób leczenia chorych szczepów wapnem. W tym celu kopie on w około nich dołek na 4 cale głęboki, o takimże promieniu, i sypie weń dwie garście wapna lasowanego. Następnie obdarłszy cały szczep z kory, pokrywa go za pomocą pędzla warstwą mleka wapiennego. Ma to być środkiem zapobiegawczym i leczniczym zarazem. W ubiegłym roku kilkaset szczepów, bardzo cierpiących, traktował w ten sposób na wiosnę, a w jesieni otrzymał z nich zbiór wina obfity. Sposób to, według niego, tani i dogodny, bo 100 kilogrammów wapna kosztuje franka a jeden robotnik może dziennie sześćset opatrzyć szczepów. P. *Blanchard* radzi latorośle i rusztowania smarować smołą z węgla kamiennego, produktem tanim a roślinie nie szkodzącym. Obecnéj zimy dokonywają się właśnie te próby nad winnicami silnie nawiedzonemi, a przyszłe lato okaże ich wpływ na ilość owadu.

Ciekawy jest także pomysł p. *Gachez*. Oswiadcza on, że po długich i wytrwałych poszukiwaniach wykrył nakoniec prawie niezawodny sposób wyniszczenia phylloxery. Nie używa on żadnéj trucizny, których tylu już na próżno próbowało. Chce łagodnością jedynie osiągnąć to, czego srogość dokazać nie mogła. Staje się więc hypokrytą i chce owad zgubić na drodze gastronomicznéj, podając mu smakowitsze jadło, niż korzenie winnego szczepu. Otóż znalezienie takiego przysmaku, wielce trudne, poczytuje sobie za zasługę. W winnicy najbardziéj zatrutéj posadził on między szczepami na wiosnę czerwoną kukurydzę. W jesieni na korzeniach wina nie znalazł ani jednéj, staréj czy młodéj, mszycy, bo wszystkie przeniosły się na kukurydzę. Wyrywając ją i paląc, a następnie postępując tak corocznie aż do zupełnego wytępienia mszycy, ma nadzieję uwolnić się od strasznéj plagi. Prawdopodobnie projekt ten nie będzie jeszcze ostatniém słowem w téj kwestyi, wszelako może się stać punktem

wyjścia dla doświadczeń nowego rodzaju i ostatecznie pożądane sprowadzić skutki.

Rozpisaliśmy się tyle o phylloxerze, gdyż bardzo być może, że i do rzadkich a ubogich naszych winnic z czasem owad ten przywędruje, skoro już do Węgier się dostał. Zresztą mszyce i u nas często wielkie szkody wyrządzają w roślinach szczególniéj kwiatowych; otóż środki, jakie we Francyi najskuteczniejszemi się okazały, jak siarek węgla, kwas karbolowy, siarko-węglany alkaliczne, mogą w tym razie przydać się i w naszych ogrodach i oranżeryach na owad ten szkodliwy.

Życie bez jedzenia. Pewne bezkręgowe zwierzęta mogą rozwijać się w ciągu długiego okresu, a nawet istnieć całe życie, nie przyjmując żadnego z zewnątrz pokarmu. Bardzo pospolitym jest pająk, zwany *Kleszczem* (Ixodes), jakiego często znajdujemy silnie przyczepionym do skóry psów, owiec, bydła i innych zwierząt, a nie rzadko i człowieka, gdzie ssąc krew dorasta nakształt twardéj brodawki do znacznéj wielkości. Otóż oddawna zwracało to uwagę zoologów, że kleszcz ten okazywał się zawsze pełną jaj samicą, rozwój zaś jaj i pierwsze okresy jego życia były zupełnie nie znane. Niedawno p. *Mégnin*, znalazłszy taką dojrzałą i niosącą jaja samicę, zajął się starannėm jéj badaniem. Zniosła mu ona 12,000 jaj, z których po dwóch miesiącach wylęgły się liszki, zawierające w kanale pokarmowym wielką jeszcze ilość żółtka z jaja pozostałego. Śledząc przez trzy miesiące ich rozwój, przekonał się, że jakkolwiek liszki wydzielały z siebie kał, składający się z moczanów alkalicznych, to jednakże nigdy żadnego nie brały pokarmu, choć umieszczał je wielokrotnie na skórze zwierząt. Z liszek tych wylęgały się następnie samce i samice. Pierwsze zaraz po spełnieniu czynności reprodukcyjnych zdychały, — samice zaś przeciwnie przysysały się do skóry zwierzęcia i napawały się krwią, w ilości dziesięć razy większéj od swéj normalnéj objętości. Ta ich żarłoczność ma na celu zaopatrzenie w materyał pożywny wielkiéj liczby znoszonych jaj, tak, aby żółtko ich wystarczało na żywienie potomstwa przez cały jego okres gąsieniczy, a samców — nawet przez całe życie. Fakt ten ciekawy nie jest wszakże jedynym w przyrodzie. I u owadów również, jak np. u jętek (ephemera) i u phylloxery na dębie żyjącéj podobneż spotyka się zjawisko.

Ruchy mózgu. PP. *Giacomini* i *Mosco* mieli sposobność badania ruchów mózgu u pewnéj kobiety, która w skutek próchnienia czaszki straciła znaczną część kości czołowéj i obu ciemieniowych, tak, że mózg został odkrytym. Przekonali się oni, że mózg posiada trzy rodzaje ruchu, a mianowicie: tętnienie, powtarzające się przy każdym skurczu serca; wahanie, odpowiadające ruchom oddechowym, i wreszcie falowanie, zależne od zmiennego ruchu naczyń krwionośnych

podczas natężonej uwagi, pracy mózgowej, snu i innych nieznanych powodów.

Sztuczna przetoka żołądkowa. Pamiętamy wszyscy o niedawnym ciekawym i niezwykłym wypadku połknięcia widelca, który ostatecznie za pomocą operacyi przecięcia żołądka szczęśliwie wydobytym został. Drugi fakt, nieco odmienny wprawdzie, ale jeszcze dziwniejszy może, miał miejsce przed kilkoma miesiącami również w Paryżu. Siedmnastoletni chłopiec napił się przypadkiem roztworu potażu gryzącego. Nastąpiły straszne boleści, gorączka, silne zapalenie przełyku, niepodobieństwo połykania innych pokarmów prócz płynnych, nareszcie nastąpił spazm nerwowy przełyku, całkowite jego zamknięcie i nieuchronność głodowej śmierci. W tym stanie przyniesiono chorego do oddziału profesora dr. *Verneuil* w szpitalu Pitié. Wychudzony był niezmiernie, ważył 33 kilogrammy (82 funty) temperatura ciała $35\frac{1}{2}^0$ C. czyli o dwa stopnie niższa od normalnej i zwiastująca zgon rychły. Naprożno starano się za pomocą zgłębników i świeczek rozszerzyć zaciśnienie przełyku. W takiej ostateczności dr. Verneuil zdecydował się na zrobienie sztucznej przetoki czyli otworu do żołądka i umocowanie w otworze rurki kauczukowej, czego dokonał w końcu ubiegłego Lipca. Odtąd przez rurkę tę, opatrzoną lejkiem, wprowadzają się bezpośrednio pokarmy do żołądka. Siły chorego i temperatura normalna wróciły, a kiedy w połowie Listopada przedstawiany na posiedzeniu Akademii, przyjmował w obec niej pożywienie, ważył 41 kilogr. Przybyło mu więc 20 funtów wagi. W szpitalu zajmuje się spełnianiem rozmaitych posług, jest wesół i uleczenie jego można uważać za zupełne. Zdaje się, że nie stracił poczucia smaku, pewne bowiem pokarmy przekłada nad inne, a czasami kiedy mu zupę wlewają, prosi o łyżeczkę jej do ust, ażeby wrażeniem tem uzupełnić posiłek. Czynność jednak połykania znikła całkowicie, i dr. Verneuil nie chce już więcej próbować rozszerzania przełyku, aby ścian jego nie rozerwać.

Krew w anemii. Z badań p. *G. Hayema* nad charakterami anatomicznemi krwi w anemiach chronicznych wynika, że z jakiegokolwiekby powodu one istniały, zawsze w nich krążki krwi czerwone zmienione są pod względem wielkości, barwy i zawartości. Porównywając daną liczbę chorych krążków z takąż liczbą normalnych, okazuje się, że massa znacznie zmniejszona pierwszych, zawiera mniej barwnika, niż równoważna jej massa drugich.

Cywilizacya przedhistoryczna. Na zjeździe Towarzystwa Brytańskiego dla postępu nauk w Glazgowie, p. *Wallace*, prezydujący w sekcyi antropologicznej, świetną mową zagaił jej posiedzenia. W mowie tej przebiegłszy, między innemi, w krótkości stopniowy, w ciągu ostatnich dwudziestu lat, rozwój pojęć o dawności rodu ludzkiego, zwrócił uwagę na błędne, ogólnie panujące, zdanie o jego wy-

kształceniu przedhistorycznèm. W istocie, istnieje oparte na zabytkach przemysłu człowieka z głębokiéj starożytności przekonanie, że im daléj myślą przenosić się w nią będziemy, z tém grubszemi pod względem materyału i obrobienia spotkamy się wyrobami, wedle których dzieje kultury, wstecz się cofając, podzielono na okresy: żelaza, bronzu, kamienia szlifowanego, wreszcie łupanego krzemienia. Ztąd wyniknął ogólnie przyjęty wniosek, że w odległéj przeddziejowéj starożytności, człowiek żyjąc w iście dzikim stanie, stał stosunkowo pod względem umysłowym niżéj, niż wiele plemion obecnie żyjących na odległych i mało znanych wyspach. P. Wallace zwraca uwagę na jednostronność i zbytnią wyłączność podobnego mniemania i przypomina, że już w 1873 r. p. *Albert Mott* w mało znanéj ogółowi mowie swojéj, jaką zagajał posiedzenie Towarzystwa literackiego i filozoficznego w Liverpool, starał się zrehabilitować czasy przedhistoryczne ze względu na przyznawaną im zwykle ciemnotę. Argumenta, na jakich się p. Mott opiérał, i przytaczane przezeń fakta p. Wallace streszcza ponownie.

Na jednéj z mało znanych wysp niewielkiéj gruppy *Wajhu* czyli *Zmartwychwstania*, leżącéj na oceanie Spokojnym pod 27 stopniem szerokości południowéj, prawie w pośrodku pomiędzy Ameryką południową a archipelagiem Pomotu albo Niebezpiecznym, znaleziono około czterystu olbrzymich figur kamiennych rozmaitéj wielkości, od ośmiu do kilkudziesięciu stóp wynoszącéj. Głowy niektórych posągów uwieńczone są opaską z czerwonego kamienia mającą dziesięć stóp średnicy, a same figury stoją na szerokich kamiennych sztucznych podstawach. Najmniejsza z nich waży sto centnarów, a największa parę tysięcy centnarów ważyć może. Wykonanie tylu podobnie olbrzymich posągów z kamienia, wymagało przedewszystkiem ogromnéj liczby rąk, odpowiednich narzędzi, a więc znacznego już stopnia przemysłowego rozwoju. Że zaś sama wysepka jest bardzo małą, przypuszczać więc koniecznie wypada, że utwory te albo z zewnątrz przeniesione na nią zostały, albo na miejscu wyrobione były nie przez szczupłą ludność miejscową, ale przez czasowych przybyszów, co w każdym razie dowodzi ciągłych i prawidłowych stosunków wyspy z innemi większemi lub ze stałym lądem, a więc istnienia rozwiniętéj już żeglugi i wyższéj kultury, aniżeli dziś istniejąca w ogóle u wyspiarzy oceanu Spokojnego (1).

Bardziéj jeszcze uderzającemi są odwieczne roboty ziemne dawnych mieszkańców całego porzecza Mississipi, których z tego względu

---

(1) Posągi te wymiarami swemi wprawiały już wzdumienie Hollendrów, kiedy w 1722 r. wyspę tę odkryli, następnie *Cooka* (1774) i *Laperousa* (1786), którym zawdzięczamy pierwszy dokładny ich opis. Od tego czasu bardzo wielu żeglarzy odwiedziło wyspę Wajhu. W ostatnich czasach angielski statek *Topaz*, przywiózł jeden z mniejszych posągów do Anglii, admirał zaś francuzki *De Lapelin* na fregacie *Flora*, dostawił arsenałowi w Rochefort drugi taki posąg.

budowniczymi okopów (mount-builders) nazwano. Są to ogromne obozowiska na pionowych nieraz skałach lub na równinach zbudowane, a po kilka wiorst długości mające, to znowu grobowce rozległe i na ośmdziesiąt stóp wyniesione. Pierwsze bywają niekiedy wysokim skalnym murem i głębokim rowem otoczone, wewnątrz posiadają sztuczne zbiorniki wody, a w narożniku skalistą wieżę strażniczą. W stanie Ohio spotykają się często rozległe przestrzenie pokryte ziemnemi wałami od 20 do 30 stóp wysokiemi, w postaci kół, elips, kwadratów, ośmiokątów. Wszystkie te geometryczne figury są doskonale prawidłowe, pomimo wielkich wymiarów, bo niektóre koła mają po 500 sążni średnicy, a kwadraty dokładnie foremne po tysiąc stóp boku. Budowa ich dowodzi znacznéj już biegłości w mierzeniu długości i kątów, pewnego pojęcia formy, a więc stosunkowo znacznego już umysłowego rozwoju, którego bynajmniéj nie przedstawiały późniejsze plemiona krajowców znalezionych w chwili odkrycia Ameryki.

Grobowce i sztuczne usypiska dla spełniania obrządków religijnych wzniesione, są również bardzo liczne, a rozkopywania wykryły w nich mnóstwo przedmiotów sztuki, wyjaśniających do pewnego stopnia stopień kultury ówczesnéj. Po większéj części w grobowcach tych istnieją obszerne wklęsłe ogniska lub naczynia kształtne z gliny ogniotrwałéj, a w nich szczątki rozmaitych przedmiotów uległych działaniu ognia: narzędzi, ozdób złotych, miedzianych, z miki i muszli perłowéj, naszyjników z muszli i srebra, wyrobów garncarskich, figurek kamiennych, sztucznie rzeźbionych i stanowiących zwykle fajki. Metalowe wyroby wszystkie są kute, skorupy z naczyń, prawdopodobnie na krążku toczonych, są ozdobione wyobrażeniami ptactwa i kwiatów o bardzo starannym rysunku. Kamienne fajki przedstawiają wizerunki łatwych do rozpoznania zwierząt lub głowy ludzkie. Wyrzeźbione zwierzęta nie tylko należą do gatunków właściwych miejscowości, ale nawet trafiają się między niemi i takie, jakich dziś tam niema, jak np. brzegowiec, *(manatus)*, który prawdopodobnie podówczas wpływał na Mississipi, jak dziś na Amazonkę i tukan, który chyba dopiero w Meksyku się natrafiał. Rysy głów rzeźbionych noszą charakter intelligentnego i cywilizowanego człowieka i różnią się całkowicie od typu dzisiejszych Indyan. Czaszki autentyczne w tych samych grobowiskach znalezione są daleko kształtniejsze i z przodu lepiéj rozwinięte, niż u dzisiejszych czerwonoskórych plemion.

Trudno, zaprawdę, oznaczyć, nawet w przybliżeniu, starożytność owych szczątków. Olbrzymie lasy pokrywające wszędzie owe ziemne roboty, których drzewom mniéj więcéj tysiąc lat wieku przypisują, nie mogą tu być pewną chronologiczną wskazówką, bo las podobny może istnieć od kilkudziesięciu wieków na tém samém miejscu. W obecnéj kwestyi nie chodzi zresztą wcale o mniéj lub więcéj odległą dawność owych ludów, ile raczéj o to, że w epoce zakładania

kolonij w Ameryce północnej przez Europejczyków, indyjskie pokolenia nie posiadały żadnych podań o przodkach odznaczających się daleko wyższą cywilizacyą. Tymczasem obecnie znajdujemy wyraźne ślady, że podobne zaludnienie istniało tu niegdyś licznie i obszernie, że musiało zajmować się rolnictwem niezbędnem dla wyżywienia ogromnej liczby rąk potrzebnych do wzniesienia tak potężnych i niezliczonych niemal robót. W samym bowiem dzisiejszym stanie Ohio, liczą ich od jedenastu do dwunastu tysięcy. Na wielkich tedy obszarach mamy tu przykład, że stan stosunkowo wysokiej kultury ustąpił miejsca barbarzyństwu, nie pozostawiwszy po sobie tradycyi, ani wpływu na następców.

I w innych miejscowościach amerykańskiego kontynentu napotykają się fakta podobne. Nowe odkrycia dowodzą, że w Meksyku, w Ameryce środkowej, w Peru, plemiona odmienne i wyżej wykształcone poprzedziły Indyan dzisiejszych. Rzeźby i naczynia gliniane w szczątkach miast odwiecznych i w grobowcach znalezione, przedstawiają rysy ludzkie zupełnie odmienne od indyjskich i bardzo zbliżone do dzisiejszych europejskich. Czaszki odkryte toż samo znamionują.

Mamy nakoniec jeden jeszcze przykład następowania niższej cywilizacyi po daleko wyższej. Największa z piramid egipskich była oddawna przedmiotem badań wielu uczonych pod najrozmaitszemi względami. Obecnie, po uprzątnieniu głębokich pokładów piasku, pokrywających ją od dołu, dobrano się do jej fundamentów i najściślejsze pomiary professora *Piazzi Smytha* wykazały ciekawe matematyczne fakta, a mianowicie: że podstawę jej stanowi doskonały kwadrat o równych bokach i prostych kątach, że cztery kamienie węgielne w rogach leżą ściśle na jednym poziomie, boki piramidy odpowiadają dokładnie czterem punktom kardynalnym, a pionowa jej wysokość ma się do obwodu podstawy, jak promień koła do jego okręgu. Wszystko zaś to wykonane jest z taką dokładnością, że do wykrycia jakiegoś usterku potrzeba najdelikatniejszych narzędzi i wyszukanych sposobów dzisiejszego miernictwa. Sama budownicza strona piramidy mieszczącej wewnątrz liczne izby i chodniki z ogromnych kamieni najdokładniej ułożonych i związanych, dowodzi wysokiej umiejętności. A że zdaniem ogólnem jest ona nie tylko najstarszą ze wszystkich egipskich piramid, ale zarazem najdawniejszym zabytkiem budowniczym na świecie, więc wobec niej mimowoli przychodzą na myśl słowa Jana Herschla, że są jednakże pewne fakta, które według powszechnie przyjętych teoryj istniećby nie powinny. Zwykle bowiem utrzymujemy, że wyższy stan kultury jest zawsze koniecznem następstwem poprzedniego niższego, historycznem prawem, mającem jawny dowód w dziejowym przebiegu ludzkości i pomnikach świadczących o względnej jej intelligencyi. Otóż w danym razie spotykamy budowlę z czasów dziejowego zarania, najdawniejszy znany zabytek ludzkiej kultury, który jednakże nie tylko nie

ustępuje późniejszym, ale je znakomicie przewyższa. Trudno przypuścić, aby jego budowniczy był jednostką wyjątkową wśród barbarzyńskiego ludu. Wiele zapewne mniéj sztucznych i doskonałych budowli, dziś zaginionych, poprzedziło ową wielką egipską piramidę, jakkolwiek żadna po nich nie pozostała tradycya.

Jeżeli obok faktów powyższych przypomnimy sobie kulturę starożytnéj Grecyi, wysoką moralność zawartą w pismach Konfucyusza, Zoroastra, w Wedach indyjskich, musimy mimowolnie dojść do wniosku, że jeżeli nawet w przebiegu dziejowym, kultura materyalna rozwijała się stopniowo, to jednakże stan duchowy i moralny człowieka na wysokim już w bardzo odległéj starożytności znajdował się stopniu. Pomimo tego wszakże plemiona barbarzyńskie po wszystkie czasy istnieć tu i owdzie musiały potężnemi gromadami, a w pewnych epokach jako dzikie hordy zalewały i tępiły cywilizowańsze społeczeństwa. Tym sposobem wyjaśnia się ciekawe zjawisko: jakim sposobem najdawniejsza znana czaszka ludzka z jaskini Engis, współczesna mammutowi i reniferowi we Francyi, (sądząc z jéj kształtu), mogła, według słów profesora Huxleya, zawierać tak dobrze mózg filozofa, jak i dzikiego człowieka. Nie brakło zapewne czasu dla wytworzenia wielu kolejno po sobie następujących społeczeństw cywilizowanych, to znów barbarzyńskich. Dziś coraz więcéj ustala się przekonanie, że ludność z epoki łupanego krzemienia w istocie poprzedzała okres lodowcowy, który zmieniając całkowicie warunki klimatu i bytu zwierzęcego, długą przerwą rozdzielił od siebie epoki łupanego i szlifowanego kamienia.

Nowe zwierzę kopalne. W najstarszych trzeciorzędowych pokładach zagłębia paryzkiego, zwanych *pokładami St. Ouen*, należącemi do formacyi eocenowéj, znaleziono w parku Monceaux, a więc wśród Paryża, kości ssącego zwierzęcia, które p. *Gervais* uważa za nowy rodzaj z rzędu *bezzębnych*, wielkości dzika lub tapira i daje mu nazwę *Pernatherium rugosum*. Byłby to najdawniejszy przedstawiciel gruppy bezzębnych zwierząt, jakiego znamy do obecnych czasów.

Uprawa buraków. P. *Pagnoul* robił przez lat siedm doświadczenia nad wpływem względnéj odległości sadzenia i ilości azotu w nawozie na ilość cukru w burakach. Z doświadczeń tych wynika, że korzystną jest rzeczą niezbyt szeroko sadzić buraki a także nie przechodzić pewnéj ilości azotu w nawozie. Buraki sadzone od siebie o dwadzieścia cali w każdym kierunku zawierały 10% cukru, sadzone o 17 cali w jednym, a o 8 cali w drugim kierunku, zawierały 12% cukru. W drugim szeregu doświadczeń zmieniana była jedynie ilość azotu w nawozie z zachowaniem tych samych odstępów przy sadzeniu; buraki na silnie azotowym nawozie zawierały mniéj

cukru, więcéj materyi azotowych i popiołów. Nadmiar więc azotu daje buraki w cukier uboższe i utrudnia samę fabrykacyą. Buraki wreszcie na bardzo azotowym nawozie, gęsto sadzone, stosunkowo mniéj wad owych posiadały.

Dwaj inni uczeni, pp. *Dehérain* i *Frémy* robili poszukiwania nad wpływem nasienia buraków na zawartość w nich cukru, sadząc dokładnie oznaczone nasiona w gruncie jednakowym pod względem gatunku i nawozu. Próby czyniono z burakami o różowym nagłówku i z burakami Villmorina ulepszonemi przez dobór; pierwsze zawierały od 5,5 do 7,5%, drugie od 13,4 do 16,2% cukru. Na nawozie bogatym w azot i fosforany ilość cukru stale się zmniejszała, jakkolwiek zbiór był prawie dwa razy obfitszym.

Ważną kwestyą dla fabrykanta i plantatora, których interesa niejako są w przeciwieństwie z sobą, jest pytanie: jak lepiéj kupować i sprzedawać buraki, na wagę, czy na gęstość soku? W ogóle, kupowanie, z tego, cośmy widzieli, na wagę, ryzykowniejszém jest dla fabrykanta; sprzedawanie zaś na gęstość soku wedle starannych prób i obliczeń wtedy tylko dla plantatora szkodliwém być może, jeżeli sadzi on złe buraki. Dziś stanowczo utwierdza się przekonanie, że ażeby z danéj powierzchni gruntu otrzymać największą ilość cukru w warunkach korzystnych zarazem dla fabrykanta i plantatora, potrzeba przedewszystkiém starać się o jak najlepsze nasienie. Zdaniem p. *Dehérain* plantatorowie wtedy dopiéro zgodzą się na zastąpienie mało cukrowych, ale obfity plon dających buraków, innemi, w cukier obfitszemi, choć mniéj plennemi, kiedy przy kupnie przyjętą za zasadę zostanie ich procentowość.

Na północy Francyi niektórzy plantatorowie obrywają w części liście z buraków podczas ich wzrostu, na karm dla bydła. Obliczano więc z danéj przestrzeni gruntu wagę zebranych buraków pozbawianych tym sposobem liści, w porównaniu z wagą buraków nietkniętych, a niemniéj robiono rozbiory jednych i drugich dla przekonania się, jaki wpływ na buraki miéć może owo obrywanie. Średnia waga obrywanych buraków z jednego akra była mniejszą o 146 kilogrammów, co na nasze miary daje różnicę przeszło 200 centnarów z morgi. Nadto, kiedy buraki nietknięte zawierały 9,32% cukru, buraki obrywane—tylko 6,21%. Zmniejszenie to ilości cukru zależy od dwóch przyczyn: najpierw, obrywając liście pozbawia się buraki organu koniecznego do wyrabiania pierwiastków gromadzących się pod postacią cukru w korzeniach, a następnie, cukier wydzielony już w komórkach tkanki korzeniowéj zużywa się w części na odbudowę nowych liści, które roślina wytworzyć się stara, by zastąpić niemi oberwane. P. *Corenwinder*, który starannie badał tę kwestyą, przekonał się nadto, że w żeberkach mianowicie liści, znajduje się cukier niekrystaliczny w ilości 20 grammów na litr soku, a nadto, że buraki o szerokim i należycie rozwiniętym liściu są w cukier bogatsze, niż o drobnym i wązkim.

Wystawa rolnicza w Birminghamie. Królewskie towarzystwo rolnicze angielskie odbyło w drugiéj połowie Lipca w Birminghamie zjazd swój doroczny, łączony zawsze z wystawą. Było to trzydzieste szóste jego zebranie od 1840 r. Towarzystwo nader przeważny i zbawienny wpływ wywiera na wszystkie gałęzie gospodarstwa rolnego w Anglii, liczy 6000 członków, posiada ogromny budżet roczny i kapitału zapasowege przeszło 750,000 franków. Podobna instytucya istnieje oddzielnie w Szkocyi i Irlandyi, a nadto rozmaite hrabstwa mają swoje towarzystwa miejscowe, liczne i w kwitnącym stanie.

Od 1870 r. Towarzystwo przyjęło za zasadę udzielanie nagród za wzorowo prowadzone folwarki, co rok w innem hrabstwie, jak się to dzieje już we Francyi, Belgii i Włoszech, a jak zaprowadzone ma być w Niemczech. W 1876 roku przyszła kolej na hrabstwo Warwick; pierwszą nagrodę stanowił puhar wartości 100, drugą wartości 50 funtów sterlingów. Folwarki mniejsze od 200 akrów (około 144 morgów naszych) konkurują oddzielnie. Na wystawie do konkursu stają konie, bydło rogate, owce, świnie, masło i sér, wełna, wreszcie machiny rolnicze. W ogóle przedstawiono 1500 okazów rozmaitych zwierząt, a miasto ofiarowało 20,000 franków na nagrody, oprócz kosztów przewozu i urządzenia wystawy.

Konie wszelkiego rodzaju: wierzchowe, powozowe, robocze, świetnie były reprezentowane, a nagrody za nie wynosiły 39,250 franków. Z bydła rogatego rasa Durham pierwsze zajmowała miejsce i odznaczała się najcenniejszemi przymiotami budowy. W ogóle gospodarze angielscy, a jeszcze bardziéj amerykańscy, ubiegają się z dziwnym zapałem o wyborowe rozpłodowe okazy téj rasy. Z początku Stany Zjednoczone płaciły Anglikom bajeczne ceny za protoplastów dzisiejszych trzód amerykańskich; obecnie Anglicy odkupują potomstwo tam zrodzone za również niesłychane pieniądze. Jest to po prostu amatorstwo, jak każde inne, nie mające bynajmniéj związku z postępem rolnictwa. Niedawno w Stanach Zjednoczonych, w Toronto, sprzedawano przez licytacyą 54 sztuki stadników i jałowic z rasy Durham. Otóż za jedną jałowicę zapłacono 85,310, a za drugą 106,700 franków. Przeciętna cena bydlęcia na téj licytacyi wyniosła około 10,000 franków, co często i w angielskich wzorowych oborach się trafia. Dla krów mlecznych, na każdéj wystawie znaczne są przeznaczane nagrody, bo konsumcya masła i séra bardzo jest wielka w Anglii i corocznie znaczna ilość tych produktów sprowadza się z Danii, Hollandyi i Francyi.

Z owiec celne miejsce zajmowały skopy opasowe rasy *dishley*, *southdown*, *shropshire i costwoods*. W ostatnich latach southdowny, pomimo wybornego swego mięsa, ustępują coraz bardziéj pierwszeństwa ogromnym shropshirom. Na wystawę Birminghamską stanęło tylko 78 tryków i macior z pierwszéj, obok 509 okazów z drugiéj rasy.

Swinie w gospodarstwie angielskiém ważną odgrywają rolę i z wielkiem powodzeniem są hodowane na wsiach i w małych miasteczkach. Od jakichś dziesięciu lat zaprowadzono już dla nich rodowody, jak dla koni i bydła rogatego. Wszelako w Anglii nie odróżniają tylu odmian o najdziwaczniejszych nazwach, jakie spotykają się na wystawach francuzkich. W Anglii dzielą je tylko na cztery gruppy: rasa biała, duża i mała, podobnież czarna, rasa Berkshire i rasy mięszane, których coraz więcej starają się unikać.

Owce na wełnę, oraz masła i séry nic ciekawego w ogóle na wystawach angielskich nie przedstawiają, z wyjątkiem wybornego Styltońskiego séra. Za to wystawy narzędzi i machin rolniczych nigdzie podobnéj widzieć nie można, bo wszystkie fabryki nowości swoje przedewszystkiém dają na konkurs Towarzystwa Królewskiego. W Birminghamie było machin około 4,500: całe setki lokomobil, młocarni, żniwiarek, kosiarek. Liczne pługi parowe orały przez cały tydzień, starając się na wyścigi wykazać swą wyższość i zyskać licznych nabywców. Wielką nowością w tym oddziale wystawy była pierwsza próba zastosowania machiny parowéj do żniwiarki. Jeden z inżynierów połączył lokomotywę drożną z jedną z najdawniéj znanych, a dziś już zaniechaną, żniwiarką Bella. Jakkolwiek samo ich połączenie jest bardzo pomysłowém, wszelako liczne próby wykazać dopiéro potrafią, o ile żniwiarka parowa praktyczną być może.

Towarzystwo wydaje dwa razy do roku roczniki w książkach od 500 do 600 stronnic druku, bardzo ciekawéj i poważnéj treści. W ostatnich, naprzykład, dwóch tomach mieszczą się między innemi: badania nad *doryphorą*, owym szkódnikiem niszczącym kartofle w Stanach Zjednoczonych, rozprawa o uprawie kartofli, o ustalaniu wydm piaszczystych, o pokładach fosforanów wapna na całym prawie świecie, o teoretycznéj i praktycznéj wartości pokarmów i mierzwy z nich produkowanéj, o użyciu wód z kanałów miejskich i t. p.

Instytut agronomiczny w Paryżu. W dniu 6 Grudnia nastąpiło otwarcie instytutu agronomicznego mieszczącego się obecnie w gmachu Konserwatoryum sztuk i rzemiosł. Nie jest on właściwie zupełnie nowym zakładem, bo dekretem rzeczypospolitéj w 1848 r. założono go w Wersalu, gdzie świetnie rozwijać się zaczynał, kiedy nagle na rozkaz cesarski zamkniętym został. Przywrócenie téj szkoły przyjęto z wielkiém zadowoleniem. Dwudziestu czterech uczniów zdało natychmiast egzamin wstępny, a 83 wolnych słuchaczy było już zapisanych w dniu otwarcia.

Wyroby z amiantu. W Tivoli, niedaleko Rzymu, wyrabiają obecnie papier z amiantu, bardzo mocne nici i płótno nieustępujące lnianemu w cienkości. Wiadomo, że przedmioty podobne nie ulegają spaleniu, zbrudzone czyszczą się w ogniu, i trzeba dopiéro bardzo wysokiej i długotrwałéj temperatury, żeby na rodzaj szkła się

stopiły. Ubiegłéj jesieni była w Rzymie ciekawa wystawa wszelkich wyrobów z amiantu. Kilogramm papieru amiantowego kosztuje 60 franków.

Żelazo meteoryczne. Na jedném z posiedzeń listopadowych Akademii Nauk czytano wiadomość o żelazie meteoryczném znalezioném w prowincyi Ś. Katarzyny w Brazylii'i zawierającém 64% żelaza i 36% niklu, co odpowiada prawie ściśle wzorowi Fe_2 Ni. Tak bogatego w nikiel żelaza dotąd nie znano. Jest ono nadto dziwnie czystém, bo obok niklu nie zawiera wcale chromu, kobaltu, manganu, ani miedzi, metali zwykle występujących w żelazie meteoryczném. C. wł. = 7,75. Jest twardsze od zwykłego żelaza, ale daje się łatwo piłować i zachowuje ślady uderzeń młota. Oblane kwasem solnym daje natychmiast znane figury Widmanstettena (charakter, jak wiadomo, stały dla żelaza meteorycznego).

P. *Daubrée* stawia go obok żelaza znalezionego przez professora Nordenskiölda w 1870 r. w Grenlandyi, w znacznych massach wśród żyły bazaltu. Obecność jego w bazalcie objaśniano tém, że mogło ono spaść na ziemię i dostać się do żyły bazaltowéj, kiedy była jeszcze w rozmiękczonym, ciastowatym stanie. Czyby nie wypadało przypuszczać raczéj, powiada p. Daubrée, że wydobyło się ono z łona ziemi razem z bazaltem, boć w jéj wnętrzu znajdują się i inne materye wielce podobne do pewnych kamieni meteorycznych. Bardzo ważną rzeczą byłoby zbadanie: czy owe niklowe żelaza z Brazylii i Grenlandyi są ziemskiego pochodzenia, czy téż rzeczywiście spadły z zaziemskich przestworów.

Sztuczne kryształy minerałów. P. *Boussingault* przedstawił Akademii Nauk sztuczne kryształy magnetytu i błyszczu żelaznego (bezwodnego tlenniku żelaza), które się same utworzyły w Ria (Wyższe Pyreneje) w piecu hutniczym przy prażeniu sferosyderytu (węglanu żelaza) zawierającego od 45 do 55% metalu. Kryształy magnetytu, bardzo zbliżone składem do rodzimych, są, jak i te ostatnie, ośmiościanami foremnemi.

Nikiel z Nowéj Kaledonii. Na téj wyspie francuzkiéj znaleziono obfite pokłady rudy niklowéj, będącéj wodnym krzemianem magnezu i niklu. Kopalnie są obecnie w pełnéj eksploatacyi, a ruda dla przerobienia idzie do Francyi. Nie zawiera ona ani siarki, ani arsenu, daje przeto metal wyborny, tém szczególniejszy, że pod młotem jest on kowalnym, nie zaś kruchym jak zwykle. Z miedzią daje spiż doskonały, bardzo pożądany dla fabryk nowego srebra.

Produkcya złota i srebra w Kalifornii w 1876 roku. W ubiegłym 1876 r., podobnie jak w 1875 r., dobyto złota za 20 milionów dolarów. Dwie trzecie téj ilości pochodzi z napływów, jedna trzecia ze skał kwarcowych. Napływy zalegają w dawnych korytach rzek, jako pokłady zwiru złotonośnego na kilkaset stóp grube a od 400 do 800 sążni szerokie. Ze zwiru mechanicznie wypłókują złoto, a jakkolwiek w wielu miejscowościach zwir ten zebrano już aż do litéj

podstawowéj skały, jednakże pozostają jeszcze ogromne jego obszary, zapewniające na długie lata świetne zbiory. Eksploatacya złota z kwarcytów nie robi postępu, owszem znaczną liczbę żył, a nawet istniejących łomów opuszczono, bo wartość otrzymywanego złota z centnara skały nie dochodzi 60 kopiejek, co zwykle nie pokrywa kosztów eksploatacyi. W Australii, gdzie robotnik jest o połowę tańszy i artykuły żywności mniéj drogie, z kwarcytowych skał dobywają złoto nawet przy wydajności o połowę mniejszéj.

Produkcya srebra w górach Śnieżystych (Sierra Nevada) nigdy świetniejszą nie była. Kompania *Consolidated Virginia* od Lutego 1875 r. rozdziela miesięcznie akcyonaryuszom po 1,080,000 dolarów (przeszło 1 $^1/_2$ miliona rubli) dywidendy — kompania *California* od Maja 1876 r. zaczęła swoim takąż samą dywidendę wypłacać. Obiedwie kompanie otrzymują obecnie czystego zysku 25 milionów dolarów na rok z dochodu wynoszącego brutto 37 milionów. Prawie wszyscy akcyonaryusze zamieszkują w San-Francisco, dziwić się więc nie można bogactwom i zbytkowi, jakie panują w tém mieście.

Trzęsienie ziemi w Wiedniu 17 Lipca 1876 r. Jakkolwiek stolica Austryi nie doznała nigdy zbyt przykrych następstw w skutek trzęsienia ziemi, wszelako kroniki jéj od XIII wieku wspominają niejednokrotnie o tém groźném zjawisku, od czasu do czasu ją nawiedzającém. W obecném już stuleciu niewątpliwe wstrząśnienia dały się uczuć w Wiedniu trzynaście razy; ostatnie w 1870 r. było nawet przedmiotem starannych badań professora Suessa. Najsilniejsze z dawniejszych wydarzyło się 15 Września 1590 r. i sprowadziło zawalenie się zajazdu pod „Złotem słońcem" przy czém kilkanaście osób zginęło. Wieża Ś. Stefana znacznie wtedy pochyloną została i nie bez trudności naprawić ją zdołano. W trzęsieniu ziemi z 1689 roku uległa ona również znacznemu szwankowi.

W dniu 17 Lipca roku przeszłego, o godzinie 1 min. 22 z południa według średniego czasu wiedeńskiego, dwa uderzenia, w dwie do trzech sekund jedno po drugiém, wstrząsły posadami Wiednia. Długość trwania obudwóch nie przeniosła siedmiu sekund. Zrysowały one znacznie wiele prywatnych domów, jakkolwiek nie obaliły żadnego. Wierzchołek wieży Ś. Stefana ulegał silnemu wahaniu się, które mnóstwo widzów zauważyło. Na giełdzie, przepełnionéj spekulantami, taka panowała trwoga, że wiele osób wyskoczyło przez okna nie mogąc się dotłoczyć do drzwi szczelnie przez tłum zapchanych. Z restauracyj i kawiarni goście w popłochu szybko powybiegali na ulice. Na kolejach żelaznych sygnały same się poruszały a wagony stojące na spadkach własnym pobiegły ciężarem, nie zrządziwszy szczęściem żadnéj szkody. Jadący tramwayami nie odczuli jednakże żadnego wstrząśnienia i mocno zdziwieni byli widząc popłoch ogólny w około siebie na ulicach. Lekkie drganie wagonów zobojętniło dla nich ruch ziemi.

Punktem środkowym trzęsienia było miasteczko Scheibbs, leżące nad bystrym górskim potokiem Erlaff, wybiegającym z Alp Styryjskich i wpadającym z prawéj strony do Dunaju powyżéj Wiednia, pomiędzy miastami Ips i Moelk. O milę mniéj więcéj od Scheibbs ku południowi istnieją skały wybuchowe, dowodzące, że tu niegdyś działały siły wulkaniczne. W Scheibbs były trzy wstrząśnienia około dziesięciu sekund trwające, a jako w ognisku ruchu daleko silniejsze, tak, że prawie wszystkie domy znacznie uszkodzonemi zostały. Trzęsienie ziemi ztąd rozeszło się w znacznym promieniu po Górnéj i Dolnéj Austryi, Morawii, Czechach i dosięgło Węgier. Przestrzeń przez nie nawiedzona wynosiła około dwóch tysięcy mil kwadratowych. Nie było ono pojedyńczém zjawiskiem bez pewnéj łączności z innemi wstrząśnieniami: trzęsienie ziemi 26 czerwca wyraźne w Neunkirchen niedaleko Wiednia, jakkolwiek w stolicy nie zauważone, ostrzegło już o możliwości następnych. Piątego lipca było wprawdzie silne trzęsienie ziemi w Koryncie, ale to z powodu wielkiéj odległości mogło z wiedeńskiém nie miéć żadnego związku. Na źródła mineralne trzęsienie wiedeńskie nie wywarło wyraźnego wpływu, bo jakkolwiek dało się czuć w Baden, nie zwiększyło jednak ilości bijącéj wody, jak niegdyś lizbońskie w 1755 r.

Pożądaną wielce byłoby rzeczą, ażeby w Austryi zaprowadzono seismometry, czyli przyrządy automatycznie wykazujące kierunek i wielkość falowania ziemi podczas trzęsienia; wszelkie bowiem dorywcze spostrzeżenia i opowiadania do żadnych ściśle naukowych doprowadzić nie mogą wniosków.

Rezultaty geologiczne z ostatniéj wyprawy podbiegunowéj. Naturaliści angielskiéj ekspedycyi z 1875/6 roku kapitana Naresa badali pod względem geologicznym cały brzeg amerykański cieśniny Smitha, począwszy od 78° szerokości północnéj aż do połączenia jéj z wielkiém podbiegunowém morzem, zbierając skały, okazy mineralne i skamieniałości dla oznaczenia geologicznego ich wieku. Wybrzeża oceanu podbiegunowego od przylądka *Union* do przylądka *Joseph Henry*, przy którym statek *Discovery* zimował, jak niemniéj brzegi lądu na zachód i wschód ciągnącego się, zwiedzone podczas wycieczek saniami, również starannéj poddawane były uwadze. Nadbrzeżne skały cieśniny Smitha składają się z wapienia diluwialnego zawierającego mnóstwo skamieniałości. Pod 81° 44′ szerokości północnéj istnieją pokłady miocenowe z grubą warstwą węgla, a gliny łupkowe i wapienie do téj formacyi należące przechowały mnóstwo okazów flory miocenowéj, dowodzącéj umiarkowanego klimatu, jaki istniał niegdyś w odległości ledwie stu mil geograficznych od bieguna. Wapienie przesiąknięte węglem tworzą przylądek Joseph Henry.

Czwartorzędowe pokłady wielkiéj miąższości znaleziono wzniesione miejscami do tysiąca stóp, z fauną i florą kopalną podobną do

dzisiejszéj przy brzegach przyległego oceanu. Dowodzi to szybkiego wzniesienia się lądu w obecnym już okresie geologicznym.

Wezwanie do geologów. Na posiedzeniu Stowarzyszenia amerykańskiego dla postępu nauk, w Buffalo d. 25 sierpnia ubiegłego roku, postanowiono jednomyślnie wybrać komitet, któryby się zajął urządzeniem międzynarodowego kongresu geologicznego w Paryżu podczas wystawy 1878 roku dla rozebrania i ustalenia wielu kwestyj dotyczących klassyfikacyi i terminologii geologicznéj, a zarazem zaproszeniem geologów wszystkich krajów o przyjęcie w nim udziału i nadesłanie zbiorów geologicznych, któreby do porównawczych badań posłużyły. Komitet ten składają pierwszorzędni geologowie i paleontologowie amerykańscy, pp: *William Rogers*, *James Hall*, *Dawson*, *Newberry*, *Sterry Hunt*, *Hitchcock* i *Pumpelly*. Obecni podówczas na posiedzeniu uczeni: pp. *Huxley* z Londynu, *Otto Torell* ze Sztokholmu i *Baumhauer* z Harlem, zostali również zaproszeni na członków komitetu, dla łatwiejszego znoszenia się z europejskimi geologami. Wybrano na prezydującego w komitecie słynnego geologa professora Jamesa Halla, a na sekretarza d-ra Sterry Hunta i przygotowano wezwanie do geologów świata całego, w trzech językach: angielskim, francuzkim i niemieckim. W wezwaniu tém komitet uprasza o przysłanie mianowicie: 1) zbiorów łupków krystalicznych i skał wybuchowych, skał osadowych przeobrażonych przez zetknięcie ze skałami ogniowemi, szczątków organicznych znalezionych w skałach krystalicznych. W zbiorach tych mieścić się także powinna każda skała przedstawiająca pewne znaczenie we względzie chemicznym, mineralogicznym lub petrograficznym, osady źródeł wrzących, wszelkie żyły z obejmującemi je skałami. O ile można, obok skał pożądanemi byłyby ich szlifowane preparata do badań mikroskopowych. Jest do życzenia, ażeby wszystkie powyższe materyały ugruppowane były według ich stosunków rodzimych a nie według teoretycznych poglądów lub sztucznych układów; wtedy bowiem tylko można je badać ze względu geognostycznego, a nie petrograficznego jedynie; 2) zbiorów szczątków organicznych z formacyj osadowych, a mianowicie flory i fauny poziomów geognostycznych posiadających szczególny interes dla nauki. Głównie pożądane są szczątki z formacyi pierwotnéj, takońskiéj i kambryjskiéj; 3) kart geologicznych, przecięć i modeli objaśniających mianowicie budowę gór. Ze względu kart szczególniéj zwraca się uwagę kongresu na podziałki, jakichby używać wypadało, na kolory i symbole, na najdogodniejszy sposób wyobrażania na jednéj i téj saméj karcie pokładów wierzchnich, a zarazem i pod niemi leżących. Z rozpraw nad temi kwestyami wypłyną zasady kreślenia ulepszonych kart geologicznych.

Spirofor. Zdarzają się bardzo często wypdki, w których oddech z powodu mechanicznych albo fizyologicznych przyczyn wstrzymany zostaje, grożąc zaduszeniem. Przy zbyt silném chloroformowaniu, samobójstwach przez powieszenie, a przedewszystkiém przy utonięciu, śmierć następuje w skutek niemożności oddychania. Bardzo często w takich razach jest ona z początku jedynie pozorną, a staje się rzeczywistą wtedy dopiéro, kiedy wszystek tlen we krwi rozpuszczony zużyje się całkowicie, co wszakże w człowieku daleko wolniéj następuje niż u zwierząt ginących szybciéj przez utopienie. Nie należy więc tracić nadziei, choćby utopiony długo nawet pozostawał w wodzie, bo wszystko zależy od zasobu tlenu we krwi, znacznie różnego u rozmaitych indywiduów. Był wypadek, że utopiony, po całogodzinném pozostawaniu pod wodą na pełném morzu, jeszcze do życia przywróconym został.

Pierwszém zadaniem ratunku w razach utonięcia musi być przywrócenie oddychania. Odbywa się to za pomocą różnych mechanicznych sposobów. Położonemu na wznak, z piersią nieco wzniesioną, topielcowi rozcierają i ugniatają klatkę piersiową, wdmuchują powietrze w płuca przy pomocy ust lub mieszka, przytrzymują nieruchomo niższą część ciała, pociągają barki i pachy w tył i ku górze, zlekka je opuszczając 12 do 15 razy na minutę, aby tém wywołać wdychanie i wydychanie i za każdém poruszeniem wprowadzić do płuc pewną ilość powietrza. Podobne jednak środki ratunku wymagają umiejętności i odpowiedniéj wprawy; często więc utonięci umierają jedynie z braku udolnéj pomocy. Otóż p. *Woïlley* obmyślił przyrząd zwany *spiroforem*, mający na celu mechaniczne wywoływanie oddychania i doprowadzanie powietrza do ostatecznych rozgałęzień płucnych. Jest to walec z blachy żelaznéj, w jednym końcu zamknięty, w drugim otwarty, mogący pomieścić ciało utopionego po głowę, która pozostaje na zewnątrz. Walec w około szyi zamyka się szczelnie odpowiednią przeponą, łączy rurą z miechem zawierającym przeszło dwadzieścia kwart powietrza i poruszającym się jak pompa za pomocą drążka. Przy opuszczaniu tego drążka na dół, powietrze w walcu zawarte wchodząc do miecha rozrzedza się, tworzy próżnię w walcu, przez co zewnętrzne powietrze ustami ratowanego wchodzi do klatki piersiowéj i rozdyma ją. Kiedy następnie drążek idzie do góry, powietrze z miecha wraca do walca, a cisnąc na klatkę piersiową, zmusza zawarte w niéj powietrze do wyjścia na zewnątrz. Miech porusza się 18 razy na minutę, i tym sposobem przeprowadza przez płuca w ciągu dziesięciu minut około 90, a przez kwadrans 135 kwart powietrza. Jeżeli po upływie kwadransa oddech naturalny nie wraca, jest to dowodem, że utopiony rzeczywiście nie żyje. Przyrząd ten daje więc pewną kontrollę i wstrzymuje dalsze niepotrzebne usiłowania; może być przez pierwszego lepszego użytym; zapobiega wreszcie niewłaściwemu nieraz ugniataniu klatki piersiowéj, które w najlepszym razie wprowadza tylko do niéj naraz

i wyprowadza niewielką ledwie ilość powietrza. Przy użyciu spiroforu szerokość sztucznego oddechu jest przynajmniej taką samą, jak przy oddychaniu normalném.

Narzędzie to próbowaném było w spitalu Charité na trupach. P. Woilley przekonał się, że w ciągu dziesięciu minut wprowadzało ono do płuc 100 kwart powietrza, co daje przeszło pół kwarty na odetchnięcie. Niedogodność w użyciu stanowi niełatwe przenoszenie przyrządu; postawiony jednak na kółka, mógłby znajdować się w portach i stacyach dla ratowania utopionych, a w razie potrzeby zjawiać się na daném miejscu jak sikawka. Niejednemu nieostrożnemu w morskich kąpielach mógłby ocalić życie.

Odkrywanie fuchsyny w winie. Od niejakiego czasu przy podrabianiu win czerwonych zaczęto dla nadania im pięknéj barwy używać fuchsyny, materyi dla zdrowia niebezpiecznéj. Wielu więc uczonych starało się wynaléźć łatwe i pewne środki wykrycia jéj w winie. Zalecają sposób następująay: 10 centymetrów sześciennych wina kłóci się silnie z 10 kroplami czystéj amonii w próbówce szklannéj; do tego dodaje się 5—10 centymetrów sześciennych chloroformu, ponownie kłóci i wlewa do lejka szklannego z kranem. Skoro chloroform zbierze się na dnie, spuszcza się go do parowniczki porcelanowéj, stawia w kąpieli piaskowéj, wkłada doń kawałek białéj jedwabnéj materyi i ogrzewa. Jeżeli wino zawierało fuchsynę, to w miarę ulatniania się chloroformu jedwab' barwi się na różowo tém silniéj, im więcéj fuchsyny użyto.

Prostszy jeszcze sposób podaje p. *Husson.* Do kolbki zawierającéj kilka grammów podejrzanego wina dodaje się trochę amonii, przez co otrzymuje się płyn brunatno-zielony. Wtedy wkłada się do niego nitka białéj włóczki, a kiedy dobrze nasiąknie, trzyma się ją prostopadle i puszcza na nią kroplę kwasu octowego. Jeżeli wino było czyste, nitka natychmiast się wybiela, jeżeli zawierało fuchsynę, nitka silniéj lub słabiéj barwi się na różowo.

Ostatnia wyprawa podbiegunowa angielska. Ze wszystkich podróży w roku przeszłym z celem naukowym dokonanych, pierwsze bez zaprzeczenia miejsce zajmuje podbiegunowa wyprawa angielska na okrętach *Alert* i *Discovery* pod dowództwem kapitanów Naresa i Stephensona odbyta. Wspomniane okręty wypłynęły z Uppernawik, ostatniéj północnéj kolonii w Grenlandyi, w d. 22 lipca 1875 r. przez odnogę Baffińską, cieśninę Smitha i kanał Kennedego. Dnia 25 sierpnia dosięgły zatoki lady Franklin pod 81° 40′ szer. północnéj, gdzie *Discovery* pozostał na zimowisku u przylądka Bellot, a *Alert* przedzierał się daléj przez kry lodowe i posunął w ciągu miesiąca o 15 mil geograficznych bardziéj ku północy, aż do 82° 27′, gdzie

stanął na zimowe leże. Obiedwe załogi ze stanowisk swoich urządzały wycieczki saniami ku północy, połnoco-zachodowi i północo-wschodowi. Kapitanowie Markham i Parr z *Alerta*, podczas wyciecieczki, siedmdziesiąt dni trwającej, po wiecznemi lodami pokrytem morzu, dosięgli 83° 20′ 26″ szerokości, najdalszego punktu północnego, na jakim kiedykolwiek stopa ludzka stanęła, o 14 mil geograficznych od Alerta a o 86 mil od bieguna odległego. Druga wycieczka saniami z *Alerta* ku północo-zachodowi skierowana, zbadała znaczną część północnych wybrzeży ziemi Granta i odkryła pod 83° szerok. przylądek *Columbia*, ostatnią, jak się zdaje, kończynę północną amerykańskiego lądu. Trzecia wreszcie wycieczka na saniach, z *Discovery* ku północo-wschodowi przedsięwzięta, zwiedziła najdalsze okolice Grenlandyi. W ogóle obadwa brzegi, amerykański i grenlandzki, wzdłuż cieśniny Smitha, kanału Kennedego i cieśniny Robesona zostały zbadane z największą starannością. W d. 20 sierpnia 1876 roku *Alert* i *Discovery* z trudnością wydobywszy się z lodowego swego więzienia wyruszyły z powrotem, a w ostatnich dniach października szczęśliwie zawinęły do portu Walencya w Irlandyi.

Istnieje już projekt ponownego wysłania z wiosną obu tych okrętów na morze podbiegunowe, ale tą razą w północno-wschodnim kierunku, pomiędzy Grenlandyą a Szpicbergiem.

Podróże Nordenskiölda. W ostatnich latach, poczynając od 1868 roku, prawie corocznie wyprawy szwedzkie udawały się na morze Lodowate nie tylko w geograficznym i hydrograficznym, ale i w czysto naukowym celu. I dlatego na czele każdéj znajdował się uczony w licznem towarzystwie specyalistów. Plony z tych podróży otrzymano bardzo obfite; jakkolwiek bowiem nie zawsze spełniały się geograficzne nadzieje, to w zamian za to zbierano niezmiernie wiele ciekawych faktów z dziedziny historyi naturalnéj. Tak naprzykład fauna i flora Szpicbergu lepiéj dziś zbadaną została, niż wielu europejskich okolic. Podobnież zbiory zwierząt, a szczególniéj roślin kopalnych, niezmierne rzuciły światło na warunki klimatyczne istniejące w dawniejszych geologicznych okresach. Odkrycie pyłków kosmicznych na lodach podbiegunowych, olbrzymiego meteorytu w Ovifak w Grenlandyi, badania nad rozwojem morszczyn czyli morskich porostów podczas długich nocy polarnych, nad elektrycznością zorzy północnéj i powietrza, nad załamywaniem się światła przy poziomie w bardzo nizkich temperaturach i t. p. nader poważną kartę w nauce stanowią.

Z podróży tych najważniejszemi może były dwie wycieczki w 1875 i 1876 roku dokonane przez professora *Nordenszylda* (Nordenskiölda). Do ostatnich czasów istniało przekonanie, że bezpośrednia morzem kommunikacya pomiędzy Norwegią a północną Syberyą jest niemożliwą, z powodu lodów stale drogę zagradzających. Tymczasem w 1875 r. udało się p. Nordenskiöldowi dostać przez

morze Karyjskie do Jenisseju.. Przypisywano to szczęśliwemu jedynie trafowi i utrzymywano, że lody, które wyjątkowym sposobem raz go przepuściły, kiedyindziéj stale zwartemi pozostają. Otóż dla sprawdzenia tego Nordenskiöld po raz drugi puścił się tą samą drogą, wyjechawszy w dniu 25 lipca z Tromsö w Norwegii. Podróż znowu odbyła się najpomyślniéj, a tam i napowrót trwała pięć tygodni, oprócz szesnastu dni spędzonych na Jenisseju. Pomiędzy drugim a siódmym września na powrotnéj drodze morze Karyjskie wolne było od lodów; obecnie więc nowa a bezpośrednia droga handlowa pomiędzy północną Europą i Azyą jest już otwarta.

Obiedwie podróże miały nadto charakter przeważnie naukowy i nowych dostarczyły faktów. Flora i fauna morza Karyjskiego, o których dotąd żadnego nie miano pojęcia, dokładnie zbadanemi zostały. Dziś wiemy, że morze to, które dotąd pod względem życia organicznego uważano za pustynię, obfitością form zwierzęcych może nieledwie iść o lepsze z niektóremi zwrotnikowemi morzami. Wprawdzie liczba gatunków w niém jest mniejszą; ale niektóre formy izopodów, gwiazdnic i pokwitów (crinoideae) przedstawiają się w nieprzeliczonych i ogromnych okazach. A jednakże temperatura wody słonéj na dnie wynosi około 2° pod zerem, w wielu miejscach znowu blizko powierzchni dziwnego tego morza woda zupełnie jest słodka, a więc zabójcza dla morskich organizmów. Flora Nowéj Ziemi dostarczyła botanikom obfitego plonu i ważnych faktów z zakresu geografii botanicznéj. W pokładach ziemi znaleziono liczne skamieniałości z okresu sylurskiego, węglowego i jurajskiego. Pokłady piaszczyste *tundr*, czyli bagnistych stepów północnych zawierają muszle i kości wskazujące ich klimat i zwierzętostan podczas okresu lodowego i przejściowego w dzisiejszy. Brzegi Jenisseju obfitują w muszle kopalne, z gatunków obecnie jeszcze w oceanie północnym żyjących. Znaleziono kości i kawały skóry mammutów, części szkieletu wołów piżmowych, żyjących jedynie w niedostępnych prawie okolicach podbiegunowych.

Trudno było przypuszczać, ażeby ostatnia wyprawa Nordenskiölda mogła znaleźć nowe lądy, a jednakże udało się jéj odkryć pod 73° szerokości nieznaną dotąd wyspę na 50 wiorst długą i przecinającą na dwie połowy odnogę Jenissejską. Wyspie téj dano nazwę *Sybiriakowa*, na cześć zamożnego rossyjskiego kupca, który do współki ze znanym podróżnikiem p. Oskarem Dixonem ponosił większą część kosztów wszystkich szwedzkich wypraw od 1868 r. Tęż samą nazwę nadano już dawniéj portowi leżącemu nieco na północo-wschód od téj wyspy, a mającemu prawdopodobnie w blizkiéj przyszłości stać się przytułkiem dla licznych statków prowadzących handel zamienny pomiędzy północną Europą i północną Azyą.

Inne wyprawy sybirskie. W ciągu upłynionego lata dwie inne jeszcze wyprawy badały północne części porzecza Obi, a mianowi-

cie: niemiecka pp. Brehma, Finscha i hr. Waldburg-Zeila, oraz wyprawa uorganizowana przez rossyjskie towarzystwo żeglugi pod kierunkiem pp. Raoudsena i Dahla, która zamierzyła sobie zbadać zatokę Obijską aż do wyspy Białéj.

Wyprawa Przewalskiego. Słynny już podróżnik po mongolskich stepach, pułkownik Przewalski, wyjechał 27 czerwca z Omska w towarzystwie pp. Powało-Szwejkowskiego, Eclona i sześciu kozaków eskorty do Semipałatyńska, a ztąd do Sergiopola, stannicy Ałtyn-Imielsk i Kuldży. Przebywszy łańcuch Tian-Szanu ku jezioru Lob-Noor, wyprawa miała się zatrzymać do grudnia i wrócić na zimowisko do Kuldży.

Z obecnie nastąpić mającą wiosną p. Przewalski zamierza przez Karatar dostać się do Tybetu i dojść do stolicy Dalaj-lamy, Lassa. Chce dwa lata przepędzić w Tybecie, zbadać go we wszystkich kierunkach i dotrzeć aż do porzecza Brahmaputry.

Wyprawa obficie zaopatrzoną jest we wszelkie potrzeby, w 25 tysięcy rubli brzęczącą monetą i mnóstwo drobiazgów przeznaczonych na podarki dla krajowców. Między innemi dla Dalaj-lamy wiezie ona srebrny serwis do herbaty.

Podróż Russella. Jedną z najtrudniejszych podróży ubiegłego lata dokonał p. Russell dyrektor średnio-azyatyckiéj kompanii handlowéj. Wyjechawszy w początkach lipca z Kaszmiru, przebył góry Himalajskie dla dostania się do Ladaku, prowincyi chińskiéj w zachodnim Tybecie, okolonéj z północy i północo-wschodu górami Karakorum, oddzielającemi Ladak od małéj Bucharyi. D. 28 lipca p. Russell przybył do Leh, stolicy małego Tybetu, nad brzegami Indusu położonéj.

Ladak jest krainą dziką, górzystą, w któréj najniższe szczyty sięgają już linii wiecznych śniegów. Jest ona głównem siedliskiem znacznego handlu tranzytowego pomiędzy Rossyą azyatycką a Chinami. W lecie przechodzą tu karawany po kilka tysięcy wielbłądów liczące. Z Leh p. Russell przeszedł przez góry Tszung-Ling (Góry Niebieskie po chińsku) dladostania się do Yarkandu, stolicy wschodniego czyli chińskiego Turkestanu. W podróży towarzyszyła mu żona, Angielka, pierwsza kobieta, która odbyła drogę z Indyj do Chin przez góry Himalajskie.

Wyprawa włoska do Afryki podrównikowéj. Towarzystwo geograficzne włoskie wysłało wyprawę naukową pod kierunkiem pp. Antinori i Chiarini przez wyższy Egipt, Abissynię do Szoa. Wyprawa otrzymała od Kedywa list zapieczętowany do gubernatora wyższego Egiptu; ale kiedy nie doznając odpowiedniej pomocy zażądała objaśnień, gubernator pokazał im ów list treści bardzo dwuznacznéj, a nawet złą wolę wykazującéj. Pochodzi to ztąd prawdopodobnie, że gubernatorowie wyższego Egiptu z wiedzą Kedywa

ciągną ogromne dochody z handlu niewolnikami, który pomimo pozornego przez prawo zakazu, odbywa się jednakże w biały dzień publicznie, a co smutniejsza, pod kierunkiem Europejczyków, przeważnie Niemców. Gubernatorowie więc niechętnem okiem widzą podróżników europejskich, którzy nie omieszkają głosić o tém nadużyciu. W ogóle administracya Egiptu jest, jak wiadomo, w bardzo opłakanym stanie. P. Negri, na przykład, znalazł tam lekarza rządowego, którego znał studentem prawa w Padwie. Ponieważ pan ten posiadał dyplom doktora prawa, został więc na téj zasadzie mianowany lekarzem.

Wyprawa włoska w Październiku przybyła do Szoa i została bardzo gościnnie przez tamtejszego króla przyjętą.

Stacye w Afryce. Król Belgijski powziął zamiar utworzenia stowarzyszenia międzynarodowego, mającego na celu ułatwienie dostępu i cywilizacyi do wnętrza Afryki. Jednym z głównych ku temu środków ma być utworzenie stałych stacyj na rozmaitych punktach afrykańskiego lądu, któreby współcześnie były przytułkiem dla podróżników; oraz ogniskiem badań naukowych i usiłowań cywilizacyjnych w przyległéj im okolicy.

Prawdopodobnie następca tronu Pruskiego obejmie prezydencyą w komitecie niemieckim stowarzyszenia. Zabrano się już do utworzenia tego komitetu, a przedstawiciele pierwszorzędni nauki, deputowani, urzędnicy ministeryum spraw zagranicznych i t. p. oświadczyli się z chęcią przystąpienia. Wszelako stowarzyszenie niemiecko-afrykańskie ma zamiar tymczasowo pracować oddzielnie, nie łącząc się od razu ze stowarzyszeniem międzynarodowem.

Geografia handlowa. Bardzo zaszczytnie wspominają o wykładzie geografii w szkole handlowéj w Bordeaux, gdzie prelekcye odbywają się na okazach produktów surowych i przemysłowych. W wykładzie tym cztery okoliczności miane są na względzie: klassyfikacya produktów w odpowiednie gruppy, zbadanie krajów produkujących dany przedmiot, wykazanie głównych ognisk handlowych każdego produktu i nakoniec opis głównych dróg kommunikacyjnych.

Tunel pod górą Śgo Gotarda. Największa inżynierska robota, jaka się obecnie dokonywa w Europie: przebicie tunelu pod górą świętego Gotarda, zasługuje na pobieżną przynajmniéj w obecném sprawozdaniu wzmiankę.

Droga żelazna wielkiego w przyszłości handlowego i politycznego znaczenia, bo łącząca w prostéj linii Włochy ze środkową Europą przez szwajcarskie kantony Tessynu, Uri, Schwyz, Zug do Lucerny, na długości 35 mil naszych przechodzić musi przez okolice, najeżone wysokich gór pasmami, z których Saint-Gothard najpoważniejszą stanowi zaporę. Torowanie dróg przez skaliste massy, o jakiém dawniéj nie marzono nawet, od czasu pomyślnego wykonania tunelów przez Alpy Noryckie (Semeryngska kolej), przez Brenner i od niedawno ukończonego przebicia Mont-Cenis na 12-wiorstowéj długości,

coraz bardziéj ośmiela inżynierów, z każdym dniem wynajdujących i udoskonalających nowe a potężne mechaniczne sposoby pokonywania niezwyciężonych na pozór trudności. Na projektowanéj szwajcarsko-włoskiéj drodze zbiorowa długość wszystkich niezbędnych tunelów, wynosić będzie wiorst 40, czyli 23,3% całéj długości drogi, z których sam przekop świętego Gotarda dwie mile długości mieć będzie.

Koszta zbudowania całéj linii, obliczone pierwotnie na 187 milionów franków, obecnie podają na 289 milionów. Przedsiębierca budowy wielkiego Saint-Gothardzkiego tunelu p. Ludwik Favre, podjął się jéj po 2800 franków za samo tylko przebicie każdego bieżącego metra. Gdy dodamy do tego koszt robót mularskich, obliczony na 12 do 14 milionów franków, wydatki na studya, zbudowanie drogi w tunelu, administracyą podczas budowy i t. p. pokazuje się, że tunel kosztować będzie od 62 do 65 milionów franków. Pomimo poważnéj téj cyfry utrzymują, że budowa tanio wypadnie w porównaniu z kosztami dwóch długich dawniejszych tunelów; bo tunel Mont-Cenis (12,253 metry) kosztował 75 milionów franków, a tunel Hoosac pomiędzy Bostonem i Albany w Massachusets (7634 metry) przeszło po 6000 franków za metr bieżący, gdy Saint-Gothard (14920 metrów) wypadnie mniéj więcéj po 4300 franków za metr.

Tunel S-go Gotarda poczyna się od miasteczka Goeschenen, w Kantonie Uri i dochodzi do Airolo, w Tessynie. Przebicie góry rozpoczęte zostało z obudwu końców, z początku ręcznie, w Airolo 12 Września 1872 roku, w Goeschenen 17 Listopada tegoż roku, ale od wiosny 1873 r. odbywa się, podobnie jak przy przekopaniu Mont-Cenis, przy pomocy świdrów mechanicznych, poruszanych zgęszczoném powietrzem. Świdry te robią mnóstwo otworów w skale, na 30 do 50 cali, według twardości jéj, głębokich, w każdy otwór zakłada się około 2½ funta dynamitu, machina wiercąca cofa się daleko a zapalony dynamit gruchocze w drobne odłamy nawierconą wokoło przestrzeń skały, które następnie uprzątają oddzielne niewielkie wagony, dając dalszy znowu przystęp świdrom. Czterysta wagonów spełnia tę czynność, a na dobę zużywa się, przy obudwu końcach tunelu, przeszło dwanaście cetnarów dynamitu.

Tunel gotowy będzie miał około 27 stóp szerokości dla podwójnéj kolei i około 23 stóp wysokości. Obecnie wszakże nie przebija się on w całéj téj przestrzeni, ale przedewszystkiém otwiéra się u góry mały chodnik na 8 stóp długi i tyleż wysoki; a kiedy w całéj długości otwartym zostanie, wtedy dopiéro nastąpi rozszerzenie go i pogłębienie ku dołowi, do wskazanych wyżéj wymiarów, — co będzie już łatwą i szybką robotą. Świdry uderzają w skałę 600 razy na minutę, a trzydzieści ich pracuje z każdego końca. W skale nie przedstawiającéj zbyt wielkiego oporu wierceniu i należycie kruszącéj się od wybuchu dynamitu, chodnik posuwa się z każdéj strony na dobę o 12 do 15 stóp naprzód, przebijanie więc z obudwu końców powinno po-

stępować o 24 do 30 stóp dziennie. Jednakże rzadko tak się dzieje. Po kilku lub kilkunastu dniach podobnie szybkiej roboty zjawiają się nagle ważne przeszkody. Naraz, naprzykład, tryska niespodziewanie z rozbitego łona skały strumień wody o grubości ramienia, z niesłychaném ciśnieniem, przewracający ludzi, gaszący światło i zatapiający całe roboty. To znowu natrafia się pokład zbitéj krystalicznéj skały granitowéj na tysiąc sążni grubéj, o którą tępią się co chwila świdry, machiny łamią, a straszna siła dynamitu ledwie odłamać może bryłę z takim mozołem wierconą. Nagle, po granicie zjawia się gliniasta, krucha skała, która pod uderzaniem świdra gradem okruchów zasypuje wszystko, tak, że chcąc iść daléj, potrzeba natychmiast podbijać oprawę drewnianą; inaczéj posuwanie się naprzód od ciągłych zawaleń stałoby się niemożliwém. I znowu świder spoczywać musi, bo ma do czynienia ze zbyt miękkim materyałem. Po powodzi granit, po granicie zawalenie. Szczególniéj niesłychane trudności zjawiały się od strony Airolo. Łupki talkowe okazały się tak przepuszczalnemi, że przesiąkanie wody do chodnika wynosiło przez cały rok 1874 po 230 do 250 kwart na sekundę, i ledwie w grudniu dowiercono się do prawie suchéj skały. Kłopoty z odprowadzaniem téj wody i nieustannem zatapianiem robót w rozpacz wprawiały inżenierów przez jedenaście miesięcy, bo nieraz pracować musiano stojąc 20 cali głęboko w wodzie. Stosunkowo lepsze spotkano warunki ze strony Goeschenen, jakkolwiek tu walczono z twardym granitem. Obecnie zbiorowa długość galeryi przebitéj z obudwu końców wynosi już przeszło połowę długości tunelu, który ma być całkowicie gotów, wraz z obmurowaniem i położeniem szyn, na 1 Października 1880 roku. Spodziewają się, że przebicie całkowite przedwstępnéj galeryi ukończoném zostanie do 1 Stycznia tegoż roku i że pozostałe dziewięć miesięcy będą dostatecznemi do jéj rozszerzenia i ukończenia wszelkich innych robót. Koléj zostanie w terminie otwartą, jeżeli tylko względy finansowe nie staną na zawadzie.

Otóż tu zjawia się nader ważna kwestya. Towarzystwo drogi żelaznéj Saint-Gothardzkiéj zachwiało się w interesach i tymczasowo od 1 Września uwolniło od obowiązków cały skład osób zajętych przy budowie. Być więc bardzo może, że otwarcie kolei nie nastąpi 1 Października 1880 roku. Nie ulega jednak wątpliwości, że rządy Niemiec, Włoch i Szwajcaryi, które przeznaczyły 85 milionów franków subwencyi, nie dozwolą spełznąć temu przedsięwzięciu, którego wykonanie odwlec się jedynie może. Nie powstrzyma to jednak bynajmniéj budowy tunelu, bo zapłata przedsiębiercy, p. Favre, zabezpieczona jest właśnie na owéj subwencyi.

Droga żelazna Saint-Gothardzka jest wielce niebezpiecznem dla Francyi, ze względu na stosunki jéj handlowe, przedsiębierstwem, tém bardziéj, że rząd niemiecki wkłada w nią swoje pieniądze. Nie ulega bowiem wątpliwości, że skwapliwość, z jaką rząd ten wkrótce po wojnie francuzkiéj wziął przeważny w budowie udział, dowodzi za-

miaru pozbawienia Francyi znacznych handlowych korzyści. Jakkolwiek więc Towarzystwo drogi powstrzymało roboty wskutek nieprzewidzianego zwiększenia kosztów o 102 miliony franków, jednakże droga ta niezadługo stanie, bądź w skutek zmienienia pierwotnego jéj projektu, a ztąd zyskanych oszczędności, bądź w skutek dalszych subsydyów ze strony interesowanych rządów. A w takim razie cały handel tranzytowy pomiędzy Włochami a Europą skieruje się po nowéj drodze, z pominięciem drogi przez Mont-Cenis, a zatém i Francyi. Trzeba więc myśléć zawczasu o poważnéj a korzystnéj dla tego kraju z nową drogą konkurencyi, ku czemu posłużyć jedynie może nowa linia przez Simplon, z trzecim podalpejskim tunelem. Mianowicie konieczną ona się stanie dla stosunków z Anglią, skoro tunel podmorski pomiędzy Francyą i Anglią przyjdzie, jak się spodziewać należy, do skutku. Nieraz już odpowiednie projekta przedstawiane były Zgromadzeniu narodowemu w Paryżu i zawsze je na przyszłość odkładano. Jest to jednak tak ważna kwestya, że nowe Towarzystwo drogi przez Simplon, postanowiło, jeśli tylko angielska kompania dróg centralnych w Londynie zgodzi się na to, poprowadzić tymczasową kolej żelazną naziemną systematu Fella przez tę górę, jak to niegdyś miało miejsce z St. Michel do Suzy, przed otwarciem drogi Mont-Cenis.

Tunel podmorski. Wspomnieliśmy dopiero o projektowanym tunelu pod cieśniną Kaletańską. W istocie, przewidywania geologów, wierzących w możliwość spełnienia tego, olbrzymiego istotnie i jedynego dotąd projektu, coraz się bardziéj sprawdzają. Ograniczymy się tu jedynie wzmianką, że dla przekonania się: czy zbudowanie tego tunelu jest możliwém, postanowiono wykopać na obu brzegach, francuzkim i angielskim, dwa głębokie szyby, a od ich spodu poprowadzić z dwóch przeciwległych końców probierczą galeryą pod morzem z każdéj strony, po wiorście mniéj więcéj długości, któraby wykazała: czy nieprzewidziane jakieś przeszkody stanowczéj nie położą tamy. Otóż w Sangate (w Anglii) szyb taki już ukończonym został bez żadnych zawad. Jest to wprawdzie dopiero początek próby, ale pod dobrą poczynającéj się wróżbą.

Telegraf afrykański. W Londynie od kilku miesięcy zajmują się projektem zaprowadzenia linii telegraficznéj wzdłuż Afryki od miasta Chartum, leżącego nad Nilem, w południowym Egipcie, do przylądka Dobréj Nadziei. Chartum z Aleksandryą połączone już jest drutem telegraficznym (270 mil naszych).

Projekt jest następujący: z Chartum drut ma iść do Gondokoro (150 mil), a ztąd do Ugandy (50 mil), kraju murzyńskiego króla Mtesy, władzcy północno-zachodnich wybrzeży jeziora Wiktorya Nyanza, znanego z podróży Speka, Granta, Livingstona, Bakera i innych. Pod wodami tego jeziora lina telegraficzna przeszłaby do osady Muanza na południowym jego krańcu (43 mile) a ztąd wdłuż dawnéj drogi Speka do Kazeh (32 mile). Tu rozdzieliłaby się na dwie

odnogi: zachodnią, idącą do Udżydży i wschodnią, do Bagamojo w Zangwebarze. Z Udżydży drut przeszedłby pod jeziorem Tanganyika i dalej przez Bemba, Lobisa, jezioro Nyassa do nowej osady Livingstonia, a korytem rzek Szyre i Zambezi do ujścia tej ostatniej w morze, zkąd lina podmorska dosięgłaby portu Natal na południo-wschodzie kontynentu. Możnaby także od jeziora Nyassa obrać wprost drogę lądową ku rzeczypospolitej Transwaalskiej, co nawet taniejby wypadło.

Cała długość linii telegraficznej pomiędzy Egiptem a koloniami Przylądka wynosiłaby około 580 mil naszych, z których 320 mil stanowiłyby liny podwodne w jeziorach, rzekach i morzu. Sądzą, że większa część linii naziemnej urządzićby się dała bez kosztu stawiania słupów; przytwierdzanoby druty po prostu na drzewach gęstych lasów, w które tak obfituje Afryka zwrotnikowa.

Główna trudność zaprowadzenia tej linii leży w mnogości oddzielnych murzyńskich królików, gdyż często co dwie mile innego się spotyka. Potrzebaby płacić im pensye dla zyskania opieki; a do dwustu ich liczą.

Europejczycy założyliby linią od Gondokoro do Ugandy i pod jeziorem Wiktorya; Murzyni Mtesy — od jeziora do Kazeh, a Arabowie Zangwebaru — od Bagamojo do Udżydży. Inżenierowie angielscy następnie przeprowadziliby liny przez jeziora: Taganyika, Nyassa, rzeki, morze, aż do kolonii Przylądka.

Autorowie wspaniałego tego projektu, pp. Kerry Nicholls, Edwin Arnold i pułkownik Grant, mają to przekonanie, że nie jest on niewykonalnym. Wykazują bowiem, że dłuższe jeszcze istnieją linie, jak z Nowego Jorku do San Francisco, a zwłaszcza z Petersburga do wschodnich wybrzeży Syberyi. Afrykańska linia z Chartum do portu Natal byłaby tylko o 130 mil dłuższą od australskiej, łączącej Adelaidę z portem Darwina. Europejscy dozorcy pilnujący głównych stacyj, mogliby mieć pomocników z krajowców wybranych przez missye nadbrzeżne; pensye pobieraćby powinni od rządów europejskich, od Kedywa i od sultana Zangwebaru.

Nowy hamulec na kolejach. Bardzo ważnem zadaniem na drogach żelaznych jest możność szybkiego zahamowania pociągu. Obecnie maszynista musi najpierw dać znak świstawką brekowym; ci zabierają się do hamowania, kręcą śrubą dla opuszczenia hamulca; co wszystko wymaga stosunkowo dosyć długiego czasu, kiedy nieraz każda sekunda stanowi o wypadku. Idzie o to, żeby maszynista jednym ruchem ręki mógł natychmiast wstrzymać obrót kół. Próbowano już rozmaitych sposobów: elektryczności, zgęszczonego a nawet rozrzedzonego powietrza; ale wszelkie obmyśliwane przyrządy nie odpowiadały celowi. Obecnie dokonywają się próby z wynalazkiem polegającym na zastosowaniu ciśnienia powietrza, ale w nowy zupełnie sposób. Wynalazek ten, amerykańskiego inżeniera *Smitha*, zowie się *hamulcem przez próżnię* (vacuum-brake). Przyrząd hamujący

znajduje się przy lokomotywie, przy ostatnim wagonie, a jeżeli pociąg jest znaczny, to i przy niektórych środkowych. Wystawmy sobie, że pod wagonem jest kauczukowy walcowy mieszek, podobny kształtem do weneckiéj latarki, albo do zwyczajnéj ręcznéj harmoniki, o dwóch dnach okrągłych,— oddalonych, kiedy walec wypełniony jest powietrzem, a zbliżających się w miarę ubywania powietrza. Jedno dno mieszka przytwierdzone jest stale do wagonu, drugie zaś, ruchome, łączy się z drążkiem od hamulca. Jeżeli w takim walcowym mieszku, szczelnie zamkniętym, rozrzedzi się powietrze za pomocą rurki z nim połączonéj, to powietrze zewnętrzne ciśnieniem swojém zbliży dno ruchome do stałego, z siłą stosunkową do powierzchni dna i do stopnia rozrzedzenia powietrza. Wtedy mieszek się spłaszczy, pociągnie drążek, a hamulec spadnie i unieruchomi koło wagonu. Wszystkie podobne mieszki połączone są z sobą rurą kauczukową, idącą wzdłuż całego pociągu aż do lokomotywy. Jeżeli w rurze wytworzymy próżnię, wszystkie mieszki natychmiast się spłaszczą i zahamują koła.

Rozrzedzenie powietrza odbywa się w ten sposób, że rura kommunikacyjna łączy się na lokomotywie z naczyniem stożkowém, do którego wpuszcza się strumień pary z kotła, wypędzający powietrze z mieszków, co wystarcza już do ich spłaszczenia. Jeden ruch kurka od pary wywołuje już we wszystkich mieszkach siłę potężną wskutek ciśnienia powietrza, bo przy powierzchni dna równéj trzydziestu dwóm calom kwadratowym, ciśnienie to będzie wynosiło 480 funtów, co aż nadto wystarcza nie tylko do opuszczenia hamulca, ale i do utrzymania go niewzruszenie przy kole. Tym sposobem przy każdym hamulcu znajduje się stróż czujny i silny, który w mgnieniu oka, bez namysłu i straty czasu, zadosyć czyni skinieniu maszynisty.

Przy kuryerskich pociągach idących z szybkością przeszło 9 mil na godzinę, hamulec Smitha wstrzymuje pociąg w 25 sekund, dając mu biedz około 200 sążni; gdyby można było bardziéj rozrzedzić powietrze, pociąg zatrzymałby się na stu sążniach. Jest to zawsze postęp znaczny w porównaniu z dzisiejszém hamowaniem. Żadnego wstrząśnienia wagony przy tém nie doznają, pomimo stosunkowo szybkiego zatrzymania, bo nie odbywa się ono jak dziś od czoła pociągu, ale naodwrót od jego końca. Obecnie lokomotywa przy hamowaniu pierwsza traci na szybkości, wagon biegnący jeszcze za nią z tą samą prędkością uderza o bufory, i tak się dzieje z każdym następnym. Tu przeciwnie, mieszki opuszczają szybko hamulec od końca pociągu, a więc wagony wcale się uderzać nie mogą.

Nekrologia. Kronika ubiegłego roku na kartach swoich zapisać musi imiona wielce znakomitych badaczów przyrody, którzy w drugiém mianowicie półroczu dług jéj ostateczny żywotem spłacili swoim. Szereg ich, zaprawdę, bardzo poważny, a strata bolesna dla

nauki. Niepodobna nam z powodu braku miejsca podawać choćby krótkiego zarysu chwalebnego ich zawodu; musimy ograniczyć się prostą jedynie wzmianką.

Każda niemal gałąź przyrodoznawstwa poniosła wielką stratę. W biologii, a mianowicie historyi rozwoju zwierzęcego, zmarły *Karol Ernest Baer* zajmował pierwszorzędne miejsce, jako istotny założyciel embryologii, a sześćdziesięcio-dwu-letnie jego prace od chwili uzyskania godności doktorskiéj do ostatnich chwil życia, w najrozmaitszych kierunkach biologicznych niezmordowanie podejmowane, pierwotnie w Królewcu, od lat zaś czterdziestu w gronie Petersburskiéj Akademii Nauk, uczyniły imię jego rozgłośném w całym świecie uczonym. Obok niego staje słynny berliński mikrograf *Ehrenberg* w również sędziwym zgasły wieku, głęboki i pierwszy badacz wymoczków i w ogóle najdrobniejszych, niedostrzegalnych oku jestestw organicznych. Dzieło o wymoczkach i *mikrogeologia* będą zawsze klassycznemi pomnikami działalności jego naukowéj.— *Heuglin*, zoolog niemiecki i znany podróżnik afrykański, zakończył również pracowity swój żywot. Geologia i paleontologia ciężkie poniosły straty w osobach: naszego ziomka *Czekanowskiego*, niezmordowanego syberyjskiego badacza; *Piotra Nilsa*, paleontologa szwedzkiego; *Volbortha*, paleontologa petersburskiego; *Dawida Forbesa*, znakomitego amerykańskiego geologa; *Karola Saint-Claire Deville'a*, badacza zjawisk i produktów wulkanicznych na wyspach Antylskich, Zielonego Przylądka, Teneryffy i Wezuwiusza, założyciela i dyrektora stacyj meteorologicznych w Algierze; wreszcie *Adolfa Brogniarta*, członka Instytutu i professora w Muzeum historyi naturalnéj, jednego z najznakomitszych tegoczesnych botaników-paleontologów. Dzieło jego: *Historya roślin kopalnych* stanowi niezbędny podręcznik dla każdego samodzielnego badacza.

Chemia straciła jednego z zasłużonych swych pierwszorzędnych przedstawicieli: *Balarda*, najpierw professora chemii w szkole farmaceutycznéj i w uniwersytecie w Montpellier, późniéj zaś następcy Thénarda w paryzkim fakultecie nauk, a Pelouza w kollegium francuzkiém. Balard imię swoje uwiecznił odkryciem *bromu*. — Z medyków rozgłośnéj europejskiéj sławy, wypada nam zapisać na téj grobowéj liście: naszego *Hirszfelda*, który pracami swemi anatomicznemi, mianowicie nad układem nerwowym zdobył sobie w świecie uczonym niepożytą sławę; *Traubego*, słynnego klinicystę berlińskiego; *Andrala*, jednego z najznakomitszych praktyków francuzkich, byłego professora patologii i terapii. — Na inném znowu polu, godnym pożałowania jest zgon autora projektu tunelu Kaletańskiego, inżeniera *Thomé de Gamond*, który zgasł właśnie w chwili, kiedy marzenie całego jego życia urzeczywistniać się poczęło. Przywiązanie jego do ulubionéj mu nauki zasługuje na cześć głęboką, bo zaprzyjaźniony od młodości z Ludwikiem Napoleonem, kiedy miał sobie od niego, jako cesarza, ofiarowane: senatorstwo, legią honorową, tytuł hrabiow-

ski, wreszcie tekę ministra robót publicznych, — odrzucił wszystko, byle spokojnie w ciszy gabinetu pracować nad projektami.

Pomniki dla uczonych przyrodoznawców. Wdzięczna potomność, chcąc uwiecznić imię i zasługi uczonych badaczów przyrody, dwóm z nich wystawiła pomniki w drugiém półroczu 1876 r. Dnia 6 Sierpnia w Caen, w Normandyi, wystawiono pomnik słynnemu geologowi *Elie de Beaumont*, a 2 Października w Kopenhadze duńskiemu fizykowi *Chrystyanowi Oerstedtowi*, zmarłemu przed 25 laty po półwiekowéj professurze w tamtejszym uniwersytecie. Imię Oerstedta, dla ogółu mniéj znane, a jednakże wiekopomne, zasługuje na głęboką cześć powszechną. Przy końcu przeszłego wieku przybyło do Kopenhagi dwóch biednych młodzieńców na uniwersytet: Anders i Chrystyan Oerstedtowie. Pierwszy z nich miał kiedyś zreformować prawodawstwo duńskie i przez długie lata zasiadać w Radzie Państwa; drugi miał wynaleźć *elektromagnetyzm*, a więc dać początek wszystkim tak mnogim jego zastosowaniom, z których dosyć wspomnieć tu tylko o telegrafie elektrycznym, by ocenić ważność tego odkrycia. Chrystyan Oerstedt wśród długich swych i cierpliwych badań nad zjawiskami elektrycznemi, spostrzegł w dniu 21 Lipca 1820 roku wpływ prądu elektrycznego na igiełkę magnesową. Jakkolwiek profanom mogłoby się to zjawisko wydawać małoważném, genialny jednak umysł badacza pojął natychmiast, że nie tylko wpadł na ślad długo i napróżno szukanego związku pomiędzy elektrycznością i magnetyzmem, ale że dokonał odkrycia pierwszorzędnego dla ludzkości znaczenia. Więc tego samego dnia dał o niém wiedzieć wszystkim uniwersytetom i ciałom naukowym zagranicznym, żeby mu ktoś nie zaprzeczył zaszczytu pierwszeństwa. Doczekał też i praktycznych zastosowań swego odkrycia, choć nie w tak świetnych rozmiarach, jak to po zgonie jego dopiero nastąpiło. Starał się w społeczeństwie swojém o rozwój popędu do nauk przyrodniczych, a mianowicie o spopularyzowanie głównych zasad fizyki, bądź żywém słowem, bądź licznemi swojemi artykułami. Według planów jego powstał w 1829 r. w Kopenhadze instytut politechniczny.

Naród duński niejednokrotnie starał się uczcić pamięć obu braci, a obecnie fizykowi pomnik wystawił. Przy poświęceniu pomnika znajdował się król z całą rodziną, wszyscy duńscy uczeni, ministrowie, dyplomaci zagraniczni. Professor fizyki Holten miał mowę, w któréj wykazał zasługi nieboszczyka.

Pomnik, umieszczony na ładnym placu, przedstawia Oerstedta w postaci stojącéj, z igiełką magnesową w ręku, po nad którą przechodzi drut od stosu u nóg stojącego. Wykonał go rzeźbiarz Jerichau. Posąg stoi na sześciobocznéj kolumnie, połączonéj z platformami, na których trzy kobiece postacie przedstawiają Przeszłość, Teraźniejszość i Przyszłość.

PRZEGLĄD DZIEJÓW WSPÓŁCZESNYCH.

Marzec 1877 r.

Rzut oka na ogólną sytuacyą polityczną, jaka się w ostatnich czasach urobiła w Europie, wykazuje osobliwość pewną, którą zaznaczyć wypada, mianowicie: wykazuje brak punktu środkowego, z któregoby możliwém było dokładne sytuacyi owéj obejrzenie. Brak Europie politycznego punktu obserwacyjnego. Stanowi to niedogodność niemałą, tak dla mężów stanu, zmuszonych praktykować — jak trafnie jedno z pism angielskich wyraziło — „dyplomacyą cyrkulującą", jakotéż dla śmiertelników zwyczajnych, potrzebujących się dokładnie obeznać z ogólnym stanem spraw politycznych. Punkt taki wielce jest potrzebnym. Niéma go w chwili obecnéj: niéma w Europie nigdzie takiéj wyżyny dogodnéj, na którąby bodaj w myśli, przenieść się można, i wodząc uważnie okiem po horyzoncie, rozpatrywać kolejno, oceniać, ważyć i porównywać pojawiające się na nim fenomena.

Wyżyną tego rodzaju, do chwili upadku drugiego cesarstwa, był Paryż. W stolicy Francyi skupiały się nici działalności politycznéj. Nie było sprawy na kuli ziemskiéj, którąby się tam nie odbijała, jeżeli nie inaczéj, to tak przynajmniéj, jak w ognisku zwierciadła. Cesarstwo upadło i pociągnęło za sobą obniżenie Paryża, będące prostém a naturalném następstwem usunięcia się Francyi na stronę, przyczajenia się jéj, że się tak wyrazimy. Pobita, znękana, z uroku i z pieniędzy obdarta, Francya przyczaiła się na czas jakiś na stanowisku centralném, na którém ją samo geograficzne stawia położenie, i w skutek przyczajenia się onego, nastał dla Europy w politycznem znaczeniu moment, który trafnie charakteryzuje się wyrazem francuzkim: *dessarroi*. „Désarroi" zapanował — na jak długo? — przewidzieć trudno. Stoi jeno fakt ten, że przechodzimy moment historyczny, w którym pozbawieni jesteśmy

punktu obserwacyjnego. Niéma go nigdzie, ani nawet w Berlinie, udającym ognisko polityczne. Chce mu się bardzo zająć opuszczone przez Paryż stanowisko. Darmo jednak! Co innego chcieć, co innego módz. W Paryżu interessa polityczne ogniskowały się samą siłą rzeczy, nie przez co innego, jeno za sprawą przodownictwa we wszelakich działalności ludzkiéj objawach, jakie zdobyć sobie zdołał naród francuzki, który stolicę swoję podnosił i znaczenie jéj nadawał. Naród niemiecki nie dorósł do téj wysokości. Udawanie przeto udaniem pozostaje. Berlin pomimo najświetniejsze gabinetu swego sukcessa, nie potrafił się wyszrubować na stanowisko punktu ogniskowego: jest sobie taką stolicą, jak każda ze stolic sześciu pierwszorzędnych mocarstw, decydujących o losach Europy. Pod względem tym nie ustępuje mu w niczém Londyn, Petersburg, Wiedeń, Rzym a nawet zdetronizowany Paryż.

Przypomnijmy sobie jeno, jak to przed rokiem 1870 bywało, gdy się z cieniów dyplomatycznych na jaśnią polityczną jaka ważniejsza wynurzyła sprawa. Oczy wszystkich zwracały się wnet na Paryż; działalność cała skierowywała się ku Paryżowi; z Paryża wychodziły odezwy, hasła i wskazówki; w Paryżu zwykle rzecz się rozstrzygała. Dziś zaś co? Od czasu onego o wiele ważniejsze sprawy miała Europa do załatwienia: francuzko-niemiecką wojnę i kwestyą wschodnią. Tak w jednéj jak w drugiéj, dla braku punktu ogniskowego, mężowie stanu (p. Thiers i hr. Salisbury), jak komiwojażerowie, Europę objeżdżali. Oznacza to może zapowiedź decentralizacyi dyplomatycznéj? Być może. Stanowcze w kwestyi téj orzekanie byłoby jeszcze zawczesném; tém bardziéj, że przyczajenie się Francyi ma pozór tymczasowości problematycznéj, mogącéj się dziś jutro na korzyść jéj rozstrzygnąć. W takim razie Paryż może zająłby stanowisko ogniskowe, co zdaniem naszém, nie byłoby dla ludzkości ze szkodą.

Stan taki, sytuacya taka polityczna, jaką wykazujemy powyżéj, nie jest dla Europy nowością żadną. Jest to w nowéj edycyi stara historya, znana pod tytułem spółubiegania się państw o supremacyą. Francya przyczajała się już nieraz i znów na wierzch wypłynęła. Wojny z Anglią i z domem austryackim stawiały ją na krawędzi przepaści; kongres wiedeński (1815 r.) zepchnął ją był na stanowisko podrzędne. Na stanowisko podrzędne zepchnęły ją Niemcy sześć lat temu. Nie idzie zatém, ażeby ona na stanowisku tém pozostać na zawsze miała; znajdowanie się zaś jéj na takowém znamionuje, sądząc wedle przeszłości, stan przejściowy groźnéj niepewności, wyrażającéj się za pomocą zagadnień, które wymagają ustawicznego pogotowia wojennego.

Jakoż pogotowie wojenne jest wyrazem chwili obecnéj. Wysiłki olbrzymie, jakie w téj mierze państwa czynią, nie wróżąc spokojnéj przyszłości, przynoszą niemałą w teraźniejszości szkodę, która się tłómaczy przez nadużywanie kredytu na cele nieprodukcyjne. We

względzie tym Europa smutny, zaiste, przedstawia widok. Każde z państw zadłużone po uszy, brnie w długi coraz to większe i większe, bez możności powstrzymania się na tej fatalnej drodze. Finanse publiczne stały się studnią bezdenną, w którą gabinety wrzucają miliardy z regularnością zegarka, i nigdy tego nie dosyć. Niemcy kazały sobie zapłacić pięć miliardów kontrybucyi wojennej; dostały ją, wydały i znów pożyczki zaciągają. Niema temu końca, ni miary. Rozstrzygnięcie jakieś nastąpić musi, ale — jakie? Zapytanie to nakształt miecza Damoklesa nad Europą wisi, nakształt zmory na niej cięży i to sprawia, że żadna polityczna czynność, mająca przyszłość na widoku, nie prowadzi się na seryo. Sprawy wszelkie spychają się z dziś na jutro, powikłania się utrzymują, kwestye sporne wyrastają jak grzyby po deszczu, i państwa wszystkie zaręczają, że głównie na uwadze mają urządzenie i uregulowanie stosunków wewnętrznych. Wygląda to tak, jakby każdy pracował u siebie, dla siebie, nie myśląc wcale o mąceniu spokoju europejskiego. Poniekąd jest tak, w rzeczy samej. Państwo każde pracuje u siebie, dla siebie, biorąc wzór z mocarstw pierwszorzędnych, które ideał pracy postawiły pod postacią możliwości umobilizowania w czasie jaknajkrótszym armii, liczącej pod bronią wojowników nie mniej jak milion. *Si vis pacem, para bellum.* Dzięki maksymie tej, odnalezionej i do wiadomości publicznej podanej przez nieboszczyka Palmerstona, panuje pokój, ruinujący finanse publiczne i przynoszący narodom nieobliczone szkody.

Każde państwo — rzekliśmy wyżej — pracuje u siebie dla siebie.

Zobaczymy, jak prace owe wyglądają; uczynimy przegląd tego, co gdzie się robi.

Zaczniemy od Francyi.

Francyi, na jaknajwiększe wielkiego kanclerza Niemiec zmartwienie, nie zabiła kontrybucya. Tryumf to dla niej ogromny. Taką kontrybucyą zapłacić, dwie prowincye postradać, ponieść przytem koszta ogromne, zostać upokorzoną, — i nie runąć: na to posiadać potrzeba olbrzymi sił żywotnych zasób. Francya, pobita i obdarta, a dźwigająca się tak, że prawie nie znać już tych ran ciężkich, jakie tak niedawno poniosła, na większe zasługuje podniesienie, aniżeli gdyby zwycięzko była z wojny wyszła. Stanowi to świetną jej stronę, która nie wzięła się z niczego. Utrzymało ją najpierw, następnie dźwignęło dobre zagospodarowanie, dzięki któremu odpowiedni znajdują użytek ressursa krajowe, pełniące funkcyą hipoteki narodowej. Na podstawie hipoteki tej Francya znalazła środki do stawienia czoła ciosom w złej godzinie: nie zwątpiła sama o sobie i na duchu nie upadła. Rzecz pewna, iż nie małą we względzie tym pomoc znalazła w położeniu kraju i w naturalnych onego bogactwach; te atoli przydałyby się nie na wiele, gdyby pozostawały w stanie kapitału martwego, nie uruchomionego przez rolnictwo,

przemysł i handel. Drogi, koleje żelazne, kanały, porty, zakłady przemysłowe, zakłady kredytowe, w połączeniu z ruchliwością umysłu i imaginacyi, odznaczającą Francuzów śród narodów, przyczyniły się potężnie do tego, że Francya wyszła cało i zdrowo ze straszliwej niemocy, w jaką ją wprawił był zbieg okoliczności. Sama w nieszczęście wlazła, i sama z onego wybrnęła. Stan jéj obecny przyrównać można do stanu okrętu, który, straszną wytrzymawszy burzę, płynie i szkody poniesione w masztach i żaglach naprawia, a naprawia je w téj myśli, iż go nowa straszniejsza jeszcze spotkać może burza. Pytanie: czy naprawianie to odbywa się jak należy? We względzie tym zdania się różnią, z powodu różnicy punktów, z jakich ludzie na krzątanie się Francuzów spoglądają. Francya rozpada się na cztery stronnictwa: Legitymistów czyli Klerykałów *par excellence*, Orleanistów, Bonapartystów i Republikanów, dzielących się na odcienie, o których rozpiszemy się przy sposobności. Wszystkie stronnictwa reprezentowane są w izbie i w senacie i według stosunku onych tu i tam wnioskować można o stosunku liczebnym stronnictw w narodzie. W izbie deputowanych republikanie są w większości ogromnéj; na legitymistów, orleanistów i bonapartystów razem wziętych przypada część czwarta zaledwie. W senacie, republikanie stanowią połowę: przy głosowaniu rezultat się waży, zależąc od gruppy tak zwanych konstytucyonalistów, wotujących raz z prawicą, znów z lewicą, stosownie do przedmiotu pod wotowanie poddanego, do ewentualnego nastawienia się spraw, a niekiedy i do humoru członków w gruppie téj rej wodzących. Na czele rządu stoi wyznaczony przez izbę poprzednią, w większości swojéj przeciw republikańską, prezydent rzeczypospolitéj, marszałek Mac Mahon, — przeciwnik republikańskiéj formy rządu, opatrzony attrybucyami nie różniącemi się w niczém od attrybucyi monarchy konstytucyjnego. Prezydent mianuje ministerstwo odpowiedzialne. W momencie obecnym prezydentura ministeryalna spoczywa w ręku pana Juliusza Simon, republikanina z przekonania, ministerstwo zaś samo liczy w łonie swojém ludzi przekonań nieskrajnych, tak republikańskich, jak monarchicznych, przedstawiając mięszaninę żywiołów różnorodnych, która byłaby niemożliwą, gdyby nie to, że nadana Francyi przez poprzednie zgromadzenie narodowe konstytucya, jest tymczasową. W duchu konstytucyi téj, Francya przebywa próbę, zakreśloną na pewną ilość lat, po upływie których nastąpić ma rewizya i ta dopiero rozstrzygnie o formie rządu. Francya przeto jest rzecząpospolitą *tymczasowie*. Zwracamy na to uwagę, o tém bowiem pamiętać należy, rozpatrując się w odbywającéj się w jéj łonie pracy wewnętrznéj. Tymczasowość uprawnia tak istnienie, jak krzątanie się stronnictw monarchicznych i tłómaczy obecność monarchistów w łonie ministerstwa. Sądząc według ogólnéj większości parlamentarnéj, wnioskować należy, że większość narodu jest za rzecząpospolitą: to atoli nie zobowiązuje stronników hr. Chambord, księcia d'Aumale

i Napoleona IV do zrzekania się nadziei i zaniechiwania zabiegów, mających przyszłość na celu. Ztąd wynikają dwa prądy: republikanie usiłują rzeczpospolitą utrzymać i utrwalić; monarchiści, wszelkich odcieni, usiłują rzeczpospolitą zdyskredytować i obalić. Usiłowania tych ostatnich nie idą dalej. Koalicya wszystkich trzech przeciwrepublikańskich stronnictw zaledwie ma możność nie dopuszczać ustaw, mających się do utrwalenia rzeczypospolitéj przyczynić. Osiąga się to za pomocą *veto* senatu, uzyskiwanego sposobem naciąganym, dzięki chwiejności owéj gruppy konstytucyonalistów, o któréj wspominamy wyżéj. Sprawia to mitręgę wielką, na któréj najgorzéj wychodzi kraj. Cierpi na tém szczególnie wychowanie publiczne, przedmiot nader drażliwy w chwili obecnéj, wobec jawnie ultramontańskich dążności kleru wyższego. P. Waddington, piastujący tekę ministerstwa oświaty, człowiek najlepszemi ożywiony chęciami i rozumiejący dobrze zadanie swoje, targować się musi o grosz każdy na podniesienie poziomu edukacyi narodowéj, na doprowadzenie nareszcie do tego, ażeby wyborca każdy, uprawniony do decydowania o losach kraju, umiał przynajmniéj czytać i pisać. Jest to dla Francyi kwestya żywotna; że zaś na żywotności téj kwestyi opiera się żywotność rzeczypospolitéj, więc napotyka ona przeszkody systematyczne ze strony senatu, powodującego się względami, jakie znajdują silne w prezydenturze poparcie. Ministerstwo przeto oświaty postępować musi z oględnością jaknajwiększą na drodze koniecznych ulepszeń, mianowicie w zakresie edukacyi elementarnéj, w któréj bardzo dużo do zrobienia pozostaje. Wiele gmin oczekuje na założenie szkółek; nauczyciele wiejscy oczekują na zapewnienie losu; nauka przymusowa i bezpłatna oczekuje na to, ażeby nakoniec w życie wprowadzoną na seryo została. Wszystko to wymaga nakładów znacznych. Izba deputowanych z góry na nie zezwala, gotowa iść za ministrem na drodze téj jaknajdaléj, lecz fundusze na ten cel wziąćby należało, czyniąc uszczerbek instytucyom, bez którychby się obejść można, datujących jednak z onych czasów dobrych, do powrotu których wzdychają monarchiści. Senat na czynienie uszczerbków tego rodzaju nie zezwala i na edukacyą publiczną funduszów nie daje. Na to samo chorują szkoły średnie i wyższe. Wszędzie potrzeba ulepszeń czuć się daje gwałtownie. Odrodzenie Francyi od tego zależy. Niestety! dźwiga ona u nóg kulę, przedstawiającą się pod postacią stronnictw, zabytków przeszłości, mających znaczenie to samo i odgrywających taką samą rolę, co staroturecka partya w państwie Ottomańskiém. „Niczego się nie nauczyły i niczego nie zapomniały"! Dążności ich trudne do przeprowadzenia na drodze legalnéj, wyrażają się za pomocą systematycznego przeszkadzania w zakresie reform potrzebnych; tak, iż cała akcya parlamentarna wyraża się przez walkę stronnictwa republikańskiego z przeszkodami, występującemi przy każdéj okazyi. Dlatego to działalność parlamentarna wydała rezultaty

bardzo nieznaczne. Wszystko prawie pozostaje, jak było. Z wyjątkiem reformy połowicznéj, zaprowadzonéj przez poprzednie jeszcze Zgromadzenie Narodowe w organizacyi wojskowéj, nie zrobiono nic, odpowiadającego nowemu porządkowi rzeczy. Francya jest rzecząpospolitą monarchiczną.

Stronnictwo republikańskie rozpada się na kilka odcieni, tworzących w izbie trzy główne gruppy, pod nazwą: *la Gauche*, *l'Union républicaine* i *le Centre gauche*. Gdyby Francya znajdowała się w stanie normalnym, te trzy gruppy stanęłyby jako stronnictwa oddzielne, spółubiegające się o władzę i dodające jedno drugiemu bodźca na polu dodatniéj pracy organicznéj. Tak dzieje się w Anglii, służącéj za pierwowzór parlamentarnéj działalności. Spółzawodnictwo stronnictw wytwarza ścieranie się opinii i nadaje ruch na przód postępowi ogólnemu. We Francyi, wobec koalicyi stronnictw monarchicznych, stronnictwa republikańskie zmuszone są także do łączenia się w jedno, do trzymania się w koalicyi ze swojéj strony, a zatém i do czynienia sobie ustępstw wzajemnych, neutralizujących ścieranie się zdań. Wstrzemięźliwość ta wielce jest republikanom chwaloną, jako dowód cierpliwości, nie licującéj z temperamentem francuzkim. Polityka republikańska polega na tém, ażeby przeczekać i doczekać się innego w Senacie stosunku stronnictw. Zależy to po części od czasu, po części od trafu, głównie zaś od rezultatu, jaki dadzą najbliższe wybory téj części senatu, która jest wybieralną przez rady główne. Oglądając się na to, republikanie wszelkich odcieni odkładają występowanie z widokami i pretensyami własnemi na późniéj i czekają z cierpliwością, na podziw zasługującą. Objaw ten wytrawności politycznéj przedstawia się po raz pierwszy w dziejach parlamentaryzmu francuzkiego. Zasługuje on na podziw; z drugiéj atoli strony, czyniąc grunt parlamentarny jałowym, nasuwa zapytanie: czy nie zniecierpliwi narodu? czy nie nastręczy któremu ze stronnictw monarchicznych sposobności dokonania na korzyść własną zmiany formy rządu na drodze przewrotu nagłego a gwałtownego? Stronnictwa monarchiczne nie liczą na nic innego i działalność swoję prowadzą za kulisami, posługując się temi żywiołami, które bieg rozwoju dziejowego wysuwał kolejno naprzód. Legitymiści działają za pomocą arystokracyi dawnéj i duchowieństwa wyższego; orleaniści opierają się na mieszczaństwie i starają się kaptować wojsko; bonapartyści mają w swoich szeregach wojskowych, szczególnie zaś w sferze urzędników z etatu spadłych. Krzątanie się to, popierane jawnie przez organa prassy, nie jest do pogardzenia, pomimo że obrachowanie onego odnosi się głównie, wyłącznie prawie do szczęśliwego a nieprzewidzianego trafu — do trafu jednak, mającego narzędzia z góry przysposobione i nastawione. Traf jest czynnikiem, pojawiającym się od czasu do czasu w historyi, francuzkiéj zwłaszcza. Dla tego też republikanie francuzcy, pomimo że są w większości, w ustawicznéj pozostają trwodze. Alarmuje ich

lada co, i to tembardziej, że mają ręce związane. Dziennikarstwo republikańskie ma co moment do zaznaczenia nowy jakiś niepokojący objaw: raz wieść jakąś, tyczącą się zamiarów prezydenta, króry, w chwili każdéj, gdyby jeno zechciał, mógłby zostać Monkiem względem jednego ze spółubiegających się o tron francuzki pretendentów; znów posłuchy jakieś, dochodzące od wdowy i syna Napoleona III; innym razem, półzwierzenia skromnego księcia d'Aumale; niekiedy manifestacyą jakąś hrabiego de Chambord; często zaś, okólniki biskupów, rozporządzenia administracyjne prefektów i podprefektów, rozkazy dzienne jenerałów, wyroki sądów i artykuły dzienników, służących sprawom pretendentów. W chwili obecnéj, naprzykład, zajmują opinią publiczną dwa w tym rodzaju objawy: artykuł dziennika *Pays*, zredagowany przez p. Granier de Cassagnac, zasiadającego na ławie poselskiéj, i przemowa hrabiego de Chambord, zaznaczająca prawo do tronu linii starszéj. Pierwszy stał się przedmiotem obrad parlamentarnych, autor bowiem onego nie mógł być ściganym na drodze sądowéj bez zezwolenia Izby; druga wywołała liczne a obszerne komentarze, w których zatrwożenie występuje pod maską lekceważenia. Trwożyć się jest czego, zaprawdę. Lada podmuch wiatru może nawę francuzką wpędzić do portu monarchicznego, otwartego dla niéj z trzech stron.

Objęcie prezesowstwa gabinetu i zarazem teki ministerstwa spraw wewnętrznych przez pana Juliusza Simon z niemałą jest dla republikańskiéj sprawy korzyścią. Korzyść ta odnosi się do przyszłości, dla któréj minister właśnie fundamenta zakłada. Dzieje się to za pomocą zmiany personalu administracyjnego w sferze naczelnéj. P. J. Simon usuwa powoli prefektów i podprefektów, mianowanych przez księcia de Broglie, za czasów panowania t. z. „porządku moralnego“, i zastępuje ich osobistościami przekonań republikańskich. Odbywa się to bardzo powolnie i nader oględnie. Prefekci i podprefekci „porządku moralnego“ mają plecy w prezydencie rzeczypospolitéj, który, ulegając jedynie ostatecznéj konieczności, zgadza się na usuwanie od władzy miłych mu osobistości, wywierających wpływ przeważny, zwłaszcza podczas wyborów. Oczyszczanie z nich administracyi zapewnia wyborom swobodę potrzebną. W tym przeto kierunku rozwija się głównie działalność prezesa gabinetu; w tém oraz znaczeniu działalność jego nazywamy zakładaniem fundamentów na przyszłość. Oczyszcza on dla rzeczypospolitéj pole; czy je zaś oczyści? — to przyszłość niedaleka pokaże. W każdym razie spodziewać się można, iż wybory najbliższe do rad municypalnych, do rad departamentalnych i do rad głównych wypadną w duchu sprzyjającym wyraźnie obecnemu porządkowi rzeczy. Rady owe wybierają senatorów, z wyjątkiem siedmdziesięciu pięciu dożywotnich.

Stan wewnętrzny Francyi nazwać można walką rzeczypospolitéj o byt. Z tego punktu oceniać należy wypadki, odnoszące się do polityki wewnętrznéj.

Stan ten oddziaływa na zewnątrz. Polityka zewnętrzna odczuwać musi kłopoty domowe. Francya jest jakby spętana, a słowa Napoleona III, że w Europie działo żadne nie strzeli bez pozwolenia Francyi, zaliczają się do téj saméj kategoryi powiedzeń pamiętnych, co słowa Juliusza Favre, że Francya nie odstąpi Niemcom ani piędzi ziemi. Dziś o jéj pozwolenie nie pyta nikt. Neutralizują ją nie mniéj kłopoty domowe, jak i postawa Niemiec. Gabinet berliński z czujną zazdrością spogląda na przychodzenie jéj do zdrowia i u drzwi rekonwalescentki wartę z bronią na ramieniu odbywa. W pozaprzeszłym roku ledwie nieledwie dyplomacya zażegnała wojnę niemiecko-francuzką, zagrażającą w nowéj, poprawionéj edycyi. Wojna owa zagraża wciąż, stanowiąc główną dla Francyi troskę, będąc oraz punktem głównym, który uwagę jéj pochłania całkowicie. Około punktu owego, jak około osi, obraca się polityka jéj zewnętrzna. Francya ma odwet na celu; ale wziąćby go pragnęła w warunkach jaknajprzyjaźniejszych: ogląda się przeto zawczasu za sprzymierzeńcami i kokietuje Rossyą, tak, że w tym momencie Rossya posiada we Francyi sympatyą ogólną, okazywaną głośno przez dziennikarstwo republikańskie, a eskontowaną z góry na rachunek dywersyi, mającéj nastąpić, gdy Francya, wykończywszy reorganizacyą siły zbrojnéj, poczuje się na siłach stawić czoło sąsiadowi, który zabrane w niéj pięć miliardów włożył w broń ręczną, sieczną i palną, w artyleryą i w fortece. Więc biuro ministerstwa spraw zagranicznych zajęte jest nie czém inném, jak tylko oglądaniem się za sprzymierzeńcami, w widoku wojny nieuniknionéj i odsuwaniem jakowéj do momentu sposobnego. Jest to działalność natury niesłychanie delikatnéj i drażliwéj, a przytém absorbującéj. Działalności téj podporządkowują się wszelkie sprawy, odnoszące się do polityki zagranicznéj. Wszystko się do niéj z konieczności rzeczy naciąga, zkąd to wynika, że Francya stoi osamotniona, czyli, wyrażając się terminem technicznym, *izolowana*. W gruppowaniu się gabinetów wobec pojawiających się kwestyj gabinet francuzki jest pomijanym, a pomijanym z obawy, ażeby nie wplątał w sprawę procesu, zawieszonego pomiędzy Francyą a Niemcami, a nie mogącego się inaczéj, jeno przy pomocy oręża, rozstrzygnąć. Francya wzbudza w mocarstwach wszystkich obawy i niedowierzanie. Włochy trzymają się od niéj zdaleka, Anglia także, Rossya—przyjmuje umizgi jéj łaskawie, mocarstwa mniejsze, jak Belgia, jak Szwajcarya, które widziały w niéj opiekunkę naturalną i przyznanéj im neutralności gwarantkę pewną, jak Hollandya, jak Dania, etc., które o nią nadzieje niezależności własnéj opierały,—w inną zwracają się stronę. Ona stoi w osamotnieniu, które, ostatecznie, nie jest może bez korzyści dla niéj. Nie licząc na przymierze żadne, liczyć musi sama na siebie i pracować nad odrodzeniem własném.

Do widoków, dotyczących polityki zewnętrznéj, zaliczyć należy zamierzoną wystawę paryzką. Na pozór jestto przedsięwzięcie, nie

mające z polityką styczności żadnéj. W istocie rzeczy jednak, kwestya ta przedstawia się inaczéj. W czasach naszych gabinety liczyć się muszą z opinią publiczną, kierującą się utylitaryzmem, który w przemyśle ma swój wyraz najnaturalniejszy. Zamierzona wystawa paryzka, wzięta ze strony utylitarnéj, przedstawia się jako środek mający na celu skaptowanie dla Francyi opinii publicznéj Europy, pozyskanie sympatyj postradanych, odzyskanie ufności zachwianéj, wykazanie mocarstwowéj wartości Francyi ze strony najbardziéj przemysłowi miléj, ze strony pokojowéj. To téż Niemcy usuwają się od wystawy: nie chcą przyczyniać się do tryumfu nieprzyjaciółki naturalnéj. Usuwanie się Niemiec ma znaczenie nawskróś polityczne. Gdyby one w wystawie udział wzięły, byłoby to ze strony ich pośredniém uznaniem intencyj pokojowych Francyi i braniem na siebie z góry, wobec opinii publicznéj, odpowiedzialności za wojnę, któréj konieczność w oczach im stoi. Przypuszczać można, że gabinet berliński tego był przekonania, iż za przykładem jego pójdą inne mocarstwa. Liczył na Austryą — zawiódł się; patryotyzm niemiecki ludów austryackich nie dopisał tym razem: w wystawie paryzkiéj udział wezmą wszystkie państwa, z wyjątkiem cesarstwa Niemieckiego. Nie idzie ono na lep zamanifestowanych przez Francyą intencyj pokojowych, które, w rzeczy saméj, nie są czém inném, jeno lepem. Wystawa powszechna jest w chwili obecnéj rzeczą naciąganą. Potrzeba onéj, po wystawach wiedeńskiéj i filadelfijskiéj, tak niedawnych, wcale czuć się nie daje; przeciwnie, cierpi handel, drobny zwłaszcza, cierpi na tém, że powtarzające się zanadto często wystawy tego rodzaju, pochłaniając kapitał obrotowy, utrudniają kredyt. Instytucye finansowe na wystawach wychodzą dobrze; potęgi przemysłowe zyskują na rozgłosie; lecz ogół ponosi uszczerbek, dający się uczuwać dotkliwie w téj mianowicie sferze, w któréj ruch handlowy wyraża się za pomocą pośrednictwa w codziennych potrzebach pomiędzy producentem a konsumentem. Jest to spostrzeżenie, na które niedostateczną dotychczas zwracano uwagę. Wystawa zamierzona przychodzi zanadto prędko po paryzkiéj (1867), wiedeńskiéj i filadelfijskiéj. Czy powiedzie się? — być może; nastąpi to jednak kosztem téj warstwy społecznéj, bardzo licznéj, która żyje kredytem.

Dla dopełnienia obrazu stanu Francyi w chwili bieżącéj, wspomnieć jeszcze potrzeba o głośnem przesileniu fabrycznem, które dotknęło miasto Lyon i naraziło na głód tysiące robotników. Zkąd ono poszło? Dzienniki podają przyczyny rozmaite, a zajęcie powszechne, jakie wypadek ten wzbudził, pokazuje jasno, że jest to objaw zatrważający, który się odnosi nie do przyczyny jakiejś lokalnéj lub okolicznościowéj, ale do głębszéj i ogólniejszéj. Nie same jeno fabryki lyońskie dają robotnikom odprawę. Dzieje się to i na innych miejscach, po zakładach żelaznych i innych, nie w takich tylko rozmiarach. Mydlarnie w Marsylii zawieszają robotę. Objawy tego rodzaju sta-

nowią niejako *memento mori* w zakresie kwestyj społecznych, domagających się rozwiązania gruntowniejszego, aniżeli bale, składki i loterye na rzecz zgłodniałych. Fabrykanci lyońscy spuszczali się na losy i przesadzali we względzie ilości wyrobów. Jest to reguła, której trzymają się wszystkie fabryki w ogóle. Niektóre ilość podnoszą kosztem jakości. Zarzut ten jednak — pospieszamy dodać — jeżeli się tyczy fabrykantów francuzkich, to chyba tylko wyjątkowo. Z tém wszystkiém przemilczéć niepodobna tego szczegółu, że przesilenie lyońskie wyraziło się inaczéj dla fabrykantów, inaczéj dla robotników: pierwszych naraziło na uszczuplenie dochodów, drugich na głód; pierwsi ratują się zamknięciem warsztatów, drudzy... miłosierdziem publiczném.

Byłoby dość jeszcze do powiedzenia o Francyi; ograniczyć się jednak na ten raz musimy na tém, cośmy powiedzieli powyżéj, mając do mówienia o innych państwach. Od Francyi przejdziemy do Niemiec — od zwyciężonych do zwycięzców. Tych stan wewnętrzny scharakteryzować się da w sposób następujący: Niemcy duszą się pod laurami; chorują na niedomaganie ogólne, na anemią, dotykającą zwłaszcza niższe warstwy społeczne, śród których socyalizm czyni postępy ogromne. Do choroby téj aplikuje władza środki policyjne, nie odznaczające się własnościami uzdrawiającemi. Chorobliwość wzmaga się i szerzy. O doniosłości jéj złożyły świadectwo wybory niedawne. Socyaliści przeprowadzili do sejmu kandydatów swoich w ilości niewielkiéj, w takiéj jednak, która pozwala im stanowić oddzielną gruppę parlamentarną, stawiać wnioski i w razach równego podziału głosów, rozstrzygać o losie ustaw, a także, ligować się ewentualnie z frakcyami: duńską, alzacko-lotaryńską i polską, z separatystami i ze stronnictwém katolickiém. Mniejszéj atoli wagi jest znaczenie ich parlamentarne, aniżeli poza-parlamentarne. Mniejszość, w jakiéj się przy urnach wyborczych zgromadzili, świadczy, że socyalizm przenika nie tylko miasta i miasteczka, ale nawet szeregi wojskowe. To coś znaczy, zważywszy, że socyaliści stanowią stronnictwo, pomiędzy którém a władzą porozumienie jest absolutnie niemożliwém. Ks. Bismark, gdy w Paryżu wybuchła rewolucya komunalna, a wojska niemieckie znajdowały się jeszcze pod murami stolicy Francyi, powiedział: „Dajmy Francuzom pokój, oni się na własnym ugotują sosie”. Powiedzenie to zwrócić się da obecnie do Niemców, którzy się gotują w sosie i ugotują kiedyś, tymczasem jednak znajdują się w położeniu takiém, że książę Bismark mógłby o sobie powtórzyć słowa Ludwika XIV: *„l'Etat c'est moi”*. Książę Bismark jest pieszczochem fortuny. Powodzi mu się we wszystkiém i wszędzie; łamie on wszelkie opory, rozcina wszelkie węzły, przeprowadza wszelakie zamiary i podąża wytrwale ku celowi wytępienia w Niemczech zachcianek separatystycznych. W celu tym zrobiło się już wiele, nie wszystko jednak. Wszystkiego za jednym zamachem dokonać nie sposób. Na drodze zjednoczenia

takiego, ażeby w cesarstwie nie było królestw i księztw, lecz prowincye, pozostaje jeszcze do usunięcia przeszkoda niejedna, z którą rozprawić się należy w sposób ugodowy. Przeszkody te biorą się jedna po drugiéj i usuwają, bądź przez parlament, bądź téż przez zgromadzenie związkowe. Tu i tam książę Bismark posiada większość z góry zapewnioną — i dlatego téż tém dziwniejszym jest opór, jaki znalazł w dwóch kwestyach, których doniosłość nie wydawała się nazbyt wielką, mianowicie: w kwestyi wybrania siedliska dla najwyższego trybunału cesarstwa i w kwestyi wykupna przez cesarstwo dróg żelaznych niemieckich. Co do pierwszéj, wybrano nie Berlin lecz Lipsk; co do drugiéj, ochota ze strony interesowanych okazuje się tak niewielką, że kto wié, ażali zamiar ten do skutku dojść będzie mógł na razie, w téj formie, w jakiéj wystąpił. Objawy te nie są natury takiéj, któraby się przełamać nie dała, nie mniéj przeto są one niepokojące, jako symptomata, które w połączeniu z wyżéj wykazaną chorobliwością, do wcale nie pożądanych doprowadzić mogą rezultatów. Tyle o stanie wewnętrznym Niemiec, rozpatrywanym z punktu ogólnego. Podnoszenie szczegółów odkryłoby nam inne jeszcze symptomata. Pominiemy je jednak tym razem, a zastanowimy się nad postawą, jaką gabinet berliński zajmuje w zakresie polityki zewnętrznéj.

Francya, rzec można, wywdzięcza się Niemcom pięknem za nadobne, odgrywając względem nich rolę taką samę, jaką one grają względem niéj. Gabinet paryzki i gabinet berliński neutralizują się wzajemnie. Jeden drugi powściąga. Zachodzi przytém niejaka analogia, we względzie oddziaływania sytuacyi wewnętrznéj na politykę zewnętrzną. Czém dla Francyi jest nieokreśloność formy rządu, tém dla Niemiec jest socyalizm. Stanowi on kulę u nóg, dzięki któréj, równie jak dzięki Francyi, wyglądającéj pory sposobnéj do odwetu, cesarstwo niemieckie z wielką w kwestyach zewnętrznych postępować musi oględnością. Oględnosć ta, w języku urzędowym, nazywa się bezinteresownością. Mimo to, Niemcy nie znajdują się w takiém jak Francya odosobnieniu, ciążąc na Austryi za pośrednictwem prowincyj niemieckich, wchodzących w skład tego państwa, i mając po sobie Włochy, z któremi schodzą się na gruncie sprawy kościelnéj. Ugruppowanie się to, czysto okolicznościowe, nadaje im w chwili obecnéj ogromną powagę. Trzy takie mocarstwa, jak Niemcy, Austrya i Włochy, kierując się według skazówek dawanych z Berlina, stanowią partyą, z którą liczyć się należy, która atoli iść może razem do pewnego jeno punktu i pod pewnemi tylko warunkami. Gabinet rzymski, naprzykład, odwróciłby się od Niemiec w chwili, w któréjby uzyskał pewność, iż Francya niepokoić go nie będzie w kwestyi władzy doczesnéj Ojca Świętego. Toż samo uczyniłby gabinet wiedeński, gdyby się poczuł na siłach.

Austrya na tym stanęła punkcie, z którego albo się idzie do góry, albo schodzi w dół. O kroczeniu do góry nikt jéj posądzać

nie może. Konstytucya nadana *in extremis*, zgalwanizowała ją nieco, lecz nie wlała w nią sił, zdolnych jéj rzeczywistą zapewnić samoistność. Przedstawia ona ciało różnorodne, bardzo słabo związane wspólnością celów państwowych. Każda ze składowych onego części pod tym jeno warunkiem za część składową się uznaje, że całość na własną wyzyska korzyść. Z tego powodu konstytucya, któréj zadaniem było zadowolnienie ogólne, wprowadziła niezadowolenie chroniczne w obudwóch połowach monarchii, niezadowolenie, dzielące się na wiary polityczne, wiary religijne, zasady państwowe, względy kastowe, względy językowe i kwestye narodowościowe. Niewiadomo nawet, jaki system najodpowiedniejszym jest austro-węgierskiéj monarchii: centralistyczny, czy federalistyczny? Probowano obudwóch i obadwa się nie nadają. Dlategotéż sprawy wszelkie, wchodzące w zakres prac organicznych, nie rozstrzygają się, lecz łatają i spychają na drodze bądź ustawodawczéj, bądź administracyjnéj. Los taki spotkał w czasach ostatnich układ pomiędzy połową monarchii austryacką a połową monarchii węgierską, co do banku państwowego. Układ nastąpił; ministerstwa austryackie i węgierskie zgodziły się we względzie składu dyrekcyi; Węgrzy uzyskali powiększenie funduszu: niezadowolnienie jednak, jakie w kwestyi téj istniało dawniéj, w têm się jeno zmieniło, że z węgierskiego stało się węgiersko-austryackiém.

Państwo, w warunkach takich żywot pędzące, nie może wywierać wpływu przeważnego w polityce zewnętrznéj. To też wpływ Austryi jest dodatkowym — znaczy o tyle, o ile służy za poparcie działań gabinetu, prowadzącego politykę na własną rękę. Zapewne Austrya nie jest mocarstwem drugorzędnem. Obszar posiadłości, cyfra ludności, wysokość dochodów i wydatków, wysokość długu i blizko milionowa armia nadają jéj stanowisko poważne. Pstrokatość wszakże narodowościowa, różnorodność interesów i widoków, zachodząca w składowych monarchii częściach i położenie geograficzne, to sprawiające, że Austrya dźwiga na sobie Niemcy i Rossyą, upodrzędniają jéj rolę, czyniąc ją zawisłą od stopnia harmonii pomiędzy gabinetami berlińskim a petersburskim. Rola jéj czynna wyrażać się może jedynie w usiłowaniu utrzymania téj harmonii, stanowiącéj dla niéj rodzaj piorunochronu politycznego. Póki ona trwa, póty Austrya liczyć może na bezpieczeństwo wobec burz wojennych, tak dla niéj niefortunnych. Ambaras jéj byłby wielkim, nad wszelkie pojęcie, gdyby jéj kiedy decydować się przyszło w wyborze pomiędzy Niemcami a Rossyą.

Drugi satellita gabinetu berlińskiego, Włochy, nie znajduje się, pod względem wewnętrznym, w położeniu najświetniejszém. Ulegają one chorobie ogólnéj niedostatku w kieszeniach ludzi żyjących z pracy i w skrzyniach skarbca publicznego. Stan finansów — opłakany. Saldo budżetów rok rocznie wykazuje niedobór, na usunięcie którego rząd chwyta się środków empirycznych, polegających na

opodatkowaniu najpierwszych potrzeb do życia. Nie przyczynia się to wcale do polepszenia losu klassy wyrobniczéj. Podatek od mlewa spotęgował nędzę i niezadowolenie, wzmagające się z czasu upływem. Nędza i niezadowolenie oddziaływają na siebie i podtrzymują się wzajemnie. Są to sprzymierzeńcy naturalni, i naturalni a niebezpieczni rządu przeciwnicy. Niebezpieczeństwo z ich strony tém jest we Włoszech donioślejsze, że w społeczeństwie tamtejszém nurtują idee republikańskie, łatwo przystające do zapalnego Włochów umysłu. Frakcya republikańska zasiada w parlamencie; w kraju zaś liczne stowarzyszenia po miastach i miasteczkach pracują, jedne w duchu Mazziniego, drugie za inspiracyą Garibaldego, inne tworząc sekcye internacionału. We Włoszech *mutatis mutandis* dzieje się we względzie tym to samo, co w Niemczech. Tam socyaliści, tu republikanie stanowią plagę trapiącą rząd, który mógłby złemu zapobiedz, gdyby się jeno potrafił na zaradność zdobyć, to jest, gdyby szukał sposobów na wyrównanie budżetu nie w wynajdywaniu nowych podatków, ale w podnoszeniu naturalnych bogactw krajowych. We Włoszech pod względem tym pozostaje wiele do czynienia. Przyznać téż należy, że korona nie najlepiéj zaleca się Italii zjednoczonéj: król zaciąga długi, i to jakie! — 10,000,000 w kassie oszczędności w Medyolanie i 10,000,000 u kedywa egipskiego, które się spłacają za pomocą kredytów specyalnych, stawianych w izbie w postaci wniosków finansowych.

O polityce włoskiéj wzmiankowaliśmy, mówiąc o Niemczech. Nie wiele co więcéj dałoby się o niéj powiedzieć. Włochy, mocarstwo świeżéj daty, mają jeszcze sporo do czynienia z ukonsolidowaniem się na mocarstwowém stanowisku, zanim podjąć zdołają przynależną im rolę w kwestyach polityki zewnętrznéj. Dosługują się szewronów i trzymają na uboczu, całą baczność zwracając na Francyą, o którą Stolica Apostolska zaczepiła kotwicę nadziei. Duchowieństwo pracuje całemi siłami nad przywróceniem we Francyi jednego z dwóch tronów: jeżeli nie Henryka V, to Napoleona IV. We względzie zabiegów tych, biorących hasło w Watykanie, gabinet rzymski przybrał postawę wyczekującą. Garnie się do Niemiec i czeka. Oto oś, około któréj obraca się polityczna jego działalność.

Anglią zostawiamy sobie do przyszłego przeglądu, również jak mocarstwa drugiego rzędu, takie, jak Hiszpania, Belgia, Hollandya, Państwa Skandynawskie i Szwajcarya, a przechodzimy do, zapełniającéj sobą szpalty dzienników wszecheuropejskich, Turcyi. Pokój z Serbią — zawarty; z Czarnogórzem układy pokojowe są w toku; parlament ottomański rozpoczyna czynności swoje; wielki wezyrat zawiadomił mocarstwa okólnikiem o szczerych intencyach rządu we względzie reform, mających Turcyą na drogę postępową wprowadzić; w Bessarabii ściągają się wojska rossyjskie; nad Dunajem szykują się wojska tureckie; na granicy azyatyckiéj, na któréj posia-

dłości rossyjskie z tureckiemi się stykają, dzieje się toż samo; świat z niepokojem wyczekuje odpowiedzi na okólnik księcia Gorczakowa: oto spis przedmiotów, odnoszących się do kwestyi wschodniéj w dzisiejszém onéj nastawieniu się. Z przedmiotów tych na uwagę szczególną zasługują dwa mianowicie: przyrzeczone przez Turcyą reformy i zamierzona wojna. Czy nastąpią pierwsze? czy przyjdzie do drugiéj? Reformy nastąpić muszą tak czy owak. Państwo Ottomańskie znajduje się pod naciskiem okoliczności tak przeważnych, że konstytucya stała się dla niego deską zbawienia. Jaką ona będzie w zastosowaniu, to kwestya inna. Próba nagięcia ultrakonserwatyzmu muzułmańskiego do reform liberalizmu europejskiego nie obejdzie się bez łamania się przykrego. W każdym jednak razie, ludność chrześciańska uzyska pewną summę swobód, które się nadadzą Bulgarom szczególnie, narodowi pracowitemu i spokojnemu, i Grekom, z łatwością przejmującym cywilizacyą zachodnią. Samo uzyskanie prawnéj podstawy w przedmiocie równouprawnienia poddanych Wysokiéj Porty, bez różnicy wiary i narodowości, przyniesie korzyści nie małe — korzyści, które zwiększać się i konsolidować mogą z czasem, jeżeli weźmiemy na uwagę jakość żywiołów, wchodzących w skład państwa ottomańskiego. Chcieć, ażeby Kurdowie, Karamańczycy, Arabowie, albo też Czerkiesi i Albańczycy pojąć mogli odrazu dobrodziejstwa konstytucyi, byłoby to chcieć rzeczy niemożliwéj. Sami nadawcy nie potrafią z nią poradzić sobie, pomimo że pracom parlamentarnym przewodniczyć będzie Achmet-Vefik-effendi, człowiek prawy i światły. Rzecz główna w tém, że konstytucya stała się faktem, i że fakt ten zostanie, czy przyjdzie do wojny, czy nie. Bez wojny utrzyma go ta sama siła rzeczy, która na państwo konstytucyjne wykierowała Austryą, a która polega na tém, że do wywikłania się z kłopotów niéma już wyjścia innego, prócz poszukiwania kredytu u poddanych własnych. Przy pomocy wojny, utrzymanie się konstytucyi zaczerpnie pewność w tém, że gabinet petersburski na sztandarach swoich hasło reformy wypisał. Czy jednak przyjdzie do niéj? Przyjdzie, jeżeli Rossya uzyskać zdoła to zapewnienie, iż żadne z mocarstw europejskich nie zainterweniuje na korzyść Turcyi w toku akcyi wojennéj. Jest to warunek względny. Odrzucenie onego potęguje jeno ryzyko wojenne dla gabinetu petersburskiego, lecz nie zobowiązuje ani też zmusza Rossyi do zaniechania zamiarów rozprawienia się z Turcyą orężnie. Każde państwo przed rozpoczęciem kroków wojennych, stara się szans jaknajwięcéj na swoję przeciągnąć stronę. W celu tym książę Gorczakow okólnik do gabinetów rozesłał; w celu też tym generał Ignatiew Berlin i Paryż odwiedził. Główna w kwestyi téj waga spoczywa na Anglii, obstającéj za nietykalnością i całością państwa Ottomańskiego. Odpowiedź na okólnik jest najważniejszą. Na gabinet londyński oglądają się wszystkie interesowane w kwestyi wschodniéj mocarstwa, on

zaś z odpowiedzią się nie śpieszy. Nic nie nagli — owszem, zwłoka zarówno jest dogodną, tak dla dyplomacyi, spodziewającéj się wynaléźć sposób na zażegnanie burzy, jak dla Rossyi, która zyskuje czas, potrzebny do wykończenia przygotowań wojennych, na które z wytężoną ciekawością i z niepokojem zwrócone są oczy Europy całéj, zapytującéj: czy wojna będzie zlokalizowaną, czyli téż ogarnie świat płomieniem? Edypem, który na te zapytania sfinksowi odpowiedź dać ma, jest gabinet londyński. Gdy ten się powstrzyma, nastąpić musi jedno z dwojga: albo Turcya przyjmie decyzye konferencyi konstantynopolitańskiéj, albo téż wojna przybierze charakter pojedynku w zwartych szrankach, w którym spodziewać się należy rozpaczliwéj ze strony Turcyi obrony. Nie będzie to wojna dla Rossyi nader łatwa. Armia rossyjska znajdzie nie małe, tak w Europie jak w Azyi, do przełamywania trudności, w pomoc którym przyjdzie militarna jakość państwa Ottomańskiego, będąca wcale nie do lekceważenia.

Bibliografia.

A. Książki.

A. A. Zarysy charakteru Germanów i Słowian, przez A. A. Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa, Kraków, druk Wł. L. Anczyca i Sp., 1877, w 8-ce, str. 41 i 1 nl.

Abakanowicz Bruno. Zarys statyki wykreślnéj, napisał . . . . . docent Akademii technicznéj we Lwowie, część I. Lwów, nakład Przeglądu technicznego, druk Rogosza, 1876, w 8-ce, str. 2 nl., 80 i tablic, 9 w 4-ce.

Agassiz Ludwik. Plan stworzenia, odczyty o podstawach przyrodzonych powinowactwa między zwierzętami, przekład Karola Jurkiewicza. Warszawa, wydawnictwo M. Glücksberga, druk J. Ungra, 1876, w 8-ce, str. XXXVIII, III, 143.

Album posłów polskich na sejmie pruskim i parlamencie niemieckim od 1873 do 1876 r. Zeszyt I. Toruń, nakład księg. nowéj (W. Małecki), druk J. Buszczyńskiego, 1877, w 8-ce, str. 16 i 2 portrety.

Arja. Skarb mojéj cioci, powieść przez Arję. Lwów, nakł. drukarni Gazety narodowéj, 1877, w 8-ce małéj, str. 187, 1 złr. 10 cnt.

Barącz Sadok ks. Pamiątki miasta Żółkwi. Drugie wydanie. Lwów, nakładem wydawcy, z drukarni Gazety narodowéj J. Dobrzańskiego i K. Gromana, 1877, w 8-ce, str. 247 1 złr. 50 cnt.

Biblioteka kaznodziejsko-polska, wydawana z dzieł oryginalnych dawnych naszych kaznodziei, przez ks. I. Isakowicza i ks. T. Dąbrowskiego, katech. gimnaz. w Stanisławowie. Tom I. Lwów, nakł. i druk. Manieckiego, 1877, w 8-ce, str. XIII i 344. 3 złr.

Blumenstok Heinrich. Die Ukraine und ihre Dichter: Bohdan Zaleski. (Separatabdruck aus dem VI Jahrgange der Dioskuren). Wien, Hof- und Staatsdruckerei, 1877, w 8-ce, str. 22.

Bojarski Aleksander dr. Zbiór ustaw w sprawach karnych, część I. Przepisy tyczące się wewnętrznego działania urzędowego i porządku czynności w sądach karnych i prokuratoryach rządowych, przełożył, tudzież ustawami i rozporządzeniami uzupełniającemi objaśnił..... professor prawa karnego w Uniwersytecie Jagiellońskim. Kraków, nakładem drukarni Uniw. Jagiell., 1876, w 8-ce, str. 4 nl. i 247. 2 złr.

— Austryackiego ustawodawstwa w sprawach karnych. Część II. Ustawa o postępowaniu karném z dnia 23 Maja 1873, tudzież ustawy: O czasowém zawieszeniu sądów przysięgłych i o układaniu list przysięgłych, razem z ogłoszonemi dotychczas orzeczeniami sądu kasacyjnego, ustawami i rozporządzeniami uzupełniającemi i objaśniającemi, wydane w przekładzie polskim przez..... Wydanie drugie poprawione i powiększone. Kraków, nakładem druk. Uniw. Jag., 1876, w 8-ce, str. 4 nl. i 396. 2 złr. 50 cnt.

Boroński Lesław. Dziesięć lat istnienia Czytelni akademickiéj w Krakowie, rzecz czytana na wieczorku literacko-muzycznym 23 Października 1876, z powodu dziesięcio-letniego jubileuszu Czytelni. Kraków, druk. Uniw. Jag., 1876, w 8-ce, str. 15. 20 cnt.

Bourdon Mme. Saint Stanislas Kostka, 5-e édition. Lille et Paris, imp. et lib. Lefort, 1877, w 12-ce, str. 84.

Brafmann. Żydzi i kahały, dzieło wydane w języku rosyjskim w Wilnie w r. 1870 przez..... żyda przechrzczonego, na język polski przełożone i przerobione przez K. W. Wydanie trzecie, poprawione i uzupełnione. Lwów, nakładem księgarni F. H. Richtera, z druk. J. Dobrzańskiego i K. Gromana, 1877, w 8-ce, str 176. 1 złr.

Bret-Hart. Obrazy Kalifornii, nowelle amerykańskie, przekład z angielskiego. Lwów, Gubrynowicz i Schmidt, 1877, w 8-ce, str. 244 i 1 nl. 1 złr. 60 cnt.

Byron. Ustęp z drugiéj pieśni Don Żuana, przełożył Wiktor z Baworowa. (Osobne odbicie z Przegl. Pol.) Kraków, 1877, druk. Czasu, w 8-ce, str. 28.

Carlen E. F. Róża z Tistelenu, powieść, tłumaczenie ze szwedzkiego, dwa tomy. Lwów, nakł. Gubrynowicza i Schmidta, druk. K. Pillera, 1877, w 8-ce, str. 262 i 263. 3 złr.

Catalogus provinciae Gallicianae Societatis Jesu ineunte anno 1877. Cracoviae, ex typographia ephemeridum Czas, 1877, w 8-ce, str. 41.

Celichowski Zygmunt dr. O autorze i wydaniach dzieła: Ustawy prawa polskiego. (Odbitka z Rozpr. Wydz. filol. Akad. Umiej., V). Kraków, druk. Uniw. Jag., 1877, w 8-ce, str. 16.

Chamski M. D. Nasze życie, powieść współczesna, w trzech częściach. Zeszyt 1—3. Toruń, nakład księgarni nowéj (W. Małecki), druk. J. Buszczyńskiego, 1876, w 8-ce, str. 64. Za całe dzieło 4 marki.

Chomętowski Władysław. Synowie hetmańscy, opowiadanie historyczne, dwa tomy. Warszawa, wydanie Biblioteki Warszawskiej, Gebethner i Wolff, druk J. Bergera, 1877, w 8-ce, str. 238 i 216.

— Zabytki języka polskiego z XV wieku, w rękopisach biblioteki ordynacyi Krasińskich. (Odbitka ze Sprawozdań Komisyi językowej Akademii Umiejętności). Kraków, drukarnia uniwersytecka, 1877, w 8-ce, str. 13.

Chorośnicki J. Anioł złego. Lwów, nakł. Ruchu literackiego, druk. K. Pillera, 1877, w 12-ce, str. 110. 50 cnt.

Cwikliński Ludwik dr. Ueber die Entstehungsweise des zweiten Theiles der Thukydideischen Geschichte. (Odbitka z Hermes Zeitschrift für classische Philologie, XII), Berlin, 1877, w 8-ce, str. 23—87.

Cyryl. Słowianie pod tureckiém i austryackiém panowaniem. Zarysy i wspomnienia z podróży przez..... Tłómaczenie z francuzkiego (przez L. R.) Poznań, nakładem drukarni J. Leitgebera, 1877, w 8-ce małéj, str. 2 nl. i 319.

Czemeryński Ignacy Szczęsny dr. Powszechne prawo prywatne austryackie, wyd. 2-gie, tom I zeszyt 1. Lwów, druk. Gazety narodowéj, 1877, w 8-ce, str. X i 64. Zeszyt 1 i ostatni, 1 złr. 50 cent.

Długossii Joannis seu **Longini**, canonici Cracoviensis, Historiae Polonicae libri XII, ad veterrimorum librorum manuscriptorum fidem recensuit, variis lectionibus annotationibusque instruxit Ignatius Żegota Pauli, cura et impensis Alexandri Przeździecki, tomus IV libri XI, XII (Opera omnia, tomus XIII). Cracoviae, ex typogr. ephemeridum Czas, 1877, w 4-ce, str. 733.

Dobrzycki Henryk. O kołtunie, pospolicie „plica polonica" zwanym, napisał..... lekarz szpitala w Mieni. (Praca uwieńczona nagrodą konkursową imienia hr. E. Tyzenhausa r. 1876). Warszawa, druk E. Skiwskiego, 1877, w 8-ce, str. 1 nl., 300, i 1 nl. 2 ruble.

Dzięͅdzielewicz Antoni J. Ustawa z dnia 8 Marca 1876 r., zmieniająca niektóre przepisy rozporządzenia z dnia 6 Kwietnia 1856 r. i ustaw z dnia 13 Grudnia 1862 i z dnia 29 Lutego 1864 r. o należytościach stemplowych i bezpośrednich, przełożył, zestawił i według motywów projektu rządowego objaśnił..... (Przedruk z Prawnika z r. 1876). Lwów, z druk. J. Dobrzańskiego i K. Gromana, 1876, w 8-ce, str. 47 i 1 nl. 40 cnt.

Eguilaz Luiz. Grazalema, dramat w 3 aktach, przekład Seweryny z Żochowskich Duchińskiéj. Warszawa, wydanie Biblioteki Warsz., druk J. Bergera, 1877, w 8-ce, str. 123.

Encyklopedya ogólna wiedzy ludzkiéj, wydawana pod kierunkiem redak. Tygod. illustr. i Wędrowca. Tom XI. Rostowców—Trubeż. Warszawa, nakł. i druk J. Ungra, 1877 (1876), w 8-ce, str. 480.

Estreicher Karol dr. Bibliografia polska XIX stulecia, tom IV

zeszyt II. Kraków, drukarnia Uniw. Jagiellońskiego. 1877, w 8-ce, str. 161 — 320. 2 złr.

Fabiani Karol ks. Misya apostolska, do pokuty i powstania z grzechów prowadząca, do druku podana w Kaliszu 1783. Wydanie trzecie, Część I. Kraków, nakład dra W. Miłkowskiego, druk W. Korneckiego, 1877, w 8-ce, str. 375 i 1 nl. 1 złr. 50 cnt. (7 złp. 15 gr.).

Falkowski Juliusz. Obrazy z życia kilku ostatnich pokoleń w Polsce. Tom I (poświęcony córce wielkiego wieszcza Przedświtu, pannie hrabiance Maryi Krasińskiej). Poznań, nakładem księgarni J. K. Żupańskiego, drukiem J. I. Kraszewskiego (dr. W. Łebiński), 1877, w 8-ce, 2 karty nl. i str. 344. 6 marek.

Fligier dr. (z Poznania). Zur praehistorischen Ethnologie der Balkanhalbinsel, von..... Mitglied der antropologischen Gesellschaft in Wien. (Separat-Abdruck aus den Mittheilungen der antropologischen Gesellschaft in Wien, Band VI). Wien, A Hölder, Druck von F. Jasper, 1877, w 8-ce, str. 4 nl., 65 i 1 nl.

Forster Karol, Epizod z epoki sejmu austryackiego w Kromieryżu (Kremsier), w r. 1848 49. Rokowania między księciem Adamem Czartoryskim a hrabią Adamem Potockim, z zapisków..... (Teka narodowa. Pisma historyczno-polityczne, Ner V). Berlin, wydawnictwo polskie, czcionkami J. Sittenfelda, 1877, w 8-ce str. XV, 1 nl. i 52.

Franke Jan Nep. O niektórych zagadnieniach kinematyki na zasadzie ruchu powierzchni skośnych, napisał..... prof. Akad. techn. we Lwowie. (Odbicie z Pamięt. Akad. Umiejęt. Wydział III, tom III). Kraków, druk. Uniw. Jag., 1877, w 4-ce, str. 28.

Gloger Zygmunt. Nazwy weselne, wyrażenia i przedmioty używane przy godowych obrzędach ludu, na przestrzeni byłéj Rzeczypospolitéj. (Odbitka ze Sprawozdań Akademii Umiejętności). Kraków, druk. Uniw. Jag., 1876, w 8-ce str. 17.

Golian Zygmunt ks. Kazanie na pogrzebie ś. p. Maurycego Manna dnia 15 Listopada 1876. (Osobne odbicie z Czasu). Kraków, czcionkami druk. Czasu, 1876, w 8-ce, str. 37. 40 cnt.

Golowatzkij Jakow Fiodorowitsch in Wilna. Sweipolt Fiol und seine Kyrillische Buchdruckerei in Krakau vom Jahre 1491, eine bibliografisch-historische Untersuchung. (Aus dem Julihefte des Jahrganges 1876 der Sitzungsberichte der phil.-hist. Classe der kais. Akademie der Wissenschaften, Bnd. LXXXIII S. 425, besonders abgedruckt). Wien, in Commission von Holzhausen. 1876, w 8-ce, str. 26, 25 cnt.

Gorzkowski Maryan. Przegląd kwestyj spornych o Rusi. Wydanie trzecie, uzupełnione dodatkami. Kraków, czcionkami Czasu, 1877, w 8-ce, str. VIII; 9 — 135.

— Księdzówna, powieść galicyjska. Wydanie drugie. Kraków, nakładem autora, druk W. Korneckiego, 1877, w 8-ce, str. 216.

Gralewski Mateusz. Kaukaz, opisanie kraju, ludność, zwyczaje i obyczaje. Zeszyt I. Lwów, nakł. księgarni polskiéj, druk. Rogosza, 1877, w 8-ce, str. 80. Przedpłata na całe dzieło 3 złr.

Gueneau de Mussy dr. Przyczynek do historyi chorób małżeńskich, oraz kilka uwag dotyczących hygieny i kształcenia młodych dziéwcząt, przez..... tłumaczył z francuzkiego dr. Landowski (Wyciąg z Gazette médicale). Paryż, libr. de Luxembourg, impr. Tolmer et Joseph, 1876, w 8-ce, str. 16.

Gumplowicz Ludwik dr. Philosophisches Staatsrecht, systematische Darstellung für Studirende und Gebildete von..... Privatdocent des Staatsrechts an der kk. Universität in Graz. Wien, Manz'sche Buchh., Druck von G. J. Manz in Regensburg. 1877, w 8-ce, str. VI, 195 i 2 nl.

Heurich Jan. Przewodnik dla cieśli, wyd. 3-cie. Warszawa. Gebethner i Wolff, druk J. Bergera, 1877, w 8-ce, str. VI, 306 i III. 1 rub. 20 kop.

Hipler Fr. dr. Christliche Lehre und Erziehung in Ermland und im preussischen Ordensstaate während des Mittelalters. Ein Beitrag zur Geschichte des Katechismus (Aus dem VI Bande der Zeitschrift für die Geschichte Ermlands besonders abgedruckt). Braunsberg, E. Bender, 1877, w 8-ce, str. 103.

Hoppe Ferdinand. Ortsnamen des Regierungsbezirks Gumbinnen, deutsche, polnische, litauische, meistentheils auf Grund urkundlichen Materials erklärt von..... Gymnasial-Oberlehrer. Gumbinnen, C. Sterzels Buchh., Druck von W. Krauseneck, 1877, w 4-ce, str. 1 nl. i 16. 2 marki.

Istnienie Boga i dusza ludzka, z uwzględnieniem zarzutów nowoczesnych. Wydanie dziedzictwa błog. Jana Sarkandra dla ludu polskiego na Szlązku. Cieszyn, druk. H. Feitzingera, 1876, w 8-ce, str. XV i 140.

Janczewski Edward. Poszukiwania nad rozwojem płodnicy niektórych krasnorostów. (Odbitka z tomu IV Rozpraw Wydziału matem. przyr. Akademii Umiejętności). Kraków, druk. Uniw. Jag., 1877, w 8-ce, str. 51.

Janota E. dr. prof. Bocian, opowiadania, spostrzeżenia i uwagi, zebrał..... (Odbitka z Przewodnika naukowego i literackiego, nieco pomnożona). Lwów, nakładem autora, z druk. E. Winiarza, 1876, w 8-ce, str. 100. 36 cnt.

Jaroszewski Zygmunt. Gospodarstwo wzorowe, uprawa roślin zbożowych i pastewnych, groszkowych, koniczynnych i traw, wydanie illustrowane. Kraków, nakł. autora, druk. Wł. L. Anczyca i Sp., 1877, w 8-ce większéj, str. 455 i X.

Jasieński Jan. O wpływie kwasu salicylowego na kiełkowanie, rozprawa napisana dla otrzymania dyplomu z ukończenia nauk w wyższéj szkole rolniczéj imienia Haliny w Żabikowie. Poznań,

drukiem I. J. Kraszewskiego (dr. W. Łebiński), 1876, w 8-ce, str. 38. 60 cnt.

Jastrzębowski Wojciech prof. Ogrodnictwo podług wykładu.... w Marymoncie, z portretem M. Oczapowskiego. (K. Majewskiego Wykład początków zasadniczych rolnictwa, tom III). Warszawa, Gebethner i Wolff, druk. S. Orgelbranda synów, 1877 (1876), w 8-ce, str. 408.

Jeleński Jan. Żydzi, Niemcy i my. Warszawa, druk. J. Noskowskiego. 1876, w 8-ce, str. 82. 4 złp.

Józefczyk Andrzej. Nauka geometryi w szkołach ludowych pospolitych, przez..... dyr. sem. naucz. męsk. w Krakowie, przewod. krak. komisyi egzamin. dla szkół lud. i wydz. (Odbitka z rocznika IX Szkoły). Lwów, nakładem Towarzystwa pedagogicznego, z I związkowej drukarni, 1876, w 8-ce, 3 karty nl. i str. 103. 70 cnt.

Kamocka Józefa. Pod Twoję obronę, nabożeństwo dla dzieci, wydanie nowe. Warszawa, Gebethner i Wolff 1877, w 16-ce, str. 168 i IV. 50 cnt.

Karatajew N. Osmogłasnik 1491 goda, napieczatannyj w Krakowie Kiryłłowskimi bukwami. Petersburg, typogr. Akad. nauk. 1876, w 8-ce dużej, str. 21, 6 nl. i 1 podobizna.

Karliński prof. dr. Wypadki jednorocznych pomiarów chyżości wiatru w Krakowie. (Odbitka z tomu IV Rozpraw Wydziału matem. przyr. Akademii Umiejętności). Kraków, druk. Uniw. Jag., 1877. w 8-ce, str. 5.

— Wyznaczenie szerokości geograficznej środka kopuły zachodniej w obserwatoryum astronomicznem krakowskiem, (Osobne odbicie z tomu IV Rozpraw Wydziału matem. przyr. Akademii Umiejęt.), Kraków, druk. Uniw. Jag., 1877, w 8-ce, str. 16.

— Meteorologische Beobachtungen angestellt auf der k. k. Sternwarte in Krakau, im Monate September, October, November, December 1876. Krakau, Universitats-Buchdruckerei, Verlag der k. k. Sternwarte, w 8-ce, po 4 str. nl. na każdy miesiąc.

Karłowicz Jan dr. Przyczynki do projektu wielkiego Słownika polskiego. (Osobne odbicie ze Sprawozdań Akademii Umiejętności, 1876). Kraków, drukarnia uniwersytecka, 1876, w 8-ce, str. 82.

Kasimirski. Le Koran de Mahomet, traduction nouvelle, faite sur le texte arabe. Nouvelle édition. Paris, Charpentier, imp. Viéville et Capiomont, 1876, w 18-ce, str. XXXIV i 537, 3 fr. 50 c.

Kiepert's Taschen-Fahrplan für Schlesien und Posen, red. vom Eisenb. Secr. Werner. Winter-Fahrplan 1876/77. Breslau, Gosohorsky, w 8-ce, str. 40 i karta litogr. w 4-ce podłużnej.

Kirkor A. Krakowskaja Akademia nauk, Istoryczesko-bibliograficzeskij oczerk. (Sławianskij sbornik, tom III otd. II). Petersburg 1876, w 8-ce str. 40.

Kluger Władysław. Listy z Peruwii, skreślił..... inżynier rzą-

dowy i profesor Szkoły inżynierskiéj w Limie. Osobne odbicie z Czasu). Kraków, czcionkami druk. Czasu, 1877, w 8-ce, str. 48.

— Wykład wytrzymałości materyałów i stałości budowli. Paryż, nakł. bibl. kórnickiéj, typ. Tolmer et Isidor Joseph, 1876, w 8-ce, str. LVIII, 599 i 1 nl.

Kochanowski Jan. Odprawa posłów greckich. Kraków, staraniem i nakładem prof. d-ra Hugona Zatheya, druk. Czasu, 1877, w 8-ce, str. 16.

Kolbenheyer Karl. A Magas Tátra. Karte der Hohen Tátra mit den nächsten Voralpen, im Auftrage des ungar. Karpathenvereines nach der Originalaufnahme des k. k. Generalstabes. (Maasstab von 1: 100,000). Bielitz, E. Klimeks litogr. Anstalt, 1877, fol., arkusz rozłożony. 75 cnt.

Konwicki S. i **Zabieha** K. Kalendarzyk paryzki na r. 1877, zawierający wykazy adresów polskich w Paryżu i Francyi, firm i domów handlowych i przemysłowych, zakładów przemysłowych i rękodzielniczych, osób oddających się rzemiosłom, zawodom publicznym, liberalnym i t. p., instytucyi i stowarzyszeń dobroczynnych, ekonomicznych i naukowych polskich w Paryżu. Paris, impr. Tolmer et Joseph, 1877, w 18-ce, str. 136. 2 fr.

Kopernicki Izydor dr. Kongres międzynarodowy antropologii i archeologii przedhistorycznéj w Peszcie. Warszawa, nakładem redakcyi Kroniki rodzinnéj, w drukarni M. Ziemkiewicza, 1876, w 16-ce, str. 28.

— On the scaphoid skull of a Pole, by..... (Odbitka z Journal of the anthropological Institut, VI). London, 1876, w 8-ce, str. 181 — 190 i 2 tablice.

Kosiński Władysław dr. Słowniczek prowincyonalizmów w okolicach Krakowa, Bochni i Wadowic, zebrał..... nauczyciel gimnazyalny w Wadowicach. (Odbitka ze Sprawozdań Akademii Umiejętności). Kraków, drukarnia uniwersytecka, 1876, w 8-ce, str. 20.

Kościuszki Listy do jenerała Mokronowskiego i innych osób pisane, zebrał i wstępem opatrzył Lucyan Siemieński. Lwów, Gubrynowicz i Schmidt, druk. K. Pillera, 1877, w 8-ce, str. 234. 2 złr. 80 cnt.

Krasiński Józef hr. Pamiętniki..... od r. 1790 — 1831, skrócone przez dra Fr. Reuttowicza. Poznań, drukiem J. I. Kraszewskiego (dr. W. Łebiński), 1877, w 8-ce, str. VIII i 235.

Kraszewski J. I. Starosta warszawski, obrazy historyczne z XVIII wieku. Warszawa, Gebethner i Wolff, Kraków, w drukarni Wł. L. Anczyca i Spółki, 1877, w 8-ce, 3 tomy, str. 241, 241 i 225.

Król Ż. prof. Sprawozdanie z wycieczki w okolice Janowa podé Lwowem, na obszarze od źródeł Wereszycy aż po jéj brzeg dolny w najbliższych okolicach Gródka, odbytéj w r. 1875. (Odbicie ze

Sprawozdania Komisyi fizyograficznéj, tom XI za r. 1876). Kraków, druk. Uniw. Jag., 1877, w 8-ce, str. 33.

Laboulaye Edward. Historya Stanów Zjednoczonych, przekład z wydania 4-tego, tom II arkusz 5—14. Warszawa, wydawnictwo M. Glücksberga 1877, w 8-ce, str. 65—224.

Lavalle J. A. de. Kilka kartek z dziennika podróży po Rosyi, przez..... byłego ministra i posła peruwiańskiego do Rosyi i Niemiec, obecnie senatora w Limie. Tłómaczenie z hiszpańskiego (Odbitka z Czasu). Kraków, czcionkami druk. Czasu, 1877, w 8-ce, str. 28.

Lebon Hubert. Vie de saint Stanislas Kostka de la Compagnie de Jesus. (Bibliothèque des enfans pieux). Tours, impr. et lib. Mame et fils, 1877, w 18-ce, str. 35.

Levasseur E La vie et les travaux de Wolowski. (Extrait du Journal des économistes). Paris, impr. de Viéville et Capiomont, 1877, w 8-ce, str. 36.

Ligouri Alfons św. Jak żyć powinien chrześcianin, tłómaczenie O. Prokopa Kapucyna. Kraków, druk. Wł. L. Anczyca i Sp., 1877, w 16-ce. str. 203.

Lisicki Henryk. Chów koni w Austryi. (Osobne odbicie z Przeglądu polskiego). Kraków, druk. Czasu, 1877, w 8-ce, str. 37. 30 cnt.

Liske Ksawery. Öfversigt afden polska litteraturen med särskildt afseende paden svenska historien, (Odbitka z III-go zeszytu Historiskt Bibliotek). Stockholm, P. A. Norstedt et söner, 1877, w 8-ce, str. 119—228.

Listy o Galicyi do Gazety polskiéj 1875—1876. Kraków, nakł. i druk. Wł. L. Anczyca i Sp., 1877, w 8-ce, 268 i 5 nl. 1 zlr. 50 cnt.

Lubomirski. Par ordre de l'empereur. Paris, Dentu, imp. Jacob, 1876, w 18-ce, str. 634, 6 fr.

Lutyński Aleksander. Głos serc polskich. Paryż, impr. Reiff, 1877, w 8-ce, str. 30.

Łuszczkiewicz Władysław. Kościoły i rzeźby Duninowskie w Strzelnie na Kujawach, oraz ruina kościoła Panny Maryi w Inowrocławiu, przyczynek do dziejów sztuki XII w. (Osobne odbicie z Pamiętnika Akad. Umiej.). Kraków, czcionkami druk. Czasu, 1876, w 4-ce, str. 20 i tablice VI—XI.

Macaulay. Szkice, przekład z angielskiego przez Jana Karłowicza. Warszawa, wydawnictwo M. Glücksberga, 1876, w 8-ce, str. 65—128.

Maciejowski Wacław Aleksander. Antoni Zygmunt Helcel jako prawnik-historyk, przedstawiony w sprawozdaniu z czytania jego Starodawnych prawa polskiego pomników, które dając pod rozwagę światłéj publiczności, wydaje jako trzeci artykuł Dopełnień historyi prawodawstw słowiańskich..... (Odbitka z tomu VI Sprawozdań Wydziału filozof. Akademii Umiejętności). Kraków, druk. Uniwersytetu Jagiell., 1876, w 8-ce, str. 206.

Majer Józef. Przemowa nad zwłokami Kazim. Fryd. Skobla d. 28 listopada r. 1876. (Odbicie z Przegl. Polskiego). Kraków, druk Czasu, 1877, w 8-ce, str. 7.

Mann Maurycy pamiętnik dla przyjaciół (drukowano jako manuskrypt). Kraków, nakł. i druk. Czasu, 1877, w 8-ce dużéj, str. 28.

Materyały do Słownika prowincyonalizmów polskich, wydawane staraniem Komisyi językowéj i sekcyi etnologicznéj Komisyi antropologicznéj w Akademii Umiejętności w Krakowie. Zeszyt I. Kraków, druk, Uniw. Jag., 1876, w 8-ce, str. 96.

Treść: Rzecz o mowie ludu wielkopolskiego, skreślił Oskar Kolberg; Słowniczek prowincyonalizmów w okolicach Krakowa, Bochni i Wadowic, zebrał dr. Władysław Kosiński; Prowincyonalizmy mowy polskiéj w Drohobyczu i jego okolicach, zestawione i porównane z językiem ruskim, staropolskim i narzeczem kaszubskiém przez prof. Parylaka; Nazwy weselne, wyrażenia i przedmioty używane przy godowych obrzędach ludu, na przestrzeni byłéj Rzeczypospolitéj, zebrał Zygmunt Gloger. 1 złr.

Mecherzyński Karol dr. Historya literatury polskiéj dla młodzieży, opowiedziana w krótkości. Wyd. 2-gie, przejrzane i powiększone. Kraków, nakł. Himmelblaua, druk. Czasu, 1877, w 8-ce, str. 4 nl., IV, 420, XI i 1 nl. 2 złr.

— Uwagi w przedmiocie języka. (Odbitka z Rozpr. Wydz. filolog. Akad. Umiej.). Kraków, druk. Uniw. Jag. 1877, w 8-ce, str. 23.

Michalow Georgios. Die geheime Werkstätte der polnischen Erhebung von 1830, mit Streiflichtern auf Russland und Frankreich. Amicus Plato, amicior veritas. Amberg und Leipzig, Verlag und Druck von. J. Habbel, 1877, w 8-ce, str. 152. 18 sgr.

Miłkowski Zygmunt. Słowiański Hercog, powieść w 4 tomach na tle dziejów Słowiańszczyzny południowéj. Warszawa, nakład i druk. J. Noskowskiego, 1876, w 8-ce, str. 250, 257, 256, 257,

— Za króla Olbrachta, powieść historyczna, przez Teodora Tomasza Jeża. (Odbitka z Niwy). Warszawa, w drukarni Wł. Dębskiego, 1876, w 8-ce, str. 350 i 1 nl.

Moraczewski M. Projek uregulowania Staréj Wisły, w ogólnych zarysach skreślił.... dyrektor budownictwa miejskiego w Krakowie. Kraków, nakładem magistratu m. Krakowa, druk W. Korneckiego, 1876, w 8-ce, str, 38 i Plan sytuacyjny koryta Staréj Wisły, in fol.

Morawski Teodor. Dzieje narodu polskiego, tom III: królowie obieralni, Wazowie. Wydanie wtóre. Poznań, nakład J. K. Żupańskiego, druk. J. I. Kraszewskiego (dr. W. Łebiński), 1877, w 8-ce, str. 608. 2 tal.

Mowy (ks. Zygmunta Goliana i Stanisława hr. Tarnowskiego), na pogrzebie śp. Maurycego Manna dnia 15 Listopada 1876. (Osobne odbicie z Czasu). Kraków, czcionkami drukarni Czasu, 1876, w 8-ce, str. 53.

Müldner Henryk. Szkice z podróży po Słowacyi, z dodatkiem krótkiego przewodnika. (Osobne odbicie z Czasu. Kraków, czcionkami drukarni Czasu), 1877, w 8-ce, str. 2 nl., 108 i 1 nl. 80 cnt.

Mycielski Michał ks. Tow. Jez. Pieśni do Najsłodszego serca P. Jezusa. Wydanie trzecie, znacznie pomnożone. Kraków, druk. Czasu, w 8-ce małéj, str. 56. 8 cnt.

Na dziś (Namiestnikowi Galicyi ofiaruje autor). Kraków, nakł. i druk. W. Korneckiego, 1877, w 8-ce, str. 15. 20 cnt.

Nauki ekonomii politycznéj w zastosowaniu do potrzeb naszych, część I: W sprawie przemysłu. Poznań, nakładem i czcionkami T. Daszkiewicza, 1877, w 8-ce, str. 2 nl., 77 i 1 nl. 75 fenig.

Na przedburzu. Kraków, druk W. Korneckiego, 1877, w 8-ce, str. 92.

Nowodworski Michał ks. Encyklopedya kościelna podług teologicznéj encyklopedyi Wetzera i Weltego, tom IX (Jezuici—Kapucyński). Warszawa, druk. Czerwińskiego i Sp., 1876, w 8-ce, str. 4 nl., 621 i 1 nl. 3 złr. 60 cnt.

Oczapowski J. B. dr. Władza i układ państwa, zarysy porówn. konstyt. prawa i polityki. Część szczególna, dokończenie tomu I. Kraków, Gebethner i Sp., druk. Uniw. Jag., 1877, w 8-ce. str. 219 do 382 i II

Oettinger J. prof. dr. Kilka rysów zdjętych z życia Fryderyka Kazimierza Skobla, listek wspomnienia rzucony na świeżą mogiłę przez wdzięcznego ucznia, przyjaciela i kolegę.... na wieczorku czytelni akademickiéj dnia 12 stycznia 1877. Kraków, nakł. Czytelni akad., druk. Uniw. Jag.; 1877, w 8-ce, str. 16. 20 cnt.

Olszewski Stanisław dr. Rys geologiczny północno-wschodniéj części Podola austryackiego, skreślił.... słuchacz c. k. Akademii górniczéj w Leoben. (Osobne odbicie ze Sprawozdań Komissyi fizyograficznéj za rok 1876). Kraków, drukarnia uniwersytecka 1876, w 8-ce, str. 56.

Pamiątka dnia 28 Grudnia 1876 r. (Odbicie z czasu). Kraków, nakł. i druk. Czasu, 1877, w 8-ce, str. 11

Pamiętnik Towarzystwa nauk ścisłych w Paryżu, tom VIII. Paryż, nakładem biblioteki kórnickiéj, typ. Tolmer et Isidor Joseph, 1876, w 4-ce, str. 4 nl., 7, 19, 126, 2 nl., 43, 1 nl., 7, 7, 16, 8, 3, 9 nl. i 1 tablica. 20 franków.

Parylak. Prowincyonalizmy mowy polskiéj w Drohobyczu i jego okolicach, zestawione i porównane z językiem ruskim, staropolskim i narzeczem kaszubskiém. (Osobne odbicie ze Sprawozdań Akademii Umiejętności). Kraków, drukarnia uniwersytecka, 1876, w 8-ce, str. 23.

Paszliński Karol. Dwaj sąsiedzi albo zgoda buduje, niezgoda rujnuje, obrazek z życia wiejskiego. Poznań, nakładem Towarzystwa oświaty ludowéj, drukiem J. I. Kraszewskiego (dr. W. Łebiński), 1877, w 8-ce, str. 181. 1 mar. 25 fen.

Petion Eustachy. Nowa broń, torpile niebieskie. Lwów, nakł. księgarni polskiéj, I związkowa druk., 1877, w 8-ce, str. 7 i 1 nl. 20 cnt.

Pieniążek Czesław. Mesyanizm i Towiańszczyzna, w ogólnym zarysie. Lwów, nakładem redakcyi Tygodnia, z drukarni A. J. O. Rogosza, 1877, str. 167. 1 złr. 50 cnt.

Piętak Leonard dr. prof. O giełdzie i czynnościach giełdowych ze stanowiska prawa austryackiego. (Miscelanea z prawa handlowego i wekslowego. Zeszyt I). Lwów, główny skład u Czajkowskiego, 1877, w 8-ce, str. 138.

Piotrowski Adolf. Wskazówki likwidatora do pobieżnego obliczania wartości budynków i ziemiopłodów, dla użytku likwidatorów i poszkodowanych, przez.... likwidatora galic. ogólnego Towarzystwa ubezpieczeń. Lwów, nakładem księgarni W. Zawadzkiego. I związkowa drukarnia, 1877, w 8-ce, str. 25, 1 nl. i 1 tablica.

Pol Wincenty. Dzieła, pierwsze wydanie zupełne, tom VII: Stryjanka, Starosta Kiślacki, Rok myśliwca, Słowo a sława, Drobne poezye. Lwów, nakł. Richtera, druk. Manieckiego, 1877, w 8-ce, str. 477, 2 nl. i mappa 3 złr.

Połkowski Ignacy ks. Opis starożytnych ruin na wyspie jeziora Lednickiego, zebrał ks. I. P. i wydał nakładem hr. ordynata Węsierskiego-Kwileckiego. Gniezno, drukiem J. B. Langiego, 1876, w 8-ce dużéj, str. 47.

— Historya majętności Łabiszyńskiéj od roku 1326—1876. Poznań, nakładem biblioteki Lubostrońskiéj, drukiem J. I. Kraszewskiego (dr. W. Łebiński), 1876, w 8-ce, str. 19 i 1 tablica.

Popliński A. prof. Elementarbuch der polnischen Sprache für den Schulgebrauch und zum Selbstunterricht. 10 verb. Auflage. Leipzig, F. A. Brockhaus, 1877, w 8-ce, str. 154. 12½ sgr.

Poźniak January. Pisny z dawnych lit J. P. U Lwowi, nakładom knyharni Wł. Bełzy, I społuczenaja drukarnia, 1877, w 16-ce str. 44 i 2 nl.

Prawa książąt mazowieckich, przełożone na język polski przez Macieja z Rożana r. 1450, przedruk homograficzny z kodexu puławskiego wykonał A. Piliński. Nakładem biblioteki kórnickiéj, drukiem J. I. Kraszewskiego (dr. W. Łebiński) w Poznaniu, 1877, karty 2 nl. i 16 homogr. 12 marek.

Prószyński Konrad. Geografia początkowa, podręcznik dla wychowawców. Warszawa, skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa, druk K. Kowalewskiego, 1877, w 8-ce małéj, str. V, 130 i 2 nl.

Proyart l'abbée. Vie de Marie Leckzinska, princesse de Pologne, reine de France. Limoges, imp. et lib. E. Ardant et Ce, 1877, w 12-ce, str. 120.

Prześladowanie obecne religii katolickiej w Prusach. (Osobne odbicie z Przeglądu polskiego). Kraków, druk. Czasu, 1877 (1876), w 8-ce, str. 438.

Revelié-Parise J. H. dr. Starość, popularny wykład fizyologii, medycyny i hygieny względnie do wieku starego, przełożył dr. Franciszek Olszewski. Lwów, nakład księgarni polskiej, 1877, w 8-ce, str. 379 i 2 nl. 4 złr.

Rheticus Joachim. Die Chorographie des...., mit einer Einleitung aus dem Autographon des Verfassers herausgegebem von Prof. Dr. Fr. Hipler. (Separatabdruck aus der Zeitschrift für Mathematik und Physik). Dresden, B. G. Teubner, 1876, w 8-ce, str. 26.

Romanowicz Tadeusz. O znaczeniu ekonomicznem instytucyj ubezpieczeń w ogóle a w szczególe o znaczeniu tak zwanych ubezpieczeń na życie. (Osobne odbicie z Kalendarza Krakowskiego). Kraków, druk. Czasu, 1877, w 4-ce, str. 20.

Rosenblatt Józef dr. Powszechny kodeks handlowy wraz z ustawą wprowadczą, ustawą o stręczycielach i ustawą o organizacyi giełd, z uwzględnieniem odnośnych ustaw i rozporządzeń późniejszych, opracowany i orzeczeniami sądów najwyższych w Wiedniu i Lipsku objaśniony. Cieszyn, nakł. K. Małika, czcionkami Feitzingera, 1877, w 8-ce małej, str. X i 256. 2 złr.

Rozprawy i Sprawozdania z posiedzeń Wydziału filologicznego Akademii Umiejętności, tom IV. Kraków, nakładem Akademii, druk. Uniw. Jag., 1876, w 8-ce, karty 2 nl., str. 362 i CXVII.

Treść: Wiadomość o życiu i pismach G. E. Grodka, przez dra Zygmunta Węclewskiego; Andrzej Maksymilian Fredro, charakterystyka literacka przez St. Tarnowskiego; O pobycie Konrada Celtesa w Polsce i jego wpływie na rozbudzenie humanizmu, przez K. Mecherzyńskiego; Legenda o św. Aleksym, przez dra Wł. Wisłockiego; Sprawozdania; Program Słownika polskiego, przez dra Karłowicza.

— *i Sprawozdania* z posiedzeń Wydziału matematyczno-przyrodniczego Akademii Umiejętności, tom III z 10 tablicami litografowanemi. Kraków, druk. Uniw. Jag., 1876, w 8-ce, str. 5 nl., 240 i LXII.

Treść: O wpływie środków wzniecających silny ruch robaczkowy jelit na wydzielanie limfy, na podstawie doświadczeń dokonanych w pracowni prof. Ludwiga w Lipsku, przez dra Józefa Merunowicza; Badanie mikroskopijne co do sposobu przyrastania przeszczepionych kawałków skóry do dna wrzodów, przez prof. dra Alfreda Biesiadeckiego; Przyczynek do poznania kształtu linii prężności wody nasyconej, przez dra Oskara Fabiana; O zmianach pozimnicznych wątroby, śledziony i szpiku kostnego, przez dra Tadeusza Browicza; Bateryа galwaniczna o dwóch płynach, której wypełnianie i wypróżnianie polega na ciśnieniu powietrza, przez dra Karola Olszewskiego; Kilka spostrzeżeń nad rozwojem Ramienicowatych, przez dra Franciszka Kamieńskiego; O przeobrażeniu i zmianie pokoleń w świecie

roślinnym, przez dra Józefa Rostafińskiego; Badania nad rozwojem pączka u Skrzypów, przez dra Ed. Fr. Janczewskiego; Przyczynek do wykrycia arsenu w dochodzeniach sądowych za pomocą prądu elektrycznego, przez dra Karola Olszewskiego; Porównawcze badania nad wzrostem Pływaczów, przez dra Fr. Kamieńskiego; Sprawozdania.

Rzewuski Henryk. Rycerz Lizdejko, powieść z czasów panow. Jana Kazimierza. Warszawa, nakł. i druk. S. Lewentala, 1877, w 8-ce, str. 368.

— Zamek krakowski, romans historyczny z wieku XVI. Warszawa, nakł. i druk. S. Lewentala, 1877, w 8-ce, str. 424.

S. dr. Kij karbowany, obrazek. Lwów, nakł. Kroniki codziennej, z druk. K. Pillera, w 8-ce małej, str. 129—150. 16 cnt.

S. J. K. Na cudzej roli, powieść współczesna przez J. K. S. Tom I i II. Warszawa, wydawnictwo M. Glücksberga, druk S. Orgelbranda synów, 1877, w 8-ce małej, str. 154 i 170.

Sarnecki Zygmunt. Próżność ukarana, komedyjka dla dzieci, w 1 akcie. (Teatr dla młodzieży, 5). Kraków, nakładem J. Wildta, druk. Uniw. Jag., (1876), w 16-ce, str. 42.

Sawczyński Zygmunt. W stuletnią rocznicę ogłoszenia niepodległości Stanów Zjednoczonych północnej Ameryki; Benjamin Franklin, Jerzy Waszyngton, żywoty. Lwów, nakł. Towarzystwa pedagogicznego, I związkowa druk., 1876, w 8-ce, str. II, 66 i 108.

Schematismus religiosi ordinis s. Pauli primi eremitae ad a. Chr. 1877, Cracoviae, ex typogr. ephemer. Czas, 1877, w 8-ce, str. 11.

Schuler von Libloy Friedrich dr. Aus der Türken- und Jesuitenzeit vor und nach dem Jahre 1600, historische Darstellungen zumal Fürsten- und Volksgeschichte in den Karpathenländern, von..... ord. Professor an der k. k. Franz-Joseph's Universität in Czernowitz, Ausschussmitglied des Vereins für siebenbürgische Landeskunde. Berlin, Verlag von Theobald Grieben, Druck von C. H. Schulze in Gräfenhainichen, 1877, w 8-ce, str. IV, 1 nl. i 268. 2 talary.

Schwartz Marya Zofia. Gorączka emancypacyi, przekład ze szwedzkiego, przez S. M. Warszawa, druk. J. Kaufmana, 1877, (1876), w 16-ce, str. 344.

— Marzenia Gertrudy, powieść, przekład J. K. S. Warszawa, druk. J. Kaufmana, 1877 (1876), w 18-ce, str. 339.

Sciborowski Władysław dr. Wykaz prac śp. Fr. Kazimierza Skobla drukiem ogłoszonych. Kraków, nakładem Tow. lek. Krak., druk. Uniw. Jag., 1877, w 4-ce, 2 karty nl.

Seredyński Władysław dr. Trzy zabytki języka polskiego z drugiej połowy XV wieku. (Osobne odbicie z I tomu Sprawozdań Komisyi językowej). Kraków, druk. Uniw. Jag., 1877, w 8-ce, str. 6.

Simon Juliusz. Obowiązek, przełożył Kazimierz Kaszewski. Warszawa, wydawnictwo M. Glücksberga, 1876, w 8-ce, str. 145—252, 2 nl. i XX.

Sleżańska Marya. Kuchnia postna, zawierająca 255 dyspozycyj obiadów i kolacyj, zastosowanych w różnych okolicznościach, a nawet do suchego postu, przez autorkę Kucharza wielkopolskiego. Poznań, M. Leitgeber i Sp., 1877, w 8-ce małéj, str. XIII i 238. 1 marka 50 fen.

Smoczyński Wincenty dr. ks. Jasełka na Syberyi. Kraków, druk. Czasu, 1877, w 8-ce, str. 29.

— Kazanie na uroczystość św. Jacka, miane w kościele OO. Dominikanów w Krakowie. Kraków, druk. Czasu, 1876, w 8-ce, str. 16.

Solecki Leonard ks. Zbiór łatwych i śpiewnych utworów muzycznych dla szkół i pensyonatów. Śpiewy kościelne na 4 mięszane głosy t. j. sopran, alt, tenor i bas. Drugie poprawne wydanie. Partytura mogąca służyć oraz jako akompaniament. Część 1: msze, adwentowe i kolendy. Lwów, nakładem wydawcy, w 8-ce dużéj, str. 61 nut z tekstem i 1 nl. 1 złr. 50 cnt.

Sprawozdanie dyrekcyi c. k. realnego i wyższego gimnazyum w Kołomyi za rok szkolny 1876. Kołomyja, czcionkami M. Biłousa, 1876, w 8-ce, str. 78.

Treść: O pokrewieństwie ducha i podobieństwie składni języków polskiego i łacińskiego, przez Wincentego Strokę; część statystyczna, przez dyrektora.

— Czwarte Komitetu Towarzystwa opieki szpitalnéj dla dzieci w Krakowie z roku 1876. Kraków, nakł. Tow. opieki szpit., druk Czasu, 1877, w 8-ce, str. 31 i 1 rycina.

— Komisyi fizyograficznéj obejmujące pogląd na czynności dokonane w ciągu roku 1875, oraz materyały do fizyografii Galicyi. Tom X. Kraków, druk. Uniw. Jag., 1876, w 8-ce, str. V, 2 nl., 42, 183, 219 i 1 nl.

— Z czynności Zakładu Nar. imienia Ossolińskich za rok 1876. Lwów, z I związkowéj drukarni, 1877, w 8-ce, str. 1 nl., 53 i 1 nl.

Springer Anton. Die Kosaken, deren historische Entwickelung, gegenwärtige Organisation, Kriegstüchtigkeit und numerische Stärke, nebst einem Vergleich der gesammten russischen und österreichischen Kavallerie mit Bezug auf einen eventuellen Krieg Oesterreichs gegen Russland, von..... k. k. Oberlieutenant im Infanterie-Regiment FZM. Graf Noaili Nr. 74, zugetheilt dem Generalstabe. Leitmeritz, Druck von Dr. Karl Pickert, Selbstverlag des Verfassers, in Comission bei L. W. Seidel et Sohn, Wien, 1877, w 8-ce, str. 127 i 1 nl. 1 złr. 40 cnt.

Stański. De l'inutilité d'isoler les malades dans les hôpitaux. Paris, Delahaye, 1876, w 8-ce, str. 22.

Starowiejski Kazim. Sen, obrazek dramatyczny w trzech odsłonach, z francuzkiego. (Teatr dla młodzieży, 6). Kraków, nakładem Juliusza Wildta, druk. Uniw. Jag., (1876), w 16-ce, str. 35.

Sutowicz Julian. Walka Kazimierza Jagiellończyka z Maciejem Korwinem o koronę czeską. (Odbitka z Przeglądu polskiego). Kraków, druk. Czasu, 187 $^{6}/_{7}$, w 8-ce, str. 165.

Szajnocha Karol. Dzieła, tom V: Jadwiga i Jagiełło (ciąg dalszy). Warszawa, nakł. i druk J. Ungra, 1877, w 8-ce, str. 349 i 1 nl. 2 ruble.

Szematyzm królestwa Galicyi i Lodomeryi z Wielkiém Księztwem Krakowskiém na r. 1877. Lwów, druk. A. J. O. Rogosza, 1877, w 8-ce, str. XXIII, 828. 2 złr. 60 cnt.

Szlosser Fr. Kr. Dzieje powszechne, ułożone przez dra G. L. Kriegka, przejrzane przez d-rów Oskara Jaegera i T. Creizenacha, doprowadzone do czasów teraźniejszych przez d-ra Bernhardta, przekład z najnowszego wydania pod redakcyą Bronisława Komorowskiego. Tom XVI (Biblioteka historyczna, tom XVI). Lwów, nakładem księgarni polskiéj, z I związkowéj drukarni, 1877 (1876), w 8-ce, str. 621 i 2 nl. 5 złr. (20 złp.).

Szujski Józef. Trzecia żona Zygmunta Augusta, prelekcya na korzyść Towarzystwa bratniéj pomocy uczniów Uniw. Jag. (Odbicie z Przeglądu polskiego). Kraków, druk. Czasu, 1877, w 8-ce, str. 33.

Talko J. dr. Z kazuistyki oftalmicznéj. (Odbitka z Medycyny r. 1876). Warszawa, druk M. Ziemkiewicza, 1877, w 8-ce dużéj, str. 22.

Theuriet Andrzej. Ondyna, przełożył z francuzkiego A. Kleczewski. Lwów, nakł. Kroniki codziennéj, z druk. K. Pillera, 1877, w 8-ce małéj, str. 166. 64 cnt.

Tomaszewski Antonius. De Illiadis libro vicesimo quarto pars prior, dissertatio inauguralis philologica pro summis in philosophia honoribus obtinendis in Universitate literarum Jenensi. Thorunii, typis Buszczyńskianis, 1876, w 4-ce, str. 18.

Tretiak Józef. Mazurek Szopena, nowella. Lwów, nakł. Kroniki codziennéj, z druk. K. Pillera, 1877, w 8-ce małéj, str. 126. 60 cnt.

— Słowo o Chopinie, powiedziane na uroczystości chopinowskiéj we Lwowie. Lwów, nakładem Kroniki codziennéj, z drukarni K. Pillera, 1877, w 8-ce, str. 18. 36 cnt.

Verne Juliusz. Dzieci kapitana Granta, podróż fantastyczno-naukowa, tom I—III. Warszawa, druk J. Sikorskiego, 1877, w 8-ce małéj, str. 323, 319, 280.

— Dwadzieścia tysięcy mil podmorskiéj żeglugi, wydanie 2-gie. Warszawa, druk. J. Sikorskiego, 1877, w 8-ce, str. 618.

Veuillot Ludwik. Jezus Chrystus zapowiadany, żyjący widzialnie w świecie i żyjący w dziejach, dzieło ozdobione chromolitografiami, miedziorytami, fototypami i litografiami, oraz drzeworytami, przekład polski ks. Michała Nowodworskiego. Warszawa, nakład M. Orgelbranda, drukiem F. A. Brockhausa w Lipsku, 1877, w 4-ce, zeszyt 1—4.

Wagner Rudolf v. Podręcznik technologii chemicznej, tłómaczył z ostatniego wydania Julian Grabowski, ze współudziałem Alfreda Fuchsa. (Dział I, II, III i początek IV). Warszawa, nakł. Spółki wydawniczéj księgarzy, druk J. Bergera, 1877, w 8-ce, str. XII i 544. 6 rubli za komplet.

Weber J. Główniejsze zasady języka włoskiego, podręcznik, z którego w bardzo krótkim czasie bez pomocy nauczyciela łatwo i należycie po włosku nauczyć się można, dla użytku młodzieży polskiéj. Kraków, nakład i druk W. Korneckiego, 1877 (1875), w 8-ce, str. 172 i 4 nl.

Wierzbicki Daniel dr. Nauka o użyciu globusów ziemskiego, niebieskiego i Uranoskopu, czyli zbiór zagadnień przyrządami témi rozwiązać się dających, przez..... adj. obs. astron. krak. Wydanie drugie powiększone, z 1 tablicą. Kraków, nakładem J. M. Himmelblaua, druk. Uniw. Jag., 1877, w 8-ce małéj, str. 60. 50 cnt.

Wilczyński Alfons. Historya mojéj dubeltówki, podana do druku przez autora Kłopotów starego komendanta. Lwów, nakł. Kroniki codziennéj, druk K. Pillera, 1877, w 16-ce, str. 122. 60 cnt.

Willanów, Album widoków i pamiątek oraz kopie z obrazów galeryi wilanowskiéj, wykonane na drzewie w drzeworytni warszawskiéj, z dodaniem opisów skreślonych przez dra H. Skimborowicza i W. Gersona. Warszawa, nakł. i druk. S. Orgelbranda synów, 1877, fol., str. II i 186 z drzeworytami.

Winterberg Adela. Sposób przyrządzania nieodzownych środków toaletowych i gospodarskich za pomocą kwasu salicylowego. Lwów, nakładem K. Wilda, drukarnia ludowa, 1877, w 16-ce, str. 37 i 1 nl. 40 cnt.

Witkowski Stanisław. Wybór nauczyciela w miasteczku, komedya w 1 akcie. Kraków, nakładem autora, drukiem W. Korneckiego, 1877, w 8-ce, str. 15 i 1 nl.

Wojcicki K. Wł. Społeczność Warszawy w początkach naszego stólecia. 1800 do 1830. Warszawa, wydanie Biblioteki warsz. Gebethner i Wolff, druk J. Bergera, 1877, w 8-ce, str. 238.

Wypis treściowy z dokumentów rodziny Sarneckich, piszących się na Sarnach i Błogoszczy, z Archiwów Czarnokozinieckich na Podolu, Lwów, z drukarni K. Pillera, nakładem autora, 1877, w 8-ce, str. 16 i arkusz litografowany in folio: Genealogia domu de Sarny et Błogoszcza Sarneckich, ułożona z dokumentów rodziny, przeważnie w Archiwach Czarnokozinieckich znajdujących się, 20 Października 1876.

Z. J. I. Banita, dramat historyczny w 5 aktach, z prologiem i epilogiem, napisał wierszem J. I. Z. Paris, imp. Reiff, w 8-ce, str. 151.

Zabytki sztuki drukarskiéj w Polsce z XVI i XVII wieku, fotodruki z dzieł rzadkich. Zeszyt I, wydanie w 25 egzemplarzach. Kraków, nakładem D. E. Friedleina, 1877, folio wielkie, kart 10. 8 złr.

Zawilski Juliusz dr. O wpływie wody na wydzielanie żółci. (Odbitka z tomu IV Rozpraw Wydz. matem. przyr. Akad. Um.). Kraków, druk Uniw. Jag., 1877, w 8-ce, str. 52.

Zeissberg H. prof. Dziejopisarstwo polskie wieków średnich, przekład z niemieckiego, 2 tomy. Warszawa, Gebethner i Wolff, druk J. Bergera, 1877, w 8-ce, str. XIII, VIII, 263, 1 nl. 304 i 1 nl.

Zieleniewski Michał dr. Materyały do historyi c. k. zakładu zdrojowego w Krynicy. Kraków, druk. Czasu, 1877 w 4-ce, str. 23.

Żebrawski Teofil dr. Gramatyka praktyczna języka polskiego przez T. Ż. Kraków, nakł. aut. druk. Uniw. Jag. 1876 w 8-ce str. 82.

Żelewski A. dr. Nauka o wyznacznikach z zastosowaniami, wyłożona w sposób przystępny dla uczniów Uniwersytetów, szkół politechnicznych i innych zakładów wyższych. Kraków, księgarnia S. A. Krzyżanowskiego, druk. W. Korneckiego, 1877, w 8-ce, str. X, 1 nl. i 191. 1 złr. 80 cnt.

Żeleńska Wanda. Znakomite niewiasty, szkice opracowane przez..... Warszawa, nakł. F. Hösicka, 1877, w 8-ce, str. IV i 239.

Żuliński Tadeusz dr. Nowe studyum nad Syrokomlą przez W. Spasowicza, oraz Romantyzm i jego skutki, przez F. K; — dwie rozprawy z czasopisma Ateneum rozebrał i ocenił..... Lwów, nakładem Gubrynowicza i Schmidta, 1877, w 8-ce małej str. 66.

Żywot Zbawiciela świata Pana naszego Jezusa Chrystusa, spisany wedle czterech ewangielistów. Kraków, nakładem księgarni Gebethnera i Spółki, w drukarni Wł. L. Anczyca i Sp., 1877, w 8-ce, str. XVI i 690. 1 złr. 25 cnt.

B. Ważniejsze prace w czasopismach.

Baraniecki Maryan. Towarzystwo nauk ścisłych w Paryżu: Sprawozdanie za lata 1870—1876. Ateneum ze Stycz. 1877, Warszawa, w 8-ce, str. 171—194.

Bułharyna Tadeusza. Listy do Joachima Lelewela od 1821 do 1830 r. Bibliot. Warsz., Luty 1877, w 8-ce, str. 222 do 231.

Burzyński Kazimierz. Konstytucya turecka i jej wpływ możebny na ludność Wschodu. Ateneum z Lutego 1877, Warszawa, w 8-ce, str. 261—281.

Czarnowski Stanisław. Towarzystwo naukowej pomocy księstwa Cieszyńskiego w Cieszynie. Niwa z dnia 1 Stycznia, Warszawa, 1877, w 8-ce, str. 37—47.

Czerny Franciszek dr. Zarys geografii fizycznéj oceanu. Przewodnik nauk. i liter., Stycz. i Luty, Lwów, 1877, w 8-ce, str. 46—58 i 106—121.

Fredro Alexander hr. (ojciec). Jeremiasz Sęp, powieść. Gazeta lwowska, N-er 43 — 67 z dnia 22 Lutego — 7 Marca 1877 r.

— Mój pacierz (wiersz). Przegląd polski z Marca r. 1877, Kraków, w 8-ce, str. 390 — 394.

— Wiersz pośmiertny. Czas Krakowski, N-er 52 z dnia 6 Marca 1877 r.

Hankiewicz Klemens dr. Ein Beitrag zur Lehre vom kleinrussischen Accent. Jagić'a: Archiv für slavische Philologie, Berlin, 1876, w 8-ce, II, 110 — 125.

Hube Romuald. O datach nadawanych Statutom Kazimierza W. Biblioteka Warsz. Luty 1877, w 8-ce, str. 161 — 181.

J. Antoni dr. Żydzi na kresach. Przewodnik naukowy i literacki, Lwów, 1877, (Styczeń) str. 35—45.

Kasparek Franciszek prof. dr. Robert Mohl, jego życie, działalność parlamentarna i prace naukowe. Niwa z dnia 15 Stycznia — 1 Lutego, Warszawa, 1877, w 8-ce, str. 88—99 i 182—196.

Kętrzyński Wojciech dr. Czy Aaron był arcybiskupem Krakowskim. Przewodnik naukowy i lit. z Marca 1877, Lwów, w 8-ce, str. 282 — 288.

Kubala Ludwik dr. Poselstwo Puszkina w Polsce w r. 1650. Przewod. nauk. i liter., Stycz. i Luty, Lwów, 1877, w 8-ce, str. 19—33 i 173—191.

Liske Xawery dr. prof. Elekcya w Rzeszy r. 1519. Niwa z dnia 1 Stycznia, Warszawa, 1877, w 8-ce, str. 12—37.

Obaliński Alfred dr. O wpływie nowszych sposobow leczenia ran na gojenie tychże. Przegląd lekarski. Kraków, Nr. 1—7 z d. 6 stycznia—17 lutego 1877.

P. K. Książęta Wiśniowieccy w XVI w. (przez K. P.) Przewodnik naukowy i literacki, Styczeń i Luty, Lwów, 1877, w 8-ce, str. 59—80 i 122—135.

Pilat Tadeusz. Do „Reformy stosunków wiejskich" III: O ankiecie ekonomicznéj. Przegląd polski z lutego 1877, Kraków, w 8-ce, str. 264—282.

Podoliński Serge dr. Beitrag zur Kenntniss des pancreatischen Eiweisfermentes. Pflügers Archiv für Physiologie, Bonn, 1876, w 8-ce, tom XIII, str. 422—443.

Pułaski Kazimierz. Wojna Zygmunta I z Bohdanem, wojewodą mołdawskim w 1509 r. Bibl. Warsz., luty 1877, w 8-ce, str. 232 —255.

Rambaud Alfred. Cathérine II et ses correspondants français: I, Grimm, Mme Geoffrin, D'Alembert, Diderot. Revue des deux mondes z dnia 15 stycznia 1877, str. 278—309.

Romanowicz Tadeusz. Międzynarodowy kongres statystyczny

w Peszcie. Ateneum z lutego 1877, Warszawa, w 8-ce, str. 328—356.

Rożański dr. Memoryał w sprawach zdrowia publicznego, podany do wydziału sejmowego przez Towarzystwo lek. galic., referat..... Dwutygodnik medycyny publicznej, Ner 1 i 2 z dnia 1 i 15 Stycznia 1877 r.

Rydzowski Andrzéj. Do „Reformy stosunków wiejskich" IV: O lichwie. Przegląd polski, Luty 1877, Kraków, w 8-ce, str. 282—285.

Sacher-Masoch. Récits Galliciens: Abe Nahum Wasserkrug, La Letawitza. Revue des deux mondes z dnia 15 Stycznia 1877, str. 457—471.

— Récits de moeurs de la Gallicie orientale: II, Le lieutenant Holopherne, Moise Goldfarb et ses enfans. Revue de deux mondes z dnia 1 Lutego 1877, Paris, w 8-ce, str. 658—673.

Sawicki-Stella Jan dr. Jak powinna być urządzona pralnia szpitalna. Dwutygodnik medycyny publicznéj, Ner 1 i 2 z dnia 1 i 15 Stycznia 1877.

Siemieński Lucyan. Lord Byron, jego skłonności ku katolicyzmowi i wyobrażenia. Przegląd lwowski z dnia 1 Stycznia, Lwów, 1877, w 8-ce, str. 1—10.

Spasowicz W. Nasze dzisiejsze sądy szlacheckie polubowne. Ateneum ze Stycznia 1877, Warszawa, w 8-ce, str. 129—170.

Struve Henryk. Nauka o społeczeństwie jako organizmie, rozpatrzona ze stanowiska filozofii natury. Wiek, Nr. 17— 20 z d. 23—26 Stycznia 1877 r.

Świeżawski Ernest. August Bielowski, przez..... Biblioteka Warszawska, Warszawa, 1877, w 8-ce, (Styczeń) str. 1—25.

Święcicki Heliodor. Untersuchung über die Bildung und Ausscheidung des Pepsins bei den Batrachiern. Pflugers Archiv für Physiologie, Bonn, 1876, w 8-ce, tom XIII, str. 444—452.

Szeparowicz J. dr. Przyczynki do kazuistyki chirurgicznéj. Przegląd lekarski, Kraków, Nr. 2—5 z dnia 13 Stycznia—3 Lutego 1877.

Szyszłło Wincenty dr. Z dziedziny biologii: O długowieczności człowieka. Ateneum, Stycz. 1877, Warszawa, w 8-ce, str. 35—86.

Tarnowski St. Kochowski. Kronika rodzinna, Warszawa, Nr. 1—3 z dnia 1 Stycznia do 1 Lut. 1877.

— Z Listów Zygmunta Krasińskiego do Adama Sołtana. Przegląd polski, Kraków, 1877. w 8-ce, (Styczeń), str. 75—117.

Till Ernest dr. O zawisłości *(tak)* prawa hipoteki. Przegląd sądowy i administracyjny, Lwów, Nr. 1, 2, 5 i 7, z dnia 1 Stycz.—14 Lutego 1877.

Tomkowicz Stanisław. Część świata nowo odkryta (K. E. Franzosa: Aus Halb-Asien). Przegląd polski, Luty 1877, Kraków, w 8-ce, str. 179—198.

Weinberg A. M. dr. Jaką powinna być a jaką jest nasza woda do picia. Wiek Nr. 21—24 z d. 27—31 Stycz. 1877 r.

Wejnert Aleksander. Przeszłość, I: Prawa i swobody Szkotów w Polsce do końca XVIII w. Gazeta Polska. Warszawa, Nr. 20—30, z d. 26 Stycz. do 8 Lut. 1877.

Dnia 10 Marca 1877 r.

Dr. Wł. W.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca

S. Lewental.

Druk ukończono dnia 14 Kwietnia 1877 r.

SPIS RZECZY.